PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK CZTERNASTY. — TOM LVI.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1897.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1897.

E r r a t a:

W artykule: »Ze świata nauk, odkryć i wynalazków« (str. 308—311) ile razy jest: *soczewka Ruhmkorffa*, czytaj: *cewka Ruhmkorffa*.

KOLEGIUM OO. JEZUITÓW W POZNANIU

1572--1608 [1].

I.

W lecie 1570 r. dwóch pierwszych Jezuitów zawitało do Poznania: prowincyał austryacko-polski, O. Wawrzyniec Maggio i O. Stanisław Warszewicki, z sekretarza królewskiego i kanonika Jezuita. Zdążali z Rzymu do Wilna, gdzie biskup Protasiewicz fundował im kolegium, które niebawem stać się miało ogniskiem nauk, *emporium scientiarum et litterarum* na Litwę całą. Otwartemi rękami przyjął przejezdnych administrator poznańskiej dyecezyi, sufragan Szedziński, biskup bowiem Konarski zajęty był na usłudze dla króla IMCI i Rzpltej; przyjęła kapituła, zwłaszcza równie biegły teolog jak gorliwy kaznodzieja, kanonik Benedykt Herbest. W gościnności nie dał się prześcignąć i wojewoda poznański, Łukasz Górka, „głowa heretyków wielkopolskich". Ku niemałemu zdziwieniu wszystkich zaprosił obydwóch Ojców do swej willi na obiad, na którym znaleźli się wybitniejsi heretycy miasta. „Gdyby pan ten — pisał potem Maggio — tyle miał prawdziwej wiary, ile uprzejmości i grzeczności z natury posiada, to godzien, aby na wyścigi wszyscy go pokochali". Oczarowany polską wielkopańską gościnnością wojewody, nie zaniedbał O. Maggio podczas stołu poruszyć żywotnej w owe

[1] Wyjątek z obszernej czterotomowej pracy p. t.: „Jezuici w Polsce", którą przygotowuje się do druku.

czasy kwestyi religijno-kościelnej; nawrócić wojewodę nie miał nadziei, ale zjednać go sobie i katolikom szczerą miał ochotę. Tymczasem rozeszła się po mieście wieść o przybyciu Ojców. Katolicy, którzy i w magistracie i radzie miejskiej gęsto zasiadali, powzięli myśl, aby tych gości z miasta nie wypuścić, stałą im siedzibę i sposób do życia opatrzyć, a ich pracy i pomocy użyć do ratowania katolickiej sprawy, zagrożonej przez różnowierców. Więc już i pieniądze na fundacyę jezuickiego domu zbierać poczęli. Z trudnością zdołał ich przekonać O. Maggio, że rozkazy jenerała i biskupa naglą ich do spiesznego do Wilna wyjazdu, upewniał wszelako, że byle w swych zamiarach wytrwali, on dołoży wszelkich starań, aby kilku Ojców dla pociechy i pomocy na stały pobyt im przysłać. Uspokojeni tą obietnicą, uchwalili na pełnej radzie miasta, uroczystem poselstwem pożegnać Ojców, prosić o jak najprędszy powrót, a na dalszą podróż ofiarowali znaczną kwotę pieniędzy. Na wspaniałą oracyę wysłanników miasta odpowiedział równie piękną mową O. Maggio, dziękując za iście złote serca, ale odmawiając przyjęcia złota samego. Markotno to było zacnym obywatelom, więc po cichu do wozu podróżnego i one pieniądze i inne dary wsunęli [1].

Nie długo czekać było na to powtórne na stały pobyt przybycie Ojców. Nam jednak pilno rozpatrzeć się pierwej w mieście, które ich tak uprzejmie w swe mury zapraszało.

Prastare to przedchrześcijańskie miasto, przebudowane przez Przemysława I., rozłożone po obojej stronie Warty, rozległe przedmieściami, stolicą było książąt polskich, a potem wielkopolskich, siedzibą biskupów i warownym drewnianym grodem. Kazimierz W. zamienił go w gród murowany, z zamkiem obronnym na wzgórzu nad lewym brzegiem rzeki. Jagiellonowie, zwłaszcza Władysław i Zygmunt I., i biskupi poznańscy, przez długi czas panowie prawej strony miasta (późniejsze Chwaliszewo), biskupim Poznaniem zwanej, zatwierdzili dawne przywileje Przemysława i Kazimierza, nadali nowe rozległe przywileje na pobór cła, składy towarów i jarmarki, uwolnili od wielu

[1] Rostowski, *Lith. Soc. Jesu historiarum,* liber I, str. 36, 37.

opłat i danin, ułatwiając przez to rozwój prowadzonego handlu z Hanzą i dobrobytu miasta. Kościół katedralny, fundowany przez Mieczysława I. 966 r., siedm kościołów parafialnych z kolegiatą, pięć kościołów ze szpitalami, klasztory OO. Dominikanów i Dominikanek, które pobożność książąt wielkopolskich, królów polskich, biskupów i obywateli poznańskich w ciągu półtysiąca lat dźwignęła, zdobiły gród Przemysławów, skupiało się w nich i potęgowało religijne życie rdzennie katolickich mieszkańców.

Zamożny stan mieszczański, kupcy i rzemieślnicy należeli przeważnie do narodowości szkockiej i niemieckiej; miasto też całe, rządzące się od czasów Przemysława I. prawem magdeburskiem, niemieckim zwyczajem i obyczajem pobudowane i urządzone, zachowało długo fizyonomię niemieckiego raczej, jak polskiego miasta, a znów częste zjazdy książąt i królów w sprawach państwowych, szlachty na koła rycerskie, sądy i jarmarki, okazałe, ludne i rojne dworce wojewody, kasztelana, starosty-jenerała wielkopolskiego i innych bogatszych panów, wielkie składy, magazyny i sklepy kupieckie nadawały mu charakter stolicy.

Nie brakło i na zakładach naukowych. Zdaje się, że już w X. wieku istniała tu szkoła katedralna; od r. 1302 szkoła parafialna[1]; od r. 1519 kolegium czyli *atheneum*, szkoła wyższa biskupa pozn. Lubrańskiego, kwitnąca doborem profesorów i uczniów przez lat kilkadziesiąt, potem podupadła bardzo i znów podniosła się z początkiem XVII. wieku dźwignięta hojnością biskupa sufragana kujawskiego, Jana Rozdrażewskiego.

Takim był Poznań aż do czasów reformacyi[2].

---

[1] Dr. Karbowiak, „Szkoły parafialne w Polsce", str. 66.

[2] Pierwotny Poznań, gródek drewniany leżał nad rzeczką Cybiną i prawym brzegiem Warty. Przemysław I. przeniósł go na oboją stronę Warty. Lewa część miasta należała do książąt, prawa do biskupów. Poznań książęcy otoczył Przemysław wałem, palisadą, wzmocnił zamkiem drewnianym; kościoły i domy prawie wszystkie drewniane, ratusz tylko gotycki murowany. Kazimierz W. opasał miasto wysokim murem i basztami, wzniósł zamek z kamienia i cegły, i oprócz sądów grodzkich, umieścił w nim sąd apelacyjny miejski z 6 ławników złożony. Po wielkim pożarze 1536 r.

Dzięki właśnie tej przewadze elementu niemieckiego i bliskości z Prusami, Poznań już 1520 r. zarażony był błędami Lutra. Głosił je kaznodzieja katedralny, Dominikanin Samuel, a wnet po nim 1525 r. niemiecki kaznodzieja przy kościele św. Magdaleny, bakałarz św. teologii, ksiądz Jan Seklucyan, rodem z Bydgoszczy. Na dworze jenerała wielkopolskiego, Andrzeja Górki, „głowy heretyków“, rezydował ksiądz Jan z Koźmina, pedagog trzech synów wojewody: Łukasza, Andrzeja i Stanisława, gorliwy apostoł luteranizmu. Profesor szkoły Lubrańskiego, Krzysztof Endorfin, sławny filolog, sprowadzony przez biskupa Latalskiego z Lipska 1530 r. do Polski, zaraził luteranizmem wszystką niemal starszą młodzież tej szkoły. Handlowe stosunki kupców poznańskich, przeważnie Niemców i Szkotów, z zlutrzałemi miastami Hanzy, z Prusami i Ślązkiem ułatwiały szerzenie się luteranizmu w mieście. Wnet zjawił się i kalwinizm. Głosił go z ambony proboszcz kościoła św. Jana w Poznaniu, Andrzej Prażmowski już koło 1545 r.; wygnany, apostołował go na Kujawach, założył dlań szkołę i seminaryum w Radziejowie. W kilka lat potem przybłędy z Czech, Bracia Czescy, wznawiający herezyę Waldensów, rozsiadają się po przedmieściach Poznania, mają tam swe zbory, polski i niemiecki, w których kazania prawi herszt sekty, Jerzy Izrael. Na domiar zamętu wcisnął się koło 1558 r. do Poznania aryanizm, rozdwoił kalwinów, zaniepokoił lutrów i Braci Czeskich. Więc postanowili łączyć się przeciw wtrętowi i w tym celu zwołują synody do Poznania. Na jednym z nich 1560 r. Bracia Czescy radzą

odbudowano kościoły i domy z kamienia i cegły i pokryto dachówką. Ratusz przebudowany 1514 r., po pożarze 1536 r. rozszerzono i odbudowano w stylu renesansu, pod kierunkiem Włocha architekta Jana Babtysty. Misterna jego wieża uległa kilkakrotnie spaleniu od piorunu i zniszczeniu od Szwedów, przebudowana ostatecznie wraz z ratuszem 1783 r. Złota epoka materyalnego dobrobytu miasta trwała długo, bo od Kazimierza W. do wojen szwedzkich za Jana Kazimierza. Reformacya jak burza przeszła nad niem, wyrządziła znaczne szkody w szeregach katolickich. Magistrat wszelako pozostał, dzięki czujności biskupów poznańskich: Izbińskiego, Czarnkowskiego i Konarskiego, zawsze katolickim, a już w pierwszych dziesiątkach XVII. wieku miasto całe nosiło cechę katolickiego, pobożnego grodu. (Baliński, „Starożytna Polska“ I, 56—65).

nad unią z lutrami, kłócą się i rozjeżdżają w nienawiści. Na innym znów, także w Poznaniu 1565 r., łączą się z kalwinami, na trzecim 1567 r. dobijają zgody z lutrami. Ci zaś z swej strony odbywają synod w Poznaniu 1570 r., jako przygotowanie do jeneralnego synodu różnowierców w Sandomierzu [1]. Roiło się więc od heretyków w Poznaniu, a wielkopolscy dygnitarze i pany, jak: Górkowie, Leszczyński, Ostroróg, Łaski, Zborowski, Tomicki, Opaliński pootwierali im zbory, szkoły i drukarnie, pomimo oporu biskupów Izbińskiego i Czarnkowskiego, pomimo żarliwych kazań kanonika Benedykta Herbesta. Był już najwyższy czas położyć tamę tej gospodarce; — tą tamą mieli być Jezuici.

Podczas morowej zarazy w Pułtusku 1571 r. O. Wujek, kaznodzieja tamtejszy, schronił się do rodzinnego Wągrowca. Dowiedzą się o tem żarliwy kanonik-kaznodzieja poznański, Benedykt Herbest, i biskup sufragan poznański, Szedziński, i zaproszą go ze słowem bożem do Poznania. Głosił je często w kolegiacie i innych kościołach wobec zaciekawionych nowością, a wnet i zachwyconych pięknością dykcyi i jasnością wywodów licznych słuchaczy. Słuchali go chętnie i heretycy, bo nie napadał na nich, ani wyzywał, jeno spokojnie a z godnością prawdę przedstawiał. Uradowany tem Herbest zatrzymał czas dłuższy Jezuitę, pragnął zatrzymać na stałe i w porozumieniu z kapi-

---

[1] Pod d. 1 paźdz. 1565 donosi legat Commendone kardynałowi sekretarzowi stanu Karolowi Boromeuszowi: „Zagnieździły się tu w Poznaniu dwie sekty odszczepieńców: jedna z kupców i rzemieślników niemieckich, luterska; ci zbierają się w domu kasztelana gnieźnieńskiego (Jana Tomickiego) wolnym od jurysdykcyi miejskiej. Druga jest Pikardów albo Waldensów (Braci czeskich), którzy wygnani z Czech, znaleźli przez niedbalstwo biskupów poznańskich przytułek w wielu wsiach i miastach okolicznych, skąd przez podobnąż obojętność i brak gorliwości biskupów przed dziesięciu laty wcisnęli się ci nikczemni ludzie do Poznania. Głównym ich przewódcą, pan Ostroróg. Ten starał się tu kilkakrotnie o nabycie jakiego domu dla zbudowania dla nich zboru, lecz miasto żwawo się temu oparło i król w żaden sposób nie chciał na to pozwolić. Do tej sekty Pikardów należał w roku przeszłym rzeczony kasztelan gnieźnieński, Tomicki, lecz wyklęty został przez nich za sympatye z Lutrami... Między temi dwiema sektami Lutrów i Pikardów wrą ciągłe kłótnie i niezgody". („Listy Commendoniego II, 291).

tułą roczną mu pensyę wyznaczał, ale posłuszeństwo wzywało go gdzieindziej. Z żalem jego i katolików, jak rok przedtem Warszewicki do Wilna, tak teraz Wujek odjechał do Pułtuska, gdzie mór już mniej się srożył.

Tymczasem losy kolegium poznańskiego rozgrywały się gdzieindziej. Jeszcze 1560 r. podczas sejmu warszawskiego nuncyusz Portici, wielbiciel Jezuitów, namawiał biskupa pozn. Konarskiego, gdy ten przed nim rozwodził żale na zuchwalstwo heretyków, zwłaszcza Łukasza Górki, który w pałacu swym zbór protestancki otworzył, i na brak uczonych kaznodziei w Poznaniu, aby zawezwał tam Jezuitów. Podobała się biskupowi rada, dowiedziawszy się więc, że prowincyał Maggio z wice-prowincyałem Sunnerem (w grudniu 1570 r.) bawią w Pułtusku, wystosował do nich list z prośbą, aby przybyli do Warszawy. Nie zważając na pękające lody na Wiśle, przybyli obydwaj. W piątkę, bo do narady zaproszono nuncyusza i podkanclerzego kor., Krasińskiego, postanowili fundacyę kolegium jezuickiego w Poznaniu. Dnia 13 grudnia spisano w nuncyaturze akt fundacyjny; na tymczasowe utrzymanie 30 Jezuitów przeznaczał biskup 1.000 czerw. złp. rocznie. Wnet 1571 r. wypadło biskupowi Konarskiemu posłować od króla Zygmunta u cesarza Maksymiliana w Wiedniu w nieszczęsnej sprawie rozwodu. Spotkał tam O. Maggio, prezydującego kongregacyi prowincyonalnej, na której było kilkunastu profesorów z Brunsbergi, Pułtuska i Wilna. Natrze więc na niego i błaga, aby co tchu otwierał kolegium w Poznaniu, gdzie już rozkazy wydane i wszystko do przyjęcia Ojców gotowe. Nareszcie więc 27 czerwca 1572 r. przybyli do Poznania OO. Jakób Wujek, Szymon Wysocki[1], dwaj *magistri*

[1] O. Jakób Wujek, syn mieszczańskiej rodziny z Wągrowca, słuchał filozoficznych nauk na akademii krakowskiej i zyskał 1559 r. stopień magistra. Dziełami Hozyusza w katolicyzmie utwierdzony, kończył teologiczne studya rozpoczęte w Wiedniu, w Rzymie *in collegio romano*. R. 1565 widzimy go w nowicyacie rzymskim jezuickim, a następnie profesorem matematyki w kolegium rzymskiem. R. 1570 wraca do Polski na kaznodzieję do Pułtuska.

Szymon Wysocki ur. na Pokuciu 1542 r., we Lwowie wstąpił do stanu duchownego, był już dyakonem, przyjacielem kanonika Piotra Skargi,

gramatyki, i przepisywacze kazań O. Wujka: Zygmunt Budziński i Piotr Szydłowski i trzej bracia. Późnym wieczorem stanęli w pałacu biskupim. Nazajutrz magistrat i rada miasta witają ich oracyą; między rajcami byli trzej otwarci przyjaciele Jezuitów: Piotrowski, Brzezicki i Grodzicki, ojciec Jezuity. Odpowiedziano im równie szumną a czułą mową; a że to był dzień uroczysty św. ap. Piotra i Pawła, więc z polecenia biskupa sufragana Szedzińskiego, wejdzie znany już Poznańczykom O. Wujek na ambonę w kolegiacie św. Maryi Magdaleny, przepełnionej ludem, i oznajmi wesołą nowinę; wnet zapalono na głównym ołtarzu świece, uderzono we dzwony i pełną piersią huknięto *Te Deum*. Po tem uroczystem obwieszczeniu miastu o przybyciu w jego mury Jezuitów, wprowadził ich biskup sufragan do kamienicy w pobliżu katedralnego kościoła, która miała im służyć za kolegium. Nie nadawało się Ojcom to miejsce, jako zbyt oddalone od środka miasta, obrali sobie więc za pozwoleniem biskupa Konarskiego kąt ciasny przy samych murach miejskich cuchnący, bo główny kanał tamtędy przeprowadzony, ale za to w tym kąciku tuliły się dwa kościółki: św. Gertrudy, założony wraz z szpitalem 1456 r. przez Gertrudę Pelstel, zamożną mieszczkę, i św. Stanisława, fundowany przez biskupa Lubrańskiego 1518 r., oddany potem 1534 r. przez biskupa Jana Latalskiego ks. Mansyonarzom z szkołą i szpitalem dla chorych księży. Bliziutko widniał parafialny kościół św. Maryi Magdaleny, po którym dzisiaj i od dawna już tylko plac pusty pozostał [1]. Biskup Konarski

gdy uczuł w sobie powołanie do zakonu Jezuitów. Udał się więc 1569 r. do nowicyatu w Rzymie, tam też ukończył studya teologiczne i wyświęcony na kapłana powrócił do Polski na pierwszą pracę do Poznania.

[1] Założony 1263 r. po pożarze 1447 r. odbudowany wspanialej w stylu gotyckim 1471 r. przez biskupa poznańskiego Jana Bnińskiego i zamieniony na kolegiatę; było w nim 22 kaplic, 50 ołtarzy; długi 115 łokci, szeroki 70 łokci; stał tam, gdzie dziś nowy rynek. Spalony przez Szwedów 1657 r., odbudowany, zgorzał powtórnie 1780 r. Odrestaurowano go, ale gdy zachciało się komuś w głównym filarze wyciąć wewnętrzne schody na ambonę, osłabił się filar, runął, pociągnął zarysowanie się sklepień. Zamiast dać nowe, przeniesiono parafię do kościoła pojezuickiego św. Stanisława biskupa, a kolegiatę powoli rozebrano. Wieża jej była najwyższą w Poznaniu. (Łukaszewicz, „Opis kościołów dyec. poznańsk.“, I, 80).

nakłonił miasto, iż Jezuitom rzeczone kościoły z budynkami i placami na wieczne czasy darowało [1], a otrzymawszy potrzebne *facultates* z Rzymu, przenieść polecił ks. Mansyonarzy do kaplicy św. Ducha. Oni jednak ustąpić dawnej swej sadyby przy św. Stanisławie nie mieli ochoty. Więc tylko w domku przy kaplicy św. Gertrudy umieścili się Ojcowie i rozpoczęli kapłańskie swe prace. O. Wujek był pierwszym rektorem tej nowej osady [2].

W grudniu 1571 r. powraca biskup Konarski z legacyi wiedeńskiej. Po długich między nim a ks. Mansyonarzami układach, stanęło na tem, że prepozyt ich otrzymał opuszczony kościół WW. Świętych na przedmieściu Gaski (dziś tam szkoła ludowa); ks. Mansyonarzom zaś wybudowany zostanie kosztem miasta — uchwałę tę przeparł na radzie miejskiej burmistrz Skrzetuski — dom mieszkalny i szkoła. Dopiero 1573 r. objęli Jezuici dom i kościółek św. Stanisława. Tymczasem pracowali w kościółku św. Gertrudy, dali pierwszą w Wielkopolsce ludową misyę przez dni kilka w opactwie Wągrowieckiem (z końcem lipca 1571 r.), mówili kazania świąteczne, a potem i niedzielne w kolegiacie św. Magdaleny, przybyła im bowiem pomoc dzielna w O. Herbeście, który świeżo co z rzymskiego powrócił nowicyatu.

Wypadało złożyć swe uszanowanie i ofiarować swe służby prymasowi Uchańskiemu w Łowiczu. Przyjął ich dobrze. Podczas obiadu kanonik Iławski z podszeptu snać prymasa wszczął kwestyę o prymacyalnej władzy papieża, o której, jak powszechnie było wiadomo, prymas protestanckie nieco miał pojęcia. Podjęli ją Ojcowie; przez dwa obiady toczyła się poważna dyskusya, do której prymas, jako nietęgi teolog, nie mieszał się wcale, wyręczając się Iławskim, ale przysłuchiwał się z uwagą i w końcu przyznał, że wiele niejasnych punktów teraz stało mu się zrozumiałymi.

---

[1] Akt tej darowizny przytacza Łukaszewicz, „Obraz miasta Poznania", t. II, 150.

[2] Rektorowie kolegium poznańskiego od r. 1571—1608: Jakób Wujek 1571—1578, Jan Konar 1579—1593, Stan. Grodzicki 1594—1597, Jan Konar 1598—1602, Marcin Śmiglecki 1603—1607, Stan. Gawroński 1608—1613.

Na sesyi kapitulnej 13 lipca 1572 r. rozstrzygała się sprawa fundacyi kolegium. Biskup przeznaczał na nią cztery wsie: Zemsko, Kiełczewo, Tokarki, Bochlewo, z dóbr stołu biskupiego; uchwała za fundacyą przeszła większością jednego głosu tylko; połowa prawie kapituły była jej przeciwną[1]. Warowała przy tem kapituła całość i bezpieczeństwo szkoły katedralnej wobec nowych szkół jezuickich, aby nie zabrakło kantorów w katedrze. W razie gdyby Jezuici opuścili Poznań, dobra wracają do dóbr

[1] Z biegiem lat oprócz 4 powyższych, następujące dobra stanowiły fundacyę kolegium poznańskiego:

Słupia pod Bukiem i Januszewice; nadał je z dóbr biskupich Łukasz Kościelecki 1579 r., jako fundacyę na seminaryum dyecezalne; odebrano je 1614 r.

Piekary kupił za 5.000 złp. prymas Karnkowski i nadał kol. poznan. 1592 r. Przedtem jeszcze 1585 darował swą bibliotekę.

1584. Opat wągrowiecki, Wojciech Zajączkowski, nadał wieś Legniszewo.

Siekierki Kościelne z domem misyjnym i Nagradów kupili Jezuici od wojewodziny łęczyckiej, Katarzyny Czarnkowskiej, w czem im dopomógł biskup Karnkowski ofiarą 1000 złp.

1601. Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, z lutra gorliwy katolik, nadał wieś Piotrowo wartości 8.000 złp., z obowiązkiem płacenia 110 złp. rocznie na altarzystę w Środzie.

1615. Gowarzewo nadał prałat Wydzierzewski.

Mechlin z domem misyjnym.

1620. Dobra Krzeszkowice i Koźle nabyli Jezuici za 28.000 złp. od wojewody poznańskiego, Opalińskiego.

Do nich też należały: Jeziorki, Łucin, Bielawy, Dąbrowa, Dembiki albo Dębiny, Krzesin, na które dała 6.500 złp. panna Anna Petruszewna 1603 i 1609 r.

Folwark Koleje, dobra Przykory, Rusiborz, Łuk, na których kupno biskup poznański Adalb. Tolibowski († 1663) legował sumę 10.000 złp. Tenże darował swą bibliotekę.

1622. O. Stanisław Szczytnicki († 1667) darował całe swe dziedzictwo po matce: Wydzierzawice i Nagrodowice.

Znacznym dobrodziejem kolegium pozn. był Hieronim Krasicki, prepozyt przemyski.

Kamienic w mieście posiadało kolegium sześć: Pogorzelską, Walentynowską albo Domiechowską, Gaskowską, Gieroszowską i dwie Rybskich, oprócz tego dwa domy, nowe ogrody, drukarnię i aptekę.

Kapitały lokowane były na dobrach i na synagogach w Poznaniu, Lesznie i Pyzdrach. (Mskrpt. Biblioteki Jagiel. nr. 5198, *Annales Collegii Posnaniensis*. Notatki O. Walla).

stołu biskupiego, inne zaś dobra pojezuickie obrócone być miały na edukacyę młodzieży [1].

Były to już czasy niespokojne pierwszego bezkrólewia. Heretycy, jak wszędzie, tak i w Poznaniu podnieśli głowę. Kasztelan gnieźnieński, Jan Tomicki, luteranin, z swymi ministrami przezywał Jezuitów *turbatores regni*, wichrzycielami Rzpltej; dokuczali i inni. Nawet zacny sufragan na jakiemś kazaniu szarpnął Jezuitów, potem przepraszał, tłumacząc się, że uległ podjudzaniom innych. Niebawem w sierpniu tego roku umarł dotknięty zarazą, znaczny swój księgozbiór przekazawszy Jezuitom.

Podczas onej zarazy, która w lecie 1572 r. dziesiątkowała Poznań, Ojcowie nietylko zostali na posłudze zadżumionym, ale z jałmużn zebranych przez OO. Wujka i Wysockiego zakupiono dom z kapliczką i ogrodem i urządzono w nim szpital św. Łazarza dla „zapowietrzonych". Mór zabijał i panów: kasztelana łęczyckiego, Wojciecha Przyjemskiego i kasztelana kruszwickiego, Oporowskiego. Jezuici przygotowali ich na śmierć, na egzekwiach mówili żałobne oracye, którym przysłuchiwali się patronowie herezyj, Łukasz Górka, Tomicki i inne pany i ministry z wytężoną uwagą. Śmierć zaglądająca w oczy zarazą i żarliwe Ojców kazania sprawiły, że w tym jeszcze 1572 r. dwunastu lutrów powróciło na łono kościoła katolickiego, między nimi luterski pastor w Rydzynie, Walenty Jungan, i predykant anabaptystów, nie wymieniony bliżej. Co czasu zostało od ambony i konfesyonału, obracali na odwiedzanie ubogich i chorych. O. Wujek z natchnienia biskupa Karnkowskiego pisał swoje „Postylle", czyli wykład św. ewangelij, a na prośby nuncyusza dziełko: „O ofierze mszy św." przeciw aryaninowi Stankarowi.

Pod jesień, gdy zaraza nieco zwolniła, rozpoczęli Ojcowie

Dochód czysty z dóbr i kapitałów wynosił:

R. 1599 złp. 3.100, r. 1640 wynosił 16.000 złp.

R. 1749 czysty dochód 34.051 złp. mianowicie z dóbr 35.363 z kapitałów 144.883 złp., procent 7.475, z placów 1.213, ciężary 10.000 złp.

R. 1770 dochód czysty 36.453 złp. mianowicie: z dóbr 33.591 złp., z kapit. 7.387, ciężary 4.525 złp. (*Archiv. Prov. pol. S. J. Stat. Temp. Col. Posn.*).

[1] Zatwierdził tę fundacyę król Henryk 12 kwietnia 1574 r. Rektor O. Wujek oblatował zatwierdzenie w aktach kapitulnych 1575.

przy pomocy kilku życzliwych obywateli, jak Hieronim Powodowski, Grodzicki, ojciec Jezuity, i pań dobroczynnych, jak Kowalska, panna Anna Petruszewna (dała od 1590—1609 r. sumę 15.723 złp.), Urszula Michalini z córką i inne, budowę nowego kolegium na placach, nabytych 19 lipca przez biskupa. Spieszyli snać z nią, skoro już 25 czerwca następnego roku obchodzili w nowej okazałej auli uroczyste otwarcie szkół poznańskich [1]. Dotąd bowiem w starym domu uczono jakby prywatnie, dorywczo, gramatyki, nawet sławny teolog legata Commendoniego, O. Toletus, miewał tam czas jakiś wykłady; teraz rozpoczęto

---

[1] Biskup swym kosztem wybudował kilka klas i dwie sale *(hipocausta)*, resztę budowali Jezuici na miejscu rozebranego kościółka św. Gertrudy, szpitalu i szkoły. Budowę prowadził zrazu architekt biskupi, potem braciszek Jan Maria Bernardoni, który też kościół św. Stanisława męczennika i biskupa o trzy razy tyle, *triplex major,* rozszerzył. Sufragan poznański Brzeźnicki konsekrował powiększony w ten sposób kościół 1592 r. Wszelako nowe to kolegium pomieścić mogło zaledwie 30 Ojców, a ich mieszkało w Poznaniu już 1615 r. aż 60, więc druga ich połowa „mieścić się musiała na poddaszu i w chałupkach dla myszy raczej, jak dla ludzi, sposobniejszych". (*Ep. Argenti ad Sig.* III. 16). A więc rektor Bembus za pośrednictwem samego króla Zygmunta III. zawarł z miastem dwa układy. Pierwszym r. 1622 miasto ustępuje Jezuitom dużego placu rozciągającego się pod same mury miejskie na wschód i południe od kolegium, Jezuici zaś obowiązują się wystawić basztę, wymurować kanał miejski przez ich teren idący, i utrzymać w dobrym stanie mur miejski przytykający do ich ogrodu i kolegium. Drugim układem 1625 r. miasto sprzedaje Jezuitom plac poza kościołem św. Stanisława, na którym stała baszta bractwa handlarzy śledzi, z tym warunkiem, że wybudują bractwu śledziowemu inną basztę, nieco ku wrocławskiej bramie posuniętą. Tym drugim układem zyskali Jezuici uliczkę *(plateolam)* 60 łokci długą 24 łokcie szeroką. Na tych placach powiększyli gmach kolegium i założyli ogród. Wreszcie 1650 r. rektor Zaranek uzyskawszy pozwolenie królewskie zakupił przyległe do kolegium domy i browar, pomimo że zrazu opierało się temu miasto. Domki zburzono i 1651 r. rozpoczęto budowę nowego, wspaniałego kościoła, do której plan podał i nią kierował biegły matematyk O. Bartłomiej Wąsowski. Poświęcenia kamienia węgielnego dokonał biskup Czartoryski 15 maja 1651 r. Budowę dla wojen szwedzkich przerwaną, prowadzono powoli, ukończono ją dopiero 1701 r., a biskup Wierzbowski poświęcił bazylikę 27 września 1705 r. W stylu rzymskich bazylik XVII. wieku, wewnątrz cała mozajkowana z ołtarzami stylu *barocco,* miała dawniej piękną kopułę, którą po kasacie Jezuitów zdjęto z obawy zawalenia się, bo kosztów na naprawę nie miał kto łożyć. W grobach kościoła pod kaplicą Matki Boskiej Gostyńskiej

systematyczny cykl nauk humanitarnych. Biskup Konarski wybrany przez sejm elekcyjny na prezydenta legacyi po Henryka Walezego, zaprosił na ten akt swoich towarzyszy legacyi, Łukasza Górkę i Tomickiego, znanych patronów herezyi. Oni naradzali się długo, ażali przyjąć zaproszenie — przybyli jednak do kolegium. Witał ich łacińską mową profesor retoryki O. Gerard Lapidanus (Stein), witali studenci, wprowadzili potem do auli. Jakoś jednak nieswojsko było tym panom, bo wnet się wynieśli. Pozostali za to inni zacni goście — połowa miasta, jak opo-

spoczywają zwłoki czcig. O. Kaspra Drużbickiego † 1662. Portret jego i nagrobek zarazem w tejże kaplicy przy wnijściu do skarbca.

Wybudowawszy kościół, zabrali się Jezuici do zupełnego przebudowania gmachu kolegium. Trwało to lat kilkanaście. Wprowadzili się doń 14 października 1733 pod rektoratem O. Naramowskiego. Gmach ten składał się z linii środkowej i dwóch pawilonów zupełnie równych, z których prawy przytykał do kościoła. Ale i tak rozszerzony gmach okazał się za ciasny. Więc za rektorstwa O. Wojciecha Bystrzanowskiego (1745 1752) przedłużono pawilon lewy jeszcze raz tyle, na dole umieszczono aptekę, na górnych piętrach księgozbiór, liczący kilkanaście tysięcy tomów, gabinety fizyki i historyi naturalnej i obserwatoryum astronomiczne. U wejścia na dziedziniec wystawiono wieżę z zegarem, a z obydwóch jej stron mieszkania dla służby i sale gościnne czyli rozmownice. Place pod kolegium tworzą czworobok 205 łokci długi 148 łokci szeroki; linia gmachu środkowa liczy 190 łokci, pawilon prawy 55 łokci, lewy 132 łokcie, obydwa łączą się z głównym gmachem bezpośrednio pod kątem prostym. Parter całego gmachu składał się z jednego rzędu izb, dających okna na ulicę, zaś od dziedzińca był otworzysty szeroki korytarz pod filarami, portyk okazały sklepiony. Oprócz parteru trzy piętra; pierwsze wysokie o wielkich obszernych komnatach, dwa drugie niższe. Schody główne w samym środku gmachu, szerokie i widne, idą przez wszystkie trzy piętra. W miejscu, gdzie prawy pawilon przytyka do kościoła, jest brama na wylot domu prowadząca na podwórze obszerne, bo ciągnące się aż do bramy wrocławskiej wzdłuż murów miejskich. Tu były stajnie, wozownie, kuźnie, młyn konny, browar, suszarnia, dom czeladni i oficyny z drukarnią. Na budowę kościoła i gmachów wyłożono dwa miliony złp.; wszystko to razem przedstawia się wspaniale, imponująco i świadczy dobrze o animuszu tych, którzy na przepaściach, topielach i wertepach gmachy te stworzyli. Po kasacie zakonu 1773 r. komisya edukacyjna umieściła tu szkołę narodową, resztę gmachów wydzierżawiono albo stała pustką. Rząd pruski zająwszy Poznań, umieścił tu rejencyę księstwa poznańskiego. Kościół służył za kaplicę szkolną, czas jakiś stał zamknięty, wreszcie około r. 1820 zamieniony na kościół parafialny i jest nim po dziś dzień. (Łukaszewicz, „Opis hist. kościołów w dawnej dyecezyi poznańskiej“, I, 124—132).

wiada kronikarz, przysłuchując się z podziwem mowom i wierszom łacińskim, greckim i polskim, mianym częścią przez profesorów, częścią przez uczniów.

Wyszli późnym wieczorem z tego *consessu academico*, wynosząc podziw dla nowej szkoły. Wnet zjechali do Poznania towarzysz legacyi francuskiej, wojewoda Radziwiłł Rudy, kalwin, protektor schyzmy greckiej, książe Konstanty Ostrogski, odwiedzający chorą na umyśle siostrę swą nieszczęśliwą, Halszkę i francuski poseł Montluc, wracający do Paryża; wszyscy oni zwiedzali kolegium, rozmawiali wiele z Ojcami, przysłuchiwali się wykładom szkolnym, które zakończono w wrześniu, a po feryach świętomichalskich otwarto rok nowy szkolny 6 października dysputą teologiczną.

W Poznaniu miały te dysputy swą doniosłość praktyczną. Wielu wykształconych za granicą ministrów rezydowało w mieście i po dworach pańskich, a nawet między tłumem luterskim słynęli nauką lekarze Niger (Schwarz) i Polej. Obalić ich powagę, zawstydzić ich pychę znaczyło to odjąć herezyi walną podporę. Więc za temat październikowej dysputy obrano tezy „o czci świętych i o usprawiedliwieniu“, które ogłoszono przybiciem na drzwiach kościołów. Stanęli do walki Niger i Polejus, bronił tez rzymski teolog, O. Piotr Viana, przejeżdżający przez Poznań do Brunsbergi na profesora teologii. Przysłuchiwał się dyspucie cały wykształcony Poznań i okolica, nawet Stanisław Górka, brat Łukasza, przez otwarte okno chciał być świadkiem dysputy, bo wejść do auli nie miał odwagi. Wrażenie było niesłychane; Niger i Polej przyparci wywodami O. Viany do muru, zamilkli. Więc zaanimowani powodzeniem Jezuici, wezwali heretyków na drugą dysputę w listopadzie, ale już nikt z ministrów nie stanął w szranki, tylko dwaj czy trzej Jezuici przyjęli na siebie rolę heretyckich oponentów, ale i na tej fikcyjnej dyspucie audytoryum katolików zarówno jak heretyków było bardzo liczne. Równie świetnie wypadło rozdanie nagród, nazajutrz po pierwszej dyspucie (7 paźdz. 1573) za rok ubiegły, i dyalogi z tej okazyi. Zacnych domów panicze i przyszli biskupi, jak Piotr Czarnkowski, Jędrzej Przyjemski, Marcin Szyszkowski,

Wawrzyniec Gębicki i wielu, wielu innych do tych szkół się zapisało. Na Boże Narodzenie urządzili studenci jezuiccy dyalog sceniczny o tej tajemnicy w kościele św. Magdaleny. Ścisk i zgiełk widzów poczytano im za profanacyę miejsca świętego, kler świecki mruczał, proboszcz Maciej Walon, akademik niedawno krakowski, korzystając z tego odebrał Jezuitom ambonę, ale mieszczanie podali suplikę do biskupa, a ten Jezuitom ambonę św. Magdaleny przywrócić kazał.

Ciekawy był stosunek Łukasza i Stanisława Górków do Jezuitów. Jako zagorzali heretycy kochać ich nie mogli, ale poważali wielce, a nawet niektóre dowody życzliwości złożyli. Wojewoda poznański, Łukasz rad ich odwiedzał, rozprawiał, dysputował z nimi, imponowali mu nauką a skromnością. Cenił przedewszystkiem rozmowę z O. Konariuszem (Konarem). Zdarzyło się, że właśnie gdy wojewoda z ministrami konferencyę religijną na zamku szamotulskim odbywał, zjechał tam, nie wiem już w jakiej sprawie, O. Konar. Wojewoda natychmiast przerwał naradę, ministrów pożegnał, a Jezuitę przyjął uprzejmie, zatrzymał na wieczerzę i komorę tuż obok siebie na nocleg przeznaczył.

Umierając 23 stycznia 1573 r. kazał O. Konara przywołać do siebie, nie dopuścili ministrowie; umarł lutrem. Chciano mu pogrzeb wyprawić *more maiorum* w katedrze, biskup z kapitułą oparli się temu. Pochowano go więc w Szamotułach, a potem przewieziono kości do nowej kaplicy w Kurniku; ma on tam po dziś dzień swój pomnik.

Brat jego Stanisław taką pogardą zionął do wiary kat., że z sreber kościoła szamotulskiego kazał porobić dla psów, w których się kochał, obróże a na nich wyrytować kielichy i patyny. To mu jednak nie przeszkadzało, że równie jak Łukasz okazywał się przyjacielskim dla Jezuitów, raz nawet na odpust św. Stanisława Kostki (13 list. 1575) posłał im w darze beczułkę wybornego wina [1].

---

[1] Niesiecki, IV, 206—209. Wszyscy trzej Górkowie zeszli bezpotomnie, ciężyła na nich klątwa ich dziada stryjecznego, biskupa pozn. Ulryka Górki.

Prace Jezuitów rozciągały się i poza Poznań; słynęli zwłaszcza jako wyborni kaznodzieje, zapraszano ich też z mowami żałobnemi; tak O. Konar prawił 1573 r. w Stanisinie na pogrzebie Jędrzeja Rozdrażewskiego, w Gnieźnie na pogrzebie Jerzego Latalskiego z Dębicy.

Tymczasem król Henryk Walezy zdążał leniwo do Polski. Dnia 23 stycznia 1574 r. zatrzymał się w Poznaniu, zwiedzał między innemi i kolegium. Witali go studenci u bramy i w auli ozdobionej przeźroczami, oracyą i śpiewem[1]. Nazajutrz wiceprowincyał Sunner z rektorem Wujkiem złożyli królowi swe homagium, polecali zakon, ofiarowali w darze pięknie oprawny egzemplarz Postylli. Podczas sumy w katedrze kazał O. Wujek, król nie przybył, ale dwór jego wszystek i cały Poznań byli na nabożeństwie.

W maju t. r. odbyła się w auli kolegium dysputa religijna, w gronie jak zwykle bardzo licznem; przysłuchiwali się jej i heretycy, między nimi owi dwaj lekarze Niger i Polej i Jan Ostroróg, syn onego Jakóba, patryarchy Braci Czeskich († 1568) i sam także wyznawca tej sekty, ale udziału w dyspucie nie brali.

Z każdym rokiem bardziej zaludniały się szkoły młodzieżą, bo nawet różnowiercy oddawali do nich swych synów; pod koniec XVII. wieku cyfra ich przechodziła 1000. Dla podtrzymania ducha pobożności w szkołach, wprowadzono 30 września 1574 r. kongregacyę Sodalisów Maryi, do której mogli należeć studenci tylko wzorowych obyczajów i pilni w naukach. Zapisało się do albumu Sodalisów 24 uczniów, w lat kilkanaście potem 1585 r. podzielić musiano kongregacyę na dwie: mniejszą i większą, a 1614 r. na trzy: małą, większą i największą.

Sodalitas Mariana, to mała rzeczpospolita rycerzy Maryi, którzy osobnem ślubowaniem obowiązują się do bronienia jej czci i honoru; na czele jej stoi prefekt z senatem, rządzi się

Pomnik grobowy Stanisława z psem, umieszczony w kaplicy kurnickiej przeniesiono potem na zewnętrzną ścianę tejże.

[1] Z galeryi bramy wjazdowej jeden z uczniów przebrany za archanioła Michała, z mieczem i wagą, witał króla krótkim wierszem a raczej pieśnią łacińską, przeplataną chórem śpiewaków przebranych za aniołów.

osobnym statutem, urzęda ma wybieralne, odbywa rady senatu i walne sejmy, ma swój skarb z fundacyjnego kapitału, z wkładek wpisowych i dobrowolnych ofiar złożony i swego podskarbiego, swoje oratoryum z ołtarzem i kapelanem, z aparatami kościelnemi i światłem, w którem odprawia swe nabożeństwa, występuje też jako korporacya udzielna z swemi godłami na publicznych obchodach i kościelnych nabożeństwach. Niebawem powstały *Sodalitia Mariana* dla szlachty, dla mieszczan, dla rycerstwa i wojskowych. Ruch ten rozpoczął się koło 1565 r. od Włoch, wnet ogarnął wszystkie kraje, gdzie Jezuici mieli swe kolegia i kościoły. Razem też z nimi (po r. 1773) ustał prawie zupełnie, aż znów razem z wskrzeszeniem Jezuitów 1814 r. odżył i potężnieje z dniem każdym. Cesarze i królowie wpisywali się w poczet Sodalisów Maryi; u nas król Zygmunt III., Władysław IV., Jan Kazimierz. Za ich przykładem czynili to biskupi i dygnitarze Rzeczypospolitej, hetmanowie i rycerstwo, szlachta i mieszczany... „Jakem Sodalis Maryi“, równało się przysiędze, a wykreślenie z albumu Sodalisów okrywało hańbą, równą wypędzeniu z pod chorągwi. W kolegiach po miastach większych jak Poznań, Wilno, Lwów, Kalisz, bywały po dwa i po trzy *Sodalitia Mariana* dla studentów tylko, a oprócz tego jedno lub dwa dla obywatelstwa. Dyrekcyę duchowną nad niemi mieli Ojcowie, ale duchowną tylko, bo zresztą rządziły się same.

Spełniły się więc nadzieje, jakie pokładał w Jezuitach następca Commendoniego, nuncyusz Wincenty Portici, gdy w relacyi swej o Polsce do Grzegorza XIII. w styczniu 1574 pisał: „Z wielką korzyścią dla sprawy religii będzie, jeżeli nuncyusz wystąpi jako prawdziwy a gorliwy obrońca kolegiów jezuickich, które czasem doznają prześladowania. Zastałem tu dwa w Brunsberdze i Pułtusku... zatwierdzono ich fundacyę a założono dwa inne w Wilnie i Poznaniu. Król JM. Zygmunt August nietylko zatwierdził fundacyę tychże, ale darował im prawo patronatu na dom i kościół w Wilnie. Inne jeszcze kolegium założyła pewna wdowa (Anna Tarnowska) z Wojnicza *(sic)* w Jarosławiu pod Przemyślem. Jeżeli te kolegia znajdą poparcie (od nuncyuszów) to w ciągu trzech lat przyniosą tak przedziwne owoce,

że można być pewnym, iż religia powstanie całkowicie w trzech lub czterech latach". Dodaje i to, że katolicki król Henryk łatwo dopomódz może do fundacyi domu profesów i kolegium w Krakowie i Lwowie. „Przyobiecywał mnie to dawniej biskup krakowski (Krasiński), a myślano wtenczas nietylko o Krakowie, ale i o Lwowie" [1].

Dzień 1 grudnia 1574 r. był ostatnim życia biskupa Adama Konarskiego. Znamienity ten mąż stanu i senator, a książe Kościoła zacny i pobożny, w ostatnim roku życia zobojętniał dla Jezuitów, bo jak wszędzie, tak w Poznaniu, znaleźli się między klerem świeckim niechętni zakonowi, którzy swą niechęcią i biskupa zaprawili [2]. Oni wdzięczni za to, co świadczył, uczcili pamięć jego wspaniałemi egzekwiami w swym kościele św. Stanisława 16 stycznia 1576 r., oraz łacińskim i polskim panegirykiem na pogrzebie, i książeczką wierszy łacińskich ułożonych przez młodzież szkolną, którą wydrukowali w Krakowie i ofiarowali spadkobiercom nieboszczyka i wykonawcom jego testamentu [3].

II.

Następcą Konarskiego na katedrze poznańskiej był z nominacyi króla Batorego, Łukasz Kościelecki, biskup przemyski, „szczerością, hojnością i cnotami senatorskiemi znamienity". Zwlekano w Rzymie z jego prekonizacyą, on zaś winę tego przypisywał Jezuitom. Z pewnem więc uprzedzeniem do nich wjechał 1576 r. na swą stolicę, które jednak wnet złożył, i stał się ich protektorem i dobroczyńcą. Oni go witali wraz z młodzieżą oracyą łacińską i wierszami, i służyli mu wiernie. Legował na seminaryum dyecezalne ś. p. biskup Konarski 3.000 złp. nowy biskup dodał z dóbr stołu biskupiego wsie: Januszewicze

---

[1] Ehrenberg, *Urkunden*, str. 363.

[2] Podczas ostatniej choroby przyzywał często O. Wujka na duchowną rozmowę, ale fundacyi kolegium ani innych ziemskich spraw nie dotykał. W testamencie legował Jezuitom 1.000 złp. na dziesięcinach, których nigdy nie wypłacono; 3.000 złp. legował na seminaryum duchowne, zresztą całe swe mienie zapisał bratu swemu, kasztelanowi kaliskiemu.

[3] *Annal. Col. Posn.*

i Słupię i dokumentem z dnia 1 lipca 1579 r. erygował takowe na wieczne czasy, zarząd duchowny i naukowy powierzając Jezuitom. W dwa lata potem wynajęto w pobliżu kolegium dom piętrowy i otwarto seminaryum dyecezalne na tych prawie warunkach i według tej modły, jak w Brunsberdze [1]. Po 33 latach, d. 26 maja 1614 r., rozwiązano umowę z Jezuitami pod pozorem, że fundacya na tak kosztowne utrzymanie seminaryum nie wystarcza, rzeczywiście zaś dla tego, że biskup Opaliński a bardziej jeszcze kapituła, dla swej wygody chcieli seminaryum mieć na Chwaliszewie blizko katedry. Jezuici, acz z przykrością, pozwolili sobie odebrać seminaryum, pierw jednak wystawić sobie kazali notaryalne świadectwo, że stało się to bez żadnej z ich strony winy.

Szkoły ich publiczne rozwijały się w miarę, jak budynku przybywało. Gmach szkolny przyozdobiono wieżą i zegarem.

---

[1] Instytut zakonu zabrania (*Congregatio* II, canon 13) przyjmować zarząd dyecezalnych seminaryów, pomimo to polscy Jezuici zarządzali niemi w kilku dyecezyach za dyspensą jenerała. Pierwszą taką dyspensę otrzymali 1566 r. dla warmińskiego seminaryum, i ta służyła za model innym. Główne warunki dyspensy te: 1) seminaryum ma mieć osobny własny budynek; 2) osobne własne fundusze, administrowane bądź to przez biskupich prowizorów, bądź przez Ojców samych; 3) wewnętrzny zarząd, kierunek wychowania i nauk należy wyłącznie do Ojców, z wykluczeniem wszelkiej wizytacyi biskupiej choćby przez biskupa samego, tem mniej przez delegatów dokonać się mającej. Program wszelako nauk i regulamin wewnętrzny układa biskup w porozumieniu z Ojcami i zatwierdza go. 4) Na czele seminaryum stoi *Pater Moderator,* albo regens, i ma do pomocy jednego lub dwóch prefektów. Alumni wszyscy chodzą w sutannach, składają ślubowanie: 1) na posłuszeństwo biskupowi, kapitule i rektorowi; 2) na zachowanie regulaminu seminaryjnego; 3) na pozostanie w seminaryum a po wyświęceniu kapłańskiem w dyecezyi. Co do nauk, to tych słuchają w szkołach publicznych aż do retoryki włącznie, potem rok jeden filozofii, dwa lata teologii moralnej i kazuistyki. Zdolniejsi kończą kurs filozofii w dwóch, teologii w trzech latach. Z powodu ogromnego braku kleru w latach 1566—1580 skracano na żądanie biskupów powyższy kurs nauk ile się tylko dało. Klerycy występowali w szkolnych i publicznych dysputach, wyrabiali krótkie kazania według *praecepta eloquentiae sacrae,* które wygłaszali najprzód w auli a potem w kościołach przedmiejskich i miejskich, uczyli się śpiewu choralnego, ceremonii i administrowania Sakramentów św. Niezajęci asystą zasiadali w „małych stalach“ podczas celebry biskupiej i uroczystych nabożeństw.

Skazany był sądem miejskim na śmierć 1576 r. zegarmistrz luter za uwiedzenie cudzej żony, a że to był zręczny a rzadki na owe czasy rzemieślnik, więc jenerał wielkopolski, Czarnkowski, i kilku zacniejszych panów, wstawiło się za nim do sędziów, aby darowali mu życie. Oni darowali, ale że tak ciężka zbrodnia nie może ujść bezkarnie, więc za karę kazali mu zrobić wieżowy zegar dla szkół jezuickich. Zegar bił tylko godziny, Jezuici chcieli, żeby bił i kwadranse; zegarmistrz dorobił potrzebne kółka, ale zapłacić sobie za nie kazał 13 złp., dowodząc, że według tenoru dekretu kary, zegar miał „wybijać tylko godziny".

Dzięki hojności prymasa Karnkowskiego, który 1583 darował Ojcom swą bibliotekę, r. 1585 kupił dla nich za 5.000 złp. wieś Piekary, później zaś 1593 r. datkiem 1.000 złp. przyczynił się do zakupna wsi Jeziorki, a na budowę kolegium różnemi czasy dał przeszło 3.000 złp.; dzięki hojności opata z Wągrowca, Zajączkowskiego, który nadał wieś Legniszewo, otwarto 1584 r. trzechletni kurs filozofii. Pierwszym jej profesorem był O. Palavicini i od razu 1585 r., 40 retorów promowano na słuchaczów filozofii. Promocye aż do wprowadzenia nowego regulaminu nauk czyli *Ratio studiorum* r. 1592, a właściwie dopiero r. 1599, odbywały się dwa razy na rok: na Wielkanoc i po feryach przy otwarciu roku szkolnego; potem raz tylko przed wakacyami. W lat kilka później, 1593 r., otwarto kursa teologii; wykładali ją OO. Jakub Ortizius, Hiszpan i Ryszard Singletonius, Anglik; uczęszczali na nie nietylko klerycy dyecezalni i jezuiccy, ale i benedyktyńscy, cysterscy, augustyniańscy i franciszkańscy. R. 1598 rozszerzono zakres teologicznych nauk katedrą egzegezy, kontrowersyi i języka hebrajskiego i cały fakultet teologiczny umieszczono w nowem skrzydle kolegium, dźwignięte z różnych jałmużn; opat z Lubina, ks. Kiszewski, ofiarował na ten cel 1.500 złp. Co do jurysdykcyi nad wszystkimi uczniami, taki między kolegium a miastem stanął 1575 r. układ: drobniejsze sprawy rozsądza rektor, cięższe przewinienia sądzi sąd starościński dla szlachty, sąd miejski dla nieszlachty. Przychodziło stąd do częstej kolizyi władz a burd studenckich, gdyż

młodzież niechętnie znosiła nad sobą władzę burmistrza lub starosty i każde uwięzienie studenta uważała za ujmę honoru szkoły i mściła tumultem.

Naukę urozmaicały liczne uroczystości szkolne, kościelne, publiczne; młodzież nie nudziła się ani przykrzyła sobie. Otwarcie coroczne szkół i rozdanie nagród obchodzono dysputami filozoficzno-teologicznemi, przedstawieniem scenicznem, wierszami. Tak np. r. 1577 dysputowano przez trzy dni, dnia czwartego grano tragedyę „Sacel". Wjazdy królów: Henryka 1574 r., Zygmunta III. 1589 r., biskupów ingresy: Kościeleckiego 1579 r., Tarnowskiego i Goślickiego 1600 r.[1], Jędrzeja Opalińskiego 1603 r., prymasa Karnkowskiego do Gniezna 1582 r., jenerał-starostów Opalińskiego 1577 r., Czarnkowskiego 1594 r., wojewody poznańskiego Brezy 1602 r. i innych zacnych panów, obchodzono w auli szkolnej powitalnemi oracyami, wierszami, czasem sceniczną reprezentacyą. Nawet dwóch synów księcia Radziwiłła Sierotki, przejeżdżających przez Poznań 1604 r. z pedagogiem swym Jezuitą, Melchiorem Diciuszem (Dick) po naukę do Niemiec, witali studenci *carminibus,* wierszami i szczęśliwej drogi im życzyli. Odbywały się gody weselne na zamku poznańskim tegoż Opalińskiego jenerała wielkopolskiego, znacznego dobrodzieja szkół. Więc młodzież szkolna na uświetnienie aktu tego, grała na zamku tragedyę Baltazara Króla. Gody weselne Mik. Sieniawskiego z Urszulą Krotowską 1603 r., uwieczniono panegirykiem łacińskim. Powracającego króla Zygmunta III. z Szwecyi, witało miasto Poznań u bramy tryumfalnej, witała szkolna młodzież muzyką i śpiewem. Nazajutrz król był na Mszy św. w kościele Ojców, zwiedził kolegium i szkoły, przyjęty krótką łacińską oracyą. To znów na Boże Ciało 1577 r. przedstawili studenci na rynku *misteria sacramentalia,* żywy obraz, Abrahama ofiarującego swego syna Izaaka. Brali nadto studenci czynny udział w uroczystem otwarciu bractw kościelnych: Kongregacyi Maryańskiej 1574 r., Bożego Ciała czyli Najśw. Sakramentu 1577 r.,

[1] Ten umierając 1607 r., przekazał swój księgozbiór Jezuitom. Łukaszewicz twierdzi, nie wiem na jakiej podstawie, że to właściwie miasto darowało bibliotekę kolegiaty św. Magdaleny Ojcom 1610 r.

Opatrzności Boskiej, Bractwa Miłosierdzia 1599 r. i Kongregacyi mieszczańskiej [1]. Uczniowie Sodalisi Maryi dawali w każdy Wielki Czwartek wieczerzę na 100 ubogich. Każdej niedzieli Adwentu i Postu odwiedzali ubogich chorych po szpitalach. W Wielki Piątek przez cały dzień utrzymywali straż honorową przy grobie Zbawiciela i nabożeństwo zakończone procesyą pokutną biczowników.

Dla ćwiczenia się w wymowie i w stylu, tudzież dla zachęty uczniów, ogłaszano od czasu do czasu drukiem okolicznościowe mowy i żałobne przemówienia studentów. Przytacza niektóre O. Brown w swej „Bibliotece pisarzów T. J. asystencyi polskiej“ [2].

Przydawało blasku i świetności szkołom poznańskim to, że pierwsze domy wielkopolskie, nawet heretyckie, oddawały do nich swych synów. Tak np. dwaj synowie marszałka w. k. Opalińskiego, Jędrzej i Łukasz, przez lat 8 (1583—1591) mieszkając w kolegium, cały cykl nauk kończyli w tych szkołach. Gorliwy luteranin i lutrów protektor, kasztelan nakielski (potem od 1593 wojewoda poznański), Hieronim Gostomski, lubo własnym nakładem luterską szkołę fundował, to jednak syna swego Jana, także luteranina, oddał do szkół poznańskich. Żeby go zaś ochronić od religijnego wpływu tej szkoły, przydał mu pedagoga Niemca,

---

[1] Bractwo Najśw. Sakramentu założył rektor O. Konar. Zapisali się do niego prałaci i księża, szlachta i mieszczaństwo. Na erekcyę bractwa Opatrzności złożyli hojne dary mieszczanie. Panna Petruszewna ofiarowała 6 wielkich srebrnych lichtarzy. Założycielem bractwa miłosierdzia był O. Radzimiński, a kongregacyi mieszczańskiej O. Piotr Kulesza, który świeżo z misyi w Konstantynopolu powrócił. *(Annales Col. Posn.)*.

[2] „Epicedia in obitum I. M. D. Andreae de Bnin Opaliński S. R. P. Mareschalci... a nonnullis studiosis Collegii Posn. S. I. scripta. 1590“.

„In primo.. aditu I M. D Adami Sendivoi a Czarnkow mai. Poloniae Generalis in suam Praefecturam gratulationes a studiosa iuventute Col. Posn. S. I factae 1594“.

„Immensum... apertum in palatino aditu I. D. Adalberti Constantini a Goraj Breza Palatini posnaniensis 1602“.

„Ill-mo ac R-ssmo D. Andreae de Bnin Opalenski... Eppo Posn. auspicatum in suam sedem ingressum Iuventus studiosa Col. Posn. S. I. gratulatur. 1608“.

lutra. Obydwaj mieszkali w kolegium. Wnet jednak najprzód ów pedagog, a potem młody Jan, zostali katolikami. Dowie się pan Hieronim, przyzwie do siebie pedagoga, łaje i w gniewie wtrąca do więzienia. Ochłonąwszy jednak, przeprasza więźnia, wiedzie do swej komnaty i rozpoczyna z nim szereg religijnych rozpraw. Zachwiany mocno w swej luterskiej wierze, wzywa na dwór swój rektora O. Konara, który nawrócenia jego dokonuje. Na sejmie warszawskim 1589 r., uczynił Hieronim publiczne wyznanie wiary katolickiej i był w Wielkopolsce jej filarem. Za przykładem jego poszło wielu panów i szlachty, między nimi brat jego rodzony Jan, kasztelan rawski. Jezuitów był wielbicielem i na sejmie 1607 r. obrońcą, fundował im kolegium w Sandomierzu, gdzie był starostą, poznańskiemu też kolegium świadczył łask wiele. W poznańskich szkołach uczyli się koło 1609 r. dwaj Grudzińscy, dwaj Działyńscy i wiele innej zacnej młodzi.

Zbytnią ruchliwość i żywość temperamentu wielkopolskiego trzymał w ryzach surowy regulamin szkolny. Nie zawsze się to jednak udawało. W ciągu lat 40 (od 1572—1612) roczniki kolegium poznańskiego wspominają o czterech burdach studenckich. Najczęstszym powodem byli Żydzi, rasa znienawidzona w Polsce, a wciskająca się wszędzie, natrętna, podstępna i zuchwała. Tak np. 1576 r. Żydzi wykradli z jakiegoś klasztoru trzy katechumenki, matkę z dwoma córkami. Pospólstwo rzuciło się do odszukania porwanych w żydowskiej dzielnicy, przetrząsało domy, biło ich mieszkańców; ci się bronili, stąd tumult. Studenci wychodzą ze szkoły, dowiedzą się po drodze o tumulcie i naturalnie łączą się z gminem i „biją Żydów“. To znów 1584 r., ucznia z syntaksy za napastowanie jakiegoś żydka, uwięził magistrat. Studenci ujęli się za kolegą, odbili uwięzionego i poturbowali Żydów, w czem im znów tłum uliczny przyszedł w sukurs. W innej zwadzie studentów z Żydami 1601 r., ci ostatni zranili ciężko studenta. Oburzenie na Żydów było w mieście wielkie, więc też studenci gdziekolwiek żydka dopadli, bili co wlazło. Aby raz koniec położyć odwetowi, rodzina zranionego studenta wytoczyła Żydom proces. Skazano ich na 100 dukatów grzywny i przeproszenie studentów publiczne w auli. Poważnego

tumultu 1596 r. powodem był jakiś Brat Czeski, robotnik. Ten wracającego z procesyi Bożego Ciała z kościoła OO. Reformatów, Jezuitę O. Stefanowskiego znieważył słowy i ranił kamieniem. Wracali też z procesyi studenci i byli świadkami zniewagi swego profesora. Więc wymierzywszy doraźną karę robotnikowi, puścili go wolno, ale za to rzucili się na pusty zbór aryański i przy pomocy ulicznej gawiedzi powybijali okna, próbowali zburzyć do szczętu, ale zamki i mury zbyt silne, oparły się napadowi. Podnieśli krzyk oburzenia nieliczni już dyssydenci poznańscy, nie na studentów, ale na Jezuitów, dowodząc, że to oni ułożyli całą plantę, robotnika onego namówili do zaczepki, a studentów nasadzili do burzenia zboru. Rektor Grodzicki zażądał śledztwa i sądu mieszanego. Zasiedli więc na sąd: biskup sufragan, sędzia ziemski, podstarości, burmistrz i wiceburmistrz i zbadawszy sprawę dokładnie, ogłosili niewinność Ojców.

Większą nierównie przeszkodą w naukach były wielkie powodzie 1577 i 1580 r., zatapiające połowę miasta i zarazy morowe w latach 1579, 1585, 1588, 1600, 1604, 1605 i 1607. Ojcowie zostawiwszy kilku z pośród siebie dla „posługi zadżumionym“, skorzystali z uprzejmości opatów: Zajączkowskiego i Mielińskiego i marszałka w. k. Opalińskiego i szkoły swe na czas dżumy przenosili do Radlina, Świeciechowic, Wągrowca, Bochlewa, Trzemeszna, do Piekar, Sławna, Obornik, Bielaw, Stępuchowa, Zbąszyna. Mimo to padli ofiarą dżumy 1607 r. O. Adryan Junge, profesor filozofii i pełen nadziei kleryk *magnae spei homo,* Jakób Krasicki.

III.

Obok nauczania w szkołach, zwalczania różnowierstwa podniesienie ducha pobożności w katolikach, było jak wszędzie, tak w Poznaniu, głównem zadaniem Ojców. Ułatwiała im tę walkę gorliwość biskupów i wewnętrzna niezgoda heretyków, kłótnie zwłaszcza Lutrów z Braćmi Czeskimi. Zwalczali ich zrazu dysputami publicznemi. O kilku dysputach przy otwarciu szkół i rozdaniu nagród wspomniałem wyżej. Miały one więcej cechę scholastyczną, służyły do uświetnienia aktu szkolnego, nie można

im wszelako odmówić znaczenia polemiczno-religijnego. Posłuchajmy o tem nieprzychylnego Jezuitom Łukaszewicza:

„Nawracać przez same szkoły, byłoby to czekać lat kilkanaście lub kilkadziesiąt owocu usiłowań. Jezuici obok tego środka postanowili stanąć od razu w zapasy z dyssydentami. W tym celu w samych zaraz początkach pobytu swego w Poznaniu zaprowadzili zwyczaj miewania w kościele swoim dwa razy do roku publicznych dysput w materyi religii. Propozycye tych dysput drukowane rozsyłali po uczonych katolikach i dyssydentach[1]. Ci ostatni z gorliwości religijnej, owym wiekom właściwej, stawali zwyczajnie z Jezuitami do rozprawy, i lubo nieprzekonanymi, zawsze jednak przegadanymi zostali. Jeżeli żaden z teologów dyssydenckich nie stanął na dysputę, natenczas miejsce jego zastępował zwykle Jezuita, albo też uczeń jezuicki z klas wyższych (chyba z teologii). Pospólstwo nowością nęcone, cisnęło się hurmem na teatralne, nieznane sobie widowisko, i nie rozumiejąc ani języka, w którym się dysputa odprawiała, ani rzeczy, o której rozprawiano, przyklaskiwało mniemanym zwycięstwom Jezuitów, nabierało wysokiego mniemania o ich nauce i świątobliwości, jątrzyło się przeciw różnowiercom. Takim sposobem Jezuici w samych zaraz początkach ujęli dla siebie większą część mieszkańców miasta Poznania i mieszkańców okolicznych. Ludzkość zaś, przyjemność i słodycz jakaś w obcowaniu, przytem obszerna nauka pierwszego ich rektora ks. Jakóba Wujka (czy tylko jego?), niemałą liczbę przychylnych zjednała kolegium poznańskiemu pomiędzy możniejszymi dyssydentami".

Pierwszy „zaczepił ich Niemojewski, Brat Czeski, r. 1574 około św. Łucyi 13 grudnia, wyzywając ich na dysputę publiczną, przyczem przysłał im kartelusz, o czem dysputować chce. Żądał

[1] W formacie ćwiartkowym albo arkuszowym, z takim lub podobnym tytułem: „Assertiones theologicae de usu ss. Eucharistiae Sacramenti, ac primo quidem: de veritate et necessitate communicandi — deinde vero de huius Mysterii integritate sub una specie — propositae in Collegio Posnaniensi S. I. in autumnali studiorum renovatione. A. 1577". In 4-to, fol. 96. Posnaniae, typis Nurringi. (Brown, „Bibl. pisarzy ass. polsk.", 55).

też między innemi, aby dysputa w polskim języku się odbyła. Tego właśnie Jezuici z wielu przyczyn przyjąć nie mogli. Obawiali się być przegadanymi w mowie ojczystej od Niemojewskiego, nie chcieli też, aby zdania około wiary zbijane i popierane pospólstwo rozumiało. Odrzucili więc wyzwanie Niemojewskiego“ [1].

Myli się Łukaszewicz. Nie odrzucili, owszem przyjęli dysputę i O. Wujek stanął do niej, ale dysputować po polsku nie chciał dla tego, że polski język nie miał wówczas ustalonej terminologii teologicznej, więc ścisła naukowa w nim dysputa nie była możliwą. Niemojewski jednak uparł się i kazał sekretarzowi swemu spisywać swe wywody. Trwało to sześć godzin. Znudzeni słuchacze poczęli rozchodzić się do domu i dysputa rozlazła się. To znów 1581 r. dwie takie dysputy z Niemojewskim i Prażmowskim stoczyli w Radziejowie, jednę z nich ogłosili nawet drukiem [2]. Było tych dysput więcej, a kończyły się zawsze porażką różnowierców. Więc już 1582 r. na synodzie w Poznaniu uchwalili zjednoczeni kalwini, lutrzy i Bracia Czescy, zaniechać dysput z Jezuitami [3]. Także publiczne dysputy teologiczne przy otwarciu roku szkolnego odbywane zazwyczaj w kościele, w których zwalczano raz błędy Lutra, to znów Kalwina i Braci Czeskich, nie pozostały bez ujemnego skutku dla dyssydentów. Nawrócenia wykształconych heretyków, ba! nawet ministrów, jak np. 1577 r. Brata Czeskiego Gabryela, który wstąpił niebawem do stanu duchownego, z tych dysput brały swój początek. Roczniki kolegium zaznaczają co roku po 30 i 70 a w r. 1592 aż 120 nawróceń, *conversi ab haeresi.*

Niemojewski próbował i na polu literackiem obrony upa-

---

[1] „O kościołach Braci Czeskich“, 125—127.

[2] „Rozmowa Jezuitów poznańskich, którą mieli z X. Andrzejem Prasmowiuszem z Radziejowa, słowa Bożego ministrem, o Małżeństwie i bezżeństwie kapłanów. Przytem też kwestya bardzo potrzebna o tem, jeźli Kościelna Zwierzchność obłędzić się może. 1581“.

Ogłaszano drukiem i inne dysputy, jak np. „O Kościele Chrystusowym prawdziwym rozprawa“. Poznań 1580.

[3] *Annal. Col. Posn.*

dającej herezyi i roku 1577 tłoczył w heretyckiej drukarni Nehringa ulotne pismo polskie: „Diatrybe, albo Kollacya przyjacielska z XX. Jezuitami poznańskimi o przedniejsze różnice wiary chrześcijańskiej czasu tego". Dowie się o tem biskup Kościelecki i gdy już druk był na ukończeniu, wyśle swych ludzi, każe druki zabrać i ręką kata spalić publicznie na rynku, drukarnię zamknąć, a drukarza wychłostać u pręgierza. Drukarz jednak wcześnie salwował się ucieczką do Grodziska i tam pod opieką Ostroroga „Diatrybę" wydrukował. Na oną „Kollacyę" Niemojewskiego odpowiedzieli Jezuici 1580 r. broszurą łacińską: *Dialysis assertionum Iacobi Niemojewski contra Iesuitas editarum.* Zwalczał Niemojewskiego i „ministrów nowo-ewangelickich" O. Adryan Junge, równie znakomity profesor wymowy, jak kaznodzieja i teolog w dysputach i pismach rozlicznych polskich i łacińskich [1].

Na miejsce zbiegłego drukarza lutra Nehringa sprowadzili Ojcowie z Niemiec katolika Wolraba, i stanęła w Poznaniu 1580 r. katolicka drukarnia, w której tłoczono dzieła Wujka, Junga i innych katolickich autorów.

Z śmiercią wojewody poznańskiego, Stanisława Górki, ostatniego z rodu, r. 1591 usunęła się walna podpora herezyi w Poznaniu. Wojewodą został znany nam już konwertyta Hieronim Gostomski, a Kurnik z obszernemi dobrami Górków przeszedł do Stanisława Czarnkowskiego, urodzonego z Barbary Górkownej, gorliwego katolika. Ten za wdaniem się Jezuitów kościół kurnicki, od lat 40 luterski, po zdjęciu zeń interdyktu przywrócił katolikom, a zbór poznański, mieszczący się w pałacu dawniej Górków, zamknął, wypędziwszy z nich siłą zbrojną lutrów, zebranych tłumnie na ślub jednego ze swoich. Użył tej przemocy

---

[1] Przytacza niektóre O. Brown, „Biblioteka pisarzy assyst. polsk." str. 208:

1. „Artes et imposturae novi Evangelii ministrorum". Posnaniae 1583.

2. „Rozwiązanie 52 kwestyj ministrow nowo-Ewangelickich Jezuitom zadanych o Kościele Bożym". Poznań 1593, w 4-ce, str. 404.

3. „Refutacya listu pseudo-ministra Jana Capri o Najśw. Sakr.". Po łacinie. Poznań 1593.

4. „Historya niezgody i kłótni sekciarzy tegoczesnych". Po łacinie, w 4-ce, str. 498. Poznań 1593 i 1597. I kilka innych.

dlatego, że dobrowolnie ustąpić nie chcieli, jeno pałac ten kupić na własność domagali się, on zaś za wpływem O. Teobolcyusza sprzedać go miastu i PP. Benedyktynki w nim osadzić postanowił. Niebawem upadła druga walna podpora. Ostroróg Stanisław, podczaszy koronny, syn patrona heretyków, Stanisława na Grodzisku Ostroroga, kasztelana międzyrzeckiego, „staraniem O. Warszewickiego przyszedł do uznania wiary katolickiej, więc w dobrach swoich dziedzicznych, gdziekolwiek ją rodzice jego rugowali, znowu wprowadził, kościoły przywrócił, ozdobił i uposażył“ [1]. W samym Grodzisku rektor O. Konar rekonciliował 1589 r. dwa kościoły od lat prawie 50 heretyckie i katolicką służbę bożą do nich wprowadził. Za Ostrorogami poszli Tomiccy i Opalińscy.

Kazania Jezuitów, zwłaszcza OO. Wujka, Adryana Radzimińskiego i Wojciecha Teobolcyusza, ludowego misyonarza, które wysławia niechętny im Łukaszewicz [2], miewane nietylko w Poznaniu, ale na misyjnych wycieczkach w Kaliszu, Kościanie, Bledzewie (1580), Bydgoszczy, Kościanie, Czarnkowie, Owińsku na Kujawach (1588), w Kurniku (1592) i w wielu innych miejscowościach dokonywały bardzo wielu nawróceń heretyków, katolików zaś utwierdzały w wierze i potęgowały ich pobożność. W samym Poznaniu Ojcowie odwiedzali szpitale, więzienia, skazanym na śmierć towarzyszyli na rusztowanie [3], a klerycy i nowicyusze ich — od r. 1580 bowiem był tu przez czas jakiś drugi rok nowicyatu — katechizowali w czterech kościołach św. Marcina, Wojciecha, Mikołaja i w kolegiacie. O. Teobolcyusz z wyżebranych pieniędzy zebrał kapitał 6.000 złp., przynoszący 360 złp. rocznego procentu. Te obracano na lekarza i aptekę dla ubo-

---

[1] Niesiecki, VII, 199.

[2] „W samych zaraz początkach zakon ten zyskał sławę z rzadkiej wymowy kościelnej... w Poznaniu Wujek płynnym, czystym językiem i ujmującą prostotą wielu słuchaczy do kościoła Jezuitów zwabiał“. („O kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce“ 1835).

[3] R. 1599 dwóch junaków-szlachciców różnowierców, za rany i za bójstwo sąd starościński skazał na śmierć. Jezuici po długim mozole nawrócili ich i odprowadzili na miejsce kary. *(Annal. Col. Posn.)*.

gich chorych po domach. On też wpływem swym przyczynił się wielce do sprowadzenia PP. Benedyktynek do Poznania, oddania im kupionego ze składek przez miasto pałacu, dawniej Górków, potem Czarnkowskich, i był ich długoletnim spowiednikiem nadzwyczajnym.

Tą wielostronną pracą i żarliwością w Poznaniu i innych miastach zyskali sobie Jezuici u lepszej części episkopatu polskiego, a zwłaszcza u prymasa Karnkowskiego, takie poważanie, że synod piotrkowski 1589 uchwalił powołać Jezuitów na katedrę teologii w akademii krakowskiej [1]. Uchwała ta przeraziła akademików i odtąd rozpoczyna się długi szereg paszkwilów głośną broszurą Klonowicza: *Equitis poloni in Iesuitas actio prima*, dwukrotnie w latach 1589 i 1590, trzeci raz *longe emendatior* 1591 r. drukiem wydaną, której autorstwo przypisywano mylnie profesorowi akademii Zawadzkiemu. Ataki akademików musiały być gwałtowne, skoro Jezuici przez O. Wawrzyńca Artura Fautneusza prosili prymasa i biskupów, aby ich wzięli w obronę. Jakoż z ich polecenia dał na ów paszkwil należytą odprawę ks. Marcin Szyszkowski: *Pro religiosissimis S. I. Patribus contra ficti Equitis poloni actionem primam oratio* r. 1590 [2]. Bronił ich i uczony ks. Reszka: *Spongia, qua obsterguntur convitia et maledicta Equitis Poloni contra Iesuitas.* 1590 r. [3].

Różnowiercy tymczasem, widząc z rokiem każdym dziesiątkowane swe szeregi, zamiast połączyć się do wspólnej obrony, gryźli się między sobą zawzięcie, a co zabawniejsza, wszyscy powoływali się na „konsens“ sandomirski. Po śmierci ostatniego Górki najprzedniejszym z nich był Andrzej Leszczyński, wojewoda brzesko-kujawski, ale ten rzadko mieszkał w Wielkopolsce; powaga jego była za małą, aby zażegnać gorszące spory Turnowskiego z Glicznerem, Enochów, Geryków, Luperianów i innych ministrów luterskich, piorunujących na wrzekomą „unię“

[1] *Annal. Col Posn.*

[2] „Mowa w obronie najczcigodniejszych OO. Jezuitów przeciw pierwszej rozprawie zmyślonego szlachcica polskiego“. 1590.

[3] „Gąbka dla obtarcia łajań i złorzeczeń szlachcica polskiego przeciw Jezuitom“. Kraków 1590.

trzech wyznań, kalwinów, lutrów, Braci Czeskich, skleconą na synodach w Krakowie i Poznaniu 1573 i 1582, Piotrkowie 1578, Włodzisławiu 1583 i Toruniu 1595 r. Więc szukali sojuszników u greckiej schizmy na zjeździe w Wilnie 1599 r., ale stanęło tylko na „federacyi“, że oni i dysunici wzajemnie wspierać się będą, aby im wolności, konfederacyą warszawską 1573 r. zagwarantowane, dochowane były. Ta wieczna rozterka dyssydentów sprzykrzyła się im samym i dla wielu z nich była głównym powodem powrotu do „wiary ojców“, u katolików zaś podawała ich w lekceważenie do tego stopnia, że już 1591 r. lutrzy, zjechawszy się na synod swój do Poznania, nie czuli się w mieście bezpieczni i domagali się od magistratu glejtu bezbieczeństwa. Aby ich nie drażnić, świeżo nawróceni Gostomski i Ostroróg zamieszkali przez ten czas w kolegium [1].

Dzięki tylu okolicznościom naraz liczba heretyków osiadłych w samym Poznaniu topniała z rokiem każdym. Zasilali ich nie rzadko rzemieślnicy i kupcy, przybłędy z miast pruskich. Aby przeciąć drogę temu napływowi herezyi, wyjednano podczas sejmu 1609 r. u króla mandat do magistratu i rady Poznania, zakazujący surowo nadawania prawa osiedlania się w mieście heretykom.

Kronika dodaje, że „w uzyskaniu tego zakazu wielka była praca i zabiegi naszych“ (Jezuitów), że O. Konar wielokrotnie z ambony upominał rajców i mieszczan o ścisłe wykonanie królewskiego mandatu i kładł im to na sumienie, co naturalnie rozgoryczało heretyków przeciw Jezuitom, a naszym czasom wyda się nietolerancyą wstrętną. Pomnijmy jednak, że w tymże czasie w Londynie, a nawet blizkim Królewcu, nierównie sroższe edykta wydawano przeciw katolikom i wykonywano bezwzględnie.

Ks. St. Załęski.

---

[1] *Annal. Col. Posn.*

O WYNIKACH BADAŃ NAD JĘZYKIEM POLSKIM.

Był w starożytności jeden człowiek, który wiedział wszystko, co w jego czasach wiedzieć było można; znał się na wszystkich naukach i o wszystkich pisał. Był to Arystoteles. Nic też dziwnego, że przez kilkanaście wieków dla całego świata był on wyrocznią, alfą i omegą wszelkiej mądrości.

Taki fakt, choć niezwykły, był jednak możliwy w wieku czwartym lub trzecim przed Chr.; możliwy, choć w każdym razie należy uchylić przed nim czoła. Dzisiaj jest on absolutnie niemożliwy. Nawet nie można sobie pomyśleć człowieka, któryby dokładnie i wyczerpująco poznał więcej niż jednę naukę, skoro na sumienne zapoznanie się z jedną często życia ludzkiego nie starczy.

A jednakże dzisiaj od człowieka wykształconego żąda się ni mniej ni więcej, tylko tyle, co od Arystotelesa, żąda się, aby się znał na wszystkiem i o wszystkiem coś wiedział. Oczywiście, że on sam tych wszystkich wiadomości nie zdobędzie. Do tego służy sposób, świetnie w naszym wieku rozwinięty: popularyzacya wiedzy. Uczony dochodzi do pewnych rezultatów drogą ścisłego i pracowitego badania; rezultaty te przedstawia w dziełach ściśle naukowych, obliczonych na niewielką liczbę ludzi, tej nauce się oddających, ostateczne zaś wyniki, natury więcej ogólnej, podaje wykształconej szerokiej publiczności w formie jak najmniej ciężkiej. Nie potrzebuje naturalnie silić się aż na powieściowy lub fejletonowy sposób pisania: człowiek naprawdę wykształcony chętnie sobie zada ten trud i przeczyta także rzecz

poważniej napisaną, byle nie była zbyt ciężka i nie przeładowana szczegółami, które obchodzić mogą wyłącznie specyalistów.

Takie popularyzowanie nauki, jakkolwiek ma swoje niebezpieczeństwa, jest przecież bardzo korzystne, zresztą konieczne, bo jedynie w ten sposób podnosi się poziom oświaty. Za granicą wspaniale rozwinięte, i u nas stoi ono nie najgorzej, głównie dzięki naszym czasopismom miesięcznym. Za ich pośrednictwem dochodzą do szerszych kół publiczności odgłosy tego, co się dzieje w tej — jedynej w swoim rodzaju — rzeczypospolitej uczonych.

Jest jednakże nauka, o której losach i wynikach wykształcony ogół polski ma pojęcie mniej więcej takie, jak o żelaznym wilku. Mamy na myśli naukę, zajmującą się badaniem języków wogóle, a w szczególności języka polskiego. Jakie powody na to się złożyły? Może to, że nauka gramatyki należy chyba do najmniej zajmujących, że wspomnienie tej nauki, ze szkół wyniesione, należy do najmniej miłych; a może też winni są i uczeni, którzy nie postarali się o to, aby wyniki swoich badań popularyzować. Dopiero w ostatnich czasach zaczyna się pewien zwrot; prof. Al. Brückner ogłosił już kilka prac tego rodzaju. Ale to jest za mało, i ciągle jeszcze słychać u nas głosy, nawet z ust ludzi, zajmujących wysokie naukowe stanowiska, że nasi filologowie piszą duże monografie o małej kropce nad i, albo że słysząc na wsi od jakiego urlopnika przekręcony wyraz niemiecki, skrzętnie go notują, ciesząc się, że znaleźli starożytne wyrażenie, albo nawet, że wydawanie przez Akademię Umiejętności różnych zabytków starych albo słowników gwar ludowych to marnotrawstwo grosza publicznego. Takie głosy byłyby smutnem świadectwem naszej cywilizacyi, gdyby na szczęście nie można ich było usprawiedliwić niewiadomością, a niewiadomość grzechu nie czyni. Niemniej — powinna ona już ustać.

Mamy w naszem piśmiennictwie przekład bardzo dobrego dzieła angielskiego uczonego Whitney'a („Życie i wzrost języka"), gdzie jest mowa o języku wogóle; o mowie polskiej takiej pracy nie posiadamy. Może na nią jeszcze za wcześnie, jeszcze ścisłe badania nie doszły tak daleko, aby ogarnąć całość, i aby o tej całości napisać dzieło popularne. Ale na co jest czas najwyższy,

to na zapoznanie ogółu z tem, co na tem polu dotąd zrobiono. Oby nasz artykuł choć w części tej potrzębie zadość uczynił!

I.

Nie trzeba myśleć, jakoby badanie języka polskiego zaczęło się dopiero od wczoraj. Tak źle znowu nie było. Przecież w wieku XVI. staliśmy mniej więcej na równi z innymi cywilizowanymi narodami Europy i po drodze oświaty szliśmy z nimi razem. Zajmowano się też wtedy i u nas badaniami językowemi, językiem polskim przedewszystkiem [1]; mniejsza o to, jak, dosyć, że tak samo, jak gdzieindziej. Ale po świetnym wieku XVI. nastaje ogólny upadek na wszystkich polach; leżą też odłogiem badania językowe, aż do czasu, w którym budzi się z martwoty całe społeczeństwo i chce odrobić, co przez dwa wieki straciło. To czasy Stanisława Augusta — te wydają Kopczyńskiego, na którego gramatyce uczyło się kilka pokoleń — i epoka Księstwa Warszawskiego i Królestwa, do roku 1831. Ten drugi okres wydaje cały szereg dzieł, różnej wartości, ale między niemi jedno, które dotychczas jest przy badaniach konieczne i dotychczas nowem niezastąpione, „Słownik języka polskiego“ Samuela Bogumiła Lindego. Dzisiaj jest on w niektórych objaśnieniach błędny i przestarzały, nie obejmuje pomników języka z przed wieku XVI., nie obejmuje też wyrażeń gwarowych, niemniej jest ciągle w użyciu, ciągle się do niego zagląda, na swoje zaś czasy jest wprost niezwykły.

W tych latach pojawia się na Zachodzie Franciszek Bopp, od którego liczy się nowy okres, a raczej zupełny początek językoznawstwa; wprowadza w naukę nowe poglądy, nową metodę, osiąga też nowe wyniki. Za dalekoby nas zaprowadziło opowiadanie, na czem ta nowość polega; zaznaczamy tylko, że Bopp pierwszy naukowo rozwija i uzasadnia teoryę pokrewieństwa języków aryjskich, opierając się na metodzie porównawczej. Ta metoda właśnie jest tak wielkiej wagi, że od chwili, w której ją po raz pierwszy zastosowano, językoznawstwo za-

[1] Pierwszą gramatykę języka polskiego napisał w r. 1568 Francuz Statorius, który później otrzymawszy indygenat przezwał się Stojeńskim.

czyna żyć i rozwijać się, aby w końcu dojść do tak pięknych wyników, jak dzisiaj. A u nas? Linde miał pewne przeczucie tego, gdy w swoim słowniku umieszcza obok polskich wyrazy z innych języków słowiańskich. Jest drugi uczony, Majewski, który znał Boppa gramatykę sanskrycką i nawet o sanskrycie pisał. Ale reszta o tych wszystkich zdobyczach jakby nic nie wiedziała; piszą sobie po dawnemu. Po roku trzydziestym pierwszym stan ten jeszcze się pogarsza. Na Zachodzie nauka, wziąwszy od Boppa impuls, idzie coraz bardziej naprzód, u nas ciągle stoi na miejscu — tem samem w porównaniu z innymi narodami ciągłe cofanie się. Nasze gramatyki języka polskiego z czasów około r. 1840 lub 50, to prócz niektórych trafnych myśli w wielkiej części zbiory spostrzeżeń i uwag, nad któremi serdecznie się uśmiać można. Po części winna temu emigracya, która wyludniła kraj z jednostek najzdolniejszych; ale przecież i ci, którzy w kraju zostali, mogli byli dowiedzieć się, co się też po świecie dzieje. Tymczasem w Niemczech po Boppie występuje Schleicher, znowu wprowadza nowe poglądy, udoskonala metodę, językoznawstwo robi ogromny krok naprzód — a u nas wszystko po dawnemu. Gorzej, że równocześnie rozwija się nauka gramatyki słowiańskiej porównawczej, reprezentowana przez Dobrowskiego, Kopitara, później Miklosicha; jej wyniki już wtedy można było zastosować do języka polskiego, skutkiem czego my dzisiaj bylibyśmy z pewnością dalej, niż jesteśmy. Na nieszczęście nasi gramatycy o tem wszystkiem nie wiedzieli; rozprawiali oni o języku polskim mniej więcej tak, jak mieszkaniec małego miasteczka o polityce, której się uczy z drugo- lub trzeciorzędnych gazet brukowych.

Dopiero po roku 1863 zaczyna się zwrot. Poprzedzają go dwie gramatyki: prof. Małeckiego i ks. Malinowskiego. Wprawdzie obydwie nie stały jeszcze zupełnie na wysokości ówczesnej nauki, obydwie miały dosyć wad i usterek, ale przynajmniej od poprzedniczek swoich były o całe niebo lepsze, i wprowadzały do naszej nauki jakieś nowe prądy, pewnego rodzaju świeższe powietrze. Ale nie one dały naszej nauce nowy kierunek, idący równo z Zachodem. Uczyniło to kilku ludzi, dzisiaj weteranów

nauki, choć ciągle jeszcze pracujących na jej polu, i daj Boże jak najdłużej. Wychowańcy Szkoły Głównej warszawskiej, potem uniwersytetu petersburskiego, wreszcie uniwersytetów niemieckich, postawili naukę języka polskiego na tym stopniu, że dzisiaj nie potrzebujemy się wobec nikogo wstydzić, i chociaż dużo jeszcze jest do zrobienia, niemniej to, co już zrobiono, nie zasługuje na lekceważenie. Ludźmi tymi są: prof. Malinowski, prof. Baudouin de Courtenay, prof. Kryński i p. Karłowicz, dwaj pierwsi obecnie pracujący w Krakowie, dwaj drudzy w Warszawie. Nie trzeba jednak pominąć i prof. Nehringa, obecnie profesora uniwersytetu wrocławskiego, który również wiele na tem polu zrobił.

Dwa drobne dziełka rozpoczynają ten nowy okres naszego językoznawstwa: prof. Baudouina de Courtenay, »О древне-польскомъ языкѣ до XIV. столѣтія« („O staropolskim języku do XIV. wieku“). Lipsk 1870. i prof. Malinowskiego *Über die Oppelnsche Mundart in Oberschlesien*. Lipsk 1873. Te dwie prace po raz pierwszy zastosowały w całej pełni metodę naukową, używaną w tym czasie na Zachodzie, a zarazem — bezwiednie prawie — wskazały drogę, po której badanie języka polskiego z początku iść musiało: zapoznanie się z językiem w historyi, i na całym obszarze geograficznym, czyli zbadanie starych zabytków i gwar ludowych.

Szczęściem dla nauki powstaje w tych czasach w Krakowie Akademia Umiejętności, około której przedewszystkiem i niemal wyłącznie skupia się praca nad językiem polskim. Gdyby nie ten fakt, to wątpić można, czyby i ten doskonały kierunek zdołał się utrzymać. Prace gramatyczne, lingwistyczne, są tego rodzaju, że czyta je bardzo mała liczba ludzi, cóż dopiero u nas! To też nie wiem, czy znalazłby się nakładca, któryby się podjął takie dzieła wydawać. Tym sposobem założenie Akademii ocaliło u nas jednę naukę, nie mówiąc już o korzyściach dla innych. W „Rozprawach wydziału filologicznego“ w każdym tomie znajdują się prace, językowi polskiemu (i innym słowiańskim) poświęcone; pierwszy tom wyszedł w r. 1874, dotąd jest ich 25. Prócz tego wydała komisya językowa Akademii pięć tomów swoich „Sprawozdań“. W dwa lata po pierwszym tomie

„Rozpr. Akad.“ wychodzi pierwszy rocznik czasopisma *Archiv für slavische Philologie*, założonego przez najznakomitszego dziś slawistę, prof. wiedeńskiego uniwersytetu, W. Jagića; w każdym tomie tego pisma są prace, dotyczące polszczyzny, pisane przeważnie przez polskich, czasem i obcych autorów. Wreszcie od r. 1885 wychodzą w Warszawie *Prace filologiczne* pod redakcyą A. Kryńskiego, nakładem Kasy naukowej Mianowskiego; dotąd cztery tomy i pierwszy zeszyt piątego; poświęcone prawie wyłącznie językowi polskiemu.

To są trzy główne ogniska, w których się ta nauka koncentruje. Czasem praca o języku polskim zjawi się w *Sitzungsberichte* akademii wiedeńskiej, czasem w którem ze słowiańskich wydawnictw (*Fiłołogiczeski Wiestnik* po ros. w Warszawie, praskie *Listy filologické*). Katedry uniwersyteckiej wyłącznie dla polskiego niema; zresztą niema potrzeby, bo odłączać dzisiaj gramatykę polską od innych słowiańskich, zwłaszcza od starosłowiańskiej, jest po prostu niemożliwością. Są więc katedry filologii słowiańskiej, albo języków słowiańskich. Jest ich w Europie kilkanaście, na uniwersytetach słowiańskich naturalnie: więc na jednym chorwacko-serbskim (Zagrzeb), jednym czeskim (Praga), dwóch polskich (Kraków, Lwów), kilku rosyjskich (Warszawa, Petersburg, Moskwa, Kijów i t. d.); dalej kilka niemieckich (Wiedeń, Lipsk, Wrocław, Berlin); także w Peszcie. Czy we Francyi lub Anglii jest coś podobnego, nie wiem; zdaje się, że dla gramatyki języków słowiańskich osobnych katedr tam niema.

Jeżeli się chce wybudować gmach, to najpierw się zwozi materyał. Jeżeli się chce mieć gramatykę języka, to najpierw trzeba poznać ten język we wszystkich szczegółach. Trzeba go zbadać w czasie i przestrzeni. To znaczy: należy zbadać wszystkie pisane (i drukowane) pomniki tego języka, od najdawniejszych czasów aż do ostatnich; powtóre w dzisiejszym języku badać nietylko język literacki ale wszystkie nawet najdrobniejsze gwary ludowe. Potem dopiero można budować gmach, można w gramatyce robić wnioski i spostrzeżenia. Tak też postępuje i nasza nauka.

II.

Historyę każdego języka podzielić można na dwa okresy: pierwszy trwa od początków, od czasów najdawniejszych, aż do chwili, w której się pojawiają piśmienne pomniki języka; drugi obejmuje czasy języka ustalonego na piśmie. Okresy te różnie trzeba badać: w okresie pisanym przedstawia się po prostu kolejne przemiany językowe, które możemy śledzić w zabytkach; w okresie pierwszym trzeba te formy sztucznie rekonstruować, odbudowywać, do czego służy metoda porównawcza.

Pierwsze pomniki, pierwsze ślady języka polskiego, utrwalone na piśmie, zaczynają się z końcem wieku dziesiątego. Ale ślady te są nadzwyczaj szczupłe. Po prostu tylko imiona osób i nazwy miejscowości polskich w dyplomatach i aktach, na monetach i w kronikach — łacińskich [1]. W wieku XIII. zjawiają się już inne wyrazy (zwłaszcza techniczne) [2], z końca XIII. lub z początku XIV. w. pochodzi słowniczek, obejmujący kilkanaście nazw roślinnych [3], aż dopiero w połowie wieku XIV. spotykamy się z pierwszym zabytkiem języka polskiego, cokolwiek większych rozmiarów [4]. Odtąd pomniki polszczyzny są coraz częstsze, w drugiej połowie w. XV. ilość ich jest wcale znaczna. W r. 1475 pierwszy druk polski (bardzo drobny, kilka modlitw, nie osobno ale w innej książce), w r. 1506 Bogarodzica w statucie Łaskiego, w r. 1514 powieść o papieżu Urbanie; właściwie jednak dopiero w drugim i trzecim dziesiątku XVI. wieku zaczął się druk u nas rozpowszechniać. Tym sposobem epoka języka polskiego, ustalonego na piśmie, trwa od w. XI. do dzisiaj (gdyby brać bar-

---

[1] Np. Bolisław, Bolek i Bolko, Kazimir, Lestek, Lestko i Lesko, Miestek i Miestko, później Mieszko, Dirżek później Dzirżek, Czyrwieńsk, Kowalewo, Sądomir' (Sandomierz), Sokolnice; rzadko inne wyrazy: priewod potem przewod, diedina później dziedzina.

[2] Np. książe uwalnia jakąś wieś od różnych uciążliwości, któremi były: stróża, stan, powaba, powołowe, osep, poradlne i inne.

[3] Np. bylica (pisane: biliza), boże drzewo (bose dreuuo), piołyn (polyn = piołun), kopytnik (copitnik), polski kopr (polschy copr; polski znaczy tutaj tyle, co polny), koprzywy (copriui = pokrzywy).

[4] Są to t. zw. Kazania Świętokrzyskie.

dzo ściśle to od XIV. w.); czyli wieków ośm (względnie pięć); stosunkowo czas niedługi, to też i język nie uległ w tym okresie zbyt wielkim i doniosłym zmianom [1].

Okres pierwszy jak długo trwał — to jest w każdym razie zagadką. Filologowie nawet nie bardzo są radzi takim obliczeniom na lata i stulecia. Filolog oblicza epoki rozwoju języka tak, jak geolog warstwy ziemi: które zjawiska są starsze, które młodsze; bezwzględnego oznaczenia czasu obaj podać nie zdołają, jeśli się nie chcą puścić na bardzo zwodnicze fale fantastycznych przypuszczeń. Możemy więc tutaj zanotować tylko same fakta.

W starożytności, w każdym razie dosyć odległej, żył — według jednych w Azyi, według innych w Europie — szczep, trudniący się pasterstwem i uprawą roli, z kulturą dosyć wysoko posuniętą. Był to szczep tak zwanych Aryów. Jego język jest praojcem ogromnej grupy języków, zwanych indo-europejskimi, albo ario-europejskimi, albo wreszcie aryjskimi [2]. Zabytków tej mowy nie mamy żadnych; możemy ją sobie tylko odtworzyć z jej potomków. Różne są hipotezy co do tego, jak z owego prajęzyka wyłoniły się dyalekty późniejsze; faktem jest, że w czasach historycznych występuje kilka grup, co do pokrewieństwa zupełnie równorzędnych. Jedną z takich grup jest rodzina bałtycko-słowiańska.

W czasach przedhistorycznych [3] od wspólnego pnia odłą-

---

[1] Dla ciekawości warto podać, jakich wieków sięgają pomniki innych języków pokrewnych. Tak indyjskie najstarsze pochodzą z lat mniej więcej 1500 przed Chr.; łacińskie około 300 przed Chr.; odłamy keltyckiego sięgają VIII. lub IX. wieku po Chr.; gockie (najstarsze z germańskich) z wieku IV. po Chr.; pruskie (najstarsze z grupy litewskiej) z w. XV. i XVI. Ze słowiańskich najstarsze są zabytki. t. zw. cerkiewno-słowiańskie z w. X.; czeskie od polskich starsze o lat sto. Jako datę pochodzenia przyjmuje się epokę, w której rękopis powstał, a nie utwór. Tak św. Cyryl i Metody przełożyli księgi święte w w. IX., ale do nas doszły rękopisy z w. X.; prawa dwunastu tablic powstały w w. V., ale my tablic z tego czasu nie mamy.

[2] Niemcy, którzyby chcieli wszystko zagarnąć, nawet tutaj stworzyli nazwę *indo-germanisch*, naturalnie bez słusznej podstawy.

[3] „Przedhistorycznych“ językowo; tak samo poprzednio użyto wy-

czył się jeden dyalekt, jedno narzecze; mówili niem przodkowie[1] dzisiejszych Litwinów i Słowian. Kiedy ten rozdział nastąpił, rzecz trudna do oznaczenia; próbowało wielu tę datę określić, ale na prawdę nie udało się to dotąd nikomu. Przez pewien czas był to język jeden, z odcieniami dyalektycznymi, podobnie jak i pierwotny język aryjski. Później rozdzielił się na rodzinę litewską czyli bałtycką, i słowiańską. Gałąź bałtycka rozpadła się na trzy: pruską, litewską i łotewską. Charakterystyczną cechą tych języków jest ogromny konserwatyzm, przez co są one bardzo przydatne przy badaniu innych, zwłaszcza — jako najbliższe pokrewieństwem — słowiańskich.

Po oddzieleniu się języków litewskich tworzył język prasłowiański zrazu całość, jednolitą a zarazem różnorodną, bo w tej całości były znowu odcienia, były właściwości dyalektyczne. Zrazu małe, potem coraz większe, doprowadziły w końcu ten język pierwotny słowiański do rozbicia na pewną ilość języków drugorzędnych. Rezultatem tego różniczkowania jest dzisiaj kilkanaście języków słowiańskich. Dadzą się one podzielić na kilka grup. Najstarszym jest podział na południowe, wschodnie i północno-zachodnie; przeciw temu podziałowi podnoszono pewne zarzuty, ostatecznie jednak jest on najpraktyczniejszy i może najprawdziwszy. Język polski jest odłamem grupy północno-zachodniej, mającej pewne cechy wspólne. Do tej grupy należą: język polski, czesko-morawsko-słowacki, górno- i dolno-łużycki, kaszubski (resztka języka Słowian nadbałtyckich), i należał dawniej — dziś nieistniejący — język połabski, najbliższy kaszubskiemu.

Jak język polski mógł wyglądać w czasach najdawniejszych, na to odpowiedź może dać tylko porównanie z innymi

---

razu „historycznych". Naród może już dawno należeć do historyi, a język jego być jeszcze w epoce przedhistorycznej.

[1] Przodkowie językowi, co nie musi być równoznaczne z przodkami etnograficznymi. Język angielski jest germańskim, a lud angielski jest potomkiem Celtów, Anglosasów i Normanów; Bułgarowie są mieszaniną ludu słowiańskiego i awarskiego.

językami; o metodzie i sposobach tego porównania będzie mowa niżej.

Drugi okres historyi języka: to czasy jego piśmiennictwa. Przez ten wyraz rozumieć tutaj należy nie to, co zwykle, tj. literaturę, ale wszystko, co w jakimś języku jest napisane. Więc podług tego łacińskie elegie Kochanowskiego do piśmiennictwa polskiego nie należą, nie należy i Długosz; za to należy każdy najdrobniejszy nawet polski napis na grobowcu, na monecie, należą pojedyncze wyrazy, zapisane w dziełach łacińskich, nędzne pod względem literackim wiersze i t. p. Mówiliśmy wyżej, że takie piśmiennictwo zaczyna się u nas z końcem wieku X., kiedy to po raz pierwszy spotykamy się w aktach z wyrazami polskimi. Zrazu są to tylko imiona własne, później zjawiają się i inne wyrazy; ogółem jednak aż do XIV. wieku prócz pojedynczych słów nic więcej nie mamy. Okruchy to nieliczne, bardzo drobne, ale przecież i z nich jakieś wnioski da się wyciągnąć; że zaś są jedynym z tych czasów materyałem, dlatego nabierają wagi tem większej. Te okruchy zbadał prof. J. Baudouin de Courtenay, i rezultaty podał w wspomnianem już dziele „O staropolskim języku do XIV. stulecia“. Z tych jego badań okazuje się, że zasadnicze cechy, odróżniające język polski od innych słowiańskich, istnieją już od najdawniejszych czasów; że język staropolski miał trzy samogłoski nosowe: ę, ą, (o̯) i ą̄ (ān̄); że przed wiekiem XIII. nie było jeszcze w języku polskim głosek *ć, dź, ś, ź, rz,* ale *t', d', s, z, r',* (jak dziś w rosyjskim), tak więc przed w. XIII. mówił Polak: *tiebie, tieszyti, diewica, morie,* a dopiero około połowy tegoż wieku zaszła przemiana na *ciebie, cieszyci* (później *cieszyć*), *dziewica, morze.* W ogóle jednak materyał jest za szczupły, aby opierając się na nim, można było wyciągać wnioski stanowcze i tłumaczyć większą ilość faktów językowych.

Najstarszy zabytek staropolski, większych nieco rozmiarów, pochodzi z połowy wieku czternastego.

Dlaczego tak późno zaczęto pisać po polsku? Tłumaczą to głównie trudnością, jaką sprawiało wyrażanie na piśmie głosek polskich literami łacińskiemi. Dźwięków polskich jest czter-

dzieści kilka, a grafika łacińska ma znaków dwadzieścia kilka; stąd ogromna trudność i ta miała odstraszać od pisania w języku polskim. Ale to jest powód bardzo nieznaczący. Niewątpliwie człowiek, który pierwszy zapisywał wyraz polski, dobrze sobie musiał głowy nałamać [1]. Ale znowu niepokonanych przeszkód pisanie nie sprawiało. Najprzód widzimy, że u Czechów trudność była niewiele mniejszą, a piszą tam w języku narodowym więcej niż sto lat wcześniej niż my. Powtóre, pisownia polska aż do XVI. wieku jest nieustalona, panuje w niej chaos i zamieszanie, a jakoś to nie przeszkadzało znacznemu w wieku XV. rozwojowi piśmiennictwa.

Powód może być tylko jeden. Nie było pism w języku polskim, bo ich naród nie potrzebował. Nie miał jeszcze na tyle oświaty. Nie czuł wcale chęci czytania, tem mniej pisania. Wykształconym — a tych było tak niewiele — wystarczała łacina, a i na tem polu zbyt wielkiego życia nie było. Liczba łacińskich rękopisów, powstałych w Polsce przed wiekiem XV., jest bardzo niewielka; tem mniej się trzeba dziwić, że prawie wcale niema polskich. W wieku XI. i XII. o jakiemś życiu umysłowem niema nawet co mówić. Zaczyna się ono w wieku XIII. przy dworach książęcych, a zwłaszcza przy biskupich katedrach. Jest to fakt, stwierdzony przez historyków. Otóż w tym wieku XIII. były rzeczy, pisane po polsku. Do nas one nie doszły, ale mamy świadectwa, że istniał wtedy polski przekład psalmów, że były spisane w języku narodowym pewne modlitwy, spowiedź powszechna, formuły przy udzielaniu Sakramentów. Ale w ogólności czasy podziałowe, burzliwe, wiecznie pod bronią i w obozie, kiedy ciągłe wojny wewnętrzne i zewnętrzne najazdy kraj trapiły, rozwojowi nauk i oświaty sprzyjać nie mogły.

Dopiero kiedy Łokietek państwo zjednoczył, a w tem zjednoczonem królestwie zaczął po nim gospodarować jego genialny syn, wtedy zaczyna się i życie. Za rządów Kazimierza Wiel-

[1] Już samo pisanie wogóle nie należało do rzeczy łatwych. Przecież jeszcze w drugiej połowie XV. wieku, kiedy ta sztuka była rozszerzona, jeden z pisarzów umieścił na ostatniej karcie kodeksu takie zdanie: „Kto nie umie pisać, ten mniema, aby mała była robota".

kiego zapanował w państwie pokój i praca nad cywilizacyjnem podniesieniem kraju. Kazimierz buduje grody, funduje kościoły i klasztory, ustala sądownictwo, popiera wszelkiemi siłami rozwój handlu i przemysłu: wzmaga się dobrobyt, a za tym idzie naturalną koleją rzeczy pragnienie oświaty, nauki. Ogromnym krokiem naprzód jest założenie akademii. Profesorowie jej potrzebują rękopisów, więc przepisują obce, albo sami tworzą czy to kazania, czy też rozprawy religijne lub naukowe. Ruch umysłowy zaczyna się naprawdę, i odtąd już nie ustaje, a w wieku XV. dochodzi do szczytu (naturalnie w czasach średniowiecznych).

Wiek piętnasty zamało jeszcze u nas oceniony. Najwięcej może lubią go historycy. Pociągają ich szczęśliwe stosunki na zewnątrz, spokój i ład wewnątrz — w czem to stulecie tak wybitnie góruje nad wspaniałym i świetnym pod innym względem wiekiem XVI. Dla wielu jednak są to czasy ciemnoty, tortur i filozofii scholastycznej. Zapatrywanie z gruntu mylne. Społeczeństwo, które wydało Długosza i Kopernika, barbarzyńskiem być nie mogło; tacy ludzie wyrastają na gruncie już przygotowanym. Ostatnie badania (zwłaszcza prof. A. Brücknera) wykazały, że na wszystkich polach umysłowego życia jest u nas w XV. wieku skrzętna praca i obfite plony. Już społeczeństwu nie wystarcza łacina: już z całą siłą wkracza język polski. Wprawdzie do naszych czasów nie doszło tych zabytków tak wiele, ale na to złożyły się inne powody. Że w wieku XV. była tych zabytków liczba znaczna, mamy na to liczne świadectwa; między innemi te same zabytki, które posiadamy, świadczą, że było ich daleko więcej. Tak naprzykład w jednym z rękopisów łacińskich zostawione jest próżne miejsce, w którem pisarz chciał umieścić wiersz polski, ale nie wiadomo dlaczego nie umieścił; tak jest inny zabytek (np. legenda o św. Błażeju, albo urywek z życia N. Panny), który najwidoczniej jest fragmentem znacznie większej całości. U historyków, zwłaszcza u Długosza, jest wiele miejsc, z których możemy wnosić o istnieniu pomników języka polskiego z XV. i z końca XIV. wieku. Tak np. powiada Długosz bardzo wyraźnie i szczegółowo o rozwoju kaznodziej-

stwa w wieku XV.; jemu też zawdzięczamy imiona wielu kaznodziejów[1] i wiadomość o ufundowaniu stałej predykantury polskiej przy katedrze krakowskiej przez Zbigniewa Oleśnickiego. O królowej Jadwidze podaje wiadomość (przez wszystkich uważaną za wiarogodną), że poleciła przełożyć na język polski *Vitas patrum, sermones et passiones de sanctis.* Jest dalej cały szereg wiadomości o pieśniach, tak pobożnych jak i świeckich. Z tego wszystkiego wnosimy o piśmiennictwie, jeśli na jakość nieświetnem, to w każdym razie pokaźnem na ilość i w wielu szczegółach bardzo ciekawem. Że pomników tych dzisiaj jest niewiele, to inna sprawa. Przedewszystkiem humanizm pozrywał wszędzie tradycye średniowieczne; dla wieku XVI. wszystko, co nie powstało w jego czasach albo w starożytności, wartości nie miało. Nie troskano się też o losy rękopisów z wieków poprzednich. Do tego przyłącza się drugi powód: wypadki polityczne w wieku XVIII. i przewiezienie bibliotek polskich do Petersburga; ile przy tem rzeczy mogło poginąć, łatwo sobie wyobrazić. Jest o Katarzynie anegdota, że gdy żołnierz skarżył się na to, że książki są za wielkie a półki w szafach nizkie, kazała mu książki w pół poprzecinać i tak poustawiać. Anegdota nieprawdziwa, ale dobrze wyraża losy polskich książek i rękopisów w czasach dawniejszych.

Te więc powody złożyły się na to, że dziś zabytków staropolszczyzny mamy niezbyt wiele, ale i to co pozostało godne jest uwagi i rozpatrzenia.

(C. d. n.).

Stanisław Dobrzycki.

[1] Nawet czasem wspomina o samem kazaniu, jeśli je wygłoszono wśród szczególniejszych okoliczności, np., o kazaniu, które wypowiedział biskup płocki Jakób Kurdwanowski przed grunwaldzką bitwą i rozprawiał o wojnie sprawiedliwej i niesprawiedliwej; albo o kazaniu magistra Pawła z Zatora na pogrzebie króla Władysława Jagiełły.

PEREZ GALDOS I JEGO DZIEŁA.

(Ciąg dalszy).

Trudno jest w skróceniu recenzyjnem oddać w całej pełni postać Nazarina; w oryginale wydaje się z razu bardzo świątobliwy, ale nieco narwany, a zwłaszcza tak oderwany od rzeczy ziemskich, że go ogółowi zrozumieć nie łatwo. W miarę postępu opowieści uduchownienie to potęguje się. Nazarin nie stąpa już po ziemi, ale nad nią płynie, nieskalany prostactwem otoczenia ani brudem moralnych i fizycznych ran, które leczy. W mowie swej prosty bardzo, nawet gdy najwznioślejszych dotyka przedmiotów; nigdy przytem nie wpada w tak zwany ton „popularny", nie okrasza swych zdań konceptami lub dykteryjkami tak zwykłemi w ustach hiszpańskiego ludu. Andarze każe pokutować za grzechy, ale nie dozwala dawnych wspomnień wywodzić, aby snać kropelka starego błota nie zamąciła łez skruchy. Obecnie obrał sobie u szczytu na wpół rozwalonej wieży miejsce dogodne, górujące nad samym zamczyskiem i u stóp jego rozciągającą się równiną. Dobre miejsce na rozmyślanie samotne. Kobiety jednak musiały troszczyć się o życie; Beatryx z dzbankiem schodziła co dnia po wodę ze skały. Raz powróciła mocno wzburzona. U źródła spotkała dawną znajomość, Manuela Pinto, ostatniego z ludzi, którego spotkać pragnęła. Przybył on tu z kilku innymi dla kupna bydła, poznał Beatryxę i jął namawiać, by z nim razem do Mostoles wróciła. „A jeżeli nie przyjdziesz — groził — znajdę ja tam drogę do was na górę, przyjdzie nas

kilku i wyrzniemy twojego apostoła i was". Beatryx nie przyrzekła nic, ale wieczora tego nie śmiała o swej przygodzie powiedzieć Nazarinowi. Przez całą noc toczyła walkę z dawnym wspomnieniem, z obecną pokusą i trwogą przed zemstą Pinta. W końcu przyznała się do wszystkiego Andarze, a z rana już nieco uspokojona poczęła wołać na Nazarina. Ale temu, o dziwo! nie potrzebowała się nawet spowiadać. Z twarzy jej, z ruchów i głosu wyczytał był wszystko. Odpowiedź zaś była tem, czego się można było spodziewać. Nie chciał nawet słyszeć o ucieczce wobec gróźb złego człowieka:

„Czyż nie wiecie — mówił — że właśnie słabi są najsilniejszymi, tak jak najbogatszymi są ubodzy duchem? Nie; ani nam uciekać nie trzeba, ani poddawać twierdzy naszego sumienia. Ta zawsze winna zostawać w całości i nie dawać przystępu trwodze czy przed obelgą, czy prześladowaniem, czy śmiercią.

„Ale nie byłoby źle pomyśleć o obronie — rzekła Andara, której duma i wojownicze instynkta nie godziły się ze zdaniem mistrza. — Choćby tylko nożem od strugania ziemniaków, pokażę ja tym szelmom, że nie tak łatwo mnie zarzną.

„Ja mam nożyczki, ale nie krają — wtrąciła Beatryx.

„A Nazarin uśmiechając się rzekł: Nie trzeba nam ani nożyczek, ani noży, ani strzelb lub armaty, posiadamy lepszą broń przeciw wszelkim siłom, jakieby piekło na nas wyszczuć mogło. Uspokójcie się, pracujcie, jakgdyby nic nie było zaszło i jakbyście się niczego nie obawiały. Niech w sercach waszych będzie wesele, a spokój w sumieniach.

„Nadeszła noc, księżyc oświecił cudnie wysokości niebios. Arab wyszedł na wieżę, skąd jednak patrzał więcej na ziemię, niż w niebo. Toż samo czyniły u dołu kobiety, oparte o szczątek strzelnicy, strwożone i czujne. Z wierzchołka swej odartej baszty podobnej do olbrzymiego zęba, Nazarin usiłował od czasu do czasu wesołem słowem dodać im otuchy. Jak ptak mistyczny bujał po idealnych przestworzach, nie zapominając o rzeczywistości ani o pieczy nad swemi pisklęty. Na skłonach góry panowało najgłębsze milczenie, chwilami przerywane świstem wiatru

wśród ruin, lub ciężkim lotem nocnego ptaka pomiędzy ciernie i skały.

„Nazarin nie tracąc swobodnej myśli, postanowił wszakże, aby wszyscy troje całą noc czuwali. Do północy było cicho, ale wkrótce potem doszło ich od stóp góry szczekanie psów i coś jakoby hałas zmięszanych ludzkich głosów. Tak, ktoś szedł pod górę. Następnie hałas ustał, jak gdyby idący był nazad zawrócił, lecz po chwili, gdy wpół do pierwszej wybiło, wzmógł się na nowo, tym razem wyraźniejszy, jakoby rozmowa trzech lub czterech ludzi, wychodzących pod górę.

„Don Nazarin zstąpił z wieży, aby módz rzecz śledzić z blizka, nie długo jednak stojąc przy odłamie strzelnicy zauważył, że widok doliny powoli się zakrywa. Podnosiła się mgła coraz, coraz to gęstsza tak, że już nic nie można było rozróżnić u dołu; światło księżyca bowiem, rozlewając się w mgle, tworzyło z niej mleczną, przejrzystą zasłonę. Głosy dochodziły już z bardzo blizka.

„W kilka minut mgła jeszcze zgęstniała i rozszerzyła się, obejmując niemal trzecią część wzgórza. Głosy oddaliły się. Po pół godziny obłok okrywał połowę góry. Szczyt jeden pozostał wolny, rzekłbyś, ogromny statek nad oceanem białego puchu. Głosy zamilkły. Nazarin kazał kobietom iść spać, sam zaś czuwał na modlitwie do rana"...

Nazajutrz dowiedzieli się przez karła, który poznawszy ich w kościele, był sobie upatrzył afekt do Andary, że Pinto z towarzyszami szedł już w istocie pod górę, ale że z powodu mgły musiał się wrócić. Karzeł wszakże ostrzegał, aby odeszli czemprędzej, posłyszał bowiem, że im prócz wroga Beatryxy grozi policya. Nazarin tedy postanawia nazajutrz wyruszyć; tymczasem schodzą jeszcze zapracować co na drogę. Długo byłoby opowiadać przygody tego dnia; dość, że wieczorem wracają do zamku obdarci przez jakichś włóczęgów z zarobionych groszaków i chleba, Nazarin z głową zakrwawioną ciśniętym nań kamieniem. Po raz pierwszy od wyjścia z Madrytu przygnębiony jest i smutny: przeczuwa zbliżający się nań ogrom cierpienia. A teraz następuje scena pojmania: radzibyśmy ten ustęp z książki

wymazać. Może to nie razi w Hiszpanii, ale nam trudno doczytać. Jest to żywcem wzięta scena z Góry Oliwnej, scena pojmania Chrystusa Pana! Rzecz pisana poważnie, bez najlżejszego cienia złej intencyi, a jednak niewymownie przykra. Są ludzie, którym przedstawienia pasyjne w Oberamergau wydają się świętokradztwem, bluźnierstwem; ci doznaliby tego samego uczucia, czytając ten rozdział Galdosa. Czyżby cała postać Nazarina miała być jakoby bladem odbiciem najdroższego naszego Zbawiciela, coś w rodzaju znanego obrazu, przedstawiającego Chrystusa wśród otoczenia nowożytnych Żydów? Być może — bo na cóż się południowa pobożność nie ośmieli?

Szczęściem alegorya nie trwa do końca: po długim a nieznośnym pochodzie, umajonym przez rozhulały motłoch tysiącem obelg i nieprzystojnych żartów, żandarmi zamykają obie kobiety w ciemnej ciupie wraz z innymi włóczęgami, Nazarin zaś zawarty osobno, dostępuje zaszczytu długiej rozmowy z alkadem. Ten już nie rości sobie podobieństwa do rzymskiego Piłata i tem bardziej szkoda, że brak miejsca zabrania całej rozmowy przytoczyć. Jest to typ małomiejskiego kacyka, przewodniczącego wspaniale w procesyach i innych ceremoniach bardzo szumnie odprawianych w Hiszpanii, a równocześnie wyznającego głośną nienawiść do klasztorów i księży, wzgardę dla wiary, „rzeczy stosownej dla ciemnego ludu, ale nie dla klas oświeceńszych". Pragnie on wybadać Nazarina i przez samą ciekawość obchodzi się z nim najsamprzód z szyderstwem, a potem z ironiczną grzecznością. Ci dwaj ludzie jednak różnią się całym przestworem, jaki oddziela niebo od ziemi. „Mój panie, — powiada mu w końcu Nazarin — mówisz pan do mnie językiem, którego nie rozumiem. Tego zaś, którym ja mówię, nie mógłbyś pan zrozumieć — przynajmniej nie teraz. Dajmy więc pokój!

„Zgniewany tem urzędnik wraca do szyderstwa gorzkiego, pełnego najdotkliwszych przymówień. Widząc jednak, że więzień milczy i zda się obojętnym na jego słowa, mięsza się nieco i zmieniając system przybiera ton jowialnej poufałości:

„At przyjacielu — mówi, klepiąc go po ramieniu — nie masz się czego trapić. Cierpliwości trochę i basta! Widzisz, nie trza

było apostołować, zwłaszcza z próżnemi rękami, bo to niebezpieczne. Ale i tak się nie bój: w najgorszym razie pójdziesz do domu waryatów, a wiesz, że tam nie biją, bo to już dziś nie w modzie. Będziesz miał umartwienia hygieniczne, to jest bez kija... Mękę i śmierć, ale z czekoladą z Astorgi. Ha! Ha!"

I dalej plecie w tym stylu, ofiarując swoją sympatyę wogóle, a na razie wieczerzę, której Nazarin odmawia... Owa nieproszona sympatya alkada przecież na coś się przydaje, odprowadziwszy bowiem Nazarina do głównej izby więziennej, poleca go względności żandarmów, mówiąc, że „jegomość prorok dał mu słowo, że nie ucieknie". Po nocy spędzonej po części na modlitwie, w dusznej atmosferze więziennej, rozpoczyna się pochód w stronę Madrytu: na przedzie Nazarin obok starego żebraka, wiodącego dziewczynkę, o której pochodzenie wdrożono śledztwo. Dalej obie kobiety, a za niemi spętani jeden do drugiego, dwaj zbóje, ci sami, którzy je w dzień poprzedni zrabowali i Nazarina zranili; z tych jeden ujęty za ojcobójstwo, drugi za kradzież w kościele. W tylnej straży żandarmi z nabitymi karabinami. „Smutna karawana wyruszyła pełnym kurzu gościńcem. Szli milczący, każdy zamyślony o własnych sprawach tak bardzo, bardzo odmiennych!... Każdy niósł w głowie swój świat osobny, a wieśniacy i inni ludzie, patrzący na nich w przechodzie, podciągali ich wszystkich pod jedno potępienie: Włóczęgi, rozpustnicy, złodzieje".

Pochód więźniów zajmuje piątą, ostatnią część książki. Ciekawemi tu, a raczej zabawnemi są zwierzenia starego żebraka, szeptane Nazarinowi: twierdzi on, że początkiem jego nieszczęść był upadek gabinetu Canovasa, wskutek którego zostało zwinięte jego biuro komisowe do spraw tajemnych. Dla Nazarina jednak bajania te są nudnym dodatkiem do fizycznego trudu, do ogólnego rozstroju, który z każdą chwilą coraz bardziej czuć się daje. Towarzysze niedoli urągają mu, zwąc go prorokiem, a obie niewiasty Nazarystkami. Z tych jedna, Beatryx, idzie z dobrej woli, „dla kompanii"; tylko bowiem Andara i z łaski jej Nazarin poszukiwani byli przez policyę. „Ciężkim był pierwszy dzień drogi, zwłaszcza że nie chcąc nocować w Villamanta, gdzie

dotąd panowała zaraza, poprowadzono ich jednym tchem do Navalcarnero. Obaj złoczyńcy klęli, wyzywając całe piekło, w połowie drogi rzucili się na ziemię nie chcąc iść dalej, aż żandarmi groźbą musieli zwalczyć ich upór. Dziad wlókł się z trudnością mrucząc plugastwa bezzębnemi usty; Nazarin i jego towarzyszki usiłowali nie okazywać zmęczenia i nie skarżyli się, pomimo że kobiety po kolei nosiły biedną dziewczynkę. Doszli wreszcie na wpół nieżywi; była już późna noc. Wyborna budowa więzienia w Navalcarnero dozwoliła żandarmom odpocząć, a więźniów, po rozdaniu im strawy pozamykać w oddzielnych lokalach, mężczyzn osobno, a osobno kobiety. Nazarin przepędził noc haniebną w ciemności więziennej, wśród najpodlejszych złoczyńców, oprócz bowiem obu towarzyszy pochodu, było ich jeszcze trzech, podśpiewujących i prawiących rzeczy bezwstydne. Zdali się opętani szałem grubiaństwa. Powiadomieni przez nowo przybyłych o charakterze duchownym Nazarina jęli sobie układać fantastyczny jego życiorys, czyniąc zeń religijnego szalbierza i awanturnika. Komentowali głośno szatańskie zasady, z jakich, w ich mniemaniu, miała się składać jego nauka. Co zaś do kobiet, które mu towarzyszyły, jeden twierdził, że były zbiegłemi mniszkami, drugi, że rzemiosłem ich było przechowywanie pieniędzy, kradzionych po kościołach dewotkom. Nie podobna powtórzyć bezeceństw, ciskanych w twarz biednemu księdzu; zwano go papieżem cyganów, mówiono, że roznosił we flaszeczce proszek, którym po wsiach zatruwał studnie i wywoływał ospę... Głupie to i wstrętne błazeństwo doszło do szczytu, gdy zażądali, aby im odprawił karykaturę mszy na sposób satanistyczny; grozili ubiciem go, jeżeli natychmiast nie rozpocznie piekielnego obrzędu z ceremoniami i rytuałem łacińskim, poprzekręcanym, ale podobnym do Przenajświętszej Ofiary. I poczęli klękać z śmiesznym udawaniem modlitwy i bić się pięścią w plecy wrzeszcząc *mea culpa, mea culpa* na różne piskliwe tony.

„Wobec tak zwierzęcych bluźnierstw, niedotyczących już jego osoby, ale świętej wiary, opuścił Nazarina zwykły jego spokój. Płonący świętym gniewem, pełen najwznioślejszej godności powstał nagle i zgromił otaczający go motłoch:

„Nieszczęśni, straceni, ślepi, lżyjcie mnie wiele chcecie, ale wara od naruszania majestatu Boga, który was stworzył, który wam dał życie nie na to, byście mu urągali i klęli, ale służyli niem Jemu i bliźnim waszym! Usta wasze zioną zgnilizną waszych dusz, plugastwo słów waszych powietrze zatruwa. Ale macie jeszcze czas do poprawy; nawet dla tak zakamieniałych grzeszników nie jest zapartą droga skruchy, ani wyschniętemi źródła przebaczenia. Nie traćcie czasu, nie, gdyż rany dusz waszych ciężkie są i głębokie. Wróćcie do prawdy, do cnoty, do niewinności. Ukochajcie Boga, Ojca waszego, i człowieka, waszego brata; nie zabijajcie, nie bluźnijcie, nie mówcie fałszywego świadectwa, nie bądźcie nieczystymi w mowie ni w czynie. Obelgi, którejbyście nie wyrządzili bliźniemu silnemu, nie wyrządzajcie bliźniemu bezbronnemu. Bądźcie ludzcy, litościwi; unikając grzesznej mowy, unikniecie i złego czynu, a wyzwalając się od złych czynów, wyrwiecie się i z więzów zbrodni. Wiedzcie, że ten, co skonał na krzyżu, wycierpiał zelżywości i ból, dał krew swą i życie, aby was ratować od złego. A wy ślepi, wyście Go powlekli na Golgotę, wyście boską skroń Jego cierniem uwieńczyli; wyście go oplwali, ubiczowali, przybili do drzewa sromoty! Teraz więc, jeśli nie uznacie, żeście Go zabili, że nie przestajecie mordować Go, lżyć i biczować, jeśli się nie uznacie winnymi, nie zapłaczecie gorzko nad sobą i nie uciekniecie się prędko do nieskończonego miłosierdzia Jego, wiedzcie, że niema dla was przebaczenia, że was czekają ognie piekieł na wieki!

„Wzniosłym a strasznym zdał się błogosławiony Nazarin podczas swej oracyi, wygłoszonej z całym ogniem i powagą wymowy kościelnej. W więzieniu nie było światła, tylko promień księżyca, który wpadając z wysoka przez kraty, oblewał mu twarz i ramiona i dziwną je oblekał pięknością. Pierwszem wrażeniem, wywartem na złoczyńcach, było osłupienie i trwoga. Zamilkli zmięszani. Ale to trwało krótko; zło zbyt głębokie miało w ich duszach korzenie. Po chwili ozwały się znów plugawe obelgi. Jeden z łotrów, ów ojcobójca, najzuchwalszy ze wszystkich, zerwał się z podłogi i podszedł do stojącego wciąż Nazarina, mówiąc: Ot jam właśnie biskup i bierzmuję cię — masz!

„I mówiąc to: ‚masz', dał mu tak silny policzek, że wątłe ciało Nazarina runęło na ziemię. Ozwał się jęk, a za nim dobywające się z piersi upadłego i zelżonego jakieś tony chrapliwe — może głos zemsty... Był człowiekiem i chwilami człowiek musiał w nim odezwać się, gdyż cierpliwość i miłość acz zakorzenione głęboko, nie były jeszcze pochłonęły wszystkich żywotnych soków ludzkiej namiętności. Straszną lecz krótką była walka w jego woli stoczona między człowiekiem a aniołem. Jęk ozwał się po raz drugi, westchnienie wyrywające się z samej głębi wnętrzności. Gawiedź się śmiała. Czegóż spodziewali się po Nazarinie?... Że rozgniewany na nich się zwróci i nie mogąc zdzierżyć im pięścią, rzuci im do ich własnych podobne obelgi i bezeceństwa? — Mogli tak myśleć przez chwilę, widząc, że podniósł się na kolana, twarz i piersi schylając do ziemi, jak kot gotujący się do skoku. Nareszcie wstał, wzdychając znowu.

„Odpowiedź na poniesioną obelgę była wpół niebiańska, wpół ziemska — inaczej być nie mogło.

„Jeśli wam powiem, że wam przebaczam, będziecie mnie mieli za tchórza takiego jak wy sami... A jednak muszę wam to powiedzieć! Trzeba wychylić kielich... Po raz pierwszy w życiu trudno mi powiedzieć wrogom moim, że im przebaczam; a jednak powiadam, powiadam choć tak na zimno, dlatego, że jest moim obowiązkiem powiedzieć... Wiedzcie więc, że wam przebaczam, ale wiedzcie też, że wami gardzę i że się czuję grzesznym, nie mogąc wzgardy oddzielić od przebaczenia.

„Ano to za przebaczenie masz! — odparł ojcobójca uderzając go znów, ale nieco mniej silnie.

„A za pogardę — masz!

„I wszyscy, prócz jednego, rzucili się nań ze śmiechem szyderczym, bijąc po twarzy, po głowie, po plecach, po piersiach. Był to nie tyle gniew i okrucieństwo, ile raczej gruby, brutalny żart; uderzenia bowiem nie były gwałtowne, dość silne jednak, aby okryć sińcami ciało nieszczęsnego księdza. Ten zaś walczył sam ze sobą dzielniej niż za pierwszym razem, gorąco wzywając Boga, skupiając całą moc swego ducha, cały ogień swojej miłości: poddawał się ciosom bez skargi i bez oporu.

Znużyli się wreszcie haniebną zabawą, zostawiając go na ziemi bez ruchu i siły. Nazarin nie wymówił ani słowa; słychać było tylko, jak ciężko oddychał. Złoczyńcy milczeli także, jakby w ich duszach czyniła się jakaś reakcya powagi po dzikich wybuchach rozkiełznanej swawoli. Po brutalnych, niekiedy krwawych żartach, na które i gniew i śmiech pusty się składa, przychodzi zazwyczaj u zakamieniałych zbrodniarzy napad ponurej melancholii. Przez chwilę tedy słychać było tylko ciężki oddech Nazarina oraz chrapanie starego żebraka, który nieświadom całej burdy, spał sobie głęboko a smacznie.

„Pierwszy przerwał milczenie Nazarin; podniósł swoje zbolałe członki i rzekł:

„Teraz tak, teraz... po waszych nowych obelgach, Pan Bóg pozwolił mi odzyskać siebie samego i tu mnie macie bez gniewu, bez nienawiści i zemsty. Teraz przebaczam wam, bo tak chce Ojciec nasz, który jest w niebiesiech i już wami nie gardzę, bo Ojciec nasz nie chce, ażebym gardził — lecz abym was kochał. Jesteście drogimi braćmi moimi i tak mnie bolą grzechy wasze i niebezpieczeństwo dusz waszych, że gdyby was to mogło skłonić do skruchy, poszedłbym chętnie na męki, na sromotę i na śmierć.

Znów cisza, bardziej jeszcze ponura niż poprzednia, gdyż nawet chrapanie żebraka ustało. Minęła chwila oczekiwania i niepewności, podczas której poruszone sumienie zbrodniarzy falowało gwałtownie. Nakoniec podniósł się głos, jedyny, który był milczał wśród ogólnego chóru przekleństw i błazeństwa, głos kościelnego złodzieja, jednego z towarzyszy pochodu:

„A ja powiadam — rzekł nie ruszając się z kąta, gdzie leżał — że lżyć i napastować człowieka bezbronnego, jest niegodnem przyzwoitych ludzi *(no es de caballeros)*, a jeśli mnie kto przyciśnie, to powiem, że jest godnym łotrów i paskudziarzy. A no jeśli kogo świerzbi, to niech się drapie, ale ja każdemu powiem, co się należy, i nikt mi gęby nie zamknie. Co sprawiedliwe, to sprawiedliwe, a to co właściwy rozum człowiekowi wykaże, to wypowiedzieć powinien. A więc... teraz już wiecie

i wiecie także, że com raz powiedział, to utrzymam, czy tu czy gdzieindziej.

„Milczałbyś śledziu jakiś — odparł jeden z tamtych. — My cię znamy. To mi się wybrał z obroną klechy!

„Wybrałem się, bo mi się tak podoba — rzekł pierwszy, powstając, z ponurym spokojem. — Bo chociaż zły, zawszem bronił biednego, upadłego nigdym nie uderzył, a gdym głodnego widział, tom sobie chleb od ust odjął. Nędza doprowadza człowieka do tego, czem jesteśmy, ale że się weźmie coś, co nie swoje, to przecie nie racya, aby już nie mieć litości.

„Cicho siedź trutniu! co to nie masz śmiałości jak tylko wedle ubliżenia twoim kumotrom? — ozwał się ojcobójca. — A zawsze świętoszka udajesz. Widzisz go! jakbyś to umiał co innego jak kraść po kościołach, tam gdzie człowiek nie nadstawia skóry, boć malowania nic nie mówią, kiedy się je obdziera ze srebra, a cymboryum i monstrancya ani się poskarżą, kiedy się je wynosi...

„I rozpoczyna się wymiana pięknych słów, w końcu której złodziej kościelny stanąwszy dumnie w pośrodku izby, wyzywa przeciwników:

„*Ea caballeros!* Milczeć i słuchać co powiem. Wiedzcie i pamiętajcie, że tego tu człowieka będę bronił, jak żeby mi był ojcem; wiedzcie, że między tylu gałganami, łotrami, złodziejami jest jeden złodziej uczciwy, który że ma chrześcijańską duszę, staje po stronie tego, który milczy, kiedy go lżycie, znosi cierpliwie, gdy go poniewieracie i zamiast wam złorzeczyć — przebacza. I abyście zrozumieli i wściekali się, powiem jeszcze, że ten człowiek jest dobry, że go mam za świętego i że ja odpowiem każdemu, coby śmiał o tem wątpić. No, cóż kanalie, czy jest taki, coby mi zaprzeczył? Niech się pokaże ten, co przeczy, a niech się i wszyscy naraz pokażą, to zobaczą, com zacz!...“

Dosłyszeli nakoniec hałas żandarmi i drzwi otwarli. Złoczyńcy usiłowali winę złożyć na księdza, który wywołał burdę prawiąc im kazania.

„Nieprawda! — odrzekł rezolutnie złodziej kościelny. — Ksiądz nie winien. To ja miałem kazanie“.

Żandarmi łajaniem i groźbą w parę minut przywrócili porządek, poczem przymusowa cisza zapanowała w więzieniu... Później już, gdy reszta łotrów zasnęła, złodziej kościelny usiadł obok Nazarina, ale nie mówiąc doń, jakby mu uszanowanie zamykało usta. Ksiądz zrozumiał jego onieśmielenie i rzekł:

„Bóg świadkiem, że ci jestem wdzięczny za twoją obronę, ale nie chcę, abyś się dla mnie narażał.

„Panie! dziękować niema za co, zrobiło się, ot, tak samo z siebie.

„Zlitowałeś się nademną, oburzyłeś się na okrucieństwo drugich. To znak, że twoja dusza nie całkiem zepsuta i że, jeżeli zechcesz, możesz się zbawić.

„Panie! — odrzekł tamten z prawdziwą boleścią. — Jestem bardzo niegodziwy i nie jestem wart nawet, abyś ze mną mówił.

„Czyż tak bardzo jesteś niegodziwy, tak bardzo?

„O! strasznie, strasznie!

„Zobaczymy to, zobaczymy. Wieleżeś razy ukradł? Czy tak ze... czterysta razy?

„Nie tyle. W kościele nie więcej jak trzy razy, a z tego raz drobnostkę... prawie nic... kij św. Józefa!

„A zabójstw wiele było? Czy z ośmdziesiąt tysięcy?

„Dwa, nie więcej. Raz przez zemstę, bo mnie napastowali a drugi raz z głodu. Było nas trzech, którzy...

„Złe towarzystwo nigdy nic nie przyniosło dobrego. I cóż czy patrząc w tył i myśląc o twych występkach, rad jesteś, żeś je popełnił?

„Nie, panie.

„Czy ci są obojętne?

„Nie, panie.

„Jest ci przykro?

„Tak, przykro... Czasem tylko troszeczkę... nie bardzo. Przyjdą tamci, a każdy tylko o złem myśli, więc i zapominam o smutku. Czasem znów jest mi przykro bardzo... a dziś mi najgorzej.

„Dobrze. Czy masz matkę?

„Jakbym jej nie miał. Moja matka bardzo zła. Za złodziej-

stwo i zabicie dziecka już od dziesięciu lat siedzi w kryminale w Alcala.

„O mój Boże! A reszta rodziny?

„Nie mam żadnej.

„I chciałbyś zacząć inne życie... nie być złoczyńcą, nie mieć na sumieniu żadnego ciężaru?

„Chciałbym... ale człowiek nie może... Drudzy go ciągną... a potem nędza...

„Nie myśl o nędzy ani się o nią troskaj. Jeżeli chcesz być dobrym, wystarcza, abyś powiedział sobie: chcę nim być. Jeżeli znienawidzisz twoje grzechy, to choćby najcięższe były, Bóg je przebaczy.

„Czy ksiądz jesteś tego pewien?

„Najpewniejszy.

„Czyż doprawdy? I co mam na to zrobić?

„Nic.

„I człowiek może być zbawionym za nic?

„Za nic, byle żałował za grzechy i do nich nie wracał.

„Nie może być tak łatwo, nie może być. A pokuta... będę musiał odbyć ciężką pokutę.

„Nie potrzeba nic więcej, jak żebyś znosił twoje nieszczęście i poddał się karze, jeżeli cię sprawiedliwość ludzka potępi.

„Ale mnie poszlą do kryminału, a w kryminale człowiek uczy się wielu gorszych rzeczy od tych, które pierwej umiał... Niech mnie puszczą wolno, to będę uczciwym.

„Na wolności tak samo jak w więzieniu będziesz tem, czem być zechcesz. Widzisz: na wolności byłeś bardzo nieuczciwym. Dlaczego boisz się nim być w zamknięciu? Człowiek się odradza przez cierpienie. Naucz się cierpieć, a wszystko wyda ci się łatwem.

„Nauczy mnie ksiądz?

„Nie wiem, co ze mną zrobią. Nauczyłbym cię, gdybym został z tobą.

„Chciałbym zawsze z księdzem pozostać.

„To bardzo łatwo. Myśl o tem, co ci mówię, a będziesz ze mną.

„Jakto? przez samo myślenie?

„A przez samo. Widzisz, że to łatwo.

„Gdy to mówili, światło jutrzenki przedzierało się przez wysokie kraty..."

Beatryx i Andara przepędziły część nocy we łzach. Beatryx zwłaszcza płakała, nie nad swym losem jednak, gdyż właściwie była wolną i mogła do domu powrócić. Ale teraz dopiero, gdy miała utracić opiekę i kierownictwo swego mistrza, zdało się, że nauki jego do głębi jej serca przenikły, że pojęła całą okropność swych grzechów i zapragnęła je nietylko łzami ale krwią wymazać. U Andary występek większe był w duszy poczynił szkody: gwałtowna jej natura łamała się jeszcze o żelazne zapory obowiązku; gniew i gorączka czynu, szalona żądza oporu targały jej duszę wobec tego, co jej się niesprawiedliwością ludzką wydało.

Strach i żal porwał je obie, gdy nazajutrz ujrzały Nazarina ze śladami uderzeń na czcigodnej twarzy, z sińcami i bliznami na rękach, z wyrazem bolesnego znużenia w całej postaci.. Karawana wyruszyła w tym samym porządku jak dnia poprzedniego, z tą tylko zmianą, że teraz Nazarin prowadził za rękę dziewczynkę. Po drugim jego boku szła Beatryx, której w krótkich słowach opowiedział co zaszło, przyznając się pokornie do gniewu, który nim był wstrząsnął przez chwilę, zachwalając z wdzięcznością dzielność więźnia, który powstał w jego obronie. „Błogosławione ciosy — zawołał w końcu — błogosławione obelgi, które na mnie spadły, jeżeli przez nie odzyskam Bogu tego człowieka!..."

Tego dnia droga wiodła ich przez Mostoles, rodzinną wieś Beatryxy, lecz ta ani w niej pozostać chciała, ani odpowiadać na srogie wyrzuty czynione jej po drodze przez znajomych i krewnych podburzonych przez Pinta. Więźniów na noc zamknięto w noszącej miano więzienia starej szopie o dziurawym dachu i spróchniałych ścianach. Zaledwie go umieszczono w owej podłej dziurze, Nazarin poczuł w sobie zimno okrutne tak, jakby go zamykali w lodowni lub w jakimś mroźnym czyścu, a równocześnie srogi ból we wszystkich kościach. Rzucił się na ziemię

i owinął w swoją opończę, ale wkrótce opanowało go nieznośne gorąco: w tym czyścu z lodu wychodziły płomienie. „To gorączka — pomyślał — silna gorączka, ale to przejdzie". Nikt nie przybliżył się doń i nie zapytał czy chory; przyniesiono mu blaszany talerz ze strawą, ale nie chciał skosztować... Z nadejściem nocy stan jego się pogorszył; poczucie samotności i opuszczenia ciężyło nad jego duszą, miał ochotę płakać jak dziecko. Czuł, że naraz opuszcza go wszelka siła moralna; jął prosić Boga o pomoc do zniesienia dalszych goryczy i moc ducha powróciła na nowo, ale z większem powiększeniem gorączki. Odtąd już począł majaczyć, nie wiedział dobrze, czy przez sen czy na jawie słyszał głos Andary przygotowującej ucieczkę, czy potem widział, jak ktoś wysuwał się dziurą od dachu, czy naprawdę sam ucieczki odmówił, zaczem i Andara i obrońca jego, złodziej kościelny, w więzieniu zostali... Czytelnik równie nie może odgadnąć, co tu było rzeczywistością a co maligną...

Na chwilę przytomność wróciła, ale niezupełna. Zdawał sobie sprawę, że jest chory, że go wyprowadzają z więzienia, lecz mu się zdało, że go powrozem wloką po kamienistej drodze, kędy mu nogi się krwawią. I znowu zapadł w gorączkowe widzenie, ale tym razem śniła mu się jakaś nadpowietrzna walka złych i dobrych duchów, straszny bój, w którym w końcu anieli odnieśli zwycięstwo. Obudził się na drodze, na prawdziwej drodze, wśród tego samego otoczenia co wczoraj. Silił się, aby iść; krople potu ściekały mu z czoła, w głowie czuł, jakoby walącą pochodnię, we wszystkich członkach ociężałość niewypowiedzianą. Nogi słaniały się pod nim, a ze stóp skrwawionych szmaty skóry zostawały na kamieniach gościńca. Andara i Beatryx ujęły go na ręce. Co za ulga być tak unoszonym w powietrzu, jak piórko niesione przez wiatr! Po chwili, niewiasty się zmęczyły i wtedy złodziej kościelny wziął go w objęcia jak dziecko, mówiąc, że poniósłby go nietylko do Madrytu, ale na koniec świata. Żandarmi zaś litowali się nad nim i usiłowali go pocieszać: „Nie bójcie się Ojcze, wypuszczą was tam jako waryata. Dwie trzecie oskarżonych, którzy przechodzą przez nasze ręce, uchodzą kary jako waryaci, nawet jeżeli zasługują na karę. I choćbyście byli

świętym, nie jako świętego was uwolnią, ale jako waryata, boć teraz pono szaleństwo bardzo nad rozsądkiem góruje i szaleństwem tylko może się człowiek odznaczyć czy to u góry, czy u spodu!"

„Następnie Nazarin poznał, że wstępują w ulicę wiodącą pod górę a na niej ujrzał ludzi zatrzymujących się, aby się przypatrzeć jemu niesionemu przez drugiego więźnia, kobietom i reszcie nieszczęśliwych zebranych przez żandarmów po drodze. Podobnie jak przedtem nie zdawał sobie sprawy czy to, na co patrzył było prawdą czy snem. Przy końcu ulicy ujrzał wznoszący się ogromny krzyż i myśl, że doń zostanie przybity, zalała mu duszę radością. Lecz była to chwila tylko, ocknął się natychmiast i rzekł: „Nie zasłużyłem, Panie mój, nie zasłużyłem na tę największą chwałę, aby na krzyżu twoim umierać. Nie pragnę tego rodzaju męki, kędy szubienica zamienia się w ołtarz, a konanie w apoteozę. Jestem najniższym ze sług bożych i pragnę umrzeć zapomniany, nieznany, bez otaczającego mnie tłumu i sławy wieńczącej moje męczeństwo. Pragnę, aby nikt konania mego nie widział, aby nikt o mnie nie mówił i nie litował się nademną... Niech katów moich nikt nie prześladuje ani nienawidzi, niech jeden Bóg mnie wspomaga i przyjmie do siebie... Nie chcę, aby o mojej śmierci drukowano w gazetach, aby się stała głośnym faktem, ku zgorszeniu jednych a zabawie drugich. Niech mnie zabiją bez hałasu i zakopią jak psa".

Ledwie to wyrzekł, zniknął z przed jego oczu krzyż i ulica i ludzie, a po przeciągu czasu, którego zmierzyć nie zdołał, poczuł się zupełnie samym. Gdzie się znajdował? Miał wrażenie, że się budzi z głębokiego snu. Patrzał i patrzał dokoła i nie mógł odgadnąć gdzie jest — czy jeszcze w życiu ziemskiem, przejściowem, czy już w dziedzinie wieczystej?... Zdawało mu się, że umarł, to znów, że jeszcze jest żyw. Gorące pragnienie odprawienia Mszy św. i połączenia się z Prawdą przedwieczną, napełniło mu duszę i w tej samej chwili ujrzał się w szatach kapłańskich przed ołtarzem białym jak śnieg, przeczystym, jakby nie ludzką dłonią ubranym. Jął odprawiać świętą Ofiarę z naj-

głębszem przejęciem, a gdy wziął Hostyę do ręki, Boski Jezus przemówił doń:

„Synu mój! jeszcze żyjesz. Jesteś w świętym moim szpitalu, i cierpisz dla mnie. Towarzysze twoi, łotr i obie grzesznice, którzy nauk twych strzegą, znajdują się w więzieniu. Nie możesz odprawiać świętych obrządków, nie mogę być z tobą Krwią i Ciałem obecny — ta Msza jest wytworem twego chorego umysłu. Odpocznij — dobrześ na to zasłużył. Uczyniłeś już nieco dla mnie. Nie zniechęcaj się. Ja wiem, że jeszcze wiele więcej uczynisz".

I na tem kończy się książka... Może jednego zgorszy, drugiego zbuduje, lecz bez wyjątku każdego zadziwi. Nazarin mógłby pójść do pary z „świętą dziwną", opisaną przez Skargę, a jednak słodka ta postać przyciąga do siebie i pociąga w górę; a czegóż więcej można żądać od książki? Prawdopodobnie dowiemy się jeszcze kiedyś o dalszym ciągu losów Nazarina. Jest to, o ile wiemy, ostatnie dzieło Galdosa wydane w r. 1895. Znając jego sposób pisania, można się drugiej i trzeciej części spodziewać. Tak bowiem się dzieje prawie z każdą jego powieścią. Nawet zupełnie sobie obce głównym przedmiotem treści, mają niektóre punkta styczności; osobistości znane z poprzednich dzieł występują w nich, choćby na drugim planie. Ujmuje to autorowi poniekąd pracy, ma już bowiem charakterystykę założoną pierwotnie, którą mu tylko rozwijać przychodzi. Czasami wprawdzie pomimo to powtarza się: nie w opisach ani faktach, ale w zdaniach, gdyż bywa, że dwa razy z rzędu w odmienny sposób to samo powiada. Nawet Nazarin w swych przemowach w więzieniu mówi zbyt długo: prawdziwi złoczyńcy nigdyby mu nie dali takiej oracyi dokończyć. Obie grzesznice też zanadto występują na pierwszy plan; polski czytelnik wolałby nie widzieć ich wcale, pomimo że w książce traktowane są wyłącznie, jako dusze. Milszym daleko jest łotr nawrócony...

Galdos widocznie nie miał zamiaru swego bohatera podać czytelnikom duchownym jako przykład do naśladowania we wszystkiem, ani obrazem jego wyrzeczenia stworzyć pamflet

przeciw posiadaniu beneficyów i normalnemu życiu księży. Umyślnie nawet wlał w Nazarina arabską krew, aby nam wytłumaczyć marzycielski, mistyczny pierwiastek jego umysłu, rozwinięty dopiero ciepłem objawienia.

III.

Najciekawszym może w pismach Galdosa jest ten rzadki w naszych czasach, nastrój religijny. Nie we wszystkich jednak powieściach w tym stopniu napotkać go można. Niema go np. lub przynajmniej bardzo mało w romansie dwutomowym *La Desheredada* (Wydziedziczona), jednym z najbardziej charakterystycznych i z największem życiem skreślonych. Szkoda tylko, że epizody drastyczne, choć niesłychanie dyskretnem traktowane piórem, zbyt wiele zajmują miejsca: mają one niby wzmacniać i udowadniać tezę moralną, tu wyjątkowo wybitną. Są to znów dzieje dziewczyny, córki Tomasza Rufete, pożeranego ambicyą urzędnika, który przechodząc z jednej kancelaryi ministeryalnej w drugą, jako podrzędne kółko maszyny państwowej, dostał zawrotu głowy od wiru i huku wielkich spraw i skończył życie w zakładzie obłąkanych, obracając uporczywie w myśli olbrzymie sumy, których nigdy policzyć nie zdołał. Z jego słów Izydora powzięła przekonanie, że tak ona, jak i jej młodszy brat Mariano, nie są dziećmi Tomasza Rufete, ale powierzonemi mu do wychowania, wnukami bogatej margrabiny de Aransis. Jedyna córka tejże, niegdyś uciekła z domu, dokąd dopiero przed swoją śmiercią wróciła, zostawiając w obcej opiece dwoje dzieci, zrodzonych z zabronionego przez rodzinę związku. Po zgonie Tomasza Rufete, brat tegoż, dość zamożny stary kawaler, przezywany na żart „kanonikiem“, potwierdził jeszcze Izydorze jego słowa, dał jej papiery zawierające dowody jej pochodzenia, zaopatrzył ją w pieniądze i wyprawił do miasta dla odzyskania dziedzicznych praw. Dziewczyna piękna jak słońce, obdarzona zmysłem estetycznym i potwornie rozwiniętą wyobraźnią, chwyta z uniesieniem myśl o własnej wielkości. Co dziwniejsza, nabiera jakoby siłą autosuggestyi różnych arystokratycznych instynktów, nie nabierając wszakże szlachectwa duszy. Zamieszkała wśród

niebogatej rodziny swego ojca chrzestnego D. Josè de Relimpio, gardzi mieszczańską prostotą ich zwyczajów i pojęć. Gardzi również niesmacznym zbytkiem, roztaczanym przez starszego syna, Melchiora Relimpio, prawdziwej pijawki wysyssającej krew i mienie z sióstr i rodziców: matka je mało albo nie je wcale na to, by Melchior mógł palić lepsze cygara, ojcu odmawiają przy stole kieliszka wina na to, by Melchior mógł iść do eleganckiej cukierni na kawę; dla ojca też przerabiają się w domu znoszone suknie synalka... Bo też ten ojciec to niebożątko, człowiek, któremu natura nie dała żadnych środków obrony, coś jakoby ptak bez dzióba i szponów. Izydora od pierwszego dnia zyskuje jego wielkie, zbyt poczciwe serce i czyni zeń niewolnika. Pilno jej wszakże uściskać brata, który pod opieką starej ciotki Encarnacion, mieszka gdzieś na przedmieściu i chodzi na robotę do fabryki sznurów. A ta stara ciotka, co za typ! Wysoka, chuda, mieszczka o starożytnych pojęciach, zakochana w pamięci królowej Krystyny, umiejąca silną pięścią przygarnąć biednego i wygrzmocić impertynenta. Zwią ją *Sanguijuelera* od *sanguijuela* (pijawka), stara bowiem, oprócz innych przedmiotów, trzyma na sprzedaż pijawki. Mariana strzeże pilnie i z dobrego serca do pracy pędza, łając go przytem nazwą *Pecado*, co też chłopcu jako przydomek zostaje. Opis fabryki sznurów jest żywy: Izydora wraz z ciotką wchodzą w rodzaj tunelu nizkiego, zawalonego zwojami konopi i gotowych sznurów, zasłanego grubą warstwą drobnych oderwanych włókien, których mnóstwo też unosi się w powietrzu, „rzekłbyś upiory zmarłych owadów lub niespokojne duszyczki motyle“. W środku, przez całą długość tunelu, którego koniec gdzieś ginie w ciemnościach, wije się „dzisiejsza robota“, sznur biały i gruby, a wije się ze zgrzytem bolesnym i bolesnym ruchem, jakoby żywa, męczona istota. Z głębi dochodzi huk głuchy niby olbrzymiego bąka. „To koło“, objaśnia dziewczynę stara Encarnacion.

„Koło? A gdzież Mariano?“

„Patrzała na wszystkie strony i nie widziała żywego ducha. Ale wkrótce zarysował się wśród ciemności człowiek idący w tył bardzo powoli, krokiem równym, miarowym, rzekłbyś ma-

szyna. Około bioder miał gruby zwój konopi, z którego wyciągnięte ręką prawą a zręcznie zakręcane lewą, snuło się pasmo włókna zamieniające się natychmiast w przędzę, siłą niewidzialnego mechanizmu. Ten człowiek chodzący w tył, żywy kłębek i kądziel dwunożna był głównym robotnikiem fabryki, przędzącym nici, z których sznur miał się tworzyć.

„Ale gdzież jest mój brat? — pytała Izydora z niepokojem".

Staruszka wskazała ciemną głębię, odpowiadając ze strasznym lakonizmem: „W kole". I szły dalej trzymając się wzajemnie, aby nie upaść wśród piętrzących się przeszkód. W końcu doszły do samej maszyny. Izydora poczęła wołać imię Mariana, ruch koła zwolnił się nieco, potem na rozkaz starszego znowu przyspieszył. Chłopak widocznie usłyszał, ale roboty wstrzymać było niepodobna; straszny huk maszyny zagrzmiał na nowo.

Kobiety zamilkły, po chwili jednak oczy ich poczęły do ciemności przywykać, a wtedy Encarnacion wskazała siostrzenicy dwa ogniste punkciki, błyszczące przy samem kole. „Widzisz te iskierki? To jego oczy".

Izydora zwróciła się w tę stronę; istotnie brat patrzył na nią.

Wkrótce wybiło południe, robota ustała.

Izydora byłaby mądrze postąpiła, zostawiając brata surowej, ale poczciwej opiece, ciężkiej, ale zdrowej pracy. Na nieszczęście myśl o margrabiowskiej koronie zapełniała jej głowę. Mariana trzeba było wyrwać z otoczenia gminnego, oddać do szkół, wychować na panicza. Gdy się z tem i ze swemi nadziejami dziedzictwa zwierzyła starej ciotce, ta zrazu ją wyśmiała, potem jęła wątpić, czy nie oszalała, a w końcu chwyciła kija i Jaśnie wielmożną panią margrabinę *in spe* wytłukła na kwaśne jabłko. Nie uratowało to Mariana. Przestał pracować i zanim siostra zdołała go umieścić w kolegium, po całych dniach się włóczył i bawił, jak prosty ulicznik. I stało się dnia pewnego, że dowodząc pochodem tryumfalnym kilkudziesięciu rówieśników, uzbrojonych w drewniane pałasze, pogrzebacze i kijki, a zdobnych w rycerskie przybory z tektury, spotkał się z drugą podobną swojej falangą. Wszczęła się kłótnia o cenne trofeum,

papierowy kapelusz stosowany, strojny w kogucie pióra; obie strony jęły się wyzywać na wzór bohaterów Homera, potem od słów przyszło do kamieni, wreszcie między obu wodzami rozegrał się pojedynek, niestety nietylko na pięści! W zapale walki Mariano pochwycił swój nóż i, zaledwo wiedząc co czyni, zanurzył aż po rękojeść. Przeciwnik padł konający wśród krzyku ogólnego oburzenia. Pecado zaś, oprzytomniawszy uciekł; przez chwilę, wpadłszy za parkan, bronił się zajadle przeciw gnającemu go pospólstwu i policyantom, potem znów uciekł i schronił się w ciemną paszczę, z pod której wypływały mętne wody miejskiego kanału. Tu już nikt dosięgnąć go nie mógł, ale mur gniótł mu głowę, nogi ziębły w wodzie, a nadto Mariano był tylko dzieckiem; przed groźbami strzelb i bagnetów się nie uląkł, ale widok dwóch podawanych mu pomarańcz go zachęcił, wyskoczył po nie i wpadł w same objęcia policyanta. Policyant uśmiał się, ale za to prasa urzędowa i nieurzędowa bardzo tragicznie jęła na mocy zaszłego faktu traktować kwestyę o zepsuciu młodzieży, przypominać różne podobne wypadki, zaszłe w Walencyi, Maladze i Madrycie. Zaalarmowali się ojcowie narodu; poczęto wyznaczać ankiety, mianować komisye, słynni mowcy pięknemi oracyami nową zyskali sławę, niektóre nawet zupełnie świeże gwiazdy ukazały się na oratorskiem niebie. Prawiono o założeniu szkół, domów poprawczych, więzień praktycznych, o systemie celularnym, wspólnym, prostym lub skomplikowanym, aż w końcu wyczerpało się wymowy. „Zabawka stara poszła w zapomnienie, a natomiast zajęto się zabawką nową, bardzo praktyczną i zyskowną dla miasta. Zajęły się nią ankiety i komisye i pracowały tak długo i tak dokładnie, że wkrótce dzięki im wzniosła się wspaniała, monumentalna, wyzywająco piękna, krwawa i dzika — arena na walki byków".

Małego zabójcę poprowadzono do kryminału. Dla Izydory cios był bolesny: nie tyle serce jej, ile duma ucierpiała dotkliwie. Toż niemal równocześnie w odpowiedź na dane jej przez „kanonika" listy polecające, odebrała była kartę wizytową z napisem: Marques viudo de Saldeoro. Ów tytuł: *marques* do reszty zawrócił jej głowę. Wprawdzie jegomość ten nazywał się istotnie

Joachim Pez i margrabiostwo swe zawdzięczał tylko nieboszce żonie, z którą się też był gwoli temu ożenił. Był jednak synem potężnego D. Manuela, Josè, Ramona del Pez. O tym wielkim człowieku wygłasza nam D. Perez Galdos całe kazanie:

„Kochani bracia! Szczęśliwa tysiąckroć nasza Hiszpania, ostatnia kraina, kędy zachodzi słońce, a która z łona swego wydała i mlekiem swem wykarmiła D. Manuela del Pez, światłość rządu, pochodnię urzędów, gwiazdę polityki, ojca fortelów, syna swych czynów, członka dwóch bractw pobożnych, zięcia swego teścia, D. Juana de Pipaon[1] — nieodzownego w komisyach, potrzebnego w komitetach, najzdolniejszą głowę do przyspieszania lub opóźniania spraw, najzręczniejszą rękę do nakreślenia planu pożyczki, najlepszy nos do zwietrzenia interesu, sługę siebie samego i wszystkich innych, encyklopedyę politycznych dowcipów, nieznużonego apostoła szanownej rutyny, na której spoczywa szlachetny gmach naszej chwalebnej apatyi, maszynkę do wyrabiania praw, wykrawania ustaw, wyostrzania urzędowych poleceń — człowieka wreszcie, którego wszyscy znamy jak palce własnej ręki, jest bowiem więcej niż człowiekiem: jest całem pokoleniem; jest więcej niż osobą, gdyż jest epoką, więcej niż znamienitą jednostką, gdyż jest kastą, szczepem, połową Madrytu, streszczeniem i sumą połowy Hiszpanii". Nie zadowolony z tej wycieczki na wrogi ląd biurokracyi, Galdos w dalszym ciągu kazania opowiada nam jeszcze, jako on wielki Pez umie wszystkie urzęda, szarże wojskowe i dworskie dygnitarstwa, ba nawet piękne beneficya zapełniać swoim rybim rodem: *pez* bowiem po hiszpańsku znaczy r y b a, co daje autorowi sposobność do niejednej gry słów, niepodobnej do przetłumaczenia. Zresztą ów Pez wlazł tu jak Piłat w *Credo;* opisując go tak szczegółowo Galdos uprawia tylko sztukę dla sztuki, zapominając niemal o wątku powieści. Na tyle jest w nią wmięszany, że ostrzega syna, aby nie wierzył w prawa Izydory do owego dziedzictwa; Joachim jednak rad sobie ją zapewnić na wypadek wygranej.

---

[1] D. Juan de Pipaon jest śmieszną nieco, nadętą, ale wysokie stanowisko zajmującą osobistością, znaną z innych powieści Galdosa.

Zaczynają się tedy niezbyt smaczne konkury, dla których niemądra dziewczyna odrzuca przyjaciela lat dziecinnych, sprytnego i znów oryginalnego, a na wskróś uczciwego lekarza. Przytem na stroje i fraszki trwoni dane jej przez „kanonika“ fundusze, skupuje błyskotki bez potrzeby, ani istotnej chęci, ot tak, aby nie przejść na darmo przed wspaniałą wystawą. Z rodziną ojca chrzestnego żyje już zupełnie na bakier, nawet w wigilię Bożego Narodzenia zamyka się w swoim pokoju i nie chce wziąć w uczcie wspólnej udziału. O sposobie obchodzenia wigilii podaje nam autor barwne, ale nie bardzo budujące szczegóły:

„Nadeszło Boże Narodzenie, nadeszły owe dnie mgły i uciechy, przez które Madryt przybiera postać rozpuszczonego domu waryatów. Ludzie wonczas bywają napadani zarazą, która się objawia w trzy odrębne sposoby: gorączka obżarstwa, febra loteryj i *tetanos* napiwków. Wszystko, co jest umysłowem, moralnem i wykwintnem, wszystko co dotyczy duszy, kędyś ucieka i znika. Najszczytniejsza pamiątka świata chrześcijańskiego obchodzi się rozkiełznaniem wszelkich chuci. Nawet sztuka łajdaczeje. W teatrach dają głupie farsy lub świętokradzkiemi szopkami przedstawiają karykaturę wielkiej tajemnicy. Błazny mają tu swoje żniwo; ludzie złego życia paradują swoim bezwstydem, pijacy zdają się mnożyć. Szynki, miejsca zepsucia, budy wszelkiego rodzaju są przepełnione, a z plugawych i grubiańskich słów, w te dnie wymówionych, możnaby dość wysączyć trucizny, aby zatruć całe pokolenie. Jedna, jedyna myśl panuje: orgia. Niepodobna przejść przez ulicę dla szalonego ruchu przechodniów, spieszących tam i napowrót. Jest się literalnie zgniecionym przez tłumy ludzi, obciążonych zawiniątkami i jadłem, a najmniejsze niebezpieczeństwo, jakiemu się podlega, jest dostać w twarz głową indyka albo kapłona“. Opisawszy następnie niezliczone, wspaniałe, skromne lub ubogie wystawy artykułów żywności, głównie ciast, owoców suszonych i ryb, zalegające wtedy stolicę, dodaje jeszcze: „Każda rodzina raczejby wymarła, niżby się wyrzekła uświetnienia wigilii jaką ‚wyżerką‘. Na zakupno indyka ludzie najoszczędniejsi od początku listopada grosz do grosza składają“.

Czyż to wszystko prawda? Czy też autor może sam pozbawiony rodziny a nadto i dobrego żołądka, patrzy na wesołość przedświętnego ruchu przez okulary dyspepsyi i samotności? Trudno orzec, nie sprawdziwszy na miejscu. Bądź co bądź, Izydora nie brała w ogólnej wesołości udziału. Mariana wprawdzie wypuszczono z więzienia, ale tam, miasto poprawy, nauczył się był wiele, wyszedł dzikszym, bardziej nieokiełznanym i chciwym. Siostra chcąc unikać grubiaństw, musiała mu się groszakami opłacać. Przez chwilę sny jej złote zdały się blizkimi urzeczywistnienia. Margrabina, powróciwszy do miasta po długiej niebytności, a uprzedzona o pretensyach nieznanej sobie dziewczyny, kazała ją do siebie zawezwać. Izydora całą noc poprzednią nie zmrużyła oka; na wpół w gorączce tak błogiej, że aż graniczącej z boleścią, roiła w myśli swe przyszłe życie: odgrywała najprzód rozczulającą scenę spotkania z babką, nakreślała sobie cały plan postępowania z dawnymi przyjaciółmi i dawną rodziną, aby się nie okazać poufałą ni dumną. Ubieranie zabrało jej kilka godzin; trzeba bowiem było zarazem wykwintności i prostoty, każdy zatem szczegół był rzeczą ważną i wymagał namysłu. Poszła nareszcie i zarumieniona wzruszeniem a drżąca przestąpiła próg starożytnej siedziby. Jej dom! — jej dom rodzinny, dom jej matki, dziadów i pradziadów!... Margrabina przyjęła ją majestatyczna, piękna i jeszcze wyszlachetniona cierpieniem. Zrazu była widocznie wzburzona nieco i sztywna, sam jednak widok cudnego dziewczęcia wywołał na jej twarz uśmiech smutny współczucia i litości Z dobrocią wielką, ale stanowczo odsunęła objawy dziecięcej czułości i oświadczyła Izydorze, iż ją wprowadzono w błąd, że o swych prawdziwych wnukach wie doskonale, że istotnie było ich dwoje, ale z tych dziewczynka przed paru laty umarła, a chłopiec — wychowuje się przy niej. Istotnie w poprzednim rozdziale autor ukazał nam był w pałacu Aransis, przy boku margrabiny piękne pacholę, obdarzone geniuszem muzyki i najczulszą otoczone miłością. Ale Izydora nie wierzy; zrazu przygnębiona, po chwili buntuje się, mieni się odepchniętą, okradzioną, i grozi sądem. Odtąd też następuje w jej życiu stanowczy zwrot. Żal za utraconą nadzieją, ambicya,

zawiść, szalona chęć zbytku spychają nieszczęsną na drogę, po której stopniach ześlizguje się coraz niżej, coraz niżej. W tej smutnej wędrówce ku dołowi towarzyszy jej bezsilny jak zawsze i płaczący nad nią ustawicznie stary D. Josè de Relimpio. Żona mu umarła, córki wyszły za mąż, syn prowadzi coraz to inne, ale zawsze na wielką skalę obliczone przedsięwzięcia. Don Josè więc poszedł za Izydorą; tu wszakże odgrywa rolę raczej wiernego psa, niźli ojca; na jawne zło zamyka oczy, nie chce wierzyć, nie wierzy. Proces trwa lat parę, przedłużony wojną domową; Izydora do końca nie traci nadziei, aż nagle widzi się aresztowaną pod zarzutem sfałszowania dokumentów. W więzieniu dopiero staje twarz w twarz z rzeczywistością. Adwokat rodziny Aransis pierwszy broni ją od zarzutu fałszerstwa, dowodzi jednak, że akta, które przedłożyła w dobrej wierze sądowi, zostały niegdyś wśród pożaru skradzione przez Tomasza Rufete, który wymazawszy w nich nazwisko prawego opiekuna wnuków margrabiny, swoje własne natomiast zapisał. Sztuka mogła się udać: ambicya i chciwość wiodły rękę waryata. Najsamprzód oszukał łatwowiernego brata, zyskując sobie jego poparcie, następnie oszukał samą córkę, wmawiając w nią, że nie jest jej prawdziwym ojcem i kazał jej szukać rodziców w zamkach i złocistych komnatach. Obecnie przed Izydorą zda się otwierać przepaść: cel tylu gorących marzeń, tylu wysiłków zniknął na zawsze. Odmawia pieniężnej pomocy, ofiarowanej przez margrabinę, i wychodzi z więzienia inną kobietą. Inną, bo wraz z wyrojonem cieniem arystokratycznej wielkości znikły i arystokratyczne instynkta. Stary Relimpio usiłuje ją jeszcze powstrzymać, w wysiłku wyczerpuje ostatnie iskry życia, Izydora wyrywa mu się i wpada w otchłań, która wnet nową ofiarę pożera.

Przez ten czas Mariano staczał się także po drodze grzechu. Oddany do szkół uciekł do jakiejś bandy guerillasów; za powrotem zaczął pracować u rytownika, człeka niewinnego w gruncie, ale wygłaszającego na zabój socyalistyczne zasady Te padają na wdzięczną ziemię, na serce zdziczałe, twarde, znające tylko jedną ambicyę — pieniądze. Długa choroba przytępia

jeszcze umysł Mariana. Z chciwości zaprzedaje się — podkłada bomby i raduje się dziełem zniszczenia. Gdy jednak takowego dokonał, ci, którzy go użyli do piekielnej roboty, rzucają mu parę sztuk złota i każą iść precz. Oni przecież są porządnymi ludźmi i nie chcą mieć nic do czynienia z podobnym łajdakiem! Odtąd w głowie Mariana robi się coraz ciemniej, straszne dziedzictwo po ojcu odzywa się wywołane życiem występnem. Ciotka Encarnacion bierze go znów pod swą opiekę, ale któż ustrzeże szaleńca! W chwili, gdy wszyscy zapominają o nim, zapatrzeni we wspaniałość przeciągającego królewskiego dworu, Mariano patrzy także, patrzy, myśli i dziwuje się, czemu świat cały się cieszy, a on jeden biedny, wzgardzony i smutny? I dziwuje się tak długo, aż upatrzywszy sobie cel zemsty, rzuca się naprzód i strzela. Kula rozpłaszcza się o mur przeciwległy, a w koło rozlega się olbrzymi krzyk zgrozy, tysiące rąk ściągają się ku królobójcy i rzucają go o ziemię.

W kilka dni potem powóz królewski przejeżdża znowu. Wtedy kobieta stara, wysoka, chuda, czarną chustą żałobnie odziana, przedziera się aż na stopnie i wrzuca do powozu papier, pochwycony skwapliwie. Głos jej przytem brzmi dziwnie rzewnie, brzemienny całą pokorą winowajcy, całą siłą miłości matczynej: „Królu mój! Boże dzieciątko nasze, zmiłuj się nad biednym szaleńcem!“ Odchodzi uspokojona, bo czemże byłby król, gdyby nie mógł przebaczać? Biedaczka zapomniała, że każdy monarcha posiada małżonkę, a tą jest Sprawiedliwość, a raczej mieniące się sprawiedliwością Prawo, i że w owem królewskiem stadle, podobnie jak w innych, zazwyczaj żona przoduje...

Trudno było wypisać wszystkie epizody długiej powieści; z tych niektóre wydają się niezupełnie potrzebne. Za to żal, iż brak miejsca nie dozwala powtórzyć tysiącznych dowcipów d-ra Augusta Miquis, niegdyś odrzuconego przez Izydorę, a nie przestającego, gdzie tylko może, nieść jej pomoc i radę. Zabawne są jego recepty dla tej nieuleczalnej pacyentki. Jedna z nich brzmi:

Cierpliwości gramów 50. Ekstraktu z maszyny do szycia gramów 30. Pomięszać i używać kilka godzin dziennie.

Niejednej „szezlongowej damie“ przydałoby się takie lub temu podobne lekarstwo, tylko że te, którym je przepisywać trzeba, rzadko kiedy słuchają lekarza.

Wątpić także wypada, czy tak ostre nawet jak w *Desheredada* piętnowanie złych namiętności zdoła takowe u kogokolwiek w praktyce przytępić. W innej, zupełnie od poprzedniego romansu różniącej się powieści, widzimy obraz „świętego“ bez Boga. Niezwykła to książka, na dwie podzielona części. Pierwsza *La desconocida,* co da się lepiej niż w naszej mowie przetłumaczyć na francuskie *l'Inconnu,* zawiera seryę listów młodego Manolo Infante, zasiadającego w Kortezach, żyjącego w najwyższym świecie i wmięszanego pośrednio w dramat rodzinny, który dlań przedstawia ciemną, niepodobną do rozwikłania zagadkę. Błaga przyjaciela, do którego pisuje, aby mu pomógł ją rozświecić; ten zaś za odpowiedź posyła mu cały tom manuskryptu w formie dyalogów, zatytułowany *Realidad.* Jest to obraz tegoż samego dramatu, widzianego nie po wierzchu, jak się światu przedstawił, ale takiego, jakim był w rzeczywistości. Pomysł dziwny i wcale dobry, gdyby ta druga część nie była bezwarunkowo za długą. Tu dopiero mamy całą galeryę typów. Najważniejszym jest D. Tomas Orozco, ów właśnie świecki święty, który nas przez ciekawość najbardziej zajmuje. Pan ogromnej fortuny a nie bardzo wysokiego urodzenia, z powierzchowności przypominający rasę hebrajską „z przed upadku Jerozolimy“, rosły, poważny, łagodny, zdobny majestatyczną, jasnowłosą brodą D. Tomas jest przykładem obywatela, gościnnego pana domu, przyjaciela i małżonka. Nie wiedzieć doprawdy, czemu teść jego, margr. Cisneros taką ma doń antypatyę, że go aż Jezuitą przezywa. Niektórzy inni również — bo któż przeciwników nie ma? podejrzywają D. Tomasa o tajną przynależność do Towarzystwa, co jest tem dziwniejsze, że oskarżony o taką zbrodnię rzadko kiedy, dla przyzwoitości, do kościoła wstępuje i że nikt Jezuity ani na lekarstwo w pałacu jego nie widział. Może to ów odcień żydowskiego typu razi tak D. Carlosa Cisneros, boć znany jest wstręt Hiszpanów do krwi izraelskiej, a Don Carlos to najczystszy wykwit starej krwi kastylskiej. Otóż jak go opisuje Manolo,

a raczej pan Perez Galdos: „Twarz ma suchą, ciemną, dobrze wygoloną, wierzchnią wargę energiczną, niemal czarną od gęstego zgolonego zarostu, nos cienki, krótki, łączący się z tąż wargą, jakby chciał ją wziąć w posiadanie; szczęki silne i wystające, oczy żywe pod rzęsami tak gęstemi, że wyglądają na dwa pasemka czarnego aksamitu; głowę najdoskonalszego kształtu, bez łysiny, okrytą krótko strzyżonym włosem, w którym prześwieca już dużo siwizny. Nie przesadzam, twierdząc, że profil jego przypomina sławnego kardynała, który toż samo co on nosił nazwisko. Należy do pierwotnej rasy kastylskiej; jest suchy jak ziemia, sprytny i przenikliwy jak cała rasa, twardy a zwinny jak klimat tej krainy, jest w nim mięszanina wiejskiego mądrali i wspaniałomyślnego wielmoża, jest też coś i mnicha, ale takiego, coby sztylet nosił pod suknią. Przypomnij sobie postacie owych ogolonych wojowników, wyglądających na księży, owych wielkich panów, wyglądających na parobków odzianych w jedwabie, owych *comuneros* o twarzach zwarzonych przez słońce i mrozy Kastylii, przypomnij sobie biskupa d'Acuna, hrabiego de Tendilla, Torquemadę, św. Piotra z Alcantary, który jadał tylko dwa razy na tydzień; odtwórz sobie w myśli pierwotny stempel rasy, przyrodzone piętno matki Kastylii, a wtedy powiesz: Teraz dobrze, już go mam!"

Cisneros nienawidzi całą duszą istniejące formy rządu i społeczeństwa — w teoryi. Przepowiada rychłe kataklizmy, wśród których wszystko, co nagromadziły wieki, wywróci się do góry nogami, a świat wróci do stanu natury. Nie przeszkadza mu to namiętnie kochać sztukę, zbierać przepyszną galeryę obrazów i dyskutować godzinami całemi nad autentycznością kawałka zaczernionego płótna, na którem po długiem badaniu można z trudem rozpoznać ramię lub kolano. Wygaduje na rządy parlamentarne — a dał się raz wybrać posłem, na system szkolny — a własnym kosztem kilka szkół w swoich dobrach założył; wygłasza najfantastyczniejsze mormońskie teorye, a ledwie trupem nie pada, gdy cień sromoty, podejrzenie raczej niż pewność, nad domem jego zięcia zawisa. Tego zięcia przecież, jak mówiliśmy, nie lubi wcale, choć u niego bywa i właściwie nic m

zarzucić nie może. Toż samo dzieje się z Manolem: i on czci i podziwia jasnobrodego Aristidesa, ale radby na nim znaleźć jaką plamę; przypomina, że Orozco wziął po ojcu olbrzymi majątek, zdobyty pewno kosztem wielu cudzych łez i krzywdy, że źródło tegoż — Towarzystwo asekuracyjne *Humanitaria*, złej używało sławy, że obecny właściciel, choć po śmierci ojca skargi pokrzywdzonych zagłuszył złotem a łzy banknotami osuszył, przecież nie wyrzekł się dziedzictwa, że wspaniałość swego domu i wspaniałe swoje jałmużny z tych wątpliwych pieniędzy opłaca. Mówimy wyraźnie: wspaniałość a nie zbytek, bo u Tomasza Orozco wszystko idzie w miarę, tak w miarę, że aż nudności biorą. W listach części pierwszej widzimy tylko tę stronę zewnętrzną, piękną, gładką, spokojną, jakby u bożka Olimpu. W Realidad odsłania się wnętrze jego duszy, to zaś o zgrozo! przywodzi nam na myśl nie już Apollina, ale paradny typ Minowskiego ze współczesnej komedyi[1], Minowskiego z jego majaczeniem o makrokosmie i mikrokosmie, z jego napuszystością i pychą. Orozco wzniósł się wyżej, ponad sfery wszelkich sformułowanych religij, gardzi ascetyzmem materyalnym, bo ten jest dla niego zbyt nizkim, pojmuje tylko ascetyzm moralny, obracający się swobodnie wśród ponęt świata, którego pokusy dosięgnąć go nie śmią. Gardzi też pochwałami ludzkiemi, ale nie przez pokorę; radby nawet czasem uchodzić za złego, tak aby jedynie sam w sobie cieszyć się swą doskonałością. Jednę, jedyną istotę radby podnieść ku wyżynom, na których tron swej duszy osadził — to żona. Ale ta choć inteligentna, choć na swój sposób nieraz filozofuje (raczej wyobraźnią niż rozumem), przecież jest o tysiąc mil oddaloną od mikrokosmicznych pojęć małżonka. Radaby go ściągnąć ku ziemi, widzieć go mniej doskonałym, bo ta sama doskonałość ją drażni. „Po co tacy ludzie na tym świecie istnieją? Niema tu dla nich miejsca: ziemia należy do nas, prostych ludzi, grzeszników".

Grzeszników... oj bo piękna Augusta nie jest świętą ani doskonałą i niema pretensyi ani do świętości, ani do powszedniej

[1] Aleks. Mańkowskiego — Minowski.

cnoty. Jest jednak tak wykwintną, a zarazem tak zręczną, że wielu ludzi mieni ją aniołem. Co to za para! — powtarzają. — Co za dom! — W tym domu przecież od czasu do czasu odzywa się fałszywy ton. Uosabia go Joachim Viera, dawny wspólnik Tomaszowego ojca, specyalista w interesach niezwykłych, zarazem łapigrosz i utracyusz, zręczny w ściąganiu pieniędzy ze znajomych i nieznajomych, słowem łotr, którego Orozco zmuszony jest oszczędzać, gdyż mógłby o jego ojcu dużo przykrych rzeczy powiedzieć. Ten łotr zaś posiada syna, Fryderyka, najbliższego przyjaciela rodziny Orozco. Jeżeli niegodziwy syn jest nieszczęściem dla ojca i matki, to niegodziwy ojciec jest więcej niż nieszczęściem, jest klęską dla dzieci. W tym zaś przypadku jest gorzej niż klęską — jest plagą. Hańba jego ciąży nad głową syna i córki, ruina jego ciąży na ich materyalnych stosunkach. Syn urodził się w starożytnym pałacu matki, pełnym wzniosłych wspomnień i arcydzieł sztuki, w dzieciństwie najczystszem tylko oddychał powietrzem. Ale pałac został sprzedany, a matka dość szlachetna, aby się zagryźć ze wstydu nad mężem, nie była dość silną, aby synowi wpoić rycerską energię pracy, dać mu broń do zwalczenia twardego losu. To też Fryderyk, gdy go poznajemy, żyje jakoby potrójnie: w świecie, gdzie dzięki wykwintności obejścia, postaci i umysłu, zajmuje pierwszorzędne miejsce; w domu gry, gdzie gorączkowo zarabia na powszedni chleb siostry i swój; i w domu własnym, gdzie już nędzy kryć nie potrzebuje, gdzie wszystko trąci ruiną. Smutny dom, gdzie cokolwiek ulegnie złamaniu albo rozdarciu, pozostaje podartem i złamanem, gdzie dzwonek u wejścia co dnia kilkakroć pociągnięty ręką wierzycieli, gdzie biedna Klotylda zaprawiona już do wstrętnej czynności, sama ostrożnie drzwi wchodowe uchyla i wymówką, obietnicą lub kłamstwem oddala natręta. Dawna sługa rodziców pozostała przy dwojgu młodych, lecz na nieszczęście wyszła za mąż, dzieci jej bekiem i nieporządkiem napełniają mieszkanie; siostra, która doń ze wsi przybyła, ulokowała się przy niej niby dla pomocy i Klodylda, o której wychowanie nikt się nie troszczył, która bratu nie towarzyszy w wielki świat stolicy, powoli ordynarnieje wśród nizkiego

otoczenia, w którem jada i długie spędza wieczory. Rezultatem tego jest, iż pewnego dnia zaręcza się z subjektem z przeciwległej apteki; Fryderyk zaś, który dotąd wszystko naturalnem znajdował, nagle się budzi i gromy oburzenia ciska na siostrę. Tomasz Orozco używa wpływu swego, by Fryderyka złagodzić, by doprowadzić do zgody z młodymi, którym zapewnia posadę. Co więcej, usiłuje to przez innych, to osobiście Fryderykowi samemu ofiarować pomoc pieniężną, wyrwać go z dotychczasowego życia i popchnąć na drogę pracy. Fryderyk wszystkiego odmawia, broni się jak od żywego ognia. Wtedy Tomasz wynajduje sposób ciekawy: ojciec Fryderyka przybył doń przedkładając skrypt już wprawdzie przedawniony, ale przedstawiający dług rzeczywisty; działa niby w imieniu interesowanego wierzyciela Anglika. Orozco jednak czuje przez skórę, że stary lis ów weksel w Bombaju za tanie pieniądze odkupił i teraz chce na nim zyskać. Chłodno tedy, ale stanowczo odmawia zapłaty, wymawiając się przedawnieniem i odsyłając pretendenta do sądów. Wie on aż nadto dobrze, iż Joachim Viera nastraszony, za byle co weksel mu odstąpi. Tak się też dzieje; resztę zaś pieniędzy, aż do wyrównania wartości długu, zamierza Tomasz oddać Fryderykowi i jego siostrze. Czy takie postępowanie zupełnie się zgadza z prostemi prawami uczciwości — to kwestya. Trudno jednak żądać, aby olimpijscy ludzie zwykłemi drogami chadzali. Plan tedy obmyślony wybornie: Fryderyk, który odmówił podarku, nie odmówi oddanej należytości. Myliłby się jednak, ktoby sądząc z pozoru myślał, że Orozco działa tylko z przyjaźni lub miłosierdzia. Nie — z *Realidad* widzimy, iż ma on powód głębszy a bardziej osobisty: chce się przekonać, czy Fryderyk, którego posądza, iż zdradził jego zaufanie, m o ż e jako uczciwy człowiek przyjąć od niego poparcie... Widzimy w duszy młodzieńca toczącą się walkę, straszną, bo toczoną ostatkami sił wyczerpanych życiem nienormalnem, moralnie i fizycznie niezdrowem. Dobroczyńca narzuca się coraz natrętniej, natarczywiej, chytrzej, z wytrwałością niemal szatańską, aż postać jego staje się zmorą, która przez sen i na jawie dławi swoją ofiarę. Fryderyk traci przytomność, nie wie już co jest rzeczy-

wistością a co widziadłem maligny, ataki sercowe napadają go raz po raz, aż wreszcie kulą w łeb kładzie koniec swym męczarniom — na ziemi. Dla Tomasza kula ta jest wyznaniem; odtąd postanawia zamknąć się jeszcze ściślej w zaklętem kole swego filozoficznego systemu, do którego nikt zajrzeć nie jest godnym z pomiędzy żyjących. Jedynie pamięć Fryderyka przejmuje go pewną czcią: ten człowiek zdradził go wprawdzie, ale umiał umrzeć dla uratowania szczątków honoru; to też Orozco nie ucieka przed jego cieniem i mniema, że choć ten jeden byłby go zdolnym zrozumieć. Cień wszakże wiesza się uporczywie nad jego łożem i na sercu mu ciąży. I nie dziw: ciężyłby gorzej jeszcze na sumieniu, gdyby taki mędrzec posiadał zwykłe, ludzkie, a nie wydmuchane i obciosane sumienie. Świat wyszeptawszy nad niedomkniętą mogiłą parę domysłów i oszczerstw, przechodzi wkrótce do porządku dziennego. Pomiędzy oszczerstwami znalazło się posądzenie, że Fryderyk zginął z ręki, czy z poręki Tomasza Orozco... Głos świata a raczej społeczeństwa nie zawsze się myli: musiałby to przyznać Orozco, gdyby, powtarzamy, posiadał zwykłe sumienie.

W książce tej wiele jest zajmujących a nawet przykuwających ustępów, dla amatorów psychologii niewyczerpane kopalnie, opisy życia towarzyskiego i parlamentarnego wielce misterne, całość jednak prześladuje jakoby zły sen. Trzeba się dobrze wczytać, aby odkryć satyrę pod długim hymnem pochwał na cześć olimpijczyka śpiewanych. Odkrywszy doznaje się prawdziwej ulgi, gdyż doprawdy chwilami mogła chwytać niepewność. Jest to błędem, gdyż niejeden, zwłaszcza młody czytelnik, pewnie zawaha się w sądzie: nie trzeba pisać takich długich zagadek. Tym atoli, którzy umieli rozwiązać zagadkę, przedstawia się, jakoby parafraza „bielonych grobów“ Ewangelii, obraz przed którym dusza chroni się do stóp krzyża, wołając: Boże, chroń nas od cnoty bez Ciebie!

(C. d. n.)

T. W.

WYPRAWA ZAMOJSKIEGO NA MOŁDAWIĘ.

Na zmianę w stosunkach polsko-tureckich zanosiło się od roku 1593, tj. od wybuchu wojny między Austryą a Turcyą, zwłaszcza że tak Rudolf II., jak i papież Klemens VIII. nie szczędzili zabiegów, by wciągnąć Rzeczpospolitą do ligi antiotomańskiej. Na kilku sejmach sprawę ligi rozstrząsano, ale że cesarz nie godził się na warunki stawiane ze strony polskiej, a w Polsce nie miano ochoty do stanowczego zmierzenia się z potęgą turecką, do porozumienia nie przychodziło. Nawet napad tatarski na Polskę w r. 1594 i zgliszcza pozostałe po przejściu hordy na Węgry nie zdołały popchnąć Rzeczypospolitej do energicznego wystąpienia przeciw Turcyi, a mimo powszechnego oburzenia na sułtana za pogwałcenie traktatów, uchwalono na najbliższym sejmie jedynie „potężność przeciw Tatarzynowi“ [1]. Ale i ten odwet nie zapowiadał się pomyślnie, bo większa część województw nie chciała wydawać poboru, a z kilku tysiącami żołnierza zaciągniętego za pieniądze z kwarty, niewiele można było dokonać.

Wyprawa jednakże przyszła do skutku, a rezultatem jej było odnowienie dawnego zwierzchnictwa Rzeczypospolitej nad Mołdawią.

Dlaczego Zamojski poprowadził wojsko do Mołdawii, nie jest rzeczą jasną. Po wyprawie motywował to na sejmie [2] po-

[1] Zamojski do Radziwiłła. *Script. R. P.* VIII, 112.

[2] Rkp. Cz. 347, 327. Sprawozdanie o Cecorze.

trzebą zajścia drogi Tatarom, chociaż nie brak wskazówek, pozwalających się domyślać, że Zamojski chciał skorzystać z zamieszania wojennego, by wznowić dawne zwierzchnictwo Rzeczypospolitej do mołdawskiego hospodarstwa. Nie ulega mianowicie wątpliwości, że kanclerz niechętnem okiem śledził przebieg wypadków w Mołdawii i oburzał się na gospodarkę cesarską w hospodarstwie, do którego pretensyi Polska się jeszcze nie zrzekła.

Pretensye Rzeczypospolitej naruszał przedewszystkiem traktat zawarty w sierpniu 1594 r. między hospodarem Aronem a Rudolfem II., przez co Mołdawia została wcielona do imperyum rzymskiego [1], a że zbliżenie się Arona do cesarza nie podobało się także stanom Rzeczypospolitej, świadczy odesłanie z niczem posłów hospodarskich, proszących o pomoc przeciw Turcyi [2].

Zdaje się, że już wówczas poruszył Zamojski na radzie senatu myśl zajęcia Mołdawii, ale plan jego nie zyskał wtedy poparcia, jako zbyt ryzykowny [3]. Bądź co bądź, sejm uchwalił wyprawę, a chociaż nie powiedziano wyraźnie, by zaciągi weszły do Mołdawii, to jednak zastrzeżenie, by wojska nie trzymać *in visceribus regni*, pozwalało ubocznie hetmanowi na swobodę w ruchach. Że Zamojski miał ochotę skorzystać z tej swobody i wmieszać się czynnie do spraw mołdawskich, chociażby na własną rękę, widać z tego, że na wyprawę wziął także Jeremiego Mohiłę, dwornika byłego hospodara Piotra, nobilitowanego na sejmie 1595 r. i że już z obozu wysłał posła do księcia siedmiogrodzkiego, Zygmunta Batorego, żądając imieniem króla i Rzeczypospolitej zwrotu Mołdawii i przywrócenia na hospodarstwo Arona, którego książe, jako chwilowy zwierzchnik ho-

---

[1] Hurmuzaki, *Documente* III, cz. I, str. 193.

[2] Hurm. III, cz. II, 95.

[3] Prymas Karnkowski, już po zajęciu Mołdawii, radzi królowi, by nie przyznawał się przed cesarzem, że to hetman uczynił bez jego wiedzy i nadmienia, że sam pierwotnie był przeciwny planowi Zamojskiego, bo mu się wydawało przedsięwzięcie to *speciosum sed non tutum*. Rkp. Czart. 351, 1.

spodarstwa, wypędził, naznaczając swym namiestnikiem Stefana Rozwana. Ponieważ równocześnie otrzymał kanclerz wiadomość, że han tatarski zamierza wejść do Mołdawii, odniósł się do króla po rozkazy, a gdy król żadnych rozkazów nie przesłał, prócz wskazówki, by nie zrywać przymierza z Turkami i mieć baczność na Mołdawię, otrąbił Zamojski artykuły wojenne 12 lipca i ruszył z Mogilnicy ku Ukrainie [1].

Wkrótce potem otrzymał poselstwo od namiestnika Batorego, Rozwana, z doniesieniem, że Sinan basza z armią turecką przeszedł już Dunaj, i z prośbą o pomoc. Kanclerz ponownie odniósł się do króla, a otrzymawszy zakaz łączenia się z Rozwanem, odpowiedział posłańcowi, że do Mołdawii wejdzie tylko wtedy, gdyby han, jak zeszłego roku, z Mołdawii do Polski zamierzał się przedrzeć. Otrzymawszy jednak wiadomość, że han ma zamiar wejść do Mołdawii, by z polecenia sułtana wprowadzić sandżaka Tehiny na mołdawskiego baszę, zwołał radę wojenną, na której postanowiono przekroczyć Dniestr, by nieprzyjaciela trzymać zdala od granic, a w razie klęski mieć możność zebrania ludzi za Kamieńcem. Wskutek tego przeprawił się hetman 27 sierpnia przez Dniestr.

Mołdawię zastał wyludnioną — i bez hospodara. Rozwan bowiem otrzymawszy od Zamojskiego zamiast pomocy radę, by z małem wojskiem na Turków się nie porywał i nie sprowadził pożogi wojennej na Polskę — ustąpił jeszcze przed wejściem Polaków ku granicom siedmiogrodzkim, uprowadziwszy w niewolę znaczniejszych a niechętnych mu Wołochów i skarby z Jass, które przedtem spalił, a armaty zamkowe w stawie zatopił.

Gdy Zamojski wszedł do Mołdawii, ziemia już Rozwana formalnie odstąpiła, bo głowy ścinał, nosy rzezał i co dzień nowe podatki wymyślał [2]. Chocim, w którym stało 200 Węgrów załogą, zajęli sami Wołosi jeszcze przed ustąpieniem Rozwana, a z pod Płonin, gdzie okopał się Rozwan z 1000 piechoty wę-

[1] Sprawozdanie l. c.

[2] Zamojski do ks. Batorego. Rkp. Czart. 96, 53.

gierskiej i 300 huzarami, czekając na pomoc Batorego, wyparł go podjazd polski pod Gulskim [1].

Do obozu polskiego poczęli wtedy nadciągać z lasów i kryjówek Wołosi, prosząc Zamojskiego, by dał im za hospodara Mohiłę. Hetman, jak donosił później królowi, długo się nad tem zastanawiał; w końcu ustąpił, by Wołosza dłużej bez pana nie była, a wojsko łatwiej mogło otrzymać prowianty, o które w spustoszonym kraju było bardzo trudno [2]. Także Jeremi ze łzami od hospodarstwa się wypraszał; a chociaż ostatecznie zastosował się do woli hetmana, to jednak przyrzekał, że każdej chwili gotów ustąpić, gdyby tego król zażądał. Poczem w obozie za Prutem, na Stefanowem polu, został Jeremi obwołany wojewodą, i złożył w namiocie hetmańskim przysięgę wierności królowi i Rzeczypospolitej. Mołdawia miała odtąd zostawać w takim stosunku do Polski, jak inne województwa z tą wszakże różnicą, że hospodar potwierdzony przez króla, miał zatrzymać dla siebie wszystkie dochody. Wołosi mogli w Polsce nabywać dobra i wchodzić w związki małżeńskie, tak jak Polacy w Mołdawii. Religia grecka nie miała być łamana, ale królowi wolno było budować katolickie kościoły w Mołdawii. Jeremi miał wysłać w najkrótszym czasie poselstwo do króla z poddaństwem, a chociażby król i stany nie chciały przyjąć poddaństwa Mołdawii, hospodar przyrzekał, że zachowa wdzięczność dla Rzeczypospolitej, będzie dobrym sąsiadem i pośrednikiem między królem a Portą [3].

Zamojski donosząc o dokonanym fakcie królowi Zygmuntowi, prosił o przychylenie się do prośby Wołochów, przez wzgląd, że Mołdawia chociaż wyludniona i złupiona, jest krajem żyznym, a strategicznie ważnym, bo po zajęciu Tehiny, Białogrodu i Oczakowa, weźmie się Tatarów jakby w okowy, a oprócz Polski, mającej dawne do niej prawa, nikt z sąsiadów nie potrafi się

[1] Bielski, Dalszy ciąg kroniki 241.

[2] Rkp. Czart. 351, 274

[3] Rkp. Czart. 351, 281. Na akcie podpisali się także logofeci Stroicz i Tomasz, postelnik Braham, paharnik Hrehory i dwornik Urleh, 27 sierp. w Jassach.

tam ostać. Król Zygmunt, jak w całej wyprawie zostawiał wszystko do decyzyi hetmana, tak i teraz nie miał przyczyn do sprzeciwiania się, a że godził się na fakt dokonany, świadczą listy do powiatów, by wydawano pobór uchwalony na sejmie, bo inaczej przyszłoby hetmanowi ze wstydem i ze szkodą ustąpić z Mołdawii [1].

Zamojski potrzebował istotnie pomocy, jeżeli miał się utrzymać w Mołdawii, bo z 7.000 żołnierza nie mógł myśleć o odparciu hana tatarskiego. Na razie musiał szukać jakiegoś obronnego miejsca, i dlatego nim wprowadził hospodara do Jass, pojechał oglądnąć miasto, chcąc się tu oszańcować, ale spalone Jassy nie nadawały się do obrony. Wprowadziwszy więc Jeremiego z tysiącem jazdy i kilku rotami piechoty do stolicy, zostawił przy nim tylko 300 wybrańców, a dla reszty wojska założył obóz dwie mile za Jassami, pod Cecorą nad Prutem, gdzie postanowił czekać na Tatarów.

Należało się spodziewać, że prócz hana Kazi-Gereja, który miał rozkaz zająć Mołdawię i połączyć się z wezyrem Sinanem, także książe Batory nie zechce zrzec się dobrowolnie niedawnego nad hospodarstwem zwierzchnictwa, ale Zamojski nie myślał ustępować.

Posłańca od Batorego, żalącego się, że hetman wszedł w kraj jemu poddany, odprawił do króla, bo jak twierdził, nie może samowolnie zmieniać traktatów Rzeczypospolitej z sąsiadami. Zajęcie Mołdawii usprawiedliwiał dawnem prawem Rzeczypospolitej i niebezpieczeństwem granic — a zwłaszcza Kamieńca, który musiałby upaść, gdyby Turcy w Mołdawii osiedli [2].

Książe siedmiogrodzki, chociażby chciał, nie mógł się czynnie temu oprzeć, bo musiał posiłkować Michała przeciw Sinanowi. Sinan bowiem przeszedł Dunaj ze 100.000 armią z początku sierpnia, by w Multanach przywrócić tureckie zwierzchnictwo. Już 13 sierpnia przyszło między Dżurdżewem a Bukaresztem, we wsi Calugareni do bitwy między Michałem a Sinanem, w której ostatni

[1] Rkp. Czart. 96, 45.
[2] Rkp. Czart. 96, 53.

stracił mnóstwo żołnierzy i sztandar proroka, a sam omal życia nie postradał. Mimo zwycięstwa nad wezyrem musiał Michał ustąpić do Siedmiogrodu, bo zbyt mało miał ludzi w porównaniu do armii Sinana. Wezyr go nie ścigał, ale wzmocniwszy Tergowist 4.000 załogi, poszedł do Bukaresztu i tu czekał na pomoc hana Kazi-Gereja, podczas gdy Michał połączywszy się z wojskiem ks. Batorego i wypędzonego z Mołdawii Rozwana, nową podjął na Sinana wyprawę. Po trzydniowym szturmie zdobył Tergowist (8 października) i zamierzał ruszyć na Bukareszt. Ale Sinan nie doczekawszy się hana, opuścił przedtem jeszcze miasto i spiesznym pochodem ustępował nad Dunaj, zostawiając po drodze bagaże i wszystko co mogło odwrót utrudnić. Ledwie przybył do Dżurdżewa, dopędził go Michał i uderzył na Turków podczas przeprawy przez Dunaj. Kulami armatniemi zdruzgotał most, zatopił mnóstwo Turków w przeprawie, pozostałych na brzegu wyciął i wszedł jako zwycięzca do Dżurdżewa [1].

Do ustąpienia Sinana z Bukaresztu i klęski pod Dżurdżewem przyczyniła się niemało równoczesna prawie rozprawa Zamojskiego z Tatarami pod Cecorą. W obozie nad Prutem czekał Zamojski kilka tygodni nieatakowany przez nikogo, bo han dowiedziawszy się o wojsku polskiem w Mołdawii, mimo nalegań Sinana-baszy nie ruszał się z pod Oczakowa, czekając na Nohajców.

Także sandżak Tehiny Achmed-basza zachowywał się spokojnie. Z początku wprawdzie przysłał listy, by kanclerz ustąpił z Mołdawii, ale później zapewniał, że Jeremi może być spokojny, i wysłał nawet podarki do hetmana i powinszowania do hospodara, przyrzekając przyjaźń, a w końcu donosił, że han zupełnie nie przyjdzie do Mołdawii [2]. Dopiero, gdy horda nohajska połączyła się z Kazi-Gerejem, a han zapowiedział rychłe przybycie, przysłał i sandżak, już jako basza mołdawski, listy do hetmana, by z Jeremim z Mołdawii ustąpił, bo inaczej han pójdzie na Polskę po zatrzymane od kilku lat upominki.

---

[1] Xénopol, *Histoire des Roumains* t. 1, 354.
[2] Relacya Herburta. Rkp. Cz. 351, 275.

Zamojski przeszedł wtedy (6 października) na drugą stronę Prutu i okopał się w kolanie rzeki, zamknąwszy front silnym wałem 4.000 łokci długim. Na okopach wzniósł trzynaście baszt które osadził piechotą, a cztery bramy frontowe oddał pod straż osobnym pułkownikom. Sam z Żółkiewskim zajął środek obozu.

Han perekopski Kazi-Gerej prócz niesienia pomocy Sinanowi, miał także własny cel w tej wyprawie na oku. Za ostatnią bowiem wyprawę do Węgier otrzymał od sułtana przyrzeczenie, że siostrzeniec jego, sandżak tehiński, zostanie baszą mołdawskim; a ponieważ osadzenie Mohiły na hospodarstwie stanęło temu na przeszkodzie, postanowił się najprzód uporać z hetmanem. W połowie października przeprawił się więc przez Dniestr i z pod Tehiny przysłał kozaka do hetmana z obelżywym listem i z pogróżkami, że zapędzi Polaków nahajkami do hordy, a hetmana pośle Sinanowi w upominku.

Ośmnastego października ruszył z pod Tehiny na Cecorę, połączywszy się z sandżakiem, Tatarami białogrodzkimi, dobrudzkimi i 2.000 jańczarów ściągniętych z twierdz tureckich. Polskie podjazdy zetknęły się już tego dnia z przedniemi strażami Tatarów, utraciły kilku ludzi i naprowadziły hana, który stanął koszem pół mili od polskich okopów, na mogiłach [1]. Prócz drobnych harców między ochotnikami z obu stron — nie przyszło pierwszego dnia do większego starcia, bo hetman nie chciał wyprowadzać żołnierza z okopów, dopóki nie pozna sił nieprzyjacielskich.

W następnych dwóch dniach, chociaż przyszło do większych starć, hetman trzymał się także okopów, bo w czystem polu trudno było mierzyć się z Tatarami. Wojsko bowiem kanclerskie składało się tylko z 4.000 husaryi, 300 kozaków, 1500 wybrańców, 250 alkebuzerów i 800 łanowej piechoty, podczas gdy siły tatarskie razem z wojskiem sandżaka, wynosiły co najmniej 40.000 ludzi [2].

---

[1] Hurm. III, I, 244. Zbiór Fuggera.

[2] Bielski, 251. Według wiadomości z Fuggera było 70.000—80.000 Tatarów pod Cecorą. Hurm. III, I, 250, 253.

Główną bitwę stoczono 19 października, tj. nazajutrz po przybyciu Kazi-Gereja.

Rankiem pod osłoną mgły ruszył han na okopy. Główną siłę prowadził sam na środek okopów, podczas gdy Fedet-Gerej, brat hana, następował od dolnego biegu rzeki, a sandżak z janczarami od górnego Prutu. Zamojski, chociaż ustawił w bramach uszykowane wojsko, czekał spokojnie aż mgła się podniesie i dopiero wtedy przyjął Tatarów armatnim ogniem, wypuszczając kilkaset ludzi na harce, by naprowadzić Tatarów pod ogień działowy [1].

Z wolna przemieniały się harce w formalną bitwę, bo i han coraz nowe siły z mogił sprowadzał, i hetman wypuścił siedem chorągwi na pomoc ochotnikom. Polskie roty ucierały się z Tatarami blizko okopów, nie wysuwając się poza odległość strzałów armatnich z obawy oskrzydlenia przez przeważną liczbę Tatarów, a ci ilekroć zapędzali się bliżej pod okopy, musieli ustępować ze stratą pod ogniem z baszt i szańców. Tylko janczarowie sandżaka, posiadający broń palną, poczynili szkody obozowi polskiemu, a pod hetmanem ubili konia i dopiero ustąpili przed ochotnikami jezdnymi i pieszymi, wysłanymi przez Zamojskiego.

Koło południa próbował han przypuścić ogólny szturm na okopy i ruszył z „wielkim huczkiem“ z kurhanów na bramę hetmana, ale siedem polskich chorągwi nie dało się przełamać, ani wywabić na czyste pole, a piechota, ustawiona po bokach, nie dopuściła do odcięcia szeregów od okopów. Po krótkiem zwarciu się obu wojsk, bitwa przemieniła się znowu w mniejsze harce, trwające do wieczora.

Pod wieczór wysłał sandżak poturczonego Rusina do hetmana z listem, ofiarując pośrednictwo w układach z Kazi-Gerejem. Z powodu spóźnionej pory, a po części z niedowierzania w układy, nie posłał hetman odpowiedzi, a ściągnąwszy roty w okopy, obsadził szańce, porozstawiał straże i kazał wojsku wypocząć, bo nazajutrz postanowił wydać bitwę Tatarom.

---

[1] Herburt o Cecorze l. c. i Anonim str. 272.

Wprawdzie w okopach mógł być bezpiecznym, bo tatarskie łuki i szable za słabe były do wyparcia go z zajętego stanowiska, ale hetman obawiał się, by Tatarzy Prutu nie przeszli, nie otoczyli obozu, nie odcięli żywności, i dlatego kazał już w nocy szukać brodu na rzece.

Nazajutrz o świcie (20 paźdz.) pobudził wojsko do modlitwy i wcześnie żołnierza uszykował; otrzymawszy jednak nowego posłańca od sandżaka, przystał na traktaty, i kazał już rozbić namiot do rokowań, — ale gdy spostrzegł, że Tatarzy z mogił poczynają schodzić, a część hordy zachodzi, jakby dla dostania się na tyły obozu, dał rozkaz do wymarszu za okopy i przyjął ogniem armatnim pięciotysięczny pułk Kazi-Gereja, idący wprost na obóz. Po pierwszym strzale kula armatnia ubiła znacznego jakiegoś Tatarzyna, co wywołało wielkie zamięszanie w owym pułku. Sandżak co wskok przysłał posłańca, że na traktaty, a nie do bitwy idzie, a gdy hetman odpowiedział, że nie potrafi wstrzymać ochoty swoich żołnierzy, jeżeli han nie zatrzyma hordy i nie wróci na dalsze stanowiska, ściągnięto jazdę tatarską daleko od okopów, a pod obóz hetmański przybył sandżak z doradcą Kazi-Gereja, Achmet-agą na traktaty.

Zamojski wysłał do nich Szczęsnego Herburta, Gulskiego, Bohowityna i tłumacza Temruka dla ułożenia się o warunki ugody. Do ugody jednak tego dnia nie przyszło, zgodzono się tylko, by nazajutrz sam hetman zjechał się z sandżakiem.

Nazajutrz tedy udał się Zamojski po wymianie zakładników z kasztelanem halickim i starostą przemyskim do sandżaka. Po dłuższych rokowaniach zgodził się sandżak i reprezentanci hana na potwierdzenie Jeremiego na hospodarstwie. Kazi-Gerej miał mu oddać chorągiew na hospodarstwo, które, jak utrzymywał, dał mu sułtan do dyspozycyi, i przyrzekł wystarać się o potwierdzenie sułtańskie dla Mohiły. Ziemia polska i wołoska miały być bezpieczne od Tatarów, którzy we trzech dniach mieli Mołdawię opuścić. Przy Jeremim miało zostać tyle załogi polskiej, ileby potrzebował. Za to zobowiązał się hetman wyjednać u króla przymierze z hanem i potwierdzenie zawartego układu [1].

[1] Relacya Herburta l. c.

Jeńców pobranych miano sobie zwrócić, a Tatarom dano pozwolenie grzebać bezpiecznie poległych, których liczba wedle relacyi z obozu hetmańskiego dochodziła do 3.000 [1].

Jeremi ze swej strony przyrzekł, że odstąpi Kazi-Gerejowi siedem wsi, co roku będzie posyłać kilka tysięcy funtów miodu i inne podarki, za co han wyjedna mu u Porty dożywotnie potwierdzenie na hospodarstwie [2].

Dla zakończenia formalności traktatu wysłał Zamojski do obozu tatarskiego Herburta, posyłając hanowi złocisty pancerz, strzelbę, rękawice i portrety króla Batorego i Zygmunta, a Gałdze pancerz i sokoły.

Kazi-Gerej podpisał ułożone przedtem z sandżakiem warunki [3], obdarował polskich zakładników i Herburta i stosownie do ugody ustąpił 25 października do Tehiny, skąd wysłał poselstwo do króla z listami. Tłumaczył się w nich, że wysłany dla wypędzenia Rozwana starł się z Zamojskim, ale gdy się dowiedział, że hetman nie chce łamać przymierza, tylko nowego hospodara osadzić, zgodził się na odnowienie przyjaźni z królem pod warunkiem, że Kozacy zostaną wytępieni, a zatrzymane upominki każe król przysłać. Inaczej ani przysięgi, ani pakta na nic się nie zdadzą [4].

W połowie listopada przybyło to poselstwo do Krakowa, wraz z posłańcami Jeremiego i Herburtem, wysłanym od hetmana [5], ale że na najbliższym sejmie miano się dalej układać o ligę między cesarzem a Rzecząpospolitą, król posłańca tatarskiego do sejmu zatrzymał, czekając na rezultaty rokowań,— a hanowi odpisał, że musi wprzód z sułtanem się porozumieć, nim stanowczą odpowiedź prześle.

Czy już wówczas wysłał król w tej sprawie do sułtana,

[1] Hurm. III, 1, 253 z Fuggera. Wedle Herburta, ze strony polskiej padło kilkudziesięciu, a Tatarów kilka tysięcy l c. str. 276.

[2] Costin. Rkp. Czart. 1393.

[3] Rkp. 96, 69. Na paktach podpisany Kazi-Gerej, Fedet-Gerej Gałga i Achmed-beg sandżak Sylistryi i Tehiny. Ze strony polskiej: Zamojski, Gulski, Żółkiewski, Drojowski.

[4] Ibid. str. 71.

[5] Hurm. III, 1, 254, 256 z Fuggera.

nie wiadomo. Być może, że wysłany do Porty po najbliższym sejmie 1596 r. Piotr Ostrowski miał się starać o potwierdzenie układu między kanclerzem a Jeremim, w każdym razie dopiero przy odnowieniu przymierza z Mahometem III. r. 1598 formalnie wciągnięto w pakta i to, że Jeremi ma siedzieć na hospodarstwie, dopóki dochowa wierności sułtanowi i trybut płacić będzie, a po nim syn jego ma na hospodarstwie nastąpić [1].

Hospodar ze swej strony starał się zaraz z początku o potwierdzenie sułtańskie i jeszcze, gdy Sinan był w Tergowist, wysłał do niego poselstwo z prośbą o potwierdzenie, ale wówczas Sinan potwierdzenia odmówił, bo jak utrzymywał, Mołdawia została nadana hanowi tatarskiemu [2].

Dopiero po rozbiciu armii Sinana stała się Porta względniejszą, tem bardziej, że wobec klęsk tureckich w Multanach i na Węgrzech, poddanie się dobrowolne Jeremiego pod zwierzchnictwo Porty musiano w Stambule uważać za wielki sukces. To też po przybyciu poselstwa mołdawskiego do Stambułu bito z dział, palono ognie sztuczne po ulicach, a uradowany sułtan nietylko nie odmówił potwierdzenia, ale posłał hospodarowi wraz z sztandarem piętnaście bogatych szat ze złotogłowiu, sadzonych drogimi kamieniami, a Zamojskiemu wykładaną kamieniami szablę i kosztowny uprząż na konia [3].

Oczywista, że taki obrót sprawy mołdawskiej musiał drażnić przedewszystkiem księcia Batorego i cesarza. Chociaż powstrzymanie Kazi-Gereja pod Cecorą osłabiło znacznie siły wezyra i ułatwiło wojsku związkowemu zwycięstwo nad Sinanem, okrzyczano krok Zamojskiego za klęskę sprawy chrześcijańskiej. Książe siedmiogrodzki, upojony tryumfem nietyle swoim, ile hospodara Michała, rozgłaszał wszędzie, że byłby zupełnie zgniótł Turków, gdyby nie wojsko polskie i intrygi kanclerza.

Jeżeli gdzie pogłoski te musiały wywołać oburzenie przeciw Polsce, to na dworze Klemensa VIII., który krzątał się

---

[1] Rkp. Czart. 616, 83.

[2] Hurm. III, I, 252, z Fuggera.

[3] Piotr Mariani z Peru do Ale s. Bonalto. Hurm. III, I, 215.

koło nawiązania ligi antiotomańskiej, wysłał własnym kosztem zaciągniętych 16.000 zbrojnych do Węgier, a do Zygmunta III. i panów polskich słał listy z wezwaniem do wojny na Turka. To też na wiadomość, że Polacy, na których tyle liczył w lidze przeciw Turkom, z nieprzyjaciółmi krzyża się połączyli, wysłał listy pełne żalu i rozdrażnienia do króla, do Zamojskiego, do kardynała Radziwiłła i królowej Anny [1].

Królowi przypominał swe zabiegi, by go do ligi z cesarzem nakłonić, a chociaż wierzy, że król z powodu rozmaitych przeszkód wewnętrznych nie mógł jawnie cesarzowi pomagać, to jednak przez myśl mu nie przeszło, by król chrześcijański dla przypodobania się Turkowi broń na chrześcijan obrócił. Stawia mu przed oczy zgorszenie, jakie tym krokiem wywołał w chrześcijaństwie, okrywając plamą koronę królewską i sprawiając zawód papieżowi, który tyle razy cesarza i ks. siedmiogrodzkiego zapewniał, że ze strony króla żadnej nie doznają przeszkody. W końcu zaklina Zygmunta, by nieporozumieniom koniec położył, księcia Batorego ochraniał, a przynajmniej nie łączył się przeciw niemu z wrogiem chrześcijaństwa. Królową Annę Austryaczkę prosi, by wpłynęła wszelkimi siłami na Zygmunta i odwodziła go od zamiarów tak niegodnych z pobożnością i cnotą chrześcijańską [2]. Kardynała Radziwiłła zaś wzywa, by wybił królowi z głowy plany, które za absurd musi uważać, i by nakłonił go do zdania się na sąd papieski w nieporozumieniach z Batorym. Podobnie kanclerza zaklina , by chwały dotychczasowej. zyskanej na polach bitew nie splamił tureckim sojuszem, i to w czasie, gdy książęta chrześcijańscy z tak pomyślnym skutkiem zwrócili się przeciw Turkom [3].

Zygmunt III. na podejrzenia o sojuszu z Turkami odpowiadał, że hetman nietylko sukcesom ks. siedmiogrodzkiego nie przeszkodził, ale przez zatrzymanie hana oddał niemałą przysługę sprawie chrześcijańskiej, a przez osadzenie Jeremiego na

---

[1] Relacye Nunc. II, 60.
[2] Rkp. Czart. 96. 77, 79.
[3] Rel. Nunc. II. 63.

hospodarstwie zapobiegł, by Mołdawia nie została zamieniona w turecki paszalik [1].

Albert Baranowski, biskup płocki, bawiący wówczas w Rzymie, przedłożył to usprawiedliwienie na posłuchaniu Klemensowi VIII. i, jak donosił królowi, rozwiał uprzedzenie papieża, ale że sprawa była powikłana wskutek pretensyi cesarskiej do Mołdawii, zapowiedział papież osobnego legata w tej sprawie [2].

Tymczasem w Mołdawii przyszło do nowych zaburzeń, co bardziej jeszcze zaostrzyło niechęć między cesarzem a Rzecząpospolitą.

Zamojski po ustąpieniu Kazi-Gereja z pod Cecory nie długo bawił za Dniestrem. Zostawiwszy na leżach u hospodara kilka rot jazdy i piechoty, wzmocniwszy załogą i armatami Chocim, powrócił do Polski dla poskromienia buntu Nalewajki.

Z ustąpienia Zamojskiego starał się skorzystać książe Batory, by przywrócić na hospodarstwo wypędzonego Rozwana i w pierwszych dniach grudnia 1595 r., gdy rozrzucone po leżach roty polskie żadnego najazdu się nie spodziewały, wysłał Rozwana z 4.000 Węgrów za granice siedmiogrodzkie.

Pułkownik Chański, w zastępstwie nieobecnego starosty kamienieckiego, Jana Potockiego, wysłał zaraz kilkudziesięciu jeźdźców z Tworzyańskim dla powstrzymywania pochodu Rozwana, rozesłał rozkazy do rotmistrzów, by się ściągali do Suczawy, i dał znać o napadzie staroście kamienieckiemu.

Tworzyański jak mógł przeszkadzał pochodowi Rozwana, a staczając drobne utarczki z podjazdami, ustępował ku Suczawie przed przewagą wojsk siedmiogrodzkich, lżących Zamojskiego, a przechwalających się, że ich książe zostanie niezadługo królem polskim. Starosta Potocki przypadł z Kamieńca do Suczawy w kilkanaście koni dopiero 12 grudnia, a ledwie zaprzątnął się koło opatrzenia miejsca i zebrania ludzi, przyszła wiadomość, że Rozwan stoi już tylko półtory mili od miasta [3]. Ponieważ pusta

---

[1] Hurm. III, I, 217.

[2] Thein. III, 249.

[3] Potocki do Zamojsk. 13 grudnia. Rkp. Czart. 96, 95; 351, 3.

i otwarta Suczawa nie nadawała się do obrony, a słabego zamku niepodobna było wzmocnić, postanowiono na radzie rotmistrzów przyjąć bitwę w polu i raczej próbować szczęścia z dziesięciu rotami, — bo inne jeszcze nie zdołały zdążyć na miejsce — jak sromotnie ustąpić i stracić robotę całego lata.

Hospodar Jeremi miał wprawdzie ze sobą 3.000 pieszych i konnych chłopów, ale zbieranina ta, jak pisał Potocki, byle się listek ruszył, uciekała w nogi, a *in adversa sorte* nie można było jej zaufać.

Jeremi ustawił swoich pod wsią Arenu, przy wielkich armatach wraz z częścią Kozaków z Multan przybyłych, podczas gdy jazda polska z rotą Broniowskiego i Zebrzydowskiego na czele zajęła stanowisko na drodze, wiodącej z Suczawy do Baji. Piechotę, arkebuzerów, Kozaków i sześciuset kopijników ukryto w zasadzce.

Wojsko Rozwana szło sprawnie i ochotnie, z jednej strony od dolin zasłonięte taborem wozów, z drugiej zakryte górami. Główną jego siłę stanowiło przeszło tysiąc kopijników, którzy szli na czele z chorągwiami księcia siedmiogrodzkiego.

W pierwszym starciu stu kopijników Jeremiego, wysuniętych na front jazdy polskiej, nie dotrzymało pola. Dla zatarcia porażki uderzyła na Rozwana wyborowa husarya Broniowskiego i Zebrzydowskiego, a natarła tak silnie, że rzadko który husarz przeciwnika nie zrzucił z siodła. Drugi atak poprowadzili Potoccy, Jan i Stefan, z niemniejszym skutkiem. Równocześnie uderzyli z zasadzki na tobor Milewski i Tworzyański, wozy rozerwali, a za nimi wyłomem wdarła się kamieniecka piechota.

Węgrzy z dwóch stron napierani poczęli się łamać, mieszać i ustępować, aż wreszcie cała jazda rzuciła się do ucieczki. Za to piechota węgierska trzymała się twardo i napierała tak ostro na Wołochów i kozaków przy armatach hospodara, że ci poczęli ustępować, i odbiegli armat, które mogły być uprowadzone, gdyby nie wielki ich ciężar.

Chański z jedyną rotą pozostałą na placu, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, ruszył na zagrożone stanowisko, zatrzymał hospodara i zagrzewał do ataku, ale że wojsko nie ochotnie

szło i ciemno się robiło, piechota węgierska umknęła w lasy, gdzie ją jednak Wołosza wytłukła.

Jazda polska ścigała tymczasem przez dwie mile uciekających, ścieląc drogę trupem, tak, że Rozwan tylko z 50 ludźmi schronił się do jakiegoś klasztoru, skąd go później wydostała piechota kamieniecka, wysłana na wozach w pościg przez Potockiego.

Zwycięstwo więc było zupełne. Według obliczeń Potockiego, padło ze dwa tysiące z wojska Rozwana. Pobrano wiele drobnych więźniów i kilku znaczniejszych Wołochów, jak logofeta i wisternika i kilku węgierskich rotmistrzów. Wzięto kilka dział polowych, ośm działek, kilka śmigownic i cztery wozy organków. Inną zdobycz na wozach, mułach, wielbłądach rozdrapali Wołosi.

Po powrocie z pościgu ze zdobyczą, więźniami, chorągwiami wprowadziło wojsko w tryumfie Jeremiego do Suczawy. Przyprowadzonego nazajutrz Rozwana, kazał hospodar wbić na pal, a przed jego oczyma ściąć brata. Na pobojowisku usypano mogiłę, którą jeszcze przy końcu XVII. wieku nazywano mogiłą Rozwana [1].

Jeżeli wyprawa Zamojskiego i osadzenie Mohiły na hospodarstwie, wywołało niezadowolenie w Rzymie, należało się spodziewać, że i teraz krok Polaków będzie źle przedstawiony przez zawiedzionego w nadziei księcia siedmiogrodzkiego, tem bardziej, że teraz polała się krew chrześcijańska.

Wysłano więc zaraz po bitwie relacye do biskupa Baranowskiego i skargi na niespodziany bo wbrew zapowiedziom papieskim najazd Rozwana.

Na posłuchaniu u papieża 14 stycznia, starał się Baranowski usprawiedliwić rozlew krwi chrześcijańskiej, ale, jak donosił królowi, „obmowa“ jego nie została tak łaskawie przyjętą, jak po pierwszej wyprawie [2].

Klemens VIII. przyjął usprawiedliwienia przykro i z obra-

[1] Costin, Rkp. Czart. 1393. [2] Rkp. Czart. 96. 30.

żeniem niemałem. Zawiadomiony już o zajściu przez cesarza i pod wrażeniem tryumfalnego przyjęcia poselstwa wołoskiego w Stambule, żalił się, że chrześcijanie dobrowolnie poddają się Turkom i zamiast łącznie uderzyć na wroga, sami ze sobą walczą.

Baranowski zapewniał, że żaden Polak za wiedzą króla nie był teraz w Stambule, a jeżeli hospodar wysłał poselstwo, to uczynił to tylko z konieczności dla zabezpieczenia się od tureckiego najazdu; a gdy zapowiedział, że król nie odnowi pokoju z nowym sułtanem, dopóki nie przyjdą do skutku traktaty o ligę przeciw Turkom, które jedynie dla nieszczerości cesarza nie doprowadziły dotychczas do pomyślnych rezultatów, papież nie wiedząc komu ma wierzyć — *Deus scit quis sincere agit*, — przyrzekł, że zrobi co będzie mógł, by waśniom koniec położyć.

Dawniej już zapowiedział, że wyśle legata dla ułożenia spraw mołdawskich; teraz gdy naprężenie między cesarzem a Rzecząpospolitą wzrosło i groziło przerwaniem traktatów o ligę przeciw Turkom, wysłał legata nadzwyczajnego, biskupa Benedykta Mandino, a polecając go względom królewskim, wyrażał nadzieję, że Zygmunt, powodując się staraniem o chwałę bożą, zgodzi się na rozjemstwo papieża [1].

Według instrukcyi danej legatowi, miała Polska zatrzymać Mołdawię a ks. siedmiogrodzki Multany, na co po długich pertraktacyach obie strony się ostatecznie zgodziły.

Wpływ Rzeczypospolitej na Mołdawię wzmocnił się drugą wyprawą Zamojskiego i zwycięstwem pod Tergowist, odniesionem w piątą rocznicę Cecory nad hospodarem Michałem; wskutek czego czas jakiś zasiadł nawet w Multanach klient Polski Szymon Mohiła, a hospodar Jeremi zobowiązał się płacić królowi 28.000 piastrów rocznego trybutu [2].

Dawny hołdowniczy stosunek Mołdawii do Rzeczypospolitej, odżył więc na lat parę, dzięki inicyatywie Zamojskiego, dopóki go zaburzenia po śmierci Jeremiego i wyprawy panów polskich, przedsięwzięte na własną rękę, nie zaprzepaściły.

Ks. Józef Sas.

---

[1] Thein. III, 250. [2] Xénopol, *Histoire des Roumains*, t. I, 412.

ENCYKLIKA „RERUM NOVARUM“ [1].

Wiek nasz, a mianowicie druga jego połowa, choruje na kwestyę socyalną. W kwestyi socyalnej chodzi o to, jak należy urządzić stosunki, tj. prawa i obowiązki poszczególnych jednostek i warstw społecznych tak, iżby wszystkie warstwy, tworzące społeczeństwo, z ogólnego dobra jak najwięcej mogły korzystać i dla całości być użytecznemi. W dzisiejszych bowiem stosunkach, w walce kapitału i pracy, zwykle pokrzywdzoną jest praca, a zwłaszcza praca fabryczna, którą reprezentuje stan czwarty. Więc też głównie ten stan wystąpił do walki z obecnym ustrojem społecznym i kwestya pracy fabrycznej jest kwestyą socyalną *par excellence*. Ponieważ zaś przykre położenie, w jakiem się stan czwarty znalazł, wynika przedewszystkiem z zaniedbania zasad etycznych, a mianowicie zasad sprawiedliwości i miłości, przeto kwestya socyalna, która jest w pierwszym rzędzie kwestyą ekonomiczną, w dalszej swej analizie jest kwestyą etyczną. A ponieważ zasady etyczne nie dadzą się zrozumieć bez pojęć religijnych, w których jedynie źródło i siłę swoją mają, przeto kwestya socyalna, jak to zresztą sami ekonomiści przyznają, jest oraz kwestyą religijną. To też słusznie się należało, aby w tej sprawie zabrał głos także Naczelny Zwierzchnik Kościoła, który jest najwyższym stróżem prawdy i sprawiedliwości. Głosem tym to encyklika *Rerum novarum*, wydana przez Leona XIII. w dniu

[1] Wykład miany na kursie socyalnym.

15 maja 1891 r. W encyklice tej mówi Ojciec św. o położeniu robotników fabrycznych *(de conditione opificum)*, wszelako ogólne zasady, jakie stawia, odnoszą się nietylko do kwestyi robotniczej, ale do kwestyi socyalnej wogóle.

Encyklika *Rerum novarum* obejmuje wstęp, główną rozprawę i zakończenie.

We wstępie przedstawia Ojciec św. *statum quaestionis* i wskazuje przyczyny, które położenie dzisiejsze wytworzyły. Główne przyczyny widzi z jednej strony w rozbujałym indywidualizmie, który wydaje pracę na pastwę nieograniczonej konkurencyi, i w liberalizmie, który społeczeństwo rozbił na atomy i zniósł organizacye, stojące na straży interesów pracy i jej praw, — z drugiej zaś strony w upadku zasad religijnych. Te to głównie przyczyny sprawiły, że bogactwa, szczególnie w krajach o rozwiniętym przemyśle i handlu, skupiły się w rękach niewielu kapitalistów, a przeważna część ludności znajduje się w nędzy *(divitiarum in exiguo numero affluentia, in multitudine inopia)*. Nędza ta jest niezasłużoną *(immerita inopia)* i bardzo dotkliwą, bo na tych, którzy się w niej znajdują, wkłada prawie niewolnicze jarzmo *(prope servile jugum)*. Położenie robotników kreśli Leon XIII. w wyrazach dosadnych, ale nie przesadnych; używa wyrazów dosadnych, bo Ojciec św. jest zastępcą Chrystusa Pana, który na widok zgłodniałych tłumów zawołał: „Żal mi ludu, iż... trwają przy mnie, a nie mają, coby jedli“ (Mar., 8, 2), ale nie używa wyrażeń przesadnych, bo obraz nędzy robotniczej nie potrzebuje być karykaturą, aby wywołać mógł współczucie u tych, których serca do współczucia zdolne.

We właściwej rozprawie odpowiada encyklika na pytanie: Jak złemu zaradzić? Najprzód mówi Leon XIII. o tem, że złemu nie zaradzi socyalizm, w jakiejkolwiek on formie występuje. Fałszywości socyalizmu Ojciec św. nie udowadnia teoretycznie, jak jaki profesor z katedry, nie roztrząsa jego podstaw naukowych, nie rozbiera teoryi wartości i genezy kapitału Marxa, nie zwalcza pesymizmu, jakim tchnie i jaki zaszczepia prawo spiżowe Lassalle'a, ale praktycznie i dla wszystkich zrozumiale wykazuje, że socyalizm sprzeciwia się interesom robot-

nika, gdyżby jego doli nie polepszył, sprzeciwia się sprawiedliwości, gdyż wspólna własność dóbr produkcyjnych czyli kapitału, której socyalizm się domaga, nie jest niczem innem, jak zniesieniem prawa własności wogóle, a zniesienie prawa własności jest zamachem na prawo każdemu człowiekowi z natury od Boga dane. Zniesienie własności pociąga za sobą rozbicie rodziny, gdyż jej odbiera materyalną podstawę, a rozbicie rodziny jest początkiem zupełnej anarchii i wywrotu. Kościół zaś, będąc powołany na to, aby leczyć a nie zabijać, aby rozwijać a nie łamać, niczego tak nie potępia, jak gwałtu i anarchii.

Skoro tedy socyalizm kwestyi socyalnej nie rozwiązuje, to gdzież szukać lekarstwa? Według encykliki *Rerum novarum* do rozwiązania kwestyi socyalnej są powołane 3 czynniki, mianowicie: Kościół, państwo i samo społeczeństwo. Te 3 czynniki powinny razem działać, gdyż żaden z nich sam złemu nie zaradzi.

Najważniejsze zadanie w tej sprawie przypada Kościołowi, który przez swoją naukę, przykazania i instytucye może najskuteczniej podźwignąć społeczeństwo z tej przepaści, w jaką je zepchnęło odstępstwo od zasad chrześcijańskich. I tak Kościół naucza, że między ludźmi są i zawsze będą pewne naturalne różnice, z których następnie wynikają różnice majątkowe i społeczne, wszelako te różnice, wedle zamiarów Opatrzności Bożej, nie mają ludzi od siebie oddalać, ale owszem mają do siebie zbliżać, gdyż one sprawiają, że jedni drugich potrzebują, a przeto że jedni drugim mogą i powinni przychodzić w pomoc. Socyalizm obiecuje, że te różnice zniesie, ale usiłowania jego są walką przeciwko naturze, a walka taka do zwycięstwa nigdy nie prowadzi. *(Agitant id quidem socialistae, sed omnis est contra rerum naturam vana contentio).* Dalej, Kościół naucza, że ziema ta od grzechu Adama nigdy nie była i nie będzie rajem szczęścia, ale zawsze pozostanie padołem płaczu, że na tej ziemi wszyscy mają obowiązek pracować, a absolutnie nikt nie ma przywileju próżnowania, że praca i kapitał z natury swej nie są do walki ze sobą przeznaczone, ale że jedno potrzebuje drugiego. Co się tyczy przykazań, to Leon XIII. przypomina i zachować poleca

szczególnie 2 przykazania, mianowicie przykazanie sprawiedliwości i miłości. Pracodawca ma obowiązek z tytułu sprawiedliwości nietylko oddać robotnikowi słuszną zapłatę, ale także uszanować jego osobę, jego godność, religię, oszczędność jego siły i t. p. Obowiązki te wypływają z kontraktu roboczego, który nie jest wcale kontraktem kupna i sprzedaży, lub zwykłym tylko kontraktem najmu. Kontrakt roboczy nie jest kontraktem kupna i sprzedaży, gdyż praca nie jest towarem, ale czynnością ludzką, ani też kontrakt roboczy nie jest zwykłym kontraktem najmu, gdyż człowiek nie jest maszyną produkującą bogactwa, ale istotą na obraz boży stworzoną, która ma wyższe cele, niż tu na ziemi służyć tylko przemysłowi za narzędzie do produkcyi bogactw; kontrakt roboczy nie jest stosunkiem człowieka do rzeczy, ale jest stosunkiem człowieka do człowieka, tj. do istoty, która ma pewne obowiązki i dlatego ma pewne prawa, jak prawo do życia, do wykonywania religii, do moralności i t. p., a praw tych ani nikt człowiekowi nie może odjąć, ani nawet człowiek sam nie może się zrzec. Nadzwyczajnie ważnem w encyklice jest to miejsce, w którem Ojciec św. traktuje o płacy. Według zasad liberalizmu ekonomicznego o wysokości płacy rozstrzyga tylko prawo podaży i popytu; im większa podaż pracy, a mniejszy popyt, tem płaca jest niższą, a odwrotnie im mniejsza podaż pracy, a większy popyt, tem płaca jest wyższą, ale w jednym i drugim wypadku również sprawiedliwą. Zupełnie inaczej mówi Leon XIII.; nie zaprzecza on, że na oznaczenie sprawiedliwej płacy wpływa także prawo podaży i popytu, ale zaznacza, że jest pewne *minimum*, poniżej którego w normalnych stosunkach sprawiedliwość nie pozwala płacy zniżać. Owo *minimum* stanowi utrzymanie robotnika i jego rodziny, utrzymanie ludzkie, nie takie, jakie zapewnia prawo spiżowe, które tylko strzeże robotnika od głodowej śmierci. Robotnik uczciwy i pracowity ma prawo w normalnych warunkach zarobić tyle, ile potrzebuje na utrzymanie siebie i swej rodziny, bo jeżeli prawdą jest, co mówi św. Paweł, że kto nie pracuje, ten i jeść nie powinien (II, Tess. 3, 10), to prawdą jest i na odwrót, że kto pracuje, ten i jeść powinien. „Choćby robotnik i pracodawca — mówi

Leon XIII. — na to samo się zgodzili (tj. na pewną wysokość płacy), zawsze jeszcze pozostaje coś, czego żąda sprawiedliwość naturalna, a co jest wyższe i dawniejsze, niż umowa obu stron, mianowicie to, że płaca robotnika pilnego i uczciwego nie może być mniejszą od potrzeb, do jego utrzymania koniecznych" [1].

Jeżeli tedy sprawiedliwość naturalna *(justitia naturalis)* wymaga, aby uczciwy robotnik swoją pilną pracą zarobił tyle, ile potrzebuje na ludzkie utrzymanie siebie i rodziny, to oczywiście niesprawiedliwość czyli krzywda mu się dzieje, jeżeli tyle zarobić nie jest w stanie. Krzywda mu się dzieje, mówi Leon XIII., nawet w tym wypadku, gdyby sam pod wpływem wielkiej podaży pracy, zmuszony głodem zgodził się na płacę, która mu na utrzymanie nie wystarcza, gdyż w takich warunkach angażować się do pracy nie znaczy zawierać kontrakt, ale uledz sile *(istud quidem est subire vim, cui justitia reclamat)*. I gdyby Leon XIII. przez cały swój pontyfikat nic innego nie był zrobił, tylko ze stolicy Piotrowej publicznie wypowiedział to prawo, jakie ma uczciwa i pilna praca, jużby przez to samo zasłużył na wiekopomną wdzięczność u ludzi pracy, a na podziw i uwielbienie u ludzi uczciwości. Czyż więc można przyznać słuszność socyalistom, którzy twierdzą, że Kościół dla biednych robotników nic więcej nie ma, tylko słowa pociechy i nadziei lepszej doli w przyszłym świecie? Prawda, że nawet między katolikami byli tacy, którzy mówili, iż obecna nędza proletaryatu jest tylko nieuniknionym wynikiem naturalnej nierówności majątkowej, a przeto lekarstwem na nią są tylko dwie cnoty tj. dobroczynność u góry, a rezygnacya na dole. Odwoływali się nawet na słowa Pana Jezusa, który powiedział: „ubogich zawsze macie ze sobą" (Mar. 14, 7), atoli myśl Encykliki

[1] „Esto igitur, ut opifex atque herus liberb in idem placitum, ac nominatim in salarii modum consentiant, subest tamen semper aliquid ex justitia naturali, idque libera paciscentium voluntate majus et antiqius, scilicet, alendo opifici, frugi quidem et bene morato, haud imparem esse mercedem oportere".

Rerum novarum jest zupełnie inna. Leon XIII. naucza, że robotnik ma prawo żyć ze swej pracy, a więc nie z jałmużny tylko; Pan Bóg rzekł do Adama: „Będziesz pożywał chleb — w pocie oblicza twego" (Gen. 3, 19) a nie „w wyciąganiu ręki twej". Akcya socyalna nie wyklucza dobroczynności i miłości, ale musi wyjść ze sprawiedliwości, — i jak sprawiedliwości nie zastąpi miłość, tak też odwrotnie miłości nie zastąpi sprawiedliwość. Sama miłość bez sprawiedliwości byłaby w społeczeństwie chrześcijańskiem tem, czem w państwie byłby patryotyzm bez energicznego rządu, sprężystej administracyi i bitnej armii. Co się zaś tyczy wyrażenia Pana Jezusa: „ubogich zawsze macie ze sobą", to słowa te, co najwięcej, oznaczają tylko tyle, że ubogich jednostek nigdy na świecie nie braknie, ale bynajmniej nie oznaczają, jakoby było przeznaczeniem bożem, aby całe warstwy społeczne były w nędzy.

Ale Ojciec św. mówi nietylko o prawach robotników, ale z całą siłą zaznacza ich obowiązki, mówiąc, że robotnicy mają zobowiązania wiernie spełnić, swemu pracodawcy w niczem żadnej szkody nie wyrządzać, owszem mają i jego osobę i jego sprawę największą miłością otoczyć. Strejków encyklika zasadniczo nie potępia, gdyż mogą być czasem etycznie usprawiedliwione; ponieważ jednak zazwyczaj są dla porządku społecznego groźne, a dla stosunków ekonomicznych samych strejkujących przeważnie niekorzystne, przeto Leon XIII. ostrzega robotników, aby „w dochodzeniu swoich praw powstrzymali się od gwałtu, nigdy buntu nie robili, ani nie łączyli się z ludźmi, którzy przebiegle uwodzą nadmiernemi nadziejami".

Drugim czynnikiem powołanym do rozwiązania kwestyi socyalnej jest państwo tj. władza państwowa. Przedewszystkiem Leon XIII. pragnie takiej organizacyi społecznej, z którejby samowolnie wynikał dobrobyt ogólny, tak iżby bezpośredniej działalności państwa jak najmniej było potrzeba. Wszelako i bezpośredniej interwencyi państwowej w kwestyach ekonomicznych, a mianowicie w kwestyi produkcyi, Leon XIII. nie tylko się nie obawia, ale owszem jej potrzebę przeciw liberali-

zmowi uznaje. Jak daleko interwencya państwowa ma się rozciągać? — Na to pytanie katoliccy socyalni politycy, zwłaszcza we Francyi i Belgii, dawali dwie odpowiedzi, które reprezentują dwie szkoły, zwane od miast, w których się odbywały zgromadzenia uczonych. Szkoła z Angers, której organem jest *Révue catholique des institutions et du droit* zakreśla interwencyi państwowej granice ciaśniejsze; szkoła zaś z Liège, której organem jest *Association catholique* zakreśla granice obszerniejsze, wszelako ani pierwsze nie stoi po stronie liberalizmu ekonomicznego, ani druga po stronie socyalizmu państwowego. W Niemczech między katolikami prawie nie było żadnej różnicy zdań w tej sprawie, gdyż wszyscy przyznawali państwu prawo obszerniejszej interwencyi, w myśl szkoły z Liège, i ten też kierunek zapatrywań utwierdza encyklika *Rerum novarum*. W myśl Leona XIII. państwo nie jest tylko żandarmem, który jedynie tam wkracza, gdzie widzi naruszenie prawa, ale według wyrażenia św. Pawła (Rom. 13, 4), jest „sługą bożym ku dobremu" *(minister Dei in bonum)*, który swoją pozytywną akcyą ma szerzyć dobro ogólne — *debet enim respublica* — mówi encyklika — *ex lege muneris sui in commune consulere*. Dobro to ogólne wymaga, aby państwo w szczególniejszy sposób zajęło się losem robotników, gdyż bogaci łatwiej sobie sami dadzą radę *(in protegendis privatorum juribus praecipue est infirmorum atque inopum habenda ratio, siquidem natio divitum, suis septa praesidiis, minus eget tutela publica)*. A mianowicie państwo ma zabezpieczyć życie, religię, moralność i rodzinę robotnika, ma obowiązek umożliwić święcenie dni świętych, określić *maximum* godzin pracy dziennej, zakazać roboty dzieciom, a ograniczyć pracę kobiet, ma ułatwić robotnikom nabywanie własności i t. p. O trzech ósemkach Leon XIII. nie wspomina, ale cały duch encykliki świadczy, że za niemi nie przemawia.

Wreszcie trzecim czynnikiem powołanym do rozwiązania kwestyi robotniczej, a przeto i socyalnej, jest samo społeczeństwo, a mianowicie klasa pracująca, która się ma łączyć w stowarzyszenia zawodowe. Prawo tworzenia takich związków ma człowiek z natury, przeto żadna władza odejmować go nie

może. Stowarzyszenia te sprawiłyby, że całe społeczeństwo byłoby tem, czem być powinno; powinno zaś być organizmem żyjącym, a nie bezładną masą atomów, które w walce o byt wzajemnie się ścierają, jak chce liberalizm, ani też nie mechanizmem poruszanym siłą, która przychodzi z zewnątrz, jak chce socyalizm. Związki takie, posiadające własną autonomię, robotnikom zapewniałyby chleb na jutro, strzegłyby ich przed wyzyskiem kapitału, czuwałyby nad sprawiedliwą płacą, a tak strzegąc społeczeństwo przed następstwami wybujałego indywidualizmu, zapewniałyby mu harmonię i trwałość. Leon XIII. wyraźnie się zastrzega, że nie myśli o wskrzeszeniu cechów średniowiecznych, z ich ograniczeniami, które wobec dzisiejszego przemysłu ostaćby się nie mogły i powiada, że „stowarzyszenia te powinny być zastosowane do dzisiejszych stosunków“.

W zakończeniu swej encykliki wzywa Leon XIII. wszystkich, aby wskazaną przezeń drogą postępowali i aby każdy, w zakresie swojej możności, do rozwiązania kwestyi socyalnej przyłożył rękę.

Oto ogólny tok myśli, które encyklika *Rerum novarum* rozwija!

Wrażenie, jakie ta encyklika w całym świecie zrobiła, było ogromne. Wszędzie, nawet ze strony niekatolickiej, sławiono encyklikę *Rerum novarum*, jako największe dzieło Leona XIII., jako najważniejszy dokument XIX. wieku. Tysiące robotników, zwłaszcza francuskich i belgijskich, w osobnych pielgrzymkach i adresach, składało hołd papieżowi, wyrażając swoją wdzięczność za to, że użył swego stanowiska i swej potęgi moralnej na obronę biednych.

Ale mniejsza o wrażenie, — encyklika *Rerum novarum* ma zasadnicze znaczenie. Gdy kwestya socyalna w naszym wieku tak żywo zajęła umysły wszystkich, w obozie katolickim nie brakło mężów, którzy pismem i słowem wskazywali, jak tę kwestyę na podstawie zasad katolickich rozwiązać należy. Na tem polu najświetniej zajaśniały imiona takich mężów, jak biskup Ketteler w Niemczech, kard. Manning w Anglii, de Mun i La Tour-du-Pin we Francyi, Kuefstein i Vogelsang w Austryi, Dé-

curtins w Szwajcaryi i wielu, bardzo wielu innych. W Kościele katolickim Rzym nietyle jest motorem, który wszystko porusza, jak raczej centrum, do którego wszystko zdąża i w którem wyraz swój znajduje. Otóż Leon XIII. zebrał nauki katolickich pracowników na polu socyalnem, to wszystko, co tchnęło przesadą w jakimkolwiek kierunku, odsunął, to zaś, co było wyrazem sprawiedliwości i słuszności, swoją powagą zatwierdził i w encyklice *Rerum novarum* podał światu, nie jako tylko jakiś program ekonomiczny, ale jako kodeks katolickiej etyki socyalnej. To też my katolicy mamy dziś już nie p r o b l e m socyalny do rozwiązania, ale z a d a n i e socyalne do spełnienia; mogą między nami być różnice w stosowaniu zasad, ale nie w zasadach samych. Pius IX. w swoim Syllabusie, wydanym w r. 1864, potępił zasady liberalizmu w rozmaitych objawach, a przez to niejako wszystko uprzątnął, co gmachowi społecznemu groziło ruiną, Leon XIII. zaś w encyklice *Rerum novarum* przystąpił do wzmocnienia i odnowienia samej budowy. Pod ręką Kościoła już nieraz przekształciło się społeczeństwo, wszelako tak, iż porządek społeczny nie został naruszony, — możemy przeto mieć nadzieję, że i teraz ręka Kościoła nie będzie mniej skuteczną. Kościół, i on sam tylko, mógł już nieraz, a więc może i teraz wobec społeczeństwa powtórzyć o sobie słowa Pana Jezusa: „J a m j e s t z m a r t w y c h w s t a n i e i ż y w o t“ — *Ego sum resurrectio et vita!*

Ks. dr. A. Trznadel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pogadanka o nowych książkach St. Pepłowskiego.

„Polacy i Węgrzy“. Opowieść dziejowa. (1848—1849). Lwów 1896. — „Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa“. (1772—1858). 2 tomy. Lwów 1896. — „Krwawa karta“. Opowieść z przeszłości Galicyi. Lwów 1896. — „Galicyana“. (1778—1812). Lwów 1896. — „Z tajnego archiwum“. Kartka z dziejów Galicyi. Lwów 1896. — „Życie za wolność“. Opowieść z przeszłości Galicyi. Lwów 1897. — „Wódz legionów“. Lwów 1897. — „Jeszcze Polska nie zginęła“. Opowieść dziejowa. (1796—1806). Kraków 1897. — „Janów pod Lwowem“. Lwów 1897.

Przed laty ośmiu wystąpił z nowem piórem p. Stanisław Schnür-Pepłowski; w krótkim czasie tak się rozpisał, że wystarczało trochę czytywać pism galicyjskich, ażeby jego utworów czytać dużo. Ale i w *Przewodniku Bibliograficznym* coraz częściej pojawiało się jego nazwisko, aż wreszcie od lat trzech sypią się książki jak z rękawa! Książka co kwartał! Oczywiście trzeba przestudyować takiego autora, który gotów się doczekać osobnej szafy w bibliotece.

Nasz autor wyrósł z pośród dzienników; rzecz szczególna, bo na tem tle karleje się zazwyczaj, ale nie wyrasta. Możnaby przytoczyć cały szereg imion, które zniknęły dla literatury, odkąd zetknęły się z warstwą drukarskich kaszt, ale żeby ktoś z gazeciarza wyrósł na literata — *res miranda!* Taki człowiek ma widocznie swój rozum, swoje sposoby, swoje drogi, słowem, jest widocznie wybitniejszą indywidualnością, nietylko talentem większym, ale też oporniejszym charakterem; nie pójdzie już chyba na marne. Zdarzało się wprawdzie, że dziennikarz

popełnił jaką powieść lub dramat; ale zawsze przestraszał się potem sam tego postępku i już nigdy nie sprzeniewierzał się tej literaturze, która jest z poniedziałku na wtorek (bo we wtorek musi być nowa). Pierwsze próby bywały zazwyczaj ostatniemi. Nasz autor po pierwszej próbie trochę się zadumał, ale nie przestraszył. Po pierwszej książce nastąpiło pauzy w sam raz na tyle, żeby ludzie mogli wyjść z osłupienia, że dziennikarz (a zatem literat!) napisał książkę; ale gdy wydał drugą, wnet doszedł do tuzina i przekroczył go, nie dbając nic o to, że jak na Galicyę, to stanowczo za dużo [1]. Dotychczas napisał książek dwadzieścia jeden w ciągu lat ośmiu, a są między niemi dwutomowe; wypada coś po trzy książki na rok!

Powie na to mój czytelnik: widocznie p. Pepłowski nie pisał filozofij! Argument niesłuszny, bo ilość dzieł nie od przedmiotu zawisła, ale od wartkości myśli, łatwości pióra, pilności autora i okoliczności zewnętrznych. Hoene-Wroński, filozof (bardzo ciężki) i wielki matematyk, pisywał także książkę co kwartał. W każdym rodzaju piśmiennictwa przytoczyć można szereg autorów płodnych i mało pisujących, i to zarówno autorów dobrych, jak miernych i lichych; słowem, jakość niema tu nic a nic do ilości. Trudność zaś lub łatwość przedmiotu są pojęciami nader względnemi i nieraz rzecz niewątpliwie łatwą pisze się znacznie dłużej od trudniejszej; zależy to przeważnie od usposobienia. Jedno tylko nie ulega wątpliwości: że chcąc pisać wiele, trzeba być pracowitym. O zdolności to jeszcze nie świadczy, bo przecież można być autorem wielu pism nieudolnych.

Pisanie wymaga przygotowania i pod tym względem pisanie pisaniu nierówne. W pewnych zakresach trzeba nieraz lat przygotowawczej pracy do napisania arkusza, w innych znowu materyał na poczekaniu przetapia się na literaturę. Jak tedy powstają książki p. Pepłowskiego?

Same tytuły ich wskazują, że autor obrał sobie za specyalność dzieje Galicyi przed nadaniem autonomii, możnaby powiedzieć: dzieje Galicyi uciskanej przez rząd wiedeński. Zabór austryacki jest jednak

---

[1] „Teatr polski we Lwowie". T. I. 1889, t. II. 1891. — „Powstanie Kościuszkowskie". 1894. — „Z przeszłości Galicyi". 2 tomy. 1894—95. — „Teatr polski w Galicyi wschodniej". 1894. — „U kolebki teatru". 1895. „Bogusławski we Lwowie". 1895. — „Racławice". (Opis panoramy). 1895. — „Kościuszkowskie czasy". 1895. — „Ojciec Bem". 1895. — „Teatr Bogusławskiego". 1896. — Dalszych dziewięć książek jest przedmiotem niniejszej pogadanki, a nadto są już pod prasą: „Legioniści" i „Cudzoziemcy w Galicyi".

organiczną cząstką porozbiorowej Polski, trzeba więc znać ogólne dzieje porozbiorowe, chcąc się znać na historyi galicyjskiej. Autor dołącza przeto do swych studyów takie ważne sprawy, jak powstanie Kościuszkowskie, walki legionów. Z drugiej strony jest Galicya częścią monarchii rakuskiej, zależną od zmian dziejowych całej Austryi: i te poznać trzeba i wciągnąć do zakresu swych studyów, np. powstanie węgierskie z lat 1848 i 1849. Nie uchyla się od tego autor, a czyniąc zadość temu i tamtemu warunkowi dojdzie też czasem do tego, że przedmiot swój osadzi na szerokiem tle, wyzyskując wszechstronnie wszystko, co tylko może mu być pomocnem. Czy istniał taki plan od początku — wątpię; ale dziś on się już wyłania wyraźnie. Party niejako samą naturą przedmiotu doszedł autor do tego, co trzeba; a to świadczy już o zdolnościach, bo bez nich byłby się na tem nie spostrzegł. Jeżeli autor tak dalej będzie miał trafny sąd i szczęśliwą rękę, możemy się z czasem doczekać kompletnej historyi Galicyi, o czem na początku zapewne nie marzył.

Genezę prac p. Pepłowskiego odnieść należy zapewne do zamiłowania w szperaniu po starych szpargałach. Takich szperaczy jest legion, ale rzadko kto z nich weźmie pióro do ręki, a jeszcze rzadziej potrafi cośkolwiek porządnie napisać. Zwykle pozostają po nich t. zw. teki, tj. ze starych szpargałów szpargały nowe, od starych o tyle gorsze, że chaotyczniejsze. Chcąc bowiem szperać z korzyścią, trzeba wiedzieć, gdzie, co i poco? I dziejopisarstwo potrzebuje takiego szperania, a jednak historycy prawdziwi szperają stosunkowo najmniej, bo nigdy nie robią tego niepotrzebnie, a gdy robią, mają do tego system i metodę. — Pisma p. Pepłowskiego nie są dziełami naukowemi, ale tylko opowiadaniami z przeszłości. Cokolwiek wynajdzie ciekawego, opowie nam o tem od razu, szczegółowo, z wszelkimi drobiazgami, tak, jak to wyszperane znalazł. Uniwersytet lwowski, do niedawna niemiecki, posiada w bibliotece mnóstwo druków, składających się na ciekawy pomnik przeszłości z czasów, kiedy tuszono, że z pomocą tego zakładu zniemczy się inteligencyę kraju; tylu profesorów złożyło tam swe biblioteczki i własny dorobek literacki, a niejeden rozpisał się o nas. W zmienionych zupełnie warunkach lektura taka stanowi niejako *curiosum*, które zaciekawia. Szperacz zabiera się do tego i czyta; znajduje rzeczy naprawdę ciekawe i od razu nam wypisuje, co tam wyczytał. W ten sposób powstają niektóre pisma naszego autora, których przygotowanie najmniej wymaga zachodu.

Do takich należy np. tom zatytułowany: „Galiciana“. (1788—1812),

który jest po prostu przypomnieniem pism sześciu nieznanych u nas, a u Niemców zapomnianych autorów: Jan Filip Carosi 1781—1784, Franciszek Kratter 1786, Henryk Gotfryd Bretschneider 1784—1799, Baltazar Hacquet 1788—1795, Józef Rohrer 1802—1804, Samuel Bredetzky 1807—1812 (daty oznaczają lata wydania dzieł). Podróżnicy, poważni autorowie i pamfleciści, uczeni badacze i powierzchowni karyerowicze spisywali wówczas swe wrażenia z Galicyi; sześciu z nich wybrał i „zmodernizował“ nam p. Pepłowski. Carosi, pochodzący z Dolnych Łużyc, był dyrektorem górnictwa i dozorcą mineralogicznego zbioru Stanisława Augusta; na wezwanie Komisyi Edukacyjnej ułożył podręcznik do nauk przyrodniczych. W r. 1778 odbył podróż celem wyszukania pokładów soli i wogóle dla badań geologicznych. Z dzieła jego przytacza p. Pepłowski opis Krakowa i Wieliczki. Pamflecista Kratter nicuje stosunki ówczesnego uniwersytetu lwowskiego, do którego podwoi kołatał sam bezskutecznie, opisuje szkolnictwo, handel i stosunki towarzyskie, zajmuje się dużo Lwowem, nie wiele dobrego mając o nim do powiedzenia. Bretschneider, bibliotekarz uniwersytetu lwowskiego, człowiek poważny, wyrzeka jednak niemniej na rozpustę Lwowa, oszustwo, brak statku i poczucia godności jego mieszkańców. Hacquet, Bretończyk rodem, ciekawy typ kosmopolity w służbie cesarskiej, był profesorem historyi naturalnej w uniwersytecie lwowskim. Pozostawił bardzo ciekawe opisy swych podróży w celach naukowych odbywanych; interesowało go wszystko po drodze i żadnego chyba podróżnika notaty nie są tak wszechstronne, jak Hacqueta.. Dzieło jego ważnem jest dla południowo-wschodniej części kraju, Pokucia i Bukowiny, mniej zaś szczegółów zawiera o zachodniej Galicyi. Rohrer zjeździł całą Galicyę jako komisarz policyjny w r. 1802 i 1803; jest to przedewszystkiem statystyk, a specyalnością jego było, że wszędzie zasięgał wiadomości o przemyśle domowym. Bredetzky, ewangelicki superintendent na Galicyę, poucza nas w swych pismach o surowych płodach, w które ta kraina zawsze tak obfitowała, a notuje zarazem skrzętnie pierwsze kroki krajowego przemysłu, nieliczne zakusy produkcyi fabrycznej; pisze też obszernie o ówczesnem gospodarstwie rolnem. Od niego pochodzi najdokładniejszy opis Krakowa; jest on tak gruntowny, że poinformował się np. co do ilości majstrów, czeladzi i uczniów w każdym cechu, licząc przytem oddzielnie chrześcijan a Żydów; dla dzielnicy żydowskiej sporządził osobny wykaz kupców i rękodzielników. Streszczenie tych kilku książek czyta się przyjemnie i zajmująco, a można się przytem niejednego dowiedzieć,

jak np. o początkach niemieckich nowożytnych kolonij w Galicyi, o mnemonitach i anabaptystach, o Karaitach i t. p. Lektura ta jest jakby kalejdoskopem; co chwila coś innego, a ugrupowane to wszystko dosyć zręcznie, tak, że po odczytaniu pozostaje pewne ogólne wrażenie o ówczesnym stanie kraju; niema bowiem takiej sprawy, którejby gdzieś w tych starych książkach nie dotknięto.

Autor z sześciu tylko autorów dokonał takich streszczeń; trudnoć żeby streszczał wszystkie ówczesne pisma, traktujące o Galicyi! Ale zna ich widocznie bardzo wiele, wertował długo i pilnie, a wypisywał bez ustanku, co było ciekawego, z książek, z pism peryodycznych i gazet, a w końcu czasem i z archiwów. Nazbierało się notatek moc wielka i gdyby je uporządkować, powstałby jaki taki obraz Galicyi w pierwszej połowie tego wieku; co trzeba będzie uzupełnić, to się wypełni poszukiwaniami *ad hoc*. W ten sposób, już trudniejszy, powstała dwutomowa książka: „Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa 1772—1858". Tom I. poświęcono wyłącznie galicyjsko-stołecznemu Lwowu. Autor przechodzi przedmieście za przedmieściem, czasem ulicę za ulicą, i opowiada wszystko, czego się tylko ze swych szpargałów mógł dowiedzieć. Jest to istna kroniczka Lwowa, z której zaczerpnąć się da bardzo wiele ciekawych informacyj. Dowiemy się o początkach straży pożarnej [1], o trzęsieniach ziemi, o ile one Lwów nawiedzały, o kontraktach, o teatrze i sporo o ówczesnem życiu towarzyskiem, które (jak wszystkie zgodnie sprawdzają źródła) najświetniejsze było w sam raz w r. 1795. Dalsze rozdziały stanowią tom drugi, a rozpoczyna go rozdział p. t. „Dziatwa Apollina", ważny niezmiernie, bo tu po raz pierwszy zebrano na jednem miejscu wszystkie wiadomości o ruchu literackim i artystycznym Galicyi z owych czasów. Pogrzebani w niepamięci autorowie i artyści przypominają się oto swym następcom, którym dano pracować w warunkach znacznie lepszych, i wołają na nich: Pamiętajcież zrobić bez porównania więcej od nas, bo inaczej i was czeka głusza zapomnienia! Lista p. Pepłowskiego jest pożądanem uzupełnieniem dziełka ś. p. Władysława Zawadzkiego p. t. „Literatura w Galicyi", a nadto znajdujemy tu ciekawe wiadomości o cenzurze, nie pozbawione humoru, (co już jest nieodłączne od

[1] Autor wyraża się (jak wszyscy zresztą) „straż ogniowa". Miał racyę ś. p. Skobel, że taki tytuł należałby się chyba Westalkom. W tym wypadku nie chodzi o pożyteczny ogień, lecz li tylko o szkodliwe pożary, to też wyrażenie: „Towarzystwo ubezpieczeń od ognia" jest wręcz śmieszne!

tej gałęzi „sztuki rządzenia“), tudzież treściwy przegląd najdawniejszych wydawnictw peryodycznych lwowskich. O początkach ruchu artystycznego we Lwowie dowiadujemy się po raz pierwszy rozmaitych szczegółów od p. Pepłowskiego. Ktoby był przypuszczał, że pierwsza wystawa obrazów odbyła się nad Pełtwią w r. 1837! Sześćdziesięciu lat było potrzeba, żeby się Lwów jako tako do tej rzeczy przyzwyczaił! Pierwszym utworem pendzla polskiego, który zwrócił uwagę zagranicznych znawców, była „Magdalena“ Tysiewicza, obwożona po świecie i wystawiana w sztucznem oświetleniu, w zaciemnionym pokoju; przedsiębiorcą był również Polak, Boznański. Osobny rozdział w „Obrazach z przeszłości Galicyi“ poświęcono naszym zdrojowiskom. Pełno tu wiadomości godnych uwagi. Zanotujemy jednę z nich, a mianowicie pamięć o „zaginionym“ zakładzie kąpielowym, siarczanym, o ćwierć mili od Mikuliniec na Podolu galicyjskiem, założonym przez barona Jana Konopkę i Konopkówką zwanym. Zakład ten miał w r. 1832 gości 4228, a więc kwitnął! I cóż się z nim stało? Oto wydzierżawienie zakładu Żydom na lat 30 zadało mu cios śmiertelny, i czy słyszał kto z nas kiedy o jakiej Konopkówce?! Rozdział czwarty zawiera „Cracoviana“. Opisano tu to i owo z urządzeń wolnego i ściśle neutralnego miasta, przeplatając rzecz charakterystycznemi anegdotami, jak np. o kradzieży w kościele św. Piotra, od której wymawiał się obwiniony, twierdząc, że N. Panna podarowała mu sukienkę ze swego cudownego obrazu, a sąd to tłumaczenie uwzględnił, ale nie mając w aktach dowodów darowizny, sukienkę odebrał i do kościoła odesłał, zakazując jednak zarazem na przyszłość obżałowanemu, żeby się już nie ważył na przyszłość przyjmować prezentów ani od Matki Boskiej, ani od żadnego z świętych Pańskich... Działo się za rządów Wolnego Miasta, za starych, dobrych czasów. — Pozostało jeszcze autorowi sporo notatek, nie dających się nanizać na jaką dłuższą, wspólną nitkę, więc rozdział V., ostatni przeznaczył na *Silva rerum*. Tu mowa jest o stuletnich starcach, potem o stosunkach między dworem a chatą, o mandataryuszach, o kolonistach niemieckich, mających sadzić rheumbarbarum, w końcu o kilku wielkopańskich rezydencyach, o Sieniawie, Łańcucie, o właścicielach Turki, Kalinowskich, dzikusach i opętańcach istnych, wreszcie o kilku typach ówczesnej biurokracyi; o szkołach i politycznych procesach chłopczyków owego pokolenia.

Treść książki obfita i rozmaita. Tak mało wiemy o przedkonstytucyjnem życiu Galicyi, że niewielu się znajdzie czytelników, dla którychby wszystko a wszystko, cokolwiek się znajdzie w „Obrazkach

z przeszłości", nie było nowością. O korzyści z takiej lektury nikt chyba nie wątpi, bo cokolwiek prowadzi do lepszego poznania stosunków krajowych, wychodzi na wspólny pożytek. Później pomówimy jeszcze o tem, że szerzenie tego rodzaju lektury jest sprawą bardzo poważną a tak ważną, że uważać to sobie należy za obywatelski obowiązek; teraz jednakże nie przerywajmy sobie charakterystyki p. Pepłowskiego, jako autora.

Skłonność do szperania i robienia notatek towarzyszy mu nieodstępnie na każdym kroku. Mając pod ręką wielkie publiczne biblioteki, zbiera kronikarski materyał do przeszłości Galicyi, na wsi będąc przejrzy stare dokumenty przechowane na plebanii i przebiegnie okolicę, czy też tu niema czego ciekawego... o czem wartałoby napisać; napisawszy zwróci uwagę na niejedno, co godne wiadomości szerszych kół, ocali od niepamięci niejeden szczegół ciekawy, poda do pamięci potomnych to lub owo, co zasługuje na nić tradycyi. Trochę notat kronikarskich, trochę turystycznych wrażeń, kilka do tego ilustracyj i zrobi się mała książeczka. W ten sposób powstał „Janów pod Lwowem". Miasteczko założone z początku XVII. wieku, nie mogło się nigdy należycie rozwinąć, niszczone wojną i pożarem, aż dopiero zostawszy stacyą kolei żelaznej w r. 1895 zbliżyło się do świata i pomyślało, w jaki sposób urządzić stosunek swój do Galicyi. Zacny dr. Udziela wziął Janów w kuracyę, a zbadawszy sumiennie *statum praesentem*, stwierdził, że grunt jest piaszczysty, łatwo przepuszczalny, powietrze balsamiczne, czyste, nie zatrute żadnemi wyziewami, woda do picia miękka, bez przymieszek organicznych, to też choróbska zakaźne należą tu do rzadkości. Lasy na wszystkie strony, a do tego staw, ale co za staw! Gdy się zabiorą do łowienia ryb, wyciągają z niego po 10.000 szczupaków, linów, okoni i karasi — bo też powierzchnia stawu ma morgów 641 i sążni kwadr. 1509! A na tym stawie są łódki do wynajęcia i łazienki, a urządzone nie po galicyjsku, lecz po europejsku. Trzy razy dziennie pociągi do Lwowa, w niedzielę i święta czwarty t. zw. spacerowy, osobne bilety dla letników niemających urlopów, bilety dwutygodniowe, miesięczne i dwumiesięczne; tam i napowrót oficerską klasą 82 ct., a literacką 42 ct. tylko. O szczęśliwy Lwowie pod Janowem! Cóż to za postępowe urządzenia, o których ani się nie śniło Krakowianom dumnym z Krzeszowic, w których bardzo ładnie, ale niema ani mieszkań, ani wody. Na słowo p. Pepłowskiego, który z pism swych wydaje się bardzo wiarogodną osobą, nie waha się podpisany robić z całych sił reklamy Ja-

nowowi, bo to przecież niesłychana rzecz, żeby w Polsce miały być porządnie urządzone kąpiele wiejskie! Wartoby to sprawdzić, a przy sposobności zwiedzić wspaniałą grotę stradecką, a raczej szereg grot i pieczar tuż pod Janowem, a w miejscowym kościółku przypatrzeć się, jak możne rodziny, spokrewnione z rodem Poniatowskich, nie postarały się dotychczas o przyzwoity grób dla matki ostatniego króla polskiego. W krypcie okienko bez szyby a tam na kamiennem podmurowaniu spoczywa trumna; zbita ona z prostych desek, bo może tak kazała nieboszczka, ale chyba nie zakazała wieka do trumny przybijać, żeby każdy mógł wieko zdejmować, bo to już profanacya! — Zdaniem autora, Janów ma przed sobą przyszłość, jako „latowisko", tj. ziemia obiecana dla letników, a nawet jako t. zw. stacya klimatyczna. Broszurką swą oddał mu p. Pepłowski wielką usługę, bo nie będąc lekarzem, więcej zyska posłuchu u publiczności. Monografijki zaś takie są nader pożądane i każda ważniejsza osada powinna się postarać o coś podobnego. Dotychczas ze wszystkich ziem polskich jeden tylko Śląsk posiada obfitą tego rodzaju literaturę, bo ją napisali — Niemcy. Literatura ta lokalna ułatwia niezmiernie wszelkie dalsze badania naukowe, oddaje nieocenione nieraz usługi, a co najważniejsza, przyczynia się wielce do wyrobienia w mieszkańcach pewnego wyższego poczucia swojej godności i swego związku z ogółem kraju. Patryotyzm nie frazesowy, ale czynny, powstaje w zapadłych kątach i utrzymuje się często gęsto taką właśnie literaturką lokalną, której społecznej doniosłości u nas jeszcze się nawet nie domyślają.

Wśród poszukiwań po bibliotekach i archiwach wpadnie nieraz p. Pepłowskiemu w rękę jaki cenny biały kruk. Umie on zawsze zrobić z tego odpowiedni użytek. Obłowił się raz przepysznie, gdy znalazł plik, złożony z 23 arkuszy litografowanych p. t.: *Ausweis über den Stand der politisch notirten und deshalb unter besondere Aufsicht gestellten Insassen in Galizien sammt Krakau, mit Ende 1860.* Jest to rejestr 411 osób podejrzanych ówczesnym c. k. władzom; do każdego nazwiska dodano, co on zacz, co porabia i co nabroił. I jak nie polubić pisarza, który ogłasza takie kopalnie autentycznych wiadomości, takie pierwszorzędne źródła do historyj tak niedalekich, a jednak jakżeż mało znanych czasów. Z aktów tych powstała mianowicie cenna książka p. t. „Z tajnego archiwum". Przeszło czterysta naszych rodzin znajdzie tu wiadomości o swych ojcach. Na liście znajdujemy szereg imion skromnych dzierżawców, oficyalistów, aptekarzy i t. p. obok Sapiehy, Smolki, Ziemiałkowskiego, kardynała Dunajewskiego, W. Pola, Ka

linki, Helcla, Majera i t. d. Na początku książki opowiedziano przebieg działalności Goslara i kilku procesów politycznych. Nie jest to bynajmniej prosta tylko kopia znalezionego policyjnego wykazu, przetłumaczona na język polski; wydawca uzupełnia rzecz wiadomościami o cytowanych osobach z czasów następnych, podając cały szereg treściwych życiorysów, a nieraz prostuje mylnie spisane informacye władz. Zajmująca lektura tego dziełka podaje nam mnóstwo charakterystycznych do epoki szczegółów.

Wymienione dotychczas pisma p. Pepłowskiego są niejako popularnemi wydawnictwami materyałów. Autor nie ogranicza się wcale na tem, ale uprawia też konstrukcyę. Znając mnóstwo źródeł, obyty z materyałem do dziejów Galicyi tak, jak może nikt inny, posiada już przez to samo znaczne ułatwienie do wyrobienia sobie samoistnego poglądu; miejmy nadzieję, że wystąpi też kiedyś przed publicznością z historyą Galicyi.

Na razie mamy dwie monografie, a mianowicie historyę r. 1846 p. t. „Krwawa karta“ i życie T. Wiśniowskiego i Kapuścińskiego p. t. „Życie za wolność“

Krwawej owej karty z historyi Galicyi nikt jakoś nie chciał dotknąć; nie lubi się o tem mówić, a tem mniej pisać. Poza kilkunastu epizodycznemi wspomnieniami, porozrzucanemi w mało dostępnych pismach, nieznanych zgoła szerszej publiczności, nie było żadnego opowiadania o tych groźnych i wstrętnych zdarzeniach. Nowe pokolenie prawie nic nie wiedziało, jak to było... Nasz autor uczynił nietylko dobrze, ale zarazem mądrze, że się do tego zabrał. Czem bardziej rana pali, tem dokładniej zbadać ją trzeba. Daleko nam jeszcze do prawdziwego, historycznego zbadania kainowskiego roku metternichowskiego — bo gdy pierwszem pytaniem historyka jest dlaczego? — tu wypada je zadać w formie: Czemu przypisać, że rządowi mogło się udać coś podobnego? Umiejętna historya roku 1846 wymaga historyi stosunków wiejskich w Galicyi od początku. Słusznie powiedziano, że szlachta, dzięki urządzeniom administracyjnym, całe *odium* państwowych ciężarów wzięła wobec chłopa na siebie; winien tu dużo system, ale winno też wiele a wiele innych jeszcze okoliczności. Daleko nam niestety do umiejętnego traktowania tego przedmiotu; może praca p. Pepłowskiego zachęci kogo, on zaś sam zapewne nieraz będzie miał sposobność przy swoich szperaniach objaśnić sprawę bliżej. Na razie daje nam wyborną kronikę zdarzeń z tego roku; wyborną, bo dokładną, pisaną przedmiotowo, a przytem plastycznie, żywo i wogóle pod

literackim względem bardzo dobrze opracowaną; książka odznacza się przejrzystością i trafnym układem.

Te same przymioty zdobią drugie dzieło p. t. „Życie za wolność". Biografia Teofila Wiśniowskiego osnuta jest na tle wiadomości o ówczesnych robotach spiskowych, o ruchu politycznym wśród emigracyi i oddziaływaniu jej na kraj. Objektywności tu nieco mniej; autora porywa nieraz zapał dla sprawy „Towarzystwa demokratycznego", znać, że nie zawsze panuje nad sobą. Ale bo też przedmiot opisywany może porwać i nie czyni to wcale ujmy autorowi; zresztą porywają go tylko szlachetne uczucia, a nigdy nienawiść. Sprawa Towarzystwa demokratycznego i Centralizacyi pójdzie pod surowy sąd historyi a surowy lecz sprawiedliwy ten sąd czyż dla plew wzgardzi ziarnem? Z autorem możnaby się sprzeczać, czy nie uważa nieraz plew za ziarno, czy nie patrzy nieraz zbytnio przez szpary na nieoględność i... zaciekłość Centralizacyi. Skoro jednak te sprawy nie są jeszcze historycznie opracowane, skoro najważniejsze źródła dotychczas i tak są jeszcze w ukryciu, trudno byłoby i przeciwny dowód przeprowadzić formalnie do końca.

Biograficzna strona książki zasługuje na wszelkie pochwały pod literackim względem; autor umie wzbudzić sympatye dla swego bohatera, podnosi wszystko, co może wzbudzać dlań cześć i okazać ten piękny charakter w pełnem świetle. Pod psychologicznym jednak względem dają się odczuwać dotkliwe braki i nie zawsze zrozumieć można, dlaczego Wiśniowski postąpił tak a nie inaczej; zapatrywań bohatera niewiele poznajemy, ale też może do tego niema źródeł... Natenczas należałoby zwrócić uwagę, że to i owo musi pozostać niewyjaśnionem. Głównie chodziłoby o wytłumaczenie, po co Wiśniowski siedział w Centralizacyi, skoro (jak zapewnia autor na str. 69) „osobiście nie był zwolennikiem natychmiastowego, zbrojnego powstania a zarazem przeciwnym był propagandzie rewolucyjnej wiedzionej między ludem wiejskim bez dostatecznego, poprzedniego uświadomienia ciemnych mas pod względem narodowościowym". I taki człowiek członkiem Centralizacyi!! Jeżeli Wiśniowski nie był fanatykiem w swych przekonaniach politycznych, gotowym iść zawsze na oślep na przebój, natenczas niejedno w jego życiu stanie się wręcz niezrozumiałem. Trudno też będzie przedstawiać go jako umysł refleksyjny, bo to był gorączka na wskróś, a w najbardziej stanowczych chwilach postępował bez zastanowienia. W chwili największego niebezpieczeństwa, uciekając z Narajowa (w r. 1846), wiedząc, że będzie ścigany i przez huzarów i przez

chłopów, cóż robi? Oto zatrzymuje się po drodze w karczmie! Po co?! Potem pragnie się ukryć w Manajowie; wietrząc niebezpieczeństwo, nie udaje się do wsi za dnia, lecz chcąc się doczekać zmroku, ukrył się w chłopskiej pasiece na brogu siana i tam... zapalił sobie fajkę!!! Ukrył się, ale dymem z fajki dawał znać o swej obecności! Ależ to są przykłady pachołęcego zaiste braku rozwagi; lepiej przypuśćmy, że to plotki z bałamutnej tradycyi zaczerpnięte.

Bądź co bądź, ludzie ci byli wielcy uczuciem i charakterem, a ten okazuje się najbardziej w nieszczęściu. Uwięzieni, wiedząc, jaki ich los czeka, składali niemal wszyscy dowody wielkiego hartu ducha, a zapał dla idei promieniał z ich czół. Jedno z przednich miejsc należy się w tym długim szeregu Teofilowi Wiśniowskiemu, straconemu we Lwowie dnia 31 lipca 1847 r. Czasy więzienne i śmierć bohatera opisał autor z prawdziwym pietyzmem, a są tam miejsca sprawiające głębokie wrażenie. Zebrał też autor historyę pośmiertnej sławy Wiśniowskiego, dążenia do urządzania obchodów pamiątkowych w rocznicę stracenia, począwszy od roku 1848 aż do wystawienia obelisku pamiątkowego w r. 1895. Dodatek zawiera tekst wyroku śmierci.

Do tych samych czasów odnosi się inna jeszcze książka p. Pepłowskiego: „Polacy i Węgrzy, opowieść dziejowa z lat 1848—1849". Pisana jest ze wszystkich tu omawianych najlepiej i nie kronikarskim sposobem, ale już zupełnie po dziejopisarsku. Uwzględniono wszędzie przyczynowy zewnętrzny związek zdarzeń, cofając się i w odleglejszą przeszłość, ilekroć ona mogła dostarczyć wyjaśnień. Napisaniem tej książki posunął się autor o szczebel wyżej w karyerze literackiej. — Na początku podaje autor treściwie wiadomości o dążnościach Węgrów do wolności w XVIII. wieku, opisuje czasy Józefińskie i Maryi Teresy, spisek Martinowicza za Franciszka I., czasy Napoleońskie i następną reakcyę, potem stronnictwa węgierskie i ich walki w społeczeństwie i na sejmach aż do r. 1847. Sejm z tego roku opisany dokładnie i odtąd rozpoczyna się szczegółowe opowiadanie aż do krwawych egzekucyj po kapitulacyi Komarna. Poznajemy z tej książki całkiem stan Węgier, wszystkie sprawy wewnętrzne polityków i wodzów; poznajemy zagadkową dosyć sprawę owego „ruchu słowiańskiego", który zaznaczył się krwawą kontrrewolucyą i podstępne zachowanie się gabinetu wiedeńskiego, który wreszcie musiał się uciec do pomocy Rosyi. Wiadomo, że w kampanii węgierskiej odznaczył się Bem i Polacy gromadnie wzięli udział w powstaniu, upatrując powodzenie własnej

sprawy w zwycięstwach węgierskich; ten udział naszych opisany jest szczegółowo i stąd tytuł książki, zupełnie usprawiedliwiony.

Dwie inne jeszcze książki p. Pepłowskiego odnoszą się do czasów znacznie wcześniejszych, odbiegają treścią od omówionych dotychczas, które łączą się mniej więcej w pewną całość. Zanim też przejdziemy do pism naszego autora o Dąbrowskim i legionach, przerzućmy jeszcze raz ćwiartki tamtych.

Są to książki, które nietylko czytać, ale odczytywać częściej warto; przeczytawszy raz i wiedząc już, co się w nich znajduje, warto powracać do tej lektury i choćby na wyrywki powtórzyć to ten, to ów ustęp w chwili sposobnej do pomyślenia nad losami skołatanego społeczeństwa. Książki o tyle coś warte, o ile pobudzają do myślenia; pod tym względem pisma p. Pepłowskiego stanowią dla myślącego czytelnika lekturę nadzwyczaj kształcącą. Gdybyż to młodzież uczono historyi najnowszej, zamiast mnóstwa wiadomostek, które ulatują z pamięci nazajutrz po egzaminie; gdybyż to ogół inteligentnej publiczności był należycie poinformowany o doli i niedoli, o zapasach, porywach i trudach dwóch poprzednich pokoleń... mielibyśmy więcej wykształcenia politycznego w społeczeństwie. *Historia magistra vitae,* ale pod warunkiem, że się nauce dziejów nie odejmie w sztuczny sposób związku z życiem, a ten związek tkwi w historyi poprzedniego pokolenia, i dopiero za tem pośrednictwem może się przenosić na czasy odleglejsze. Zapewne, c o ś związku dziejowego ma XX. wiek po Chr. nawet z XX. przed Chr.; ale żeby to c o ś odczuć i odszukać, trzeba być uczonym specyalistą. Zapewne, niejedno z naszych stosunków da się z u w z g l ę d n i e n i e m p e w n y c h p o p r a w e k zestawić ze stosunkami starożytnego świata; ale w tem sęk, że tylko uczeni potrafią te „poprawki“ wprowadzić i uwzględnić; publiczność tego nie robi i nie będzie robić, bo to wymaga nauki, uczoności, historycznego zmysłu i znawstwa przedmiotu. Publiczność zestawia sobie zdarzenia dziejowe bardzo a bardzo bez ceremonii (a uczy się tego w szkole) i doprawdy całe szczęście, że nie tak często wdaje się w historyozofię! Z naszego dzisiejszego życia możnaby przytoczyć cały szereg curiosów w tej mierze, od dysput pomiędzy preferansem a... drugim preferansem aż do mów w parlamencie i sprawozdań poselskich. Tego nie zamierzam dziś tykać, ale przypomnę tylko, co za fatalne następstwa były ze złego zrozumienia historyi w okresie lat 1550—1750, co wyniknęło z zestawienia instytucyj prawa publicznego polskiego z instytucyami rzym-

skiemi; co za ogłupienie publiczności polskiej już za Wazów![1] Dzisiaj z naszą własną historyą tyle wyprawiamy karkołomnych gimnastyk, tyle względem niej popełniamy nadużyć, że niesposób przypuścić, żeby to uszło bezkarnie i nie sprowadziło na przyszłość złych następstw. Białym krukiem poprostu jest Polak rozumiejący przeszłość własnego narodu; ale czem bardziej Polak swą przeszłość miłuje (a pod tym względem nic nam zarzucić nie można), tem chętniej szuka w historyi argumentów, ale też tem niebezpieczniejszą jest jego argumentacya, skoro... nic nie umie. Dobiera sobie tedy do pomocy historyę powszechną, z której zna coś starożytnej, i ze średniowiecznej coś o Karolu W., o krucyatach i wojnach husyckich; z nowożytnej „wie“ tylko, że pokój westfalski wprowadził wolność religijną (a było właśnie przeciwnie!) i że rewolucya francuska trochę sobie może za dużo pozwalała, ale trzeba jej to darować, bo bez niej nie byłoby tylu pięknych gmachów parlamentarnych w Europie (a nie byłoby też rozbiorów Polski!) Z tym zapasem wiedzy historycznej (kończącej się oficyalnie na r. 1815) jak tu kombinować? Nakręca się przeto wszystko *ad usum delphini*, a reszty dorabia fantazya[2].

Obeszłoby się bez dalekich kombinacyj, a wnioski leżałyby po większej części, jak na dłoni, gdybyśmy znali historyę XIX. stulecia. Doświadczenie naszych dziadów i ojców — to szkoła dla nas, bo my pracujemy w warunkach przez nich wytworzonych. Dlatego też wszystkie dzieła szerzące u nas znajomość dziejów porozbiorowych powinny być jak najbardziej rozpowszechniane i należy z wielką radością powitać fakt, że znalazł się pisarz, który zabrał się do tego tak gorliwie. Zdarzenia z XIX. w. łatwo nam zrozumieć należycie, a przeto też łatwiej wysnuć z nich właściwą naukę.

Gdyby pozwalało miejsce, możnaby zacytować z książek p. Pepłowskiego mozajkę faktów, o których interpretacyę nie byłoby żadnych sporów, a z których każdy, nawet drobny, dawałby dosyć do myślenia w zastosowaniu do teraźniejszości. Oto biurokrata narobił nieszczęścia dlatego tylko, że się nie znał na rzeczy, która się dostała pod jego urzędowanie, a prosty kolonista wzmógł źródła dochodów krajowych, choć nie był ekonomistą, poprostu dlatego, że się znał na

[1] Co za ciężkie szkody wyrządziła t. zw. recepcya prawa rzymskiego rozwojowi cywilizacyi chrześcijańskiej! a początkiem złego było również powszechne mylne zestawienie faktów dziejowych przez humanistów.

[2] Sam słyszałem mowę, w której uwielbiano Batorego za to, że jego katolicyzm nie był „jezuickim“.

swojej rzeczy, tj. na rolnictwie (sprowadzenie rzepaku). Na Kalwaryi Zebrzydowskiej odpusty dziś jeszcze większe, niż w r. 1805, a loże wolnomularskie zniknęły. Lwów w r. 1807 posiadał „wyższą, miejską kulturę i zamożność, aniżeli Buda“, ale potem Buda jakżeż szybko Lwów wyprzedziło! Bo też Węgry postąpiły pod względem gospodarskim, a do Lwowa sprowadza się w r. 1897 gotowe buty i trzewiki z zagranicy tak samo, jak w r. 1767. Huculi w r. 1790 „za żadną cenę nie znoszą w swych siedzibach Żydów“, a równocześnie obcy podróżnik „chwali ich pracowitość“. Ustawa z r. 1789 zmuszała każdą gminę żydowską w Galicyi do osiedlenia własnym kosztem jednej rodziny żydowskiej na roli; w ten sposób miało powstać 1410 takich gospodarstw (eksperyment józefiński) — a do r. 1822 powstało ich 836 i rolnictwo było tylko pobocznem zajęciem osadników! W piątym dziesiątku stulecia rozbrzmiewała Europa sławą Stanisława Szczepanowskiego, rozgłośnego... gitarzysty, a podobnych sław nie brak żadnemu pokoleniu. W r. 1833 pojawia się wiersz wzywający Karola Lipińskiego, żeby na spółkę z Mickiewiczem ułożył operę, dzieło nieśmiertelne „dwóch jeniuszów“. Lipiński i Mickiewicz! Zestawienie zabawne! Nie brak i dzisiaj niemniej zabawnych! — Kraków, nasz kochany Kraków, przez całe XIX. stulecie słynął z wyłączności towarzyskiej i zawsze miał dwie główne koterye towarzyskie, robiące się stronnictwami; urzędnicy zaś Wolnego Miasta brali łapówki, co się zowie. — Dla tęskniących za orderami pożądaną będzie wiadomość, że Szela otrzymał złoty medal honorowy, przeznaczony dla „dobrze zasłużonych“, a rycerz z pod Gdowa, Benedek, i osławiony starosta Breinl, zostali za dzieło r. 1846 kawalerami orderu Leopolda. Co za szklanka zimnej wody dla orderzanych marzycieli! — Dla zachwycających się „głęboką“ religijnością ludu przyda się wzmianka o chłopie dającym na mszę za szczęśliwie dokonaną rabacyę. Sama zaś „rabacya“ powinnaby nauczyć rozumu wszystkich tych, którzy chcą poprawić dolę ludu, wskazując mu wroga we dworze. Centralizacya była przynajmniej szczerą i konsekwentną, przewidując, że w danym razie może się polać krew bratnia... (manifest Tow. demokratycznego z 4 grudnia 1836 r.); epigonowie jej nie zdają sobie sprawy ze swych czynów.

Nauki pełno w tych książkach na każdej stronicy. O zmienności polityki nauczyćby z nich można tych, którzy mniemają, że zmienić się nie mogą takie stosunki, których zmiana zadałaby kłam ich teo

ryom. Wielką usługę obywatelską oddałby w tej chwili rodakom p. Schnür Pepłowski, gdyby osobną książkę poświęcił dawniejszym rządom austryackim w Galicyi. Dla niego napisanie takiej książki byłoby drobnostką, połowę materyału ma już w dotychczasowych wydawnictwach, a drugiej połowy bez trudu się doszpera. A chociażby poprzestać na zacytowaniu tych faktów, które już ogłosił, wystarczyłoby: mamy tu do syta i procesów politycznych 14-letnich chłopców i brutalnego obchodzenia się z kobietami i rewizyj domowych; są najrozmaitsze typowe zapędy czynownickie, nie brak fałszywych raportów posyłanych „do góry“, są fikcyjne spiski, jest nawet przekręcanie ustaw na niekorzyść kraju bez wiedzy władzy centralnej; nie brak projektu zniesienia uniwersytetu w Krakowie; we Lwowie jest niemiecki, a Ossolineum zamknięte; była cenzura równie namiętna, a często równie też idyotyczna, jak nieprzymierzając późniejsza warszawska i t. p. i t. p., słowem nie było nic a nic lepiej, niż jest dziś w Kongresówce. To wszystko zebrać systematycznie i bez słówka tendencyi po prostu opisać, jako pamiątkę historyczną i... wydać w Warszawie, a czytelnik, Polak czy Moskal, obejdzie się bez jakiegokolwiek komentarza. Możnaby do tego dodać broszurę z rejestrem głosów, które w swoim czasie uważały za rzecz absolutnie niemożliwą, żeby Austrya doszła do rozumu; wszak takich głosów nie brakowało w ówczesnej publicystyce — były one jeszcze nawet po Sadowej.

Słusznie, bardzo słusznie dziwi się p. Pepłowski, dlaczego „pogromca biurokracyi“, hr. Agenor Gołuchowski, niema pomnika we Lwowie. Możnaby tymczasem wystawić mu pomnik literacki, spisując jego biografię, a znamy wszyscy autora, który do tego zadania byłby najbardziej powołanym. Biografia dobroczyńcy narodu, którego, gdy działał w najtrudniejszych warunkach, łżono powszechnie mianem odstępcy i zdrajcy! Oby się na kamieniu rodzili tacy „zdrajcy“, jak Agenor Gołuchowski! — Życie tego wielkiego statysty, największego prawdopodobnie z mężów stanu, jakich wydała Polska porozbiorowa, byłoby najlepszym elementarzem politycznym dla naszej publiczności. A sam ten fakt, że go okrzyczano zdrajcą, jakżeż pouczający! Możnaby u nas wydać album „zdrajców“, tj. osób okrzyczanych w swoim czasie za takowych; nie brakłoby w tym albumie ani jednego zasłużonego Polaka; na czele stałby twórca legionów, jenerał Dąbrowski, w środku byłby Mickiewicz, a na końcu Gołuchowski, nie mówiąc o żyjących wśród nas „zdrajcach“. Możeby wydanie takiego albumu

położyło kres obrzydliwemu krakaniu, używaniu w walce stronnictw tej przepodłej broni.

Studyum roku 1846, tak bolesnego a jednak pełnego pouczenia, wymaga jeszcze uzupełnień i to w dwu kierunkach. Zdarzało się mianowicie, że tu i ówdzie wieśniacy bronili dworów przeciw napastniczej czerni, która napływała z innych okolic: w Chochołowie zaś przystąpili nawet chłopi do powstania. Te sprawy wymagają bliższego zbadania, wyjaśnienia i wytłumaczenia. Trzeba starać się dotrzeć do przyczyn tych zjawisk, tak, ażeby je można określić nie frazesami ogólnymi, lecz konkretnie, z całą ścisłością.

Nie może ulegać wątpliwości, że po r. 1846 musiała pozostać jakaś tradycya u ludu; ale jaką ona jest, nikt dotychczas nie próbował zbadać. A jednak jest nam to potrzebne; natenczas dopiero rana ta będzie należycie wysondowaną. Zajęcie przykre nad wyraz, ale pożyteczne dla dobra powszechnego. Tradycya ta z rozwojem cywilizacyi musi maleć i tępieć, aż wreszcie zaniknie całkowicie; prawdopodobnie w niejednej wsi całkiem już jej niema, bo ojciec wstydzi się przekazywać ją synowi, o ile jednak jeszcze istnieje, wartoby stwierdzić, jaką przybrała postać, czy lud występuje w niej w roli obrońców, i czego obrońców przeciw czemu? Czy w tej tradycyi figurują zdrajcy i kogo się za nich uważa? Czy też gdziekolwiek lud wie już, o co właściwie chodziło w r. 1846 tym, których rżnęli? Znawcom ludu zadajmy to pytanie...

Wszystkie epizody porozbiorowej walki szczególniejsze sprawiają wrażenie, niedające się porównać z żadnem innem, odnoszonem z dziejów. Z jednej strony podnosi bohaterska walka z najeźdcą, napawa wzniosłemi uczuciami szczytny patryotyzm, z drugiej atoli strony przygnębia owo ustawiczne pogarszanie niedoli narodowej i upokarza świadomość, że... było się zawsze na nowo pokonanym, aż wreszcie w r. 1863 poniosło się taką klęskę, jakiej od mongolskiego najazdu nie zapisały roczniki ziem polskich. Wygrane bitwy są próżną bądź co bądź stratą krwi, gdy po nich następuje niekorzystny pokój, będący dowodem, że wojnę przecież się przegrało. Przegrywanie wojen po zwycięskich bitwach, to anomalia, to historyczna specyalność polska. Doznaje się jakiejś ponurej zaciekłości na myśl, że od dwóch wieków oręż polski nie potrafił wygrać ani jednej wojny. Widocznie prowadzi do tego celu niesłychanie długa szkoła dla tych, którzy się raz tej sztuki oduczą, zapomniawszy, że bronią wygrywa się tylko bitwy, ale żeby

wojnę wygrać, trzeba obok oręża także dobrej polityki, której oręż ma być tylko wykonawcą.

Nas pierwszy rozbiór zastał zgoła bez oręża, a rok 1772 zawsze będzie naszą hańbą, bośmy się nawet nie bronili, nie mając czem! Od czteroletniego sejmu aż do drugiej połowy tego wieku staraliśmy się wytworzyć armię narodową, aż wreszcie nie umiawszy jej dobrze użyć (dla braku dobrej polityki), zniechęceni zrezygnowaliśmy z tego i chyba na drugiej półkuli, w Brazylii, ujrzymy na nowo narodowe znaki (jeżeli się tam znajdzie polityka polska).

Historya starań o utworzenie armii w czasach porozbiorowych jest mało znana, a szkoda, bo to prawdziwie wspaniała cząstka dziejów, nie mająca sobie równej co do śmiałości i trudności podjętego zadania. Naród niemający własnego rządu, podbity, chce jednak mieć swe wojsko i próbuje zorganizować je na obcej ziemi: w Mołdawii, w Lombardyi, we Francyi, w Belgii, w Portugalii, na Węgrzech i w Turcyi — gdziekolwiek ku temu nadarzała się sposobność; cała historya powszechna nie wskaże drugiego przykładu czegoś podobnego. Ileż tu wysiłków, ile hartu duszy, ile poświęceń... poszło na marne! Udało się wprawdzie kilka razy utworzenie wojska, a raz nawet (1815—1831) potężnej armii, ale to wszystko runęło w przepaść. A były te wojska dobre, nieraz wzorowe, nie ustępujące żadnym a żadnym innym, a przewyższające je męstwem i poświęceniem, lecz udała się zawsze sama tylko żołnierska część zadania, podczas gdy polityka polska niedopisała. Wojsko zmuszało wroga do szacunku, a nieraz uczyło go trwogi, lecz cóż z tego, skoro polityka polska wywoływała równocześnie u wrogów uśmiech szyderski, u neutralnych uśmiech politowania.

Pierwszej próbie utworzenia armii narodowej po rozbiorach poświęca p. Pepłowski osobną monografię „Jeszcze Polska nie zginęła! Historya legionów polskich. Opowieść dziejowa z lat 1796—1806". Nie jest to krytyczna historya legionów, ani nawet nie może być uważana za próbę w tym kierunku, bo opiera się li tylko na drugorzędnym materyale wspomnień, zapisek pamiętnikarskich i t. p., przez naukę dotychczas zgoła nie sprawdzonym. Autor kładąc na tytule wyrażenie „opowieść dziejowa", powiada nam niejako: Wiem co daję, a czego nie daję. Krytyka powinna dodać: Autor dał wszystko, co tylko mógł i na razie nic lepszego mieć nie można. Prawdopodobnie na długie lata pozostanie też książka jego jedyną monografią legionów; chcąc dać lepszą, trzeba zabrać się *ad hoc* do studyów archiwalnych w kilku miejscach Europy, a przetrzebić secinę przynajmniej archiwów

prywatnych. Na razie możnaby chyba książkę p. Pepłowskiego uzupełnić tu i ówdzie szczegółami z rozmaitych publikacyj francuskich, ale szczegóły te — dotychczas przynajmniej — nie przyniosły żadnej ważniejszej wiadomości.

Monografia p. Pepłowskiego jest niejako opisaniem tradycyi o legionach; rzecz to niemałej wagi i pierwszy a zasadniczy krok do systematycznego zajęcia się tym przedmiotem. Nie poprzestał też autor na prostem przyobleczeniu rozpierzchłych szczegółów różnorodnych wątków tradycyi w jednolitą literacką szatę; w niejednem miejscu trzeba było samemu dokopać się tradycyi, której nić zerwała się; wiele też faktów zupełnie już zapomnianych, na nowo do tradycyi wcielił, a wiele znanych po raz pierwszy dopiero należycie objaśnił.

Książka jest nader zajmująca samą treścią swoją, a to tem bardziej, że większa połowa treści przynosi wiadomości publiczności zgoła nieznane. Oby się one rozszerzyły jak najbardziej! Wszystkim a wszystkim pismom p. Pepłowskiego życzyć należy jak największego rozpowszechnienia, ale przedewszystkiem tej książce o legionach.

Ważną tę pracę uzupełnia druga książka p. t. „Wódz legionów". Jest to pierwszy dokładniejszy życiorys Dąbrowskiego, w którym mieści się zarazem treściwa historya legionów, tak, że niektóre ustępy są wspólne obydwom książkom i do pewnego stopnia możnaby uważać tę za popularne opracowanie tamtej. Życiorys wodza legionów pisany jest bardzo dobrze, z werwą i przejęciem, i dobrze się stało, że wyszedł w taniej „Bibliotece Mrówki".

Autorowi należy się nietylko uznanie, ale po prostu wdzięczność za napisanie historyi legionów, bo brak jej był luką dotkliwą w piśmiennictwie, a przytem przykre sprawiał wrażenie. Teraz przynajmniej mamy nareszcie porządnie napisaną książkę o tym przedmiocie; miejmy nadzieję, że w krótkim czasie należeć ona będzie do najpopularniejszych u nas nabytków biblioteczek prywatnych, na co w zupełności zasługuje.

Zasłużył i wysłużył też sobie najpoczciwszą pracą uznanie i sympatyę ziomków autor, który bożego daru pióra tak dobrze używa, a talentu swego nie trwoni na byle co, lecz szafuje nim w sposób przykładny, wzmagając go coraz bardziej i do coraz poważniejszych i trudniejszych zaprzęgając przedsięwzięć. Mamy przed sobą pisarza na wskróś moralnie zdrowego, a obdarzonego wybitną indywidualnością. Nie stosuje się on do otoczenia, lecz przebijając zapory sam się wybija, a otoczenie swe ku sobie podnosi. Nie pozwolił się zrobić nie-

wolnikiem dziennikarskiej taczki, nie zdatnym po szeregu lat do niczego, — nie zabagnił się, nie zastosował się do wygodnego, bezmyślnego przeżuwania przez całe życie tej strawy moralnej, którą się nabyło za młodu. Umysł prawdziwie czynny, szuka sobie ciągle strawy nowej, posuwa się i wznosi; a gdy do innych odezwać się pragnie, pamięta, że ten tylko ma prawo mówić, kto ma coś do powiedzenia, i to z treści, a nie z frazesów: takim umysłem jest widocznie nasz autor. Wśród najnowszej literatury nie należy do tych, którzy rozmazują i rozcieńczają wytwory cudzych rąk, lecz do tych, którzy sami mają ręce zdolne stawiać i tworzyć; nie do tych, którzy stosują się do publiczności, lecz do tych, nielicznych, którzy pracą i zasługą próbują sobie publiczność zniewolić, a wreszcie także do tych, zgoła już nielicznych, których pisma służyć mogą do rozwoju myśli czytelnika. To też trwała zasługa towarzyszyć będzie jego działalności, a niejednodniowy poklask.

P. Pepłowski dużo zapewne jeszcze napisze; trudno przewidzieć, czy do zakresu swych pism będzie się skupiać, czy też chwyci się nowych tematów. Dla społeczeństwa byłoby korzystniej, gdyby pozostał przy Galicyanach, a przynajmniej, żeby je przedewszystkiem hodował, dążąc do opracowania z czasem walnej części porozbiorowych dziejów. Ale trudno przepisywać drogę zdolnościom. Cokolwiek zresztą napisze, wszystko będzie mile powitane, jako pochodzące od autora, o którego zdolnościach i sumienności nikt chyba nie wątpi.

Dr. Feliks Koneczny.

Szymon Szymonowicz jako filolog. *Dr. Wiktor Hahn.* Lwów 1897.

Szymonowiczem zajmowano się głównie jako poetą; o jego naukowej działalności rzec można, iż zapomniano zupełnie, gdy tymczasem dla prac jego filologicznych należałoby mu wyznaczyć odpowiednie stanowisko w historyi filologii w Polsce. O wykształceniu filologicznem Szymonowicza nic pewnego nie da się powiedzieć; wiemy natomiast, że nasz poeta utrzymywał ożywione stosunki z filologami zagranicznymi, a mianowicie z Janem i Jerzym Douzą, Izakiem Kasaubonem, Justusem Lipsiusem i Tomaszem Seghetem. Że Szymonowicz był w literaturze rzymskiej i greckiej nader oczytanym, to rzecz pewna. Zdaniem Lipsiusa mało ludzi pisało wówczas tak piękną łaciną, jak Szymonowicz. Dzieła poetyczne zresztą tego poety wykazują pewną zawisłość od utworów Teokryta, Biona, Moschusa, Wirgilego, Euripidesa, Quintusa Smyrneńczyka, Xenofonta i Sallustyusza.

Gdy Zamojski około r. 1593 założył w Zamościu drukarnię, troszczył się wówczas Szymonowicz o zaopatrzenie tej oficyny w czcionki łacińskie i greckie. Wnet też rozpoczął Szymon Szymonowicz pracę wydawniczą. W r. 1604 wydał: *S. Epiphanii Episcopi Cypri oratio in sepulturam Corporis Domini Nunc primum in lucem edita ex Bibliotheca Simonis Simonidae.* W przedmowie do nuncyusza Rangoniego oświadcza wydawca, iż ogłaszając drukiem to dzieło, pragnie zapobiedz szerzenin się innowierstwa w Polsce; zapoznawanie bowiem szerszych kół czytelników z dziełami pisarzy kościelnych uważał trafnie Sz za rzecz budującą i potrzebną. Wprawdzie i ten wydawca poznał się na tem, iż styl tej mowy odmiennym jest od stylu innych prac Epifaniuszowych, w autentyczność jednak tej pracy nie wątpił. Uwagi godną jest ta okoliczność, iż obok tekstu greckiego mowy Epifaniusza ogłosił też Szymonowicz łacińskie jej tłumaczenie, dokonane przez Stanisława Fenickiego.

W tym samym roku (a nie jak błędnie mniemano w 1596 lub 1599) ogłosił Szymonowicz drukiem metafizykę, przypisywaną błędnie Herenniuszowi, filozofowi greckiemu żyjącemu w VI. w. po Chrystusie. Wydanie to jest niezupełne. Być może, iż wydawca sam, przekonawszy się, że ma do czynienia z falsyfikatem, przerwał dalszy druk. Część tej metafizyki ogłoszona drukiem, odznacza się trafną lekcyą trudniejszych miejsc i dobrem tłumaczeniem łacińskiem, dodanem do tekstu greckiego.

W r. 1604 zamierzał wydrukować Szymon Szymonowicz dzieło lekarza i filozofa z czasów bizantyńskich, Aktaryusza: *De methodo medendi.* Przekonawszy się, iż ma rękopis pozbawiony ostatnich ksiąg, poszukiwał Szymonowicz napróżno przez cztery lata kompletnego egzemplarza, a nie znalazłszy, zaniechał zamierzonego wydawnictwa.

Spróbował też, zdaje się, nasz poeta sił swoich jako autor-filolog, wydając pracę p. t. *In universam Aristotelis philosophiam commentarius.* Do naszych czasów nie dochował się żaden drukowany egzemplarz tego dzieła, a o tem, czy istnieje ono w rękopisie, nie mamy żadnej wiadomości.

W drugiej części swej pracy zajmuje się dr. Hahn zestawieniem miejsc w sielankach Szymonowicza naśladowanych z Biona, Moschusa i Teokryta.

Miał też Szymonowicz chęć tłumaczyć pisma moralne Plutarcha na język polski, o ziszczeniu tego zamiaru nie wiemy jednak nic pewnego.

Z pracy d-ra Hahna poznajemy Szymonowicza w nowem, nieznanem dotychczas oświetleniu. Szymonowicz jako wydawca dwóch dzieł (nieautentycznych niestety) greckich, to postać równie zajmująca dla filologa, jak i dla historyka literatury. Prawdziwa filologiczna ścisłość, z jaką autor pracę tę swoją napisał, zasługuje na szczere uznanie.

L. M. Dziama.

Współcześni powieściopisarze angielscy: Hall Caine, Rudyard Kipling, Grant Allan i T. Hardy. Szkice literackie. *Aleksander Maryan Jasieński.* Warszawa 1897.

Im bardziej nasz horyzont literacki rozszerza się w dal, tem skwapliwiej powitać należy każdy drogoskaz, mogący nas pokierować pośród powodzi zagranicznego druku. Takim też był zamiar autora niniejszej książeczki: zalecić dwóch pierwszych autorów, a przestrzedz przed dwoma ostatnimi. Przed dwudziestu laty chyba nie było angielskiej powieści, przed którą trzeba było przestrzegać uczciwych ludzi! Skoro jednak dzisiaj takie się znajdują, a nawet w różnych postaciach wyrastają, jak grzyby po deszczu, przeto można tylko powinszować p. Jasieńskiemu chwalebnej myśli. Szkoda tylko, że swoje „Szkice literackie“ wydał w osobnej książce, zamiast je umieścić w kronice literackiej którego z naszych czasopism. Od „książki“ czytelnik wymaga więcej i skoro ją bierze do ręki, radby już mieć albo wyczerpującą monografię działalności jakiego wielkiego autora, albo też pogląd treściwy na zastęp pisarzy jednego kraju. Być może, iż p. Jasieński w przyszłości dopełni swe dzieło; dlatego należy z krytyką się powstrzymać.

Niepodobna na tem miejscu streszczać przedmiotu książki; trzeba nam jednak zaznaczyć, iż z pierwszych dwóch sprawozdań pochwalnych, skreślonych z wielką starannością i znajomością rzeczy, lepszym jest stanowczo szkic o Kiplingu, znanym czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* z dość obszernego artykułu z r. 1893. Więcej tam życia i treści, choć w obu dużo nowych i ciekawych szczegółów. Słyszymy np., że Caine bawił czas jakiś w Krakowie i próbował napisać powieść na tle stosunków polskich, lecz że uznając swoją znajomość tych stosunków za niedostateczną, przeniósł swych bohaterów pod inne niebo. Czy wielkie pochwały sypane p. Hall (tj. Henrykowi) Caine nie są nieco przesadzone, sądzić trudno; nie znając jego dzieł, niepodobna jednak nie zaprotestować przeciw mianu „wieszcz“, przypiętemu parę razy do nazwiska Kiplinga, a pasującemu doń, jak hymn kościelny do trąbki myśliwskiej. Styl Kiplinga istotnie do głosu trąbki podobny, niewygła-

dzony, urywany i zmienny, ulega i ulegać musi krytyce. Co jednak każdego zadziwi, zwłaszcza w naszych czasach panowania formy nad treścią, jest następujący zaraz potem wykrzyknik autora: „Któż zresztą o stylu mówi? wszak dobrze powiedział utalentowany pisarz Jerôme K. Jerôme, że styl odgrywa podrzędną rolę i tylko krytyk idyota (jeśli treść utworu jest dobra) może robić zarzuty co do stylu". Nie wiem, co, jak i kiedy pisał Jerôme K. Jerôme, ale to wiem, że jeżeli podobną zasadą można częstować czytelników, należy ją starannie chować przed oczami ludzi piszących. Same szkice p. Jasieńskiego byłyby wiele na tem zyskały, gdyby mniej ufał potędze swej treści, gdyby unikał powtarzań i okresów w rym się układających, wprawdzie nie co do końcówki, ale co do myśli i zawartości.

Sprawozdanie o pismach Allena i Hardy'ego o wiele mniej, niż poprzednie, zajmuje miejsca, i słusznie — takich apostołów niemoralności, burzycieli porządku, niema potrzeby zbyt z pod korca wyciągać. P. Jasieński sądził, że gwoli pewnej kategoryi polskich czytelników, należy wykazać absurdum i ohydę tych prądów, którymi gotowa się upoić niejedna młoda głowa. Dla naszej przyjemności jeszcze i tego za wiele, chciałoby się powiedzieć po prostu: *Guarda e passa!*

Koniec końców powiedzieć trzeba, że szkice literackie p. Jasieńskiego są rzeczą uczciwą, pod względem religijnym i moralnym dobrą, a pod literackim zrazu nie bardzo tęgą, ale coraz lepszą, im się bardziej zbliża do ostatniej strony.

T. W.

Dzieje ojczyste dla młodzieży. *Karol Rawer*. Lwów 1895. Nakładem Tow. nauczycieli szkół wyższych. (Str. 189, w 8 ce).

Das Beste ist für die Schule nur gut genug, powiedział któryś z pedagogów niemieckich, a ponieważ są ponoś bardzo mądrzy, więc niema rady, trzeba im wierzyć. I dlatego przystępuje się do każdego podręcznika szkolnego z wielką podejrzliwością i nieufnością, ażali wysokim wymaganiom szkoły sprosta. Jeżeli zaś taki podręcznik napisał tylko nauczyciel gimnazyalny, a do sądu krytyki zasiada jego współkolega, mający zwykle pretensye conajmniej do równej wiedzy z autorem, do równej eksperyencyi w szlachetnym kunszcie nauczycielskim, nie dziw, że słychać prawie ostrzenie zębów nieubłaganego areopagity i że czytelnik z trwogą druzgocącej krytyki się spodziewa. Tym razem, pomimo że krytyk jest kolegą autora, pomimo że sierdziste miał zacięcie do krytykowania, po przeczytaniu powyższej książki a zwłaszcza

po dwuletniem wypróbowaniu jej w szkole, znajduje się jednak w położeniu Balaama t. z. musi wyznać, że książka powyższa jest znakomitą i zasługuje ze wszech miar na uznanie.

Dzieje ojczyste traktuje autor w 37 rozdziałach, które się rozpadają na ustępy. W historyi na niższe gimnazyum występuje na pierwszy plan moment biograficzny; wszakże nie szablonowo tam przeprowadzony, gdzie inne momenta jak: polityczne, kulturalne lub społeczne zasługują na uwzględnienie. Przedewszystkiem zasługuje na uznanie zręczne wplecenie w tok opowiadania pierwiastku anegdotycznego i legendowego i wyróżnienie go od prawdy historycznej. Przedstawienie materyału dziejowego jest przystępne, styl jasny; czuć na każdej stronie, że autor nietylko z miłością traktuje przedmiot, ale zna wybornie umysł chłopięcy i umie do niego przemawiać, szczególnie do wyobraźni i uczucia. Może ta uznania godna zresztą chęć być przystępnym sprawiła, że autor stał się miejscami zbyt rozwlekły. Skrócenie np. takich ustępów, jak o kozaczyźnie lub o wypadkach, mających tylko lokalne znaczenie dla Lwowa i wogóle nieco zwięzłości, byłoby przy przyszłych wydaniach pożądane.

Zmiany wymagają następujące szczegóły: Garłuch sięga do wysokości 2700 m. (str. 1); w Beskidzie wschodnim jest wąwóz Duklański; Narew z Bugiem (str. 2); Podole na wschodzie od Smotrycza, a jednak Buczacz nad Strypą zaliczony do miast podolskich (str. 4). Bogini Łada po badaniach prof. Brücknera powinna zniknąć z książek historycznych. Kwestya Szczerbca nawet w tak oględnej formie, jak to czyni autor, nie da się utrzymać (str. 15). Władysław t. zw. Laskonogi już w r. 1202 ustępuje z Krakowa (str. 29). „Św. Kinga“ pisać jest przedwcześnie (str. 37). Plan Henryka Probusa do zjednoczenia Polski należałoby podnieść jako nieudały zamiar przed Łokietkiem (str. 41). Stefana Batorego chyba nie Ferdynand I. zatwierdził w godności księcia siedmiogrodzkiego (str. 107). Trybunał litewski zasiadał kolejno w Wilnie i Mińsku (str. 109). Chyba błędem drukarskim jest twierdzenie, że Dniepr rozszerza się na 70 kilometrów (str. 130). Przy rokoszu Lubomirskiego należałoby wyzyskać badania Korzona (str. 145). Cesarz Józef II., rzecz dziwna, w podręcznikach naszych, nie wyjmując niniejszego, wygląda jakby wyszedł z pod pióra jakiegoś gorliwego centralisty. W interesie prawdy dziejowej, należałoby uznać to, co dobrego stworzył, a potępić to, co było stanowczo bezprawiem. Szkoda, że autor w drugiem wydaniu wyrzucił tak charakterystyczny opis

Gallusa o hojności Bolesława Śmiałego, a natomiast wsunął napuszyste proroctwo Mistrza Wincentego o Kazimierzu Sprawiedliwym (str. 26).

Książka powyższa, jestem mocno przekonany, służyć będzie wielu pokoleniom w naszych szkołach i służyć będzie z korzyścią. Życzyćby tylko w interesie szkoły i naszych uczniów sobie można, aby pióro tego rodzaju nietylko na tym podręczniku poprzestało.

Dr. K. Krotoski.

Mrówki. Szesnaście pogadanek z notatek *Stanisława Kluczyckiego*. Kraków 1897.

Znany i prawie jedyny popularyzator nauk przyrodniczych w naszym kraju, Stanisław Kluczycki, wzbogacił literaturę polską, w tej mierze nadzwyczaj ubogą, nową, gustowną książeczką.

Wejrzenie książeczki zewnętrzne bardzo dobre. Samo i zaprasza i ciągnie, aby przynajmniej kartki przerzucić. Spostrzegamy od razu, że dziełko otrzymało na drogę wyposażenie znakomite. I papier i druk, liczne ryciny i ozdóbki — całe wydanie wykwintne i wspaniałe. A pierwsze to wrażenie nie maleje, lecz rośnie w miarę posuwania się ku ostatniej stronicy. Niema co robić — trzeba zaglądnąć do wnętrza książeczki.

Treść widoczna z tytułu; odpowiada też najzupełniej wydaniu, a każdego czytelnika zajmie niewątpliwie tak, że nie odłoży jej, nie przeczytawszy do końca.

Jak powszechnie wiadomo, najliczniejszą klasę w świecie żywia przedstawiają owady, bo ilość gatunków poznanych dochodzi niesłychanej niemal liczby 250.000. Wszystko to zwierzątka pod względem biologicznym niezmiernie ciekawe, ale między niemi grupa mrówek jest pod wielu względami najbardziej i zajmująca i instruktywna. Biologię tych prawdziwie ciekawych bestyjek opisuje nam autor w swojej książeczce.

Jak wyglądają mrówki, jak są wyposażone i uzbrojone, jak się rozwijają i wychowują, jakie ich życie w ścisłem kółku domowem, to treść pierwszych czterech pogadanek. Atoli to pierwsze tylko, obojętne i urzędowe niejako przedstawienie. Po niem dopiero następuje bliższe i dokładniejsze zaznajomienie się z mrówkami. Wszak mrówki to ród owadów towarzysko żyjący w ogromnych gniazdach i koloniach, lub jak my zazwyczaj mówimy, mrowiskach, a to ich socyalne życie budzi właśnie najwięcej interesu i zajęcia. Słusznie też autor poświęcił mu najwięcej miejsca i czasu, bo aż dziesięć pogadanek następnych.

Życie socyalne wogóle ma swe potrzeby, swoje niewygody, może się wykształcać i rozwijać w najrozmaitszych kierunkach, a stosownie do tych potrzeb, niewygód, kierunków potrzebuje również odpowiednich specyalnych usposobień, zdolności, przystósowań morfologicznych i psychicznych. I w życiu socyalnem mrówek jest rozmaitość niemała, większa niżby się to na pierwszy rzut oka zdawało, owszem naprawdę jest ona zdumiewająco wielka.

Spotykamy się tu raz po raz z bardzo wielkimi panami, antropomorficznie się wyrażając, nawet tyranami, to znowu z t. zw. niewolnikami najrozmaitszych stopni i odcieni; przesuwają się przed oczyma naszemi sylwetki wielkich mrówczych bohaterów i niewiele mniejszych amazonek, roztaczają się portrety wielu zbójników śmiałych i bitnych, nomadów koczujących, zmykających tchórzów. A wojny mrówcze, krwawe nieraz bardzo i wściekłe, podboje, łupy i tryumfy, a rozejmy i pokoje, defilady i pojedynki, a gościnność mrówcza, polską nieraz na pierwszy rzut oka przewyższająca, wszak to wszystko objawy życia socyalnego u mrówek. Nie dosyć na tem. Pewne odłamy rodu mrówczego wyrobiły się na wielkich specyalistów w pewnym kierunku. Jedne hodują sobie dojne krówki i wiedzą, jak im dogodzić, kiedy na paszę wywieść, kiedy w oborze zostawić, by jak najwięcej mieć z nich pociechy i korzyści; inne to rolniki formalne, co i zboża swoje mają, i role, i spichlerze, co znają się na suszeniu, czyszczeniu, ba, nawet słodowaniu ziarna; a jeszcze inne to znakomite ogrodniki, co sztuką swą niewątpliwie człowieka przewyższają, bo od wieków, na specyalnie przyrządzonych grzędach, takie kultury pewnej tylko formy grzybów chować umieją, na jakie nie stać dziś jeszcze najtęższego mykologa w najlepiej urządzonej pracowni botanicznej.

Wszystkie te szczegóły same przez się już bardzo zajmujące autor nie mniej zajmująco przedstawia, przeplata je zestawieniami i porównaniami z innych działów nauk przyrodniczych lub społecznego życia ludzkiego, co wszystko sprawia, że książeczka jest popularna, w prawdziwem i dobrem tego słowa znaczeniu.

Na zakończenie podaje autor jeszcze w dwu pogadankach ostatnich kilka uwag i refleksyj o zakroju filozoficznym nad życiem i duszą zwierzęcą, nad inteligencyą a instynktem zwierząt. Pozwolimy i my sobie zakończyć krótkie to sprawozdanie kilku przynajmniej uwagami ogólniejszemi, których niemało nasunęło się nam podczas czytania książeczki.

I tak: każdego przyrodnika uderzy niewątpliwie już na pierwszej

stronicy dość wielkie bałamuctwo w terminologii systematycznej. Terminy jak „rodzaj“, „gatunek“ na różnych miejscach mają u autora najrozmaitsze znaczenie, a prawie nigdzie nie mają znaczenia tego, które w terminologii polskiej nie od dzisiaj przyjęło się i ustaliło. Stronic, na których się to bałamuctwo zdarza, nie podajemy, bo jest ich za wiele. Podobnie pewne szczegóły z morfologii i fizyologii grzybów, zwłaszcza na str. 72, 85, 86, są co najmniej niejasne i niedokładne. Atoli te i tym podobne zarzuty mógłby ktoś przynajmniej uważać jeszcze za więcej podrzędne w książce nie dla przyrodników pisanej.

Ważniejsze zapewne są w książce popularnej zarzuty natury filozoficznej. Słówko jeszcze w tej mierze.

Idzie nam przedewszystkiem o kwestyę inteligencyi w królestwie zwierzęcem. Prawda, że do niedawna wielu przyrodników, wychowanych w duchu brehmowsko-haecklowskim, utrzymywało na zabój, jako między człowiekiem a zwierzęciem niema żadnej przepaści nawet pod względem objawów psychicznych — dzisiaj atoli wraca coraz więcej w koła przyrodników pewna trzeźwość i swoboda umysłowa, a deklamacyi Brehma, Büchnera *et consortes* w obronie inteligencyi zwierząt nikt już przecież na seryo brać nie myśli. Prócz tego, by orzekać o inteligencyi takich mrówek np., nie wystarczy bynajmniej wydać sąd o mrówkach subjektywizmem i antropomorfizmem zabarwiony, a na kilku faktach z konkretności wyrwanych oparty — na to trzeba przedewszystkiem postawić mrówkę w tego rodzaju warunki, otoczenie i położenie, iżby ona sama była zniewolona dać nam stanowczą odpowiedź, czy posiada zdolności inteligencyi, czy nie. A chociaż tysiąc razy takie pytanie mrówce postawimy, ona nam tysiąc razy najwyraźniej odpowie: byłam, jestem i będę głupią. Autor nasz nie należy wcale do kompanii Brehmów i t. d., niema przecież u niego nigdzie ni śladu złej woli, owszem na każdym kroku przejawia się jak najwyraźniej dobra wola; zdaje się jednak, że może trochę za wiele, za jednostronnie posługiwał się literaturą zoologiczną pod względem psychologicznym niejasną, bałamutną, fałszywą. W ten tylko sposób tłumaczymy sobie, dlaczego autor przypisuje różnym mrówkom wcale nie tak rzadko to cnoty jakieś (np. str. 26, 40, 41), to znowu wysoką inteligencyę, rozum, rozwój umysłowy (np. str. 28, 29, 34, 42, 53, 79, 90, 100), dlaczego w ostatnich dwu pogadankach między liniami przynajmniej przechyla się raczej na stronę inteligencyi niż instynktu, a całą sprawę kończy bez rozstrzygnięcia, pytajnikiem. Zdaje się nam, że tych wszyst-

kich niedokładności i niejasności filozoficznych autor ustrzegłby się niewątpliwie, gdyby był sumienniej uwzględnił i literaturę fachową przeciwnego obozu. Uderzyło nas przedewszystkiem to, że autor nie uwzględnił rozmaitych prac ks. Wasmanna, który przecież w naszych czasach należy do pierwszorzędnych powag i na polu myrmekologii, i psychologii zwierzęcej. Zwłaszcza dzieło Wasmanna, znane i czytelnikom *Przeglądu*[1]: *Die zusammengesetzten Nester und gemischten Kolonien der Ameisen. Ein Beitrag zur Biologie, Psychologie und Entwickelunksgeschichte der Ameisengesellschaften. (Münster i. W. 1891),* nadawało się do pracy bardziej może, niż wszystkie inne na wstępie przez autora przytoczone dzieła. I inne prace Wasmanna, tak większe jak mniejsze, byłyby się w wysokim stopniu przyczyniły i do urozmaicenia treści, i do wyświecenia pojęć filozoficznych i psychologicznych. Zastrzegamy się jednak, że przez podniesienie tego zarzutu filozoficznej natury nie potępiamy z góry wszelkiego antropomorficznego przedstawiania szczegółów biologicznych w dziełach i dziełkach popularnych. Antropomorfizm jest tu zupełnie na miejscu, może się tylko przyczynić do urozmaicenia i ożywienia treści; — jeden tylko warunek koniecznie mieć musi: by nikogo w błąd nie wprowadzał, tj. by każdy czytelnik poznał odrazu, z kim i czem ma do czynienia.

J. Nuckowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Voyageuses. Par *Paul Bourget.* Paris 1897.

Znowu książka nowa Bourgeta zaświeciła żółtym połyskiem z za okien niemal wszystkich księgarni po świecie. Jest to rzecz udana, niedorównująca zapewnie znakomitemu opisowi podróży do Ameryki *Outre-Mer*, ale przewyższająca przeszłoroczną powieść: *Une idylle tragique.* Z okazyi tej ostatniej zarzucono, może słusznie, Bourgetowi, że mu się wogóle nie udają kompozycye większych rozmiarów; z powieści może jedna *Cosmopolis* odlaną została zupełnie szczęśliwie; za to udają mu się wyborne szkice, wrażenia z podróży... Tym razem dał nam wiązankę nowel — a może i szkiców z natury zdjętych.

Mówi w przedmowie, że ma przed sobą całe stosy zapisków

[1] Wrzesień 1892 r.

z licznych swoich po świecie wędrówek, krocie naszkicowanych w lot zdarzeń i osób, które spotkał w wagonach, po hotelach, na statkach. Z tego stosu, jak powiada, wybiera sylwetki kilku kobiet, które niegdyś zaciekawiły go jako portrecistę dusz ludzkich. Stąd tytuł: „Podróżnice".

Co stanowi piękność dzieła sztuki? Faktura — odpowiada pewna szkoła dzisiejszych malarzy i dzisiejszych literatów. Niewątpliwie faktura jest warunkiem niezmiernie ważnym; bez doskonałej faktury o dziele sztuki mowy być nie może; jednak oprócz faktury jest jeszcze możliwa wewnętrzna piękność treści czyli przedmiotu; i gdy się zdarzy, że piękna treść wyrazi się w pięknej formie, wtedy będzie dzieło sztuki doskonalsze, piękniejsze, niż to, które się tylko piękną formą cieszy. Tę banalną prawdę już nie raz i na różne tony w tem piśmie wypowiadałem; tym razem jeszcze ją powtarzam, bo ten najnowszy tom Bourgeta może jej służyć za ilustracyę. Wszystkie te szkice napisane są z delikatnością i maestryą Bourgetowi właściwą, ale niektóre z nich szczególnie pociągają idealnym urokiem naszkicowanych postaci.

I tak, pod tytułem *Neptuneville*, opowiada Bourget, jak podróżując po Irlandyi, spotkał się przypadkiem z młodą parą Paryżanów, płochą, powierzchowną, szczebiocącą bezmyślnie o wszystkiem i krytykującą wszystko, co za granicą widzi, jadącą właśnie sprzedać majątek, który świeżo w Irlandyi odziedziczyła. Przed półwiekiem stryj młodego pana, syn zamożnej rodziny, pokochał głęboko uroczą guwernantkę; wygnany i wydziedziczony od ojca pojechał z młodą żoną do Irlandyi i tam zamieszkał na cichym cyplu nad morzem, w dworku, któremu nazwę od Neptuna dano. Teraz dopiero oboje bez potomstwa zakończyli żywot i wieść o otwartej sukcesyi doszła do młodej pary. Przenosząc się z autorem na to miejsce, czujemy wyraźnie, jak ów stary dom owłada swych nowych panów i jak nieznacznie przerabia ich duszę na swoją modłę. Najprzód po prostych ludziach, którzy należą do tej fermy, począwszy od furmana, który nas przywoził z kolei, widać, jak ci starzy byli kochani, jak się starali o dobro wszystkich dokoła, jaka bezdenna próżnia pozostała w sercach po stracie dawnych panów. Dowiadujemy się mimochodem, że wszyscy, którzy służą w domu czy na folwarku, urodzili się już w tej fermie, o niczem nie marzyli, jak tylko, żeby się tej fermie powodziło, a teraz, gdy ona ma przejść w inne ręce, myślą wszystko porzucić i puścić się do Ameryki, nie dla interesu, jak przypuszczali zrazu Paryżanie, ale dlatego, że ich serce boli patrzeć na zmianę rzeczy w Neptuneville. A nietylko po ludziach,

lecz i po rzeczach wszystkich widać ciepłe ślady duszy dawnych dziedziców. Jak w niektórych obrazach flamandzkich, przedstawiających wnętrze mieszkań bez ludzi, widać, co Niemcy nazywają *das stille Leben*, tj. tę cichą projekcyę życia i charakteru mieszkańców na ich otoczenie, tak w tym dworku, naszkicowanym przez Bourgeta, po meblach, po obrazach, po fotografiach tu i ówdzie rozrzuconych, po urządzeniu werandy i ogrodu, czuć intenzywnie, że ci starzy kochali się bardzo aż do zmierzchu życia, o tem tylko myśleli, aby jedno drugiemu życie uszczęśliwić... i byli szczęśliwi. Czytelnik widząc młodą parę Paryżanów, szwędającą się po tych komnatach, mimowoli i bez dopowiedzenia autora, czyni porównanie między owem błogiem i wypełnionem życiem starszego państwa, a tem niby to szczęściem młodego stadła, tak powierzchownem i na takie w przyszłości narażonem niebezpieczeństwa. Ale czar cichego szczęścia i miłości stryjostwa wszędzie po tym domu rozlany, powoli i na płochych dziedziców działa, owłada ich, daje im mglisto przeczuć inny ideał życia, niż ten, który sobie wyobrazili, i do tego stopnia to owładnięcie dochodzi, że kiedy się w końcu zjawia oczekiwany kupiec na ten majątek, młody dziedzic go z kwitkiem odprawia.

Koniec ten jest nieco popsuty przez wkroczenie jakichś ludowych czarów i strachów, które niepotrzebnie i niemile przyspieszają to rozwiązanie; ale mimo tego uchybienia rzecz jest śliczna, a szczególnie to przeobrażenie dwóch pustych dusz przez stare mieszkanie przodków jest jednym z najpiękniejszych pomysłów i z najlepszych utworów misternego pendzla Bourgeta.

Jeszcze szczęśliwszą i piękniejszą kreacyą jest *La Pia*. Autor, jeżdżąc sobie w okolicach Sienny za pięknościami natury i sztuki, przypadkiem zawieziony został przez swego *veturino* do nieznanego dotąd kościoła *San Spirito della Valle*. Kiedy mu po drodze woźnica wychwalał wspaniałości tego kościoła i artyzm proboszcza, który nad jego odnowieniem pracuje od lat czterdziestu, on liche o jednym i drugim powziął wyobrażenie. Wystawił sobie, że zobaczy kościół gipsaturą oblepiony i pstrokato wewnątrz i zewnątrz omalowany. Tymczasem wielkie było jego zdziwienie. Zobaczył na łagodnem wzgórzu śliczną świątynię, budowaną w VIII. w., ubraną w epoce normańskiej przeźroczą koronką delikatnych kolumienek; na fasadzie pełne życia rzeźby z XIII. w., wewnątrz pyszne filary z starych, pogańskich świątyń pozbierane, na stropach kasetony z terakoty z najlepszej epoki; wszędzie ślady bardzo umiejętnej ręki, która wszystko, co stare i piękne,

zachowywała i naprawiała, a żadnej naleciałości lichej i obcej nie znosiła. Kościół zdziwił i zachwycił podróżnika, ale jeszcze bardziej go zdziwiła postać proboszcza. Śliczny 70-letni starzec, wysoki, pełen ognia dla wszystkiego, co piękne. Rozmowy z nim, oprowadzenie po kościele wprowadzają nas coraz dalej w poznanie tej dziwnie uroczej duszy. Wysłany młodziuchnym księdzem na tę parafię, najprzód płakał nad swojem odosobnieniem i nad ruiną, którą mu dano zamiast kościoła; potem zaczął kochać ten kościoł, rozumieć go — i po kawałeczku naprawiać, poświęcając mu wszystek swój czas wolny od duchownych obowiązków, wszystkie pieniądze, jakie mógł dostać, wszystkie siły. Widać w nim nietylko podniosłą i artystyczną duszę, ale też głębsze rozumienie i znawstwo sztuki, lecz tylko tej sztuki, która bezpośrednio dotyczy jego kościoła. Za innymi okazami tej samej architektury jeździł trochę po Włoszech, na to tylko, aby lepiej swój kościół zrozumieć — co innego go nie obchodzi. On to jedno arcydzieło ma przed sobą i w niem jednem piękno sztuki kocha; piękno zaś natury kocha z niezrównanej piękności swojej Toskany, na którą patrzy z codziennym zachwytem z cichego swego wzgórza.

Na domiar, w tych ostatnich latach stanęło obok starca i wzięło udział w jego artystycznej pracy młode dziewczę, la Pia. Jest ona kwiatem miejscowym, bo córką chłopa z tejże parafii, ale jest kwiatem wyhodowanym, bo kiedy miała lat dwanaście, jakaś zamożna pani bezdzietna zauważyła szczególny jej wdzięk i przybrała ją za córkę. Żyjąc wśród najwyższych sfer rzymskiego towarzystwa, Pia prędko się wykształciła, wyrafinowała. Ale po trzech latach owa pani umarła niespodzianie, bez testamentu, a jej krewni odesłali dziewczynę do jej wsi, bez złamanego grosza. W tym bolesnym przełomie, kiedy się ta roślinka wydelikacona znalazła nagle wśród grubych natur i twardych stosunków wieśniaczego życia, przyszedł jej z pociechą kościół i ksiądz. Za zgodą rodziców chodziła pracować przy kościele, a ksiądz wtajemniczał ją w swój artyzm, uczył ją kochać piękno tego domu bożego, który sam tak kochać umiał... I teraz oboje pracują dla kościoła, pracują z radością, bo kochają piękno, i z nabożeństwem, bo to dla Pana Boga, bo to „dzieło boże“, jak mówi pięknie Pia — i są szczęśliwi.

Podróżnik nasz, widząc tego starca, który całą duszę i całe życie swe wlał w jedno arcydzieło i kocha je nietylko miłością i czcią artystyczną, ale też miłością i czcią religijną — który ma szczęście to arcydzieło posiadać, i ma jeszcze przy sobie wdzięczną duszę, w którą

przelewa swe myśli i która opromienia jego sędziwość urokiem młodości — nakoniec żyje pod cudnem niebem, w cudnym kraju, który to kraj jest zarazem jego ojczyzną... podróżnik nasz znajduje, że ten człowiek jest naprawdę szczęśliwy i melancholijnie porównuje z nim siebie, który dużo po świecie jeździ i mnóstwo rzeczy pięknych widział, a może właśnie dlatego nigdy w takiej pełni rozkoszy piękna nie użył. Robi on też słuszną uwagę, że chyba więcej takich postaci, jak ten ksiądz, musiało być w wiekach średnich, inaczej nie moglibyśmy sobie wytłumaczyć tej tak bujnej a tak idealnej płodności sztuki religijnej wśród warunków tak niesłychanie utrudniających.

Koniec tego szkicu zasępia go trochę. Ale darmo — szczęścia ziemskie wiecznemi być nie mogą. Po kilkunastu latach powraca autor w to samo miejsce w towarzystwie tym razem dandysa paryskiego. Stary ksiądz już umarł; jego następca wszystko zaniedbuje; Pia od kościoła oddalona, pod strzechą w otoczeniu chłopskiem żyje. Jeden przecie promyczek ten koniec trochę rozświeca: oto ów Paryżanin, który dla nie bardzo honorowej spekulacyi kupił cenny obrazek z tego kościoła, w końcu zrzeka się go — dla osuszenia łez Pii. I w jego wyjałowiałem sercu odezwała się tęsknota za jakimś dobrym uczynkiem.

Inne cztery szkice są mniej interesujące, choć we wszystkich znać rękę Bourgeta i jego psychologię. W *Antigone* widzimy najszlachetniejszą miłość siostry, która otacza brata, spodlonego polityka francuskiego, umie nie widzieć jego podłości, a drugim przynajmniej pozór szacunku dla niego narzuca. W *Deux ménages* przedstawia się nam stadło milionerów amerykańskich, w przypadkowem zetknięciu z jakiemś stadłem wędrownych clownów. Milioner dostrzega w clownie odzwierciedlenie swego własnego położenia. Jak clown, tak i on jest jucznem bydlęciem, pracującem nad siły, jedynie na to, by zbytki żony podtrzymać. W *Charité de femme* jest piękny rys kobiecego serca. Trochę mu ujmuje to, żeśmy niedosyć tej kobiety poznali, aby się nią zainteresować, ale może autor chce, żebyśmy z tego jednego rysu odgadli jej całą fizyonomię. W *Odile* jest temat dość pospolity: gruba natura męża, która miażdży delikatną duszę żony. Bourget umiał swoją drogą ubrać ten temat w niepospolitą formę, ale zakończyć nie umiał: nietylko ta żona życie sobie odbiera, ale i córka, do matki podobna, znalazłszy się przy ojcu i macosze, czyni tak samo. Tych zakończeń powieści przez samobójstwo mamy już za wiele! Jak w życiu samobójstwo jest przegraniem, dowodem, że się nie umiało stawić czoła przeciwnościom i placu dotrzymać, tak najczęściej i w powieści, autor, który

łatwo ucieka się do zakończenia przez samobójstwo, zdradza, że istotnego rozwiązania znaleść nie mógł, albo mu się go szukać nie chciało.

Z tem wszystkiem, wieje w tych utworach powiew moralny, który już od pewnego czasu w pismach Bourgeta panuje. Autor nie moralizuje wcale, ale czuć, że cnota jest mu miła, a występek wstrętny. Kiedy dotyka uczuć religijnych, to nie przypatruje im się z zewnątrz, jakby ciekawemu amuletowi, z lekkim uśmiechem, jak to niektórzy nasi umieją — ale wchodzi wewnątrz i do pewnego stopnia rozumie: rozumie np. i wypowiada w *La Pia*, o ile wiara i pobożność łącząc się w jednym przedmiocie z artyzmem i miłością piękna, wzmagają i idealizują ten artyzm. Mogą się więc nasi powieściopisarze niejednego od Bourgeta nauczyć.

Ks. M. Morawski.

Elévations dogmatiques. I. série. L'Incarnation, ou Jésus intime. *Par M. Sauvé.* Dijon 1897. 3 vol.
II série. La Sainte Trinité, ou Dieu intime. Par le même.

Oryginalny i szczęśliwy pomysł miał ks. Sauvé. Czując, że ogół wiernych jest zanadto oddalony od wysokich tajemnic naszej wiary, że choć się ich nauczył w katechizmie, jednak patrzy na nie, jak na abstrakcyę nieskończenie oddaloną, autor postanowił doprowadzić czytelnika jak najbliżej być może do tych tajemnic i wprowadzić go w stosunek żywotny z niemi. To jest myśl przewodnia tych elewacyj o tajemnicach.

Pierwsze dzieło trzytomowe omawia w ten sposób dogmat Wcielenia. Przedstawia ten dogmat jako tajemnicę zjednoczenia, tajemnicę najwyższej miłości, wprowadza w rozumienie tego wyrazu „Bóg-Człowiek", które streszcza dogmat Wcielenia, i wskazuje wynikające stąd stosunki tego Boga-Człowieka do Bóstwa, do ludzkości i do całego świata. Dalej zastanawia się nad własnościami boskiej osoby Słowa, dalej nad przymiotami ciała i duszy ludzkiej Chrystusa, jej świętością, jej rozumem, jej sercem i miłością. W ten sposób prowadzi istotnie autor do wnętrza P. Jezusa — *Jésus intime.* A zarówno kapłani, jak i wierni, z niemałą korzyścią i oświeceniem mogą się mu dać prowadzić.

W drugiem dziele omawia autor dogmat Trójcy, albo jak mówi, „wnętrze Boga". Roztacza on jasno i dokładnie naukę wiary o tej najwyższej tajemnicy, wprowadza, ile się da, czytelnika w rozumienie pochodzenia boskich osób jednych od drugich, doskonałości im wspól-

nych i znamion każdej z nich właściwych w stosunku ich do stworzenia i t. d. Nauka ta nietylko rozum wierzący oświeca, ale i serce do góry pociąga.

Kiedy się u nas tyle sprowadza z Francyi książeczek o małych (a czasem drobnostkowych) nabożeństwach, to słuszną jest rzeczą, żeby i poważne książki o religii czytano. Nie ma wątpliwości, że z tych ostatnich będzie daleko realniejszy pożytek.

X. T. J.

Le triomphe du socialisme. Par *Hippolyte Verly.* Paris 1897.

Autor opowiada w formie romansu, coby się stało, albo co się stanie, jeżeli socyalizm opanuje świat. Przenosi nas więc w rok 1900, przypuszcza, że większość parlamentu francuskiego składa się z socyalistów, i urządza Francyę podług programu Bebla. Co się wtedy dzieje, to się nie da w kilku słowach skreślić, trzeba to w samym oryginale czytać.

Już Richter tę samą myśl przeprowadził na niemiecki sposób, i tym ciosem silniej ugodził socyalistów, niż nie wiedzieć jakimi uczonymi wywodami. Później coś podobnego zrobił William Mallock po angielsku; obecnie wykonał to samo p. Verly po francusku, ale zupełnie oryginalnie, z francuską jasnością i werwą. Jest to przedmiot niewyczerpany, a zarazem jest rzeczą bardzo pożyteczną o nim pisać. Socyalistom dobrze krytykować wobec tłumów niedostatki obecnego ustroju społecznego, ale gdy im się rzuca przed oczy nierównie gorsze i doprawdy niemożliwe warunki życia, jakie z ich systemu wyniknąć muszą, i gdy się to w sposób dla ogółu przystępny, plastycznie i życiowo przedstawia, wtedy im gorzej się bronić.

X. T. J.

Die älteren Ortsnamen Schlesiens, ihre Entstehung und Bedeutung. Mit einem Anhange über die schlesisch-polnischen Personennamen. Beiträge zur schlesischen Geschichte und Volkskunde. Von *Konst. Damroth*, königl. Seminar- Direktor. Beuthen. Verlag von Felix Kasprzyk. 1896.

Wilhelm von Humboldt upatrywał w nazwach poszczególnych miejscowości najstarsze i najtrwalsze pomniki, opowiadające losy narodów; o to tylko chodzi, aby ich mowa dla nas zrozumiałą pozostała. Pruski szowinizm usiłuje dziś zniszczyć owe pomniki, zgłuszyć świadectwa przeszłości, zatrzeć jej ślady, germanizując nietylko żyjące po-

kolenia, lecz i minionych dzierżawy. Wobec tego prądu, zmieniającego bezwzględnie wszelkie słowiańskie pierwiastki w nazwach miejscowych, tem ciekawszą okazuje się być praca, której tytuł wypisujemy powyżej. Dokonał jej dzielny na ziemi ślązkiej pracownik, niezrównany znawca ojczystego języka, bezimienny poeta, który pod mianem Czesława Lubińskiego nieraz udatne kreślił wiersze, a pod właściwem nazwiskiem Konst. Damrotha wydał pełno poważnych i pożytecznych ksiąg i przekładów. Niestety! śmierć rychło przerwała dobrem sercem podjęte znoje. Już z pośmiertnych papierów Damrotha przyszło księdzu Gregorowi wydobyć niniejszą, pełną doniosłości robotę. Opartą ona jest z jednej strony na podstawie ludowych badań i etymologii, z drugiej na najstarszych dokumentach i na studyach poważnych uczonych.

Stwierdziwszy słowiański pierwiastek w wszystkich niemal nazwach ślązkich, autor na wstępie ubolewa nad stopniowem przekształceniem ich z wandalizmem, godnym chyba dawnych barbarzyńców, nie dbałych o nić i wątek dziejowy. Przytacza zaś zdanie Stenzla, iż podczas, gdy cała przestrzeń między Łabą i Saalą, aż po Wisłę i Odrę w VIII. i IX. wieku wyłącznie od Słowian była zamieszkałą, niepodobna znaleść tamże żadnego śladu osadnictwa Germanów. Tymczasem dziś zabór, cofając się wstecz, radby i zamierzchłą przeszłość zagarnąć, wbrew wszelkim wymaganiom ścisłości, sumienia i prawdy dziejowej.

Wyborny podział książki i rozkład przedmiotu pozwala dobrze ogarnąć całość studyów ś. p. Damrotha. Szerzej on na wstępie omawia sporną nazwę Ślązka, wzbudzającą po dziś dzień niewyczerpane dyskusye i sprzeczki. Po raz pierwszy spotykamy miano Sleenzane w wydanym przez Szafarzyka monachijskim kodeksie z r. 844—47, *descriptio civitatum*. Dalej w opisie podróży żydowina Ibrahima po zachodniej i północnej Słowiańszczyznie z r. 950, znachodzimy wyraz Slenzani, określający owe kraje. I znów w akcie erekcyjnym praskiego biskupstwa znajduje się wzmianka o Zlasane, w kronice merseburskiego Dytmara o Zlesani. Ten ostatni owe miano odnosi do wysokiej góry, kędy ludy okoliczne składały bogom ofiary. Niewątpli wie chodzi tu o górę Zobten czyli Sobotnią, która przez długie wieki nosiła imię Slenz lub Zlenz. Nazwę tę badacze nawiązują z plemieniem Silingów, którzy w czasie gminoruchów tędy wędrowali, aby ostatecznie do Hiszpanii dotrzeć i tamże z rąk Wandalów uledz zagładzie. Część ich pozostała dokoła góry ofiar i od nich też cała kraina otrzymała swą nazwę. Inni wszelako etymologię nazwy Ślązka wyciągają raczej z wyrazów ślezy, ślezina, oznaczających stoki i okolice gór.

Do XV. wieku góra Sleęz zachowała swe pierwotne miano, zamienione na Sobótkę, Sobotę, Zobten, od poblizkiego miasteczka, kędy się w końcowym dniu tygodnia odbywały jarmarki. Etymologia Opola dość jest jasną, aby ją zbyć po krótce wspomnieniem wspólności dorobku, samoobrony i pomocy, zobowiązującej członków jednego opola. Dzisiejsze *Isergebirge* autor wyprowadza od słowiańskiej nazwy jezierny ch gór. Miano wielkiej ślązkiej rzeki Odry wydobywa z pierwiastku drzeć, zedrzeć, drącego, rwącego potoku, co Odrze w dalszym jej biegu dość przystoi.

Jaką krzywdę usuwanie dawnych mian czyni źródłom historyi, dowodzi tu ustęp, dotyczący kilkudziesięciu, bodaj czterdziestu miejscowości, które do niedawna nosiły tytuł: *polnisch*, dziś namiętnie usuwany. Ta polska firma bynajmniej nie dowodziła jakiejś wyłączniejszej siedziby polskości; wszakże niemal innych nie było mieszkańców na Ślązku. Tutaj raczej chodziło o oznaczenie, że owe miasteczka rządziły się polskiem, nie zaś magdeburskiem prawem. Autor słusznie dodaje, iż nie widzi, co np. sławetne miasto Polnisch Wartenberg zyskało na przedzierzgnięciu się nagle w Gross Wartenberg? Nie wzrosło przecież ani się wzbogaciło tą zmianą, zawierającą tylko jej starożytność. Dawne nazwy miały racyę bytu, logiczny związek z przeszłością, dowolnie sporządzane zmiany są wynikiem wrażeń chwili. I tak pod Wrocławiem znajduje się wioska Unchristen, której pobożni mieszkańcy, sromając się nazwy rzekomo zniżającej ich do rzędu pogan, w przystępie bodaj bardziej niechrześcijańskiego kultu dla męża krwi i żelaza postarali się o przekształcenie starodawnego miana na nowsze, eufoniczniejsze Bismarcksfeld. Nie opatrzyli się, iż tu bynajmniej nie chodziło o nieochrzczonych, lecz że nazwa Unchristen pochodziła od okres. okresie, dawnego wyrazu na cyrkuł czyli obwód.

Przeważnie germanizatorzy dążą do skrócenia nazw pojedynczych. Nie zawsze atoli do tego dochodzą, częściej na szpetne zdobywają się odmiany. Co powiedzieć np. o Laskach przedzierzgniętych w Lanskawe, o Swiedbowie zamienionem na Schwiebedawe, Węgrzynowie na Wangersinowe, Biadaczki na Biadauschke? a wszystko to w okolicach piastowskiej Trzebnicy!

Ściśle przeprowadzona etymologia dźwięków słowiańskich przekształconych w germańskie, niezmiernie zajmująco tu wypadła. Autor usiłuje ratować zabytki przeszłości, wskazuje na racyonalne ich znaczenie i doniosłość historyczną. Wartoby upowszechnić znajomość tej bardzo niepospolitej i ciekawej pracy, wartoby podjąć podobną na

wielkopolskiej ziemi, spisując spustoszenia dokonane w ciągu lat ostatnich przez zawziętych germanizatorów Najdawniejsze, historyczne miana znikają, aby ustąpić miejsca dowolnym hołdom, składanym ludziom i prądom chwili, aby upamiętniać pruskie zwycięstwa i wielkości, aby zastąpić czysto germańskimi dźwiękami słowiańskie brzmienia. Ale ten wandalizm roztrąca się o skałę ludu polskiego, który, zmuszony nowe przyjmować nazwy, wnet po swojemu je przekręca i na nowo polonizuje. Darmo starożytne, piastowskie Gniewkowo przekształcono na niemieckie Argenau. Dziś wprawdzie Gniewkowa już niema, ale znalazło się Argenowo. Ten sam los spotkał Jedwabno, przechrzczone na Seide, skąd od razu powstała ludowa, gminna Zajda; to samo dzieje się i z Pojezierzem, gwałtem przedzierzgniętem w Amsee, dziś już ogólnie Jamżą nazwane... Takiemi środkami nie wyrywa się z gruntu polszczyzny; utrudnia się tylko historyków znoje, niszcząc słupy wytyczne, znaczące dla potomności szlaki płynącej tędy fali dziejowej. Nieoszacowana praca przedwcześnie zmarłego Damrotha, tak umiejętnie przez ks. Gregora wydana, winnaby szybko wzbudzić naśladowców na Warmii, w Prusach wschodnich i zachodnich a przede wszystkiem w Księstwie Poznańskiem, gdzie geograficzne polakożerstwo bardziej niż gdziekolwiek dzikiemi stwierdza się wybrykami.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

UROCZYSTOŚĆ ŚW. AUGUSTYNA W ANGLII.

Bieżący rok jest 13-setną rocznicą przybicia św. Augustyna do brzegów brytańskich. Kościół katolicki w Anglii od niedawna jeszcze prześladowany i pogardzany, teraz się cieszy uszanowaniem i swobodą większą, aniżeli w innych krajach czysto katolickich. Owocem tej swobody jest potężny jego wzrost, ustalenie hierarchii kościelnej w całym kraju, szkoły kwitnące. Dlatego katolicy z najżywszem uczuciem radości obchodzili w tym miesiącu pamiętny ten dla całej Anglii moment zaszczepienia religii Chrystusa na tej potężnej wyspie.

Nie mamy zamiaru opisywać tutaj całego przebiegu uroczystości, chcemy tylko zwrócić uwagę na wielkie jej znaczenie które ma szczególnie w teraźniejszej chwili dla Anglii. 60—70 lat temu obchód na cześć przyjścia wysłanników Stolicy rzymskiej nie byłby miał żadnego prawie wobec anglikanów znaczenia. Anglikanizm był zanadto oddalony od Kościoła rzymskiego, aby takie obchody mogły były wywrzeć na nim głębsze wrażenie. Msza św., spowiedź, modlitwy za umarłych, wstawiennictwo świętych były uważane jako charakterystyczno-papieskie zabobony. Dziś inaczej. Koło roku 20 tego stulecia kilku młodych anglikanów gorącego serca, wielkiego umysłu i silnej wiary zaczęło przy uniwersytecie w Oxford pracować nad rozbudzeniem ducha

kościelnego przez wydawnictwo słynnych traktatów i „Biblioteki Ojców Kościoła". Był między nimi Newman, był uczony dr. Pusey. Ich ogień szerzył się po całej Anglii i zapalał w wielu miłość i szacunek dla wiary apostołów, a tem samem pośrednio przygotowywał powoli grunt dla Kościoła katolickiego. Większość anglikanów należy jeszcze do tak zwanego „niższego Kościoła" *(Low-Church)*, albo do „szerokiego Kościoła" *(Broad-Church)*, który coraz bardziej do czystego racyonalizmu się zbliża. Ale pod wpływem oxfordzkim utworzyła się trzecia potężna, choć liczebnie jeszcze znacznie mniejsza partya, tak zwanego „wysokiego Kościoła" *(High-Church)*. Wierzą oni niemal w te same dogmata, co katolicki Kościół, tak, iż powiedzieć można, że supremacya papieża jest jedynym ich punktem spornym z teologią katolicką. Nadto w swojej liturgii tak się do rzymskiego Kościoła zbliżyli, że ktoby uczęszczał na nabożeństwa pastorów, należących do *High-Church*, mógłby prawie myśleć, że jest między katolikami. A przytem ci ludzie są przejęci głębokiem nabożeństwem, pełni zapału i przywiązania do wiary Chrystusowej. Mieliśmy tego roku sami sposobność przekonania się o tem. Sami też katolicy angielscy są tego zdania, że nie można wątpić w szczerość ich i gorliwość, z jaką dążą do prawdy. Przyjmując jednak prawie całe *Credo* nauki katolickiej, zwolennicy tej partyi utworzyli sobie z drugiej strony teoryę, że anglikanizm jest odrębną tylko gałęzią chrystyanizmu i dlatego usilnie pragnęliby wszystkim udowodnić, że Kościół ich nigdy nie był częścią Kościoła Piotrowego i że rzymscy papieże nigdy nie wykonywali prawnie jurysdykcyi nad Anglią. Tym jedynie sposobem tłumaczą swe odłączenie się od Rzymu. Gdyby to subjektywne ich przekonanie kiedyś się rozwiało, cała ta partya Anglików jużby nie miała przed sobą innej drogi, prócz tej, która do Rzymu prowadzi. W tem usposobieniu umysłów całej partyi anglikanizmu leży przyczyna niezwykłej doniosłości, jaką miała uroczystość w Ebbs Fleet. „Rzymska nad brytańskim Kościołem jurysdykcya, jak powiada słusznie *Tablet*[1], głębokiemi

[1] 4 september 1897, p. 361.

literami zapisana jest w tym wielkim epizodzie historyi narodowej, który nawet organa niższego Kościoła nazywają pierwszym napadem papieskim na nasz kraj". Pielgrzymki, mowy, poselstwa z Rzymu i Monte Cassino, cała świetność i przepych uroczystości musiały z pewnością niejednemu anglikaninowi przywieść na myśl dawne węzły, łączące Anglię z opoką Piotrową.

W każdą drugą niedzielę miesiąca odmawiają w Anglii przed Najśw. Sakramentem wzniosłe i wzruszające modlitwy do wielkich świętych patronów Anglii i królów świętych z prośbą o jedność Kościoła.

Czyżby złączone modły Kościoła walczącego i tryumfującego nie miały wyjednać u Boga przybliżenie miłosierdzia i skrócenie czasu próby?

KONFERENCYA BISKUPÓW ANGLIKAŃSKICH W LAMBETH.

I Kościół anglikański chciał pokazać światu, że jest dziedzicem wiary, którą św. Augustyn przywiózł do Brytanii. W tym celu arcybiskup z Canterbury zaprosił 277 biskupów nietylko z Anglii i ze wszystkich kolonij angielskich po całym świecie, ale i ze Stanów Zjednoczonych, do swego pałacu w Lambeth. Słynny pałac, z którego murami złączone są pierwsze zawiązki anglikanizmu, ożywił się znowu na chwilę: z początkiem lipca, aż 194 biskupów przybyło na konferencyę. Wspaniała pielgrzymka biskupów do miejsc, na których po raz pierwszy stanęła noga św. Augustyna: Ebb's Fleet i Richborough, była niejako przygotowaniem i wstępem do wspólnych obrad nad dobrem Kościoła anglikańskiego. W uroczystych modlitwach błagano Boga, by Kościół anglikański szedł dalej tą drogą, którą mu św. Augustyn wytknął. Nazajutrz kilku biskupów Stanów Zjednoczonych przemawiało z ambon głównych kościołów w Londynie, wynosząc wymownemi słowy wielkość i chwałę Kościoła anglikańskiego. Od 5-go do 10-go odbywały się główne sesye. Potem utworzono 12 komisyj, które miały roztrząsnąć punkta programu i trudności przez zebranych biskupów przedłożone. Ostatnie 5 dni miesiąca były znowu poświęcone wspólnym posiedzeniom. Owoce swych obrad i rezolucye powzięte biskupi ogłosili w encyklice *(encyclical letter)*,

główne jej uchwały streszczono w 63 punktach, oprócz tego ogłoszono sprawozdania komisyi.

Już to krótkie zestawienie faktów pokazuje, że zjazd biskupów anglikańskich w Lambeth był faktem doniosłym, że ich obrady były czemś więcej jak zwykłemi tylko konferencyami. Całe to zebranie nosiło we wszystkiem cechę soboru całego Kościoła anglikańskiego, a to miano mu też nadały angielskie gazety, nazywając je *Pan-Anglican Synod,* synodem całego anglikanizmu. Tegoroczne zebranie w Lambeth jest już czwartym z rzędu tego rodzaju zjazdem. Pierwsze zebranie odbyło się w r. 1864, a brało w niem udział 76 biskupów, w drugiem uczestniczyło już 100 biskupów, w trzeciem 145; tego roku sale Lambethu zebrały już prawie 200 pasterzy Kościoła anglikańskiego. Nie można przeczyć, że te liczby są wymownem świadectwem wzrostu Kościoła anglikańskiego i zjazd 200 biskupów niepomierną manifestacyą jego ogromnego rozszerzenia się po świecie, które mu nadaje pozory katolickości. Zarzucićby wprawdzie można, że to rozszerzanie się anglikanizmu, to powstawanie nowych biskupstw idzie ciągle w parze z rozszerzaniem się politycznego panowania Anglii. Ale jest drugi, daleko ważniejszy zarzut: żeby jakiś Kościół mógł marzyć o katolickości, musi mieć jakąkolwiek jedność hierarchiczną, mieć jakąś głowę, musi mieć pewną jedność wiary, którejby ta głowa strzegła. Podobno niektórzy inicyatorowie zjazdu w Lambeth marzyli o tem, żeby ten sobór bał krokiem ku takiej jedności. Ale się grubo zawiedli.

Przypatrzmy się tylko nieco bliżej przedmiotom dyskusyi zebranych biskupów i przebiegowi ich obrad. Już na początku kongresu jeden z nich uroczyście oświadczył, że sobór nie chce tworzyć nowych dogmatów, jak to czyni Kościół rzymski ku powszechnemu zgorszeniu chrześcijaństwa. Dobrze; ale przecież radzić będą, jak wiarę zabezpieczyć przed wkradającym się zewsząd błędem, jak ją oczyścić od fałszów, które ją może już zeszpeciły. Mój Boże, nad czem sobór radzić ma, jeśli nie nad tem? A tu i w programie obrad, i w okólniku o dogmatach wiary ledwie jest mowa. A przecież pasterzom anglikańskim

wiadomem być musi, że do ich twierdzy racyonalizm z jednej strony, a katolicyzm, przez nich supernaturalizmem zwany, z drugiej, coraz natarczywiej wkraczają i coraz większe sprawiają wyłomy. Między samymi biskupami są przedstawiciele obu kierunków. Na taki widok niezgody w wierze trzebaby energicznie wystąpić, tak, jak rzymska rywalka to czyniła, ile razy fałsze do wiary się wkradały; trzeba było oświadczyć się otwarcie ze swą wiarą, choćby nawet to stanowcze wyznanie wiary miało pociągnąć za sobą odstępstwo znacznej liczby wiernych. Czytamy wprawdzie w encyklice: „książka wspólnej modlitwy *(Prayer-Book)* jest bezpośrednio po Piśmie św. regułą nauki, która jest powagą dla Kościoła anglikańskiego", ale zarazem zostawiono furtkę dla tych, którym to orzeczenie byłoby niewygodne, przez to, że biskupom przyznano prawo potwierdzenia lub tolerowania dodatku do *Prayer-Book*, według potrzeby. Anglikańskie czasopismo *Rock* ironicznie powiada, że mamy w tem widoczny dowód, iż „Kościół anglikański jest w stanie rozkosznej harmonii". Jako małą ilustracyę tej harmonii podajemy niedawno tam wypowiedziane słowa wikaryusza z Hexton. „W Hexton jako oficyalna nauka Kościoła anglikańskiego utrzymuje się przekonanie, że komunia jest tylko upominkiem nieobecnego Pana, że sakrament chrztu żadnej łaski nie udziela..."; a zarazem ten sam pastor przyznaje, że w parafii Marton-cum-Grafton oficyalna nauka jest wręcz przeciwna. Prawda, że są pewne formuły wierzenia, które każdy anglikański pastor przy ordynacyi podpisuje: „Nie godzi się — powiada liberalny pastor — zaprzeczyć *Credo* w naszym Kościele. Ale chodzi o to, co *Credo* to znaczy. Mamy teraz kontrowersye, posuwające się aż do tego, czy zmartwychwstanie naszego Pana było faktem rzeczywistym i czy Chrystus był osobą boską" [1]. A w takim zamęcie zdań biskupi anglikańscy uroczyście zebrani, by radzić nad dobrem Kościoła, nie podnieśli głosu! — Nie podnieśli i podnieść go nie mogli.

Bo cóżby wszystkie ich oświadczenia pomogły, kiedy władzy żadnej i głosu rozstrzygającego w rzeczach wiary nie mają.

---

[1] *Tablet* 11 september 1897, p. 401.

Church Times, największy organ rytualistów i stąd wielki zwolennik soboru, pisze jeszcze przed jego otwarciem: „Jest to dobre, że jeżeli w takiem zgromadzeniu nauczaliby błędu, błąd ten wypowiedziany jest bez wszelkiej powagi — i dlatego zło jest mniej groźnem“. Tak mówi organ najbardziej przychylny; posłuchajmy jeszcze jak zwolennicy starego anglikanizmu o soborze mówią. *English Churchman*, czasopismo wielkiej liczby anglikańskiego duchowieństwa pisze: „Ten dziwaczny ruch prałatów angielskich i zagranicznych nie może wywrzeć dobrego wrażenia na ducha ludu chrześcijańskiego... To zgromadzenie w Lambeth przy drzwiach zamkniętych jest zgromadzeniem tajnem. Anglicy nie lubią tajnych zgromadzeń ani w kościele ani w państwie. Konferencya z Lambeth niema żadnego prawa rządzenia Kościołem“. A widać, że sami biskupi to dobrze czują. Między kwestyami przedłożonemi soborowi jedna tak brzmiała: „Organizacya kościoła anglikańskiego: *a)* Centralny komitet narad; *b)* Trybunał doradczy; *c)* Stosunek prymasów i metropolitów z kolonij i z innych miejsc, do stolicy w Canterbury“. Widocznie ten punkt narad był ułożony pod wpływem rytualistów. Marzeniem ich jest, by arcybiskup z Canterbury został patryarchą całego kościoła anglikańskiego, do któregoby się wszystkie kościoły anglikańskie, jakichkolwiek są odcieni, uciekały w wątpliwościach wiary. Wtenczasby już nie było różnicy między Kościołem rzymskim i anglikańskim; ale wtenczas też anglikanizm przestałby być anglikanizmem. Dlatego też bardzo logicznie i zgodnie z zasadami anglikanizmu już przed soborem biskup amerykański z Vermont publicznie oświadczył, że tak samo nie chce mieć papieża w Canterbury jak w Rzymie. A oświadczenie soboru co do tego punktu ograniczyły się na tem, że „d o b r z e b y b y ł o“, gdyby angielscy biskupi misyjni uroczyście oświadczyli, że arcybiskupowi z Canterbury okazywać będą wszelką cześć i uszanowanie. A co do centralnego komitetu doradczego wprawdzie arcybiskup z Canterbury dostał polecenie, by go do życia powołał, ale zarazem oświadczono, że jest tylko dla tych, co chcą do niego się udać, i że ten trybunał będzie tylko miał moralną powagę. Tak sobór dał na nowo dowód, iż w kościele

anglikańskim pod względem wiary panuje zupełna anarchia, i że niema w nim władzy, któraby mogła zabezpieczyć jedność wiary. Z innego stanowiska *English Churchman* to samo wypowiada: „Czwarta konferencya z Lambeth uwidoczniła wzrost zepsucia w kościele anglikańskim i stopniowe zanikanie wiary w narodzie brytańskim". Nie zaszkodzi przytoczyć jeszcze jeden sąd o synodzie, sąd niepodejrzany o stronniczość albo nieznajomość stanu kościoła anglikańskiego, gdyż pochodzi od biskupa, który już wziął udział w trzech synodach w Lambeth. „Wynik (synodu) jest bardzo przygnębiający. Niczego nie postanowiono, żadnego żywotnego problemu nie rozwiązano, do żadnej piekącej kwestyi śmiało nie przystąpiono... Jeżeli przyszłe konferencye nie będą się czuły powołane do mówienia auktorytatywnie o rzeczach im przedłożonych albo o tych, które (z natury swojej) im się narzucać będą, to trudno pojąć, jak ta społeczność anglikańska, jak świat szeroka, będzie mogła oprzeć się siłom nieprzepartym, choć stopniowo i niewidzialnie działającym, które dążą do rozkładu" [1].

Ale biskupi anglikańscy zostawili też dobry owoc swych prac. Jak wiadomo od niedawnego czasu silniej niż przedtem szerzyła się między anglikanami myśl zbiorowego połączenia się z Kościołem rzymskim, bez żadnego jednak ustępstwa ze swojej strony. Rytualiści z lordem Halifax na czele fanatycznie tę myśl popierali. Ze strony katolików miała ona także zwolenników, choć znawcy stosunków już od Newmana uważali zamiar ten za utopię. W ostatnim czasie i papież się oświadczył przeciw możliwości takiego połączenia i zakazał katolikom pracy w tym kierunku; ta bowiem utopia jest bardzo szkodliwą dla wielu anglikanów, co już są blizcy Kościoła rzymskiego, ale z nim się nie łączą, oczekując dnia, gdzie z całym swym kościołem z Rzymem się zjednoczą. Z wielką niecierpliwością Anglicy wyglądali, co biskupi ich o tem powiedzą. Otóż biskupi, aby nikogo nie zrazić, w encyklice samej nic o tej kwestyi nie powiedzieli. W sprawozdaniach jednak prac komi-

[1] *Tablet* 11 september p. 424.

tetów, dołączonych do encykliki, znajdujemy powtórzenie zdania komitetu konferencyi z r. 1888: Komitet zrozumiał z głębokim żalem, że w obecnych warunkach byłoby niepożytecznem zajmować się kwestyą o połączeniu się z braćmi naszymi Kościoła rzymskiego, bo wie, że władze tego Kościoła nie przyjęłyby żadnych przedstawień pojednania, tylko pod warunkiem zupełnego poddania się z naszej strony ich pretensyom nieograniczonej powagi i pod warunkiem, żebyśmy przyjęli błędy nauki i dyscypliny, przeciw którym, aby być wiernymi słowu bożemu i prawdziwym zasadom Kościoła, byliśmy zmuszeni protestować przez trzy wieki [1].

To oświadczenie komitetu anglikańskiego soboru jest dla sprawy katolickiej niezmiernie ważne. Wyleczyć może rytualistów dobrej woli od utopii połączenia zbiorowego i przyspieszyć godzinę ich własnego powrotu na łono katolickiego Kościoła.

KONGRESY KATOLIKÓW W MEDYOLANIE I LANDSHUT.

Kongresy są teraz w modzie. Trudnoby było naprawdę wyliczyć wszystkie kongresy, które się w ostatnich dwóch miesiącach w Europie odbyły. Kongresy katolików, starokatolików w Wiedniu, protestantów w Crefeld, anglikanów, żydów w Bazylei; kongresy uczonych wszystkich gałęzi, medyków, archeologów, statystyków... Ale moda kongresów nie jest tylko kapryśnym wymysłem małej garstki ludzi. Kongresy są koniecznem wymaganiem czasów naszych, są zewnętrznym objawem silnego popędu do zjednoczenia się, który się w całej ludzkości objawia. Pierwsza religia chrześcijańska wniosła w świat myśl o powszechnem braterstwie, o równości wszystkich w jednej rodzinie, w której niema, jak Apostoł narodów się wyraża, ani Żyda, ani Greka, ani niewolnika, ani wolnego, ale wszyscy jednem są w Chrystusie. Nic więc dziwnego, że katolicy, korzystając z materyalnego postępu cywilizacyi, ułatwiającego tak znakomicie, łączenie się myśli i sił wspólnych, we wszystkich krajach coraz silniej się skupiają dla

[1] O Leonie XIII. sprawozdania komitetów wyrażają się tylko z uszanowaniem i wdzięcznością.

walki, dla urzeczywistnienia ideału jednej wielkiej rodziny ludzkiej, który tylko przez katolicką religię osiągnięty być może. Tę myśl jedności obydwa kongresy, które niezależnie od siebie w tym samym prawie czasie obradowały, kilkakrotnie z naciskiem podniosły. Znalazła ta myśl swój wyraz w oświadczeniu kongresu włoskiego, że katolicyzm jest nauką wszystko ogarniającą, wielką nauką całego rodu ludzkiego, a stąd nie jest ani liberalnym, ani despotycznym, ani w ogóle sługą jakiejkolwiek partyi. Do tej jedności nawoływali mówcy niemieccy: nie czekajmy na to, powiedział prezydent niemieckiego wiecu dr. Bachem, aby nowy *Kulturkampf* nas zjednoczył. To silniejsze podniesienie potrzeby jednoczenia się koniecznem jest wobec różnorodnych usiłowań przeciwników, by katolików między sobą rozdzielić. We Włoszech rząd, w Niemczech partye usiłują odosobnić duchowieństwo od reszty wiernych, wszczepić nieufność do tych, co z natury rzeczy mają być wodzami w sprawie katolickiej, i podzielić katolików na dwie partye: katolików i ultramontanów papieskich. Przedewszystkiem we Włoszech sfery parlamentarne w nieszlachetny sposób starają się oderwać niższe duchowieństwo od wyższego. W Niemczech znowu prasa antikatolicka chciałaby przez niesnaski klasowe, szlachtę katolicką od ludu oddzielić. — Jeden i drugi wiec, na których przedstawiciele wszystkich klas uczestniczyli, był protestem i ostrzeżeniem przed wszelkimi rodzajami niezgody.

Kwestya socyalna na obydwóch wiecach poważne zajmowała miejsce, a co podnieść należy, to to, że mowy mgr. Radini-Tedeschi i O. Auerachera, gwardyana Kapucynów, o współudziale duchowieństwa w akcyi socyalnej, najgłębsze wrażenie wywarły na słuchaczów i największy wywołały entuzyazm. Mowa mgr. Radini-Tedeschi wyszła w osobnych odbitkach, tego samego życzyćby można o mowie ks. Auerachera. W nadzwyczaj jasny i treściwy sposób mowca zbija zwyczajne zarzuty przeciw socyalnej akcyi duchowieństwa, wskazuje na wielki przykład Leona XIII. i biskupów niemieckich, a dowodzi, że kwestyą socyalną księża z obowiązku zająć się powinni — bo w niej ekonomiczny dobrobyt

ściśle połączonym jest ze zbawieniem dusz [1]. — Z dumą katolicy włoscy wskazać mogli na silny wzrost ruchu katolickiego w całym kraju. Stowarzyszenia katolickie, których głównym celem jest podniesienie życia i samowiedzy religijnej, mnożą się wszędzie. Zwyczajnie każda parafia tworzy osobne stowarzyszenie, które sobie układa statuta według miejscowych potrzeb i okoliczności. Na czele stoi zawsze świecki; ksiądz jest tylko doradcą. Komitety parafialne znoszą się z komitetem dyecezalnym. Centrum dla wszystkich stowarzyszeń jest w Wenecyi. Obecnie na 304 dyecezyj włoskich, jest 188 dyecezalnych a na 20.183 parafij 3.932 komitetów parafialnych.

Wspólne obydwom wiecom było też żywe zajęcie się kwestyą podniesienia nauki katolickiej. W dwóch mowach dr. Bachem i dr. Hertling bez ogródki przyznali, że niemieccy katolicy na polu nauki bardziej są w tyle niż sądzą, że uczeni katoliccy są białymi krukami, jak Hertling się wyrażał. Stąd do młodzieży akademickiej się zwracali ze słowem zachęty do pracy naukowej. Wiec włoski powziął uchwałę co do założenia katolickiego uniwersytetu. Niema kraju w Europie, gdzieby szkoła była tak wyzuta z religii, jak we Włoszech. Przemądra taktyka masońska rzuciła się od pierwszej chwili swego panowania na szkoły, by przez nie wpłynąć na całe społeczeństwo; nawet w szkołach ludowych niema powszechnego obowiązku wykładu religii, a wydział teologiczny na wszystkich uniwersytetach zniesiony. Mimo to 100 studentów-akademików publiczny wzięło udział w wiecu i osobnym telegramem złożyło Ojcu św. wyrazy synowskiego przywiązania.

Z wiecu w Landshut zasługuje jeszcze na szczególną wzmiankę mowa d-ra Hupperta o ostatniej bulli Ojca św. *Officiorum* o Indeksie. Mowca zachęcał do energicznej wspólnej akcyi przeciw złym książkom i przeciw złej prasie. Ojciec św. ma prawo zakazania złych pism, my katolicy mamy ścisły obowiązek zastosowania się do jego przepisów i wspierania go w jego szlachetnych zamiarach. Od uczonych katolickich dr. Huppert bardzo rozumnie wymagał, by swemi pracami zasilali nietylko czasopisma naukowe, lecz także beletrystykę i codzienną prasę.

[1] Dosłowny tekst mowy w *Germanii* nr. 211.

POJEDYNEK WIEDEŃSKI.

Do toku polityki wiedeńskiej zwykle się nie mieszamy, dziś jednak musimy dać wyraz żalowi, jaki nas przejął na wieść o pojedynku, który w ostatnich dniach nabrał takiego rozgłosu. Że cierpliwość ludzka i panowanie nad nerwami ma pewne granice, a nieustający grad obelg i brutalności może w końcu tę miarę przebrać — to jest zrozumiałem. I tym właśnie sposobem tłumaczymy sobie ten fatalny pojedynek. Bierzemy go za odruch nierozważny, jakkolwiek pożałowania godny. Nie możemy w nim upatrywać czynu rozważnego męża tej miary i tej pozycyi, bo taki czyn byłby niewytłumaczalny i ubliżałby wysokości charakteru tego męża i jego stanowiska; nie prowadziłby do żadnego racyonalnego rezultatu, bo cała opinia Austryi, nawet takie gazety jak *Arbeiter-Zeitung* już traktowały Wolfów i Schönererów jak gawiedź uliczną; a zrobiwszy taki krok, co dalej robić? czy z każdym, co znowu lżyć będzie, pojedynkować się? czy następne obelgi puszczać mimo? Wreszcie dlatego nie możemy uważać tego czynu za rozważny, że byłby niezgodny z charakterem katolika, tem więcej obowiązanego pilnować tego charakteru, im wyżej na widowni jest wystawiony. — I z tego względu dziwić się musimy niektórym gazetom naszym, które chcą być katolickiemi, a tego czynu nie tłumaczą i nie wymawiają, lecz wychwalają go zasadniczo i wynoszą pod niebiosa.

ZDJĘCIE CENZUR Z KS. STOJAŁOWSKIEGO.

Do ważniejszych spraw Kościoła w naszym kraju, należy wiadomość, jaką podaje *Vaterland* a za nim inne gazety, o pojednaniu się ks. Stojałowskiego z Kościołem. Z tem większem zadowoleniem przyjęliśmy tę wiadomość, żeśmy nigdy nadziei tego pojednania się nie zrzekli. Ks. Stojałowski podpisał w Rzymie oświadczenie, „że się poddaje wyrokom kościelnym przeciw sobie wydanym... że potępia wszystko, co pisał i czynił z obrazą biskupów i innych zwierzchników kościelnych... że uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, żeby naprawić zgorszenie, które sprawił". Co ks. Stojałowskiemu pozostaje jeszcze do zrobienia, jest już tylko dopełnieniem rzeczy w zasadzie zrobionej, wyciągnięciem z powyższego oświadczenia

praktycznych konsekwencyj. Oświadczenie to zamienione w czyn, zdolne jest usunąć wszelkie przeszkody, jakie stały dotąd między osobą ks. Stojałowskiego a katolickiem społeczeństwem polskiem i zatrzeć pamięć wszystkiego, co było w przeszłości źródłem tak szkodliwego dla sprawy publicznej rozdwojenia. Już i dzisiaj wśród licznych głosów prasy, omawiających sprawę zdjęcia klątwy, przebija raz po raz uczucie radości z tego, co się zrobiło, i co, przy pomyślnem dopełnieniu całej sprawy, zrobić się może w przyszłości. W tej myśli i w tej nadziei do innych głosów i nasz głos dołączamy.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Kongresy naukowe katolików a tegoroczny kongres fryburski

We Fryburgu Szwajcarskim odbył się (od 16 do 21 sierpnia b. r.) czwarty z kolei międzynarodowy kongres naukowy katolików. Mała bardzo liczba Polaków, uczestniczących tak w tym, jak i w poprzednich kongresach, jest dowodem, że instytucya jakoteż cel tych kongresów nie są u nas dostatecznie znane. Tylko tem da się wytłumaczyć, że kiedy na kongresach tych międzynarodowych nie brak niemal żadnej narodowości katolickiej, to nas, Polaków, można niemal na palcach policzyć i to na palcach jednej ręki. W Brukseli np. w r. 1894 był na kongresie naukowym katolickim tylko jeden Polak, niżej podpisany. A przecież był to już trzeci kongres. Mam nadzieję, że krótka wiadomość o powstaniu, celu, wynikach dotychczasowych kongresów naukowych zdoła przekonać, że usuwanie się Polaków na przyszłość od tak poważnej instytucyi może tylko nam smutne wystawić świadectwo, może w cudzoziemcach zaszczepić mylne wyobrażenie, jakoby na polskiej ziemi to, co naukowe, wstydziło się być katolickiem, a to, co jest katolickiem, nie chce lub nie może być naukowem.

I.

Dziesięć lat temu Duilhé de Saint-Projet, zmarły niedawno profesor w uniwersytecie katolickim w Tuluzie, powziął myśl zorganizowania sił naukowych katolickich, a to za pomocą peryodycznych kon-

gresów naukowych. Całkiem naturalnie projekt taki wyłonił się we Francyi, gdzie radykalizm polityczny z upodobaniem łączył pojęcie katolicyzmu z obskurantyzmem, a dla „prawdziwej“ nauki dawał jako tło konieczne — bezwyznaniowość. Katolikom francuskim musiało na tem zależeć, aby raz przecie zerwać z taktyką milczenia, usuwania się na bok i przyzwalania na to, aby w opinii publicznej ustalało się niekorzystne mniemanie, że człowiek nauki nie może być wierzącym i praktykującym katolikiem, że innemi słowy wiara z nauką pogodzić się nie da. Peryodyczne kongresy naukowe katolików miały być niejako spokojną i poważną manifestacyą uczuć katolickich, miały szeregiem prac ściśle naukowych dowieść, że we władaniu bronią naukową, w jej ulepszeniu, w metodzie, katolicy potrafią dotrzymać kroku akatolikom, że do współzawodnictwa na polu nauki stają śmiało i spokojnie, w tem przekonaniu, że istotnej sprzeczności między rozumem a wiarą niema i być nie może.

Myśl profesora Duilhé de St. Projet znalazła znakomitego organizatora i wykonawcę w rektorze uniwersytetu katolickiego w Paryżu, w księdzu d'Hulst, który z wielką energią i niemałą zręcznością umiał usunąć różne trudności, stawiane idei kongresów katolickich nawet przez bardzo gorliwych katolików. Przedewszystkiem usunął ks. d'Hulst najważniejszą przeszkodę, jakiej się niektórzy obawiali, a niektórzy sobie życzyli: uzyskał dla idei kongresów międzynarodowych naukowych aprobatę Głowy Kościoła, J. Św. Leona XIII. Papież wykluczył tylko z obrad kongresów kwestye ściśle teologiczne, co było do przewidzenia. Dla usunięcia wszelkich nieporozumień na przyszłość, dodał Ojciec św., że „w kwestyach, któreby miały jakikolwiek związek z artykułami wiary, każdy członek kongresu ma pozostać w swej roli fizyka, historyka, przyrodnika, matematyka lub krytyka, lecz nigdy nie ma uzurpować roli teologa“. Ale zastrzeżenie to Leona XIII. nie wszystkim jeszcze wystarczało. „Wszak teologia — zarzucano księdzu d'Hulst — graniczy z wszystkiemi naukami. Niepodobieństwem będzie uniknąć spotkania się z teologią. Jeśli zaś w pracach kongresu zapanuje duch, właściwy poszukiwaniom naukowym, duch swobodnego sądu, to czyż uda się dociekaniom krytycznym zatrzymać się właśnie na samej granicy, którą wiara nakazuje uszanować? Granicę tę przekroczą kongresy koniecznie, dyskusye przejdą na pole zastrzeżone; kto wie, czy nie przyjdzie do głosowania nad wynikami badań, które mogą się okazać przeciwnymi dogmatom — i gotowo przyjść na tych kongresach

naukowych do objawów płochych lub zdrożnych, które możnaby nazwać ‚teologią parlamentarną'".

Takimi zarzutami nie dał się zastraszyć ks. d'Hulst. Przyszłość miała pokazać, że obawy przeciwników kongresu naukowego katolickiego nie miały podstaw. Kongresy zdobyły sobie zwolna uznanie coraz szerszych sfer, a nie nadużyły w niczem zaufania, jakiem je darzy Leon XIII. Po pierwszym kongresie, który odbył się w kwietniu 1888 roku w Paryżu, odbył się drugi tamże w kwietniu 1891 r.; przyjęto bowiem jako zasadę, że kongresy naukowe odbywać się będą co trzy lata. Pierwszy paryski kongres pozostawił po sobie trwałą pamiątkę w dwóch sporych tomach sprawozdań z obrad sekcyjnych. Drugi kongres już był znacznie okazalszym i co do listy uczestników, i co do ilości, jakoteż jakości prac nadesłanych. Pozostało po nim ośm sporych tomów ścisłego druku w 8-ce. W swem *breve* do kardynała Richard, arcybiskupa paryskiego [1], Leon XIII. cieszy się z zapowiedzi drugiego kongresu, a głównie z tego, że ma być liczniejszym niż pierwszy: „Jest to świetnym hołdem uszanowania, złożonym przez mężów w nauce sławnych owemu światłu bożemu, którem jaśnieje Kościół. Otóż, zdaniem naszem, nic w naszym wieku nie jest bardziej na czasie, jak ten hołd. Ludzie bowiem bezbożni, opierając się raczej na arogancyi, niż na trwałej nauce, nadużywają często imienia nauki na to tylko, aby przyćmić blask wspaniały prawdy katolickiej. Nie wątpimy, że rozprawy i pisma uczonych, mających się zebrać na kongresie, dostarczą nowej broni tym, którzy poświęcając się studyom rzeczy boskich walczą przeciw bezbożnym błędom w obronie prawdy" [2].

W tych słowach Ojca św. jest zawarty cały program olbrzymi kongresów naukowych katolickich. Zbyt często zapominano w obozie katolickim, że nowoczesny wzrost nauk przyrodniczych wymaga także odnowienia arsenału argumentów apologetycznych na każdem niemal polu naukowem. Historya porównawcza religij, badania napisów asyryjskich, krytyka biblijnych tekstów, studya psycho-fizyologiczne i t. d.

---

[1] 16 marca 1891 r.

[2] Nihil autem hoc iusto obsequio censemus huic aetati nostrae opportunius. Solent enim homines impii, arrogantia magis quam solida rerum peritia elati, scientiae nomine abuti, ut praeclaram lucem catholicae veritatis obscurent. Neque vero ambigimus, quin sermones et scripta egregiorum virorum, qui istuc convenient novum praebitura sint armorum instructum iis, qui rerum divinarum studiis addicti contra improborum fallacias pro veritate decertant.

i t. d. — wszystkie te dziedziny nauki do niedawna jeszcze znajdowały się w wyłącznem niemal panowaniu innowierców z niemałą szkodą dla bestronności badań, których wyniki musiały potem ulegać ścisłej a kompetentnej i stosownie przygotowanej krytyce uczonych katolickich. Nie powinniśmy się dać ubiedz innowiercom w żadnym kierunku wiedzy ludzkiej i gdyby kongresy naukowe nie miały osięgnąć innego wyniku, jak ten, że stanowią poniekąd przegląd naszych sił zbrojnych naukowych, to jużby rezultat taki był bardzo pomyślnym, bo wykazałby, gdzie nam jeszcze potrzeba udoskonalenia i wzmocnienia naukowych pozycyj. Ale kongresy międzynarodowe katolickie nietylko są dobre na zewnątrz, jako dowód, że nauka nie jest tylko monopolem akatolików; lecz są one doskonałe dla nas samych, *ad usum internum*. Uczą przedewszystkiem wstrzemięźliwości w sądach, nakazują doskonale i starannie wyróżnić naleciałości ludzkie od tego, co jest istotnie niewzruszonym pewnikiem naszej wiary. Zdarza się, że jakiś fakt na pozór historyczny okazuje się z postępem badań wątpliwy. Fakt ten łączyła opinia powszechna długie lata z dogmatem tym lub owym. Pokazuje się, że do tego nie ma podstaw naukowych, lub, że podstawy te są wątpliwe. Wolno tym, co nie uznają wątpliwości, trzymać po dawnemu, ale niech też pozwolą współwyznawcom być innego zdania. Nie należy zbyt pochopnie szafować wobec drugich podejrzeniem heterodoksyi tam, gdzie rzecz niema istotnego, ścisłego związku z wiarą. Przytoczę tu, dla przykładu, argument, którego użył mgr d'Hulst na kongresie brukselskim. Był to argument zaczerpnięty z kwestyj spornych historycznych. Od lat 50 spierają się uczeni katolicy o apostolstwo kościołów galickich. Wiara niema z tym sporem nic do czynienia; wiara bowiem ma za przedmiot swój Objawienie, a nigdy nikomu nie było objawionem, że św. Łazarz i św. Magdalena przybyli do Marsylii, albo, że św. Dyonizy Areopagita doszedł do Paryża. Są to podania bardzo szanowne, ale ci, co im wierzą, nie powinni zarzucać tym, którzy mają w tym względzie wątpliwości, że mają tendencye racyonalistyczne. „Gdybyś miał gorętszą wiarę, nie rozprawiałbyś tak wiele". Słusznie ks. d'Hulst zapytuje, o jaką wiarę tu chodzi? Wiara katolicka nie jest związana z tą sporną kwestyą historyczną. Zwykła zaś wiara ludzka chce się oprzec na podstawach naukowych. Podanie historyczne nie jest jeszcze tradycyą apostolską Katolik nie powinien się w badaniach swych kierować sympatyami narodowemi. Dla Francuza może to być oczywiście słusznym powodem zadowolenia i chluby narodowej, gdyby mógł dowieść, że pierwotny Kościół paryski sięga

czasów apostolskich; jeżeli jednak ścisła metoda historyczna doprowadzi go do wyników przeciwnych, to nie uzna on owego podania historycznego i będzie pomimo to dobrym katolikiem.

Innowiercy wyobrażają sobie, że silna wiara katolicka przeszkadza swobodnym poszukiwaniom naukowym. Ale nauka ma swe metody badania, które w niczem nie krępują katolika. Katolik nie potrzebuje bynajmniej wyrzekać się swej wiary, przystępując do badania faktu naukowego; chodzi tylko o to, aby do argumentacyi swojej nie wciągał pewników wiary, aby walczył w obronie prawdy bronią zupełnie i wyłącznie naukową, a wówczas i przeciwnik, innowierczy lub bezwyznaniowy, zmuszony będzie ustąpić wobec dowodów ściśle rzeczowych. Warto przypomnieć, jak silnie i stanowczo określił Pius IX. swobodę, z którą badania naukowe mogą się rozwijać we właściwej im sferze. Mówiąc o filozofii, wyrzekł te pamiętne słowa: [1]

„Filozofia, tak, jak i inne nauki, ma prawo używać swych zasad, swej metody i wyników, do których dochodzi; prawo to może spełniać w ten sposób, żeby nie wciągała w swój zakres niczego, coby jej było obcem, albo czegoby nie nabyła sama na swej własnej drodze; *ita, ut nihil in se admitteret, quod non fuerit ab ipsa suis conditionibus acquisitum aut fuerit ipsi alienum*“. W kilka lat potem sobór watykański niemal temi samemi słowy określił swobodę badań naukowych: „Kościół bynajmniej nie zabrania, aby tego rodzaju nauki używały, każda w swym zakresie, własnych zasad i własnej metody“ [2].

Religia nie ma żadnego powodu krępować badań naukowych. Wszakże nie trzeba zdaje się przypominać, iż Kościół nie otrzymał od swego Boskiego założyciela żadnego objawienia co do właściwości ciał fizycznych, ani co do sposobu leczenia słabości organizmu fizycznego, ani co do odległości wzajemnej planet lub ich rozmiarów. Innemi słowy, ściśle się wyrażając, niema ani astronomii objawionej, ani objawionej chemii, fizyki, medycyny. Wszystkie te nauki rządzą się w swym zakresie własnemi prawami i metodą sobie właściwą, która w niczem od teologii nie zależy. W naukach zatem ścisłych należy zachować swobodę badania, należy przedewszystkiem wystrzegać się

---

[1] List apostolski *Gravissimas* z 11 grudnia 1862 r.

[2] „Nec sane Ecclesia vetat, ne huius modi disciplinae in suo quae que ambitu, propriis utantur principiis et propria methodo“. Decret. Conc. Vat. *De fide et ratione.*

tego, aby nie wiązać religii stanowczo z tym lub owym systemem, z tą lub ową teoryą osobistą i nie dostatecznie jeszcze stwierdzoną. Świetnie przemówił w obronie wolnego badania naukowego biskup Freppel przy zamknięciu kongresu paryskiego w 1891 r. „Nie, nie ścieśniajmy samowolnie pola wolności ludzkiej; strzeżmy się tego, aby biblię identyfikować z tym lub owym systemem kosmogonicznym, który nie miałby innej rękojmi, jak fakty podejrzane lub objaśnienia niepewne; nie róbmy religii wspólniczką teoryj całkiem subjektywnych.

„Nie zapominajmy nigdy, że nikomu nie wolno stawiać granic tam, gdzie Bóg i Kościół ich nie postawił; że nie należy chcieć rozstrzygać *a priori* kwestyj, które tylko doświadczenie może rozstrzygnąć; że nierozumnem byłoby używać prostej dedukcyi tam, gdzie badania faktów powinno uprzedzić rozumowanie; że sylogizm, będąc wybornem narzędziem w obronie prawd już poznanych, nie może być narzędziem zwyczajnem przy odkryciach; że wreszcie byłoby to metodą jałową dla nauki, a bardzo szkodliwą dla spraw wiary, chcieć za pomocą objawienia rozstrzygnąć i objaśnić problemy, które toż objawienie pozostawia całkiem badaniom rozumu ludzkiego".

Katolik nie ma najmniejszego powodu obawiać się, aby badanie prawdy przyrodzonej miało doprowadzić do wyniku sprzecznego z prawdą objawioną. Wiara i rozum nie mogą sobie przeczyć, gdyż, jak to już świetnie określił sobór watykański: „ten sam Bóg objawił tajemnice i udzielił wiary, tenże Bóg duch ludzki oświecił rozumem; Bóg sobie samemu przeczyć nie może, ani Prawda sprzeciwić się Prawdzie". Znakomity lekarz, dr. Lefebvre, profesor uniwersytetu w Lowanium i prezes kongresu brukselskiego, sformułował doskonale przekonanie uczonych katolików:

„Uważamy to za aksyomat, że ilekroć odkrycie jakie zdaje się przeczyć jakiejkolwiek prawdzie objawionej, natenczas albo odkrycie to jest niekompletne, albo też nie jest jeszcze wszechstronnie objaśnione".

Kongresy międzynarodowe uczonych katolików są tedy pożyteczne na zewnątrz i na wewnątrz; na zewnątrz, jako dowód poważny, że wiara katolicka z nauką ścisłą jest w zgodzie; na wewnątrz, jako przegląd międzynarodowych sił naukowych katolickich, wzajemne ich poznanie i zbratanie.

II.

Kongres fryburski był świetnym dowodem, że idea kongresów naukowych zapuszcza coraz głębsze korzenie w krajach katolickich.

Liczba zgłoszeń płatnych (po 10 franków od osoby) dosięgła poważnej cyfry 2800 i kilkadziesiąt uczestników. Było to już zapowiedzią, że strona finansowa przedsięwzięcia zupełnie jest zabezpieczona, że sprawozdanie z kongresu rozejdzie się najmniej w 3.000 egzemplarzy. Ale lękaliśmy się, że na kongres nie przybędzie wielu uczestników. Maleńki Fryburg, to nie Paryż ani Bruksela. Tam po żmudnych obradach kongresowych można było znaleść rozrywkę i wypoczynek dla umysłu w łatwy sposób, jakiego dostarczają wielkie miasta ze swemi muzeami, teatrami, koncertami i t. p. Ale Fryburg? Ten i ów mógł się obawiać, że nawet pokoiku wygodnego nie dostanie w miasteczku, które ma tylko cztery lepsze hotele. A jednak idea kongresu przezwyciężyła wszelkie obawy egoistyczne: 680 członków kongresu stanęło w olbrzymim pawilonie, który rząd fryburski umyślnie zakupił na zeszłorocznej wystawie genewskiej celem pomieszczenia przyzwoitego dla obrad kongresu. Na tę pokaźną liczbę 680 rzeczywistych uczestników kongresu złożyły się różne narodowości. Francya rej wodziła, jakby chcąc zaznaczyć, że kongresy naukowe z jej łona wyszły. Roiło się od duchowieństwa francuskiego. Liczniej, niż na poprzednich kongresach, stawili się Niemcy. Sporo było Belgijczyków i Hiszpanów, tudzież Włochów. Miłą niespodziankę zgotowali Irlandczycy i Amerykanie. Na poprzednich kongresach świecili nieobecnością, trochę niepewni przyjęcia na francuskim i belgijskim gruncie. Neutralna Szwajcarya i Fryburg z międzynarodowym uniwersytetem przyciągnęły wcale pokaźny zastęp z Irlandyi i Stanów Zjednoczonych. Nawet gromadka Węgrów zaznaczyła swą żywotność naukową na tym kongresie. Jedni Polacy bardzo nieliczni ginęli w tym odmęcie: *rari nantes in gurgite vasto!* Zapowiedzianych gości krakowskich zatrzymały przeróżne przeszkody. Polaków, profesorów uniwersytetu fryburskiego, niema co liczyć między gości. Z Warszawy był hr. Wiktor Sołtan, z Krakowa b. dziekan wydziału filozoficznego, prof. Wierzejski, z Litwy p. A. Wysłouch. Nie będę się tu wdawał w szczegółowy opis przebiegu kongresu. *Słowo* warszawskie i *Czas,* tudzież *Głos Narodu* (jeśli się nie mylę) wyprzedziły mię pod tym względem. Raczej podam kilka ogólnych spostrzeżeń, jakie wyniosłem z porównania kongresów paryskiego (1891) i brukselskiego (1894) z ostatnim fryburskim.

W myśli organizatorów poprzednich kongresów było najspieszniejsze, o ile możności, urzeczywistnienie epitetu: „międzynarodowy". Po dwukrotnym kongresie paryskim należało opuścić Francyę; ale należało także liczyć się z drażliwością narodową Francuzów i nie można

było kongresu przenieść od razu do Niemiec. Zrozumiano to dobrze w Niemczech katolickich i zgodzono się na Brukselę. Ale pokazało się, że na kongres brukselski przybyło stosunkowo niewiele więcej Niemców, niż do Paryża. Najwidoczniej język francuski, wyłącznie dotychczas na kongresach naszych używany, był pewnym hamulcem dla uczonych niemieckich, niezbyt w tym języku biegłych. Bardzo zatem pomyślnym faktem dla dalszego rozwoju kongresów było przeniesienie jego z Brukseli, nie wprost do Niemiec ale do Fryburga w Szwajcaryi, gdzie oba języki: francuski i niemiecki, są urzędowymi w kantonie i uniwersytecie, gdzie zatem obie narodowości, będące filarami kongresów naukowych katolickich, mogły być pewne, że obrady i dyskusye prowadzić się będą w obu językach. Fryburg uważano w Brukseli za doskonały pomost dla kongresu przyszłego w Niemczech, np. w Monachium. Nadzieje te Fryburg w zupełności urzeczywistnił; najdoskonalsza harmonia panowała między katolikami Francuzami i Niemcami, a wybór barona Hertlinga, profesora filozofii w uniwersytecie monachijskim, na generalnego prezesa kongresu fryburskiego, powitany został grzmiącymi oklaskami Francuzów.

Stosownie do zwyczaju, panującego na poprzednich kongresach, program ogólny obrad był następujący. Po pierwszem ogólnem zebraniu (w poniedziałek 16 sierpnia po południu), na którem biskup lozańsko-genewski, rezydujący we Fryburgu, ks. Deruaz, jako honorowy prezes kongresu, powitał zgromadzonych uczestników, zatwierdzono propozycye komisyi organizacyjnej co do składu zarządu kongresu, jakoteż poszczególnych jego sekcyj. Nazajutrz, po wczesnej Mszy św. rozpoczęły się odczyty i dyskusye nad nimi w poszczególnych sekcyach. Sekcye te wzrastały na każdym kongresie, w miarę tego, jak wzrastały liczby prac z przeróżnych gałęzi wiedzy ludzkiej. Już na kongresie brukselskim mieliśmy dziewięć sekcyj: 1) nauk religijnych, 2) nauk egzegetycznych, 3) nauk filozoficznych, 4) prawno-społecznych, 5) historycznych, 6) filologicznych, 7) matematyczno-przyrodniczych, 8) antropologii, 9) sztuki chrześcijańskiej. — Na życzenie jednego z uniwersytetów katolickich francuskich, utworzono we Fryburgu jeszcze jednę, 10-tą sekcyę: medycyny i biologii. Każda z wymienionych sekcyj miała we Fryburgu podostatkiem materyału do dyskusyi, zgłoszono bowiem ogółem dwieście pięćdziesiąt referatów. — Codziennie między 11 a 1 godziną ustawały prace sekcyjne, a członkowie wszystkich sekcyj schodzili się na zebranie wspólne *(assemblée générale)*, gdzie dawano kolejno głos obecnym na kongresie

biskupom i najznakomitszym przedstawicielom nauki, którzy wygłaszali odczyty treści ogólnej, mogące wszystkich zainteresować. Przemawiali na zebraniach ogólnych biskupi: Egger z Sanct-Gallen, Turinaz z Nancy i koadjutor koloński ks. Schmitz; nadto członek instytutu francuskiego de Lapparent (o teoryi powstawania lodowców), G. Kurth, profesor z Liège, (o nazwie i istocie średniowiecza), Hertling (o podstawie filozoficznej w badaniach przyrodniczych), de Kirwan (o ewolucyi poznania od najniższych organizmów zwierzęcych począwszy), O. Blötzer T. J.: o życiu i zasługach błog. Kanizyusza, O. Berthier O. S. D.: o sztukach pięknych we Fryburgu, dr. Decurtins: o stosunku Kościoła do uniwersytetu w dawnych wiekach. — Z wymienionych odczytów najwykwintniejszą formą odznaczał się odczyt p. de Lapparent, o lodowcach, a dowcipną a zarazem naukową treścią wykład Kurtha na temat: „co to są średnie wieki?“ Niezmordowany badacz, który lat 25 poświęcił studyom średnich wieków, pouczył nas, że ostatecznie niema żadnych średnich wieków, że przez fałszywą analogię przeniesiono nazwę łaciny pewnego okresu dziejów *(media latinitas)* na sam ten okres dziejów *(medium aevum)*, że jednak w istocie samej tak zwane średnie wieki nie są bynajmniej jakimś nawiasem cywilizacyjnym między pogaństwem a rzekomem tegoż pogaństwa odrodzeniem, ale że są owszem początkiem nowej ery chrześcijańskiej, nigdy nieprzerwanej, której my dziś jesteśmy kontynuatorami. Odczytowi Kurtha zarzuciłbym tylko jedno: prelegent zamało mówił o treści dorobku cywilizacyjnego w t. zw. średnich wiekach i niedostatecznie uwydatnił powody wzrostu humanizmu w XV. wieku, który bądź co bądź tak na wskróś pogańskim nie był, skoro bierze początek od Petrarki i Eneasza Silvio Piccolomini (późniejszego Piusa II.) a dochodzi do tego, że hołdują mu Nidecki, Hosius i — *las not least:* Sarbiewski!

Ale niepodobieństwem jest wchodzić na tem miejscu w szczegóły odczytów tak poważnych, a tem mniej stosownem byłoby streszczać ożywione dyskusye, jakie odbywały się w poszczególnych sekcyach. Najważniejsze odczyty oddrukowane będą w całości, mniej ważne w streszczeniu; również i przebieg dyskusyj podany będzie dokładnie w sprawozdaniu, które zapewne wypełni dziesięć tomów (stosownie do dziesięciu sekcyj), wnosząc z tego, że kongres brukselski, na którym o jakie sto referatów było mniej, niż we Fryburgu, ogłosił dziewięć pokaźnych tomów. W porównaniu z brukselskim kongresem jedno zwracało uwagę: tam sekcya filozoficzna najwięcej nęciła słuchaczów i najciekawsze wywołała dyskusye — tutaj zaś sala filozoficznej sekcyi

wprawdzie zawsze była przepełnioną, ale największą salę musiano już w drugim dniu kongresu wyznaczyć dla sekcyi prawno-społecznej. Tematy ekonomiczno-socyologiczne najwięcej we Fryburgu zgromadzały słuchaczów i sekcya ta stanowczo tutaj rej wodziła. Być może, że przyczyniła się do tego następująca okoliczność: Zaraz w pierwszym dniu kongresu mówił w tej sekcyi prof. Toniolo z Pizy o ustroju dawnej rzeczypospolitej weneckiej, przyczem ubocznie tylko poruszył kwestyę demokracyi chrześcijańskiej. W dyskusyi zabrał głos ks. biskup Turinaz (Nancy) i wyraził się, że dla niego pojęcie demokracyi chrześcijańskiej jest niezrozumiałe, że w ostatnich czasach papież Leon XIII. wypowiedział wobec kilku biskupów francuskich swe obawy wobec skrajnych kierunków, jakim niektórzy demokraci katolicy hołdują. Odpowiedział zaraz biskupowi z Nancy znany socyolog szwajcarski, dr. Decurtins, przemawiając w obronie demokracyi katolickiej i przeciwstawiając twierdzeniom biskupa Turinaz własne swe wrażenia, wyniesione z rozmowy z Ojcem św., tudzież encyklikę *Rerum novarum*. Zdaje się, że w ogniu dyskusyi, zresztą całkiem parlamentarnej, obaj mowcy mieli poniekąd racyę: biskup Turinaz, kiedy twierdził, że niektóre nowsze objawy przesadne katolików-socyologów napełniają obawą Ojca św. tak, że chce im podobno dać wyraz w osobnej encyklice — i dr. Decurtins, kiedy powoływał się na znaną przychylność Leona XIII. dla klasy roboczej i jego usilne starania, aby krzywdy społeczne złagodzić miłosierdziem chrześcijańskiem i sprawiedliwem prawodawstwem. To starcie się naukowe dwu znanych w świecie katolickim osobistości, stało się wypadkiem głośnym na kongresie i ściągnęło do sali sekcyi prawno-społecznej setki słuchaczów, tak, że w końcu panował tam ścisk nadzwyczajny. Niemniej ożywione dyskusye wywołał w tejże sekcyi odczyt d-ra E. Duthoit, profesora uniwersytetu katolickiego w Lille: „O prawie wyborczem w Holandyi i w Austryi". Prelegent oświadczył się przeciw powszechnemu prawu wyborczemu, ale wywody jego natrafiły na silną krytykę Szwajcarów: d-ra Decurtinsa i Jerzego Pythona, założycieli uniwersytetu fryburskiego. Ci dwaj, zawdzięczając niejeden sukces polityczny obowiązującemu w Szwajcaryi powszechnemu prawu wyborczemu, są jego bezwzględnymi zwolennikami, przyczem zdają się jednak zapominać, że nie wszystkie kraje w Europie dojrzały jednakowo do bezpośrednich powszechnych wyborów i że to, co dobre dla Szwajcaryi i wypróbowane od wieków, nie może być od razu narzucone innym krajom, ale powinno się tam stopniowo i organicznie wyłonić z potrzeb społeczeństwa.

Mógłbym z każdej sekcyi przytoczyć próbki podobnie interesujących, nieraz bardzo ważnych odczytów i dyskusyj. Ale brak miejsca nie pozwala na to. Skoro sprawozdanie z kongresu fryburskiego wyjdzie z druku (co jednakże ze względu na ogrom materyału zapewne za jakie 10 miesięcy dopiero nastąpi), każdy będzie mógł przyjrzeć się szczegółowo sekcyi, która go specyalnie interesuje; każdy nieuprzedzony będzie zmuszony wyznać, że kongres fryburski zostawi po sobie trwałe i poważne w nauce ślady.

III.

W piątek 20 go sierpnia przewodniczący kongresu, baron Hertling zamknął jego obrady, a biskupi zgromadzeni na ostatniem posiedzeniu wspólnem udzielili 680 uczonym swego błogosławieństwa. Po tem urzędowem zakończeniu obradowało jeszcze nieliczne grono kilkunastu członków t. zw. komisyi stałej kongresu *(Comité de permanence)*. Jest to wydział, który czuwa nad istnieniem kongresów i normuje ich rozwój wewnętrzny. Do tej komisyi należą z Polaków: O. Pawlicki, C. R. i niżej podpisany. Wprawdzie obrady tej komisyi nie są zwykle ogłaszane w pismach, ale skoro nie zastrzeżono nigdzie ich tajności, mniemam, że wolno mi podzielić się z czytelnikami *Przeglądu Powszechnego* kilku bodaj szczegółami ogólniejszej natury. Komisya stała korzysta z doświadczenia, nabytego na każdorazowym kongresie, i stara się o ile możności, ulepszyć instytucyę kongresową. I tak np. na poprzednich kongresach. przyjęto za zasadę, że w rozprawach i dyskusyach obowiązuje wyłącznie język francuski. Praktyka fryburska dowiodła, że stawianie tej wyłączności i wprowadzenie języka niemieckiego do obrad wpłynęło dodatnio na ożywienie kongresu. Na przyszłość postanowiono: że obok języka francuskiego uznany jest za urzędowy język tego kraju, w którym kongres obraduje. Dotychczas rozstrzygało o miejscu następnego kongresu zgromadzenie ogólne członków. We Fryburgu przekonano się, że w praktyce trudno zawsze być pewnym jednomyślności, a dyskusye na tem polu mogą być często niemiłe. Tak np. jeszcze w Brukselli postanowiono, że po Fryburgu przyjdzie kolej na Monachium, aby uwzględnić słuszne życzenia Niemiec katolickich. Tymczasem na zebraniu fryburskiem mającem tę rzecz zadecydować, wstaje ktoś i oznajmia, że jest upoważniony (ustnie, nie pisemnie) przez kardynała Jacobini, aby zaprosić kongres na r. 1900 do Rzymu. Wszczyna się dyskusya. Serce ciągnie do Rzymu, rozum przemawia za Monachium. Dzięki roztropnym przemówieniom takich

powag na kongresie, jak O. Pisani, prof. Kurth, prof. Toniolo, ostatecznie uchwalono zebrać się na przyszłym kongresie w Monachium. Komisya stała, aby usunąć na przyszłość trudności, mogące wyniknąć z rozstrzelenia głosów, uchwaliła, że sama będzie rozstrzygać o wyborze miejsca na kongres. Prof. Kurth poruszył w komisyi stałej ważną kwestyę. Wobec wzrastającej z każdym kongresem liczby odczytów, należy przyznać komisyi organizacyjnej prawo zadecydowania, które z odczytów nadesłanych mają być odczytane i które mają uledz dyskusyi. Jest faktem, że mnóstwo odczytów w sekcyi historycznej lub filologicznej nie nadawało się całkiem do dyskusyi; takie odczyty będą bądź w całości, bądź w streszczeniu wydrukowane w sprawozdaniu, ale nie mogą zabierać czasu na kongresie. Prof. Mansion (znakomity matematyk z Gandawy) zastrzegł imieniem przyrodników, aby na przyszłość referaty z chemii, fizyki i t. d., o ile przynoszą nowe, nieznane odkrycia, były bezwłocznie w streszczeniu ogłaszane. Tym sposobem uczeni chcą sobie zastrzedz prawo pierwszeństwa w odkryciach naukowych. Poruszono wreszcie jednę jeszcze ważną sprawę: jest pożądanem, aby nadal zapowiadano zawczasu kilka bodaj ogólnych, powszechnie interesujących kwestyj naukowych, które mają być przedyskutowane na kongresie. Komisya organizująca powierzy jednemu z uczonych wszechstronne, przedmiotowe opracowanie takiej kwestyi i przedstawienie najnowszego stanu tejże na kongresie. Uczestnicy będą mogli wcześnie przygotować się na dyskusyę, która tym sposobem pogłębi się i będzie gruntowniejszą od dorywczych zarzutów i obron. Zastrzeżono jednak, że nie chodzi bynajmniej o nadanie przez to obradom cech apologetycznych.

Kongres monachijski miał się odbyć według dotychczasowych zwyczajów za trzy lata, tj. w r. 1900. Na życzenie Francuzów, objawione komisyi stałej, musiano odroczyć kongres do r. 1901 z powodu przypadającej na r. 1900 wystawy światowej w Paryżu.

Rozstawano się po kongresie fryburskim w podniosłym nastroju ducha. Przez kilka dni żyliśmy w idealnej sferze nauki i braterstwa, nieznającego, co to granice językowe i polityczne; Francuz podziwiał gruntowność Niemca, Holandczyk zachwycał się wymową i dowcipem Włocha, Hiszpan dziwił się śmiałości poglądów Amerykana i Szwajcara, a Polak cieszył się, że jest członkiem tej olbrzymiej żywotnej rodziny, której sędziwa głowa tam — w Rzymie, w stolicy Piotrowej. Kongresy naukowe katolickie zaspokajają potrzeby rozumu i serca. W tem ich racya bytu i siła.

Józef Kallenbach.

Auri sacra fames.

Po odkryciu złota w Kalifornii, za pamięci ojców naszych, i nie słychanym szale, który niezliczone tysiące ludzi ze wszystkich części świata, z narażeniem zdrowia i życia, tam zaganiał — po powtórzeniu się za naszych czasów podobnych odkryć i podobnego szału w Australii, w Afryce i t. d., zdawałoby się, że w tym rodzaju już nic nowego być nie może, że już ludzie troszeczkę wytrzeźwieli i doświadczeniem poprzedników pouczeni, wywiedzą się najprzód (dziś tak łatwo się wywiedzieć!) czy i w jakich warunkach można tam żyć, jakich potrzeba środków, by to złoto wydobywać — i nie będą się już rzucać na oślep, jak ćmy w ognisko. Tymczasem pokazało się, że dawne doświadczenia niczego nie nauczyły i że dzisiejsze środki komunikacyjne posłużyły tylko do rozniecenia prędzej i szerzej tej szalonej, zapamiętałej żądzy złota i do ściągnięcia więcej ofiar na miejsce, gdzie ich czeka niechybna zguba.

Rzeka Yukon przepływa przez Kolumbię angielską, należącą obecnie do Kanady, następnie przez Alaskę i wpada do morza Lodowatego. Na samym północnym krańcu Kolumbii wpływają do Yukon dorzecza, głównie Klondike, które złoty piasek toczą. Już od kilku lat eksploatowano to złoto na małą skalę, lecz w ostatnich miesiącach rozeszła się błyskawicą po świecie wieść o niesłychanem bogactwie tego piasku. W lecie, kiedy lody puściły, jeden robotnik przemywając ten piasek może zyskać do 12.000 dolarów dziennie, w zimie wyrębują bryły zamarzniętego piasku i ustawiają w stosy, które przy odwilży wydadzą nieprzebraną moc złota. Pod piaskiem tak bogatym jest jeszcze bogatsza skała: kwarc z żyłami złota, którego jedna tona wydaje więcej niż 100 dolarów. Ale żeby tę skałę należycie wyzyskać, trzeba odpowiednich narzędzi i maszyn, podczas gdy piasek każdy może ręcznie przemywać. Wiadomości takie nietylko przez reporterów gazeciarskich są rozgłaszane, ale znajdują urzędowe potwierdzenia. Rządy Kanady i Stanów Zjednoczonych już tam wysłały swych komisarzy, którzy jednakowo o niesłychanem bogactwie tych pokładów świadczą.

Ale jest też odwrotna strona. Miejsce, gdzie się to złoto znajduje, należy do strefy polarnej, ledwo przez trzy miesiące w roku jest wolne od lodów, a skoro lody wracają, termometr prędko spada do -40^0, -50 a nawet -60^0. Mimo wszelkich dotychczasowych wysi-

leń, na miejscu niema żadnych nagromadzonych żywności, żadnych schronień, któreby się mogły oprzeć szalonym wichrom północnym. Jeszcze trudniejszem od utrzymania się na miejscu jest dostanie się do tegoż miejsca; oprócz podróży morskiej, długiej i bardzo niebezpiecznej, trzeba jeszcze 6 do 10 tygodni wędrować po lądzie, ślizgać się po lodowcach, wpadać w szczeliny, słowem walczyć z warunkami, o których tylko ci mają prawdziwe wyobrażenie, którzy do bieguna podróżowali. Zdawałoby się, że angielskie puszki z konserwami wielkiemu brakowi zapobiegną; tymczasem gdzież tam! Jednemu Anglikowi jeszcze na szalupie przed wylądowaniem cały zapas puszek uszkodzony został, drugiemu leniwi tragarze tamtejsi w połowie drogi wszystko na jednem wzgórzu zostawili i uciekli; jeden i drugi ledwo nieledwo od śmierci głodowej się uratował. Zatem idzie, że żywność w Klondike dochodzi do szalonej drożyzny, a przytem jest tak nędzna i tak zepsuta, że nieraz psy, których tam do zaprzęgu używają, nie chcą jeść tego, co ludzie jedzą, i trzeba tę żywność daleko od mieszkań ludzkich przygotowywać — taki od gotowania powstaje fetor.

Rząd kanadyjski o tych trudnościach lojalnie ostrzega, zaklina tych, którzy chcą jechać, aby poczekali z rok, ażby można utorować drogi, umożliwić dowóz żywności i t. d. — ale wszystko darmo. Niepohamowana gorączka złota szaleje i w chwili, kiedy to piszemy, niezliczone mnóstwo ludzi z Europy, z Australii, z Kanady, a najwięcej ze Stanów Zjednoczonych, wszystkiemi drogami — lądem i morzem — a gdy okrętów nie stać to czółnami, do tego polarnego raju rwie się, pędzi. Z New-Yorku, z San Francisco donoszą, że wszystkie możliwe okręta są już na ten cel użyte albo z góry zamówione; każdy pociąg co przychodzi z południa, ze wschodu lub zachodu, jest przepełniony poszukiwaczami złota. W różnych innych miejscach po drodze do Kolumbii angielskiej, powstały już całe obozy czekających na dalsze środki przewozowe i zdobywających choćby gwałtem nadchodzące pociągi lub statki. Zdarza się, że w braku statków parowe szalupy, przeznaczone na 20 ludzi, znajdują się nagle obarczone 60-ma i puszczają się w daleką podróż między lody. Ludzie ci tak głusi są na wszelkie przestrogi, i tak mało mają wyobrażenia o kraju, do którego jadą, że między ich podróżnymi pakunkami znajdują się i bicykle! Zdaje się rzeczą niemożliwą, aby to mnóstwo ludzi wiozło ze sobą, albo żeby im ktokolwiek dowiózł niezbędną ilość żywności. Więc choćby szczęśliwie na miejscu stanęli, i od zimna i od wszystkich innych niebezpieczeństw cudem się uchronili, to jeszcze ich czeka straszny pomór

głodowy i wszystkie okropności, które przy braku społecznych karbów takiemu pomorowi towarzyszą. Nie dosyć na tem: ponieważ ogromną większość napływających poszukiwaczy złota stanowią butni Yankesi, ci pewno odmówią i już poczynają odmawiać wysokich opłat, jakie rząd kanadyjski za koncesye sobie płacić każe. Stąd krwawe starcia przewidzieć można między tą ludnością a szczupłą siłą zbrojną, jaką tam rząd kanadyjski wysłał dla utrzymania porządku. Jest też do przewidzenia możliwy zatarg między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą i Anglią, którego następstw obliczyć nie można, bo tu idzie o złoto, którego państwa nie mniej są chciwe niż jednostki.

Cokolwiekbądź nastąpi, cały ten szalony gminoruch ku biegunowi jest smutnym okazem i dowodem zmateryalizowania na szeroką skalę dzisiejszej ludzkości. W XI. wieku na głos Piotra z Amiens rwały się z całej Europy tłumy do Ziemi św., aby grób Chrystusa wyzwolić. Był to także szał niewyrozumowany, ale do idealnego celu porywający. Dziś wieść o złocie jeszcze liczniejsze porusza tłumy, bardziej na oślep je prowadzi, cięższych wymaga od nich ofiar. I oby im nie przyszło powymierać z zimna i głodu — tuż przy kupach złota przez siebie usypanych!

Ks. M. M.

Druk ukończono 29 września 1897 r.

STREJK WOBEC ETYKI.

Wielkich zagadnień ekonomiczno-socyalnych, jakie nam przyniósł ze sobą rozwój dziejowy, niepodobna należycie ocenić ani pod ciasnym kątem widzenia interesów jednej warstwy społecznej, ani pod wpływem świeżych i niezrównoważonych prądów chwili. Większym jeszcze byłoby błędem, chcieć je traktować ze stanowiska tej ekonomii, do niedawna wszechwładnej, która zasklepiwszy się w jednostronnym materyalizmie, upatrywała w zjawiskach ekonomicznych, nie wynik wolnej i odpowiedzialnej działalności człowieka, ale konieczny jakiś wytwór ślepych sił naturalnych, działających wedle stałych praw z nieubłaganym fatalizmem — i skutkiem tego nie była zdolną dostrzedz ani moralnej strony tych zjawisk ani społecznej.

Chcąc w ocenianiu zawiłych objawów dzisiejszego przesilenia społecznego znaleść właściwą miarę i oryentacyę, wznieść się trzeba koniecznie na wyższe i pewniejsze stanowisko, któreby z jednej strony dawało silny punkt oparcia, z drugiej otwierało widok na całość spraw ogólno-ludzkich, i co za tem idzie, pozwalało każdą z danych kwestyj objąć nietylko samą w sobie, ale w jej różnorodnych rozgałęzieniach i relacyach.

Nie ulega wątpliwości, że taki wyższy punkt widzenia daje filozofia, w pierwszym rzędzie etyka. Sferę wolnego działania ludzkiego bada ona w świetle wielkich zadań i celów, do których pracą wieków zdążać ma ludzkość i wysnuwa stąd szereg podstawniczych, najbardziej ogólnych praw, które zawsze do-

stępne i proste, jak wszystkie wielkie prawdy, zawsze te same i niezmienne, jak niezmienną jest w swej istocie i celach ludzka natura, rządzić mają życiem zarówno jednostek, jak i społeczeństw w tysiącznych jego przejawach i fazach.

Jako taka ma etyka niezaprzeczone prawo być nietylko mistrzynią życia i czynów, ale też punktem wyjścia i podstawą każdej nauki, która się zajmuje działaniem człowieka.

To prawo etyki uznawane było powszechnie wówczas, kiedy na polu prac ducha ludzkiego panowała pod wpływem średniowiecznej filozofii ścisła spójnia, która mimo skromnego dorobku naukowego tamtych czasów imponowała i po dziś dzień imponuje jeszcze umysłom, jak stare budowle gotyckie harmonijną jednolitością szczegółów i daleką perspektywą swoich przestrzeni.

Potem przyszedł czas, w którym równowagę i jednolitość, cechującą średniowieczne dzieła i ludzi zwichnięto naprzód w duszach, potem w nauce i życiu. Rzucono hasło wyzwolenia i usamowolnienia nauk. W ślad za niem nauki społeczne i prawne opuściły wspólny dotychczas im wszystkim grunt — etykę, i poczęły z pewnym gorączkowym pośpiechem szukać nowych podstaw, zasklepiając się każda w sobie, jako odrębna, zamknięta całość. Z początku nie zdawano sobie sprawy, do jakich następstw musi ten rozdział w przyszłości doprowadzić — i rzucono się z zapałem do bardzo intenzywnej pracy, zwłaszcza na polu badań pozytywnych. Nowe teorye i systemy pojawiały się co chwila, a zasób naukowych szczegółów tak kolosalnie wzrastał, że wobec jego ogromu koniecznym się stawał coraz dalej idący podział nauk i zakreślanie każdej coraz ciaśniejszych granic.

Ale w miarę jak ten rozwój postępował, zaczęły się odsłaniać różne niedogodności i braki. Poszczególne gałęzie wiedzy specyalizując się coraz bardziej, coraz też bardziej od siebie się oddalały, zatracając wszelki ze sobą kontakt i porozumienie. Pozytywny kierunek badań, niejednokrotnie ciasny i przeceniany nad miarę, absorbując olbrzymią ilość czasu i sił na prace drugorzędne, nieraz drobiazgowe, przesłaniał tem samem szersze horyzonty wiedzy i życia, a najistotniejsze zadania nauki — uogól-

nienia i wnioski — ignorował lub spychał na plan ostatni[1]. To też wśród olbrzymiego, pracą kilku pokoleń nagromadzonego materyału naukowego i wzniesionych na nim różnorodnych, nieraz sprzecznych teoryj, błąkał się umysł ludzki jak po zawrotnym, olśniewającym labiryncie, nie znajdując wkoło siebie żadnej nici przewodniej a tracąc co moment oryentacyę. Głębsze umysły odczuwały raz po raz potrzebę uogólnienia badań, zestawienia z sobą ostatecznych wyników pokrewnych umiejętności — ale raz po raz spostrzegano się, że tego rodzaju próby nie mogą się udać, że do tej pracy brakuje wszelkich wspólnych podstaw, bo dawne odrzucono, a nowych nie stworzono.

Bywało jeszcze gorzej. Zdarzało się, że ta lub owa z nauk odbywszy już długą i pracowitą drogę, spostrzegała się pod jej koniec, iż wyszła z błędnego założenia, i że znowu powrócić jej trzeba do samych początków i poddać krytyce podstawnicze swe prawdy, swoje kryterya, swoją metodę.

Tak było między innemi z ekonomią.

Jakkolwiek między naukami jedna z najmłodszych, uchodziła ekonomia do niedawna za arcydzieło myśli ludzkiej, skończone i doskonałe w części swej teoretycznej. Podstawy, jakie pod nią położył fizyokratyzm, a które później rozszerzyli i w system ogólnych praw ujęli Smith i Ricardo, uważane były za niewzruszalne pewniki, posiadające taką samą nieomal konieczność jak prawa mechaniki, lub jak formuły matematyczne. Szkołę, która z nich wyrosła, nazwano dumnie liberalną albo klasyczną, i na jej powadze oparto nietylko wszystkie prace naukowe pierwszej połowy bieżącego wieku, ale też cały szereg urządzeń ekonomiczno-społecznych, spodziewając się stworzyć tą drogą nową erę postępu i kultury, niebywałego dobrobytu i idealnej harmonii gospodarczych stosunków.

Życie atoli, które umie mścić się dotkliwie na narzuconych sobie teoryach, zbyt prędko, niestety, rozwiać miało te różowe nadzieje dosadną wymową faktów. Jednostronny i w żadne nieujęty karby indywidualizm okazał się w praktyce czynnikiem

[1] Por. mowę A. Mengera w *Zukunft*, IV Jahrg., nr. VI, str. 265.

nie harmonii społecznej, ale rozstroju, a „wolna gra sił“ zamiast wytworzyć równowagę ekonomiczną, zwichnęła ją do reszty, wynosząc na wyżyny nieliczne jednostki kosztem szerokich mas, strąconych w stan twardej zależności lub w przepaść nędzy. To mówiło życie! W ślad za niem poszła nauka, która poddawszy wszechstronnej krytyce same podstawy doktryny klasycznej, poodkrywała w nich liczne błędy i poczęła usuwać jednę po drugiej. „Najpierw zaczepiono... teoryę wolnej konkurencyi, następnie przyszła kolej na prawo podaży i popytu, wartość, procent od kapitału i rentę gruntową; burzeniu zasad dawnych, a tworzeniu nowych niema końca“ [1].

Z początku chciano tylko poprawiać i uzupełniać; wkrótce jednak spostrzeżono się, że ta praca jest niewdzięczną i bezcelową. Poczęło rozpowszechniać się zdanie, że cała teorya klasyczna, śmiała i genialna jako przedsięwzięcie, była w gruncie rzeczy jedną wielką omyłką, której nie można naprawić, jak tylko kładąc nowe fundamenta i wznosząc na nich nową naukową konstrukcyę.

Przeświadczenie to staje się w nauce coraz bardziej powszechnem [2] a odnośne prace są właśnie w toku. Co nas jednak bliżej jeszcze obchodzi, pracom tym w wielkiej ich części towarzyszy przekonanie, że w budowę fundamentów pod nową teoryę ekonomiczną koniecznie wciągniętym być winien podkład zasadniczych prawd etycznych. Coraz bardziej ustala się pogląd, że jedną z głównych przyczyn, dla których zbankrutować musiała szkoła klasyczna, było właśnie zerwanie z etyką, wynikające z błędnego zapatrywania, że dziedzina ekonomii rządzona szeregiem koniecznych i naturalnych praw, nic nie ma wspólnego z porządkiem moralnym, podobnie jak prawo ciążenia lub jak opady atmosferyczne. Poważni pisarze z nowszych obozów ekonomicznych otwarcie już wychodzą z założenia, że między etyką a ekonomią nie może zachodzić żadna istotna sprzecz-

---

[1] Wł. Czerkawski, *Wielkie gospodarstwa,* str. 1.

[2] Por. między innemi: Knies, *Die polit. Oekonomie.* (1893) str. 294. Wagner, *Grundlegung.* 1. Theil (1892), str. 5.

ność, i że zrealizowanie wzniosłych postulatów etycznych w życiu gospodarczem narodów powinno być celem, do którego zdążać mają nauki ekonomiczne. Poglądy te i dążności zdobyły już sobie tak szerokie koła zwolenników, że pisarz tej miary co Schönberg nie waha się twierdzić, że w nich właśnie upatrywać należy doniosły znak czasu i jedną z cech charakterystycznych nowożytnej ekonomii[1].

Nie chcę tu wchodzić w pytanie, o ile zwrot ten ku etyce jest całkowity, i czy dość konsekwentnie przeprowadza się go w poszczególnych partyach dzisiejszej teoryi ekonomicznej; nie podnoszę też drugiej, bardzo doniosłej kwestyi, jaką jest owa etyka, z którą dzisiejsi ekonomiści chcą wejść w porozumienie, a o której nieraz dość mglisto się wyrażają — konstatuję tylko, że zwrot ten istnieje, i że stał się poniekąd hasłem dnia. Nie powinien on być obojętnym i dla etyki. Sądzę, że leży w jej własnym interesie zdać sobie sprawę z ważności chwili i wyzyskać ją, zbliżając się nawzajem ku ekonomii. Nie w tem znaczeniu, żeby robić ustępstwa i wchodzić w kompromisy, bo tych etyka zawierać nie może, a ekonomia nie żąda, ale w celu obustronnego porozumienia się i zgodnego współpracownictwa nad szeregiem zawiłych dzisiejszych kwestyj, które każda z nich słusznie uważa za swoje.

Że ekonomia z onego zbliżenia się odnieść może doniosłe pożytki, z tego ona sama zdaje sobie sprawę, jak zaznaczyliśmy powyżej. Ale nawzajem i etyka spożytkowując do swych celów nagromadzony przez ekonomię materyał, wejdzie z jednej strony w ściślejszy kontakt z życiem i najnowszemi jego potrzebami, z drugiej na poparcie swoich twierdzeń i wniosków znajdzie szereg nowych, pozytywnych, z życia zaczerpniętych dowodów.

I.

Polem do tego rodzaju zetknięcia się etyki z ekonomią są w pierwszym rzędzie kwestye ogólne, w których chodzi o teoretyczne podstawy ekonomii i naczelne zasady organizacyi spo-

[1] Schönberg, *Handbuch der pol. Oekonomie.* I. Band, 4 Auflage (1896), str. 1, 16, 17, 63—65. Wagner, *Grundlegung.* I Theil, str. 808.

łecznej. Obok nich jednak niemniej żywy budzą interes pewne szczegółowe zjawiska społeczne, które wyrósłszy na gruncie ekonomicznym, równocześnie jednak wciskają się głęboko w sferę etyki i prawa. Stanowią one nawet temat poniekąd aktualniejszy, bo odrazu przenoszą dyskusyę na ruchliwą widownię życia, na której wśród krzyżujących się prądów i panującego zamięszania pojęć najbardziej może odczuwa się dziś potrzebę norm i drogoskazów etycznych.

Jednem z takich społeczno-ekonomicznych zjawisk, które w ostatnich czasach nabrało pierwszorzędnej doniosłości, a którego aktualność z dniem niemal każdym wzrasta, jest bez wątpienia nowożytny strejk.

Zjawisko to nie jest właściwie nowe. Nie wspominając już o okresie gospodarczym, opartym na niewolnictwie, ruchy podobne spotykamy raz po raz w średniowiecznym przemyśle za czasów organizacyi cechowej. Średniowieczne jednak strejki różnią się od dzisiejszych pod wieloma względami; przedewszystkiem różnią się tem, że źródło ich nie leży w zasadniczych brakach ówczesnego ustroju gospodarczego. Organizacya cechowa, która wyrosła z chrześcijańskiej zasady, że materyalna praca człowieka ma swoją osobną godność i doniosłą zasługę, że zatem należy jej się nietylko ochrona i zapewnienie bytu, ale szczery szacunek i pokaźne miejsce w społeczeństwie, była systemem gospodarczym na owe czasy i stosunki świetnym i „w epoce swego rozkwitu aż po wiek XVI. postawiła przemysłowego robotnika na takim stopniu dobrobytu, jakiemu równego, w takiej przynajmniej rozciągłości, prawie nie spotykamy w historyi“ (Schönberg). Naukowy socyalizm, chcąc dowieść ulubionej swej tezy o wiecznej walce klas, dopatruje się już w tym okresie zasadniczych antagonizmów między majstrem a czeladnikiem; sumienne jednak badania historyczne wykazują, że takie antagonizmy nie istniały. Nie przeczymy, że i w cechach ówczesnych zdarzały się przykłady nadużyć ze strony majstrów, są one jednak rzadkie i wyjątkowe, pochodzą nie z winy samego systemu cechowego, jako takiego, ale z ominięcia lub przekroczenia jego przepisów w poszczególnych przypadkach; odrywać je od związku

z całością i na ich podstawie wydawać sąd o całej epoce i systemie, znaczy to konstruować historyę *a priori* i naciągać fakta do postawionych z góry poglądów. Jak średniowieczny majster cechowy nie był kapitalistycznym przedsiębiorcą w dzisiejszem słowa znaczeniu, tak też i jego czeladnik dostatnio żywiony, dobrze opłacany, zazwyczaj butny, później zorganizowany w silne i nieskore do ustępstw związki, nie bywał stroną ekonomicznie upośledzoną, i śmiesznemby było wyobrażać go sobie jako ofiarę dławioną w krwiożerczych szponach kapitalizmu. To też i strejki cechowe w owych czasach nie są walkami o chleb i życie. Jeżeli wogóle jakieś ekonomiczne motywa wchodzą w nich w grę, będą to niejednokrotnie zbyt wygórowane żądania nie lubiących poprzestawać na małem czeladników i knechtów cechowych [1], w najgorszym zaś razie wyjątkowa jakaś niesumienność jednego lub kilku majstrów. Niemniej charakterystyczną jest okoliczność, że znaczna część średniowiecznych strejków wybucha w tych właśnie cechach, które odbiegając od powszechnego wówczas typu, zbliżają się bardziej do formy dzisiejszych wielkich przedsiębiorstw. Tak było w Anglii w przemyśle budowlanym, bardzo rozwiniętym w epoce stawiania tumów i wielkich budowli gotyckich, tak też w przemyśle suknianym i tkackim, który przedewszystkiem w Belgii uprawiany był na wielką skalę i obliczony na daleki eksport, skutkiem czego zatrudniał większą liczbę pracowników niż inne cechy i większym też operował kapitałem [2]. Obok tych wypadków, bądź co bądź wyjątkowych, znamy w średniowieczu wiele strejków, w których nie są nawet poruszane kwestye pracy i płacy: chodzi w nich raz po raz o jakieś małostkowe niechęci i gniewy, o różne subtelne formalności i zwyczaje, o obronę przywilejów i godności stanu, o zdobycie pewnych prerogatyw towarzyskich lub reprezentacyjnych i t. p. Charakterystycznym dla tej epoki będzie zawsze taki np. strejk czeladników piekar-

[1] Jeden ze strejków służby okrętowej na Renie wybuchnął z tego powodu, że parobcy, którzy otrzymywali dziennie guldena zarobku, a nadto na obiad zupę, jarzynę, dobrą porcyę mięsa, a obok tego chleb i ser w obfitej ilości, żądali jeszcze pieczeni i jakiejś mięsnej przekąski.

[2] Brentano, *Die Arbeitergilden*. I, str. 65.

skich w Kolmar w Alzacyi, który wybuchnął w 1495 r. Czeladnicy tłumnie opuścili miasto, wytoczyli mu proces, apelowali nawet do sądu Rzeszy, a popierani przez związki czeladnicze piekarzy górno-reńskich wytrwali w nieprzejednanym oporze przez 10 lat, i dopiero w 1505 r. powrócili do swych zajęć. Powód całej tej burzy leżał w tem, że w czasie procesyi Bożego Ciała nie wyznaczono czeladnikom piekarskim należytego im miejsca. Podobnych wypadków było więcej.

Całkiem inaczej przedstawia się strejk nowożytny. Jest to zjawisko o charakterze, jeśli nie wyłącznie, to jednak przeważnie i pierwszorzędnie ekonomicznym, dochodzącym raz po raz do tego stopnia zaostrzenia, jakie cechować zwykło w historyi ruchy mas pokrzywdzonych i głodnych. Bezpośrednią jego przyczyną jest gorsze z dniem każdym położenie pracy zawisłej, której szeregi ciągle się powiększają, wchodząc zarazem w coraz uciążliwszą zależność od skupionego w nielicznych rękach kapitału: przyczyną ostateczną, która to położenie wytworzyła, jest potężny, ale jednostronny rozwój nowożytnego gospodarstwa społecznego, podniesiony do wysokości systemu przez ekonomię liberalną, i jako taki usankcyonowany przez nowożytne, na liberalnym podkładzie oparte ustawodawstwo.

Proces stopniowego ujarzmiania pracy zawisłej przez kapitał rozpoczął się nie od dzisiaj. Pojawia się on na gruncie rozstrajającej się instytucyi cechów tu i ówdzie w XV., a bardzo już widocznie i dość powszechnie w XVI. wieku, kiedy majstrzy przemieniają się stopniowo w ciasną kastę, dążącą do zmonopolizowania w swym ręku wszystkich przywilejów i zysków. Cech przedtem otwarty dla każdego, kto przynosił odpowiednie moralne i techniczne warunki, zaczyna się zamykać dla talentu i osobistej dzielności, a wstęp do niego zdobywać trzeba coraz częściej drogą kosztownych protekcyj i niemożliwie wysokich opłat, które władza państwowa, zwłaszcza w Anglii i Niemczech stara się usunąć, niestety bezskutecznie. Stopnie ucznia i czeladnika, uważane dotychczas jako przejściowe, po których każdy mógł się dobić bez wielkich wysiłków godności majsterskiej i samodzielnego bytu, zaczynają się przekształcać w stały,

dożywotni zawód, pozbawiony wszelkich nadziei i widoków na przyszłość, samolubna bowiem taktyka przywódców cechowych z obawy przed konkurencyą nie dopuszcza do otwierania nowych posad majsterskich, opróżnione zaś nadaje dziedzicznie synom, zięciom lub krewnym zmarłych majstrów, uwalniając ich z reguły od wszelkich opłat i kosztów, a wcale nie zwracając uwagi na ich kwalifikacye. Prawo głosu, wyboru zarządu, wydawania uchwał i przepisów, które przedtem wykonywała w całości lub w znacznej części cechowa *communitas* majstrów i czeladzi, staje się coraz powszechniej prawem kilku najbogatszych rodzin. W Anglii Jakób I. naznacza już po prostu członków wydziału cechowego z władzą dożywotnią, w późniejszych latach ten wydział sam się kompletuje. W tych warunkach zmienia się oczywiście całe położenie czeladników i uczniów; zależność ich od ciasnej i chciwej kasty wodzącej rej w cechu stopniowo wzrasta, a wraz z nią tworzy się coraz szersze pole wyzysku i nadużyć. Czas pracy bywa już przeciągany nad miarę, żywność jest coraz gorsza. Płaca, która na pierwszy rzut oka wydaje się dostateczną, ile że płacę dawnych wieków znacznie przewyższa, w rzeczywistości jest o wiele gorszą, ceny bowiem towarów i artykułów spożywczych podniosły się w znacznie większym niż ta płaca stósunku. Nic też dziwnego, że między majstrami a zawisłą od nich czeladzią wyrabiają się stałe i zasadnicze antagonizmy. Przychodzi do coraz częstszych starć, do zawziętych procesów, a władza państwowa, sądy, parlamenty i sejmy wiecznie się muszą zaprzątać rozprzęgnionymi do najwyższego stopnia stosunkami cechowymi, którym nie mogą podołać. Podnoszą się poważne głosy za zupełnem zwinięciem cechów, zwłaszcza w Niemczech i Francyi, tem bardziej, że opinia zaniepokojona jest groźnymi rozmiarami, jakie przybierają niektóre czeladnicze strejki. Dość tu przypomnieć głośny strejk szewskiej czeladzi w Augsburgu 1727 r. Strejków tych mnogo jest w owych czasach; władza państwowa potępia je w zasadzie, w praktyce silnie nieraz przeciw nim reaguje, karząc przewódców i ekscedentów więzieniem, nawet karą śmierci, mimo to ruch strejkowy nie daje się zatamować: w ciągu XVIII. wieku przybiera

w niektórych krajach coraz większe rozmiary, tak że wiek ten nazywają wiekiem powstań czeladniczych.

Ale jest to dopiero jedna strona złego. Podczas kiedy cech rozprzęga się wewnątrz i szybkim krokiem dąży do upadku, równocześnie zewnątrz niego zaczynają się pojawiać nowe prądy i czynniki, które sytuacyę pracy zawisłej pogorszyć miały w znacznie jeszcze większym stopniu.

Produkcya cechowa była wogóle produkcyą drobną, w każdym razie ograniczoną do pewnych rozmiarów. Cechowy producent miał przepisaną zazwyczaj liczbę pomocników, których mu było wolno zatrudniać, wytwarzał przeważnie dla potrzeb lokalnych, i miewał stałe koło odbiorców, których żaden z towarzyszów cechowych nie mógł mu odmawiać pod grozą utraty czci. W największej liczbie wypadków zbędnem mu było pośrednictwo handlowe i transportowe — rzecz dla producenta zarówno kosztowna jak niebezpieczna — kapitał zaś, jakiego potrzebował, przy drobnych rozmiarach produkcyi był bardzo nieznaczny, i póki rozumnych ustach cechowych przestrzegano, nie groził zwichnięciem równowagi ekonomicznej między majstrami a zależnym od nich robotnikiem. Były wprawdzie i w średnich wiekach, jak już narzuciliśmy powyżej, cechy produkujące na eksport, skutkiem czego zatrudniały liczniejsze rzesze robotników i rozporządzały większymi kapitałami. Ale takich wielkich warsztatów było przedewszystkiem niewiele; nadto miały one poza granicami kraju określone pola zbytu, poręczone sobie przywilejami królów i książąt, co pozwalało im na utrzymanie zdrowej równowagi między produkcyą a konsumpcyą; wielkie zaś kapitały potrzebne do prowadzenia przedsiębiorstw, nie skupiały się — przynajmniej w dawniejszych, lepszych czasach — w ręku pojedynczych majstrów, ale były zbiorową własnością cechu. Te mądre urządzenia wraz z całym szeregiem innych jeszcze bardziej szczegółowych przepisów i ograniczeń ochroniły przez długie lata instytucye cechowe od niebezpieczeństw kapitalizmu.

Przyszedł jednak czas, w którym te stosunki radykalnej miały uledz zmianie. Pod wpływem zwiększonych w społeczeń-

stwie potrzeb nadto, skutkiem otwarcia nowych rynków zbytu i ułatwienia do nich przystępu przez ulepszenie żeglugi, wreszcie w ślad za potężnym rozwojem handlu światowego i wyrosłych na tym gruncie wielkich finansowych przedsiębiorstw, obudził się w społeczeństwach silny prąd, domagający się natarczywie powiększenia rozmiarów produkcyi. Prąd ten tem łatwiej zdobywał sobie grunt, że rządy upatrując w zwiększeniu produkcyi pożądane od dawna źródło dochodów państwowych, własny widziały interes w popieraniu jej rozwoju. Stało wprawdzie na przeszkodzie ówczesne ustawodawstwo przemysłowe, obliczone na drobny przemysł cechowy — ale fala napierających stosunków silniejszą się okazała od litery prawa: wzrastała coraz silniej aż wreszcie wyszedłszy z brzegów przepłynęła górą ponad cechami jak i ponad odnośnem ustawodawstwem przemysłowem. Długie jeszcze czasy istnieje owo *de iure*, faktycznie jednak traci coraz bardziej na znaczeniu. Na neutralnym, z pod jurysdykcyi cechowej wyjętym gruncie zaczynają się pojawiać wolne warsztaty przemysłowe, gromadzące koło siebie większą liczbę uczniów i czeladników niż było dozwolonem w cechach, gdzieindziej rozwija się wielki przemysł domowy, w którym przedsiębiorca wprzęga do pracy na swój rachunek coraz liczniejsze zastępy robotników, odbywających robotę po własnych mieszkaniach, wreszcie występują wielkie zakłady przemysłowe, gdzie bogaty właściciel we własnych już lokalach i przy własnych warsztatach zatrudnia dowolną liczbę płatnych przez siebie robotników. Są to tak zwane rękodzielnie. Początkowo przyciągają one robotnika wysoką stosunkowo zapłatą; później ta przynęta staje się zbyteczną. Rękodzielnia jużto z powodu licznych sił roboczych, które zatrudnia, jużto skutkiem podziału pracy i technicznych ulepszeń, jakie u siebie zaprowadza, produkuje szybciej i taniej, jest zatem w stanie odciągać od małych warsztatów rzemieślniczych coraz większe koła odbiorców. Cech nie może wytrzymać z nią konkurencyi, tem bardziej, że już na wielu miejscach zwyrodniał i dobrowolnie się zamyka przed wszelkim postępem. Upadają zatem majstrowie cechowi, czeladź ich zostaje bez zajęcia — jedni i drudzy opuszczają bezwładnie

ręce i przechodzą w szeregi zależnego od rękodzielni proletaryatu. Ale rękodzielnia nie produkuje tylko dla potrzeb miejscowych, ona — jak już wspomnieliśmy — obliczoną jest głównie na targ zagraniczny, który ją do życia powołał, a na który spieszą równocześnie inni przedsiębiorcy. Chcąc przemódz tę niebezpieczną konkurencyę i wyjść z niej z dobrym zyskiem, trzeba obniżać raz po raz koszta produkcyi, w których ważną pozycyę stanowi zapłata robotnika. Rękodzielnia ją też obniża, do niemożliwych granic, zarazem przedłuża czas pracy, co wreszcie najgorsza, wciąga do zakładów przemysłowych kobiety i dzieci, które pracując za niemożliwie nizkie wynagrodzenie przyczyniają się tem samem do obniżenia płacy swych ojców, mężów i braci. Wszystko to już było przed maszyną parową. We Francyi już Colbert uwalniał od podatku rodziny, które kobiety i dzieci wysyłały do warsztatów przemysłowych, a tym, które chciały emigrować, groził więzieniem. Uczony zawodowy robotnik, który kształcić się musiał w Anglii zazwyczaj przez 7 lat, na kontynencie przez 3 lub 4, najmniej przez 2 lata, coraz trudniej znajdował zajęcie i odpowiednią swemu wyrobieniu zapłatę; rugował go z przemysłu nieuczony, o wiele tańszy robotnik, dla którego nie było miejsca w cechu, ale który przy systemie podziału pracy dawał się użyć w rękodzielni. Stosunki, jakie na tej drodze wytworzyły się w Anglii już w pierwszych początkach XVIII. wieku są po prostu przerażające. Tłumy całe uczonych, dorosłych robotników blizkie były śmierci głodowej. Doszły nas wieści, że po warsztatach znajdował się czasem jeden tylko surdut, który naprzemian wdziewali robotnicy-nędzarze, ilekroć im przyszło z lokalu wychodzić; były wypadki, że pracodawca nie przyjmował do warsztatu robotnika będącego w posiadaniu niepodartego ubrania, utrzymując, że ci jedynie opłacają mu się, którzy chodzą w łachmanach.

Tak się zaczęła proletaryzacya i nędza mas roboczych, poparta i zaostrzona w różnych krajach przez inne jeszcze lokalne czynniki, jakimi były religijne zamieszki, idące w parze z powstaniem i rozwojem reformacyi, konfiskaty wielkich dóbr ko-

ścielnych, ruchy chłopskie i długoletnie wojny, które doprowadziły szerokie masy ludności wiejskiej do materyalnej ruiny, skazując je na emigracyę do miast i szukanie jakiegokolwiek zarobku bądź w krajowych, bądź w zagranicznych warsztatach.

Nędzne te masy stępiwszy w twardej niewoli przemysłu resztki szlachetniejszych instynktów, nosiły ciężkie jarzmo ze zgrzytem i wrzeniem. Gorycz swą wylewali w dzikich, bez planu i głębszej myśli prowadzonych strejkach, które niejednokrotnie kończyły się napadami na znienawidzonych przedsiębiorców, niszczeniem narzędzi, paleniem budynków. W Anglii w niektórych gałęziach przemysłu, np. w pończosznianym, strejki te przeszły w stan chroniczny; doszło do tego, że w 1727 r możliwem się stało wydanie prawa grożącego śmiercią za łamanie krosień i niszczenie warsztatów.

Bądź co bądź jednak rozstrój gospodarczy, wytworzony w okresie upadających cechów i powstających rękodzielni nie jest jeszcze złem powszechnem, doprowadzonem do ostatnich granic. Wielka część świata trzyma się na uboczu nowego ruchu przemysłowego, konkurencya nie jest zbyt tłumną i silną, a targ światowy nie doszedł jeszcze do tego znaczenia, żeby mógł zaciężyć nad całem gospodarczem życiem szerokich warstw społecznych. Przytem praca po rękodzielniach jest pracą przeważnie ręczną, zatem czas jej trwania nie może przekraczać granic możliwości sił ludzkich, a wprawa i wyrobienie robotnika w delikatniejszej zwłaszcza produkcyi ma jeszcze niemałe znaczenie, i zapewnia mu wobec przedsiębiorcy stanowisko do pewnego stopnia niezależne. To też i strejki ówczesne nie są jeszcze ani powszechnem zjawiskiem, ani ruchem szerokich mas; noszą one na sobie charakter lokalny i opierają się na przejściowych, doraźnie skleconych organizacyach. Zło, które zaciężyło nad pracującą ludnością nie jest jeszcze wszędzie z równą siłą odczuwane, nie wszędzie nawet doszło do świadomości; tam zaś, gdzie się je zna i odczuwa, brak zrozumienia jego przyczyn, a skutkiem tego brak wszelkiego planu i jednolitej solidarnej akcyi. Strejk nietyle jest walką dwóch sił ekonomicznych, ile raczej ślepym, instynktowym odruchem rozgoryczenia i rozpaczy, zwra-

cającym się przeciw osobom pracodawców i przeciw ich własności. Zorganizować go, rozpowszechnić i na silniejszych oprzeć podstawach miała dopiero maszyna parowa, wprowadzona do produkcyi i transportu pod koniec zeszłego i w pierwszej połowie bieżącego wieku.

Olbrzymi ten wynalazek stanowi w dziejach świata epokę. W wiekowym procesie ujarzmiania przyrody umysł ludzki nigdy nie zaszedł tak daleko, jak wówczas, kiedy puszczał w ruch pierwszą niekształtną i ciężką maszynę parową. Przez maszynę okiełznał on znane przedtem, ale urągające ludzkiej potędze siły natury, inne nieznane a tajemnicze wyśledził i wprzągnął wszystkie w swą służbę.

Od razu stało się jasnem, że maszyna otworzy nowe źródła nieprzebranych skarbów, że dobra materyalne wyrzucać będzie masami. Na tej podstawie opierano nadzieję, że stworzy ona nieznany przedtem dobrobyt, i tych co dotąd przymierali głodem, dopuści do obfitego działu w wielkiej uczcie życia. Zdawało się też, że złagodnieje ciężka dola pracującego w pocie czoła człowieka, odkąd twardą pracę rąk jego zaczną wykonywać rzeki i wodospady, ogień i woda, para i elektryczność.

To wszystko stać się mogło i stać się było powinno, gdyby nie przeoczono jednej okoliczności. Podnoszono okrzyki zachwytu nad obfitością dóbr materyalnych, jakie maszyna przynieść będzie w stanie, a nie pomyślano o tem, jakby dostęp do tych skarbów wszystkim potrzebującym umożliwić. Zapomniano, że przy każdym wielkim natłoku dobrze wychodzą zazwyczaj nieliczne tylko jednostki, u których wyjątkowa zuchwałość idzie w parze z wyjątkową siłą, słabsi natomiast bywają wypychani i duszeni, nieraz nawet tratuje się po nich. Liberalna, wszechwładna wówczas doktryna nie chciała zrozumieć tej prostej prawdy życiowej. Nie w konsumpcyi i rozdziale dóbr materyalnych, ale jedynie w ich produkcyi upatrywała ona zagadkę dobrobytu społecznego; produkcya zatem stała się alfą i omegą zarówno nauki jak i polityki gospodarczej. Dźwignią produkcyi miała być wolność ekonomiczna. Twierdzono, że najdzielniejszym jednostkom, krępowanym dotychczas różnorodnymi wię-

zami da ona możność wybicia się na wierzch i że otworzy wielką arenę do coraz większego wyrabiania i doskonalenia wrodzonej dzielności przez ciągłe współzawodnictwo z drugimi. Szlachetny ten, jak mówiono, wyścig, podjęty we własnym interesie jednostek przyniesie nietylko dla współzawodniczących jak najobfitsze korzyści, ale też wytworzy możliwie największy zasób bogactwa narodowego.

Pod wpływem tych poglądów zniesiono resztki dawnych ograniczeń ekonomiczno-prawnych, a na ich miejscu nie postawiono nic innego. Nie spostrzeżono, że zasada wolnej konkurencyi, dopuszczalna może w sferze abstrakcyi, jako norma dla idealnych ludzi i światów, na gruncie naszej natury i naszych stosunków jest etycznie niemoralną, socyalnie zgubną, wprowadza bowiem w życie ekonomiczne jako czynnik rozstrzygający nie normy słuszności i prawa, nie dobro publiczne, wchodzących w skład społeczeństwa klas i jednostek, ale brutalną walkę o byt, w której żywioły słabsze skazane są z góry na niezasłużoną ruinę, a o przewadze i zwycięstwie decyduje wyłącznie siła, zwłaszcza poparta niesumiennością i sprytem.

Na tym gruncie puszczona w ruch maszyna parowa musiała się stać czynnikiem w wysokim stopniu szkodliwym dla zawisłej pracy i poniekąd punktem wyjścia dzisiejszej kwestyi socyalnej. Stworzyła ona nowożytne wielkie przedsiębiorstwo kapitalistyczne z wszystkiemi następstwami, jakie się mieszczą w jego pojęciu. Przedewszystkiem sama oddała się w posiadanie kapitaliście. Samodzielnym przedsiębiorcą fabrycznym może być jedynie człowiek, rozporządzający wielkim kapitałem, bo maszyny, fabryki, zabudowania, niezbędne zapasy surowców dużo kosztują, a na opłacenie licznych sił roboczych, jakich maszyna z natury swej wymaga, jakoteż na opędzenie codziennych niemałych wydatków znacznej potrzeba gotówki. Kto tyle wkłada w przedsiębiorstwo, temu oczywiście zależeć musi na tem, aby je wyzyskać, a wyzyskać jak najprędzej, bo maszyny prędko się niszczą, częstych wymagają ulepszeń, a wobec najdrobniejszego nieraz wynalazku technicznego, który każdej chwili może się pojawić, stają się nie do użycia. Stąd naturalna tendencya do

produkcyi szybkiej, masowej, opędzanej jak najmniejszymi kosztami. Tendencya ta tem jest silniejszą, że wobec nieograniczonej wolności produkcyi tysiące producentów z tymi samymi wytworami spieszy na targ światowy, na którym ten tylko wygrywa, kto go zarzuci towarem jak najobfitszym i jak najtańszym. Było to już — jak widzieliśmy — i w rękodzielni, ale w znacznie mniejszym stopniu, bo przed maszynami nie istniały w procesie wytwórczym takie olbrzymie ułatwienia jak dzisiaj, nie znano też wydoskonalonych w tym stopniu środków transportowych i komunikacyjnych. Dzisiejsze ułatwienia techniczne dochodzą do zdumiewających rozmiarów, a skutkiem tego nabiera i konkurencya szalonego rozpędu. Niedawno temu jeden robotnik był w stanie przy maszynie do przędzenia wytworzyć sto razy więcej niż ręczną robotą. Maszyna ta poruszała wówczas 500 wrzecion, z których każde robiło 8.000 obrotów na minutę; dzisiaj porusza 1.270 wrzecion a liczba obrotów każdego wzrosła do 11.000. Łatwo sobie wystawić, jak kolosalnie wzmagać się musi kapitał w ręku właściciela tego rodzaju przedsiębiorstw; jak z drugiej strony słabnąć musi pozycya robotnika, który niczem nie rozporządza, jak tylko siłą swych rąk. Sam jeden, jako jednostka nie jest on w stanie oprzeć się tej potędze; fabryka na jego miejsce znajdzie setki innych, bardziej od niego potrzebujących i głodnych; znajdzie tem łatwiej, że sama ich wytwarza. Produkując dużo a tanio, zabija samodzielnych rzemieślników i siły robocze u nich zajęte, przytem przez bliższe lub dalsze oddziaływanie na inne pola pracy ekonomicznej rujnuje niejednokrotnie samodzielnych średnich lub drobnych gospodarzy w rolnictwie lub handlu, czyniąc z nich bezwłasnościowy, głodny proletaryat, pozbawiony wszelkich podstaw bytu, bez żadnych widoków, bez jutra. Tych łatwo wtłoczyć w żelazne ramiona maszyn i fabryk; umieją oni długo być cierpliwi, nawet wówczas, kiedy im się każe za głodową zapłatę pracować długo, dniem i nocą — bez względu żadnego na ich ludzkie prawa, na ich duchowe i moralne potrzeby.

Los ich pogorsza się jeszcze skutkiem szczególnych właściwości pracy fabrycznej.

Robotnik postawiony obok maszyny przestaje być siłą w ścisłem znaczeniu wytwórczą; staje się on siłą pomocniczą do obsługiwania maszyny, utrzymywania jej w ruchu, poddawania i odbierania od niej materyału; fachowe wyrobienie robotnika, zdolności jego, siły nawet fizyczne — zatem wszystko, co stanowiło jego wartość — traci jeśli nie zupełnie, to w bardzo wielkim stopniu na znaczeniu. Proces wytwórczy w produkcyi maszynowej rozłożył się na mnóstwo najprostszych czynności; ciągłe i jednostajne wykonywanie tych drobiazgowych, ściśle określonych zajęć zabija w robotniku wszelki rozwój umysłowy, tępi całą jego samodzielność, i istotę żyjącą przekształca nieraz w bezduszną maszynę, o tyle różną od żelaznej, że odczuwa swój stan i burzy się na niego. Maszyna nie męcząc się i nie potrzebując odpoczynku, ciągle jest w ruchu, dniem i nocą, w święto i w dzień powszedni; robotnik musi dotrzymywać jej kroku; dla maszyny zaniedbuje on Boga i Kościół, rodzinę i naukę, wszystkie potrzeby duszy i ciała. Maszyna stworzyła najgorsze dla zdrowia i życia robotnika warunki, bo nietylko kazała mu nieraz pracować nad trującemi substancyami, z któremi on nie umiał się obchodzić, ale wogóle zamykała go w ciasnych, nieczyszczonych i niewietrzonych lokalach, zagłuszonych hukiem kół i zgrzytem walców, pełnych sadzy i dymu, wyziewów witryolu lub zabójczego pyłu targanej zębami maszyn bawełny. I nowożytny niewolnik z zaczerwionemi oczyma, z ustami zawiązanemi chustką, wykonywać tu musiał dzień za dniem, tydzień za tygodniem wskazaną sobie robotę, machinalnie i apatycznie jak automat, wśród zimnego na jego biedę otoczenia, wśród żelaznych kolosów urągających jego słabości i nieprzemawiających do duszy żadnem żywszem uczuciem, wśród zaciemnionych i posępnych przestrzeni, których brudne okna tyle tylko dopuszczały światła, żeby mógł dojrzeć w pobliżu pyszny pałac fabrykanta, błyszczący zbytkiem, lub wygodny jego ekwipaż, przejeżdżający raz po raz wśród zabudowań fabryki. A kiedy po kilkunastu godzinach tak ciężkiej egzystencyi pozwolono mu zasnąć, przenosił się do dusznej i ciasnej izdebki, do wilgotnej sieni suteren, czasem do starego kolejowego wagonu, który wynajmował od przedsiębiorcy na spółkę

z towarzyszami, i tutaj siłą nieraz zdobywać sobie musiał kąt wśród natłoku ludzi różnego wieku i płci, zgorzkniałych i zrozpaczonych, przeklinających świat i wszystko co na nim istnieje, niedostępnych żadnej pogodnej myśli, wyzutych z wiary, zrujnowanych nieraz fizycznie a prawie zawsze moralnie.

Prawodawstwo najnowszych czasów wgląda raz po raz w te stosunki, i reguluje je szeregiem ustaw ochraniających byt i życie robotnika. Tak jednak nie było w początkach wieku, kiedy chciwa i twarda generacya kupców i spekulantów rzuciła się do otwierania fabryk, a wyzyskiwany robotnik zwracał się do rządów i parlamentów o pomoc i obronę — napróżno.

Położenie jego było tem opłakańsze, że pogarszała je jedna jeszcze okoliczność, na którą i w ustawodawstwie nie znaleziono dotąd środków. Byt robotnika przy fabryce stał się chwiejny i niepewny. Maszyna wytworzywszy i ukształciwszy wielki targ światowy, uczyniła też produkcyę od wszechświatowych czynników zależną. Rynku światowego nie podobna tak zbadać, ani tak opanować jak targ lokalny — skutkiem czego nie ma się możności przystosowania produkcyi do zbytu. Raz po raz pod wpływem czynników nieznanych lub nieprzewidzianych pojawia się w pewnej gałęzi hyperprodukcya, która jednym zamachem rujnuje producenta i zmusza go do wyrzucenia na ulicę całych setek robotników. Polityka państw zagranicznych zabić może jednem pociągnięciem pióra całe gałęzie importowanej produkcyi. Nadto produkcya obliczona na daleki wywóz nie może się obejść bez wielkich pośredników handlowych, którzy będąc potrzebnymi zarówno producentowi jak i konsumentowi, nie mogącym zetknąć się bezpośrednio, wyzyskują swe położenie i rosną w coraz większą siłę kosztem obu stron. W tych sferach najpotężniej wzmaga się kapitał skutkiem wielkich operacyj pieniężnych i gry giełdowej. Wielkie przedsiębiorstwa potrzebując jego pomocy wchodzą w coraz większą od niego zależność, a on je trzyma w szachu. Jest w stanie dyktować prawa, a opornych miażdży z zimną bezwzględnością, jednem pociśnięciem guzika w aparacie telefonicznym, lub jedną depeszą. Wywołuje sztuczne podwyższenia lub zniżki cen, a przy pierwszej ko-

rzystnej chwili umie zdradziecko wycofać się z interesu, który na jego pomocy się opierał, i zachwiać tem samem jego bytem lub wprost sprowadzić nań ruinę. Wtedy znów setki, a nieraz tysiące robotników znajdują się niespodzianie na bruku wobec widma śmierci głodowej, bez żadnej z swej strony winy.

Z tych ruin kapitał czerpie nowe siły. Na zgliszczach upadłych przedsiębiorstw wznosi nowe, większe; skutkiem coraz silniejszej koncentracyi produkcyi sam się koncentruje w coraz mniej licznych, zazwyczaj też mniej sumiennych rękach. Wyposażony we wszystkie przywileje, cieszy się, dzięki liberalnemu ustawodawstwu, nieograniczoną swobodą ruchów. Nieosobowy zatem nieuchwytny, eksterytoryalny zatem silniejszy od władzy państwowej i głuchy na narodowe czy społeczne względy, przenosi on się ciągle z miejsca na miejsce, działa na tysiące mil odległości, a umie być groźnym nawet dla rządów, któreby zdobyły się na odwagę ścieśniania jego swobody.

Naprzeciw tej kolosalnej potęgi, opartej o miliony maszyn, o ciemne podziemia kopalń, o okręty, koleje żelazne i wielkie magazyny handlowe, stoją olbrzymie rzesze wyzyskiwanych przez tę złowrogą potęgę tłumów, rujnowanych jej spekulacyą, wysyssanych jej lichwą a niezdolnych jej sprostać, zdanych na jej łaskę i niełaskę. *Opulenti ac divites perpauci prope servile iugum infinitae proletariorum multitudini imposuerunt*[1].

Że wielki kapitał doprowadzony przez dzisiejszą wielką produkcyę i zapewnioną sobie wolność prawną do obecnego rozrostu wywołuje coraz szerszą proletaryzacyę i nędzę mas — spostrzeżono od dawna. Stosunki rozwojem tych czynników wytworzone nie znajdują się jeszcze w fazie ostatecznego rozwoju, nie z równą też siłą występują na różnych polach; owszem są pewne dziedziny dość jeszcze pod tym względem odporne. Socyalizm, który pierwszy poddał dzisiejszy ustrój kapitalistyczny ostrej i głębszej krytyce, idzie bezwątpienia za daleko, kiedy twierdzi, że tendencya do wielkich przedsiębiorstw i idącej za nią proletaryzacyi jest powszechną, że rozwija się z koniecznością, i że się

[1] Encyklika *Rerum novarum*.

nie daje powstrzymać [1]. Ten przesadzony pogląd w szerokiej swej rozciągłości nie wytrzymuje naukowej krytyki: zbijają go nawet ci autorowie, którzy w koncesyach na rzecz socyalizmu idą dość daleko [2]. Mimo to jednak zaprzeczyć się nie da, że dążność do wielkich przedsiębiorstw rzeczywiście panuje i szybko wzrasta na wielu polach ekonomicznych, zwłaszcza na niektórych bardzo ważnych i bardzo wpływowych, jak np. w przemyśle metalowym i przędzalnianym, w fabrykach maszyn, w hutnictwie i górnictwie, zwłaszcza w kopalniach węgla, w komunikacyi, w znacznej mierze w handlu, nie wspominając już o interesach pieniężnych i bankowych, ani o pewnym rodzaju domowego przemysłu, w którym na obcy rachunek pracują liczni rzemieślnicy po własnych mieszkaniach, pokrywając kapitalistyczne przedsiębiorstwo pozorami drobnej produkcyi. Przytem i inne pola gospodarcze, jakkolwiek nie są bezpośrednio dotknięte rozwojem tego procesu, nie mogą się jednak zamknąć zupełnie przed jego oddziaływaniem, i pośrednio przynajmniej ulegając jego wpływowi, wchodzą w coraz większą od kapitału zależność, i odczuwają na sobie dotkliwie skutki jego gospodarki.

Rolę, jak już mówiliśmy, pierwszorzędną i najbardziej wpływową odgrywa w tym procesie wielka produkcya fabryczna; nic przeto dziwnego, że strejk nowożytny ściśle się sprzęgnął z jej rozwojem. Zrodzony w upadającym cechu, na większe nieco rozmiary rozwinięty w rękodzielni, kształtował się on powoli i przygotowywał długo; dopiero jednak maszyna parowa wydoskonaliła go i rozpowszechniła, czyniąc zeń groźną, elementarną siłę społeczną. Dopomogły jej w tem i inne czynniki, jak np. zniesienie ustaw antykoalicyjnych, nieraz bieżące wypadki i prądy polityczne, taktyka i charakter odnośnych przedsiębiorców, szybko postępujące naprzód uświadomienie mas roboczych, dość znacznie podwyższona wśród warstw pracujących skala wymagań, wreszcie silna, celów świadoma i w środkach nieprzebierająca agita-

[1] Kautsky, *Das Erfurter Programm*, str. 16 i nast.

[2] Wagner, *Grundlegung.* 1 Theil, str. 821 i 822; por. podaną tamże odnośną literaturę,

cya. Gdzie te czynniki doszły do pewnej siły i znaczenia, tam zaraz na widowni pojawia się strejk. Drobny, rzadki i mało znaczący, póki wielka gospodarka w zawiązkach, rozszerza się i pomnaża w miarę jej wzrostu i rozpowszechniania się; z fabryk, hut, kopalń, jakby z ogniska — roztacza się on coraz szerszemi falami na dalsze koła pracy zawisłej, wciągając niejednokrotnie w wir walki — choćby przez samo naturalne oddziaływanie i pewną zaraźliwość — dziedzinę ręcznej produkcyi, rzemiosło, drobny handel i inne pola pokrewne. Ostatecznie jednak w wielkich centrach przemysłowo-fabrycznych leży zawsze główne źródło, z którego ruch strejkowy wychodzi; tam nabiera on zarówno siły jak i zabarwienia, stamtąd też po chwilowem osłabnięciu na nowo się zasila i ożywia.

Nieznanych w dawnych wiekach rozmiarów zaczął strejk nabierać najpierw w klasycznej ziemi przemysłu, w Anglii — właśnie wówczas, kiedy tam zaprowadzano pierwsze maszyny parowe, a wraz z niemi otwierano ów długi okres gorączkowej, z czasem kolosalne rozmiary przybrać mającej angielskiej wielkiej produkcyi, która dumnej wyspie zapewniła monopolistyczne stanowisko na rynku światowym aż do niedawnych czasów. Już w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia wzrastają strejki angielskie do niebywałej wysokości; w kopalniach węgla i w przemyśle bawełnianym, któremu Anglia połowę swych bogactw zawdzięcza, dochodzą już wtedy do dziesiątek tysięcy uczestników. Wzrostowi tego ruchu dopomaga nie mało zniesienie w r. 1824 praw antykoalicyjnych; na jego zaostrzenie i dziką gwałtowność, posługującą się grabieżą, burzeniem maszyn, paleniem fabryk, wpływa niejednokrotnie twardy charakter ówczesnej generacyi angielskich przedsiębiorców i fabrykantów, traktujących robotnika jak żywy towar i cisnących śrubę wyzysku aż do ostatnich granic, bez żadnej uwagi na to, że z pod niej wychodzą jęki. Obrazy ówczesnej nędzy robotników angielskich, zebrane przez szereg urzędowych komisyj parlamentarnych, są straszne w swoich szczegółach i wyglądają na sceny żywcem wyjęte z dantejskiego piekła. Rząd i parlament angielski mimo licznych petycyj, pod-

pisywanych przez setki tysięcy robotników, popiera jednak uparcie i prawie wyłącznie interesa fabrykantów i wolność wielkiej produkcyi. To też wzrasta ona w szalonem tempie. Kiedy w roku 1840 siła parowych motorów angielskich równała się 620.000 koni parowych, w r. 1850 powiększyła się przeszło w dwójnasób, a po dalszych dziesięciu latach wzrosła znowu o drugie tyle, dochodząc do cyfry 2.450.000 koni parowych, wówczas kolosalnej, choć wcale jeszcze nie największej, bo za dni naszych prawie cztery razy tyle wzrosła [1]. Zatem i strejki szalenie rosną, a cechuje je tem większa po obu stronach zawziętość, że robotnicy łącząc się w coraz silniejsze koalicye, wywołują po drugiej stronie kontra-koalicye przedsiębiorców. W okresie największego pasowania się dwu tych potęg między r. 1851—1866 dochodziło do tego, że dziesiątki, a nawet setki tysięcy robotników przez długie miesiące żyły w głodowem bezrobociu. Dość tu przypomnieć kilkomiesięczny strejk 3.500 robotników, zajętych w fabrykach maszyn, który pociągnął za sobą pierwszą znaczniejszą koalicyę fabrykantów i spowodował wykluczenie z fabryk 15.000 ludzi; albo 18.000 robotników zajętych w przemyśle bawełnianym, wykluczonych przez 4 miesiące; 24.000 londyńskich robotników budowlanych, pozbawionych pracy raz przez 7, drugi raz przez 14 miesięcy; zamknięcie wszystkich angielskich pudlingarni, co pozbawiło pracy i chleba 200.000 ludzi, niektórych przez 4 do 5 miesięcy; wreszcie częste strejki w kopalniach węgla w Szkocyi i Yorkshire, strejki w hutach, w warsztatach okrętowych... i wiele, wiele innych.

Po tych latach strasznych walk i klęsk, które rujnowały niejednokrotnie i robotnika i przedsiębiorcę, nastaje okres opamiętania i rozwagi. Robotnik zaczął nabierać przekonania, że szalone rzucanie się w wir nierozważnej walki, większą mu jeszcze przynosi nędzę, zwłaszcza, że pracodawca nie zawsze jest w stanie uczynić zadość żądaniom; fabrykanci nawzajem zrozumieli, że skupieni i ławą idący robotnicy mogą być groźną potęgą, z którą bezpieczniej żyć w zgodzie. Skutkiem tych obu-

[1] Philippowich, *Grundriss der pol. Oekon.* 1 Bd (1897) str. 136—138.

stronnie nabranych doświadczeń, a może jeszcze więcej skutkiem wyjątkowo dobrego biegu interesów, który pozwolił pracodawcom podwyższać robotnikom bez szkody dla siebie zapłatę, nastał okres znacznego uspokojenia. Przyczyniły się do tego w pierwszym rzędzie potężne związki robotnicze, *trades-unions*'y, które w angielski ruch roboczy wniosły świetną i mądrą organizacyę a wraz z nią poczucie siły i idącą za tem rozumną taktykę. Po roku 60-tym pojawiają się coraz częstsze próby pokojowego załatwiania nieporozumień, jakie się wytwarzają między przedsiębiorcą a jego robotnikiem. W niektórych gałęziach przemysłu, ciągle przedtem nawiedzanych strejkami, połączonymi z gwałtami i krwi rozlewem, zaczynają łagodnieć ostre antagonizmy; obie strony traktują się wzajemnie z godnością i miarą. Strejki wprawdzie nie znikają z powierzchni ziemi angielskiej, liczba ich jednak zmniejsza się bardzo znacznie, a przebieg ich bywa rozumniejszy, więcej trzeźwy i pokojowy, i do dostępnych zwrócony celów. Za okres lat 1870—1879 naliczył Bevan w Anglii strejków 2.352, która to liczba rozłożona na pojedyncze lata, daje na rok 1870 tylko 30, na r. 1871 tylko 98, a na inne lata ponad 200 lub ponad 300 strejków rocznie. Cyfry te — nie bardzo dokładne — mogłyby się wydawać wysokiemi, gdyby nie odnosiły się do kraju tak wybitnie przemysłowego jak Anglia, w którym prawie trzecia część ludności zajęta jest w przemyśle.

Podczas kiedy strejk angielski przebywszy ciężkie i krwawe lata, wchodził w tę nową fazę, na kontynencie europejskim było jeszcze pod tym względem dość spokojnie. Nic w tem dziwnego. Aż do czwartego, po części nawet piątego dziesiątka bieżącego stulecia wielki przemysł fabryczny wszędzie poza Anglią jest dopiero w zawiązkach. Kiedy w Anglii w 1840 r. istniejące tamże maszyny parowe przedstawiają — jak mówiliśmy już wyżej — siłę 620.000 koni parowych, to we Francyi wynoszą one tylko 90.000, w Niemczech 40.000, w Austryi zaledwie 20.000 koni parowych. To też i strejki rzadko pojawiają się na kontynencie w pierwszych dziesiątkach stulecia i nie przedstawiają szerszego znaczenia. Donioślejsze już nieco ruchy tego rodzaju

spotykamy we Francyi po roku 1830, w Niemczech między 1844—1849; wprawdzie ograniczają się one na pewne tylko gałęzie przemysłu, są jednak zawzięte i burzliwe, a źródło ich leży już po części w produkcyi maszynowej, zwłaszcza angielskiej, która wytwarza niebezpieczną konkurencyę ręcznej produkcyi zagranicznej i grozi jej zagłodzeniem. Są to dalekie odgłosy nadciągającej fali, która daje znać o sobie, że się zbliża i grozi zalewem, ale nie nadeszła jeszcze i nie rozlała się. Przyczynia się do tego okoliczność, że na kontynencie panują jeszcze w całej pełni ustawy antykoalicyjne, surowo zabraniające robotnikom wszelkiej między sobą zmowy i organizacyi. Nawet rewolucya lutowa nie zdobyła się na odwagę usunięcia tych zakazów. Kiedy jednak wielka produkcya fabryczna zaczęła po r. 1850, a jeszcze bardziej po 1860 nabierać w zachodniej i środkowej Europie coraz szerszego znaczenia; kiedy objąwszy stopniowo Francyę i Belgię, potem Niemcy, wreszcie Austryę, dochodziła równocześnie do potężnego rozwoju za Oceanem w Stanach Półn. Ameryki i w angielskich koloniach, stając się czynnikiem odgrywającym nietylko doniosłą ale pierwszorzędną rolę w całem gospodarstwie światowem; kiedy przytem pod naporem nowych prądów zaczęto znosić w całości lub w części ustawy antykoalicyjne: 1864 we Francyi, 1866 w Belgii, 1869 w Niemczech, 1870 w Austryi, a w ślad za tem poczęła wstrząsać masami robotniczemi zdolna, bezwzględna, międzynarodowa agitacya, skupiając te masy w syndykatach, w związkach zawodowych lub w partyach politycznych i pchając gwałtownie do czynu — wtedy fala ruchu strejkowego naprzód na gruncie zachodnio-europejskim, potem i za Oceanem wezbrała potężnie i wyszła z brzegów.

We Francyi stało się to za drugiego cesarstwa. Lotny, ambitny, prędko zapalny robotnik francuski, posiadający wszystkie przymioty i wszystkie wady swej rasy, chwycił się tego środka walki z taką samą namiętnością i nierozwagą, z jaką niedawno wznosił barykady i z rewolucyi rzucał się w rewolucyę. Wśród niezliczonej liczby strejków, jakich widownią jest Francya, zwłaszcza Paryż od r. 1864—1869, strejków nieraz bardzo za-

wziętych i gwałtownych, figurują najróżnorodniejsze rodzaje pracy i gałęzie przemysłu: tkacze i krawcy, kapelusznicy, kuśnierze i garbarze, bronzownicy, górnicy, a obok nich doróżkarze i pomocnicy handlowi. Liczba strejkujących, jak na początek ruchu, pozbawionego jeszcze silnych i trwałych podstaw, bywa nieraz dość znaczną: dochodzi ona do 1000, 3000, 5000, nawet 10.000 uczestników. Wraz z wstrząśnieniami, jakie przyniósł Francyi pamiętny rok wojny, opadł znacznie burzliwy ruch strejków, ale tylko chwilowo; nie potrwało to dłużej, jak po rok 1878, od którego strejki zaczynają wzrastać na nowo, zarówno w Paryżu, jak i na prowincyi, przyczem dochodzą nieraz do rozmiarów stosunkowo bardzo znacznych; liczą np. po 10.000 uczestników, jak strejk górniczy, w nawiedzanym ciągle tymi ruchami Anzin, lub nawet po 20.000, jak wielki strejk stolarzy w Paryżu.

Razem z Francyą ruch strejkowy przybrał po roku 1860 wielkie rozmiary i w Belgii. Maszyny parowe, które w r. 1840 przedstawiały w Belgii siłę 40.000 koni parowych, w 1860 liczyły już 160.000, a w 1870 aż 350.000 koni parowych; po kilkunastu latach wzrastając przeszło w dwójnasób dojść miały do cyfry 810.000. Na tej bogatej ziemi przemysłu spekulacya i wyzysk zapanowały w całej pełni. Obliczano, że przeciętna rodzina robotnicza, składająca się z sześciu głów, zarobić była w stanie całoroczną pracą odbywaną w fabryce przez ojca, matkę i dwoje dzieci sumę o 40 franków niższą od kwoty, jaką przeznaczało państwo na utrzymanie jednego więźnia. W szczególnie opłakanych warunkach żyli robotnicy po hutach i kopalniach, w których brano do roboty nawet małe, nierozwinięte dzieci, w wielu wypadkach niżej 10 lat. Twardą pracą i ciężką dolą przygnieciony robotnik belgijski dziczał coraz bardziej. Na 30.000 górników w okręgach Hennegau nie umiało czytać i pisać 20.000; do ostatecznego ich zdziczenia przyłączyła się wyuzdana antyreligijna propaganda, popierana nieraz przez fabrykantów a szerząca wśród mas roboczych w najgwałtowniejszy sposób pogardę religii, kościoła i prawa. To też z całą bezwzględnością rzucił się belgijski robotnik do strejku, przeciągając przez okręgi fabryczne jak dziki, nieokiełznany huragan. Poczęły one wybu-

chać coraz częściej i coraz gwałtowniej w przemyśle tkackim, w hutach żelaznych i szklanych, zwłaszcza zaś po kopalniach. Sceny, do jakich doszło przy strejkach w Marchiennes i Charleroi w 1867, 1868, a zwłaszcza w pamiętnych dniach marca 1886 r. przejęły grozą całą Europę.

W Niemczech, gdzie w szóstym dopiero dziesiątku bieżącego stulecia zaczyna wzrastać na szerszą skalę ruch fabryczny, aby z czasem uczynić z Niemiec państwo przemysłowe pierwszego rzędu, silniejsza skonność do strejków zaczyna się objawiać po roku 1863, a największego natężenia nabiera od roku 1868—69. Wywołało ją ciężkie położenie robotnika niemieckiego zwłaszcza w środkowych i wschodnich prowincyach, pogorszające się z dniem każdym wskutek coraz większej drożyzny a niepodnoszącego się zarobku. Wyrosłe na tym gruncie niezadowolenie i wrzenie szerokich mas robotniczych rozdmuchała szalona a zdolna agitacya doprowadzając do wielkiej liczby strejków, wśród których najgłośniejszym swego czasu był wielki węglowy strejk waldenburski, liczący 6 400 uczestników. Ruch ten wyzyskiwany nieraz do politycznej propagandy zmniejsza się chwilowo skutkiem wybuchu wojny francuskiej, aby zaraz po niej w r. 1871 i 1872 dojść znowu do kolosalnych rozmiarów. W tym okresie strejki niemieckie liczą się na tysiące. Kulminaczjnym ich punktem jest wielki strejk w kopalniach i fabrykach w Essen, który wciągnął w bezrobocie 15.000 ludzi, a trwając przez kilka tygodni zaciążył nad wieloma gałęziami produkcyi i w wielu przedsiębiorstwach zatamował ruch. Gorączkę strejkową podniecał pomyślny stan interesów, jaki nastał po wojnie, a zazwyczaj szła z nimi w parze nierozważna namiętność i uniesienie, niejednokrotnie gwałtowność. Stają się one trwogą kraju i przedmiotem ciągłej dyskusyi zarówno w nauce jak i w polityce. Po roku 1873 z nastaniem gorszego okresu gospodarczego ruch ten zaczyna łagodnieć i opadać — niepowodzenia robotników mnożą się coraz więcej. Po niedługim atoli czasie położenie się poprawia, wraz z niem budzi się nadzieja zwycięstwa i po r. 1880 ruch strejkowy rusza się znowu z siłą lawiny [1].

[1] *Handwörterbuch der Staatswissenschaften.* 1 Bd. *Arbeitseinstellungen.*

Z Niemiec, które się stały centrem ruchu robotniczego na kontynencie i nadały mu charakter więcej odpowiadający stosunkom środkowo-europejskim, zaczął się rozszerzać strejk do około po krajach i państwach sąsiednich, w miarę jak one wchodziły coraz więcej w fazę wielkiego gospodarstwa przemysłowego. Obejmował więc stopniowo Austryę, od południa Włochy, dalej Węgry, wschodnią ścianą wszedł do Galicyi i Królestwa Polskiego, mimo kordonów i absolutyzmu carskiego imperyum weisnął się nawet w samo serce Rosyi.

Nie tu miejsce wdawać się w szczegóły, tem bardziej że pod niejednym względem brakuje nam jeszcze dokładnych i pewnych materyałów. Dla naszego celu dość zaznaczyć, że za najświeższej pamięci, w ostatnich kilkunastu latach strejk stał się zjawiskiem powszechnem i mniej więcej stałem we wszystkich kulturze dostępnych częściach świata, i znalazł odpowiedny dla siebie grunt w tych nawet krajach, które do niedawna jeszcze uważano za zamknięte dla nowożytnego ruchu robotniczego i połączonych z nim społeczno-ekonomicznych walk.

A nie dość na tem, że stał się powszechnym. W niektórych krajach, gdzie od dawna już panował, wzrósł on w kilku ostatnich latach do niewidzianych przedtem rozmiarów; a co może najważniejsza, z podwojoną siłą odżył w tem państwie, z którego niegdyś wyszedł, a w którem przez długie czasy uchodził za uśmierzony i stale wypierany przez nowe, z duchem cywilizacyi i dobrem społecznem bardziej zgodne formy.

Mówiono do niedawna, że robotniczy ruch angielski, wytworzony wśród najszerzej rozgałęzionych przemysłowych stosunków przedstawia w ogólnych swych liniach i fazach rozwoju schemat typowy, wedle którego, odtrąciwszy pewne lokalne różnice drugorzędnego znaczenia, rozwijać się on musi i w innych krajach. Oznaczano nawet główne etapy tego rozwoju. Po pierwszym okresie, w którym uświadomiony robotnik pełen jeszcze namiętności i nierozwagi, rzuca się bez znajomości ekonomicznego terenu i bez odpowiedniej siły w wir strejków, pełnych raz po raz gwałtów i zazwyczaj przynoszących robotnikowi jeszcze większą nędzę, nastaje okres otrzeźwienia i re-

fleksyi. Robotnik nabrawszy wiele smutnych doświadczeń, przekonuje się, że niczego nie dokaże, póki nie będzie dość silnym, i że lepiej dla niego używać tej siły w granicach prawa. Łączy się więc w wolne, na samopomocy oparte, coraz silniejsze związki, które naprzeciw przedsiębiorcy stać mają jak pogotowie wojenne i utrzymywać go w ryzach. W miarę wzrostu tych związków i ich centralizacyi nastają w wielkich przedsiębiorstwach coraz lepsze stosunki. Wynikające nieporozumienia załatwia się drogą pokojową, bo to dla obu stron bezpieczniejsze. Wydziały związków robotniczych studyują coraz lepiej targ światowy i trzeźwo oceniają, kiedy przedsiębiorca jest w stanie uczynić zadość żądaniom robotników, a kiedy nie. Strejk staje się coraz rzadszym; przestaje nim kierować namiętność, tem bardziej, że silna organizacya zawodowa kształci i wyrabia robotnika zarówno umysłowo jak moralnie, łagodząc jego dzikość tłumiąc w nim samolubny egoizm a budząc coraz silniejsze uczucia socyalne. W Anglii — mówiono dalej — te stosunki zapanowały już bardzo szeroko, polepszają się z dniem każdym; w ślad za nimi pójdą stosunki innych krajów... i w skołatanem walkami społeczeństwie zawita spokój socyalny.

Nie mam zamiaru zbijać tego poglądu w całej jego rozciągłości, choć trudno wstrzymać się od uwagi, nieraz już zresztą podnoszonej, że odznacza się on zbyt daleko idącym optymizmem i bardzo wprawdzie szlachetną ale naiwną nieco wiarą w dobre instynkta ludzkiej natury. Z drugiej znów strony całą nadzieję pokoju na polu ekonomicznem opiera on na „pogotowiu wojennem“, nad którem trudno doprawdy unosić się ludziom, wychowanym wśród rzekomych dobrodziejstw „zbrojnego pokoju“ politycznego. Zdaje nam się, że stosunki między przedsiębiorcą a robotnikiem, jeśli mają być trwale uregulowane, oprzeć się muszą na zasadach sprawiedliwości i prawa przyrodzonego, wciągniętych w pozytywne ustawodawstwo i popartych jego sankcyą, w danym razie przymusem władzy państwowej. Dopomagać jej winna umoralniającym swym wpływem religia i Kościół, wyrabiając w jednostkach i społeczeństwach chrześcijańskie zasady i uczucia. Teorya ta nie czyni wpraw-

dzie zbytecznymi związków zawodowych, owszem przyznaje im bardzo doniosłe znaczenie; nie godzi się tylko na to, aby na ich podstawie opierać pierwszorzędnie lub wyłącznie reformę społeczną i nadzieję pokoju. Ta podstawa, o której już w teoryi można było przeczuwać, że się okaże kruchą i niedostateczną, zaczyna za taką uchodzić i w praktyce. Poważne głosy odzywają się z twierdzeniem, że względny pokój, jaki panował w Anglii na widowni życia przemysłowego w okresie lat mniej więcej 1850—1880, nie tyle był następstwem wewnętrznego wyrobienia mas roboczych, jak raczej wynikiem całkiem wyjątkowego charakteru angielskich już to ekonomicznych, już to politycznych stosunków, w pierwszym rzędzie tej supremacyi i monopolistycznego stanowiska, jakie zajmowała Anglia w tym czasie na wszystkich rynkach światowych[1]. Łatwo o zgodę, kiedy pracodawca nietylko jest w stanie zaspokoić daleko idące żądania robotników, ale kiedy nawet zaspokojenie tych żądań leży do pewnego stopnia w jego własnym interesie. Wszystkie usiłowania, aby typ angielski wielkich związków zawodowych, związanych szeroką solidarnością, trzeźwych i rozważnych, czysto ekonomicznych, bez żadnej przymieszki politycznej czy partyjnej przeszczepić na grunt niemiecki lub francuski, okazały się zawodnemi. Co więcej, ta instytucya zaczęła się rozstrajać i niedopisywać na własnym, angielskim gruncie, jak to dowiodły wypadki lat ostatnich. Od roku mniej więcej 1880 zaczął się tworzyć ferment w *trades-unions*'ach, wywołany przez tak zwanych „nieuczonych“ robotników. Poczęto coraz głośniej krytykować taktykę starszych związków, zarzucać im kastowe zamykanie się w granicach samolubnych interesów, piętnować ich jako robotniczą arystokracyę. Setki tysięcy „nieuczonych“, jako to: majtkowie, robotnicy zajęci w dokach, młodsze generacye górników i t. d., poczęli się łączyć w nowe związki, oparte na radykalnych zasadach, wnosząc w angielski ruch robotniczy prądy socyalistyczne, polityczne programy, teroryzm i silną tendencyę strejkową. W r. 1892 suma, jaką wydały an-

[1] W. Sombart, *Socialismus u. sociale Bewegung.* (1896), str. 45.

gielskie związki zawodowe na strejki, wynosiła bez mała 10.000.000 marek [1]. Na kongresach tych związków radykalne kierunki zdybywały od r. 1890 coraz większą przewagę, wreszcie w 1894 r. na kongresie w Norwich doprowadziły do uchwały żądającej upaństwowienia środków produkcyi. Odkąd ster ruchu robotniczego przeszedł w Anglii, w te ręce, strejki angielskie wzrastać zaczęły w szalonem tempie. W r. 1889 było ich 1.211 a liczyły razem 359.897 uczestników. Od tego roku utrzymują się stale w olbrzymich cyfrach. Oprócz r. 1896, w którym w 1.037 strejkach wzięło udział niespełna 200.000 robotników, w sześciu latach poprzednich strejkowało ich zawsze więcej. Nigdy nie było ich mniej ponad 250.000, kilka razy przewyższyli znacznie 300.000, w roku 1890 doszli prawie do 400.000, a w r. 1893 naliczono ich 636.386. Największa to cyfra, jaką wykazała dotychczas strejkowa statystyka na świecie.

Dążności radykalne, reprezentowane w Anglii przez „nieuczonych“ i przez nowe *trades-unions*'y pojawiają się i gdzieindziej. Pionierami tego kierunku są wszędzie „młodzi“, a zarządy i komisye centralne związków zawodowych nie są w stanie mimo wszystkich wysiłków opanować prądu, który od nich wychodzi, ani nierozważnych strejków, które wywołują. Wyznają to same komisye i same pisma socyalistyczne zarówno w Europie jak i za Oceanem [2]. Optymiści pocieszają się myślą, że ci młodzi kiedyś dojrzeją i staną się podobnymi do „starych“, przyczem jednak przeoczają tę ważną okoliczność, że przypływ świeżych i młodych sił do zorganizowanego zastępu robotniczego trwa ciągle i nie prędko chyba się skończy. W Anglii, gdzie zorganizowana masa robotnicza jest liczebnie największa, wynosi bowiem według niedawnych obliczeń mniej więcej półtora miliona członków [3], stanowi ona jednak ledwie 13—15% ludności zajętej w przemyśle, którą obliczają na 10 milionów.

Mają więc skąd jeszcze młode siły przypływać, i to jak

[1] *Handwörterbuch der Staatswissenschaften.* 1 Suppl.-Bd., str. 411.

[2] Por. między innymi *Arbeiter-Zeitung* z 1 stycznia 1896, jakoteż z 1 stycznia 1897.

[3] *Handw. der Staatswis.* 1 Suppl.-Bd. *Gewerkvereine in England.*

się zdaje przez długie czasy. A te młode siły są ruchliwe. Za ich wpływem ruch robotniczy coraz bardziej rośnie, coraz dobitniej rzuca swój głos na szalę polityki, agitacya staje się coraz bezwzględniejszą, a rezygnując na razie z dalekich, teoretycznych celów, zwraca się do zadań praktycznych, łatwo uchwytnych, przenosi się na nowe pola jak np. między lud osiadły na roli, i wywołuje w ostatnich czasach po różnych krajach europejskich cały szereg strejków agrarnych, więcej groźnych niż inne, zwłaszcza tam, gdzie upadek drobnych gospodarstw wiejskich i idąca za nim proletaryzacya mas rolniczych postępuje tak szybkim krokiem jak u nas[1].

Nie płyniemy więc chyba pod znakami pokoju socyalnego i do tej przystani — niestety — dość nam jeszcze daleko. Zdarza się wprawdzie, że w tym lub owym kraju nastanie względna cisza i ruch strejkowy opadnie; jest to jednak zjawisko chwilowe, wywołane albo zbiegiem szczególnych okoliczności lokalnych, albo ogólnym stanem konjunktury targowej: stała tendencya ku lepszemu nie da się wykazać. Strejki utrzymują się ciągle w wielkich liczbach, nawet rosną. W takich np. Włoszech, które dość późno wstąpiły w europejski ruch przemysłowy, bywało jednak w latach 1889—94 rok rocznie 120 do 130 strejków, a liczba robotników, biorących w nich udział, wynosiła w każdym roku zazwyczaj po nad 30.000, nie licząc w to strejków rolniczych, jakie w tym czasie miały miejsce we Włoszech, zwłaszcza w Sycylii, a których nie obejmuje urzędowa statystyka. Austrya, która również należy do krajów o niższym i dość opóźnionym rozwoju przemysłowym, w części swej przedlitawskiej miewa w czasie od r. 1891—96 co roku 100—200 strejków, a składający się na nie robotnicy przedstawiają okrągłą cyfrę 14.000, 28.000, 44.000, jakkolwiek austryacka statystyka obejmuje tylko strejki przemysłowe, a nie uwzględnia górniczych, między którymi były przecież niejednokrotnie strejki masowe, liczące dziesiątki tysięcy uczestników. Dość tu przypomnieć

[1] Prof. Milewski w *Przeglądzie Polskim* z września 1897, str. 558 i podane tamże cyfry w przypisku.

znane bliżej zajścia w Ostrawie i Karwinie. W krajach o silniej rozwiniętem gospodarstwie przemysłowem cyfry strejków są znacznie większe. We Francyi np. w okresie 1890 — 1895 liczono ich ponad 300, ponad 400, nawet ponad 600 rocznie, a liczba uczestników w ostatnich dwóch latach nieco mniejsza, bo wynosząca przeciętnie 50.000 na rok, w poprzednich latach przeniosła dwa razy cyfrę 100.000, raz nawet przeszła ponad 170.000. Cóż dopiero mówić o Stanach Zjednoczonych, gdzie ruch strejkowy doszedł w ostatnich czasach do kolosalnych rozmiarów. W dziesięcioleciu 1885—1895 przeciętna liczba strejków daje na rok cyfrę 1290, a przeciętna liczba strejkujących przeszło 180.000. Były lata, w których strejkowało ponad 300.000 (1887, 1890), nawet ponad 400.000 (1894), i ponad 500.000 (1886) robotników. Sartorius von Waltershausen oblicza, że kiedy w dziesięcioleciu 1880 — 1890 liczba ludności wzrosła w Stanach o 25%, to przyrost strejków w czasie 1885 — 1893 wynosił w porównaniu z poprzedniem pięcioleciem 280%[1]. Cyfry strejków angielskich z ostatnich lat podaliśmy już wyżej.

A uwzględnić tu trzeba jeden jeszcze szczegół nie małej doniosłości. Na wielkie te cyfry, dopiero co przytoczone, nie składają się drobne tylko strejki, organizowane pojedynkiem przez nieznaczne grupy robotnicze bez szerszej solidarności i porozumienia. Przeciwnie — stosunki między robotnikami coraz bardziej się zacieśniają, a poczucie wspólności interesów i konieczności zbiorowej akcyi stale wzrasta; skupiają się oni coraz ściślej koło konkretnych programów, działają coraz częściej tłumnie i solidarnie. Obok mnożących się z dniem każdym międzynarodowych relacyj, których wyrazem są zwłaszcza międzynarodowe kongresy, ściągające już nietylko socyalistów, ale i katolickich przedstawicieli, najlepszym tego dowodem są strejki masowe, znane z ostatnich czasów. Przed 11 laty kilkotysięczny strejk francuskich górników w Anzin nazywano „królem strejków“, a dawniej jeszcze mówiono w Niemczech o sześ-

[1] *Allgemeines statistisches Archiv*, IV Jahrg., 2 Halbband, str. 597.

ciotysięcznym strejku waldenburgskim, że dosięgnął olbrzymich rozmiarów. Dziś tego rodzaju określenia byłyby już niewłaściwe. Niemiecki strejk budowlany utrzymał w dwumiesięcznem bezrobociu 25.000 ludzi, a wielka fala, która w 1889 roku przeciągnęła od Ślązka aż po Westfalię i Alzacyę przez kopalnie całych prawie Niemiec, zawadzając z jednej strony o Czechy, z drugiej o Francyę i Belgię, wciągnęła w wir walki w samych tylko Niemczech bez mała 200.000 górników. Do takiej samej prawie cyfry doszedł wielki strejk węglowy w Stanach Zjednoczonych, który z wiosną 1894 r. objął cały szereg Stanów, głównie Illinois, Ohio, Indyanę i Pensylwanię. Anglia przyuczyła już opinię publiczną do strejków masowych jeszcze w okresie lat 1830 — 60; bledną one jednak wobec wypadków ostatniego ośmiolecia. Wielki strejk robotników zajętych w dokach, podjęty w roku 1889, a bardzo charakterystyczny, jako pierwszy strek „nieucznych", liczył 180.000 uczestników. W trzy lata później dwudziestotygodniowy strejk bawełniany, rozpoczęty przez pięćdziesięciotysięczny zastęp robotników, pod koniec wciągnął w bezrobocie 200.000. Głośny swojego czasu strejk węglowy, przetrzymany przez górników kilka miesięcy wśród wielkich prywacyi i niedostatku, a załatwiony wreszcie za pośrednictwem rządu w późną jesień 1893 r. liczył przeszło 350.000 strejkujących. Przypadający na rok następny nowy strejk górników w szkockich kopalniach węgla, liczył 75.000 uczestników, którzy strejkowali przez 17 tygodni, wytworzywszy nadto przymusowe bezrobocie dla 20.000 robotników, zajętych w hutach żelaznych.

Cyfry te nie potrzebują komentarzy; w swojej nagości mają one bardzo dosadną i przekonywującą wymowę. Świadczą one, że niezadowolenie z istniejących stosunków obejmuje coraz szersze warstwy i z coraz większą dokumentuje się siłą; że na polu ekonomicznem nie łagodnieją dotychczasowe antagonizmy, ale zaostrza się walka; że w dziejach świata dokonuje się jeden z tych ruchów elementarnych, które poprzedzać zwykły wielkie przełomy dziejowe.

Powiada gdzieś Lorenz von Stein, że ignorować tego ro-

dzaju ruchy jest równie śmiesznem, jak chcieć je zwalczać drobnostkowymi środkami. Powiedzenie jest trafne, ale nie sięga do dna kwestyi. Zasadniczem jest tu pytanie, czy tego rodzaju ruchy wogóle zwalczać należy? Opinia publiczna zarówno wobec strejku, jak i wobec całego dzisiejszego ruchu robotniczego, który ją zaskoczył znienacka, jest ciągle jeszcze niepewną i chwiejną. Raz patrzy na niego z sympatyą, raz znowu jeśli nie z odrazą, to z przerażeniem. Rozstrzygającą odpowiedź i oryentacyę dać tu może jedynie etyka. Nie ta ciasna, urzędowa etyka, przykrojona do potrzeb i interesów pewnych partyj czy klas, ale szeroka, na bezwzględnem prawie natury oparta etyka, która z tą samą pewnością i z tą samą dla wszystkich miarą przyznaje prawa i nakłada obowiązki.

(C. d. n.).

Ks. Wł. Piątkiewicz.

WALKA RASOWO-EKONOMICZNA W POZNAŃSKIEM.

Pociąg austryackiem tempem zbliżał się do granic państwa którego władcy jako dewizę przyjęli: *suum cuique*. Stanąwszy na granicy, trzeba się było piorunem zwijać, by poddać rewizyi kuferki podróżne i zdążyć jeszcze na pociąg, dający już sygnały odjazdu. Jakaś pani, jadąca z Galicyi z kilkorgiem dzieci, prosi po polsku posługacza, by jej pakunek zaniósł do wagonu. Wtem przyskakuje jakiś urzędnik pruski i groźnie oświadcza: *Hier wird nur deutsch gesprochen*. Fakt ten niewyjątkowy, nie potrzebuje żadnych komentarzy a ilustruje doskonale stosunki, jakie panują na wschodnich kresach państwa, które rzekomo się nikogo nie boi prócz Boga i... garści Polaków.

Prawie niepodobna zrozumieć, skąd ta zaciekłość, skąd ta fanatyczna nienawiść do 3 milionów ludzi, pełniących jak najskrupulatniej wszystkie obowiązki poddanych, płacących jak najsumienniej państwu podatek krwi, potu i mienia. A jednak fakt to niedający się zaprzeczyć, że państwo konstytucyjne, państwo najpotężniejsze, wytęża wszystkie siły, porusza wszystkie sprężyny, używa wszystkich środków, by garść Polaków zniszczyć, wynarodowić i przekształcić na Niemców, pracuje nad tem mniej lub więcej gwałtownie, mniej lub więcej otwarcie, ale z żelazną konsekwencyą i... dotąd bezskutecznie. Wprawdzie urzędownie głosi się, że nie myśli się Polakom odbierać narodowości, ale tępi się objawy tej narodowości, gdzie tylko się da, w urzędzie, w szkole, w sądach, ba, nawet w kościele niejedno-

krotnie. Wprawdzie mówi się uroczyście, że Polacy te same prawa i swobody mają, co każdy obywatel ziemski, ale w praktyce Polacy są helotami, wykluczonymi od większej części beneficyj, jakie posiadają szczęśliwi poddani niemieckiej narodowości i protestanckiego wyznania. Polacy żywią wrogie dla państwa zamiary, gotowi są do buntu, chcą stworzyć państwo niepodległe, tak przynajmniej pozoruje się eksterminacyjną walkę ze strony urzędowej niekiedy. Czy jednak przy pełnych zmysłach może ktoś wierzyć, by garść 3-milionowa i to bynajmniej niesolidarna, wcale niezasobna mogła lub nawet chciała to uskutecznić, mając przeciw sobie potęgę tak olbrzymią i to nietylko jedną, ale dwie potęgi największe w całej Europie? Nie, w to chyba nawet ci, którzy pomawiają Polaków o wrogie dla państwa zamiary, nie wierzą, nie mogą wierzyć, bo zbyt przecież są mądrzy.

Skąd zatem ta nienawiść do polskości ze strony rządu pruskiego i części społeczeństwa niemieckiego? Mówiąc z jednym z wyższych urzędników pruskich w tej kwestyi, usłyszałem zdanie bardzo w tej mierze charakterystyczne. „Rząd, oświadczył mi uczony przedstawiciel niemieckości, popełnia zasadniczy błąd, jeżeli okazuje słabość najmniejszą wobec Polaków. Leży to nawet w ich interesie, choć przyznaję, że im to nieprzyjemne. Kto, sądzisz pan, stworzył jedność niemiecką i potęgę niemiecką? Czy Bawarczycy, czy Nadreńczycy czy Westfalczycy, jednem słowem Niemcy czystej krwi? Nie, potęgę Niemiec stworzyli zgermanizowani Brandeburczycy, Pomorzanie, Prusacy. Skrzyżowanie germańskiej i słowiańskiej rasy, wydało to żelazne plemię, które dziś w świecie dzierży hegemonię. Tak polski żywioł po upornej walce niewątpliwie zleje się z niemiecką nacyą i doda nowej energii i nowych sił do wysokich zadań cywilizacyjnych, do jakich ona szczególnie jest przeznaczoną!“ Zatem podścieliskiem, pognojem dla szlachetnej nacyi germańskiej ma być naród polski, a że tej chlubnej dla siebie roli Wendów, Lutyków i Pomorzan przyjąć nie chce, że chce swój byt narodowy ocalić, *inde irae.* — Najciekawsze jest to, że germanizacyę tych ziem polskich uważa się za rewindykacyę dawnych ziem germańskich.

Wszak ludność wieśniacza w Polsce jest celtycko-germańskiego pochodzenia, tak twierdził już Hanke w początku XVIII. wieku, na podstawie przez siebie sfałszowanych źródeł, tych samych bredni historycznych dowodzą dziś naukowi ajenci spółki hakatyzmu w broszurach, odczytach i dziennikach. To już zakrawa na farsę, ale farsę może niebezpieczną. Tem samem prawem wszystkie ziemie, przez które kiedyś barbarzyńskie hordy Wandalów, Gotów przechodziły — a kroczyły nawet do Wołgi — są ziemią niemiecką. Nie dziw, że wobec takich wywodów historycznych, wszczepionych w masy, dziś Rosya musi się mieć na baczności. Czy na tem dobrze wyjdą blizko 2 miliony kolonistów niemieckich w dzierżawach carskich, to niech ci urzędowi uczeni szowinizmu niemieckiego sami osądzą. W każdym razie tego rodzaju enuncyacye w dzisiejszej naprężonej sytuacyi, podsycają tylko istniejący przecież antagonizm już nietylko narodowy, ale także rasowy. Lecz mniejsza o przyszłość, być może *après nous le déluge*, teraźniejszość i przeszłość wiekowa wykazuje niezawodnie, choćby setki zaprzeczeń urzędowych i nieurzędowych na papierze istniało, że mimo traktatów międzynarodowych, mimo zapewnień monarszych, pod zaborem pruskim przeciw Polakom i Słowianom toczy się eksterminacyjna walka, zaciekła walka rasowa, mająca na celu wytępienie narodowości, której się byt polityczny odebrało. Że tak jest, a nie inaczej, tego dowodem jest choćby najgroźniejszy objaw tej walki, to jest walka na polu ekonomicznem, której chcemy parę słów poświęcić.

Walka ta, mająca na celu wyzucie Polaków z wszelkiego mienia, zrobienie z nich helotów-wyrobników, rozpoczyna się z chwilą pierwszego rozbioru Polski i objęcia pierwszego zaboru przez rząd pruski i trwa po dziś dzień z mniejszą lub większą zaciekłością. Owocem tej walki jest przedewszystkiem utrata większej połowy obszaru ziemi na rzecz żywiołu niemieckiego. Obecnie w Poznańskiem większa własność niemiecka wynosi 4,372.912 mórg pruskich, polska tylko 2,408.758 mórg; mniejsza własność niemiecka 1,496.479 mórg, polska 2,993.958 mórg. W jaki sposób to straszliwe kurczenie polskiej ziemi się

odbyło i odbywa? Wszystkie dobra koronne, dobra kościelne rząd pruski zabrał natychmiast lub po kongresie wiedeńskim. Nie znana nam jest dokładnie ilość mórg w ten sposób utraconych, zważywszy jednak ogromne obszary dóbr arcybiskupich, biskupich, kapitulnych, takich klasztorów, jak w Lubiniu, Trzemesznie, Mogilnie, Paradyżu, Wągrowcu, Obrze, Przemencie i t. d., musimy przyjść do przekonania, że strata była olbrzymia, tem więcej, że prawie cały ten areał dostał się w ręce niemieckie. Po każdym z rozbiorów Polski odbywało się takie samo dzielenie gruntów pomiędzy szczęśliwych zdobywców, jak kiedyś w Lakonii przy zdobyciu jej przez Dorów lub w państwie rzymskiem przy osiedlaniu się w niem Ostrogotów, Wizygotów, Burgundów i Franków. Dokładne rejestra rządowe wykazują, że np. od r. 1794—1798 w zaborze pruskim rozdano między Niemców za wpływem rządzących kreatur 241 wsi, nie licząc folwarków. Wartość tych donacyj wynosiła najmniej 60 milionów marek, chociaż oszacowana była umyślnie tylko na 10 milionów mk, aby nie wzbudzić podejrzenia króla na tę frymarkę. Jeden z historyków pruskich, Manso (*Geschichte Preussens v.* 1763—1797) piętnując tę bezczelną gospodarkę, dodaje: „Przyszło do tego, że hoteliści berlińscy pisywali wysokim urzędnikom maleńkie rachunki, w nadziei, że wynagrodzeni za to zostaną darowizną jakiej polskiej wsi, gdy zaś ich ta nadzieja omyliła, nasyłali potem owych urzędników większymi rachunkami".

Po pierwszym rozbiorze Polski, zakazał Fryderyk II. wszystkim właścicielom dóbr w okręgu nadnoteckim i Prusach zachodnich przebywać za granicą. Ponieważ wielka część szlachty polskiej, mając swe dobra w uszczuplonej Polsce, wolała tam przesiadywać, chcąc uniknąć szykan urzędników pruskich, zniewolona była za bezcen dobra sprzedawać, które przechodziły oczywiście w ręce niemieckie. W ten sposób odbyła się na wielką skalę kolonizacya szlachty niemieckiej. Obok niej równocześnie idzie kolonizacya wśród ludu. Od roku 1772—1793 osadzono w samych tylko dobrach rządowych 506 familij mieszczańskich czyli 1.478 osób i 800 familij chłopskich czyli 5.519 osób. Pier-

wsze za Fryderyka II. sprowadzone familie liczyły 4.629 osób i kosztowały skarb, a ściśle mówiąc obwód nadnotecki 540.000 mk, gdyż z dochodów jego sumę tę wyłożono (Holsche, *Der Netzedistrict*). Osadnicy ci z wszystkich stron Niemiec sprowadzani, otrzymywali koszta podróży, budowano im domy, dawano darmo inwentarz, zwalniano na pewien czas od podatków. W przecięciu kosztowała każda familia kolonistów 3.400 mk. (Holsche, *Geographie und Statistik von West-, Süd- und Ostpreussen*). Fryderyk Wilhelm III. łożył rocznie na kolonizacyę z dochodów obwodu poznańskiego 50.000 mk; a oprócz tego od r. 1797—1807 nadzwyczajnym sposobem 6,120.000 mk. Oczywiście ludność polska w coraz gorsze popadała położenie: wyparta z urzędów, nie mając kapitałów do handlu, nie umiejąc szukać zarobku w przemyśle i rękodzielnictwie, a wyzuwana z ziemi, ubożała i w części emigrowała, zwłaszcza liczna rzesza dzierżawców, rządców i ekonomów pod zabór rosyjski, gdyż w dobrach okupowanych przez rząd lub niemiecką szlachtę tylko urzędnicy niemieccy znajdowali zatrudnienie i chleb. Jeżeli w ten sposób od razu jeszcze w XVIII. wieku uprzątnięto się z dobrami publicznemi polskiemi, to na dobra prywatne polskie inny wymyślono sposób, to jest tani kredyt, którego łatwowierna szlachta polska nadużywając miała się sama wyzuć ze swych posiadłości. Na szczęście wojny napoleońskie stanęły na przeszkodzie tej obławie na dobra polskie, a jedynym śladem tego zamachu to t. zw. sumy bajońskie, które Napoleon umorzył w porozumieniu z rządem pruskim.

Wojny napoleońskie, dalej powstania z 1830, 44 i 63 roku sporo zrujnowały szlachę, i to zadłużenie się na cele narodowe więcej niechybnie przyniosło uszczerbku ziemi polskiej, niż nieliczne konfiskaty, jakie rząd na winnych zarządził. Także przez koligacenie się z Niemcami lub niemczenie się przeszło dość ziemi w ręce niemieckie. Olbrzymie np. dobra Opalińskich, Koźmin, Radlin i t. d. przeszły z ręką ostatniej dziedziczki, Sapieżanki, w posiadanie jenerała pruskiego, Kalkreutha, a kiedy wskutek bankructwa po śmierci jenerała rząd, będąc opiekunem jego dzieci, musiał dobra te sprzedać, sprzedawał je wyłącznie Niemcom. To też kiedy ojciec czy dziad dzisiejszego księcia

Radolin chciał Radlin nabyć z powodu sąsiedztwa i podobieństwa do nazwy rodowej, Radoliński, otrzymał zezwolenie na kupno tylko pod warunkiem, że równie wielki areał Niemcom sprzeda. To miało miejsce w czasach najlepszych stosunków rządu do Polaków. Dziś zaś ta sama rodzina Radolińskich jest niemiecką, zniemczyła się w jednej generacyi, a tem samem areał 20.000 morgów jest dla nas stracony. W podobny sposób i inne polskie rodziny, jak Podbielskich, Zakrzewskich, Dziembowskich i t. d. są wraz z majątkiem dla polskości stracone, cieszą się wielkim mirem u sfer rządowych i jako wzór dla Polaków bywają stawiane. Na szczęście *rarae* to są *aves* w naszem społeczeństwie i takie straty z łatwościąby przeboleć można.

Niestety najwięcej do skurczenia ziemi ojczystej ponoć same obywatelstwo się przyczyniło, dzięki swej lekkomyślności, życiu nad stan, nieględności i nieporadności. Te to wady lwią część owych 4 milionów morgów ziemi żywiołowi niemieckiemu przysporzyły, i to bez użycia środków wyjątkowych, i to w czasach, kiedy rolnictwo nie przechodziło jeszcze przesilenia, w jakiem się dziś znajduje. Robienie długów, weksle i nieodstępni ich towarzysze, Żydzi zabrali najzamożniejszym niegdyś rodzinom setki tysięcy morgów ziemi. Jak wielką rolę odgrywała przytem nieporadność, dowodem tego dobra baszkowskie, które przeszły na subhastę z powodu długu 300.000 marek, który to dług Żyd nabywca spłacił lasem, znajdującym się w tych dobrach, a dobra same otrzymał jako czysty zysk. Lekkomyślność ta w zaciąganiu długów i pozbywaniu majątków sprowadziła na Poznańskie ową niezdrową spekulacyę i handel majątkami ziemskimi, czemu w części należy przypisać owo olbrzymie obdłużenie wszelkich posiadłości, po dziś dzień wynoszące w obwodzie poznańskim 50% wartości majątkowej, a w obwodzie bydgoskim więcej zgermanizowanym nawet przeszło 57%. Dzięki tej okoliczności odbywa się częsta zmiana właścicieli, co jednak dla Niemców nie jest tyle szkodliwe, bo wśród nich zawsze się znajdzie wreszcie jakaś ekonomicznie silna jednostka, która utrzyma się w posiadaniu majątku. Bo-

gate, bo czerpiące z wydatniejszych źródeł niż rolnictwo swe zasoby społeczeństwo niemieckie, 50-milionowe, może takich silnych jednostek daleko więcej dostarczyć, niż uciskane ubogie, 3-milionowe społeczeństwo polskie. Walka zatem nawet bez poparcia rządowego jest nierówna; to też majątki ziemskie, które przeszły raz w ręce drobnych książąt panujących niemieckich, jak książąt Reuss, Waldeck, Schwarzburg, Sondershausen, lub majoraty, przekazane ks. Turn und Taxis za monopol pocztowy, wynoszące kilkaset tysięcy morgów — te bezpowrotnie dla nas są stracone.

Lecz nietylko tak potężne pod względem ekonomicznym jednostki są dla nas niebezpieczne, ale i znacznie słabsze, byle przedsiębiorcze i obrotne, znajdując silną pomoc u rządu. Typem takiego spekulanta-dorobkiewicza, a zarazem rządowego ajenta do wykupywania majątków polskich, jest głośny filar hakatyzmu, Kenemann z Klenki. Przed 50 laty przybył do Księstwa jako rządca, a dziś posiada dóbr około 50.000 morgów, i to wzorowo pod każdym względem zagospodarowanych. Wprawdzie sami Niemcy twierdzą, że w ten sposób, co Kenemann, każdy może przyjść do majątku, zwłaszcza jeżeli się otrzymuje pożyczki 2%, i to w tych czasach, kiedy stopa procentowa wynosiła nie $3^1/_2$—4%, lecz 6 i więcej. Niewątpliwie z pomocą tylko taką mógł człowiek jeden bez kapitału, w krótkim stosunkowo czasie, nabyć Klenkę, Aleksandrowo po Grabskich, Chociczę od Sadowskiego, Boguszyn od Sczanieckich, Książ od Budziszewskich, Wielkie Jeziory po Czarneckich i t. d. i t. d., z tem wszystkiem przyznać trzeba, że to niepospolity gospodarz, który umiał skorzystać z sytuacyi, i że, jak Bismark, polskie niedołęstwo i pomoc rządową znakomicie wyzyskał i wyzyskuje. Trzeba zobaczyć Klenkę, stolicę tego agrarnego konkwistadora to już nie wieś, nie rolnictwo, ale industrya. Płody tylko przerobione sprzedaje się, a sprzedaje się w Berlinie; masło, mąkę, mączkę, spirytus i bydło opasowe, angielskie wieprze i skopy. 40.000 cetnarów ziemniaków częścią swoich, częścią sprowadzanych z Królestwa Polskiego Wartą, rocznie przerabia się na mączkę lub spirytus; a to wszystko z pomocą robotnika pol-

skiego pod kontrolą niemieckich urzędników. Bo i na sile roboczej chłopa polskiego zna się wybornie p. Kenemann. Kiedy bowiem przy zakładaniu spółki „HKT“ robotnicy polscy przyszli mu wypowiedzieć służbę, urządził zabawę ludową dla robotników i tu na wiecu oświadczył, że nie przeciw polskim robotnikom się walczy, lecz przeciw panom polskim, którzy się buntują i nie chcą rządu słuchać. A ponieważ p. Kenemann płaci dobrze, regularnie i t. zw. ordynaryę, tj. zboże i inne naturalia, daje ludziom doborowe, więc zostali. Tak od tego Kenemanna mogliby się Polacy wiele nauczyć, z wyjątkiem nienawiści dla obcoplemieńców, ale ba... Polaka on do nauki gospodarstwa nie dopuści, a nawet Polakowi nic nie sprzeda, on tylko od Polaków kupuje ziemie, surowe płody i pracę; jest przyjacielem Bismarka i *Landeskonomierathem,* nienawidzi Polaków posiadających majątek, i dobre na tem robi interesa. Takich Kenemannów, tylko na mniejszą skalę, jest oczywiście więcej i wszyscy dobrze się tuczą kosztem Polaków, no... i kosztem rządu, który do hecy antypolskiej podżegają.

Szczególnie obfite żniwo przyniósł tym prawym przedstawicielom germańskiej zachłanności zachwianie się banków polskich, Tellusa i innych, spowodowane krachem wiedeńskim około 1870 r., i przesilenie rolnicze, które oczywiście ekonomicznie słabszemu obywatelswu polskiemu daleko więcej dało się we znaki niż niemieckiemu. Skorzystać z tego przesilenia ekonomicznego szlachty polskiej na wielką skalę, nie bez poduszczenia Kenemannów i *tutti quanti* postanowił żelazny kanclerz, który także w części swe sukcesa polityczne zawdzięcza zręcznie wyzyskanej sprawie polskiej. I tak powstała owa osławiona komisya kolonizacyjna z funduszem stumilionowym, uchwalonym przez parlament, a płaconym w części także przez Polaków na wykupienie polskiej ziemi na rzecz osadników niemieckich. Inteligencya niemiecka gorszy się brutalnem obchodzeniem Hiszpanów z Mauriskami, Aztekami i Inkasami, oburza się na eksterminacyjną politykę dawnych Anglików w Irlandyi, nie może znaleść dość słów potępienia na dragonady Ludwika XVI. i nietolerancyę katolickich książąt XVII. w., ta sama inteligencya,

ci sami profesorowie i urzędnicy zupełnie taką samą brutalną politykę wywłaszczania spokojnych współobywateli, podyktowaną chciwością i nietolerancyą narodową, chwalą i popierają w końcu XIX. wieku. Co za spaczenie pojęć etycznych w pewnej części społeczeństwa niemieckiego! Mniejsza jednakże o to, w ciągu 11 lat (1886—96) fundusz ów pochłonął 92.724 hekt. ziemi przeważnie polskiej, z czego na W. Ks. Poznańskie 67.352 hekt., tj. około 240.000 mórg pruskich wypada. Zapłacono za ten areał 56 milionów mk., przeciętnie dając za hektar 606 mk. Szczególnie 3 pierwsze lata działalności komisyi były dla nas straszne, gdyż zakupiono blizko 38.000 hekt., z tego 1.300 hekt. posiadłości włościańskich. W ostatnich 3 latach kupiła komisya 17.000 h., z tego włościańskich zaledwo 41 hekt.. a w r. 1896 tylko 3.519 hekt., włościańskiej posiadłości żadnej. Nie trzeba atoli zapominać, że komisyi kolonizacyjnej ofiarowano w tym roku na sprzedaż z wolnej ręki 81 majątków wielkich i 27 posiadłości chłopskich, w tej liczbie ze strony polskiej 25 dóbr większych i 18 gospodarstw włościańskich. Wprawdzie komisya kupiła tylko 7 majątków większych, a z tych 4 o obszarze 1.725 hekt., jednak 1.794 hekt. ziemi sprzedali Polacy, a o niektórych łatwoby wykazać, że to uczynili lekkomyślnie, dla pozbycia się kłopotów agronomicznych, wcale nie zmuszeni kłopotami finansowej natury. Przeważnie bowiem korzystała komisya dawniej z terminów subhastacyjnych; z nabytych ogółem 148 majątków większych kupiła 119 pod młotem, a z 735 posiadłości włościańskich tylko 24 na licytacyi. Że komisya dziś, wobec tak licznych ofert właścicieli, z nich nie korzysta, pochodzi stąd, że kolonizacya odbywa się według pewnego planu, gromadząc większą liczkę kolonij obok siebie w powiatach wschodnich nadgranicznych lub najbardziej polskich; tak w powiecie odalanowskim o obszarze 479 km². zakupiono 2.684 hekt., w powiecie pleszewskim o obszarze 480 km². 1.843 hekt., w jarocińskim o ob. 720 km². 3.025 hekt., wrzesińskim o ob. 561 km². 5.130 hekt., gnieźnieńskim o ob. 561 km². 7.536 hekt., mogilnickim o ob. 732 km². 4.024 hekt.; ze środkowych, najbardziej polskich powiatów najwięcej wykupiono ziemi w powiecie żniń-

skim o ob. 741 km². 9899 hekt., średzkim o ob. 1014 km². 8189 hekt. Drugim powodem wstrzemięźliwości komisyi jest także brak osadników niemieckich. Do końca r. 1896 osadziła komisya kolonizacyjna tylko 1975 kolonistów, z tych 436 było z Poznańskiego, 372 z Prus Zachodnich, 16 z Prus Wschodnich, 144 ze Ślązka. Z czysto niemieckich prowincyj tylko bardzo mało przybyło, bo z Westfalii tylko 242, z Hesyi 23, z Hanoweru 11, z prowincyi nadreńskiej 51, z prow. saskiej 58, z Wirtembergii 56, z Badenii 8, z Bawaryi 2, z Rosyi 81 Niemców i t. p.; właściwie więc o 1167 rodzin powiększyła komisya kolonizacyjna żywioł niemiecki i protestancki (na 1975 kolonistów zaledwie 131 katolików) na kresach wschodnich i to kosztem 75 milionów marek. Należy tu zaznaczyć, że wielu kolonistów, osadzonych przez komisyę, czuje się niezadowolonymi ze swego losu. Mimo że od kolonisty żąda się tylko 2100 mk. kapitału, mimo że uwolniony jest na 3 lata od podatków, mimo, że komisya przez obniżanie spłat rentowych, dostarczanie inwentarza taniego i bezpłatnych drzew owocowych, budowanie kościołów stara się osadnikom ułatwić zadanie i przywiązać do nowych siedzib, mimo tych ulg, mimo wszelkich melioracyj, wykonanych kosztem funduszu stumilionowego, znaczna liczba kolonistów ulotniła się, inni zbankrutowali, niektórych sama komisya musiała odesłać, skąd przyszli, bo nie byli zdolni do gospodarowania w roli; w r. 1896 np. 3 kolonistów musiano subhastować, a 39 pozbyło się dobrowolnie swych gospodarstw na rzecz innych osadników niemieckich. Przybysze ci z zachodu dostają się w odmienne warunki, w okolicę, gdzie ceny zbożowe są znacznie niższe niż na zachodzie, nie podoba się im biurokratyczna opieka komisyi a przedewszystkiem dostają się oni między dwa młyńskie kamienie, między wszechwładne latyfundye i wytrwałego a w wymaganiach skromnego chłopa polskiego. Kolonista niemiecki jest, przeciętnie biorąc, wygodny, lubi wypić i zjeść dobrze i nie jest tak ochoczy do pracy; nadto kosztowne budynki gospodarcze, 6.000 mk. na kolonię, zbytnio obciążają grunta, tak iż w tych warunkach zapewne rząd to samo uczyni, co ongi Fryderyk II. tj. ziemię po prostu kolonistom daruje. Kolonizacya niemiecka

tylko dzięki niesłychanej pomocy rządu, tylko dzięki niesłychanym przywilejom ma jakie takie powodzenie; tak było w XIII. wieku, tak w XVII. i XVIII., tak i obecnie, wyrugować jednak żywiołu polskiego włościańskiego nie jest dziś zdolna. Wprawdzie uległ kiedyś dolny Ślązk w szybkim czasie zniemczeniu, nie należy jednak zapominać, że to było możliwe tylko przy takiem rzadkiem zaludnieniu, jakie posiadały nadgraniczne owe puszcze nad Odrą; tam, gdzie było nieco gęstsze zaludnienie, jak na górnym Ślązku, tam mimo tych samych 6-wiekowych wpływów, mimo wynarodowienia się szlachty, lud pozostał, jak był, polskim. Inna rzecz zresztą było germanizować barbarzyńskie, zdziesiątkowane wojnami plemiona Wendów, Pomorzan lub Prusaków, co dopiero nawróconych, przyjmujących wraz z kulturą wyższą nową wiarę, niż dzisiaj wynarodowić ludność, mającą silne tradycye odrębne i religijne i etniczne, a nawet i narodowe. A i ta kolonizacya szlachecka, że się tak wyrazimy, to jest wywłaszczenie większej posiadłości polskiej w części udała się li tylko dzięki ustawicznemu poparciu rządu, bez tej pomocy ci junkrzy i spekulanci, nabywający polskie dobra, niezawodnie i połowy sukcesów nie byliby osiągnęli. Otrzymując zaś pomoc ustawicznie, uważają oni tę pomoc za rzecz naturalną; jako zapłatę, przynależną im za popieranie interesów rządu na kresach. Tak samo i owa wyłącznie prawie niemiecka hierarchia urzędnicza czy wojskowa, tu na kresach przez rząd wytworzona i osadzona nie tylko do pełnienia różnorodnych funkcyj administracyjno-sądowych i t. p., ale i w celach politycznych, te najłatwiejsze funkcye polityczne spełnia z większą czasem gorliwością niż się to nawet z charakterem urzędnika zgadza i jest *plus prussienne que le roi de Prusse,* zwłaszcza jeżeli jednostka ambitna chce tanim kosztem dosłużyć się awansu. Stosunki te niezdrowe, istniejące od dawna już, a spotęgowane za rządów Bismarka, dzięki jego inicyatywie przybrały też konkretną formę w osławionem Torzystwie do szerzenia niemczyzny, hakatyzmie.

Już sama nazwa towarzystwa, wywodząca się od początkowych głosek naczelników tej spółki, dostatecznie nas objaśnia o jej celach. Dr. Hansemann, nabywca dóbr Pępowo, to syn

bankiera berlińskiego, robiącego znakomite interesa na usługach rządowych, Kenemann i Tiedemann, pozasłużbowy major, właściciel Jeziorek, majątku w Poznańskiem, należą właśnie do owych szczęśliwych konkwistadorów agrarnych. Towarzystwo to powstało wtedy, gdy następca ks. Bismarka nie chciał kontynuować jego antypolskiej polityki. Podsycać i tak zaognione antagonizmy narodowe, podniecać rząd i społeczeństwo do hecy przeciw Polakom, oto zaszczytne zadanie tej zacnej spółki.

Właśnie niedawno temu organ hakatystyczny *Die Ostmark* ogłosił spis członków zarządu i wydziału ogólnego tego towarzystwa, ogółem 400 nazwisk. Przeważnie rekrutują się z właścicieli ziemskich i urzędników państwowych, pastorów i t. d. Oczywiście kierownikami są założyciele: Tiedemann prezesem, drugim zastępcą prezesa dr. Hansemann z Pępowa, a w wydziale ogólnym zasiada Kenemann z Klenki. Po największej części, powiada niemieckie pismo *Posener Zeitung*, mamy tu do czynienia z grupą chciwych władzy właścicieli ziemskich. Co tam jeszcze się umieściło, to chyba jeden Bóg wie, na co i w jakim interesie; jest może między nimi kilku takich idealistów, których piękne nazwisko towarzystwa wyprowadziło w pole". Czy do tych należy także 20 profesorów uniwersyteckich, między innymi Feliks Dahn, który nie może nie być, gdzie krzyczą „hurra", dr. Lamprecht z Lipska, dr. Esmarsch z Kilonii, przez żonę krewny cesarza, baron Wilamowitz v. Möllendorf z Berlina? Trafnie scharakteryzował hakatystów poseł wolnomyślny Jaeckel, zwiąc ich „junkrami i karyerowiczami", którzy „przez wyraz ‚cięty' rozumieją butę połączoną z brutalnością". Hecy antypolskiej służy 16 pism, między niemi *Geselliger*, główny kapelmistrz niemieckiej tramtadracyi, *Posner Tageblatt, Ostdeutsche Presse, Köln. Zeitung, Berliner Neuste Nachrichten, Post, Münchner Allg. Ztg., Vossische Ztg.* To są surmy wojenne, mobilizujące żądnych zdobyczy synów Germanii przeciw garstce Polaków. O działalności politycznej hakatyzmu pomówimy w innym artykule, tu wypadnie nam przedstawić jego akcyę antypolską na polu ekonomicznem. Z inicyatywy hakatystów powstał w r. 1894 znany w dzielnicach polskich *Landbank*, który zakupuje ziemie

w tych dzielnicach, aby je parcelować między protestantów. Zakupił ten bank do końca 1896 r. 15 dóbr, tj. 67.950 morgów pruskich ziemi, którą teraz pragnie obsadzić kolonistami protestanckimi. Aby zwabić tych kolonistów rozszerza miliony odezw i reklam na sposób amerykański w okolicach protestanckich od Oldenburgii aż do Pomorza i Brandenburgii. Na czele tych odezw jest malowany chłop niemiecki — ma to być kolonista — orzący rolę w dwa konie, a raz po raz wglądający do fajeczki, czy nie zgasła. W dali widać ogrody, a pośród nich zbór protestancki. Odezwa wzywa młodych rolników i przemysłowców, aby się zgłaszali do *Landbanku* po parcele, gdyż o połowę taniej niż w zachodnich Niemczech, bo za 100—300 mk. można dostać morgę roli od *Landbanku*. Chwali się tu hakatystyczna instytucya, że rozparcelowała 24.000 morgów, że zarobiła w jednym roku 356.507 mk. i dała swoim akcyonaryuszom 7% dywidendy. Znawcy jednak lokalnych stosunków powiadają, że na owych rozparcelowanych dobrach *Landbanku* kolonistów jakoś nie widać. Przed paru miesiącami głosił *Landbank*, że zamierza rozparcelować Karbowo (w Prus. Zach.), a niedawno temu dowiadujemy się z gazet, że w Karbowie zakłada fabrykę kafli i porcelany. Prawdopodobnie nie znaleźli się koloniści, więc tego chwycono się środka, aby oprocentować kapitał. „Widocznie tak z tymi kolonistami wiedzie się *Landbankowi*, jak komisyi kolonizacyjnej — powiada *Schlesische Volksztg.* — obie te instytucye nakupiły dużo ziemi, aby na niej osadzać kolonistów i poprzeć zagrożoną na wschodzie niemczyznę, ale koloniści nie dopisali. Od 1815 r. pracuje się z niezmiernem natężeniem sił nad wyrugowaniem chłopa polskiego, ale on jak siedział, tak siedzi na swojej skibie. Pewno *Landbank* też z swoim ‚patryotycznym' planem nie będzie miał większego szczęścia w tym względzie. Gdyby tu mniejszy rolnik mógł zrobić takie wielkie szczęście, jak nam obiecują, toby je też zrobili mniejsi osadnicy niemieccy i nie wynosiliby się z swych chudob, jak to np. widzimy w Nadnoteckiem".

Jest jeszcze jedna instytucya państwowa, pracująca nad rozdrobnieniem wielkiej własności ziemskiej w dzielnicach polskich. Jest nią komisya jeneralna do zakładania osad rentowych,

opierająca się na ustawie z d. 7 lipca 1891 r. Osobne komisye jeneralne istnieją w Bydgoszczy, Królewcu, Wrocławiu, Kassel, Dyseldorfie, Frankfurcie nad O., Hanowerze, Merseburgu i Monasterze, a działalność ich rozciąga się na następujące prowincye: W. Ks. Poznańskie, Zach. i Wsch. Prusy, Pomorze, Brandenburgię, Ślązk, Saksonię, Szlezwik, Holsztyn, Hannower, Hessen-Nassau, Nadrenię i Ks. Hohenzollern. Instytucya ta nie miała początkowo charakteru antypolskiego, nie ma go też wyraźnie i teraz, wskutek jednak wrzawy hakatystycznej spaczono jej cel przez wydanie tajnego rozporządzenia, ograniczającego procent polskich osadników, korzystających z renty, tak że nasze instytucye parcelacyjne pozbawione są prawie zupełnie pomocy komisyi jeneralnych. Najliczniejsze siedziby rentowe zakłada się w Księstwie i w Prusach Zachodnich. Liczba dóbr od r. 1891 do końca 1896 zamienionych w Prusach na włości rentowe wynosi 709, obszaru 168.799 hekt., w tem 67.293 hekt. rozparcelowanego. Niestety nie podaje wykaz urzędowy w *Reichsanzeigerze* szczegółowo, ile z tego obszaru przypada na obie polskie dzielnice, w przybliżeniu można to jednak obliczyć z narodowości osadników rentowych. W r. 1896 utworzono 867 nowych siedzib a nadto zakupiono 300 siedzib od adjacentów; z tych 1167 siedzib jest 589 w ręku ewangelików, 577 w ręku katolików, 1 osadę kupił menonita; pod względem narodowości osiedlono w r. 1896 razem 750 Niemców, 345 Polaków, 53 Mazurów (!), 17 Czechów, 1 Szwajcara i 1 Amerykanina. Ogólny rezultat działalności komisyi jeneralnych od r. 1891—1896 jest taki: Nowych siedzib utworzono 4552, a nadto zakupiono od adjacentów 1836 siedzib; z tych jest w ręku ewangelików 3417, w ręku katolików 2759, w ręku żydów 6 i 6 w ręku menonitów. Podług narodowości rozdziela się liczba osadników w ten sposób: Niemców jest 3983, Polaków 1975, Mazurów (!) 142, Litwinów 66, Czechów 17, Austryaków (?) 2, Szwajcarów 2 i 1 Amerykanin.

Na polu przemysłowo-handlowem akcya zaczepna niemczyzny mniej miała sposobności się uwydatnić. Oczywiście z napływem osadników niemieckich powstawały firmy niemieckie i osiedlał się przemysłowiec niemiecki, nie w takiej liczbie je-

dnak, by mógł zaważyć na szali walki narodowościowej. Handel bowiem znalazł zbyt potężnego konkurenta w żywiole semickim, który oczywiście natychmiast stał się *urgermanisch* i w hecy antypolskiej dla interesu najskwapliwiej brał udział; przemysł fabryczny zaś nie miał zbyt wielkiego pola do rozwoju, a rękodzielnictwo nie obiecywało wielkich korzyści. Wyłączony zresztą od urzędów, usuwany z ziemi Polak, chcąc jeść, musiał się rzucać do handlu i przemysłu i dlatego na tem polu stanowcze robi postępy. Wszakże i polski procederzysta jest zagrożony w swej egzystencyi ze strony wyłącznie prawie niemieckich towarzystw konsumpcyjnych, urzędniczych i oficerskich, które wolne są od podatków i mają swe składy w budynkach urzędowych. Wobec tego konkurencya dla osiadłych samodzielnych przemysłowców jest niemożliwa i skutkiem tego marnuje się wiele samodzielnych, zdolnych do płacenia podatków, egzystencyi. W najnowszych czasach hakatyzm propaguje i na tem polu bojkot przeciw Polakom, zakładając handle niemieckie, wspierając tylko przemysłowców niemieckich, a nawet i lekarzy. Czy jednak walka na tem polu przyniesie zagrożonej niemieckości korzyści, wątpić należy, w miarę jak cała ludność polska, bojkotowana na każdem polu, sama do bojkotu przystępuje. Hakatyzm gwałtem pcha ją do tego, a na tem najgorzej handel i przemysł niemiecki wyjść może. Nie dziw więc, że właśnie ze sfer wolnomyślnego mieszczaństwa niemieckiego wychodzi zdrowa reakcya „przeciw nagonce urzędników-karyerowiczów i zuchwałych junkrów wschodnich Elbian“ na Polaków i ich mienie, czemu dał właśnie niedawno energiczny wyraz kongres wolnomyślnego stronnictwa ludowego w Norymberdze. Czy ten protest zdrowej części społeczeństwa niemieckiego przeciw obecnej gospodarce rządu i interesowanych w tej walce hakatystycznych rycerzy szczęścia będzie dość silny i wytrwały, by większość społeczeństwa niemieckiego przeciw temu ulegalizowanemu bezprawiu poruszyć, nie możemy przewidzieć...

Na razie wynik tej zaczepnej akcyi na polu ekonomicznem przeciw Polakom, może synów Germanii zadowolnić. Dwie trzecie własności większej, a jednę trzecią mniejszej własności odebrano

już Polakom. Wyparto ich z wszystkich prawie posad rządowych i autonomicznych, przez pozyskanie żywiołu semickiego, wynoszącego zwyż 40.000 głów, dla niemieckości zdobyto wielki handel i część industryi fabrycznej; z powodu przewagi niemieckiej wielkiej własności pozyskano w przeważnej części tyle ważny dla kraju rolniczego przemysł rolniczy, tj. cukrownictwo, piwowarstwo i gorzelnictwo, i wzmocniono żywioł niemiecki w Poznańskiem nie do połowy zaludnienia, jak się chwalą podręczniki szkolne niemieckie (Tromnau, *Heimatkunde der Provinz Posen*), lecz co najmniej do jednej trzeciej tj. do 600.000 głów. Uzyskano te sukcesy atoli niesłychanym nakładem ze strony rządu, bo większa połowa tej niemieckiej ludności, urzędnicy, właściciele majątków ziemskich, urzędnicy gospodarczy i koloniści niemieccy, żyje albo kosztem rządu albo poparciu rządowemu zawdzięcza swój byt materyalny i uprzywilejowane stanowisko społeczne. Ciekawa rzeczby była wyrachować, ile rząd pruski od r. 1772 wydał na cele germanizacyi, że wydał bardzo wiele to fakt; te 600.000 Niemców kosztują rząd bodaj czy nie zbyt wiele, aby się to zgadzało ze zdrowym ich rozwojem i dobrem państwa. Niemcy bowiem, wszędzie uprzywilejowani, wszędzie popierani, wszędzie głaskani w przeciwieństwie do tubylców, odgrywają rolę gagatków, których się ze zbytniej miłości forytuje kosztem pasierbów i oczywiście psuje. Nie dziw, że te gagatki bez pomocy troskliwego rodzica tj. rządu pruskiego są nieporadni, nie dziw, że oni tego rodzica już dziś za nos wodzą i rozkazują mu takiemi drogami kroczyć, które mu na korzyść nie wyjdą, a siłę żywotną żywiołu niemieckiego osłabiają, krępując ją ciągle w powijaki uchwał sejmowych lub rozporządzeń ministeryalnych. Nie dziw, że te znarowione gagatki stają się i dla swych własnych ziomków uciążliwymi, i że rządy forytujące wbrew duchowi konstytucyi jednych poddanych kosztem drugich nietylko samym Polakom, ale coraz szerszym kołom niemieckim stają się ciężkimi. Urzędnik wyuczony „ciętości“ na polskiej skórze, nie waha się jej użyć wobec Niemców, jeżeli nie tańczą wedle nuty rządowej, stronnictwo wyrosłe na chlebie rządowym z pogwałceniem treści konstytucyi wobec Polaków,

nie wzdraga się przed uchwałami zagrażającemi i wolności Niemców i nie waha się domagać przywilei wyjątkowych i na ziemi niemieckiej. Zaciekłość stronnictw w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, i brutalność w postępowaniu wobec stronnictw nierządowych, bodaj czy nie urodziła się na kresach polskich. Takie mniej więcej są rezultaty walki ekonomicznej na kresach wschodnich państwa niemieckiego dla zaczepiającej strony. Świetne są one dla pieszczochów rządu pruskiego, junkrów i karyerowiczów; jakie są dla biednych pasierbów rządu pruskiego, pomówimy w następnym artykule.

(Dok. nast.).

Wielkopolanin.

PEREZ GALDOS I JEGO DZIEŁA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Jak Perez Galdos rozumie cnotę „z Bogiem“ widzieliśmy po trosze w dziejach Nazarina. Bardziej ludzką przedstawia nam ją *Marianela*, świeża jak dzień wiosenny idylla o ślepej dziewczynie. Znajdujemy ją też bardzo wysoką w powieści *Torquemada y San Pedro*, zamykającej cykl z kilku tomów złożony.

Torquemada, który nas dziś zajmuje, nie miał nigdy nic do czynienia z Inkwizycyą ani z religijnemi sporami. Jestto postać zupełnie powszednia, rzecby można czysto materyalna, gdyby wiara nie uczyła nas, że nawet wekslarz i lichwiarz ma duszę. D. Francisco Torquemada nie jest czem innem, jak wekslarzem, ale wekslarzem genialnym, który wszystkie siły swego umysłu, cały pot swojej duszy wysącza dla zbierania pieniędzy. W życiu zazwyczaj czego człowiek usilnie szuka — to znajduje: amator kwiatów potrafi sobie w mieście na poddaszu urządzić ogrody, Schliemann z poza sklepu korzennego dostrzegł i odgrzebał Troję; kobieta chciwa plotek znajdzie do nich materyał choćby na pustyni; szukający spokoju odczuje go wśród gwaru interesów lub wojny, a miłosierny potrafi spełniać swój urząd niebiański nawet wśród sali balowej. Torquemada zaś nie szukał kwiatów, ani Troi, ani nawet plotek a tem mniej miłosiernych uczynków: żył, pracował, myślał, męczył się, uciskał drugich dla miłości złota, i złoto wdzięczne płynęło do niego

szeroką falą. Pierwsze części cyklu *Torquemada en la Cruz* i *Torquemada en la Hoguera* (Torquemada w piecu ognistym) nie doszły rąk naszych; z przedostatniej wszakże *Torquemada en el Purgatorio* można się całego początku domyśleć. Jestto „ballada jakich wiele". Potężna rodzina panów de Aguila podupadła do ostatniej nędzy. Majętności wprawdzie istniały, ale przeciążone długami; z rodu pozostał tylko ociemniały młodzieniec Rafael i dwie jego siostry, Fidela i starsza, Cruz, dzielna, energiczna, rozsądna. Stosunki wiązały ich z najwyższym światem, spory rodzinne oddalały od ludzi. Jak i gdzie zapoznali się z Torquemadą — nie wiemy; prawdopodobnie dawny wekslarz, potem ajent giełdowy a dziś przedsiębiorca, prowadzący wielkie interesa na własną rękę, dopomógł im do wygrania jakiejś sprawy. Dość, że Cruz, która od chwili ich osierocenia pracowała, myślała i działała za brata i siostrę, teraz wydała tę ostatnią za Torquemadę. Był on nie młody i nie piękny; fizycznie ciężki a nieokrzesany moralnie; w sprawach pieniężnych, jak mówiliśmy, genialny, ale zresztą nie umiejący nic. Z pierwszego małżeństwa miał córkę Rufinę, wydaną za d-ra Quevedo; i córka i zięć byli ludźmi anielskiej dobroci, ale nie starczyli, aby go pocieszyć po śmierci jedynaka, porwanego wkrótce po matce.

D. Francisco Torquemada pojął zatem Fidelę i pokochał ją szczerze. Nie był to człowiek zły, choć porywczy i skąpy. Dla żony nic nie żałował, nie tylko wyniósł się ze starej dzielnicy miasta, kędy wszystkie wspomnienia i stosunki zostawiał, ale do nowego, obszernego mieszkania wziął ślepego szwagra i mądrą Cruz. Ta, jak dotąd rządziła rodziną, tak obecnie zapanowała nad domem Torquemady. Fidela była słodka, leniwa i słabowita; dostawszy się nagle z groźnego ubóstwa do wielkich dostatków, czuła nasamprzód konieczność zaspokojenia potrzeb fizycznych, wyspania się, najedzenia do syta. Niepoprzestając na tem wkrótce utonęła w wygódkach, jęła żywić się łakociami, wylegiwać do południa, otaczać kwiatami, wonnościami, jedwabiem i złotem. To zmateryalizowanie utworzyło na duszy jej grubszą powłokę, dogodną o tyle, że niemal nie odczuwała rubaszności męża, głaskała go po ramieniu, jak się głaszcze psa

i umiała wymódz na nim wszystko, nie sprzeciwiając się nigdy. Wprawdzie ona nie wymagała wiele - ale za to Cruz! Dzielna ta kobieta nie była zadowoloną jeszcze swem dziełem. Byt ich materyalny był zapewniony, część rodzinnych majątków oczyszczona przez Torquemadę; ale to nie przeszkadzało, że siostra jej była żoną grubego finansisty bez wychowania, bez nazwiska, bez stanowiska w świecie. Postanowiła wszystko to dać swemu szwagrowi i co dziwniejsza, dopięła celu. Torquemada nie mógł już nabrać wykształcenia, nauczył się jednak mówić o tem, co rozumiał, a milczeć o literaturze i sztuce; słuchając rozmowy drugich, połapał różne wyrażenia, które potem nie rozumiejąc ich dobrze, używał niekiedy na wspak, ale częściej szczęśliwie i trafnie. Każdą iskrę jego zdolności umiała wyzyskać, ale z jakim trudem Bóg jeden wie! Torquemada nie cierpiał jej, zżymał się jak krnąbrny żak pod rózgą belfera, ale wiedział naprzód, że ulegnie. Tak Cruz wymogła po trochu przeróżne zmiany: powiększenie salonu, najęcie kucharza Francuza, zakupno powozu i koni... Torquemada płakał niemal nad wydzieranym mu w ten sposób groszem, ale pomimo to znaczenie jego w świecie podnosiło się; nie wielkie, lecz doborowe kółko znajomych, dawnych przyjaciół rodziny Aguila, nadawało domowi jego cechę arystokratycznej godności. Fidela i Cruz nie rzuciły się w wir światowy, nie olśniły stolicy nowo nabytym zbytkiem; skoro jednak wskutek śmierci jakiegoś wuja zawakował jeden z tytułów rodzinnych, skłoniły Torquemadę, aby go kupił dla żony, jako najbliższej dziedziczki. W Hiszpanii bowiem nie można wprost dziedziczyć tytułu; należy zań grubą taksę opłacić rządowi. Im bliższe pokrewieństwo, tem taksa jest mniejsza, musi jednak być uiszczoną, inaczej tytuł przechodzi w ręce innego, szczodrzejszego nabywcy. Torquemada zatem został markizem — Marques Consorte de San Eloy a wkrótce i senatorem. Wpływ jego w świecie finansowym wzrastał z dniem każdym; zdanie jego pod względem ekonomicznym stało się w kraju wyrocznią. Z tem wszystkiem był nieszczęśliwy; ciasno mu było i duszno w nowej atmosferze: tu, u szczytu, gdzie ludzie wyżej urodzeni oddychali pełnemi piersiami, dla niego powietrze było zbyt

rzadkie. Tam, gdzie oni poruszali się swobodnie, jak w domu, on czuł się skrępowanym w każdym ruchu i w każdem słowie. Żałował dawnego życia: nad nadziewanym truflami bażantem marzył o fasoli zaprawnej cebulą lub czosnkiem. Winę zaś wszystkich swych cierpień widział w bratowej. Pocieszył się nieco i złagodniał, gdy mu się narodził syn. Dano mu imię Valentin, imię zmarłego dziecięcia, ojciec podwoił pracy, aby dlań przysporzyć olbrzymią już fortunę, dla obu sióstr poczęła się nowa era szczęścia i nadziei.

Jeden wszakże z członków rodziny nie dzielił ogólnej radości. Biedny ociemniały młodzian, zmuszony kalectwem i ubóstwem do ulegania woli drugich, cierpiał nad wszelki wyraz poniżeniem krwi swojej. Byłby zniósł, aby siostra wyszła z miłości za ostatniego pachołka, ale małżeństwo dla pieniędzy, rozgoszczenie się rodziny Aguila w brudnem gnieździe lichwiarza, konieczność żywienia się i odziewania z łaski niemiłego szwagra, brzydziło go i napawało goryczą. Wśród bezsennych nocy, wśród długich godzin bezczynnej samotności przeżuwał swój żal i chorobliwą pracą wyobraźni doprowadzał go do potwornych rozmiarów. Jął gardzić siostrami i sobą, wysnuwać tragiczne wnioski na przyszłość: podobne spodlenie nie mogło się inaczej jak katastrofą zakończyć, Torquemada m u s i a ł ze swych worków złota stoczyć się w błoto, Fidela m u s i a ł a stać się niewierną mężowi, cały gmach, ręką starszej siostry wzniesiony, m u s i a ł się zapaść... Męczył się i męczył drugich; każde jego słowo stało się zaprawne żółcią, każdy śmiech brzmiał bolesną ironią. Cruz, która mu była drugą matką, najbardziej oczywiście cierpiała; najmniej może Torquemada, który, choć mu szwagier przycinków nie szczędził, znosił łagodnie jego kaprysy, zrazu traktując go jak chore dziecko, a w końcu upatrując w nim sprzymierzeńca przeciw kosztownym zachciankom Crucity. Przyszła niebawem najkosztowniejsza: książęca iście siedziba, ogromny pałac de Gravelinas został wystawiony na sprzedaż wraz ze starą zbrojownią, biblioteką i nieprzeliczonemi skarbami sztuki...

Nie „życie nad stan“, ów ustawicznie, do znudzenia, a najczęściej niesłusznie starej szlachcie czyniony zarzut, ale skaso-

wanie majoratów zmusiło ostatniego księcia Gravelinas do bolesnego rozstania się z domem ojców. On sam poszedł zakończyć życie w Biarritz: ustąpił z drogi nowym ludziom tak, jak wogóle stare rody ustępować muszą nowym, których pergaminów szukać by trzeba w jakimś sklepiku lub w lichwiarskiej norze.

Książę Gravelinas zaliczał się do krewnych Aguilów; tu mieszkała niezbyt dawnemi laty matka nieszczęsnego Fryderyka Viera, który zginął tajemniczą śmiercią... Cruz i Fidela zapragnęły stare gniazdo odzyskać: mały Valentin będzie miał prócz ojcowskiego złota tytuł rodzinny, majątki rodzinne, niechże ma i pałac praojców! Torquemada oczywiście rzucał się jak oparzony, uspokoiła go nie perspektywa splendorów dla dziecka, ale myśl pieniężnych korzyści. Pałac można nabyć za tanią stosunkową cenę; za skarby zaś, jakie zawiera, możnaby, sprzedając je z osobna, drugi taki pałac zakupić. Po długich sprzeczkach zatem postanowił znowu i tym razem ustąpić. Ale dla Rafaela nabycie pałacu de Gravelinas było nowym ciosem: „Co! ci parweniusze, ci złodzieje giełdowi będą się gnieździć w starych komnatach, przesiąkłych chwałą narodu, rozpierać się o ściany, które patrzały na Gonzalva z Korduby, Księcia Alby, D. Luiza de Requesens, dotykać sprzętów, które bohaterom służyły? I to wszystko dla tego dziecka... Rafael i tak już dziecka tego nie lubił. Dla czego? usiłował napróżno zdać sobie sprawę. Z początku zdało mu się, że to uczucie zazdrości, wzbudzone stosunkowem zaniedbaniem, w jakie był popadł od chwili urodzenia siostrzeńca. Z czasem jednak odraza wzrastała, przybierając charakter monomanii. Rafael walczył z nią; gdy dziecka nie było w pokoju, śmiał się sam z siebie, zdobywał się na życzliwość a nawet na czułość; jeźli mu wszakże malca położono na ręce, chwytało go natychmiast nerwowe drganie, szalona chęć zdławienia niewinnego stworzątka. Wołał z rozpaczą na niańkę, aby je od niego odebrała; raz już, już miał uledz pokusie, gdy mu się zdało słyszeć z ust niemowlęcia wołanie: Wujaszku nie zabijaj mnie!

Tego dnia uciekł przerażony, nie czekając na przewodnika, macając ściany po drodze, a następnie zażądał pod błahym po-

zorem, aby go przeniesiono na drugie piętro — chciał się oddalić od dziecinnego pokoju. Torquemada zgodził się, bo nic nie odmawiał choremu i w ogóle godził się na wszystko, co mu nie nadwerężało kieszeni.

Przyszedł dzień, gdzie z okazyi jakiejś rocznicy postanowiono uczcić króla finansistów stolicy. Co żyło znakomitości w senacie, Izbie i świecie pieniężnym, zgromadziło się przy wspólnym, dla niego wydanym obiedzie. Fidela i Cruz były niespokojne, Torquemada na prawdziwych mękach: trzeba bowiem było odpowiedzieć dłuższą przemową na pochwalne toasty. Posypały się jak grad fajerwerków niektóre nabrzmiałe pochlebstwem, inne stereotypowe lecz szczere, inne znów zaprawne słodzoną ironią. Jubilat jednak nie był w stanie tych odcieni rozróżnić, nigdy, a tem mniej w chwili, gdy mu własny toast dławił gardło i szumiał w głowie. Miał wprawdzie mówkę przygotowaną przez przyjaciela domu, ale z tej pamiętał tylko ustępy, które krępowały go raczej, niż mu niosły pomoc. Nareszcie przyszła stanowcza chwila; Torquemada nic już nie widział przed sobą, powstał jednak i począł mówić. Mówił nie bardzo wprawdzie do rzeczy, ale od czasu do czasu wtrącał szumne zdanie, zapamiętane z oracyi senatu, a zresztą dla większości słuchaczów głos jego dźwięczał brzękiem sztuk złota, szeleścił jedwabiem banknotów. Przemowa tedy, przerywana hucznemi oklaski, zakończyła się owacyą. Bohater dnia opamiętał się dopiero w domu.

Radość obu siostr była szczera; Fidela cieszyła się powodzeniem męża, Cruz była dumną z tryumfu poniewolnego ucznia. Rafael za to jęknął boleśnie: A więc wszystkie jego przewidywania chybiły! Potworny związek rycerskiego klejnotu z pularesem lichwiarza wydawał same świetne owoce. Więc to chyba on sam był szalonym? Lub raczej nie — był niepotrzebnym gratem, czemś jakoby hełm zardzewiały, rzucony wśród lśniących cylindrów, jak szmata podartej w bitwie chorągwi, walająca się po biurach kancelaryi bankowej... Już dłużej nie mógł wytrzymać; w poufnej, długiej rozmowie z szwagrem wreszcie wybuchnął, wypowiedział swą gorycz, swą rozpacz, swe rozcza-

rowanie... Torquemada słuchał cierpliwie, przyznając się z pokorą do wszelkiej zarzuconej mu winy, gdy jednak Rafael, chcąc go wypróbować do reszty, poprosił go, aby jeśli wkrótce umrze, ciało jego powiózł do rodzinnego grobu, i grób ten bardzo zniszczony odnowić kazał – w starym skąpcu ozwała się nuta wrażliwa, począł wraz protestować przeciw proponowanym mu kosztom.

„Bądź spokojny — jam żartował! — odparł mu z gorzkim śmiechem Rafael. – Chciałem się tylko przekonać, czy dawny wekslarz odsłoni się z pod senatorskich gronostajów i korony margrabskiej. Bądź spokojny! Nie proszę już o nic — wrzucisz mnie do śmieciska... co mi tam!

I wyszedł do swego nowego mieszkania na drugie piętro. Torquemada, zaniepokojony chorobliwem zachowaniem młodzieńca, jego wzrastającem rozdrażnieniem, poszedł po chwili na górę. Zastał go siedzącego na łóżku, samego, służącego bowiem o niezwykłej porze wyprawił był z jakąś posyłką. Począł go tedy własnemi rękami rozbierać, przyczem Rafael dziękował mu gorączkowo, ale jak zwykle wpół ironicznie, wpół żartem. Ułożywszy go do spania, zeszedł; zaledwie jednak zasiadł napowrót, po całym domu rozległ się wielki krzyk zgrozy, służący, wpadł oznajmując, że „panicz rzucił się z okna i zabił...“

Na tem kończy się część zatytułowana *Torquemada en el Purgatorio,* część dobrze napisana, pełna życia, ale do czytania przykra. Chciałoby się autora łajać o pessymizm, a właściwie go niema, bo każda z głównych osobistości posiada szlachetne strony, a nawet biedny samobójca oszalał nie z podrażnionej pychy, ale z poczucia zdeptanej godności rycerskiej. Następna część jest daleko wyższa nastrojem, możnaby niemal pomyśleć, że wychodzi z pod pióra O. Colomy. Zastajemy rodzinę margrabiów San Eloy — (bo już chyba sam jeden autor o nazwisku Torquemada pamięta) zamieszkującą od lat paru wspaniały pałac de Gravelinas. Służba liczna bardzo, jak na gmach książęcy przystoi, uwija się po ogromnych krużgankach i salach; uczeni badacze szperają w archiwalnym skarbcu, artyści i znawcy

z całej Europy zjeżdżają podziwiać lub kopiować arcydzieła rzeźby i pendzla. A jest ich sporo, gdyż oprócz dawnych przybyła jeszcze na żądanie Crucity zakupiona galerya obrazów D. Carlosa de Cisneros, ojca Augusty Orozco, największej przyjaciółki Fideli. Cruz bardziej, niż kiedykolwiek panuje nad tym światem cudów, zawiaduje dwornią, przyjmuje uczonych, oprowadza artystów. Nieco znużona swem urzędowaniem, ale czynna zawsze i dzielna. Ona też urządza za duszę brata nabożeństwo żałobne w zamkowej kaplicy, na które schodzi się gromadka przyjaciół, lecz ani pana domu, ani pań nie widać. Fidela zawsze delikatna a niehygienicznem życiem doprowadzona do istotnej słabości, prowadzi życie niemal odosobnione między kanapą, balkonem i łóżkiem. Synek jej — owo ubóstwiane dzieciątko, dziedzic wielkiego nazwiska i większych jeszcze milionów i włości — wyrasta na wstrętnego idyotę. Głowę ma olbrzymią na wątłem ciele, w głowie dwoje oczów złych i błyszczących jak u gniewnego kota, zęby spiczaste, ruchy zwierzęce i czysto zwierzęce instynkty. Z mowy ludzkiej pochwycił tylko pojedyncze dźwięki, za to udaje do niepoznania szczekanie psa i chrząkanie świnki; postawiony na nogi spuszcza się natychmiast i na czworaku ucieka pod kanapę lub łóżko. Ściany trzęsą się od jego krzyków, podłogi zasłane szczątkami potłuczonych przedmiotów, ręce niańki pokrwawione z pod jego pazurów i zębów. Ojciec patrzy nań niemal z gniewem: czyżby owa poczwarka miała mu zastąpić jego pierworodnego ślicznego Valentina, złożonego tam na cmentarzu? Ani on, ani Fidela jednak nie tracą jeszcze nadziei, że dziecko z tego wyrośnie. Augusta Orozco łudzi przyjaciółkę zmyślonem opowiadaniem o dzieciństwie Wiktora Hugo, u którego monstrualne rozwinięcie głowy było, według niej, wczesnym objawem późniejszego geniuszu. Między Crucitą a szwagrem stosunki coraz to gorsze, on żali się na tyrańskwo, ona na niewdzięczność. Oboje zaś wywodzą swe skargi przed księdzem. Dawny to z lat dziecinnych przyjaciel jej i Fideli...

„Co za człowiek ten ksiądz! Wzrostem raczej nizki, kościsty i silny, odziany w bardzo czystą sutannę; z obliczem pooranem drobniutkiemi zmarszczkami, pokrytem skórą spie-

czoną i krwistą, jaka bywa u rybaków i marynarzy, ludzi, których w dzieciństwie wykołysały burze, a którzy zestarzeli wśród wichru i nawałnicy, dzieląc życie pomiędzy wiarę, płynącą im z wysokości i połów ryb na głębinie. Rysem charakterystycznym tej postaci była świecąca łysina, poczynająca się od zmarszczek czoła, a dochodząca do karku, ogorzała od wiatru i rosy, wygładzona jak bukłak pielgrzyma. Okrąg włosów siwych, zakończony ponad uszami, otaczał ją w kształcie podkowy.

„Jeszcze jedno pamiętam: rys bardziej charakterystyczny od tej łysiny. Oczy czarne, anielskiej słodyczy, oczy andaluzkiej dziewczyny lub pięknego dziecka, i spojrzenie, zawierające odblask niebiańskich sfer, sfer nie widzianych a odgadywanych, niezrozumiałych duchowi ludzkiemu. I jeszcze coś — jakiś odcień rasy mongolskiej w wystających kościach policzkowych, w brwiach zlekka podniesionych, w przypłaszczonych szczękach i brodzie, coś z japońskiej figlarności w uśmiechu lub też dowcipnego wyrazu porcelanowej chińskiej figurki. Poczciwy Gamborena był czystej krwi Hiszpanem, urodzonym u granic Nawarry, ale większą część życia spędził był na dalekim Wschodzie, wojując za Chrystusem przeciwko Buddzie; ten zaś zgniewany prześladowaniem, tak długo spoglądał mu w twarz, aż wyrył na niej niektóre rysy swego własnego oblicza. Czyż byłoby prawdą, że ludzie stają się podobnymi do tego, na co zawsze patrzą?... Był to jedynie odcień drobny, przelotny, objawiający się w miarę intencyi, z jaką mówił lub się uśmiechał. Okrom tego głowa cała wyglądała jakby wycięta z świętego obrazka, bardzo starego, ale dzięki pobożnemu staraniu wiernych zachowującego świeżość barw i rysunku.

Bracia duchowni żartowali zeń, twierdząc, że Pan Bóg, gdy go stwarzał, miał zamiar światu dać wojownika, wielkiego zdobywcę, i już go był do roli tej przysposobił, gdy w ostatniej chwili zmienił zdanie i zrobił zeń zakonnika. Wszystko, co żyło, garnęło się pod opiekę tej duszy świętej a silnej... Jeszcze po mszy za Rafaela nie dokończył był śniadania, gdy przyszedł doń Torquemada, wymawiając się, że nie był na nabożeństwie, bo się spóźnił, istotną zaś przyczyną było, że nie

chciał spotkać wielkopańskich przyjaciół żony, wymówił się jednak słabością:

„Nie chciałem wejść, aby nie przerywać... I wierzaj mi ksiądz nie jestem zdrów... nie, nie jestem zdrów... Powinienbym w łóżku pozostać.

„I któż Pana zmusza do wstawania tak wcześnie? — rzekł kapłan, nie patrząc nań i popijając kawę. Biedaczek! Musi się zrywać, aby iść szukać roboty i módz przynieść parę bułek i pół funta mięsa do pałacu Gravelinas!

„Nie to, nie!... Wstaję, bo nie śpię. Anim oka zmrużył tej nocy, możesz mi wierzyć mój święty Piotrze.

„Doprawdy? dla czego? — zapytał ksiądz. — I mówiąc między nami, dlaczego mnie pan świętym Piotrem nazywasz?

„Czy nie mówiłem dlaczego? O to stara historya, opowiem ją kiedyś. Historya z moich dobrych czasów, kiedy jeszcze nie miałem tyle *de quibus* i musiałem się pocić, aby zarabiać, z czasów, kiedy straciłem jedynego syna, to jest jedynego — nie... chciałem powiedzieć, w których nie byłem zaznał tych wszystkich wspaniałości i nie namęczył się tyle... Straszną biedą była mi śmierć tego dziecka, ale z nią żyłem spokojniejszy, bardziej w moim żywiole. Wtedy ot — musiałem także się męczyć, ale miałem chwile spokojne, gdzie zostawałem sam ze sobą i w sobie, gdzie mogłem jakoś odpoczywać w oazie... w oazie... w oazie...

Uradowany z wyrażenia, powtórzył je kilkakroć.

„A teraz, dlaczego pan nie spałeś tej nocy? Czy przypadkiem...

„Tak jest, tak. Nie mogłem usnąć z powodu tego, co mi ksiądz powiedziałeś, wychodząc z mego pokoju, jakby na zesumowanie, streszczenie naszej długiej gawędki.

„Dobrze, dobrze, wybornie! — zawołał ksiądz, śmiejąc się i maczając w kawie grzankę, którą następnie z apetytem spożył.— Aha! — dodał potem — raz przecież musiał pan markiz de San Eloy usłyszeć prawdę istotną, nie nagiętą, ani ufarbowaną przez formy światowe.

D. Francisco podniósł wzrok do sufitu i westchnął głę-

boko. Obaj patrzeli na siebie przez chwilę, poczem ksiądz dokończył śniadania.

„Przez całą noc — rzekł wreszcie skąpiec — przewracałem się w łóżku, jak gdybym leżał na ostach i myślałem o tem, o tem jednem, coś mi ksiądz powiedział. Nie mogłem się doczekać rana, aby wstać i księdza poszukać z prośbą, aby mi wytłómaczył, lepiej wyjaśnił...

„Ano to zaraz, w tej chwili, kochany panie.

„Nie, nie teraz — odparł margrabia z pewną trwogą, spoglądając ku drzwiom.— Jestto rzecz, o której musimy pomówić zupełnie sami, we dwójkę a teraz...

„Prawda, mogliby nam przerwać.

„A prócz tego muszę wyjść...

„Latać za interesami. Biedny milionowy parobek! Idź pan, idź i zatrać sobie na mieście zdrowie — tego tylko panu brakuje.

„Wierzaj mi ksiądz, że już dziś nie jestem zdrów, wcale nie. Byłem jak dąb, z dobrego twardego drzewa. Teraz czuję, że się ten dąb wydrąża, że pod wiatrem skrzypi, że od stóp do głów butwieje. Co temu winno — wiek? Jeszczem nie tak stary. Kłopoty, żal, że nie jestem panem we własnym domu, że siedzę zamknięty w tej złotej klatce, jak zwierz pod rozpalonym prętem pogromcy? Czy zmartwienie, że mi chłopiec na idyotę wyrasta? Czy ja wiem? Może, iż żadna z tych przyczyn z osobna, ale wszystkie złączone... Wiem ja, wiem, żem sobie sam winien, żem się dał na wstępie ujeździć przez słabość, ale co dziś przyjdzie z tej świadomości? Już zapóźno. Nie ma rady, jak poddać się, klnąc na swój los i oddając się wszystkim dyabłom!

„Ciszej, ciszej, panie margrabio — wtrącił kapłan z surowością ojcowską.— Przeciw temu wzywaniu dyabłów muszę protestować. Piękny mieliby prezent czarci! A od czegoż ja tu jestem, jeźli nie po to, aby go wyrwać tym piekielnym jegomościom, gdyby go przypadkiem już chwycili w pazury? Zobaczymy! Tymczasem, skoro panu spieszno, a i ja mam swoje

czynności, damy temu pokój. Pomówimy dziś wieczór, gdy będziemy sami".

Torquemada przetarł sobie oczy, jakby chciał z nich wymazać nocne widziadła, a po chwili, uspokoiwszy się, wyciągnął rękę do księdza z ruchem i tonem prostaczym:

„Ano... zostańcie z Bogiem".

Wyszedł i wsiadłszy do powozu, znalazł się wkrótce na mieście, uciekając co prędzej ze swej złocistej siedziby. Nie, to nie było złudzenie. Istotnie, po za bramą pałacu pod wpływem chłodnego ulicznego powietrza odetchnął lżej, czuł, że i głowę ma rzeźwiejszą i zmysł kupiecki bardziej wyostrzony i mniejszą duszność na żołądku, na którą bardzo od pewnego czasu się żalił. To też powtarzał z całej duszy swoje nowo odkryte wyrażenie: Ulica jest moją oazą!

Zaledwie się oddalił z zakrystyi, weszła Cruz. Można było myśleć, że czekała na odejście swego szwagra, aby się wsunąć.

„Ha, już go nie ma! Już sobie tam pływa po ulicach, łowiąc groszaki! — rzekła solennie, jak gdyby w dalszym ciągu jakiejś poprzedniej rozmowy.— Co za człowiek! Co za gorączka gromadzenia bogactw!

„Dajcie mu pokój — rzekł smutno ksiądz.— Jeźli mu odbierzecie wędkę do łowienia pieniędzy, umrze, wściekając się, a wtedy któż za duszę jego odpowie? Niech łowi... niech łowi... aż kiedyś Bóg mu coś takiego zawiesi na haczyk, że mu się odechce.

„Doprawdy, jeżeli Ojciec, wprawny do nawracania dzikich, nie potrafi zarzucić arkanu na tego dzikusa i nie przywiedzie go nam dobrze związanego, to chyba nikt mu nie poradzi. Ale tymczasem Ojcze, czy kawa smakowała?

„Była wyborna.

„Oczywiście Ojciec zje z nami drugie śniadanie.

„Niepodobna, moje dziecko.— I już brał za kapelusz.

„Jeżeli tak, to nie dam Ojcu odejść tak prędko. Proszę jeszcze siąść chwilkę — tutaj ja rozkazuję!

„Słucham. Czy masz mi co powiedzieć?

„Zawsze to samo. Że Ojcu powierzam misyę oswojenia

naszego dzikiego zwierza i uczynienia nieco znośniejszem tego życia ustawicznej kłótni.

„Ach, dziecko moje! — zawołał Gamborena, patrząc na nią swemi niewymownie słodkiemi oczyma. — Jam całe życie spędził między dzikimi poganami, niosąc im światło ewangelii. Widziałem ludy okrutne, ludy chytre, zdradliwe, krwiożercze... Ale tam z cierpliwością i męstwem, jakie jedna wiara daje, mogłem zwyciężyć. Tu zaś, wśród pełni cywilizacyi, nie ufam moim siłom — czyż to nie dziwne? Bo widzisz, tu spotykam się z czemś gorszem od dzikości i pogaństwa. Spotykam serca pełne uprzedzeń, umysły skrzywione, odwiedzione od prawdy tysiącem błędnych pojęć, zakorzenionych aż w głębi duszy. Toć paradoxy i sofizmata nadają wam pod pewnym względem cechę dzikich ludzi. Między dwoma wolę jeszcze dzikich tamtej półkuli. Łatwiej jest stworzyć człowieka, niż poprawić takiego, co jest obrobiony i skomplikowany do tego stopnia, że już się nie wie, czem istotnie jest".

I rozmowa toczy się dalej. Ks. Gamborena obiecuje, że Torquemadę weźmie pod swą moralną opiekę, że mu nie oszczędzi prawdy: „Posłyszy on wiele dobrych rzeczy, zadrży i spojrzy w siebie, ale spojrzy i tam wyżej, w sferę jemu nieznaną, w sferę wieczności, dokąd wszyscy dążymy. Zostaw go mnie".

Widząc zaś, że Cruz już tryumfować zaczyna:

„Poczekaj — rzecze. — Nie entuzyazmuj się tak prędko, bo z tych prawd i ty coś oberwiesz. Nie on wszystkiemu winien, o nie! I na was spada część winy, na ciebie więcej, niż na twoją siostrę.

„Wiem, że nie jestem wolną od grzechu — ani w tem, ani w innych rzeczach.

„Twój despotyzm, tak, twój despotyzm, choć z szlachetnego płynący źródła, twoja żądza panowania wyłącznie, sprzeciwianie się jego zamiłowaniom, jego zwyczajom złym czy dobrym, narzucanie mu wspaniałości, które mu są wstrętne, wydatków, od których mu włosy stają na głowie — ot co doprowadziło tego człowieka do takiego stopnia wściekłości, że nie będzie łatwo go napowrót przyswoić..."

Cruz na razie przyznaje się do winy, ale potem znów wszystko zrzuca na przeciwnika i ksiądz, nie dobiwszy z nią targu, odchodzi, obiecując, że wróci na chwilkę wieczorem.

Cruz pozostała przez chwilę jeszcze w zakrystyi, jak gdyby ją tam zatrzymywały dopiero co przez księdza wyrzeczone myśli, po nad któremi zastanowiła się w smutnej zadumie. Od śmierci Rafaela smutek nie odstępował rodziny Aguila; osiedlenie się w pałacu Gravelinas, pełnym tylu narodowych i artystycznych świetności, było jakoby wstępem do ciemnego królestwa nudów i niezgody. Szczęściem dla władczyni tego ogromu, Pan Bóg w miłosierdziu swojem zesłał jej na pociechę niezrównanego przyjaciela, łączącego z uprzejmością obejścia apostolski dar nauczania we wszystkich kwestyach duchowych, anioła o czystej duszy, nieugiętem sumieniu i jasnym umyśle dla którego ani dusza ludzka, ani organizm społeczny żadnych nie miały tajemnic. Jakoby zesłańca z niebios przyjęła go starsza z sióstr Aguila, gdy w jakie dwa miesiące przed początkiem opowiadania ujrzała go w pałacu Gravelinas, powracającego z jednej z wysp Polinezyi. Uczepiła się go jak deski zbawienia; prosiła, aby w domu zamieszkał, a że to było niemożebnem, usiłowała tysiącznemi sposobami ściągać go to na śniadanie, to na obiad, by go się módz radzić we wszystkiem, cieszyć się jego naukami i rozerwać opowiadaniem o cudownych przygodach misyjnych.

„Pierwsza wiadomość, jaką spotkałem o O. Gamborena, datuje się z roku 1853, z czasu, gdzie nie liczył więcej jak 25 lat i był sekretarzem biskupa Kordoby. O młodości jego nie wie się nic, tylko że pochodził z bogatej, szlacheckiej rodziny. Został kapelanem w domu Aguila i z tą rodziną dwa lata przepędził w Madrycie. Ale Bóg przeznaczył mu coś więcej, niż skromny urząd kapelana w arystokratycznym dworze. W duszy jego ozwało się pragnienie bohaterskiej pracy, święta ambicya szerzenia chrześcijańskiej wiary; poświęcając przeto dobrobyt dla niedostatku, spokój dla niebezpieczeństwa, zdrowie i życie dla nieśmiertelnej chwały, zdecydował się po długim namyśle pojechać do Paryża i tu zaciągnąć się do jednego z legionów

misyonarskich, za pomocą których nasza przezorna cywilizacya usiłuje zmiękczyć azyatyckie i afrykańskie hordy, zanim na nich dobędzie oręża.

„Wkrótce też spełniły się entuzyastyczne pragnienia młodzieńca; przyłączony już do pewnej kongregacyi, której tu wymieniać nie ma potrzeby, został wysłany na początek do Zanzibaru, a stąd do wikaryatu w Tanganika, gdzie rozpoczął kampanię wycieczką do Wyższego Kongo, odznaczając się, jako żołnierz Chrystusowy, swą odpornością fizyczną i niestrudzonym zapałem. Piętnaście lat przebył w Afryce środkowej, pracując z nadziemską dzielnością, zamieniony jakoby w bożego lwa. Srogość klimatu, równie jak i srogość ludzka były dlań igraszką; odważny, nieznużony, pierwszy do walki, najgorliwszy w katechizacyi, wielki geograf, śmiały podróżnik odkrywający odległe krainy, badający dziewicze lasy, mgliste jeziora i samotne przepaście skał, ważył się na wszystko, byle zatknąć krzyż na ziemi i w duszach mieszkańców owych zamierzchłych stron.

„Wysłano go następnie do Europy, jako członka komisyi wpół duchownej a na wpół handlowej, mającej traktować z królem Belgów o jakiś układ kolonialny i tak mądrze wywiązał się z zadania, że tu i tam wychwalano różnorodność jego zdolności. „Handel — mówiono — tyle mu będzie mógł zawdzięczać, co i wiara“. Stowarzyszenie, do którego należał, postanowiło wyzyskać jego niezwykły umysł i wysyłało go z Misyą to do Nowej Zelandyi, to do kraju Maorisów. Nowa Gwinea, wyspy Fidżi i inne wyspy z archipelagu Torres były widownią jego prac apostolskich przez lat dwadzieścia. Długi to przeciąg czasu w życiu pracownika, krótki jednak na założenie niemal cudowne stu gmin chrześcijańskich, domów misyjnych, szkół i szpitali po owych niezliczonych wyspach, wysepkach i morskich skałach, rozprószonych wśród przestworza oceanu, jak gdyby ręką dziecięcą rzucane w igraszce szczątki jakiegoś zdruzgotanego świata.

„Doszedłszy sześćdziesiątego roku życia, Gamborena został przywołany do Europy. Chciano, aby odpoczął; obawiano się, aby zbytnio nie naraził drogiego życia, wystawiając je co dnia w walce

z ludźmi, z dzikiemi bestyami i z burzami niebios. Posłano go tedy do Hiszpanii z misyą spokojną zorganizowania na praktycznych podstawach administracyi pieniężnej Propagandy. Zamieszkał w gościnnej części domu Irlandczyków, którego, historycznie biorąc, stowarzyszenie, do którego należał, było pierwotnie Filią. Stąd po paru tygodniach pobytu w stolicy odnalazł obie panie Aguila i swą starą a serdeczną dla nich przyjaźń. Starszą znał był maleńką: Cruz liczyła sześć lat, gdy był kapelanem u jej rodziców; Fidela jeszcze nie była na świecie; obie jednak przyjął za przyjaciółki, za swoje duchowne dzieci...“.

„Przyjazd jego stał się epoką dla całej rodziny. Nikt z przechodzących, mimowoli co dnia uderzonych poważnym przepychem pałacu, nikt też ze zwiedzających jego olbrzymie krużganki i komnaty, olśnionych mnóstwem artystycznych i historycznych pamiątek, nie mógł odgadnąć, jak wiele wpośród nich kryło się zgryzoty. Torquemada całożyciową gonitwą za złotem doszedł był do stanu ciągłego rozdrażnienia, ucisku i żalu; Cruz długoletnim wysiłkiem rozumu i ambicyi wzniosła wprawdzie wspaniały gmach, ale w nim znalazła tylko pustki i gorycz. Fidela zaś samem nadużyciem dobrobytu wykopała sobie przedwczesny grób. Ani się domyślano dokoła, jak blizkie groziło nieszczęście. Quevedo, zięć Torquemady a równocześnie lekarz domowy, leczył ją wprawdzie na serce, ale nie przewidywał nic złego. Cruz wyręczała ją we wszystkich domowych czynnościach, zbyt jednak miała umysł praktyczny, aby szedł w parze z powolnem, marzycielskiem usposobieniem siostry. Prawdziwą tejże powierniczką była Augusta Orozco, zawsze urocza, mimo włosów, siwiejących z lekka na skroniach. Posiwiały one zbyt wcześnie, jakoby wskutek wielkiego, moralnego wstrząśnienia; jakiem jednak było to wstrząśnienie, nigdy zda się nie odważyła się przyznać Fideli w zamian za tejże bezgraniczną ufność. Nazajutrz po nabożeństwie za Rafaela obie przyjaciółki śniadały na górze, w gabinecie Fideli; Cruz zaprzątnięta przyjęciem i oprowadzaniem dwóch uczonych, zmęczona tem i dość znudzona, chwilami tylko jakoby na wytchnienie do nich wpadała. Dzień był ponury i zimno takie, jakie tylko na południu

być umie: niebo i ziemia współzawodniczyły o smutek i brud. Gwałtowne fale wichru niosły śnieg drobny, topniejący w powietrzu; ulice nie bielały, ale okrywały się błotem. Zimno było nieznośne na dworze i nawet w dobrze (!) opalanych domach, kędy wciskało się przez każdą szparę okna lub balkonu, natrząsając się z wałków ochronnych, z kominków i pieców. Uderzone niezwykłą siłą wichru, bijącego w szyby, panie zbliżyły się do okna, przypatrując się przechodniom, którym wiatr zrywał płaszcze, szaliki i kapelusze. W walce o te okrycia i obawie wzajemnych zderzeń wyglądali, jak figuranci fantastycznego baletu, tańczonego na stepach Syberyi.

„Co za paskudny dzień — rzekła Cruz, mocno strapiona. — I zobaczycie, iż na tem się skończy, że Ojciec nie będzie mógł przyjść.

„Oczywiście — mieszka tak daleko!

„A jeśliby go miała złapać taka zawierucha, to lepiej, aby nie wychodził.

„Poślij mu powóz.

„Tak, na to, aby go odesłał pusto, a sam przyszedł piechotą, jak kiedyś, co tak lało.

„Czyż ty myślisz — wtrąciła Augusta — że on zważa na wiatr i na burze?

„Oczywiście, że nie... Ale zobaczycie, że nie przyjdzie. Tak mi coś w sercu powiada.

„A moje powiada, że przyjdzie — rzekła Fidela. — Chcecie się założyć? Mnie serce nie myli. Bywają dnie, że wszystko odgaduje. Już się przekonałam, że skoro tylko boli i utrudnia mi oddech, zamienia się w wyrocznię. To, co mi powie, zawsze się sprawdzi.

„Więc dziś powinno ci powiedzieć, abyś odeszła od okna i starała się nie zaziębić. Tak, zaziąb się, a potem będziesz kwękać, przyjdą noce bezsenne, zmęczenie i kaszel.

„Niech się zaziębię, tem lepiej! — odparła tonem rozpieszczonego dziecka Fidela, dając się prowadzić ku sofie. — Serce mi powiada, że wkrótce się zaziębię tak mocno, tak mocno, że już mnie nic nie rozgrzeje. Ot, już mam dreszcze... Ale to nic,

nic.— Już przechodzi!... Był to tylko przewiew, pogłaskanie wiatru przez szyby. No, idź sobie — twoi mędrcy niecierpliwią się, a zwłaszcza ten od malowideł — tęsknią za tobą.

„Skądże to wiesz?

„Ano przez jasnowidzenie. Co? Nie wierzycie w jasnowidzenie? — A ja powiadam wam, że Ojciec Gamborena przychodzi. Jeżeli jeszcze nie wszedł w bramę, to jest niedaleko.

„A jeżeli nie?

„A jeżeli tak?“

Starsza siostra wyszła pospiesznie i po chwili wróciła, śmiejąc się:

„Dobra jesteś z twojem jasnowidzeniem. Ani przyszedł, ani przyjdzie. Patrzcie, jaki śnieg!“.

Stało się jednak, przypadkiem (któż o tem wątpi?), że po przeciągu jakich dziesięciu minut usłyszały głos wielkiego misyonarza w przyległym pokoju. Wszystkie trzy wybiegły ku niemu ze śmiechem i oznakami prawdziwej radości. Zostawił był na dole kapelusz i olbrzymi parasol, śnieg, jaki przyniósł na ubraniu, stopniał był w czasie, gdy wychodził na schody. Zdjął czarne rękawiczki, potrząsając palcem od prawej ręki, jakby go bolał.

„Ukąsił mnie twój syn — rzekł do Fideli.

„Boże! — zawołała Cruz — a to mały łotr! Idę go zabić.

„Nie, to nic — ale mi wraził ząb. Chciałem go pogłaskać. Walił batem na prawo i na lewo. Szczęściem ząbki jego nie przebiły rękawiczki. Pięknego macie syna!

„Kąsa dla zabawy — rzekła smutnie Fidela. — Trzeba będzie go odzwyczaić. Ale Ojciec może mi wierzyć, że czyni to bez złej intencyi.

„Zapewne, złego zamiaru nie ma — odparł misyonarz wesoło. — Ale instynkt dobrym nie jest. Co za usposobienie!

„Na taki czas i na takie błoto — zauważyła Cruz, patrząc na księdza, grzejącego się u kominka — dziwnie Ojciec ma suche trzewiki.

„Po gorszych ja błotach chadzał, niż w Madrycie. Nie darmo się człowiek nauczył chodzić, jak żóraw po skałach Po-

linezyi. Umiem omijać kałuże, równie jak i przepaście. Co sobie myślicie?

„Myślę, że dziś Ojca nie puścimy bez obiadu.

„Nie, dziś się nie pójdzie — dodała Cruz, patrząc nań z niemal macierzyńską miłością. — Choćbyśmy miały do krzesła przywiązać".

„Dobrze, moje Panie — zróbcie ze mną, co chcecie. Zdaję się na łaskę. Dajcie jeść, jeśli wam się podoba, i przywiążcie mnie do nogi od krzesła, jeśli taką jest wasza wola. Na taki czas wolno mi zostać pod dachem.

„Najlepiej byłoby zostać na noc — zauważyła Cruz. — Co Ojciec ma przeciw temu? Tu nie zjadamy ludzi. Kazalibyśmy przysposobić pokój na górze, gdzie Ojciec przespałby się, jak jaki kardynał.

„A, co to — to nie. Jestem bardziej przyzwyczajony do spania pod trzcinową budą, niż w pałacach książęcych. Nie przeszkadza to, że zrezygnowałbym się na pozostanie, gdyby moja obecność była komu potrzebną".

Cruz wyszła, aby kazać przynieść przekąskę. Rozmowa wnet powróciła na temat dziecka.

„Nie mam odwagi go karać — rzekła Fidela. — Biedny aniołek — jeszcze nie wie, co robi. Trzeba poczekać, aż lepiej zacznie rozpoznawać złe od dobrego. Jego umysł jest trochę tępy.

„A zęby bardzo ostre.

„Zobaczycie, że ten mały... jak go tu widzicie... będzie bardzo pojętnym — wtrąciła Augusta.

„Jak zmądrzeje!... Ojcze Gamboreno, proszę nie przybierać tak tragicznej miny, skoro tylko mowa o dziecku. Bardzo mi przykro, jak kto ma złe mniemanie o mojem biedactwie i przykrzej jeszcze, gdy wątpi, że będzie możliwem zrobić zeń człowieka.

„Ale jam nic z tego nie powiedział. Sam czas przyniesie ci jakieś rozwiązanie.

„Czas... może śmierć... Czy Ojciec chciał mówić o śmierci?

„Ależ nie, dziecko moje, nie mówiłem o śmierci, anim o niej myślał.

„A ja powiadam, że tak. Rozwiązanie, o którem Ojciec mówił — dodała Fidela przytłumionym od wzruszenia głosem,— to jest śmierć: Ojciec mi nie zaprzeczy. To miało znaczyć, że mój syn umrze i że w ten sposób będziemy uwolnieni od boleści patrzenia na naszego jedynaka...

„Nie myślałem tego — zaręczam ci.

„Niech mi Ojciec nie przeczy. Dziś jestem w „sztosie“: zgaduję myśli.

„Nie moje.

„I Ojca i całego świata. Rozwiązanie, o którem Ojciec mówi, przyniesie czas... Ja go już nie zobaczę, bo przedtem przyjdzie rozwiązanie dla mnie, to znaczy, że umrę pierwej.

„Nie powiadam, że nie. Kto wie, co Pan Bóg przeznaczy? Ale ja nie przepowiadam niczyjej śmierci i jeśli czasem wspominam o tej pięknej damie, czynię to bez tragicznych wyrazów. To, co zowiemy śmiercią, jest faktem bardzo powszednim i naturalnym, przejściem nieuniknionem w życiu i sądzę, że ani sam fakt, ani nazwa nie powinny przerażać nikogo, kto posiada prawe sumienie.

„Widzi Ojciec, że mnie nie przeraża.

„Ale mnie tak, przyznaję — oświadczyła Augusta. — Niech Ojciec powie, co chce, o mojem sumieniu, nie obrażę się.

„Nie mam nic do czynienia z sumieniem pani — odrzekł ksiądz, — ale gdybym miał co do powiedzenia, uczyniłbym to, chociażby się pani miała obrazić.

„Niech nas Ojciec łaje, ile się spodoba — rzekła Fidela, przegryzając świeżo przyniesione zimne mięso i ciasta. — Już mi przeszedł zły humor. Co więcej — jeżeli Ojciec chce mówić o śmierci i powiedzieć nam o niej dobre kazanie, posłuchamy... nawet z radością.

„Co to, to nie — rzekła Augusta, podając misyonarzowi kieliszek wina. — Mnie proszę nie mówić o śmierci, ani o żadnej rzeczy, dotyczącej tej tajemnicy, która się zaczyna na cmentarzu, a kończy na dolinie Józefata. Polecam wszystkim,

moim, aby mi dobrze zatkali uszy, gdy umrę: nie chcę słyszeć trąb sądu ostatecznego.

„Boże co za niedorzeczności!

„Czy się pani obawia zmartwychwstania ciał?

„Nie. Obawiam się sądu.

„A jabym chciała je słyszeć — zauważyła Fidela. — Im prędzej, tem lepiej. Tak pewna jestem, że pójdę do nieba, jak że w tej chwili piję to wyborne wino.

„Ja również... a raczej nie... mam pewne wątpliwości... — wyrzekła Augusta Orozco. — Ale ufam w miłosierdzie Boże.

„Nic lepszego — mieć ufność w miłosierdziu Bożem — potwierdził ksiądz, — pod warunkiem, że się składa zasługi, aby na nie zarobić.

„Ja też tak czynię.

„Wszystkim nam Ojciec może coś zarzucić — zauważyła margrabina San Eloy z nieco żartobliwą powagą, — wszystkim, tylko nie tej chrześcijance, która urządza wspaniałe nabożeństwa, jest prezydentką różnych towarzystw dobroczynnych, zbiera pieniądze na papieża, na missye i na inne cele... pobożne.

„Bardzo dobrze — odparł ksiądz tymże samym poważnokomicznym tonem, co Fidela. — Jednego tylko pani brak: trochę nauki chrześcijańskiej, katechizmu, takiego, jakiego dzieci uczą się w szkołach.

„Ba!... umiem go na pamięć!

„Nie umie pani. Jeżeli pani chce, mogę natychmiast panią wyegzaminować.

„O, nie! Egzaminu nie chcę... można zawsze czegoś zapomnieć.

„Nie szkodzi zapomnieć wyrazów, jeśli zasady pozostaną wyryte w duszy.

„W mojej są.

„Pozwalam sobie wątpić.

„I ja również — wtrąciła Fidela, zadowolona z obrotu rozmowy. — Ona sobie tak, po cichu, jest wielką heretyczką.

„Co ty gadasz? Ja heretyczką? Wierzę we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje, ale wierzę jeszcze w coś więcej.

„W co, na przykład?

„Wierzę, że maszyna, lub raczej rządy tego świata nie tak dobrze idą, jakby powinny... Przyznajcie, że prezydent ministrów tam u góry zaniedbuje nieco sprawy naszej nizkiej planety.

„Bezbożne żarty! Nie wierzysz w to, co mówisz, moje dziecko, ale pomimo że nie wierzysz, popełniasz grzech. Bluźnierstwo nie przestaje być bluźnierstwem dlatego, że jest sprytne i powiedziane że śmiechem.

„A co więcej? Kończ twoją teoryę.

„Niech mi nie mówią — ciągnęła dalej — że wszystko, co tyczy życia i śmierci, jest dobrze urządzone. Utrzymuję, że ludzie powinniby umierać, kiedy zechcą.

„Ha! Ha!... Prześlicznie! W takim razie niktby nie chciał umierać.

„A, przepraszam, nie jestem tego zdania — rzekła poważnie Augusta. — Dla każdego, choćby żył tysiąc lat, przyszłaby chwila znużenia. Niema stworzenia ziemskiego, któreby wreszcie nie powiedziało: Już dosyć — więcej nie mogę. Nawet zakamieniali egoiści, ludzie najbardziej oddani rozkoszy, znienawidziliby w końcu swoje j a i chcieliby je posłać precz. Nastałaby śmierć dobrowolna, wywołana bez strachu, bez starości i kalectw. Cóż, Ojcze? Jeśli takie urządzenie nie jest lepszem od istniejącego, niech przyjdzie Pan Bóg i przypatrzy się.

„Już go widział i wie, że obie macie umysły równie przewrócone, jak serca. Nie chcę iść za wami po tej drodze potwornego filozofowania. Niezbożnie żartujecie.

„Niezbożnie! — zawołała Fidela. — O nie, Ojcze. — Żartujemy i nic więcej. Oczywiście, że skoro Pan Bóg tak zrobił, to jest dobrze. Ale chcę dokończyć: nie krytykuję dzieł boskich, alebym lubiła, aby zaprowadzono ową śmierć dobrowolną.

„To jest, jakobyś broniła najgorszej z niegodziwości — samobójstwa.

Augusta nagle pobladła:

„Ja go nie bronię, o nie! — wyrzekła.

„Ja zaś — kończyła druga, natężając umysł, — jeżeli go

nie bronię... to go również nie ganię... to jest... poczekajcie!... gdyby wszelkie sposoby odjęcia sobie życia nie były tak wstrętne... zdawałoby mi się... to jest... nie wydawałoby mi się tak bardzo złem.

„A niech Pan Bóg broni!

„Nie, Ojcze, proszę się nie przerażać — rzekła Augusta, przychodząc w pomoc przyjaciółce. — Muszę wytłómaczyć zdanie Fideli, które nie jest niedorzecznem. Samobójstwo możnaby przyjąć pod formą następującą: Ktoś — on, czy ona — usypia i zachowuje wśród najgłębszego snu dość woli czy siły, aby zostać uśpionym przez wieki wieków i nie obudzić się już nigdy, nigdy...

„O tak, tak!... Jakżeś to dobrze umiała wysłowić! — zawołała Fidela, klaszcząc w ręce z iskrzącemi oczami. — Spać, aż trąbki zadzwonią...“

Gdy skończyły, Gamborena wziął spokojnie stołek, postawił go na przeciw obu pań i tonem dobrotliwym a poufałym, któremu słodycz jego wejrzenia dziwnego dodawała uroku, rozpoczął następującą filipikę:

„Moje drogie panie, choćbyście mi nie pozwoliły, ja, jako ksiądz i wasz przyjaciel, chcę i powinienem skarcić was za ten zwyczaj traktowania lekko, z punktu humorystyczno-literackiego najważniejszych kwestyj moralności i katolickiej wiary. Jest to zły nałóg, nabyty w najwyższych sferach, w których żyjecie: lubicie ozdabiać wasze rozmowy zwrotami barwnemi i błyskotliwemi, po prostu dla rozrywki, podobnie jak przy uczciwych grach towarzyskich... jeżeli są uczciwe, o czem można czasem powątpiewać.

„Nie potrzebuję waszego pozwolenia, aby wam oświadczyć, że to, coście mówiły o śmierci, o celach życia ludzkiego na tym świecie i na tamtym, jest po prostu herezyą, a nadto niedorzecznością i dziwactwem, że ani w tem niema sprytu, ani uczucia chrześcijańskiego. Mogą takim wymuszonym dowcipom przyklaskiwać tłumy nudziarzy, grasujące po waszych rautach, ludzie zepsuci, niewiasty bez czci... niektóre, nie mówię wszystkie. Jeżeli chcecie dowcipkować — czyńcie to w sprawach ziemskich,

doczesnych. Sądźcie lekko, z oryginalnością rzeczy, tyczące teatrów, balów, wyścigów i welocypedów. Ale o niczem, co dotyczy sumienia, o niczem, co dotyczy praw, nałożonych przez Stwórcę stworzeniu, nie ważcie się wyrzec słówka, niezgodnego z tem, co umie i mówi najmniejsze dziecko z najnędzniejszej szkółki. Tu dzieje się rzecz smutna, to jest, że najoświeceńsze klasy najbardziej zapominają czystej, przedwiecznej nauki. Nie gadajcie mi, że popieracie religię, podnosząc wspaniałość nabożeństw i ceremonii, urządzając bractwa i komitety dobroczynne: najczęściej w tem otaczacie tylko Pana Boga pompą oficyalną i świecką, odmawiając Mu hołdu serc waszych. Chcielibyście uczynić z Niego konstytucyjnego króla, takiego, co panuje, a nie rządzi. Nie! — i nie mówię tego osobiście do was, ale o wielu z waszych sfer: na nic wam się nie przyda taka pobożność wystawna; nie może być przyjętym zewnętrzny hołd, jeżeli mu nie towarzyszy oddanie się serca i poddanie rozumu. Bądźcie prostemi i szczeremi w rzeczach wiary; dajcie umysłowi to, co się umysłowi należy, a Bogu to, co zawsze było i zawsze jest Boskiem".

Obie panie słuchały z przejęciem, pochłaniając oczami słodycz oczu misyonarza, a uszami i myślą jego wyrazy. On zaś zatrzymał się chwilę, a potem ciągnął dalej nieco surowszym tonem:

„Ludzie klas wyższych, lub, słuszniej mówiąc, klas bogatych, mają skrzywione serca i umysły, bo utracili wiarę, lub, co najmniej, ją tracą. W jaki sposób? Przez ciągłą styczność z tak zwaną wolnomyślnością, którą ja nazwę raczej „filozofizmem". Dawniej „filozofizm" nie przekraczał linii granicznej, dzielącej was od klas niższych, był rzeczą ordynarną, plebejuszowską, uosobioną w ludziach o typie dla was antypatycznym, uczonych nie umytych i nie ogolonych, poetów rozczochranych, nie umiejących porządnie jeść. Ale dziś wszystko się zmieniło. „Filozofizm" stał się wykwintnym, eleganckim, umiał się prześlizgnąć przez wasze drzwi, a wy dajecie mu przytułek i głaszczecie go na wyścigi. Dawniej gardziliście nim — dziś mu pochlebiacie. Zdaje się wam, że wasz stół nie jest godnie obsadzonym, jeśli

doń nie zasiada dwóch albo trzech takich alumnów Lucyfera, że waszym wieczorom zbywa na szyku, jeśli nie zaprosicie całej gromady niedowiarków, heretyków i ateistów.

„Nudzi was i drażni, że w obecnych czasach nie możecie już odgrywać dawnej roli, pełnej chwały i czynu, więc zniżyliście się do polityki, tak jak wielki pan, chory i znudzony, zniża się, w braku innej rozrywki, do towarzystwa lokai. Ze swojej strony „filozofizm", znużony życiem obskurnem wśród piwnicznego brudu, sięgnął w górę do polityki, przy której mógł upiec swą pieczeń, i na tym wspólnym gruncie spotkaliście się i pokumali. Następnie, doszedłszy do niesmacznej poufałości, wprowadziliście go jeszcze wyżej, do waszych domów, gdzie się rozgościł, zarażając was swemi zdrożnemi pojęciami, osłabiając wiarę serc waszych. Zapewne, zachowujecie wiarę nominalną, ale jedynie jako godło, jako straż zbrojną waszej klasy, aby w razie potrzeby broniła waszych przywilejów... Dowód tego mamy w nowych waszych zwyczajach. Powiedzcie prawdę, czy nie jest rzeczą bijącą w oczy, że wasza pobożność jest tylko powierzchowną, pokrywającą indyferentyzm i zepsucie? Śmiałyście się same tego roku na Boże Narodzenie z pań, które wyprawiły Pasterkę z tańcami. I wy też urządzałyście koncerty na cele dobroczynne i równie gładko używacie teatru i loteryi za narzędzia miłosierdzia, jak i do kościołów wprowadzacie zwyczaje teatralne. Wszystko dobre, byle was bawiło — to bowiem jest najwyższym, jedynym celem dusz waszych".

Czy tu autor nie przesadza — powiedzieć trudno. Już O. Coloma wspomina w jednym z pomniejszych szkiców *(La Noche Buena,* jeśli dobrze pamiętam) o owej tańczącej Pasterce, co przeciw niemu w całym Madrycie wzbudziło krzyk oburzenia. Zaklinano się, że nikt nigdy w całej Hiszpanii podobnej niegodziwości nie popełnił. Teraz już drugi autor z tem samem się odzywa... Bądź co bądź może zaszedł taki fakt poszczególny, a według poszczególnych faktów nie należy sądzić całego społeczeństwa. Ale O. Gamborena nie skończył — słuchajmy go dalej, gdyż każdy z nas coś z jego mowy do siebie zastosować może:

„Należy powrócić do prawdziwej prostoty, należy z serca wyrzucić wszelką nieczystość i nie dozwolić próżności, aby właziła tam, gdzie jej nikt nie prosi i gdzie potrzebna, jak dziura w moście lub pies w kościele. Chcecie być elegantkami? Bądźcie niemi i niech wam służy, ale nie mieszajcie imienia Pana Boga, ani nauki Kościoła do waszych epigramatycznych plotek. Miłosierdzie, nabożeństwo, dewocya winny być rzeczą poważną, a nie jednym z tematów, służących za pole do popisów dowcipu. Niech ta, która nie wierzy, oświadczy to głośno i zaprzestanie komedyi, które nie oszukają nikogo, a najmniej Tego, który wszystko widzi. Kto ma wiarę, niech umie ją posiadać w prostocie; niech się uczy jej zasad, jak się uczą dzieci, niech je wprowadza w czyn, jak to czynią pokorni i ubodzy duchem, niech umysłowe harce zostawi dyabłu, temu wielkiemu mowcy i ministrowi gadulstwa: on to przy końcu zbiera sobie jako czysty zysk wszystkie esy-floresy waszych sprytnych dyskusyi... Wysokie urodzenie i pieniądz bywają ciężkiem brzemieniem dla duszy, pragnącej się podnieść i wielką zaporą dla szukających pokory: cała sztuka, moje panie, polega na tem, aby dojść do owych celów, nie odrzucając nazwiska ani majątku, choć bywały takie wypadki, o których nic nie powiem, jako o wyjątkach. Wiedząc, z kim się mówi i w jakich czasach się żyje, byłoby naiwnością powiedzieć: Naśladujcie tych, którzy, będąc wielkimi i bogaczami, woleli stać się ubogimi i maluczkimi. O tem niema mowy; żyjemy w czasach wielkiej prozy, wielkiej nędzy i wielkiej małoduszności. Wola ludzka widocznie się wyradza, jak drzewo, coby się zamieniło w krzew, a krzew na roślinę w doniczce; nie podobna żądać odeń wielkich czynów, tak jak się nie żąda od dychawicznego karła, aby przywdział zbroję sławnego Garcia de Paredes [1] i chodził z nią. Nie, moje drogie. Nie powiem wam, abyście się stały heroinami, gdyż wyśmiały-

[1] Garcia de Paredes, sławny siłacz w wojsku Gonzalwa z Kordoby. Pewnego dnia, gdy towarzysze, dokuczając mu, pytali, czy byłby zdolny unieść kupę drzewa, pod którą zdał się upadać przechodzący osioł, Garcia poskoczył i osła wraz z całem brzemieniem przyniósł do izby. Mnóstwo innych o nim opowiadają anegdot.

byście mnie, i słusznie. Jesteście bardzo maleńkie i choćbyście się najbardziej wspinały i przyczepiły sobie pióropusze dumy i obcasy próżności, nie dorośniecie nigdy do żądanego wzrostu. Ale mówię wam: skoro jesteście takim drobiazgiem, starajcie się być dobremi chrześcijankami w wązkim zakresie waszych duchowych zdolności; bądźcie nadal wielkiemi, bogatemi paniami, ale umiejcie połączyć pokorną prostotę z wystawnością, należną waszemu stanowisku, a jeśli w końcu zdołacie oczyścić serca wasze z zalewających je mętów, jest nadzieja, że gdy nadejdzie dla was chwila przejścia do innego życia, nie zastaniecie przed sobą zamkniętej bramy do szczęścia wiecznego".

I umilkł. Obie kobiety niemal płakały. Augusta wzdychała, nieco wystraszona; Fidela zaś po chwili ozwała się nagle, i to w sposób, jaki właśnie kapłan był skarcił:

„A jeżeli nie zdołam oczyścić się dobrze, co się nazywa dobrze, to mam przecie nadzieję, że tam będą patrzeć przez palce i że Ojciec otworzy mi furtkę do nieba.

„Ja?

„Tak, przecież Ojciec ma klucze.

„Ja?

„Mój mąż tak mówi i wierzy i dlatego zwie Ojca świętym Piotrem.

„To żart.

„I czyż nie zasłużę na trochę pobłażliwości?

„Pobłażliwość jest w ręku Bożem.

„Bo, widzi Ojciec, nikt mi nie wybije z głowy, że jej będę potrzebować niedługo, bardzo niedługo.

„Nie mów tego.

„Możecie mi wierzyć! Od pewnego czasu myślę wciąż o tem, o mojej blizkiej śmierci, i teraz, podczas gdy Ojciec mówił, przyszło mi do głowy, że już mam skończyć i to już... już...

„Co za dzieciństwo!

„Kiedy mnie to nie straszy. Przeciwnie, patrzę z takim spokojem... Umrzeć... usnąć na długo!... Czy nie tak, Ojcze? Czy nie tak, Augusto?"

Tu weszła Cruz i znalazłszy siostrę nieco zmęczoną i roz-

paloną, namówiła ją z pomocą innych, aby poszła do łóżka. Fidela dała się przekonać, przespała czas krótki, poczem obudziła się na pozór zdrowa, z oddechem wolnym i sercem spokojnem. W godzinę potem jednak znów jęła się skarżyć i mówić o śmierci. Prosiła, aby jej się dano spowiadać. To już przestraszyło i Augustę i Cruz i bardziej jeszcze wracającego z senatu Torquemadę. Przyprowadził on na obiad jednego z kolegów, senatora i słynnego lekarza, poprosił go, aby odwiedził żonę: w ten sposób nie potrzebował zapłacić mu wizyty. Wielki człowiek przystał i troskliwie wypytywał Fidelę, która wszakże nie umiała żadnych ważnych wykazać symptomów: senator wyszedł, mówiąc, że niema nic złego, że przyczyną cierpienia są n e r w o w e r e f l e k s a... Ksiądz jednak, zaniepokojony, postanowił noc przepędzić w pałacu i tylko na prośbę siostry odłożył spowiedź do rana. Torquemada niby doktorowi uwierzył, nie mniej przecież noc całą czuwał przy żonie. Tę noc niespokojną, prawie bezsenną, opisuje Galdos w sposób tak prawdziwy (nie śmie się już użyć skrzywionego wyrazu realistyczny), że czytelnik mógłby przysiądz, iż był obecnym przy łożu Fideli. Raz nad ranem już myślała, że kończy, potem zrobiło się jej lepiej. Po mszy św. wszedł O. Gamborena i odprawiwszy obecnych, wysłuchał jej spowiedzi. Spowiedź trwała długo, ale nie tak długo, jak upragniony przez Fidelę sen.

Zdało się, jakoby rozgrzeszenie rozwiało nie tylko grzechy, ale i całą chorobę. Fidela na żądanie rodziny została w łóżku, ale wesoła i raźna bawiła się z dzieckiem, które z nią jedną okazywało się łagodniejszem, a dnia tego, ku ogólnemu zdziwieniu, długi czas przeleżało przy matce spokojne i ciche, szepcąc jej od czasu do czasu do ucha w nieludzkiej mowie jej tylko zrozumiałe czułości. Quevedo winien był czuć się dumnym: doktor-senator pochwalił był we wszystkiem jego kuracyę. Wszelako poczciwy chłopiec pobiegł jeszcze do swego dawnego mistrza dra Augusta Miquis, naszego znajomego z powieści o *Wydziedziczonej*. Miquis chorą zbadał i kilku słowami zbył ciekawość Cruz i Augusty; wyszedłszy zaś, oświadczył uczniowi, że teściową leczył na wspak i że nie pozostaje do

dania jej nic — prócz Wiatyku. Biedak osłupiał, a następnie wygadał się przed Torquemadą, który jął kląć na lekarzy. O śmierci nawet słyszeć nie chciał: toż było tylu niepotrzebnych ludzi na świecie, czemużby właśnie Fidela miała umierać?...

Miquis przepowiadał koniec na noc następną — toż samo mniej więcej potwierdziło trzech najznaczniejszych doktorów stolicy, wezwanych na konsultacyę. Było już późno. Cruz chciała naradzić się ze szwagrem nad kwestyą Wiatyku; Torquemada jednak nie odpowiedział — był zbyt przygnębiony, aby o czemkolwiek módz decydować. Przyniesienie Wiatyku bowiem nie jest w Hiszpanii rzeczą tak prostą, jak u nas, gdzie Pan Jezus po cichu przychodzi do pragnącej go duszy: tam Najświętszy Sakrament niosą procesyonalnie przy biciu dzwonów i tłumnym zbiegu ludności. Pięknym zwyczajem jest, iż gdy kto nowy powóz zakupi, nie poczyna nim jeździć sam, ale daje znać do parafii, aby go po raz pierwszy do przewiezienia Najświętszego Sakramentu użyto. Zazwyczaj jednak kapłan idzie piechotą, a wszystko razem odbywa się tak hucznie, że chory już zdaleka może miarkować przyjście Boskiego Gościa. Nigdy zapewne nie można Panu Bogu dostatecznej czci oddawać, — pomimo to cała owa pompa utrudnia niezmiernie przyjęcie Wiatyku: dla chorego, którego musi wstrząsnąć i zmęczyć, i dla otoczenia, które widzi się zmuszonem z całem miastem podzielić się obawą, gdy najczęściej człowiek nie radby sam przed sobą do niej się przyznać.

Tymczasem O. Gamborena, wszedł do sypialni pod pozorem odwiedzenia chorej. Zastał ją śpiącą, poczekał... Chwilkę potem Fidela zbudziła się; ucieszyła się bardzo z obecności misyonarza i poprosiła jeszcze o rozgrzeszenie. Wszyscy wyszli, a ksiądz pospieszył skorzystać z dobrej sposobności, aby jej zaproponować przyjęcie Sakramentów. Została niepewność co do godziny, gdyż chora powiedziała: „jutro“, a Cruz nie chciała jej straszyć okazaniem pospiechu. O. Gamborena zaś zakonkludował, tłómacząc owo „jutro“ na własny sposób [2]: Tak, jutro rano, raniutko, będzie najlepiej. Teraz jest dziesiąta.

---

[2] Po hiszpańsku *mañana* oznacza zarówno jutro i rano.

„Około jedenastej Torquemada wszedł do pokoju żony; tu przepowiedziany przez lekarzy *colapsus* serca już się był rozpoczął. Sama trwoga, zalewająca mu duszę, przykuwała wzrok jego do smutnego obrazu owego drogiego życia, gasnącego w kwiecie wieku, jakoby na wyśmianie wszelkiej logiki, zdrowego rozsądku i nawet praw natury, najświętszych praw, tak, mospanie, najświętszych, o ile *nota bene* nie ulegają potężniejszym rozkazom z góry. Patrzył na ukochaną żonę wybladły, zmięszany, niezdolny wyrzec ani słowa skargi; stał nieruchomy, czując więcej trwogi na myśl odejścia z sypialni, aniżeli ją był odczuł przy wejściu. Nie miał siły uczynić najmniejszego ruchu. Nakoniec Augusta, zalewając się łzami, wzięła go za rękę, mówiąc wśród łkania: „Odejdź Pan, to zanadto bolesne".

„Znalazł się za drzwiami, nie wiedząc sam, jak wyszedł, poczem milczący, z rękami założonemi w tył, z zębami zaciśniętymi, jak gdyby już nigdy nie miał otworzyć ust, poszedł do swego gabinetu, na parter, gdzie żywej duszy nie było. Nawet Donoso bowiem (najbliższy jego przyjaciel) kręcił się na górze, czyniąc przygotowania do mającego się odbyć wspaniałego obrzędu".

Margrabia San Eloy schronił się do swego pokoju, jak goniony zwierz ucieka do nory, sądząc się tu tylko bezpiecznym. Że jednak pokój był dość obszerny, jął po nim chodzić, przebiegając również myślą cały obszar swego nieszczęścia, naciągając je w tę lub ową stronę, w płonnej może nadziei, iż, obracając się w niem, znajdzie je mniej głębokiem, niż sądził. Nie ból jednak, ale gniew i oburzenie w sercu mu wrzały: czemuż to Fidela umiera, a nie Cruz? Co za niedorzeczność! Ale poczekajcie! Nie zabraknie mu animuszu, aby to w twarz powiedzieć Panu Bogu, a powie i nuncyuszowi i papieżowi, aby Mu powtórzyli... Któż nakazał śmierć Fideli — kto? — powtarzał gniewnie, podnosząc wzrok do sufitu. — Czyż to sprawiedliwe? Czyż to miłosierne, boskie?... Boskie!... Dajcie mi pokój z waszemi bajkami tam w górze... Na cóż się przydały moje modlitwy, moje błagania, gdy mi dziecko konało?... Teraz też na nic

się nie zdadzą... Trzebaby cudu, a On tam czasem czyni łaski, ale cuda... A łaski też nie dla każdego — dla dewotek, dla świętoszków... Ja się nie myślę poniżać, nie będę się korzył... Oj! korzyłbym się i jakiś gdyby mi to oddało Fidelę — ale cóż? pokazanoby mi figę, jak wtedy"...

Wśród burzy bluźnierstw, niedorzeczności i rozpaczy płyną godziny. Torquemada co chwilę idzie do drzwi i nasłuchuje śledząc każdy ruch w domu. Raz tylko dolatuje go hałas większy — to z parafii niosą Najświętszy Sakrament. Potem znów cisza. Nakoniec słyszy na korytarzu powolne kroki, w otwartych drzwiach staje misyonarz z twarzą o starożytnych kształtach, ze swą świecącą łysiną i anielskiemi oczami i rzecze głosem, który odbija się w uszach bogacza, jakby huk rozpadających się światów: „Panie — Bóg tak chciał".

(Dok. nast.).

T. W.

O WYNIKACH BADAŃ NAD JĘZYKIEM POLSKIM.

(Ciąg dalszy).

III.

Językowe zabytki staropolszczyzny, które ocalały dla nauki, a w których obecnie nieco rozpatrzyć się mamy, dadzą się podzielić w dwojaki sposób: albo według treści, na zabytki religijne i świeckie, albo według formy, na zabytki prozaiczne i poetyczne. Trzymać się będziemy drugiego podziału, wyróżniając przy tem tak w prozie jak i w poezyi zabytki świeckie od religijnych [1].

Przedtem wszakże uporamy się z glossami, aby już więcej do nich nie wracać.

Glossami, jak wiadomo, nazywamy wyrazy, wpisane albo w tekst nad jakiemś słowem, albo z boku, a służące do objaśnienia. Kiedy Niemiec, Czech lub Polak czytał rękopis łaciński, wtedy raz po raz dla ułatwienia pamięci nad wyrazem łacińskim albo obok niego dopisywał jego znaczenie w języku ojczystym, a czasem przetłumaczył sobie całe zdanie. U Niemców i u Czechów z takich gloss powstało średniowieczne piśmiennictwo. U nas było o tyle inaczej, że glossy nie wyprzedzają

[1] Nehring, *Altpolnische Sprachdenkmäler,* Berlin 1886 i Brückner, *Über die älteren Texte des Polnischen* (*Archiv für slavische Philologie,* t. x, 1887 i xii 1890). Cytujemy tylko te pisma, które czytelnik nie-filolog może przeczytać w całości, albo ustępami. Dokładna naukowa bibliografia podana jest w I. tomie „Prac filologicznych".

zabytków, ale idą z nimi równorzędnie. W wieku XIV. jest ich nie wiele, w następnym liczba ta ogromnie wzrasta. Szczególniej glossowano kazania, a w nich przedewszystkiem lekcye z Ewangelii i Listów. Spisywano wówczas kazania po łacinie, ale wygłaszano je po polsku; więc dla ułatwienia przekładu dawano glossy polskie. Materyał językowy zawarty w tych glossach nie bardzo jest obfity, a przytem jednostajny; powtarzają się ciągle te same wyrazy i pojęcia; zwłaszcza glossowano pojęcia oderwane, stąd też pojawiają się wyrazy albo ukute (czasem nieszczęśliwie), albo żywcem przeniesione z czeskiego.

Tak np. spotkał glossator w łacińskim rękopisie wyraz *cyclopes,* to utworzył dlań polski: *otchłannicy;* dla *politor* (t. zn. ten, który grzebie ciała): *pogrzebca,* dla *captor: otejmacz;* złożone wyrazy oddawał przez złożone polskie, przeciwne duchowi języka: *nocnobiegający (noctivagus), skarborodzicielka (thesaurigena), bojomocny, kwiatopłodny, dziwopłodny* i t. p. Wyrazy oznaczające pojęcia oderwane tworzono z tematów już istniejących, np. *cirpiedliwość (mansuetudo), ogłośnienie (clangor), rozmyślność (vigilantia), żywaźń (vitalis nectar).* Z czeskiego: *poczmurny* zamiast *pochmurny, łeptać* w znaczeniu *gryźć, podstata = substantia, materia, pokuta, szkarady* i inne.

Głossowano także dzieła poetyckie, religijne i świeckie, i tu wartość gloss jest większa, ale za to jest ich bardzo niewiele. Wogóle glossy mają dla językoznawstwa wartość prawie wyłącznie leksykalną, dla innych działów gramatyki mniej.

Poza glossami dopiero stoi cały zasób naszych zabytków średniowiecznych. Wymieniamy tylko najważniejsze, nie chcąc się zanadto zapuszczać w drobiazgi. Przeważają oczywiście religijne, co w średnich wiekach jest zupełnie naturalne.

Do prozy religijnej należą naprzód m o d l i t w y i m o d l i t e w n i k i.

Pojedyncze modlitwy spisane były z pewnością już bardzo dawno; najstarsze zachowane: Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę i Spowiedź powszechna pochodzą z r. 1375. Modlitw jest liczba znaczna, najczęściej w kodeksach łacińskich.

Oto spowiedź powszechna z 1375 r., w dzisiejszej pisowni:

Ja grzeszny człowiek kaję się oćcu i miłe Marie, matce boże, i wszem świętym, i tobie otcze duchowny mych wszech grzechów, com sie ich dopuścił ot mego porodzenia aż do dzisieszego dnia mą pięcią rozumu: weźrzenim, słyszenim, ukuszenim, pomyślenim, przemówienim. Jakośm co często sgrzeszył, tego mi dzisia żal ot mego prawego sierca i tego sie kaję.

Z modlitewników ważniejsze są:

Modlitewnik Nawojki (albo Jadwigi), wydany kilka razy, oryginał gdzieś zaginął. Pochodzi z końca wieku XV. Napisany według wzoru czeskiego z pierwszej połowy tegoż wieku. Napis (późniejszy) na okładce: „Książeczka, na której się modliła św. Jadwiga, księżna“ dał powód do nazwy Modlitewnik Jadwigi; kilkakrotnie zaś w tekście wspomniane imię Nawojki było przyczyną drugiej nazwy.

Modlitwy Wacława, w końcu XV. w. spisane, w części ze starszego oryginału odpisane przez magistra akademii krakowskiej, Wacława. Zawierają godzinki z brewiarza, modlitwy do św. Anny i modlitwy do Anioła Stróża. Rękopis znajduje się w bibliotece uniwersytetu w Peszcie, dokąd się dostał przez klasztor w Lechnicy.

Do tejże grupy zaliczyć można książki do pobożnego użytku, jak np. Regułę Trzeciego zakonu św. Franciszka, z końca XV. wieku.

Osobny dział wśród starych językowych zabytków stanowią kazania. Prócz wielu wstępów do kazań z modlitwami, spowiedzią powszechną, dekalogiem, (t. zw. *praeambula sermonum*), posiadamy trzy rękopisy z samemi kazaniami; językowo ważne, pierwsze dwa zbiory dla swej starożytności, trzeci dla pięknego, znacznie już wykształconego stylu.

Najdawniejsze pochodzeniem są Kazania Świętokrzyskie, nazwane tak dlatego, że rękopis pochodzi ze zbiorów klasztoru Świętego Krzyża na Łysej górze; dziś znajduje się w Petersburgu. Odkryte niedawno przez prof. Brücknera, są najstarszym wogóle zabytkiem języka polskiego; odpisane w trzeciej ćwierci XIV. wieku z oryginału, pochodzącego z pierwszej tegoż wieku połowy.

Zabytek to jeden z najważniejszych. Pisany ortografią jemu tylko właściwą [1], posiada formy językowe, niepowtarzające się już w innych zabytkach; ich istnienia dawniej tylko się domyślano: *togo, tomu* (tego, temu), *pokłęli* zam. pokłękli, *chociał* (chciał), *miłosirdy* (miłosierny), *dziińsia* (dziś), *lije* (leje) i t. p.

Przytaczamy w dzisiejszej pisowni jeden ustęp z tych kazań. Jest on wyjęty z kazania VI. na dzień Gromniczny:

Viderunt oculi mei salutare tuum. Ta słowa pisze święty Łukasz na cześć i na fałę (chwałę) godom (świętom) niniejszym, a są ta ista słowa zmówiona oćcem świętym, jemuż biesze imię Simeon (a są te oto słowa, zmówione przez Ojca św., któremu było imię Symeon): święty, prawdziwy, bogobojny. A na tych słowiech wykład pisania łacińskiego w polski jest taki: Widziele, prawi, oczy moji (forma liczby podwójnej) zbawienie twoje, toczu (to jest) syna twego. Ta to słowa ten to ociec święty Simeon mówi bogu oćcu naszemu, iż jest sesłał syna swego na zbawienie pokolenia człowieczego... I powiada nam ten to ociec święty Simeon swoje przezmierne (bezmierne) ucieszenie ilkoż do widzenia (co się tyczy widzenia). Bo mówi: widziele oczy moji zbawienie twoje. Rozmajite widzenie nałazimy w świętem pisani (pisaniu) boga wszemogącego. Owa ji (go) pirzwiej widział Habraham pod obrazem trzy męży (trzech mężów) po drodze idącego. A wtóre ji widział Mojżesz we krzu pałającego. A trzecie ji widział Ezechiel na wysokiem stolcy (stolcu, tronie) siedzącego. A cztwarte ji widział święty Jan pod obrazem barańca śmiernego (baranka pokornego). A piąte ji widział ten to ociec święty Simeon pod obleczenim człowieczstwa.

Kazania Gnieźnieńskie są zbiorem z pierwszych lat wieku XV. Rękopis ich przechowuje się w bibliotece kapituły w Gnieźnie; ciekawe także z tego względu, że są w nich ślady narzecza ludowego. Próbki języka, zarówno jak i narzecza podaliśmy już dawniej w *Przeglądzie Powszechnym* [2].

Wreszcie Kazanie na dzień Wszystkich Świętych, zachowane w rękopisie biblioteki kapitulnej w Pradze. Napisane zostało około połowy wieku XV., a odznacza się pewną potoczystością i wyrobionym stylem. Jest to kazanie o ośmiu błogosławieństwach. Oto próbka jego języka:

---

[1] Wyraz *idziechą* (szli, staropolski czas przeszły niedokonany) napisany: *ydeho, usłuszał: uſłuſał, wiecznego: uecnego, ponęca: ponǫcha, otwodziła: otuodila:* bardzo charakte rystyczne jest ogromne zastosowanie skróceń: *w grzeszech: uǵſeh, niemocnego: nemochgo, przetoż: p̄toz, będzie: bo d̄, dziewiąte: d'uo te*, i t. d.

[2] Por. *Przegl. Powsz.* 1897. styczeń, str. 100.

Ale eże (iż) sprawiedliwość przez (bez) miłości jest ukrutność, a miłość opięć (znowu) przez sprawiedliwości jest rozpuszczenie, przeto mówi dalej: Błogosławieni miłosierdni, bo oni miłosierdzie pościgną. Miłosierdzie jest miłość serdeczna a czysta, jąż (którą) człowiek każdemu chce dobrze, jako sobie, i uczyni gdykole a gdziekoli może. Ale eże miłosierdzie rządne poczyna się ot siebie, bo kto miłuje złość, nienawidzi swojej dusze, przetoż każdy ma być pirwej sam sobie miłosierny, to jest, ma się wiarować grzechów, a potym drugiemu.

Obok kazań mamy jeszcze stare przekłady Pisma św.

Na ich czele stoi Biblia Szaroszpatacka, nazwana tak od miasta Szaroszpatak na Węgrzech, gdzie się obecnie znajduje, albo Biblia królowej Zofii, żony Władysława Jagiełły, dla której była napisaną. Pochodzi z połowy wieku XV. Jest to największy zabytek języka staropolskiego, pisany bardzo starannie i ozdobnie. Nie jest to jednak cała biblia, zaledwie część Starego Testamentu. Całkowitego tłumaczenia Pisma św. biblii nie mamy, chociaż jest rzeczą pewną, że taki przekład istniał. Biblia Szaroszpatacka jest tłumaczona przy pomocy biblii czeskiej, może nawet wprost z czeskiego, i to tak niewolniczo, że pisarz polski po prostu przepisywał po polsku tekst czeski, nie bacząc na znaczenie słów. Dlatego jej tekst jest mocno zepsuty. Przypatrzmy się np. początkowi Genezy:

Poczynają sie pirwe księgi Mojżeszowy genesis.

Na początce bóg stworzył niebo i ziemię, ale ziemia była nieużyteczna a prózna, a ćmy były na twarzy przepaści, a duch boży naświecie nad wodami. I rzekł bóg: bądź światło, i stworzono światłość. A uźrzał bóg światłość iże jest dobra i rozdzielił światłość ode ćmy, i nazwał jest światłość dniem a ćmy nocą. I uczynił wieczór a z jutra dzień jeden. Lepak (znowu) rzecze bóg: bądź stworzenie wpośrzód wód... I uczynił bóg stworzenie i rozdzielił wody, jeżto były pod stworzenim ot tych, jeż były nad stworzenim... [1]

Ciekawe są koleje tej biblii. Z domu królewskiego przechodziła ona w ręce kilku rodzin wielkopolskich, w XVII. wieku była w Lesznie, skąd ją prawdopodobnie sławny Komensky zabrał do Szaroszpataku.

Do Starego Testamentu należą dwa psałterze.

---

[1] Wyraz „stworzenie“ dostał się tu przez nieświadomość pisarza, który czeskie „stvrzenie“ tj. utwierdzenie czyli firmament wziął za stworzenie.

Psałterz Floryański, z końca wieku XIV., którego rękopis znajduje się w opactwie St. Florian w Austryi górnej. Także dziwnemi jakiemiś drogami tam się dostał. Pisany był dla kogoś z domu królewskiego (dawniej sądzono, że dla domniemanej królowej polskiej Małgorzaty, córki Ludwika); w w. XVI. posiada go jakiś Niemiec, kupiwszy od włoskiego handlarza. Zabytek to ważny, bo obszerny i drugi co do starości; formy językowe, w nim spotykane, są bardzo starożytne. Pisany w trzech językach: łacińskim, niemieckim i polskim, dość ozdobnie. Np. psalm 129 *(De profundis)* tak się przedstawia w polskim tekscie:

Z głębokości wołał jeśm k tobie, gospodnie, usłysz głos mój.
Bądźcie uszy twoje słuszające głosa modlitwy mojej.
Będziesz-li lichoty chować, panie, panie, kto scirzpi.
Bo u ciebie smiłowanie jest a prze zakon twój cirpiał jeśm cię panie.
Cirpiała jest dusza moja w słowie jego, dusza moja pwała (ufała) w pana.
Ot strzodze (od straży) jutrznej aż do nocy pwał izrael w gospodna.
Bo u pana miłosierdzie i opłwite (obfite) u niego otkupienie.
A on otkupi izrael ze wszech lichot jego.

Psałterz Puławski, przeszło sto lat młodszym jest od poprzedniego; rękopis przedtem znajdował się w Puławach, dziś w Krakowie w muzeum Czartoryskich. Redakcya tekstu jest ta sama, co we Floryańskim, tylko język zmieniony; przez to zabytek jest ciekawy, bo pokazuje, jakie przemiany zaszły w przeciągu jednego wieku w języku. Przytoczymy dla przykładu psalm 119:

Ku gospodnu, gdym był męczon, wołał jeśm i wysłuchał mie.
Gospodnie, zbaw duszę moję ot warg złosnych i ot języka łżywego.
Co dadzą tobie abo co przyłożą tobie ku języku łżywemu.
Strzały mocnego ostre, z węglim każącym.
Gorze mnie, iż przebyt mój przedłużył sie jest; przebywał jeśm s przebywającymi cedar; długo bydliła dusza moja.
S tymi, jiż są nienaźrzeli pokoja, był jeśm pokojen; gdy jeśm mołwił im, przekażali mi za dar.

Oba te psałterze, tj. Floryański i Puławski, opierają się na jakimś wspólnym starszym wzorze. Przekład psalmów istniał już w wieku XIII., o czem świadczy żywotopisarz św. Kingi.

Powiada on, że ta święta miała zwyczaj, zanim wyszła z kościoła, odmawiać dziesięć psalmów w języku ludowym *(in vulgari)* i w ten sposób odmawiała cały psałterz.

Nowy Testament był z pewnością w w. XV. tłumaczony, ale zachowały się tylko szczątki, np. *Magnificat* z ewangelii św. Łukasza, albo kilka rozdziałów z ewangelii św. Mateusza.

Oto parę wierszy z tej ostatniej:

W on czas, uźrzaw (ujrzawszy) Jezus gromady, wstąpił na górę, a gdy siadł, przystąpili k niemu uczenicy jego; a otworzyw usta swa, uczył je, rzekąc: Błogosławieni ubodzy duchem, bo ich jest królewstwo niebieskie. Błogosławieni ciszy, bo oni posiędą ziemię. Błogosławieni jiż (któ rzy) są w żeli (w smutku), bo oni będą ucieszeni. Błogosławieni, jiż są łacni a spragli sprawiedliwości, bo oni miłosierdzie pościgną. Błogosławieni czystego sierca, bo oni boga uźrzą.

Legendy i Żywoty Świętych były najpowszechniejszą i najulubieńszą lekturą wieków średnich. Źródłem ich są apokryfy, powstałe w pierwszych wiekach chrześcijaństwa; gruntem, na którym wyrosły, młodzieńcza a bujna fantazya ludowa, połączona z głęboką wiarą i pobożnością. Apokryfy były tak rozszerzone i tak pomimo zakazów Kościoła czytane, że ich opowieści trwają w ustach ludu do dziś dnia, i to nietylko u nas, ale w całej Europie. Przerabiano je i tłumaczono na różne języki, a ich wpływ na umysłowość wieków średnich był ogromny. Apokryfy zajmują się głównie Panem Jezusem i Matką Boską.

Obok nich powstają legendy, w których głównemi postaciami są święci, zwłaszcza męczennicy. Początek tej literatury jest w rzymskiem martyrologium, a katolicka cześć świętych spowodowała jej rozszerzenie. Zbiory legend były na Zachodzie bardzo obfite, ale jeden szczególniej zasłynął i na całe wieki średnie wywarł wpływ bardzo wielki, to znana Legenda złota *(Legenda aurea)* mnicha włoskiego, później biskupa, Jakóba a Voragine, spisana w wieku XIII.[1].

W Polsce średniowiecznej spotykamy zabytki z obu działów, ale jest ich bardzo mało i to same urywki. I tak jest

[1] Bruchnalski, „Legenda aurea w literaturze polskiej XV. wieku". (Rozpr. Ak. Um. Wydz. filolog. t. x).

fragment Żywota Pana Jezusa, opowiadający o nocy na górze Oliwnej. Jest inny, fragment większej całości, którą był Żywot Najświętszej Panny; pismo to pochodzi od jakiejś średniowiecznej przeróbki bardzo starego apokryfu, zwanego *Protoevangelium Matthaei;* fragment nasz opowiada o narodzeniu się Maryi Panny. Jest dalej list Lentulusa do senatu rzymskiego, zawierający opisanie osoby Jezusowej. Z żywotów świętych posiadamy z w. XV. zaledwie jeden fragment życia św. Błażeja, prawie dosłowny przekład z Legendy złotej [1]; dwie legendy wierszem wspomnimy później.

Toby było wszystko, co znamy dotąd, a byłoby dziwnie mało, gdy rozważymy największą w wiekach średnich poczytność tej właśnie literatury i stosunkową obfitość pomników z innych gałęzi, np. z poezyi. Trzeba jednakże pamiętać o następujących faktach. W wieku XVI. i to od wczesnych lat, wychodzi tego rodzaju pism bardzo wiele, a mamy wszelkie prawo twierdzić, że sporo z nich opiera się na tekstach polskich średniowiecznych. Same te pomniki, które mamy, są fragmentami, ale fragmenta świadczą, że kiedyś były dzieła całkowite. Mamy wreszcie świadectwa historyczne, że pisma polskie z tego zakresu istniały, i to dosyć wcześnie; dość przypomnieć świadectwo Długosza. Wiele rzeczy może się jeszcze ukrywa w rękopisach; tak np. ma być w prywatnem posiadaniu rękopis z legendą o św. Tekli; w innem miejscu rozmyślania o życiu Pana Jezusa; wkrótce ma być wydany rękopis, zawierający objawienia św. Brygidy. Jednem słowem, cały szereg faktów składa się na przypuszczenie bardzo prawdziwe, że w tym zakresie ruch piśmienny w Polsce XV. wieku był ożywiony i znaczny. Ze znanych dotychczas a powyżej wymienionych zabytków przytaczamy tu dwa urywki: pierwszy z początków, drugi z połowy XV. stulecia:

Lentulus, rodem Rzymianin, pisarz Piłatów, oświeconemu senatowi pozdrowienie. Naszych czasów wszczedł jest (powstał) człowiek w ziemi żydowskiej, w mieście w Jeruzalem, jemu imię Jezus Krystus, jen jest

[1] Drugi zabytek (Żywot Ojca Amandusa) nastręcza jeszcze wiele trudności; zdaje się, że rękopis nie pochodzi z wieku piętnastego, ale jest znacznie późniejszy.

rzeczon od pogaństwa prorok prawdy. Wzrostu nie wielmi wysokiego a żądnego (małego), oblicze mający wielebne, którego by się nań wzglądając mogli bojeć a bojąc miłować. Włosy mający jakoby barwa leśnego orzecha, dobrze uźrzałego, bliż do uszu, a ot uszu do ramion jako warkocze wisające kędzierzawe .. Nos jego i usta bez wszej gańby, brodę mający dostateczną a długą, jego włosom podobną a w spód rozdzieloną. Uźrzenia prostego a ważnego, oczu żółtu a czystu (liczba podwójna), w karaniu jest groźny a w upominaniu łagodny a miłościwy.

A oto fragment z legendy o św. Błażeju:

Teda (wtedy) uźrzewszy to ci iści łowcy, jeli (jechali) ot nich i powiedzieli swemu starzejszemu; jenże przyczyniw więcej panostwa i posłał je ku świętemu Błażeju, każę (każąc) świętego Błażeja przed się przywieść. Tej istej nocy Krystus świętemu Błażeju pokazał się, arzkąc (mówiąc) jemu: Błażeju żywą ofierę mnie ofieruj. Potem z jutra rycierze i panosze poń przyjeli, arzkąc: Błażeju wynidzi, woła cie książę.

Te są mniej więcej zabytki prozaiczne treści religijnej; zabytków świeckich jest liczba daleko mniejsza. Znaczenie jednak dla studyów językowych mają wielkie, bo wprowadzają nowe pojęcia a z niemi nowe wyrazy, których nie widzieliśmy w zabytkach religijnych. Ale i ich zakres jest niestety szczupły; są to rzeczy prawie wyłącznie treści prawniczej. Należą tu naprzód roty przysiąg. W księgach sądowych łacińskich wpisywano roty po polsku, w tym języku, w którym je wygłaszano. Roty są dla nauki ważne z tego powodu, że wszystkie są datowane, a stare, bo wiele z nich jest starszych od Psałterza Floryańskiego, i że jest oznaczone miejsce, skąd pochodzą.

Mają one już stałą formułę. Zaczynają się zawsze od słów: *Tako nam pomoży Bóg!* albo: *Tako nam pomoży Bóg i święty krzyż, jako to świadczymy*, albo: *jako prawie* (prawdziwie) *wiemy i świadczymy*. Przytaczamy tutaj dwie takie roty w całości:

Tako nam pomoży Bóg, jako to świadczymy, jako Więceniec (Wincenty) wziął Stachnina żyta (Stachnowego żyta) za czternaćcie grzywny i tego użytek ima (ma). (Rota z r. 1398).

Tako mi pomoży Bóg i święty krzyż, jako to świadczę, eże (iż) kiedy sołtys łupion i zabit, tego łupu nie niesiono jest do Mikołajewej domu (do domu jakiejś Mikołajowej) ani tego użytka ma. (Z r. 1398).

Jest także kilka mniejszych aktów, np. akt sprzedaży łąki albo pełnomocnictwo. Większe dzielą się na przekłady statutów

królów i książąt polskich, i przekłady ortylów magdeburskich. Ze statutów przełożono:

Statut Wiślicki, dwa razy, raz przez księdza Świętosława z Wocieszyna w r. 1449, drugi raz w r. 1460.

Statuta Władysława Jagiełły (z r. 1420), przełożone przez ks. Świętosława razem z Wiślickim.

Statuta mazowieckie, prawa książąt mazowieckich, z różnych czasów, przełożone na język polski przez Macieja z Rożana w r. 1450.

Oto jedna próbka języka statutów:

Rozsąd o granice. Częstokroć miedzy naszymi poddanymi o granice gadki bywają, miedzy którymi nakład straw i silnych robót roztargnienia bywają, a to przeto, iże miedzy dwiema dziedzinama strumień abo rzeka płynie, a przeto, acz dwie dziedzinie znów obapól jednej rzeki posadzą się... Tedy ony brzegi, którymi pirwej woda rzeki ciekła, dziedzinam będą za granice, a kmiecie z obu dziedzinu w onem jezierze wolno ryby mogą łowić.

To były prawa dla szlachty, dla wsi. Miasta miały swoje osobne prawo, magdeburskie. Przekłady artykułów tego prawa i przekłady ortylów[1] istniały w wieku XV., ale rękopisy pochodzą z samego końca w. XV. lub początku XVI.

Innych zabytków prozy świeckiej tak jakby nie było. Są to tylko drobne zdania, czasem przez pisarza dla rozrywki wpisane w łaciński kodeks, i nawet można je zaliczyć do działu gloss. Dwie tylko rzeczy godniejsze uwagi. W *Liber beneficiorum* Długosza jest zeznanie po polsku pewnego człowieka umierającego, tyczące się skarbu, zakopanego w lesie pod Rytrem (w okolicy Sącza). Drugą jest list miłosny z początku XV. wieku, bardzo ciekawy pod względem obyczajowym. Nie jest to jednak list prawdziwy, raczej wzór, jak takie rzeczy pisać należy. Znajduje się w rękopisie, który zawiera prawidła listów i cały szereg

[1] Ortyl (urtheil, staroniem. urtil) znaczy wyrok sądowy. Jakieś miasto, przypuśćmy Kraków, posyła w kwestyach wątpliwych z zapytaniem do Magdeburga, najwyższej instancyi; stamtąd przysyłają cały szereg wyroków w różnych sprawach i wypadkach, i te wyroki (ortyle) służą za wzór sądom krakowskim.

przykładów łacińskich, między nimi jeden polski. Ponieważ to rzecz rzadka a niewielka, podajemy ją w całości:

Służbę mą naprzód ustawiczną, doskonałą, przezprzestanną (bezprzestanną), panno ma namilejsza — gdy chciałem na służbę ot ciebie jachać precz, przyjałem (przyjechałem) do domu twego, ciebie żegnając. Dziwne rzeczy w miłości będąc poczęły się miedzy (między) nama. Toć jest, aby mię nie zapominała (abyś nie zapominała), barzo ciem twej miłości począł prosić. A twa miłość na mą prośbę ślubiła to uczynić. A tako s tobą się rozstając, serce me jęło barzo płakać. A ja takie (także) ślubuję twej miłości nie zapominać, ale wszędzie cześć a lubość czynić. Wiedz moja namilejsza panno, iże aczkoliciem ja ot ciebie daleko, a wszakoż nie była ani będzie nad cię ina (inna) miła, jedno ty sama panno milejsza ma. Niedawno mię rzecz była potkała, abych barzo krasną pannę miłował, ale gdym na cię wspomionął (wspomniał), tegom uczynić nie chciał. A o ty wszyćki rzeczy (o te wszystkie rzeczy) proszę twej miłości, aby były tajemny miedzy mną a miedzy tobą, a proszę twej miłości, abyś się mej matuchnie pokłoniła. Dano w Szamotulech we środę.

Pozostają zabytki wierszowane.

Jest ich daleko mniej niż prozaicznych, ale przedstawiają daleko większą rozmaitość i dla treści swej są znacznie od prozy ciekawsze. Dzielimy je na wiersze pobożne i świeckie; pierwsze znowu mają dwa poddziały: pieśni, przeznaczone do śpiewania, i wiersze treści moralnej, opowiadające albo czysto dydaktyczne.

Pieśni jest liczba dość znaczna, a między niemi najwięcej do Matki Boskiej; rzecz godna uwagi i dorzucająca jeszcze jedno świadectwo o szczególnej czci narodu polskiego dla Najświętszej Panny. Co do wartości są bardzo różne: od niedołężnych, niezgrabnych do wcale dobrych; ale w uczuciu są wszystkie jednakie, wszystkie bardzo szczere i bardzo gorące [1].

Na ich czele stoi „Bogarodzica“. O tej wiemy już dawno, że nie jest wcale dziełem św. Wojciecha, że jest daleko późniejsza, w każdym razie nie powstała przed wiekiem XIII. W tej postaci, w jakiej ją mamy dzisiaj, jest ona zbiorem kilku pieśni: do Matki Boskiej, do Syna Bożego, pieśni postnej i wielkanocnej; te cztery części są najstarsze, później dodawano jeszcze

[1] M. Bobowski, „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI. wieku“. (Rozprawy Wydziału filolog. Akad. Um. t. XIX, r. 1893).

inne. Przytaczać tu „Bogarodzicy“ niema potrzeby; wszyscy ją znają. Zaznaczamy tylko, że najstarszy odpis pochodzi z pierwszych lat wieku XV. Wogóle z wierszy polskich średniowiecznych żaden nie został zapisany przed wiekiem XV., chociaż wiele z nich powstało wcześniej.

Prócz pieśni do Matki Boskiej mamy w wieku XV. pieśni na Boże Narodzenie, na Post wielki, na Wielkanoc, do Ducha św. i na Boże Ciało, wreszcie do świętych. Rzecz godna uwagi, że gdy literatura polska późniejsza po większej części zrywa z tradycyą średniowieczną, pieśń kościelna tego nie robi. „Bogarodzicę“ śpiewano powszechnie, nietylko przed bitwą, jeszcze w wieku XVII. Powszechnie dzisiaj śpiewa lud pieśni wielkanocne takie same, jak w wiekach średnich: „Wstał Pan Chrystus z martwych ninie“, „Chrystus zmartwychwstał jest“ i „Przez Twoje święte zmartwychwstanie“. Cokolwiek zmienioną słyszy się też pieśń do Ducha św. Więcej pieśni przechowało się z wieku XVI., między niemi np. tak znane „Anioł pasterzom mówił“, albo „Krzyżu święty nadewszystko“ — ale i te, choć w wieku XVI. spisane, trzeba nieraz odnieść do wieków średnich.

Obok pieśni kościelnych w ścisłem znaczeniu, są też pobożne wiersze lub poemata religijne. Należą tu zwłaszcza dwie legendy: jedna o św. Dorocie, napisana już na pół po czesku, druga w wiekach średnich bardzo ulubiona i rzeczywiście w swej treści niezmiernie piękna, legenda o św. Aleksym.

Rozpoczyna się ona bardzo podniosłem wezwaniem:

Ach! królu wieliki nasz,
Coż ci dzieją[1] Masyasz,
Przydaj rozumu k mej rzeczy
Me sierce bostwem obleczy[2],
Raczy[3] mię mych grzechów zbawić,
Bych mógł o twych świętych prawić.
Żywot jednego świętego,
Co miłował Boga swego,
Cztę[4] w jednych księgach o nim,
Kto chce słuchać, ja powiem.

Następuje opowieść o rodzicach świętego, o jego narodzeniu, małżeństwie, ucieczce z domu rodzicielskiego, wreszcie o powrocie, po którym niepoznany przez nikogo przesiedział aż do śmierci pod schodami domu rodzicielskiego:

[1] Co cię nazywają.
[2] Oblecz. [3] Racz. [4] Czytam.

Leżał tu sześćnaćcie lat,
Wszytko cirpiał prze bóg rad... i t. d.

Z legendami, w których się już znajduje pierwiastek nauczający, łączą się wiersze dydaktyczne, pobożne. Należą tu rymowane dekalogi, których znaleziono bardzo wiele odpisów w kilku redakcyach. Oto jeden z nich:

Pirzwa kaźń twórca naszego,[1]
Nie masz mieć Boga inego.
Po próżności niestatku twego
Nie bierz imienia bożego.
Pamiętaj, to tobie wielę[2],
By[3] czcił święta i niedzielę.
Chceszli mieci łaskę moję,
Oćca czci i matkę twoję.
Nie zabijaj brata zwadą,
Ręką, kaźnią[4] ani radą.
Nie czyń grzechu nieczystego
Prócz urzędu małżeńskiego.
Nie kradń imienia[5] cudzego,
Nędznym udzielaj swojego.
Nie świadcz na bliźniego swego
Lścią[6] świadeczstwa fałszywego.
Nie pożądaj żony jego,
Tak schowasz rząd stadła[7] twego.
Bratnich rzeczy nie korzyści,
Bożą przykaźń tako ziści[8].
Chceszli w żywot wieczny wnić[9],
To przykazanie masz pełnić.

Podobnego rodzaju utworem jest pouczenie, jaką ma być spowiedź, wyliczenie uczynków miłosiernych. Do tej samej kategoryi należą takie wiersze, jak ten, w którym poeta prosi Boga, aby odwróciwszy nieszczęścia od Polski, spuścił je na Tatarów, Turków, Wołochów i pogan, albo westchnienie o pokój, albo rozmowa pokutującego grzesznika z Bogiem, albo bardzo charakterystyczne skargi umierającego, który źle życie przepędził, w zmienionej ale w gruncie rzeczy tej samej postaci zachowane dotąd u ludu. Tu wreszcie należy najdłuższy polski wiersz średniowieczny, 493 wiersze liczący, a jeszcze nieskończony: „Dyalog o śmierci".

Jest to rozmowa pobożnego i uczonego mistrza Polikarpa ze śmiercią, przedstawioną tu nie jako kościotrup, ale w obrzydliwej kobiecej postaci. Zaczyna się podobnie jak legenda o wś. Aleksym, wezwaniem Boga:

Gospodzinie[10] wszechmogący
Nade wszytko stworzenie więcszy,
Pomoży[11] mi to działo[12] słożyć,
Bych je mógł pilnie wyłożyć,

[1] Pierwsze przykazanie Stworzyciela naszego.
[2] Rozkazuję. [3] Byś. [4] Karą. [5] Mienia.
[6] Kłamstwem, podejściem. [7] Stanu. [8] Spełnij. [9] Wejść.
[10] Panie. [11] Pomóż. [12] Dzieło.

Ku twej fały [1] rozmnożeniu,
Ku ludzkiemu polepszeniu.
Wszytcy ludzie posłuchajcie,
Okrutność śmirci poznacie.

Opowiada tedy autor, że mistrz Polikarp prosił Boga o to, „by uźrzał śmierć w jej postawie“. Gdy więc razu pewnego pozostał sam w kościele, ujrzał nagle postać kobiecą, „obraza wielmi szkaradego“ (postaci wielce szkaradnej):

Chuda, blada, żółte lica,
Lści się [2] jako miednica;
Upadł ci jej koniec nosa,
Z oczu płynie krwawa rosa;
Przewiązała głowę chustą,
Jak samojedź krzywousta.
Nie było warg u jej gęby,
Poziewając skrzyta zęby.
Miece [3] oczy zawracając,
Groźno kosę w ręku mając.

Oczywiście tak pięknej niewiasty mistrz się przeląkł i „padł na ziemię, aże stęknął“. Śmierć się z początku wyśmiewa z jego trwogi, a następnie zaczyna się rozmowa. Wysłowienie jest wogóle gładkie, a godny uwagi jest żywioł satyryczny, bardzo widoczny, nieraz wcale dobrze zastosowany. Śmierć przedstawia mistrzowi swoją moc, która wszystkich dosięga, więc mądrych i głupich, chorych i zdrowych, starych i młodych, ubogich i bogatych, ludzi prostych, urzędników, książąt i królów, „grabiów“, filozofów i „gwiazdarzy“;

Rzemieślniki, kupce i oracze,
Każdy przed mą kosą skacze,
Wszytki zdradźce i lifniki [4]
Zostawię je nieboszczyki.
Karczmarze, co źle piwa dają,
Nie często na mię wspominają;
Jako swe miechy natkają,
W ten czas mą kosę poznają.
Kanonicy i proboszcze
Będą w mojej szkole jeszcze,
I plebani z miąszą [5] szyją,
Jeżto [6] barzo piwo piją.

Pozostaje trzecia grupa, wiersze świeckie. Jest ich niewiele, ale są z różnych działów poezyi: miłosne, dydaktyczne i satyryczne, historyczne. Z samych początków XV. wieku jest wiersz uczący przyzwoitego zachowania się przy stole; podaje rady wcale praktyczne, np. tę:

Ukrawaj często a mało,
A jedz, byleć się jedno chciało;

[1] Chwały.
[2] Błyszczy. [3] Miota.
[4] Lichwiarze. [5] Grubą. [6] Którzy.

przestrzega przed sięganiem do misy wprzód, zanim to zacniejsi uczynią; pannom każe być delikatnemi:

Panny! tego się trzymajcie,
Małe kęsy przed się krajcie;

młodzieńcom zaś poleca, aby pannom służyli. Jest w tym wierszu godne uwagi średniowieczne rycerskie uwielbienie kobiety, które nasz autor tłumaczy temi słowy:

Od Matki Bożej tę moc mają,
Iż przeciw im książęta wstają.
Pannami stoi wiesiele,
Jegoż jest na świecie wiele.
Przeto nam je chwalić słusza [1]
W kim jest koli [2] dobra dusza.

Satyryczne wycieczki mieliśmy w dyalogu o śmierci: tu mamy całe wiersze. Jeden upomina księży, aby nie pili za dużo piwa, „boć piwo jest dziwny olej", i tylko się chłopi z nich śmieją. Inny jest satyrą na leniwych chłopów, napisany z pewnością przez jakiegoś szlachcica. Skarży się w nim nasz autor na chłopów, że

Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają,
A robią silno obłudnie,
Ledwo wynidą pod południe,
A na drodze postawają,
Rzekomo pługi oprawiają...
Gdy pan przydzie — dobrze orze,
Gdy odydzie — jako gorze.

Samą swoją postawą chłopi oszukują:

Mnimasz każdy człowiek prawie,
By był prostak na postawie:
Boć się zda jak prawy [3] wołek,
Aleć jest chytry pachołek.

Z wierszy dydaktycznych wspomnieć można ortograficzne przepisy Parkosza, ubrane w szatę rymową, bardzo ciężkie. Godna uwagi jest kantylena o Wiklefie, polemiczna pieśń husycka, napisana przez znanego husytę, Andrzeja Gałkę z Dobczyna.

Opiewano też współczesne wypadki. Tak np. zabicie chorążego Tęczyńskiego przez mieszczan krakowskich jest treścią utworu, napisanego przez szlachcica, może przez kogoś z rodziny zabitego, bo pisze z wielkiem oburzeniem i żałością. Ktoś inny, mieszkaniec Sandomierza, opowiada dość ogólnikowo o klęskach, jakie spadły na Polskę w drugiej połowie w. XV. Bitwa

[1] Należy. [2] W kimkolwiek. [3] Prawdziwy.

pod Grunwaldem była przedmiotem poematu; na nieszczęście do nas ten utwór nie doszedł, mamy tylko „pieśń o pruskiej porażce“ z XVI. wieku.

To byłby cały plon poetycki Polski średniowiecznej. Ale to nie wszystko. Można śmiało twierdzić, że to, co mamy, jest zaledwie drobną cząstką tego, co rzeczywiście było. Mamy bardzo dużo świadectw o pieśniach, śpiewanych w obozie przez wojsko. Liczne były pieśni historyczne, w których opiewano sławne czyny przodków. Śpiewano też ballady, np. o Ludgardzie, o pani, która zabiła męża, o opryszku Szafrańcu. Jeszcze w początkach XIX. wieku był w prywatnem posiadaniu zbiór pieśni religijnych z XV. wieku, tak zwany kancyonał Przeworszczyka; co się z nim stało, nie wiemy zgoła. Co najciekawsze, to że jeszcze w XV. w. śpiewano pieśni pogańskie, w których były wymienione stare bóstwa; słyszał te pieśni Długosz i z nich zaczerpnął wiadomości o mitologii polskiej.

Ortografia polska średniowieczna utworzona została na wzór czeskiej, i te same, co wzór, posiadała niedogodności. Podstawą nauczania w wiekach średnich jest język łaciński; więc każdy, kto pisze, używa łacińskiej grafiki. Ale ta grafika nie posiada na tyle znaków, aby wyrazić wszystkie dźwięki słowiańskie. Więc Czech, a za nim Polak, radzi sobie w ten sposób, że używa kombinacyj dwóch lub trzech znaków. Przeto *c* wyraża przez *c, cz, tz* — *č* przez *cz, czz, czs* — *š* przez *s, ss, sz* — *ž* przez *z, sz, zz, s* — *ř* przez *rs, rz, rsz,* zmiękczenie spółgłosek przez *y* lub *i,* długość samogłoski przez podwojenie, nadto Polak wymyśla sobie dla samogłoski nosowej znak *ǫ* — i t. p. Że taka pisownia nie jest racyonalną, nie potrzeba dowodzić; racyonalną jest ta pisownia, która jeden dźwięk oznacza jednym osobnym znakiem. W najstarszych zabytkach (w Kaz. Świętokrzyskich i Psałt. Flor.) jest ta zasada po części przeprowadzona, choć niezupełnie; jest w nich pisownia sztywna ale konsekwentna. Później się to zmienia, zapanowuje rozmaitość; więcej jest życia, ale też niema żadnej stałej zasady, to samo słowo, napisane kilka razy, za każdym razem wygląda inaczej.

Aby dać próbkę tej średniowiecznej dziwacznej pisowni, podajemy przytoczony już przez nas początek legendy o św. Aleksym w tej postaci, w jakiej jest w oryginale:

Ach krolu wyeliki nasch
Czosz czy dzeyą Maschyasz,
Priday rosvmv k mey rzeczi,
Me szercze boszthwem obleczy...
Bych mogl o thwych szwathych prawycz.
Szywoth gyednego szwyathego,
Czosch milowal boga swego,
Czthą w yednich kszagach o nym,
Ktho chcze szluchacz, yą powyem.

Na początku XV. wieku reformuje ortografię czeską Jan Hus. Jego pisownię przyjęto niebawem ogólnie. W głównych zasadach jest ona tą samą, której używają Czesi dzisiaj. W Polsce taki projekt reformy powstał później: wystąpił z nim w połowie XV. w. Jakób Parkosz, profesor Akademii krakowskiej, którego pomysły zbliżały się do pomysłów Husa. Ale z pisownią polską było więcej trudności niż z czeską, bo język polski ma znacznie więcej dźwięków; to też i reforma Parkosza ma wiele niedostatków. Zresztą znaczenie jej jest czysto teoretyczne; w praktyce nigdy nie znalazła zastosowania, pisownia została nadal taką samą, z takiem samem zamieszaniem, które do szczytu dochodzi około r. 1500. W XVI. wieku były również próby poprawy, również nieprzyjęte.

Dopiero ujednostajnili pisownię drukarze krakowscy, mianowicie Jan z Koszyczek, korektor drukarni Wietora, ustalał w praktyce jej zasady. Oparł się na systemie dotychczasowym, ale wprowadził weń pewien ład i jednostajność. Równocześnie rękopisy długo jeszcze zostają przy dawnym sposobie pisania; zdarza się czasem, że rękopis z końca XVI. wieku ma pisownię taką samą jak w XV.

Dalszych losów ortografii polskiej niema co opowiadać. W zasadzie jest ona dziś taką samą, jak w wieku XVI., tylko z pewnemi (drobnemi) odstępstwami i zmianami. Projektów, rzekomo ją ulepszających, od Parkosza i Zaborowskiego do ostatnich czasów, niemal do ostatnich dni, było bardzo wiele, jedne

więcej, drugie mniej radykalne, — ale ostatecznie zwyczaj okazuje się silniejszym od wszelkich argumentów czy praktyczności i wygody, czy gramatyki i filologii. Pomimo wszystkich projektów piszemy i długo jeszcze pisać będziemy pisownią, naukowo — nienaukową, praktycznie — niepraktyczną.

Należy się parę słów staropolskiemu językowi średniowiecznemu, jaki spotykamy w zabytkach.

A tu naprzód nasuwa się uwaga, że nasze zabytki nie dają nam całkiem dokładnego obrazu języka polskiego w owej epoce. Jeśli się przypatrzymy ich treści, jest ona stosunkowo bardzo uboga, obraca się prawie całkowicie w jednym zakresie: życia religijnego. Otóż język obraca się także ciągle w tej samej sferze; powtarzają się te same pojęcia, a w ślad za tem te same wyrażenia. Zasób słów nie jest więc wielki, ani rozmaity. Jest też ten język nienaturalny. Takim stylem ówcześni Polacy w codziennem życiu nie przemawiali, nie używali takiej składni i takich zwrotów, jakie czytamy w kazaniu albo w przekładzie psalmu. Jednem słowem nie jest to język naprawdę żywy: to język sztuczny, książkowy. Największą jeszcze wartość mają te zabytki ze względu na historyę form deklinacyjnych i konjugacyjnych; pod tym względem są rzeczywiście bardzo cenne. Za to wiek XVI. ze swoją bujną i wszechstronną literaturą daje materyał niezmiernie bogaty i wartościowy, ale niestety jeszcze prawie nietknięty.

Ślady narzeczy ludowych gdyby się jakie znalazły — toby dopiero była rzecz ciekawa! Jak każdy inny, tak i język polski dzielił się dawniej — jak się dzieli i dzisiaj — na narzecza, albo gwary. Gdyby liczba zabytków była większa i gdyby zakres ich treści był obszerniejszy, to z pewnością znalazłoby się w nich wiele form i wyrażeń gwarowych. Tak, jak jest, mamy tych śladów bardzo niewiele [1]. W innych piśmiennictwach jest pod tym

[1] Tak naprzykład w Kaz. Gniez. są formy *ogzień* zamiast ogień, *ubodzi* zam. ubogi, *drodziem* zam. drogiem; to narzecze wielkopolskie (a może i prusko-pomorskie? na pewne rozstrzygać nie można, bo dzisiejszy stan tych gwar za mało jest zbadany). W Księgach sądowych Łęczyckich mazurskie wymawianie *zyto, zyd* zam. żyto, żyd. W Statutach mazow. mazur-

względem inaczej. W Niemczech większa część starych pomników jest pisana w narzeczach, a i Czesi mają kilka pism w narzeczu morawskiem. U nas język w zabytkach jest jednolity, drobne zaledwie ślady gwar, z których pewniejszych i więcej szczegółowych wniosków wyciągnąć się nie da.

Nie we wszystkich zabytkach jest język tego samego czasu; znać w nim jakby dwie epoki. W Kaz. Świętokrz. i w Psałt. Flor. jest język starszy; w Kaz. znajdują się formy, nigdy później nie spotykane. Psałterz nie jest pisany przez tłumacza, ale przez jakiegoś kopistę; są pewne fakta, które niezbicie dowodzą, że jest to odpis ze starszego oryginału. Mamy wiadomość, że przekład psalmów istniał już w wieku XIII.; dalej jest świadectwo, że królowa Jadwiga wiele ksiąg dała przełożyć na język polski. Otóż Psałt. Flor. być może, że jest kopią jednego z tych przekładów; jest też w nim język epoki wcześniejszej. Ale już w pierwszych latach XV. wieku występują nowe formy, formy panujące w epoce drugiej, obejmującej wiek XV. i początki XVI. Mielibyśmy więc tym sposobem trzy główne okresy w rozwoju polszczyzny średniowiecznej: pierwszy do połowy XIII. wieku, drugi do końca w. XIV., trzeci do pierwszych lat XVI. wieku włącznie. Zastrzec się jednak musimy, że nie są to wiadomości pewne, stanowcze, raczej prawdopodobne przypuszczenia.

Jakże tedy wyglądał ten język staropolski? Nie możemy się tu wdawać w szczegóły, tem bardziej wyliczać wszystkich różnic, dzielących język polski średniowieczny od dzisiejszego; możemy je tylko ogólnie zaznaczyć. Otóż *a priori* można powiedzieć, że ten język więcej jest zbliżony do pierwotnej mowy słowiańskiej, aniżeli dzisiejszy; ale rzecz godna uwagi, różnica między językiem dzisiejszym a językiem XV. wieku nie jest tak wielka, jakby się w pierwszej chwili zdawało. Średniowieczny język niemiecki jest dla dzisiejszego zwyczajnego Niemca niezrozumiały; musi się go po prostu uczyć. Francuz podobno

---

skie formy *rena, urenić* zam. rana, uranić, *jany* zam. jeny. W Księgach sądowych Krakowskich formy, dowodzące odmiennego układu samogłosek nosowych w gwarze małopolskiej. Toby były wszystkie najważniejsze szczegóły.

także swojego starego języka nie rozumie. Tymczasem wykształcony Polak potrzebuje tylko paru objaśnień, aby zabytek z XV. wieku bez trudu rozumieć. Fakt ten tłumaczy się jedną właściwością języków słowiańskich wogóle, a szczególniej polskiego: odznaczają się one pewnego rodzaju konserwatyzmem, nie lubią ulegać przemianom takim, któreby ich wygląd zbytnio zmieniały. Między słowiańskimi zaś polski ma tę właściwość w stopniu może najwyższym, i to tak język literacki jak i gwary ludowe.

Najważniejsze znamiona, różniące język staropolski od dzisiejszego, byłyby następujące:

W zakresie głosowni: samogłoski długie (ā, ē, ō), które z czasem przeszły w ścieśnione (albo pochylone, á, é, ó). Tak np. wyraz kwiatek brzmiał *kwiātek*, z długiem a, potem *kwiátek*, tak jak jeszcze dzisiaj u ludu. W języku literackim *á* zginęło, pozostały tylko *ó* i *é* — a i to ostatnie pomału ale statecznie znika.

Nadto inny system samogłosek nosowych. Jaki? — rzecz nie rozstrzygnięta. Pisało o tem wielu uczonych, ale dotąd niema pomiędzy nimi zgody. Najprawdopodobniejszą jest rzeczą, że były trzy samogłoski nosowe: ę, ą, ą̄, podobnie, jak jeszcze dzisiaj w niektórych narzeczach ślązkich: *język, wąs, rąka* (ręka).

Co do spółgłosek, nie wdając się w szczegóły, zaznaczamy tylko, że wogóle wyrazy mają formy pierwotniejsze wskutek tego, że grupy spółgłosek nie są tak zatarte. Zamiast dzisiejszego *mnóstwo* jest w staropolsk. *mnożstwo*, zam. *bóstwo — bożstwo*, zam. *bogactwo — bogaczstwo*, zam. *co — czso*, zam. *cny, cnota — czsny, czsnota*, zam. dzisiejszego *obfity — opłwity* (od *opływać*), zam. *ufać — upwać*, zam. *mówić — mołwić, mołwa*, zam. *łza — słza*, i inne.

W zakresie odmiany: głównym czynnikiem wpływającym na zmiany form, jest tak zwana analogia językowa, skutkiem której jedne formy wypierają drugie i zajmują ich miejsce. Naprzykład: wyraz *syn* miał pierwotnie inną odmianę niż np. *gród;* 2 przyp. liczby poj. był *synu — groda*. Otóż ta forma *synu* i jej podobne sprawiły, że zaczęto mówić *grodu*. W języku stpol. to oddziaływanie analogii było mniejsze, wskutek tego i formy

czy to deklinacyjne czy konjugacyjne miały wygląd starszy, pierwotniejszy. Stąd w 2 przyp. l. poj. przeważna większość rzeczowników męskich miała końcówkę *a*, w 7 l. poj. *e (w Bodze, w potoce);* 1 przyp. l. mn. miał końcówkę *owie* dla wszystkich *(„Lachowie, Niemcowie,* wszyscy *językowie“*, od *stan — stanowie,* od *przebytek — przebytkowie).* W całej pełni żyła forma liczby podwójnej, tak w deklinacyi jak w konjugacyi: *dwu oczu żółtu a czystu, dwa bracieńca bogata, widziele jesta oczy moi.* Zachowała się też deklinacya rzeczownikowa przymiotników, wprawdzie nie w zupełności, ale w każdym razie w stopniu daleko wyższym aniżeli dzisiaj. W dawniejszym okresie języka przymiotnik odmienia się zupełnie tak samo, jak rzeczownik (por. język łaciński, grecki). Ale bardzo wcześnie zaczęto do przymiotnika dodawać dla bliższego określenia zaimek wskazujący; z czasem oba wyrazy zlewają się w jeden, i tym sposobem powstaje forma złożona. Tak np. 1 przypadek *łaskaw* (pan), 2. *łaskawa* (pana), 3. *łaskawu* (panu) — to deklinacya rzeczownikowa. Zaś *łaskawy, łaskawego, łaskawemu* jest dekl. złożona *(łaskaw ji, łaskawa jego, łaskawu jemu).* W konjugacyi warto wspomnieć o starych formach imperfectum *(idziechą, pośpieszychą, biesze)* i aorystu.

Są też różnice w zakresie słownika.

Język staropolski ma bardzo dużo wyrazów, które dzisiaj albo nie istnieją, albo przybrały inne znaczenie. Przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele; poprzestaniemy na kilku. Nie istnieją dzisiaj takie wyrazy, jak *gospodzin* (pan), *drugdy* (drugim razem), *gabać* (napastować), *kajać się* (pokutować), *ględziec* (patrzyć), *rucho* (odzież). Inne znaczenie ma wyraz *szczyt,* dawniej tarcza, dziś wierzchołek; *każń* w stpol. rozkaz, przykazanie, dziś więzienie; *zajrzeć* znaczy zazdrościć, *osobny* zn. osobliwy, *osoba* zn. kształt, powierzchowność.

Ostrzegamy czytelników (a zarazem dodajemy dla uspokojenia filologów), że tych różnic jest więcej, ale nie chcąc artykułu zanadto przeładować gramatyką — a w inny sposób te różnice nie dałyby się przedstawić — poprzestajemy na najważniejszych.

Główna wartość staropolskich zabytków i główne ich zna-

czenie polega na tem, że one wyrabiają pomału i kształcą język literacki. Rozpowszechnione jest mniemanie, że polski język literacki zawdzięcza swe powstanie wpływowi łacińskiego w wieku XVI. Tak nie jest. Język literacki nie wyskoczył z głowy Kochanowskiego czy Górnickiego, jak Atena z głowy Zeusa; on się długo przedtem przygotowywał, kształcił powoli a ciągle. Zrazu niezgrabny, ciężki i sztywny, staje się coraz żywszy, giętszy, podatniejszy do wyrażania różnego rodzaju myśli, zarówno w prozie, jak w wierszach. Że wpływ klasyczny w epoce Odrodzenia zrobił wiele, to prawda, ale gdyby materyał językowy, który mieli pod ręką ówcześni polscy pisarze, nie był już dosyć znacznie obrobiony, myślę, że i oni nie byliby doszli tak daleko, jak doszli, mimo pomocy języka łacińskiego.

Z tem kończymy przegląd zabytków średniowiecznych. Dla historyka literatury i oświaty bardzo ważne, dla gramatyka wagi pierwszorzędnej — musiały one być badane najpierw i najdokładniej. Ale historya języka nie kończy się z wiekami średnimi; trwa ona ciągle. Otóż dla całej epoki nowożytnej zrobiono bardzo mało, prawie nic. Do XVI. wieku jest kilka prac (o języku Kochanowskiego, Reja, o książce do nabożeństwa Zygmunta I.), do XVII. kilka, mniej ważnych. Do XVIII. jest bardzo ciekawa rozprawa prof. L. Malinowskiego o języku Bohomolca, gdzie prócz archaizmów z dzisiejszego stanowiska języka wykazane są prowincyonalizmy litewskie i mazurskie. Dla całej historyi języka od XV. do końca XVIII. wieku jest praca prof. Kaliny (Formy gramatyczne), ale niezbyt dokładna, nie obejmująca nawet całej morfologii i dosyć zresztą przestarzała. Jak widzimy cała ogromna epoka językowa jest prawie nie tknięta. Opracowanie jej musi być zadaniem najbliższej przyszłości.

(Dok. nast.).

Stanisław Dobrzycki.

WIECZORNICA POD JASSAMI.

Znowu przyszła spokojna i cicha jesień z łagodnem swem słońcem, a wraz z nią zlatuje na szare ugory i pastwiska razem z rozwiewną nicią pajęczą dziwny jakiś urok pokoju i utulenia

Najwyraziściej przedstawia się jesień na wsi, gdzie cały bieg życia i zajęć związany z przyrodą, najlepiej z jej nastrojem harmonizuje. Ileż to wdzięku bije z płonącego wieczorem ogniska na opustoszałem kartoflisku, lub ileż rodzinnego ciepła przegląda przez małe, zaprószone szybki, gdzie przy wesołej gawędzie i bladym płomyku kaganka łuszczą wieśniacy kukurudzę.

Jednę taką jesień o podobnym nastroju widziałem w odległej wsi rumuńskiej [1], a choć prawdą, że „każdy kraj ma swój obyczaj“, to jednak nie mniej jest prawdziwem, że kraje bliżej siebie leżące, mają obyczaje więcej do siebie zbliżone. Bo też często bywa, że obyczaje sąsiednich ludów pochodzą z jednego i tego samego źródła, a tylko ze zmianą okoliczności następuje z biegiem czasów przekształcenie i zmiana formy pierwotnej

Weźmy np. klakę rumuńską.

Kto się jej bliżej przypatrzył, kto brał w niej udział, a należy do wielkiej rodziny słowiańskiej, zaraz przyjdą mu na myśl słowiańskie „Prządki“, „Wieczornice“, bo podobieństwo jest uderzające, choć postać odmienna.

[1] Niektóre z szczegółów, podanych niżej, dopełniłem z tego, com słyszał od naocznych świadków lub czytał w opisach rumuńskich literatów.

Istotnie, klaka rumuńska to rumuńska wieczornica, to wieczorne zbieranie się w jedno miejsce młodzieży w towarzystwie osób starszych w celu wspólnej pracy przy wspólnej zabawie i wesołości.

Praca ta wieczorów jesiennych jest lekka, bo taka jak obieranie włoskich orzechów z pierwszej łupiny, łuszczenie kukurudzy, łuszczenie lub wybieranie fasoli grochu i inne tym podobne zajęcia.

Jest klaka pracą, lecz jest równocześnie i najprzyjemniejszą dla wieśniaka rumuńskiego zabawą. Ani wesele, ani chrzciny, ani taniec w dnie świąteczne, ani kiermasz, ani żadna inna uroczystość, czy to familijna, czy publiczna, nie bawi Rumuna nigdy tak wesoło, jak klaka, i na żadną nie spieszy Rumun tak chętnie. Ale bo też ta klaka przy swej prostocie tyle ma czaru, tyle poetyczności, szczerej, niewinnej, ile sobie tylko może kto wyobrazić. Ba, nawetbym powiedział, że sobie nie może wyrobić dostatecznego o jej czarze i powabie pojęcia, kto nie brał w niej udziału ani razu. To żywa sielanka.

Wieczór jesienny, lecz wieczór cichy, pogodny i ciepły. Światło wschodzącego księżyca odbijało się w złocistych jagodach winogradu, którego gałęzie uginały się ku ziemi pod ciężarem rozwiłych gron; a między krzakami przesuwały się jeszcze od czasu do czasu malownicze postaci chłopców i dziewcząt, schodzących z winnicy z koszami winogron na głowie. Żółty owoc pigw przesycał powietrze swym silnym aromatycznym zapachem. Z ciemnych, wysokich drzew orzechowych spadał chwilami dojrzały owoc z głuchym szelestem na murawę i czasem jeszcze ptak zatrzepotał w koronie drzew migdałowych.

Na wzgórzu wśród winnicy stoi dwór bojara, dwór stary, bielony, niezgrabny. Przed oknami grządki kwiatów przerosłych i innych ziół. Z boku stoi śpichrz na zboże, a z tyłu rodzaj szopy albo poddasza i tłoczkarnia wina. A dalej rozciąga się duży ogród, zasadzony warzywami, ponad któremi wystają miejscami kopiaste drzewa orzechowe. Pies, wierny stróż domu, czuwa na warcie, a od czasu do czasu na księżyc zawyje.

Wejdźmy do dworu.

Do progu prowadzą trzy schody, za progiem sień wązka, niedługa.

Po jednej stronie sieni dwa pokoiki, a dalej w głąb kuchnia; po drugiej stronie również dwa pokoje, a za nimi spiżarnia.

W pokoikach umeblowanie pańskie, ale skromne.

W jednym pokoiku siedzą i rozmawiają mężczyźni. Jeden dość gruby i tłusty, wzrostu średniego, o czarnej cerze, ale przystojny; to głowa domu, kukon Ilie (pan Eliasz). Drugi również przystojny, ale o wiele skromniejszych rozmiarów, to gość, literat, zaproszony przez pana domu na klakę. Obok stoi mały chłopiec, kukonasz Guca, syn kukona Ilii.

Pies zawarczał przed dworem i podskoczył pod drzwi parkanu, bo do drzwi się zbliża jakaś ludzi gromadka. To klakaszowie (uczestnicy klaki) poczynają się zbierać, bo kukon Ilie urządza dziś klakę wielką, więc włościan zaprosił na wieczór. Ma bowiem kilkanaście worów nieoczyszczonych orzechów.

Gdy właściciele wielcy lub mali mają orzechy do czyszczenia, kukurudzę do łuszczenia, fasolę do obierania lub inną jaką pracę tego rodzaju, miasto wynajmować do tego ludzi za zapłatę dzienną lub od ilości pracy, oni zapraszają na wieczór wieśniaków do dworu: dzieci, młodzieńców, starców, mężczyzn, kobiety; stawiają przed nimi kilka wiader wina, dwóch albo trzech lautarów czyli gęślarzy, jakich we wsi znaleźli, i kukurudza się łuszczy przy winie, przy pląsach, przy śpiewach, baśniach i gadkach, a na końcu klaki tak właściciele jak i klakaszowie są zawsze zadowoleni z wieczoru.

Zagajenie klaki zawsze się niemal muzyką zaczyna i tańcem

Skoro się klakaszowie zebrali już wszyscy, bojar daje znak lautarom do rozpoczęcia gędźby. Lautarowie grają, a Rumuni chwytają się za ręce i tańczą na murawie.

Rumun tańczyć lubi nadzwyczaj. Taniec rumuński ma znamiona odrębne.

Taniec przed rozpoczęciem klaki lub raczej rozpoczynający klakę trwa blizko godzinę. Tańczący nabierają humoru, podniecają go winem, dają poznać różnemi wykrzykami, ruchami, śpiewkami. A gdy już dobrze zmęczyli nogi, przerywają taniec,

siadają do pracy, na czem kto może: na kamieniu, na darninie, na drzewa odziomku, i zaczyna się robota.

U Rumunów wino tanie jak woda. Więc bojar klakaszom wina nie szczędzi; co chwila wiadro z winem i kubek blaszany obchodzi klakaszów koleją, a klakaszowie piją zdrowie bojara i do pracy biorą się rączo.

Humor na klakach panuje nadzwyczajny.

Każdy klakasz chce się przyczynić do ogólnej wesołości: jeden opowie coś dowcipnego, drugi poda do rozwiązania jakąś zagadkę, łamigłówkę, szaradę, której rozwiązanie jest zwykle nader naiwne i naiwnością swą śmieszne, inny znów zaśpiewa coś z żydowska lub cygańska, przyczem swymi ruchami, akcentem i tonem wywołuje śmiech spazmatyczny.

Wieśniak nie wiele wymaga dowcipu od swego komika; lada krotochwilka, a on śmiać się będzie i cieszyć, i o codziennej swej doli zapomni.

Zabawa cała odbywa się pod okiem bojara i rodziców, więc nic więcej nie pozwala sobie młodzież nad dozwolone granice przyzwoitości. Klakaszowie uchem słuchają, okiem patrzą, ustami się śmieją, rękami pracują—i ani praca ani moralność szkody nie cierpi; klaka nawet przyczynia się wiele do rozwinięcia widnokręgu umysłowego u rumuńskiego wieśniaka.

Ale rzuciwszy ogólny rys wieczornicy rumuńskiej, przypatrzmy się niektórym jej szczegółom.

Kukon Ilie w kłopocie.

Klakaszowie zaczynają się zbierać, a tu się dowiaduje, że lautarowie, których zamówił i którym dał już nawet po franku „baksziszu“, nie myślą przybyć z przygrywką.

— Istne nieszczęście!... Co tu począć?... Bez muzyki i pląsów na nic klaka!... niema co nawet zaczynać!... Odprawić z niczem wieśniaków?... hę... to się obrażą!... Kukonie Bogdan, daj radę jaką!... — Tak właśnie mówił kukon Ilie, gdyśmy go przed chwilą widzieli.

Ale kukon Bogdan rady dać nie umiał. Natomiast kukonasz Guca wpadł na pomysł nie lada i tak się odezwał:

— *Babaje* (tato)! wiesz co? graj ty na tym flecie pęknię-

tym, którymś niedawno rzucił o ziemię, ja będę grał na gitarze maminej, a kukon Bogdan będzie wtórował na tej dairze (taraban z dzwonkami), przy której dźwiękach tańczyliśmy „niedźwiedzia“ na św. Bazylego.

Kukon Ilie robił na chwilę trudności, mówiąc, że od pięciu lat nie grał na flecie. Potem niby coś sobie przypomniał, bo się roześmiał, popatrzył na kukona Bogdana i rzekł tonem poufnym:

— Ale, ale Bogdanku! jaki z ciebie przyjaciel! powiadasz, że nie masz dla mnie rady, a przecież ty grać się uczyłeś w Jassach! Skrzypce gdzieś tu się znajdą, zostały mi po szwagrze.

Kukon Ilie poszedł po skrzypce, a kukonasz Guca po gitarę, flet i dairę.

Skrzypce miały jeszcze trzy struny zupełnie rozpuszczone, gitara struny już miała dwie tylko; flet był rozbity. Wyobraźcież sobie, co to będzie za muzyka, gdy takie instrumenty muzyczne znajdą się w ręku takich artystów! No, ale muzyka będzie!

Przyniesiono intrumenty.

Kukon ilie z wielkim wdziękiem wręczył skrzypce kukonowi Bogdanowi, mówiąc:

— Tylko nie strój za długo! Zacznij tańcem *de-bryu*, aby wieśniacy pomęczyli nogi, a potem dłużej siedzieli przy obieraniu orzechów.

Wziął kukon Bogdan do ręki biedne skrzypce, chciał trochę struny wyciągnąć, aż tu trzask! struna pękła; zostały dwie tylko. — Kuradziu — mówi Bogdan do siebie — odwagi! Ciemny Paganini dawał koncerty na jednej strunie, a przecież mnie jeszcze dwie zostały.

Podczas gdy tak we dworze sam kukon Ilie i kukon Bogdan i kukonasz Guca sposobią muzykę dla klakaszów, klakaszowie zbierają się przed dworem obok śpichrza na polu otwartem.

Kiedy już wszystko było gotowe, udali się muzycy na miejsce klaki, usiedli na beczkach próżnych, jako na miejscu najodpowiedniejszem do grania, i zaczęli grę.

Na twarzy kukonów widoczne było przejęcie się grą, ale wieśniacy!... Oni zachwyceni porwali się z miejsca, wzięli się za

ręce i w pląsy ruszyli, a tańczyli tak zamaszyście, że ziemia i trawa podskakiwała za nimi do góry.

A w tem jakiś *flakajandru* (młodzieniec) z wrzaskiem zanucił:

Okrąglij się koło w koło,
I ja tańczyć chcę wesoło!

Po dobrej dopiero godzinie tańczyć przestali.

Pod okapem, wsparte o śpichlerz, stały wory orzechów.

Rumunia obfituje w orzechy włoskie. Jak u nas wierzby przy drodze, tak w Rumunii rosną orzechy. Wielu też bojarów posiada duże i piękne sady orzechowe, troskliwie się nimi zajmują i pielęgnują starannie. Inni mają tylko kilkanaście lub kilkadziesiąt drzew orzechowych (*nuk*), rozrzuconych tu i ówdzie po winnicach lub naokoło winnic w płot wplecionych, niby w celu ozdoby. Inni istotnie w celu ozdoby tylko parę w ogródku zasadzili orzechów, bo orzech w lecie wygląda kopiasto jak młoda lipa i daje cień dobry.

Pod jesień, gdy już orzechy dojrzały i same z drzew opadają, obiera się je lub raczej obija, znosi się do szopy lub na poddasze i tam się wysypuje do pudeł zwanych kastami, lub we workach zostawia. Gdy już wszystkie orzechy obite z drzew i na pewne miejsce zniesione, trzeba się zabrać do obierania z nich pierwszej łupiny.

Kto ma niewiele orzechów, ten pierwszą łupinę obiera zwykle zaraz pod drzewem i już obrane orzechy znosi w poddasze, i suszy. Ale nas tacy nie obchodzą na razie. Kukon Ilie do tych należy, którym nagromadzone stosy orzechów pozwalają klakę urządzić.

Po skończonym tańcu usiedli klakaszowie po cygańsku na piętach obok worków z orzechami i wzięli się do obierania łupiny. Nożem żelaznym lub drewnianym łupina podchylona schodzi z orzecha bez trudu. Orzechy obrane chrobocą przy wrzucaniu w kosze, a łupina zrzuca się osobno.

Księżyc swych blasków nie szczędzi.

Pies w kłębek się zwinął i leży przy klakaszach.

Klakaszowie umilkli na moment.

— *Moszule* (staruszku) Andronik, nie wstyd cię, że milczeniu pozwalasz panować?! — odezwał się głos jakiś wśród rzeszy.

Mosz Andronik był to sobie staruszek siwowłosy, ale jeszcze pełen życia, znany w całej okolicy jako bajarz najlepszy, uczestnik każdej prawie klaki, na których swemi baśniami podtrzymywał zajęcie.

— Moszule Andronik, moszule Andronik! weźno się teraz do opowiadania krotochwil, jak ty to umiesz — zawołało naraz kilku klakaszów.

Mosz Andronik wychylił kubek wina kwaśnego, otarł sobie wąsy palcami i zaczął głosem grubym i drżącym:

— Dobrze. Opowiem wam, jak opłakiwała cyganka swego syna, który umarł na uszną chorobę. Słuchajcie! tak go opłakiwała:

Kochany synu, synu mój miły,
Patrz! jeszcze skrzypce twoje zostały,
Które tak w rękach twoich kwiliły.
A twe kaftany, spodnie, płaszcz biały,
Jakże na tobie dobrze leżały!...

A gdy Rumun się spytał cyganki:

A w płaszczu białym miał poły obie?

Cyganka odpowiedziała:

Jednę — a drugą mógł przyszyć sobie.

— Opowiedz coś innego, moszule, ale coś mędrszego, coś więcej zajmującego — odezwał się kukon Ilie po chwili wrzawy i śmiechu.

— Dobrze, kukonie, opowiem, co zrobił Pepelja, jak z piątku suchego zrobił sobie tłusty piątek.

Pepelja był bardzo pobożnym, a jeszcze wtedy nie był *daskalem* (kościelnym). Pościł, chodził do *biseriki* (cerkwi schyzmatyckiej) i modlił się często.

Raz też Pepelja klęcz w biserice, modli się — a był to suchy piątek.

Dyakon wyszedł z *dyskiem* (skrzyneczką) na zbieranie ofiary.

Pepelja chciałby coś wrzucić do dysku, szuka po kieszeniach i nie znajduje ani złamanego szeląga, a dyakon już się

zbliża do niego i wystawia dysk naprzód. A miał Pepelja w jednej ręce świecę gorejącą, a w drugiej swą *kacziulę* (czapkę). Dyakon zbliżył się już do Pepelji i przed nim się nawet zatrzymał, rozglądając się, czy kto nie wyciąga gdzie ręki z jałmużną. Pepelja tymczasem przystawił jedną ręką świecę do tej ręki dyakoua, w której on dysk trzymał, a drugą podstawił swą kacziulę. Dyakon uczuł nagle, że go strasznie pali coś w rękę, i wypuścił dysk z pieniądzmi, które się zsypały do kacziuli Pepelji. Pepelja wkręcił się między lud prawosławny, stał się niewidzialnym, a potem... miał tłusty piątek.

— Widzisz go, *porku-de-kyne* — zawołała z oburzeniem staruszka Domnika. — Pepelja nie mógł sobie innego na figle miejsca poszukać?!... Czyż się nie bał, *uczіga-l-toaka*, by go P. Bóg nie skarał?!

— Eh, zostaw staruszko! nie gniewaj się teraz, bo ci jeszcze coś lepszego opowiem: o kalugarach, którzy się w osłów zmienili.

— Słuchajmy! Opowiadaj, moszule! opowiadaj! — wołali znowu prawie wszyscy klakaszowie, a mosz Andronik, zaczerpnąwszy z wiadra świeżego pomysłu, tak dalej jął opowiadać.

Pewien Rumun bogaty starego osła przywiązał pewnego dnia z tyłu do wozu i pojechał na jarmark, aby go sprzedać. A zdarzyło się, że tą samą drogą szło i dwóch złodziei. A zobaczywszy osła, chcieli go wziąć w posiadanie i poczęli się naradzać nad środkami. Po chwili namysłu mówi jeden do drugiego:

— Wiesz co, bracie kamracie! spuść ty osła z powrozu i uchodź z nim co żywo, a ja, ażeby Rumun nie spostrzegł oślej nieobecności, założę sobie na kark olstro i pójdę za wozem.

Jak rzekli zrobili.

Jeden osła odwiązał i uprowadził, drugi się przywiązał za wozem i biegł tak dobry drogi kawałek, aż się zmęczył. Zmęczywszy się, zaczął wołać:

— Hej! bracie, bracie! stań troszkę, niech dobre powiem ci słowo!

Oglądnął się Rumun i przeląkł się okrutnie, widząc że na miejscu osła prowadzi przywiązanego nieznajomego czło-

wieka. Co tchu wózek zatrzymał, więźnia odwiązał i spytał jak się to stało?

— Grzechy moje to sprawiły, synu i bracie! Swego czasu byłem kalugarem (mnich schyzmatycki); zgrzeszyłem. A grzech pochodzi od dyabła i po przodkach naszych dostał nam się w dziedzictwie. Zjadłem we wielką środę kawał mięsa. bo tak mi jakoś dziwnie było w żołądku i ukarał mnie Ojciec niebieski, zamieniając mię w osła na siedem latek... I teraz właśnie, *pakatele mele,* skończyły się te siedem lat i znowu mi dano postać człowieczej natury.

— Ach, *parinte* (ojcze duchowny), co mówisz — zawołał biedny, przerażony Rumun — I czemużem ja tego nie wiedział a byłbym cię lepiej utrzymywał i byłbym ci dawał podostatkiem wszystkiego.

— Nic nie szkodzi, bracie! osłem byłem, więc jak osieł wszystko znosiłem. Proszę cię tylko, puść mnie synu kochany, a pospieszę do monasteru, bo pragnę zobaczyć i usłyszeć, czego nie widziałem przez lat siódemkę.

— Idź parinte! — rzekł Rumun, żegnając się trzy razy krzyżem wielkim — idź, a przebacz mi, proszę cię, parinte, bo klnę się na moją duszę, że nie wiedziałem, że wiedzieć nie mogłem... wtedy bowiem...

Złodziej podskoczył do góry z radości i puścił się pędem jak oparzony.

A Rumun jeszcze coś sobie przypomniał i woła:

— Parinte! Parinte! Parinte!

Zatrzymał się przecie złodziej, a Rumun mu rzecze:

— Ale pamiętaj o tem, parinte, i dobrze weź to sobie do serca, byś znowu nie zgrzeszył gdzie kiedy i by cię snać nie przemienił znowu Najwyższy w jakiego potwora!

Klakaszowie boki zrywali, nawet kukon Ilie i Bogdan unieśli się śmiechem.

— Śmiejcie się, śmiejcie! — powiada mosz Andronik — ale ja jeszcze nie skończył całej historyi.

— Cicho! cicho! Słuchajcie! — wołają klakaszowie.

Śmiech zwolniał, orzechy w ruchu, mosz Andronik tak dalej prawi:

— Ten Rumun, tak może po miesiącu, udał się znowu na jarmark, chcąc sobie kupić osła innego. Ale postanowił dobrze wprzód zbadać każde stworzenie, czy to znów nie będzie jakaś dusza pokutująca któregoś z kalugarów, bo nie miał już ochoty nowej ponosić szkody, jak za tamtego. Szukając więc i targując się, spostrzega nagle swego osła dawnego, ukradzionego mu przez złodziei. Jak Rumun swego osła, tak osieł swego poznaje pana, a poznawszy go, poczyna beczeć, ile mu gardła starczy, i wydziera się do Rumuna. Eh, ale Rumun nasz teraz już nie taki głupi!... Tego osła więcej już nie kupi! Zbliżył się tylko do ośłego ucha i rzekł cichutko:

— A widzisz parinte, nie mówiłem ci, byś się miał na baczności przed pokuszeniem szatańskiem, bo inaczej ukarze cię znowu Najwyższy? Jeżeli ci się więc zachciewa w dni postne mięsa, to bądź sobie osłem, ale ja cię kupić nie mogę, bo nie mam pieniędzy na wyrzucenie. Bądź zdrów, parinte!... I oddalił się Rumun z pospiechem, a osieł beczy i beczy.

— Mameczko! mamusiu! — zawołał kukonasz Guca — pozwól, a ja opowiem piękniejszego coś, niż wszystko dotychczas!

— Opowiedz, synu, opowiedz! — rzekła kukoana z zadowoleniem, widząc, że jej synek zaczyna mieć mowy do „publiki".

Więc Gucuś zaczął:

— Cygan Florek miał iść na drugi dzień do Hyrlan, rzekł więc swej żonie:

— Ronco, pościel mi na noc koło drzwi, bo tam spać będę spokojniej i pewniej.

— Przy drzwiach spać! Eh, kto widział? Po co to mężu?

— Głupiaś Ronco; Czyż nie wiesz, że jutro idę do Hyrlan? A do Hyrlan pierwej zajdę, jeżeli krótszą będę miał drogę. A gdy przy drzwiach spał będę, będę miał krótszą drogę i pierwej zajdę.

Tu kukonasz Guca począł się śmiać sam jeden i zaczął klaskać w ręce. Ale zresztą nikt się nie śmiał inny z pięknej jego powieści

o cyganie Florku. A gdy się śmiać przestał, wielkie na wszystkich otworzył oczy i z gniewem zapytał:

— Co, wy się nie śmiejecie z Florka cygana?

— Jużeśmy się śmiali — odrzekł na to mosz Aftanasa — ale teraz już nas odeszła ochota od powieści; lepiej będzie coś innego znów zacząć, jakieś zagadki, albo...

— No postaw jaką zagadkę, bo ja wiem wszystkie! — zawołał Gucuś.

— Dobrze kukonaszule, słuchaj:

Zgadnijże, zgadnij grzybku przy drodze:
Co to jest klasztor na jednej nodze?

Z klakaszów nikt nie odpowiedział: za to kukonasz Guca po krótkim namyśle zaczął wołać:

— Już wiem! już wiem. To pewnie kapelusz ten nowy, który babaja (tatko) kupił mamie przed dwoma laty w Tyrgu-Kukulni!

Znowu śmiech między klakaszami, a kukoana zaperzona głupotą swego małego aniołka, zamknęła mu ręką usta i nie pozwoliła mu już odezwać się więcej. Już też i kukon Ilie chciał koniec położyć powieścim i gadkom. więc rzekł:

— Porzućcie już te banialuki, a niech ktoś z was zaśpiewa coś raczej...

— A dobrze kukonie! — odezwał się mosz Aftanasa.

I wkrótce rozszedł się po nocnej ciszy śpiew drżący staruszka, zrazu smutny i chwiejny, jak lot ptaka, co zerwał się z mogiły bojara, poległego w zapasach z Turkami, ale za chwilę zaczął potężnieć i zabarwiać się jakąś mściwą pamięcią o dzikim Tatarzynie; a wtedy moszowi Aftanasie zaczęły przybiegać z pomocą harmonijne głosy rzeźkich flakajandrów i pieśń silna, ponura, dzika uderzyła w niebiosy... W przerwach tylko między pojedyńczemi zwrotkami słychać było szelest spadających łupin z obieranych orzechów...

Lecz nagle głos Aftanasy stał się ze smutnego podniosłym i dumka przeszła w rapsod wspaniały. Wokół powstała cisza i oczy wszystkich z żywą radością wlepiły się w starca, a starzec śpiewał:

Stefan, Stefan książe wielki
Niema sobie nic równego,
Chyba tylko dumne słońce [1].

Gdy suczawskie mury rzuci,
I na swej granicy stanie
Jako twierdzy mur obronny,

Ramię jego bez ustanku
Rzuca w popłoch tłum tatarski
I węgierskie bije pułki.

Do ucieczki Lachów zmusza
Gniecie Turków pod rumakiem
I grześć pogan nie dozwala.

Cały świat w podziwie stoi.
Mały kraj ma, ale silny,
I swych wrogów wszystkich niszczy.

Z piersi obecnych wyrwało się westchnienie za ubiegłą świetnością, a po chwili zaczęła się znowu rozmowa.

I tak po baśniach szły śpiewy, po śpiewach przerywano na chwilę robotę tańcem — wokół krążyło wiadro z winem, a na twarzach wieśniaków rysowała się wesołość, swoboda, złagodzona lekkim odcieniem pogodnego rozmarzenia. Gromadka stanowiła dla siebie całość i zdawała się o reszcie świata nie wiedzieć; przypominał im ją chyba zrywający się czasem, na turkot dalekiego wozu, pies i biegnący z szczekaniem do bramy.

Z orzechów już prawie nic nie zostało.

Księżyc świecił pełny na niebios sklepieniu, ale się zdawał tęskny i znużony, może zazdrosny, że w klace nie może brać udziału, że się nie może śmiać z klakaszami.

Wreszcie obrano już wszystkie orzechy.

Klakaszowie podnieśli się na nogi i poczęli się prostować, a w środku między nimi stanął stos łupin z obranych orzechów, duży jak sterta.

Kukosz Ilie był bardzo rad z dokonanej pracy. Zadowo-

---

[1] Pieśń ludowa rumuńska:

Stefan, Stefan, Domn cel mare
Seamău pe lume nu are
Decât numai mândru sóre i t. d.

lenie swoje chciał i wieśniakom pokazać, więc zawołał głosem donośnym:

— Hejże dzieci! nim się rozejdziem, wychylcie jeszcze po kubku wina i wraz zatańczmy sobie! Nie zapomnijmy naszej młodości! „Taniec książęcy!“

W mgnieniu oka ujęli się wszyscy za ręce i w tany ruszyli. A ponieważ grać nie było na czem, śpiewem takt sobie dawali. Wszystkie więc piersi jedną ozwały się pieśnią:

Liść zielony, liść pokrzywy —
Zzujcie, babko, but wasz krzywy,
Bosą piętą ognia krzeszcie,
Aż drak (djabeł) z trwogi czmychnie wreszcie!

Po chwili pląsy ustały; klaka się skończyła.

Wieśniacy żegnali się z bojarem jeden po drugim, powtarzając: *somn uszor* (dobrego snu!) i wynosili się do chatek swoich, by snem siły odświeżyć.

Jan Zatłokiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pogadanka o nowszych powieściach polskich.

Włodzimierz Trąmpczyński: „Bielmo". — W. Sieroszewski (Sirko): „W matni". — Antoni Miecznik: „Owanes Ohana". — Klemens Junosza: „Zagrzebani", „Z papierów po nieboszczyku czwartym", „Przeszkoda". — Helistan: „Szkice i obrazki". — Adam Krajewski: „Kątem". — K. Laskowski: „Zrośli z ziemią". — M. Konopnicka: „Nowele". — W. Ol. Kondratowicz; „Komedyant". — Artur Gruszecki: „Krety". — Wł. St. Reymont: „Spotkanie", „Fermenty". — Anatol Krzyżanowski: „W więzach". — Włodz. Zagórski: „Mój pierwszy dzik". — A. Dygasiński: „Pióro", „Dramaty lubądzkie". — St. Ariel: „Ułudy". — C. Walewska: „Podsłuchane". — T. Jeske-Choiński: „Ostatni Rzymianie". — H. Sienkiewicz: „Na jasnym brzegu". — W. Feldman: „Ananke". — Ursyn: „Szesnaście obrazków".

Nie tak dawno temu, niema jeszcze pół roku, jak zmłócił *Przegląd* (nie dość grzecznie to wyrażone, ale najlepiej myśl oddaje) ze dwa lub trzy tuziny najnowszych polskich powieści. Zdawało się, że oczyszczone biurko nie tak prędko nowymi tomami się pokryje; odpocznie recenzent, odpoczną z nim razem wdzięczni czytelnicy. Gdzie tam! — nowe stosy się piętrzą; prawdziwy potop różnobarwnej bibuły biurko zalewa. Niema sposobu, tylko trzeba coprędzej załatwić się z tymi tomami, pchającymi się tak natrętnie pod oczy, pod ręce...

Biorę pierwszy tom z brzegu. Tytuł „Bielmo" [1]. Z jakiego „bielma"

[1] „Bielmo". Przez Włodzimierza Trąmpczyńskiego. Powieść współczesna. Warszawa. Nakład księgarni G. Centnerszwera. 1897.

kurować chce społeczeństwo p. Włodzimierz Trąmpczyński? „Bielmem — powiada jedna z głównych bohaterek — bielmem na oczach, którego pozbyćby się należało, jest pogoń za rublem, dostatkiem i użyciem, zwłaszcza gdy je kto uważa za jedyny cel życia". Teza to stwierdzona przykładem Kazimierza, któremu zbytek i miliony bogatej fabrykantki tak zaimponowały, że dla nich nie zawahał się złamać serce prawdziwie kochającej, ale ubogiej dziewczyny; dla nich potem zapomniał o najelementarniejszych obowiązkach wdzięczności dla dawnego dobroczyńcy. Teza sama w sobie, w teoryi bezwątpienia prawdziwa; ale czy u nas istnieją tacy Kazimierze, czy w każdym razie nie należą do takich wyjątków, że i wspominać o nich nie warto? Czy nie zawcześnie jeszcze ostrzegać polską szlachtę przed oddawaniem się fachowej pracy i przysparzaniem sobie przez nią majątku? Czy wręcz przeciwne ostrzeżenia nie mają o wiele większej racyi bytu? Prawda, że inni powieściopisarze nam ich nie szczędzą; autor pomyślał sobie może: nudna to rzecz powtarzać po raz setny, co dziewięćdziesięciu dziewięciu dawno na wszystkie tony odśpiewało.

Opowiadanie wygnańca „Na kresach lasów" wyrobiło od razu nieznanemu autorowi, podpisującemu się Wacław Sirko, odrębną a niezłą markę w powieściowej naszej literaturze. Znudzeni salonowemi intrygami, wiedzący na pamięć, nietylko z książek, ale i z doświadczenia, jak Żyd z karczmy do dworu wędruje i jak zbankrutowany szlachcic daremnie po bruku rozbija się za zajęciem, znaleźliśmy się nagle w innym, wręcz odrębnym nieznanym świecie. Na pół dzikie ludy, zamieszkujące Syberyę, ich mieszkania, zatrudnienia, wiece, zabawy; nowy to temat, nie bez interesu dla bardzo nawet zblazowanego czytelnika. Zachęcony powodzeniem rzucił autor pseudonim, przyznał, że nazywa się nie Sirko, lecz Sieroszewski, i wydał szereg opowiadań, zgrupowanych pod tytułem: „W matni" [1]. Dalszy to ciąg, lub jeśli kto woli, uzupełnienia poprzedniej powieści. Wchodzimy do jakuckiej jurty, przypatrujemy się jej mieszkańcom, słuchamy ich rozmów; potem podążamy za zwierzyną w niedostępną puszczę, puszczamy się wątłą łódką w sam środek groźnych wirów olbrzymich rzek, lub dla odmiany uczestniczymy w jakuckiem weselu; obserwujemy, jak wściekła zazdrość jakuckie serce dręczy. Monotonne jakuckie życie: jakże niema się trochę

[1] „W matni". Przez W. Sieroszewskiego (Sirko). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

monotonności wcisnąć do opowiadania? Podobni, bo ci sami niemal bohaterzy, co w „Na kresach lasów“; czy się dziwić, że podobnie do nich i w książce wyglądają i przemawiają? I jeszcze jeden zarzut lub raczej tylko pytanie. Autor hołduje nie zbyt jaskrawej, ale jednak realistycznej metodzie; co zobaczy, co posłyszy, to odmaluje i powtórzy. Nic to może zbytnio, a przynajmniej z umysłu gorszącego, ale jednak wiele szczegółów bądź co bądź dla młodszych zwłaszcza czytelników niewłaściwych. A z drugiej znów strony jak wiele z tych opowiadań, byle wykreślić parę zbyt rażących obrazków, dałoby się do rąk tych właśnie młodszych czytelników; z jaką chciwością a zarazem i pożytkiem zagłębialiby się w sybiryjskie puszcze i zawierali znajomość z jej Robinsonami. Czy dla pozyskania wielkiego tego koła czytelników nie wartoby poświęcić na przyszłość parę rysów, bez wątpienia że prawdziwych, ale na których braku całość obrazu bardzo mało, może i nicby nie straciła?

Bliżsi od Jakutów, czy lepiej od nich znani bessarabscy Ormianie? A poznać z nimi się warto, choćby dlatego, że tyle mają wspólnych cech, zwyczajów, tradycyj z naszymi Ormianami, którzy z nami od tylu już wieków wspólną dźwigają dolę i niedolę; tyle z nimi na każdym kroku mają styczności. Jakie ich życie, jakie pragnienia i marzenia? Odpowiedzią na te pytania ma być postać i historya Owanesa Ohany [1]. Trochę poniewierany w możnym dworze sierota zaciął się i powiedział sobie: „Muszę majątek zrobić“ — i zrobił; „muszę na pana wyjść“ — wyszedł. Obok Ohany poznajemy drugiego niemniej sprytnego i energicznego Ormianina, Tigranesa Zacharyasza; jeden plany kreśli, drugi konsekwentnie je wykonywa; obydwaj wierzą święcie w zasadę: „rozumem ormiańskim wszystko zrobić można“ i „Ormianie z niczego potrafią zrobić coś“. Autor zna Ormian, ale nie umie jeszcze dokładnie odmalować znanych postaci: stąd jego Ormianie mogliby sobie spokojnie być Rusinami lub Polakami; trzebaby im tylko nazwiska pozmieniać. I akcya w powieści zbyt konwencyonalna, kosmopolityczna, powiedzmy bez ogródek — oklepana. A tyle na tem nieznanem tle, z temi oryginalnemi, wschodniemi postaciami, dałoby się z pewnością interesujących i pouczających obrazków wymalować. Miejmy nadzieję, że nasz autor chwyciwszy pendzel w doświadczeńszą już teraz rękę w przyszłych swych powieściach nam je odmaluje!

---

[1] „Owanes Ohana“. Powieść. Napisał Antoni Miecznik. Warszawa. Nakład i druk Emila Skiwskiego. 1897.

„Zagrzebani“ [1] Junoszy mają dobrą i rozumną tendencyę, jak wszystko zresztą, co wychodzi z pod pióra płodnego tego autora; pod względem czy powieściopisarskim, czy literackim, czy społecznym, niczem się nie odznaczają, coby mogło pamięć o nich głębiej w umyśle zakarbować. Zakarbowuje się za to — czyś rad temu, czy nierad — w pamięci oryginalny tytuł: „Z papierów po nieboszczyku czwartym“ [2]. Co za „czwarty“, czemu „czwarty“? Bo biedny nieboszczyk, wyidealizowawszy sobie świetne i wielkie czyny, któremi *itur ad astra*, dochodzi w dodatku bezwiednie do tego, że głównem zadaniem życia jego staje się, aby w dobranej partyjce preferansa nie zabrakło „czwartego“. Dużo tu melancholii, do której u Junoszy nie przywykliśmy; nie brak i humoru, ale humor to, co ostatecznie więcej łez niż śmiechu sprowadza. Jest naturalnie i Żyd, bo jak szlachcica bez Żyda, tak trudniej jeszcze sobie wyobrazić powieści Junoszy bez Żyda. Żyd tym razem zupełnie od innych odrębny, którego największą przyjemnością wymyślanie coraz nowszych, coraz genialniejszych szachowych kombinacyj; swoją drogą te kombinacye nie odwodzą go ani na chwilę z drogi interesu, owszem i one muszą choć do drobnego interesu dopomagać. Za to pełną garścią sypie się humor w sportowej noweli „Przeszkoda“ [3]. Kto zwycięży, stary, nieodłączny towarzysz rycerskich przodków, rączy rumak, czy nowy „cudak“, od dyabła chyba wymyślona maszyna, „rowerem“ z cudzoziemska przezwana. Przed niewielu latami jeszcze koń miał stanowcze fora, jeszcze z pewną racyą mógł pan Stanisław, znakomity na całą okolicę koniarz, ferować: „Jeździć na takiem czemś, to i grzech i wstyd i sensu za grosz niema“. Ale czas naprzód idzie; dawny ciężki i niezgrabny rower zmienił się w zgrabny, lekki, i podtatusiały pan Stanisław patrzeć musi, jak na rowerze uganiają trzej jego synowie, jak w te tropy i córeczka pędzi... Co robić — dobre poczciwe, piękne koniki, ale i z rowera dziś już żartować nie wolno! *Quod erat* w noweli „sportowej“ *demonstrandum*.

Do modnej „żydowskiej literatury“, do różnych „kosztownych

---

[1] „Zagrzebani“. Powieść z życia wiejskiego. Przez Klemensa Junoszę Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

[2] „Z papierów po nieboszczyku czwartym“. Przez Klemensa Junoszę. Warszawa. Nakład W. Czajewskiego. 1896.

[3] „Przeszkoda“, Nowela sportowa K. Junoszy. Z rysunkami w tekście M. Roszkowskiego. Warszawa 1897.

dobrodziejów“ i pracujących Żydów“ przybyły „Szkice i obrazki“ [1] autora kryjącego się pod pseudonimem Helistana. Główną zaletą bezpretensyonalnych tych szkiców, że kreślone z życia i to widocznie od razu po podpatrzeniu jakiegoś charakterystycznego szczegółu, podsłuchaniu charakterystycznej jakiejś rozmowy. Czy do niej rozbawiony słuchacz szczypty własnego dowcipu nie dorzucił, to już sprawdzać trudno Czy np. istotnie mściwy szlagon zemścił się na Morycu Englu za pokiereszowana brodę i przemienił go w Francuza z wąsami na szpic i napoleońską bródką; czy może tylko zagroził taką zemstą w wesołej kompanii? To pewna, że takich dziedziców jak nowy dziedzic Lajbówki, pan Łapsfeld; takich fabrykantów guzików jak A. P. Nachtsucher; takich pachciarzy i faktorów jak Szloma Słowik, każdy z nas widział, a przynajmniej sto i tysiąc razy o nich słyszał. Ktoby nie widział. ten z tem większą ciekawością oglądać będzie wierne ich konterfekty z lekka zaledwie przechodzące w karykaturę, którymi p. Arkadyusz Mucharski szczodrze pisane szkice Helistana przyozdobił i objaśnił.

Smutne dzieje tych, których bieda zmusza mieszkać „kątem“; smutne dzieje różnych Zygmuntów, Blanszett, Urszuli, Henryków, Julek i Zosi. W powieści p. Krajewskiego [2] różne przejścia, na które mieszkańcy „kątem“ są narażeni i dobrowolnie się narazili, stosunkowo, przynajmniej główne bohaterki mając na względzie, dobrze jeszcze się kończą. Jedna lekkomyślne młode życie okupuje nauczycielską pracą żmudną a pełną poświęcenia gotowa okupić heroicznem niemal bohaterstwem. Drugiej gorzej się dzieje, czarna nędza ją ściga, mąż brutal bije a sam się zapija; ale ona przynajmniej nie zeszła na najgorsze drogi, które z taką siłą, tak niejako naturalnie ku sobie ją ciągnęły. Biedna Zosia, biedna Julka, biedni mieszkańcy „kątem“. Dobrze, że się ktoś znalazł, kto życie ich podpatrzył i przynajmniej pewne epizody z niego odmalował. Smutne epizody, a przecież pewni jesteśmy, że sam p. Krajewski miał w tece jeszcze smutniejsze, tylko bał się, aby go o za czarne farby nie posądzano. Dlaczego pana Wasyla zrobił później autor księdzem, czemu pan Wasyl nie został do końca panem, nie bardzo nam jasne. W każdym razie nicby powieść nie straciła na

---

[1] „Szkice i obrazki“. Przez Helistana. Z rysunkami Arkadyusza Mucharskiego. Warszawa.

[2] „Kątem“. Powieść Adama Krajewskiego. Lwów. Nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza. 1897.

tej przemianie, a pozbyłaby się pewnego lekkiego, jakby Kościołowi niechętnego zabarwienia, którego sądzimy, że autor wcale dać jej nie zamierzał.

Pociechy i smutki gnieżdżące się w szlacheckich domkach, krótkie chwile wytchnienia, długie frasunki nawiedzające „zrosłą z ziemią“ polską szlachtę maluje p. Kazimierz Laskowski [1]. Obserwował Żydów, szkicował chłopów; z kolei po karczmach i chałupach przyszła kolej na dwory. Wdzięczne w nich postacie, czasem trochę lekkomyślne, trochę blagą trącące; ale i te nawet takie poczciwe, że się na nie niepodobna gniewać. Gdybyż Żyd z poblizkiej karczmy, z sąsiedniego miasteczka nie podpatrywał skulony, co się w wewnątrz dworu dzieje i zwolna nie zarzucał sieci na jego właścicieli! Gdybyż kawalerskie przewinienia i przyzwyczajenia nie odzywały się tak głośnem a groźnem echem w pokawalerskich czasach! Gdybyż miasteczkowi faktorzy zapomnieć chcieli o stosunkach, które łączyły ich dawniej z dzisiejszym porządnym, pragnącym na prawdę pracować gospodarzem! Ba! gdyby!... To szczęście, że nietylko są na świecie Mendle, Sofy i Rajzmany, ale są i poczciwi sąsiedzi: Chojnaccy, Bortniccy, Warzyńscy zasługujący sobie w całej pełni na nazwę: bracia sąsiedzi, bracia szlachta. Bodaj tacy, jakich nam p. Laskowski w powieści swej przedstawia, tacy rozumni, serdeczni, ofiarni, ze ziemią zrośli, tacy „kapitaliści“ — na kamieniu się rodzili!

Ks. Gnatowski w odczycie o Konopnickiej, wygłoszonym mniej więcej rok temu we Lwowie, przyznał jej tak wielki talent, że w niejednem kółku, aż się z tych pochwał, to ciszej to głośniej gorszono. Czy słusznie? Prelegent bynajmniej nie chwalił zapatrywań Konopnickiej, wyrażał żal, że lepiej talentu swego nie używa; ale obrawszy sobie raz za przedmiot swego wykładu szeroko znane i podziwiane utwory, musiał powiedzieć, co mu prawda dyktowała. Ostatni tom „Nowel“ [2] nowym dowodem, że jeśli wogóle o Konopnickiej mówić chciał, inaczej mówić nie mógł. Niema i jednego — a jest ich bądź co bądź dziesięć — grzeszącego pospolitością obrazka; niema i jednego, któremu raz się przypatrzywszy, możnaby go od razu poza granice pamięci wyrzucić i powiedzieć sobie szczerze: „Ten obrazek, to opo-

[1] „Zrośli z ziemią“. Opowieść przez Kazimierza Laskowskiego. Warszawa 1897.

[2] „Nowele“. Przez M. Konopnicką. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

wiadanie nie targnęło we mnie ani jednej struny serca czy wyobraźni". Pamiętamy z dawniejszych tomów różne: Maryśki, Banasiowe, Józefowe, głupich Franków, Jóźików, Srokaczów, Gdańskich, Mendelów; niemniej silnie obecnie w mózg się wciska, głęboko wystudyowana, prawdziwie podpatrzona postać, to przymierającej głodem, ale zawsze mającej się za coś lepszego od innej hołoty szwaczki-arystokratki; to zaciętego malca parobczaka, który już, już byłby się do ciężkiej pracy wzwyczaił, gdyby go przedtem ta praca nad wiek i siły trupem nie położyła; to charakterystycznej, chyba że z życia fotografowanej zawsze jednakowej Maryanny w drodze do Brazylii, w Brazylii, z powrotem z Brazylii... A „Niemczaki", łebskie chłopaki, niby z początku z mowy i wychowania Szwaby, ale w gruncie polskie dzieci i polskie fantazye, że na pierwsze wejrzenie powiesz: polska krew w nich płynie — to już wprost do serca wpadają i dość się niemi nie można nacieszyć. Dał P. Bóg Konopnickiej talent, wielki talent; tem smutniej dla niej i dla społeczeństwa gorzej, jeśli go nie zawsze na dobre używa.

Jeden z głównych bohaterów „Komedyanta", powieści Władysława Kondratowicza [1], bohater zowiący się również Władysławem, pisze w biurowych, kancelaryjnych godzinach powieść po powieści, a raczej rozpoczyna powieść po powieści, ale żadnej nie kończy. Nie wiemy czy w podobnych warunkach powstał „Komedyant"; fakt, że na ostatniej stronicy czytamy czarno na białem słówko: „koniec" — a zatem powieść to nietylko rozpoczęta, lecz i skończona. O Władysławie występującym w powieści mówią między sobą koledzy: „ma on zajączka na temat bazgrania"; o Władysławie autorze powiedzieć tego nie wypada i słusznemby nie było; ale to bardzo prawdopodobne, że dość dużo jeszcze upłynie wody, zanim od niego się doczekamy nietylko już rozpoczętej, nietylko dokończonej, ale jednocześnie i wykończonej powieści. „Komedyant" nią nie jest. Obłęd biednego kancelarzysty, któremu koniecznie się wydaje, że Bóg go stworzył na znakomitego autora; żarciki, jakie z tego powodu stroją sobie z niego koledzy; zawód straszny, choć z góry przewidziany i oczywisty przy pierwszym debiucie, — za mało to na prawdę materyału, aby z niego książkę ulepić. Gdyby nie to, że p. Władysław pisał swą powieść w biurze, oglądając się wciąż niespokojnie, czy go szef nie przyłapie na gorącym uczynku, mielibyśmy może nie książkę, lecz fejleton. Le-

[1] „Komedyant". Przez Wład. Henryka Kondratowicza. Warszawa. 1897.

piejby na tem „Komedyant“ wyszedł; obeszłoby się i bez stronicy „Omyłek druku“, nie będących co prawda, bez pewnego humorystycznego interesu dla filologów i gramatyków; jeśli łaskawi, niech się bacznie tym „omyłkom“ przypatrzą.

Nie do szlacheckiego dworku, nie do mieszczańskiej kamieniczki, ba! nie do żydowskiej karczmy, lecz pod ziemię, w wązkie korytarze w węglu wykute, prowadzi Artur Gruszecki [1]. Ciekawy temat, ciekawi ludzie i ich zwyczaje; co ważniejsze, znać, że przez chcącego i umiejącego patrzeć i słuchać, obserwowani. Wspólna ciężka dola, powinnaby, zdawało się, wszystkich w jakibądź sposób na górze czy na dole przy kopalni zatrudnionych łączyć; otóż nie, oni podzielili się na dwa wrogie sobie obozy. Z jednej strony górnicy krety, z drugiej hutnicy-smolipyski; z jednej i z drugiej strony zaciekłość bez granic, co nietylko w słowie się objawia, ale raz po raz i do noża sięga. Główny bohater powieści, rycerski, odważny Pakosz, w taki jakoś właśnie czas do kopalni trafia, że kolejno przechodzi przez wszystkie niebezpieczeństwa, spotyka się oko w oko ze wszystkiemi przygodami i awanturami, z któremi wogóle górnik może się spotkać. Mamy więc dokładny obraz górniczej pracy i zabawy, smętnych i wesołych chwil, bitek i pijatyk, chorób i zalotów, nabożeństw i zabobonów. Uczestniczymy z Pakoszem w nieszczęśliwym „rabunku“, z którego kopalniany zarząd zyskał trochę drewnianych słupów, a śmierć sporo ofiar. Patrzymy na straszny pożar w kopalni, powstały znowu z niedopilnowania, z chciwości zarządu. Prawdziwie, jeśli choć jeden dyrektor, jeden zawiadowca w kopalniach węgli w Królestwie tak sobie postępuje i tak lekko sobie życie ludzkie waży, jak odmalowywani nam przez p. Gruszeckiego dyrektorzy i zawiadowcy, to wart i dziesięć razy wart, aby go bez dłuższego procesu poprowadzić na szubienicę. A możeby autor, który widocznie te stosunki dłużej i dokładniej studyował, odpowiedzieć zechciał jasno i dokładnie na to pytanie —, oczywiście już nie w powieści. Samiż zawiadowcy, dyrektorzy, jeśli czyste mają sumienie, powinniby tej odpowiedzi natarczywie się domagać; powinniby sami dopomódz do jej udzielenia.

Z nazwiskiem p. Reymonta spotykamy się coraz częściej. Przypatrzmyż się paru jego „szkicom i obrazkom“ [2].

[1] „Krety“. Przez Artura Gruszeckiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

[2] „Spotkanie“. Szkice i obrazki. Przez Władysława St. Reymonta. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

W „Suce“ morał prosty: od dziedziczki suka lepsza; dziedziczka w pijanej złości klnie, wypędza, bije; suka ratuje po bohatersku swe szczenięta i ginie. Inna nowela po prostu jest wstrętna; aktorowie i aktorki mieliby wszelkie prawo wezwać za nią autora do odpowiedzialności, bo trudno odmalować ich życie w obrzydliwszych kolorach. Że się księdzu nie daruje, że się trochę z nabożeństwa, z sakramentów pokpiewa, że się pokpiewa z poczciwej naiwności ludu, to przy usposobieniu i widocznych — przynajmniej z książki — upodobaniach p. Władysława St. Reymonta, łatwiej zrozumieć; ale w czem mu też nieboracy — aktorzy zawinić mogli? Dla dopełnienia przepisanej umową z księgarzem objętości książki, dostaliśmy na końcu „Włoskie wrażenia“, a raczej (bo kto wiedzieć może, czy do innego tomu garść tych wrażeń się nie przyda?) „Z wrażeń włoskich“. Cóż o nich powiedzieć? Nie są lepsze, nie są wiele gorsze od tysiąca swych kolegów francuskich, niemieckich, angielskich, polskich. Kto nie jest recenzentem z zawodu, może śmiało oszczędzić sobie przecinania tych kilkudziesięciu kartek.

Czy bez skrupułu oszczędzić sobie wchłonięcia w siebie dwóch (bynajmniej nie cienkich) tomów „Fermentów?“ [1] Tyle o tych tomach pisano, tak nawet stosunkowo dużo mówiono, że musiały one trafić w pewną strunę, czy sympatyczną, czy tylko może dziś głośniej między nami dźwięczącą. Różne marzenia po świecie się snują, różne plany i idee młode piersi rozpierają; co z tych marzeń będzie i dokąd wiodą? Chciała Janka gwiazdy z nieba, marzyła, że sobą, swym talentem świat oczaruje; myślała potem to o jakiejś poetycznej, eterycznej miłości, to znów połykała z chciwością gorzkie sarkazmy o głupim świecie i głupich jego mieszkańcach. Długo się w pięknej jej, bądź co bądź, duszy gotowało, fermentowało: aż wreszcie, wreszcie fermenty przeróżne, bywało że błyszczące i łudzące, lecz zawsze fermenty opadły... Zwolna opadały, lecz nakoniec opadły; Janka artystka, nigdy z losu niezadowolona, zawsze za czemś niedoścignionem goniąca, zmieniła się pod wpływem szczerej a prawdziwej miłości, przekształciła się wbrew wszystkim zewnętrznym przeszkodom w idealną żonę i matkę. Prawdopodobnie było to już gdzieś, może i nieraz powiedziane; choćby i wielekroć razy było powiedziane, powtórzyć nie zawadzi: Po „Fermentach“ nie możemy przyjąć od p. Reymonta bylejakiej na kolanach skleconej

[1] „Fermenty“. Przez Władysława St. Reymonta. 2 tomy. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

nowelki; czekamy powieści, którąby jego nazwisko większemi głoskami w literaturze wyryła.

Parę nowelek Anatola Krzyżanowskiego [1] (przejrzysty pseudonim, którego tajemnicy niema nawet racyi zdradzać, bo wszyscy co chcą, ją znają) dotyka śmiałem, wcale nie niewieściem piórem paru ran na ciele naszego społeczeństwa. Rany to bolące i niebezpieczne, tem właśnie niebezpieczniejsze, że społeczeństwo prawie się już do nich przyzwyczaiło. Przyzwyczaiło się do takich bohaterów jak Zaimski broniących z pistoletem w ręku „honoru męskiego“ tj. honoru wyścigowego konia; nie wahających się dla konia zabić człowieka, gotowych jeszcze w każdej chwili z tego się chełpić, przyjmować jak rzecz należną, hołdy i wiwaty podobnych do siebie... bałwanów. Przyzwyczaiło się patrzeć spokojnie, trochę nawet wierzyć, trochę pochlebiać „apostołom idei“, — komedyantom i deklamatorom, co walczą „pustymi frazesami i nienabitą bronią, byle wywołanem wrażeniem celu dopiąć“. Inne nowele nie wychodzą poza szablon zwykłych nowel-jednodniówek, potrzebnych na gwałt redaktorom do zapełnienia powieściowego odcinku; wyjątek zrobilibyśmy jeszcze jedynie dla obrazku „Ociemniała“, który wart istotnie, by trwał dłużej niż trwać zwykło życie jednego fejletonu.

W najnowszym tomiku nowel p. W. Zagórskiego [2] zwraca uwagę śliczny i rzewny obrazek „Boże drzewko w dziecięcem niebie“. Niemniej rzewna postać starej Jawdochy, prostej kobiety a tak głęboko, tak poetycznie kochającej matki. „Upiór“ gorzkiem jest szyderstwem z literackich, z teatralnych konkursów. Przeszła i otrzymała nagrodę sztuka, która później nie mogła się w żaden sposób utrzymać na teatralnych deskach; przeszła w bardzo prosty sposób. Kiepską sztukę czytał wyborny deklamator a jeszcze wyborniejsze wino dodawało słuchającym sędziom ciepła i animuszu; dobrą sztukę, czytał gorszy deklamator, a tem samem i wino, które poprzedniego dnia podniecało, tego dnia usypiało. Ot — wyciąga autor melancholijny wniosek — od czego powodzenie, od czego czasem całe życie zawisło: od wina i kataru.

Kto chce nowy dziennik zakładać, nową powieścią świat w po-

---

[1] „W więzach“. Zbiór nowel. Przez Anatola Krzyżanowskiego. Warszawa. 1897.

[2] „Mój pierwszy dzik i inne nowele“. Przez Włodzim. Zagórskiego (Chochlika). Warszawa. Nakładem księgarni Teod. Paprockiego i Sp. 1897.

sadach wstrzymać, niech przeczyta przedtem „Pióro“ Dygasińskiego [1]. Nauczy się tu, jak nic sobie na seryo brać nie trzeba, w kłopotach się śmiać, w powodzeniach i z powodzeń ironizować. Nauczy się, jak mówią, co jedzą i co piją ludzie, którzy zakładają dzienniki i powieściowy żer dostarczają publiczności. Tego się nauczy i to go może zabawi. Inne sceny i obrazki, mające ten cel, aby z małej zrobić grubą, z taniej drogą książkę, może i tak przewracając od razu bez rozcinania po kilkadziesiąt stronic śmiało pominąć. Pierwszy, który energicznem brawem go obdarzy będzie sam Dygasiński — krytyk i literat. Gdybyż Dygasiński chciał nam dać ciętą, ale naprawdę ciętą krytykę „Pióra“; dopierożbyśmy się uśmiali i zrozumieli, że niedość na ciekawy i ważny temat wpaść, ale trzeba go jeszcze scena po scenie obmyśleć, scena po scenie cierpliwie spisać. Trzeba, choćby się nawet księgarnia Paprockiego gniewała, że arkusze obiecane i skontraktowane nie w dość szybkim tempie jeden po drugim idą do drukarni. Zresztą dla uniknięcia dłuższych sporów, niech p. Dygasiński autor „Pióra“ idzie do p. Dygasińskiego autora „Dramatów Lubądzkich“ [2] i wyrozumie od niego, że niekoniecznie potrzeba gruby tom publiczności rzucić, aby go czytała i z przyjemnością czytała. Tu bystry obserwator w swym żywiole. Nie wiedzieć co lepiej podpatruje i opisuje: czy dawniej kiedyś konie, osły i krowy, czy teraz Mojcherów, Młoszów i Pieczonków. Ta sama metoda, prawie te same frazesy. I słusznie! Kto z bydląt umiał arcymisternie robić ludzi, czy mu się dziwić, że z niemniejszem mistrzowstwem umie przetwarzać ludzi w gadające zwierzęta?

St. (Stanisław czy Stanisława?) Ariel (czy: Arielowa albo Arielówna) niedawno chyba wzięła do rąk powieściopisarski rylec [3]. Jeśli dawno, najmocniej przepraszam za tę historyczną niewiadomość; niech mię to wytłumaczy, że szanowny autor zupełnie pisze, jakby był początkujący. O ile się domyślamy, p. Ariel chciałby na wzór Bourgetowski wystudyować parę trochę lub bardzo zagadkowych męskich, a na pierwszym planie kobiecych charakterów; chciałby ich myśli i uczuć przędzę porozciągać przed oczami czytelników, niteczka za niteczką. Za trudne to może zadanie na pierwszą klasę, i stąd nie dziw, że

---

[1] „Pióro“. Przez A. Dygasińskiego. Warszawa. Nakład T. Paprockiego. 1897.

[2] „Dramaty Lubądzkie“. Powieść przez A. Dygasińskiego. Warszawa. Nakładem T. Paprockiego i Sp. 1897.

[3] „Ułudy“. Powieść współczesna. Przez St. Ariela. Warszawa. 1897

wszystkie te postacie i Ady i Felicyi i Julii i Heli i Kostuni i kilku tuzinów innych pań i panien, dość nienaturalne, a przedewszystkiem nudne. O czem nas mają wszystkie razem przekonać? Z tytułu i z ostatnich stronic sądząc, zdaje się, że o tem, że nie trzeba i nie wolno do zbytku igrać z pozorami; że wielu ludzi nie umie prawdy od ułudy rozróżnić i na oślep za niepochwytną ułudą pędzą. Święta prawda, ale czy nie można jej było wyrazić jaśniej i treściwiej?

„Nowele“ [1] p. Walewskiej nie należą do rzędu, które na dłuższe zachowanie w pamięci mogłyby rachować. Przed dwoma czy trzema dniami przeglądałem „Przyjaciółki“; wczoraj czy przedwczoraj zabierałem znajomość z „Spirytystką“ i „Pesymistką“, a dziś ze strachem przekonuję się, że rysy tych pań zupełnie z niepoczciwego mózgu uleciały. Więc cóż, czy znowu do książki się brać, kartkę za kartką przewracać? Tak nakazywałby obowiązek sumiennego sprawozdawcy. Ale czy warto na sumiennego sprawozdawcę pozować, wobec książki prawdopodobnie nie złej, nie brzydkiej, ale która nie większe po sobie zostawia wrażenie, jak te setki nie złych, nie brzydkich ludzkich twarzy, które na kolejowych dworcach w oko na chwilę wpadną i po wyobraźni bez śladu się prześlizgują? Czasu niema, czasu szkoda!...

Po „Fabioli“ kardynała Wisemana zaroiło się od powieści z czasów prześladowania chrześcijan; rzecz bardzo naturalna, że *Quo vadis* Sienkiewicza dodać również musiało bodźca jego rywalom i naśladowcom do spróbowania swych sił w podobnym kierunku. Niejeden z pewnością o tem marzył; p. Jeske-Choiński ze zwykłą swą śmiałością od razu w szranki stanął. „Ostatni Rzymianie“ [2] samym już tytułem dają wyobrażenie o założeniu autora, o głównej osnowie powieści. Rzym pogański podkopany przez chrześcijan, osaczony przez ścieśniające go coraz węższym pierścieniem barbarzyńskie narody, robi rozpaczliwe wysiłki, aby otrząsnąć się z wewnętrznych wrogów, zewnętrznym czoło stawić. Przedśmiertne to kurcze, do zwycięstwa nie doprowadzą, ale okażą, czy i jakie jeszcze rycerskie cnoty gnieżdżą się w piersiach potomków dawnych Rzymian. A obok tych Rzymian, usiłujących wspomnieniem dawnych tradycyj zapalić wystygłe serce i wzmocnić osłabłą dłoń; występują ludzie nowi, na pół barbarzyńscy, niewie

[1] „Podsłuchane“. Nowele przez Cecylię Walewską. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp. 1897.

[2] „Ostatni Rzymianie“. Powieść z czasów Teodozyusza Wielkiego. 2 tomy. Przez Teodora Jeske-Choińskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1797.

dzący jeszcze dobrze, jak w praktyce pogodzić naukę Chrystusową ze staremi przyzwyczajeniami i nieujarzmioną dostatecznie namiętnością. Każdy z tych różnych, walczących ze sobą prądów ma w powieści p. Choińskiego cały szereg przedstawicieli. Autorowi nikt nie może zarzutu zrobić, że namalowane przezeń postacie nie przedstawiają żadnej idei; raczej narażony jest na zarzut, że każda z tych postaci tak dokładnie jakąś jednę ideę wyobraża, jakby nie była żyjącym człowiekiem z krwi i kości, ale abstrakcyjną ideą, która na chwilę ubrała się w ludzkie ciało. Prawda, że zwłaszcza w tego rodzaju powieściach jak „Ostatni Rzymianie“ bardzo trudno tego zarzutu uniknąć; nie uniknęli go nieraz i najznakomitsi powieściopisarze.

Nie pisaliśmy zazwyczaj na tem miejscu o powieściach Sienkiewicza, uważając, że należy się im osobna, obszerniejsza i gruntowniejsza recenzya. Dla noweli „Na jasnym brzegu“ [1] można śmiało zrobić wyjątek. Gdyby nie kilka oryginalnych spostrzeżeń, kilka (nie wiele) błysków poetycznych, w których mistrz jakby mimowoli się zdradza, niktby nie odróżnił tej noweli od szarego tłumu tysiącznych jej koleżanek, mnożących się bez miłosierdzia jak muchy w lecie. Ani kosmopolityczna kokietka, pani Elsenowa, ani chowani na komiwojażerów, czy portyerów jej synowie, ani nieokrzesany Kresowicz, ani okrzesany Świrski, ani wreszcie ci różnorodni głupcy i naiwni, szukający zabawy na „jasnym brzegu“, nie raz już i nie przez jednego malowani i karykaturowani, niewarci pendzla takiego malarza. Prawda, że i najwięksi malarze lubią sobie czasem w przerwie między jedną a drugą pracą kilka kresek od niechcenia na papier rzucić; wiedzą za dobrze, że i do tych kresek będzie się publiczność zbiegać, będzie je podziwiać i odgadywać z mozołem wielką myśl w nich ukrytą.

Napisał p. Feldmann „kartki chorej miłości“ [2]; czemuż nie dodał że przez chorego spisane. Moglibyśmy wtedy odczuwać dla niego litość; dziś czujemy wyłącznie obrzydzenie, jakie odczuwać musimy dla każdego co lubuje się, czy w czynieniu, czy w opisywaniu sprzecznych z naturą występków. Może p. Feldman tłumaczy się przed sobą, jak tłumaczy swych bohaterów, że ta niezwyciężona „Ananke“ po błocie każe mu brodzić; oj! dałaby się ta „Ananke“ przezwyciężyć, gdyby tylko można było użyć na nią odpowiednich środków... Środki te byłyby nieszko-

[1] „Na jasnym brzegu“. Nowela. Przez H. Sienkiewicza. Warszawa. 1897.

[2] „Ananke“. Kartki chorej miłości. Kraków. Zwoliński i Sp. 1898.

dliwe, mniej więcej te same, tylko do odpowiedniej dozy podniesione, których rozumny ojciec używa na dzieci, siejące zgorszenie między towarzyszami. Czy p. Feldman założyćby się nie chciał i praktycznie się przekonać, że ta druga „ananke“ bardzo prędko zapędzić potrafi pierwszą w mysią dziurę? Wszak ciekaweby to było studyum, a bardzo pożyteczne!

Bardzo praktyczny tytuł: „Szesnaście obrazków“ [1]; od razu się wie, jakie nieprzyjacielskie siły i z jakim zapasem czasu i dobrej woli można przeciw nim wejść w szranki. Malarzem znany nam z dawniejszych czasów Ursyn; głównem tłem obrazków prowincyonalni aktorowie i różne ich, zwykle niewesołe przygody.

Więcej nic niema do powiedzenia o obrazkach szesnastu, to chyba, że nicby społeczeństwo na tem nie straciło, gdyby ich było np. tylko sześć, a i wtedy nie bardzo wieleby straciło, gdyby nie było ani jednego.

Co prawda, p. Ursyn pod tym ostatnim względem bynajmniej nie ma monopolu.

Ks. Jan Badeni.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Frau Sorge. Roman. *Hermann Sudermann.* 36 Auflage. Stuttgart. 1897.

W ostatnich czasach pisano wiele o Sudermannie, zwłaszcza o jego dramatycznych sztukach, w których talent autora rozwija się najpotężniej i najsilniej wstrząsa nerwami. Pisano też o jego powieściach, chwaląc w nich bardzo wiele, ale zarzucając ogólnie realizm, brutalne zniżanie siebie i czytelników do najprozaiczniejszej prozy życiowej. Skarżono się, iż umysł ordynarnieje w towarzystwie jego bohaterów, w dusznej, poziomej atmosferze, w której się czytającemu przychodzi z nimi obracać. Zarzuty te są nieraz słuszne — z pozoru. W odpowiedzi na nie mógłby Sudermann podać milcząco swoją *Frau Sorge*, ten klejnot, który w 36-em wydaniu znów tego roku ukazał się światu. Na stworzenie takiej książki potrzeba było więcej niż talentu, potrzeba duszy i serca, i to serca, które wiele kochać i wiele przeboleć musiało, zanim się nauczyło tak głęboko w serca bliźnich wnikać. Wprawdzie

[1] „Szesnaście obrazków“ przez Ursyna. Warszawa. Nakładem T. Paprockiego i Ski.

i tu nie sięgamy nad chmury; te 292 stron pisane są ziemskiemi, pospolitemi łzami. Tylko że w tych łzach niemasz ani kropli goryczy, ni pesymizmu względem życia, ni jadu względem ludzi, ni buntu przeciw wyrokom Opatrzności. Jest to dziś rzadka u pisarzy zaleta, tem u Sudermana tym razem cenniejsza, że czerpał nietylko z wyobraźni lub korzystał jak Macchiavel „z dwudziestoletniego doświadczenia, zdobytego kosztem drugich“, ale z własnych cierpień i wspomnień. Tak przynajmniej dozwala wnioskować piękna dedykacya wierszami, poświęcona jego rodzicom. *Frau Sorge* — troskę przedstawia im jako dawną znajomą, towarzyszkę nieodstępną ich życia, zapowiada jednak, że ją synowie czemprędzej z domu wypędzą... Zapewne 36 wydań powieści przyczyniło się do owego wygnania.

A teraz przejdźmy do powieści samej. Możnaby o niej powtórzyć:

> Ciche to dzieje, zwykłe i codzienne,
> Wieszczby je dumnie jednym wierszem zmierzył
> A jednak człowiek, co je cicho przeżył,
> Miał w duszy blaski żywe i promienne,
> Jakie tryskają z bohaterów czoła...

Bohater, Paweł Meyhöfer rodzi się w białym dworze na Helenenthal, parę dni przed licytacyą, która majątek rodzinny w obce przenosi ręce. Matka, piękna i słodka Frau Elsbeth płacze i drży nad kołyską; ojciec miota się, przeklinając złość ludzką, nieszczęśliwość losu i niewinnego niczemu nowego nabywcę. Czy istotnie złość ludzka pchnęła Meyhöfera w tę biedę? Z dalszego ciągu wolno nam powątpiewać. W bezsilnym gniewie mści się na samym sobie: z pozostałych po sprzedaży pieniędzy jedzie bez namysłu zakupić tuż pod Helenenthal nędzny folwarczek, kędyby go największy wróg nie osadził. U żony jego tymczasem zjawia się nowa właścicielka włości, Helena Douglas, przeprosza za mimowoli przez męża sprawione zmartwienie, anielską dobrocią i wdziękiem rozbraja niechęć płaczącej Elżbiety, ofiaruje się na matkę chrzestną nowonarodzonego i prosi nawzajem, aby pani Meyhöfer trzymała do chrztu jej własną, spodziewaną dziecinę. Cały ten ustęp jest po prostu śliczny. Ze zranionego serca Elżbiety wyrwany najboleśniejszy cierń — upokorzenie. Na nieszczęście zgryźliwość męża zrywa świeżo zawartą przyjaźń. Meyhöfer z żoną i dziećmi przenosi się na swoją wioskę. Dom zrujnowany, ponury, ogród zdziczały, gleba bagnista i jałowa, Frau Elsbeth patrzy z okien na dawny, biały dwór i płacze; mąż rzuca się bezradnie, brnie w długi i zaczyna pić. Gdy wpół przytomny powraca z miasteczka, dom cały i folwark zamienia

się w piekło, a choć po przespaniu rozczula się i przeprasza, nikt się z chwilowej pogody nie cieszy, gdyż wie, że poza nią nowa nadciąga burza. Żona wylękła zamęcza się pracą, do której nie nawykła w młodości. Niegdyś umysł jej miał pełne wdzięku poloty, dziś szara troska owładła go i przydeptała do ziemi; szczęściem nie przydeptała i serca.

W takiem otoczeniu moralnej i materyalnej biedy wyrasta mały Paweł, jedyna pociecha Elżbiety. Ma wprawdzie czworo dzieci prócz niego, ale starsi to tęgie i wesołe chłopaki, uczą się dzielnie w miejscowej szkole i równie dzielnie dokazują po polach; brak im czasu i zmysłu, aby jej boleść zrozumieć. Dwie córeczki, bliźniaczki, jeszcze w kołysce, uśmiechają się do życia rumianemi buziami. Paweł zaś ani się uśmiecha, ani dokazuje, on jeden wraz z matką zda się widzieć ponurą *Frau Sorge*, która go jak wierna niańka od kolebki nie opuściła na chwilę. Podczas gdy bracia przy grze lub nauce zawsze sobą zajęci, on instynktowo myśli tylko o drugich, pilnuje siostrzyczki, kieruje pierwsze jej kroki, gdzie może, wyręcza matkę. I jakoś nikogoto w domu nie dziwi, że ten cichy chłopczyna żadnej nigdy nie potrzebuje obsługi, braciom się zdaje, że mu czynią łaskę, gdy sobie przezeń usłużyć pozwolą. Co dziwniejsza jeszcze, jemu samemu toż samo się zdaje; zrazu marzy o chwili, gdzie będzie mógł braciom dorównać, ale wkrótce doszedł do przekonania, że nie dorówna im nigdy, że jest podrzędną istotą, której się nic nie należy od innych. W tem przeświadczeniu czerpie spokój i rodzaj wewnętrznego szczęścia, które zachowa przez życie. Wyzyskiwany przez braci, tyranizowany przez siostry, bity przez ojca, znosi wszystko w milczeniu, nie ze słabości, ale z przekonania, że tak być powinno. Dopiero, gdy zaczyna chodzić do szkoły i tu dwaj koledzy, bracia Erdmann poczynają z nim regularne prześladowanie, budzi się w nim chęć zemsty. Przez kilka dni wyostrza nożyk, aby się nim za pierwszy odebrany cios odpłacić; w danej chwili jednak nie uderza, a potem w dzień konfirmacyi, przejęty skruchą, przeprasza swych dręczycieli, którzy mu odpowiadają szyderstwem. Mogą szydzić do woli; Paweł zatopiony w modlitwie nie dostrzeże złej chęci; on w tej chwili czyni Bogu z siebie ofiarę, i nawet gdy w szarym posągu Maryi Magdaleny zda mu się widzieć uosobienie smutnej *Frau Sorge*, o której mu matka opowiadała legendę, poddaje się naprzód wszystkim jej ciosom, wszystkim jej ciężkim żądaniom.

Przytem Paweł ma i pociechy, ma parę osobistych pragnień. Przez lata całe widząc, jak matka wpatruje się zdala w biały dwór na Helenenthal, marzył o nim, jako o zamku zaklętym. Raz nawet

będąc bardzo małym, puścił się sam na wędrówkę, lecz po bohaterskich wysiłkach, skąpawszy siebie i nową sukienkę w mętnej wodzie przykopy, musiał ze wstydem powrócić. Wkrótce za to matka sama zabrała go do Helenenthal; szła z bijącem sercem, gdyż musiała pożyczyć pieniędzy: nad domem nowa wisiała licytacya, a mąż groził, że sobie życie odbierze. Nadzieja nie zawiodła jej, u Douglasów zastała otwarte serce i rękę, ale kto się zawiódł, to Paweł. Jego zamek zaklęty zeszedł do proporcyi ładnego wiejskiego dworu, a znany z opowiadań matki zegar słoneczny na południowej terasie okazał się być brzydką zardzewiałą blachą zamiast promiennej wieży, o jakiej główka jego roiła. „Był to pierwszy zawód w życiu Pawła". Mógł się jednak pocieszyć, zamiast wieży złocistej znalazł w Helenenthal śliczną, słodką dziewczynkę, ochrzczoną imieniem jego matki. Tegoż dnia również osiągnął drugiego celu swych życzeń: nauczył się gwizdać i odtąd w swej szarej pracowitej doli miał dwa punkta świetlane: przyjaźń z Elżbietką, którą od czasu do czasu choć z daleka spotykał, i moc wyrażania swych uczuć melodyą coraz to bogatszą w tony, pomimo iż nie posiadał żadnego instrumentu nad ten, jaki sam Stwórca w usta jego włożył.

Poza tem niemasz dla niego dzieciństwa, niemasz młodości. Czas płynie; bracia z łaski ciotki dostali się do szkół wyższych i wychodzą na ludzi, a tymczasem potrzebują pieniędzy. Paweł pozostał w domu, gdzie myśli za wszystkich i pracuje za wszystkich. Troska przetworzyła się dlań w poczucie obowiązku, opanowała całą jego istotę, tłumiąc w nim wszelkie samoistne porywy, każe mu żyć codziennie w nadludzkiem zaparciu się własnego ja, wyrzec się nauki, radości, spoczynku, a wreszcie wyrzec się sztuki, wyrzec miłości. A wyrzeczenie to tak jest zupełnem, że się spełnia niemal bezwiednie; wprawdzie biedak westchnie czasem, gdy mu się marzy, iż gdyby nie troski, mógłby zostać wielkim artystą, ale ani śmie przypuścić, że piękna dziedziczka z Helenenthal żywi dlań więcej niż przyjazne uczucia, nie zdaje sobie sprawy, ile ojciec tejże ceni go i szanuje. Jedną z podniosłych stron powieści Sudermanna jest uznanie, jakie od wyższych umysłów spotyka cichego pracownika, poniewieranego przez grubsze a niestety bliższe swe otoczenie. Czy w tem atoli Sudermanna nie można o złudzenie pomówić? Bywają cnoty zupełnie zapoznane przez ludzi, dla najlepszych bowiem kryteryum sądu jest powodzenie; lekarz np. wydaje się zbawcą, jeźli po śmiało zadanem, ryzykownem lekarstwie chory powraca do zdrowia. Może Bogu dziękować, gdyż nazwanoby go mordercą, gdyby

chory był zmarł po lekarstwie, w tychże samych zadanem warunkach. Toż samo dzieje się z sądem o wychowaniu dzieci, o sprawowaniu majątku... Wielkie szczęście, że Bóg nas będzie sądził, a nie my siebie nawzajem!

Droga do Helenenthal obecnie Pawłowi otwarta, gdyż ojciec potrzebuje pieniędzy a zwłaszcza firmy zamożnego sąsiada, aby założyć towarzystwo akcyjne w celu eksploatacyi wielkich pokładów torfu w posiadłościach jego zawartych. Douglas pieniądze daje przez wzgląd zawsze na panią Elżbietę, ale wpada w gniew dowiedziawszy się, ile stary Meyhöfer nadużywa jego nazwiska. Gdy zaś przychodzi czynić mu wyrzuty stary unosi się, odpowiada mu gradem obelg a w końcu wyszczuwa psem. Paweł rzuca się ale zapóźno; brytan już wbił pazury w szyję Douglasa, ten jednak olbrzymią obdarzony siłą odrywa go i na pół zduszonego ciska o ziemię. Następnie za pomocą zrozpaczonego Pawła obmywa z rany krew i odchodzi nie racząc nawet spojrzeć na napastnika. Gdy zniknął, Meyhöfer na nowo wybucha gniewem, tym razem przeciw fornalowi, który go nie dość prędko posłuchał, gdy mu nakazał puścić psa. Ale ten fornal, to niezwykły Niemiec, kolonista na staropruskiej ziemi; to Litwin ponury, zawzięty a cichy. Na widok podniesionej nań ręki pana, chwyta za topór, lecz zanim cios miał czas głowy ojca dosięgnąć, Paweł porywa go przemocą w objęcia i jak dziecko unosi do domu... Od tej chwili wzgardzony syn staje się panem w domu; ojciec doznawszy jego fizycznej siły, boi się go i słucha, tylko poza plecami Pawła śmie nań wygadywać, śmie kląć na zelżonego przez siebie Douglasa. Gdy odpędzony ze służby Litwin w kilka dni później podpala stodoły, Meyhöfer oskarża Douglasa przed sądem, iż to on nasłał złoczyńcę, i choć nikt mu nie wierzy, zachowuje w głębi serca zawiść. Szczęściem o zemstę obecnie mu trudno, bo wśród pożaru złamanie nogi przyprawiło go o kalectwo.

Nie on wszakże, ale Paweł ratował przy ogniu i wtedy, wśród zapału walki przez dwie godziny czuł się szczęśliwym i dumnym. Jest to w życiu jego promienne wspomnienie, które sobie wyrzuca jako grzech. Czyż jemu przystoi w myśli nawet się chełpić, gdy praca i troska wołają nań z każdego kąta? Troska niebawem się zwiększa, gdyż matka złamana trudem chyli się ku mogile. Wreszcie umiera, a Paweł, który przez kilka nocy czuwał przy jej wezgłowiu, sam czuwa teraz przy trupie i niema nawet czasu na żal, bo mu troska o pogrzeb zamąca głowę. Nie śmiał ojcu odmówić sutszego przyjęcia, zeszli się goście, zjechali bracia i bratowe w ozdobnej żałobie; on słu-

żył wszystkim, nawet kąta swego na noc ustąpił, uwił na trumnę wieniec z ulubionych matczynych kwiatów, lecz ani nie pomyślał o własnem ubraniu. Widząc go w zwykłym szaraczku, goście brali go za sługę, bracia zgromili poważnie. On nie czuł nic i nie wiedział o niczem; dopiero gdy po pogrzebie stanął u progu pustego domu, zachwiał się i padł zemdlony na ziemię. Biedny Paweł! Troska ciężyła nad nim coraz groźniej. Zostawał sam na straży ojca, dobytku i sióstr, a siostry zalotne i dzięki znużeniu matki zdziczałe. Niestety, brat nie był w możności ustrzedz ich wybujałej młodości. Wkrótce też prawda wyszła dlań na jaw przypadkiem; z dosłyszanej rozmowy, dowiedział się, że podczas gdy on pracował na ich chleb powszedni, te siostry, którym był ojcem i matką, śmiały się z jego „kazań“ i z tym śmiechem rzucały się w przepaść. Biedak słucha w rozpaczy, on sam jak anioł czysty, czuje się okrytym hańbą, mieni się winnym za wszystko; nie śmie nawet uklęknąć na matki mogile. Ale i tu na żal niema czasu; trzeba u sióstr rozbudzić sumienie, wzniecić serdeczny żal, trzeba je przed światem ratować. Idzie więc do braci Erdmannów żądać zadosyćuczynienia, wyprosić je, wybłagać — poświęca własną dumę i cześć i odchodzi zelżony, odpędzony „jak pies“... Wtedy po raz drugi w życiu całe piekło zemsty budzi się w jego sercu, przez dłuższy czas z rewolwerem w ręku czatuje na winowajców, aż raz w nocy chwyta ich na drodze wzdłuż lasu. Powracają z hulanki i obaj drzemią na saniach. W stanowczej chwili w duszy Pawła powstaje wahanie, lecz wstyd własnego tchórzostwa zwycięża. Wstrzymuje gwałtownie konia, staje przed zbudzonymi nagle przeciwnikami w wyzywającej postawie i groźbą śmierci wymusza żądane przyrzeczenie: junacy, którzy wzgardzili nim, gdy w imię obowiązku przemawiał, teraz pod lufą pistoletu poddają się i korzą. „Złą drogę obrałem w życiu, mówi sobie Paweł gdy odjechali, ot, był najlepszy sposób przemawiania do ludzi!“

I znów w życiu Pawła zachodzi zmiana. Siostry wychodzą za mąż a brat podwaja pracy, aby poniewolnym szwagrom obiecany posag wypłacić. I niebo błogosławi jego trudom; wkrótce posagi już wypłacone, dobytek szybko wzrasta a wraz z dobytkiem rośnie i ludzki szacunek. Paweł jednak spocząć nie może a raczej już teraz nie umie, bo od dzieciństwa troską pędzony, oduczył się życia używać. Uznanie ludzkie przychodzi dlań za późno, oduczył się nawet cieszyć słońcem i pieśnią. Jego flet, jedyny dar Elżbiety Douglas, zdruzgotało koło od lokomobili, serce jego zmiażdżyła ciężka maszyna życia, wycisnęła zeń wszelką miłość, przynajmniej tak mu się zdaje. Toż samo zdaje

się i Elżbiecie Douglas. Ją również mimo urody i mienia szara troska owładła. Podczas gdy Paweł zamęczał się pracą za wszystkich swoich, ona strawiła najpiękniejsze lata młodości czuwając nad chorą matką, samotna w cierpieniu, gdyż ojca złudzenia rozwiać nie chciała. Przytem odmawiała jednego konkurenta po drugim, czekała na Pawła. Po śmierci matki czekała jeszcze, ale na próżno, aż wreszcie jakoby znużona przyjęła rękę kuzyna, chłopca o gładkiej twarzy i pustej głowie, bogatego w fantazyę, dowcipy i długi. Na wieść o zaręczynach, Paweł uśmiechnął się smutno, jakoby nad grobem dawno już zmarłej osoby.

Ojciec jego tymczasem odzyskiwał z wolna swobodę ruchów i mógł już dobrze chodzić o lasce; w głowie za to mąciło się coraz bardziej. Chęć pomszczenia się na Douglasach zamieniła się w manię. W ósmą rocznicę pożaru zauważono w nim niezwykłe podniecenie: to się odgrażał, to zdał na coś cieszyć, zapowiadał, że chce w samą godzinę pożaru uczcić rocznicę. W istocie, gdy się wszyscy pokładli, Paweł usłyszał, że się ojciec cichaczem wykradł z mieszkania; po chwili poszedł go szukać aż na dziedziniec folwarczny, ale nie znalazł i dopiero za pomocą wiernego psa odkrył, że stary skierował się ku Helenenthal: rozrzucone w kącie pudełka od zapałek i nawpół wypróżnione naczynie z naftą, wskazywały w jakim celu tam poszedł. Biednemu Pawłowi zamąciło się w głowie; nieszczęście zdało się nieuniknionem. Drżący na całem ciele wdrapał się na wierzch stogu i patrzał w czarną noc, czy gdzie już płomień nie błyska. Nie — wszędzie było ciemno, ale godzina, o której przed ośmiu laty wybuchła pożoga, zbliżała się szybko. Na pogoń było za późno; należało znaleść inny, szybszy sposób, aby powstrzymać rękę szaleńca. Paweł wspominał matkę, począł się modlić i nagle błysnęła mu myśl: zanim wejdzie w podwórze Helenenthalu, ojciec odwrócić się musi; trzeba aby w tej chwili obaczył coś, co umysł jego oderwie od przedsięwzięcia... I zanim myśli dokończył Paweł wylał resztę nafty na stóg i podpalił. Płomień wybuchnął nagle, w mgnieniu oka ogarnął stóg, za stogiem stodoły i dwór. Paweł nie ratował tym razem; wszedłszy w gąszcze ogrodu, czekał na wpół przytomny, aż ryk bydła zawartego w oborze zbudził go z odrętwienia. Skoczył w płonący budynek i jął uwalniać biedne zwierzęta, nie bacząc na spadające dokoła belki. Zemdlonego i okrytego ranami wyciągano właśnie z pod zgliszczy, gdy powóz z Helenenthal zajeżdżał; w powozie siedział Douglas a przy nim Elżbieta, zbiegła od gości święcących wigilię jej ślubu Wzięli nieprzytomnego Pawła i powieźli do białego dworu. Tu w bramie folwarcznego dzie-

dzińca ujrzeli postać ludzką leżącą na ziemi, był to trup Meyhöfera, a wkoło kałuża nafty: wstrząśnienie na widok płonącej własnej posiadłości poraziło go było jak grom. Później też starsi synowie wyrzucali Pawłowi, iż zabił ojca.

Reszty powieści łatwo domyśleć się można. Paweł wyleczony z ran u Douglasów, musi iść pod sąd za podpalenie; mówi wszakże całą prawdę i choć nań spada wyrok dwuletniego więzienia, sesya sądowa staje się dla niego tryumfem. O związku Elżbiety z wesołym kuzynem już niema mowy. Paweł wychodząc z więzienia zastaje rozwarte objęcia przyszłego teścia i narzeczonej, która mu przyrzeka strzedz go tak pilnie, że go już i Frau Sorge dosięgnąć nie zdoła. Scena końcowa stanowczo za długa, przeplatana kilkakrotnie wierszami ze znalezionego przez Elżbietę w zgliszczach *Stammbuchu* matki Pawła, zda się przyczepioną zupełnie niepotrzebnie. Powieść bowiem mogła się zakończyć w bramie więzienia. Jest to widać nałogowy błąd nowych autorów niemieckich, takiż sam bowiem Hauptmann w swym „Zatopionym dzwonie“ popełnił.

Staraliśmy się podać choć szkielet romansu. Co w nim jednak jest śliczności w szczegółach i w delikatnych odcieniach; tego właśnie sprawozdanie oddać nie zdoła. Trzeba to samemu przeczytać. Są oczywiście prócz końcowego błędu i inne punkta wadliwe, niektóre fakta nieprawdopodobne, inne znów mniej rażące, o ile wiemy, w obyczajach Niemców, ale dla nas dziwne i niesmaczne. Tych jednak jest mało, a za to całość ma dziwny czar — gdy się raz zacznie, niepodobna oderwać się od książki. Czy urok ten polega na niezwykłej szlachetności głównych charakterów jak Paweł, jego matka i rodzina Douglasów? Czy też może na naszem własnem wrażeniu, żeśmy niejedno z tego co tu opisane sami przeżyli, że szara troska, Frau Sorge, jest dla wielu z nas aż nazbyt dobrą znajomą? Jeżeli tak, toć bierzmy też z książki naukę, że najlepszem lekarstwem w cierpieniu jest najzupełniejsze poddanie, że w zaparciu siebie samego dla drugich, nie z miłości już lecz z obowiązku, człowiek znajduje i moc do pracy i podniesienia woli do bohaterskich czynów. Znajduje też dar czerpania z własnego bólu pociechy dla bliźnich: „Czemu oni wszyscy do mnie ze swemi biedami przychodzą, dziwi się Paweł, czy może dla tego, żem najnieszczęśliwszy?... Nawet do niepokoju i trwogi trzeba się przyzwyczaić“. *Auch an die Angst darf man sich gewöhnen* — mówi gdzieindziej.

T. W.

Jammerbilder österreichischer Schulzustände. I. u. II. Bändchen. Von *Franz Stauracz*. Wien 1897. Debit für den Buchhandel: Mayer & Comp.

Usilne polecenie tych broszurek w 10 nrze *Correspondenzblatt* przez znawcę austryackich stosunków, znanego posła ks. d-ra Scheichera, zwróciło i naszą uwagę na nie. W pierwszym tomiku autor przedstawia stanowisko nauczycieli ludowych do darwinizmu, w drugim ich usposobienie względem duchowieństwa. Broszurki te są mozajką złożoną z autentycznych faktów i cytatów, z przemówień i z gazet nauczycielskich, a obraz stosunków, które tworzą, autor słusznie nazywa opłakanym, *ein Jammerbild*. Znajdujemy w nich zbyt niestety namacalne dowody na to, że wielka część niemieckich nauczycieli ludowych hołduje jeszcze najgrubszemu materyalizmowi. Filozoficzne poglądy „niemieckiego Darwina" Haeckla, które przecież tylu uczonych odrzuciło, są dla nich niezbitymi dogmatami. Jeszcze w r. 1893 nauczyciel szkoły normalnej w Wiedniu w *Österr. Schulzeitung* pisał: „Już nie uchodzi uważać działalność duszy jako coś odrębnego od ciała" (tom I., str. 28). Bóg, wolność woli, moralność chrześcijańska, należą według tych panów do mitologii. Biedna młodzież, co ma nauczycieli stojących na tak nizkim poziomie naukowym i moralnym! Można sobie wyobrazić, jakie stanowisko ludzie takich przekonań zajmują wobec kleru katolickiego i całej przez nich znienawidzonej *Pfaffen-Partei*. Wobec tego, że partya katolicka dąży ze wszystkich sił do podniesienia religijnego wychowania młodzieży, a zewsząd słychać skargi i utyskiwania na brak wyrobionych przekonań religijnych u samych nauczycieli, za mało jest u nas starania, by nagromadzić i podać do publicznej wiadomości fakta, któreby w jasnem świetle wystawiały krzyczącą potrzebę szkoły wyznaniowej, gdy przeciwnie prasa antykatolicka wszelkiemi drogami, wszystko zbiera, co choćby cień jakiś rzucało na katolików i duchowieństwo. Dlatego sądzimy, że autor tych broszurek swą pracą niemało się przysłużył sprawie katolickiej. Może i u nas podobne praceby się przydały.

Ks. Wł. Ledóchowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

RUDINI I KATOLICY WŁOSCY. Niedawno temu słyszeliśmy jeszcze z Montecitorio zapewnienia umiarkowanej taktyki, z którą królewski rząd chce się obchodzić ze zwyciężonym swym nieprzyjacielem, a tu nagle, jak piorun z pogodnego nieba, zjawiły się w ubiegłym miesiącu rozporządzenia głównego kierownika rządu, zwrócone wprost przeciwko wielkiej katolickiej akcyi, która całe Włochy ogarnia. Rudini oświadczył w swoich odezwach, że rząd mimo swej wielkiej tolerancyi, uważa „nowo objawiającą się tendencyę ruchu klerykalnego za wrogą państwu i niebezpieczną“ i dlatego upomniał władze, by nad tym ruchem czuwały i przeciwko zebraniom klerykalnym tak samo postępowały jak przeciwko zebraniom socyalistów; w ostatniem nawet rozporządzeniu, jak *Politik* podaje, wprost oświadczył, że „partya klerykalna dąży do zagłady państwa włoskiego“. Na prawdę trudno uwierzyć, że ten sam markiz Rudini, co za czasów Crispiego i aż do ostatniej chwili był tak energicznym orędownikiem pokoju religijnego, mógł podpisać podobne odezwy. Nie od rzeczy będzie przypomnieć stanowisko chłodne, prawie niechętne, które Rudini zajmował, kiedy dwa lata temu obchodzono w Rzymie 25-letnią rocznicę zajęcia Rzymu; przecież to była rocznica oj-

czyzny uwolnionej z jarzma papiestwa! ale Rudini patrzał niechętnie na szumne demonstracye z obawy, by one nie zakłóciły spokoju religijnego. Cóż spowodowało ministra do takiej zmiany zapatrywań? Mimowoli przychodzą nam na myśl uchwały ostatnich kongresów masońskich na włoskiej i francuskiej ziemi, które bez ogródki i natarczywie domagają się energicznej akcyi przeciw rosnącej z dnia na dzień potędze katolicyzmu i papiestwa. Niektóre oświadczenia ministra również na to wskazują, że minister nietyle zdanie swe zmienił, jak raczej ustąpił presyi zewnętrznej, masońskiej. Wiadomo, że masoni w żadnym kraju nie są tak silni, jak we Włoszech. Miasto, które Chrystus przeznaczył na siedzibę swego Namiestnika na ziemi, oni też wybrali za swą stolicę. Na rozmaitych uroczystościach występują w Rzymie publicznie z oznakami swej sekty i chorągwiami, których liczba zbliża się czasem do setki. Jeżeli masoni potężni i karni postanowili rozpocząć już nietylko skrycie ale i na otwartym polu walkę z tak zwaną reakcyą klerykalną, to niema co taić przed sobą, iż walka może być ciężką.

Bywają ludzie, którzy w każdej nieudanej sprawie wietrzą złowrogi wpływ żydowski, a wszystko, co się złego na świecie dzieje, Żydom przypisują; drudzy chorują na manię wietrzenia wszędzie intryg masońskich. Może nam ktoś zarzuci, że my do tych ostatnich należymy, widząc w rozporządzeniach Rudiniego straszydło masoneryi. *Polit. Corresp.* zapewnia, że Rudini wcale o tem nie myślał, by rozpocząć walkę przeciwko katolicyzmowi. Nie można nawet przypuszczać — powiada *Pol. Corr.* — że mąż stanu tak umiarkowany, tak żądny pokoju jak Rudini, mógł się porwać na wojnę przeciw religii. Prezydentowi włoskiego rządu chodziło tylko o poskromienie radykalnej frakcyi katolików, tak zwanych „nieprzejednanych klerykałów“. Partya ta w ostatnim czasie coraz śmielej zaczęła agitować i buntować przeciwko rządowi, nawet kościoły znieważała swojemi politycznemi zgromadzeniami. Poważni katolicy tak samo jak minister Rudini niechętnem okiem patrzyli na ruch tych niespokojnych żywiołów. Biskup z Kremony wprost zakazał wszelkich zebrań w kościołach. — A więc rozporządzeń ministeryalnych nie można uwa-

żać za akcyę antykatolicką; minister został zawsze wierny swym zasadom, nie myśli o rozpoczęciu *Kulturkampfu.* — Te i podobne tłumaczenia postępowania Rudiniego są na pozór bardzo łudzące, ale z prawdą zgodne nie są. Nie wchodzę w to, czy zwyczaj we Włoszech od wieków powszechnie przyjęty, by w kościele odbywały się wiece, posiedzenia, popisy, jest chwalebny czy nie, to kwestya zupełnie poboczna. Pomijam również i to, że gazety wszystkich odcieni, oprócz rządowych, widziały w rozporządzeniach p. Rudiniego coś zupełnie nie zgadzającego się z jego dotychczasowem postępowaniem a tłumaczyły je jako ustępstwa konieczne, by pozyskać radykalnego Zanardellego. Pytam się tylko, czy prawda, iż we Włoszech jest klika klerykałów nieprzejednanych, których zaczepiać można nie zaczepiając katolicyzmu, z którymi poważni katolicy się nie solidaryzują? We Włoszech tak samo jak w innych krajach są zapewne katolicy skrajnych zapatrywań, których ogół katolicki nie podziela. Lecz klerykali, przeciwko którym wymierzone są ciosy Rudiniego, to są dobrzy katolicy całych Włoch. *Civiltà cattolica,* która podobno zna stosunki włoskie i wie jak się w Watykanie na nie zapatrują, z okazyi urzędowego tłumaczenia w *Opinione,* że listy okólne zwracają się tylko przeciw klerykałom — powiada — że nie zna różnicy między klerykałami i katolikami, „dla nas te dwa słowa są synonimami, jak to już tyle razy udowodniliśmy“ [1]. Zebrania i stowarzyszenia napiętnowane przez ministra są stowarzyszeniami poleconemi przez ostatni wiec katolicki, na którym cały episkopat włoski był licznie przedstawiony, który wszystkie swe czynności poddawał sądowi papieża a nawzajem od papieża usłyszał słowa zachęty i uznania. Na czele tego ruchu stoją najwybitniejsi książęta Kościoła. Świątobliwością swą i roztropnością w Europie znany arcybiskup z Florencyi ś. p. kard. S. Felice, arcybiskup Ferrari z Medyolanu, patryarcha wenecki, *Osservatore Romano, Unità cattolica, Osservatore di Milano,* wszystkie gazety katolickie potępiają Rudiniego. Więc „nieprzejednani“, to nie frakcya jakaś katolicka, ale to papież i wszyscy, co przy

[1] 16 oktobre, p. 236.

nim stoją. Wiemy, że i między katolikami dobrymi była liczba ludzi marzących o pojednaniu z teraźniejszym rządem włoskim ale coraz wyraźniejsze uwydatnienie się masońskiego ducha we włoskim rządzie rozwiało ich nadzieje. Partya zaś, która uważa *Italie* za swój organ, która pozuje na katolicką, o papieżu z uszanowaniem największem mówi — ale przy sposobności Chrystusa na jednej linii stawia z Mahometem — o takiej partyi katolickiej szkoda słów. Jeżeli gdzie, to w teraźniejszych Włoszech niema różnicy między klerykałami i katolikami, gdyż akcya katolicka jest w rękach prawie wyłącznie świeckich, ale świeckich, którzy czerpią swe natchnienie z zachęt i wskazówek wielkiego papieża i oddanego mu duchowieństwa.

Rozporządzenia wydały już owoce: władze zakazały kilku wieców w Toskańskiem i Weneckiem, równocześnie prawie rozwiązano stowarzyszenia socyalistyczne w Rzymie. Katolicy energicznie protestują, oświadczają, że się walki nie boją; dzięki swej energicznej działalności, którą w ostatnich latach rozwinęli, spokojnie patrzeć mogą w przyszłość. Sam rząd wystawił im teraz najwspanialsze świadectwo, bo każdy łatwo zrozumie, że rząd nie byłby się chwycił tak ostatecznych środków, gdyby się nie bał na seryo działalności katolickiej. A z drugiej strony jeżeli rząd się nie cofnie i przyjdzie rzeczywiście do otwartej walki, na szalę zwycięstwa katolików zaważy niezawodnie ogólne niezadowolenie panujące we Włoszech ze stosunków stworzonych przez rząd od r. 1870. Czytaliśmy przed miesiącem z prawdziwem zdziwieniem wywnętrzenia się prasy włoskiej w dzień 20 września. Jest to jednogłośny wyraz głębokiego niezadowolenia. Czuć, że to nie są frazesy banalne, natchnione ogólnym duchem krytyki naszych czasów. Te skargi z serca pochodzą a serce włoskie gorące, kiedy w sercu zaczyna kipieć, to już niedaleko do czynu. „Wszystkie nadzieje powzięte w r. 1870 zgasły“ — pisze *Italie* — „śmiertelne zniechęcenie“ cięży nad ludem — pisze *Pacse* neapolitańskie. — „Wszystkie gałęzie administracyi bez wyjątku są w rękach władzy, bez kontroli, bez organizacyi; sprawiedliwość jest bezwstydnie sprzedajną; publiczne wychowanie w opłakanym stanie cofania się; armia... do gruntu

zdemoralizowana; handel i przemysł w ostatniej agonii; nędza wszędzie między ludem rośnie... I jako logiczna reakcya, klerykalni tryumfują a ich gazety intonują hymn zwycięstwa... Oto warunki, oto nadzieje, wśród których obchodzimy 27-mą rocznicę oswobodzenia Rzymu". I radykalna *Capitale* rzymska zarzuca rządowi zasadniczy jego błąd, iż sądził, że sprawa rzymska przez wyłom w Porta Pia i prawo gwarancyi już na zawsze skończona a wobec rosnącej siły klerykalizmu, widzi jako jedyne wyjście energiczne pozbycie się papieża i kardynałów. Zresztą — powiada — nietrudno wytłumaczyć, skąd papież i jezuityzm doszły we Włoszech do takiej potęgi. „Stało się to dlatego, że lud włoski spostrzega się, że po 27 latach żadnych innych owoców nie zebrał z ogromnych ofiar za niepodległość i wielkość ojczyzny jak zawody, gorzkie cierpienia i nędzę. Bardziej umiarkowana *Gazzetta di Torino* zaznacza, że niebezpieczeństwo potęgi papieskiego stronnictwa nietylko aktualne, ale grożące, że nowoczesne Włochy, jeżeli nie nastąpi jakaś katastrofa, mogą wnet znaleść się w położeniu, gdzie będzie tylko wybór między zgubą albo ustępstwem. Ekonomiczne położenie Włoch, ogólne oburzenie całego kraju od Sycylii do Alp skutkiem najnowszych ustaw podatkowych nie przyczynią się do wzmocnienia pozycyi rządowej, ale za to coraz więcej ludzi do obozu katolickiego przyprowadzą. Teraz dopiero pokazuje się cała mądrość hasła, które Watykan wydał katolikom jako normę w ich życiu państwowem: „ani wybrani, ani wyborcy" *(ne eletti, ne elettori)*. Przez 27 lat swych rządów, wszystkie partye na Montecitorio zarobiły sobie na niechęć i niedowierzanie ludu. Tylko partya katolicka jest czysta; w nieszczęśliwych, nieraz i brudnych, sprawach rządów włoskich nie miała udziału, za to zwróciła swą uwagę na kwestye socyalne a na tem polu dużo już dla dobra ludu zrobiła cichą pracą i poświęceniem.

A królewska rodzina, korona, jakie w tych ciężkich dla Włoch czasach zajmuje stanowisko, czy choć widzi grożące niebezpieczeństwo, w którem może ostatnia dla niej wybije godzina? Z prawdziwym żalem przychodzi nam o niej mówić. Wszak to rodzina świętych, niemająca równej sobie między pa-

nującymi rodzinami. Zdaje się, że dobry duch opiekuńczy wielkich katolików rodziny Sabaudzkiej i nad żyjącymi członkami czuwa, choć sami się stali ślepem narzędziem bezbożności masońskiej, maską dla ich przewrotności. Wiktor Emanuel, jak prasa włoska się wyraziła, aż do ostatniej chwili życia miewał skrupuły religijne tj. wierzył i dlatego też umarł pogodzony z Kościołem. I rodzina Humberta, jak ktoś dobrze się wyraził, skrupulatnie, o ile okoliczności na to pozwalają, wszystko robi, by pokazać, że jest katolicką. Wymownie o tem znowu świadczą ostatnie wota powieszone w kaplicy SS. Syndonis w Turynie, za ocalenie króla od zamachu 22 kwietnia b. r. Partya masońska królowi to poczytuje za grzech, że jest szczęśliwy, kiedy może „dać Watykanowi znak królewskiej uprzejmości i synowskiej czci". Katolicy się cieszą z tych objawów wiary ale tem się zadowolnić nie mogą. A na Kwirynale widzą i czują ciężkość swego położenia, ale nie widzą drogi wyjścia i z pewnem zwątpieniem czekają, co dzień jutrzejszy przyniesie.

ZJEDNOCZENIE „BRACI MNIEJSZYCH".

Dzień 5 października b. r. pamiętnym będzie w historyi zakonu „Braci Mniejszych", którzy według orzeczenia Stolicy św., pierwsze miejsce zajmują między zakonami Franciszkańskimi. W obecności prawie 200 synów św. Franciszka, zebranych z wszystkich narodowości, kard. Vanutelli ogłosił bulę papieską *Felicitate quadam*, o całkowitem zlaniu się 4 gałęzi „Braci Mniejszych": Obserwantów (Bernardynów), Reformatów, Alkantarzystów i Rekolektów. Cztery te gałęzie miały wprawdzie aż dotąd wspólnego przełożonego *(minister generalis)* ale każda z nich miała różne przywileje i zwyczaje, które utrudniały jednolite rządy tak wielkiego zakonu. Papież widząc, że „duch i charakter ludowy górę bierze w naszym wieku", postanowił utrwalić i wzmocnić, w pracy na zewnątrz zakon, który „pochodzeniem swem, sposobem życia, i instytutem jest ludowy". W 10 punktach papież zebrał wszystko, co się tyczy nowej zjednoczonej organizacyi Braci Mniejszych: Zniesiona jest różnica habitów i nazw, zniesione wszystkie przywileje i prawa poszczególne (z wyjątkiem tych, co się tyczą 3-ej osoby). Wszyscy rzą-

dzić się mają najnowszemi, wspólnemi dla wszystkich konstytucyami. W każdej prowincyi może być jeden albo dwa domy dla tych, którzy pragną oddać się życiu kontemplacyjnemu; i one jednak podlegać będą tym samym ogólnym konstytucyom. Minister generalny może zmieniać i zmniejszać liczbę prowincyj po porozumieniu się z definitorami. — Rządy zjednoczonego zakonu Ojciec św. włożył w ręce O. Alojzego Lauera. Bula niniejsza nic nowego nie postanawia co do 2 innych zakonów Franciszkańskich: Kapucynów i Konwentualnych (Franciszkanów), które i nadal zachowują odrębne swe nazwy i konstytucye.

KONGRES TERCYARZY WE FRANCYI.

Tercyarze św. Franciszka we Francyi zebrali się tego roku — a to już od r. 1896 po raz czwarty — na osobnym kongresie w Nimes. Może dziwnem się wydaje, że i Tercyarze, synowie ubogiego prostaczka z Assyżu, zwołują kongresy. Tercyarze, według myśli niejednego katolika, powinni żyć w duchu swojej reguły uczciwie i skromnie, uczęszczać kilka razy na rok na nabożeństwa brackie, kazać się pochować w habicie zakonnym — i na tem koniec. Inną, zdaje się, była myśl Boża, kiedy natchnął św. Franciszka do założenia Trzeciego Zakonu i Leona XIII., kiedy osobną encykliką *Auspicato* w r. 1882 polecił całemu duchowieństwu rozszerzanie Trzeciego Zakonu, jako lekarstwo na choroby naszego wieku. Zadanie Trzeciego Zakonu jest zadaniem społecznem. Oto przedewszystkiem chodziło św. Patryarsze, aby przez ten zakon ożywiać wszystkich ludzi bez różnicy stanów duchem braterstwa i wolności ewangelicznej; do tego i w naszych czasach, w których „wynoszą imię braterstwa ale słowami więcej niż czynami“, zakon przyczynić się powinien. Kongres Tercyarzy w Nimes był świadomy wielkiego zadania świeckiego zakonu św. Franciszka. Pod przewodnictwem, dawnego przyjaciela kard. Manninga, W. O. Davida, konsultora św. Officyum w Rzymie, przy współudziale wielu wybitnych francuskich socyologów, wiec się zajmował wszystkiemi piekącemi kwestyami społecznemi. Prawda, miłość i wolność były hasłem wiecu; w tych trzech słowach Tercyarze streścili cały swój program. Radzili nad tem, jakby Bracia dopomagać mogli

do zwycięstwa prawdy w ekonomii, zwalczając fałszywe pojęcia własności u bogatych i ubogich, powołując do życia nowe korporacye, zabezpieczając robotników od wyzysku, wołającego o pomstę do nieba; wskazano drogi wzajemnego porozumienia się między Tercyarzami na podstawie prawdziwego braterstwa; potępiono w imię wolności indywidualizm, liberalizm ekonomiczny, kapitalizm, te zepsute owoce doktryn bez Boga i religii. Sprawozdawca tego wiecu w *L'Association catholique*[1], podnosi, że rozprawy i narady były owiane tym duchem prawdziwej wolności, który cechował życie św. Franciszka i jego mnichów w tak wysokim stopniu, że w naszych czasach chciano przedstawić jego działalność, jako reakcyę przeciw rosnącej władzy hierarchicznej Kościoła. Nie było też tam mów świetnych i błyszczących, ani hucznych oklasków. Zebranym, należącym do jednej wielkiej rodziny chodziło tylko o to, by między sobą się naradzić, jakby najskuteczniej można wprowadzić w życie i powszechne uszanowanie prawa i nauki Ewangelii. Łatwo się domyśleć, że wiec Tercyarzy zajmujących się najwyższemi sprawami społecznemi, nie wszystkim się spodobał. Czy słusznie? Leon XIII. w wspomnianym liście okólnym wyraża nadzieję, że Tercyarstwo będzie skuteczną bronią przeciw socyalizmowi i dopomoże do rozwiązania zawiłych kwestyj ekonomicznych; tak wysokiego celu dopiąćby Tercyarze nie mogli, gdyby się nie starali poznać dokładnie, w czem społeczeństwo się oddaliło od prawideł ewangelicznych i jaką drogą najskuteczniej dopomódz można do zwycięstwa prawdy i miłości chrześcijańskiej nad fałszem i egoizmem.

BEZBOŻNOŚĆ SOCYALISTY.

Jak *Univers* doniósł, burmistrz z Montataire w departamencie Oise, na podstawie uchwały socyalistycznej rady gminnej, w sam dzień uroczystości Wywyższenia Krzyża św. kazał zrzucić krzyż, który stał na środku cmentarza. Oburzająca ta bezbożność jest nowym dowodem nienawiści, którą socyaliści pałają przeciw religii, a mianowicie przeciw wierze

[1] 15 octobre, str. 333.

katolickiej. Przezorni i roztropni, nie uczyniliby oni coś podobnego w naszym kraju, gdzie wiara jeszcze głęboko tkwi w sercu ludu; u nas zadawalniają się tem, że księży na każdym kroku szkalują i z błotem mieszają, o samej religii wolą raczej milczeć, a do ściany przyparci mówią, że „religia to sprawa prywatna". We Francyi niestety w wielu okolicach wiara przedewszystkiem między ludem prawie zupełnie zgasła a stąd rady miejskie ze socyalistów złożone się mnożą. Smutny ten objaw, przeciw któremu zresztą nowy ruch katolicko-socyalny już skuteczną walkę podjął, jest dla nas pouczającym; mogą socyaliści jeszcze u nas obłudnie swą bezbożność ukrywać, ale my im udowadnić możemy tę obłudę własnem ich postępowaniem w krajach, gdzie partya sądzi, że już wszelką maskę zrzucić może.

P. S. W ostatnich dniach października doszła nas wiadomość, tycząca się sprawy omawianej w pierwszym ustępie, że papież na najbliższym Konsystorzu ogłosi protest przeciw rozporządzeniom Rudiniego i wezwie katolików do dalszego prowadzenia agitacyi.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Telegrafy bez drutów. — Fluoroskopy. — Wpływ promieni X na organizm. — Ionizacya pod wpływem promieni X.

W ostatnich czasach zwracają powszechną uwagę próby robione z t. zw. telegrafem bez drutów, tj. próby przesyłania znaków na odległość za pomocą fal elektro-magnetycznych.

Już od dawna — dzięki doświadczeniom Hertza — wiadomo, że wyładowania elektryczne powodują powstawanie w przestrzeni fal, biegnących z niesłychaną szybkością i zdolnych wywoływać prądy indukcyjne w przewodnikach umieszczonych na znacznej odległości. Jeżeli naprzykład elektrody aparatu indukcyjnego *R* (soczewki Ruhmkorff'a) połączyć z dwoma długimi drutami *a* i *b*, zakończonymi mosiężnemi kulami, i jeżeli w pewnej odległości ustawić równolegle do drutów *a b*

inny drut, którego oba końce są połączone ze zwyczajnymi przewodnikami, zakończonymi również mosiężnemi kulami *c* i *d*, zbliżonemi tak do siebie, że rozdziela je mała przestrzeń, przez którą w danym razie może przeskoczyć iskra elektryczna, to w chwili otwarcia prądu w aparacie indukcyjnym *R* i przeskoczenia iskry elektrycznej pomiędzy kulami *a* i *b*, zjawia się równocześnie iskra pomiędzy kulami *c* i *d*. Wielkość iskry pomiędzy *c* i *d* zależy od siły prądu w aparacie indukcyjnym, od odległości pomiędzy obu przyrządami i od budowy drutów *ab* i *cd*; druty te powinny posiadać określoną długość i być zbudowane z jednakowego materyału. Ma tu miejsce zjawisko podobne do współdźwięczenia *(resonance)*: tak jak tylko taki resonotor jest w stanie współdźwięczeć, który posiada pewną określoną budowę, dzięki której może drgać w razie zjawienia się fali tylko o pewnej szybkości, tak samo może powstać w danym drucie tylko wtedy prąd, jeżeli budowa jego pozwala mu odczuć falę elektro-magnetyczną danej szybkości, która zależy od budowy drutów łączących obie elektrody soczewki Ruhmkorff'a.

Opisane doświadczenie przyczyniło się głównie do poparcia hipotezy Maxwell'a, tłumaczącej zjawiska elektro-magnetyczne za pomocą drgań eteru, tak jak hipoteza Huyghens'a i Young'a wyjaśniająca zjawiska świetlne.

Doświadczenie to stało się również podstawą obecnie wykonywanych prób z telegrafem bez drutów. Nawet natychmiast po odkryciu tych fal elektro magnetycznych i poznaniu ich analogii ze zjawiskami świetlnemi, zaczęto robić próby przesyłania znaków za ich pośrednictwem na odległość, co musiało się samo nasunąć na myśl wobec tego, że — jak wiadomo — najdawniejszy sposób przesyłania znaków na odległość, polegał na użyciu fal świetlanych. Początkowe próby były tylko na małą skalę, laboratoryjne; w miarę lepszego poznawania własności fal elektro-magnetycznych i wskutek pomyślnych wyników otrzymanych przy próbnych doświadczeniach, zaczęto robić próby na większą skalę: i tak wykonano np. już w r. 1892 próbę przesyłania znaków telegraficznych poprzez część zatoki brystolskiej; w r. 1895 zużytkowano ten nowy sposób telegrafowania pomiędzy Oban i wyspą Mull, zastępując telegraf zwyczajny, którego podwodna lina zerwała się.

Od czasu wykonywania tych prób postąpiono znacznie naprzód; najlepszym obecnie przyrządem, za pomocą którego otrzymano w ostatnich czasach bardzo dodatnie wyniki, jest aparat Marconi'ego. Aparat ten składa się z dwóch części: przyrządu wysyłającego i przyrządu

otrzymującego depesze. Przyrząd wysyłający depesze składa się z dwóch kul mosiężnych o średnicy 4 cali. Obie te kule są do połowy zanurzone w oliwie wypełniającej zizolowaną skrzynkę; oliwa ma na celu nadawanie falom elektro-magnetycznym, wytworzonym przez kule, stałej formy i zmniejszenie ich długości. Na wprost każdej z tych kul jest umieszczona mała kulka mosiężna osadzona na przewodniku łączącym ją z soczewką Ruhmkorff'a. W chwili zjawienia się prądu, przerywanego komutatorem Mors'a, w soczewce przebiegają pomiędzy małemi i dużemi kulami iskry elektryczne i wytwarzają w przestrzeni oscylacye elektro-magnetyczne, biegnące we wszystkich kierunkach. Aparat przyjmujący depesze składa się ze szklanej rurki długości 4 cm., wypompowanej z powietrza do ciśnienia $^1/_2$ milimetra. W końcowych ścianach tej rurki są wtopione dwa srebrne druty, których końce we wnątrz rurki są od siebie oddalone na $^1/_2$ milimetra; w małej tej przerwie znajduje się cokolwiek opiłków srebra i niklu i ślad rtęci, która to mieszanina stanowi izolator. Zewnętrzne końce srebrnych drutów są połączone z przewodnikami elektrycznymi, które są w jednem miejscu połączone z nadzwyczaj czułym aparatem telegraficznym. Dopóki niema żadnych fal elektro-magnetycznych, względnie jeżeli istniejące w przestrzeni fale elektro-magnetyczne nie odpowiadają danemu aparatowi, dopóty prąd wytworzony przez baterye nie przebiega ani przez przewodniki, a zatem i przyrząd telegraficzny, ani przez srebrne druty, gdyż pomiędzy tymi istnieje w rurce wspomniana mała przerwa. Jak tylko jednak zjawi się w przestrzeni odpowiednia fala elektro-magnetyczna, ulegają opiłki w rurce polaryzacyi, stają się przewodnikiem elektrycznym, i prąd elektryczny przebiega przez cały aparat, a więc i aparat telegraficzny, robiąc na odwijającym się papierze odpowiedni znak. Jak tylko prąd zjawi się, zostaje pociągnięty równocześnie trzonek małego młoteczka, umieszczonego przy samej szklanej rurce; główka młoteczka uderza wtedy w ściankę rurki i powoduje wskutek tego bezładne rozsypanie się w niej opiłków, nie ulegających już wpływowi znikłej fali elektro-magnetycznej, a zatem nie spolaryzowanych i nie będących już przewodnikiem: prąd zostaje przerwany. Następna fala elektro-magnetyczna, wysłana w następnej chwili przez aparat wysyłający, wywołuje znów opisane zjawiska, i aparat telegraficzny wyciska na papierze nowy znak.

W jednym kierunku można za pomocą takich przyrządów wysyłać równocześnie kilka depesz, niezbędnym jest tylko do tego, aby

każdy aparat wysyłający i przyjmujący depesze, wysyłał, względnie był wrażliwy na fale tej samej szybkości.

Odległość, z jakiej można za pomocą tych przyrządów telegrafować, jest zależna od wielkości iskier wytworzonych przez soczewkę Ruhmkorff'a. Iskry długości 6 cali wytwarzają fale elektro-magnetyczne w promieniu 3—4 mil; większe iskry wytwarzają jeszcze rozleglejsze fale.

Z pomocą takich przyrządów można było doskonale przesyłać znaki na odległość 9 mil, naprzykład przy telegrafowaniu poprzez część zatoki brystolskiej. Małe wzgórza nie zatrzymują fal elektro-magnetycznych, tak, że można przesyłać depesze pomiędzy dwoma punktami przedzielonymi wzgórzami.

Przyrządy te wymagają jeszcze niektórych ulepszeń, nie ulega jednak wątpliwości, że już obecnie mogą one oddawać znaczne usługi, szczególnie pomiędzy miejscami, których nie można z sobą połączyć za pomocą drutów telegraficznych, np. pomiędzy lądem i okrętami znajdującymi się na morzu.

Zupełnie odmiennego rodzaju odkrycia, podstawą których jest jednak również elektryczność, zrobiono w ostatnich czasach za pomocą promieni X, odkrytych przez Röntgen'a. Od chwili odkrycia tych promieni, każdy dzień przynosi nowe zdobycze, każda chwila zapoznaje nas z nowemi ich własnościami. Do najważniejszych tych odkryć należy zaliczyć możność bezpośredniego widzenia przedmiotów pokrytych powłokami nieprzeźroczystemi, np. szkieletu i rozmaitych ciał obcych w organizmie, pokrytych mięśniami, przedmiotów zamkniętych w pudełkach, kufrach i t. d., ich własności lecznicze i powodowanie dysocyacyi rozmaitych związków chemicznych.

Odkrycie promieni X — jak prawie wszystkie ważne odkrycia — nastąpiło w sposób wypadkowy. Röntgen zajęty w ciemnym pokoju badaniem promieni katodalnych, umieścił rurkę Crookes'a w futerale papierowym, tak że światło zjawiające się w rurce podczas przepuszczania przez nią prądu było zupełnie niewidoczne, i w pokoju panowała zupełna ciemność; w chwili przepuszczenia prądu przez rurkę spostrzegł Röntgen, że w pobliżu rurki leżący karton posypany wolframianem wapniowym zaczął fluoryzować (świecić). Bliższe badanie okazało, że fluoryzowanie to nastąpowało podczas każdego przepuszczenia elektrycznego prądu, że więc rurka Crookes'a wysyła promienie niewidoczne dla oka, które przenikają tekturę nieprzepuszczającą promieni świetlnych

i które powodują fluorescencyę wolframianu wapniowego. Dalsze badania wykazały — jak powszechnie wiadomo — że promienie te, nazwane przez Röntgen'a promieniami X, przenikają rozmaite ciała nieprzepuszczające promieni świetlnych, jak np. drzewo, mięśnie, rozmaite metale, że naruszają one wrażliwą na światło płytę fotograficzną, tak że można było otrzymywać fotografie rozmaitych przedmiotów zamkniętych w powłokach nieprzepuszczających promieni świetlnych.

Następne badania wykazały, że i zjawiska fluorescencyi spowodowane promieniami X, są dość ogólne, że istnieje mianowicie znaczna ilość rozmaitych ciał wysyłających pod ich wpływem światło fluorescyjne. Ze wszystkich tych ciał świeci jednak najsilniej, światłem zielonkawem, wolframian wapniowy, który spowodował właśnie odkrycie tych promieni, i który następnie znalazł zastosowanie przy budowie tak zwanych fluoroskopów, tj. przyrządów pozwalających widzieć bezpośrednio przedmioty zakryte powłokami nieprzepuszczającemi promieni świetlnych, a więc nieprzeźroczystemi. Jeżeli bowiem pomiędzy źródłem promieni X i płytką pokrytą substancyą fluoryzującą umieścić przedmiot nieprzeźroczysty dla promieni świetlnych, ale przeźroczysty dla promieni X, zawierający wewnątrz jakiś inny przedmiot nieprzepuszczający również i promieni X, to cała płytka zaczyna fluoryzować z wyjątkiem miejsc, które odpowiadają przedmiotowi nieprzepuszczającym tych ostatnich. Jeżeli np. pomiędzy rurką Crookes'a i płytką fluoryzującą umieścić rękę, to na świetlnym tle płytki otrzyma się słaby cień całej ręki (mięśnie przepuszczają promienie X, ale osłabiają je, wskutek czego powstanie na płytce słabsza fluorescencya), a w miejscach odpowiadających szkieletowi ręki zupełny — cień (kości nie przepuszczają prawie wcale promieni rentgenowskich).

Fluoroskopem może być zwyczajna deszczułka drewniana lub tekturowa (drzewo i tektura przepuszczają łatwo promienie X), pokryta warstwą sproszkowanego wolframianu wapniowego przymocowanego gumą arabską. Stronę deszczułki nie pokrytą wolframianem zwraca się w stronę badanego przedmiotu, poza którym jest umieszczona rurka Crookes'a, a patrzy się na stronę pokrytą wolframianem. Promienie X przechodzą przez przedmiot badany i deszczułkę i wywołują fluorescencyę warstwy wolframianu, pozostawiając tylko cień w miejscach odpowiadających tym częściom badanego przedmiotu, które są dla nich nieprzeźroczyste. Płytka taka może być jednak użyta tylko w miejscach zupełnie ciemnych, gdyż w razie nawet bardzo słabego światła nie dostrzega się żadnej fluorescencyi. Bardziej udoskonalony

fluoroskop, który może być użyty również przy świetle, składa się z rurki posiadającej na jednym końcu dno drewniane lub tekturowe, pokryte wewnątrz warstwą wolframianu wapniowego; w otworze rurki umieszcza się oko i patrzy na fluoryzujące dno, na którem zjawia się cień przedmiotu, umieszczonego pomiędzy niem i rurką wysyłającą promienie X. Większe fluoroskopy mają kształt ciemni fotograficznej; jedno ich dno jest ciągłe i posiada wewnątrz warstwę fluoryzującą, a drugie posiada dwa otwory, w których umieszcza się oczy.

Użycie fluoroskopów szczególnie przy badaniach chirurgicznych, np. przy badaniu zmian patologicznych w układzie kostnym (zwichnięć, złamań, nowotworów kostnych), poszukiwaniu w organizmie rozmaitych ciał obcych (kul, przedmiotów połkniętych lub wpadłych do przewodów oddechowych) oddało już wielokrotnie bardzo cenne usługi, i nie można wątpić, że z czasem staną się fluoroskopy jednym z niezbędnych środków pomocniczych w stawianiu dyagnoz, szczególnie w cierpieniach chirurgicznych. We Francyi wykonano w ostatnich czasach z fluoroskopem próby na komorach celnych przy rewizyi bagaży; wyniki nie są tu zbyt pomyślne, nie spostrzega się bowiem samych przedmiotów, a tylko ich cienie, i to tylko przedmiotów nieprzeźroczystych dla promieni X, z których nie zawsze można z całą stanowczością odgadnąć naturę samego przedmiotu, — i odwrotnie: wiele przedmiotów, czy to podlegających ocleniu, czy też zupełnie wzbronionych, nie dostrzega się wcale dla tej prostej przyczyny, że są dla promieni X doskonale przeźroczyste.

Przy zastosowaniu promieni X w celu odnalezienia ciał obcych w organizmie lub badaniu kości, zauważono wielokrotnie wpływ tychże na sam organizm: Część skóry wystawiona na działanie tych promieni ulegała szczególnym zmianom, przypominającym oparzenia słoneczne, lecz o wiele silniejszym; często następował nadzwyczaj ostry stan zapalny, umiejscowiony, połączony niekiedy z wypadaniem włosów, utratą paznogci, powstawaniem głębokich ognisk ropnych, a nawet umiejscowionym zapaleniem okostnej. Te przykre następstwa, które spowodowałyby zaprzestanie zastosowania promieni X w celu badania wewnętrznych części organizmu, gdyby nie udało się znacznie skrócić czasu ekspozycyi przy otrzymywaniu fotografii [1] i zastosowaniu fluoroskopu,

[1] Początkowo w celu otrzymania fotografii części szkieletu eksponowano po 2—3 godzin.

zwróciły na siebie uwagę lekarzy, z których kilku wpadło na myśl zbadać wpływ tych promieni na rozmaite ogniska chorobliwe organizmu. Dotychczas wykonane próby nie pozwalają jeszcze stawiać żadnych twierdzeń, są one zbyt nieliczne i odosobnione; w każdym jednak razie są one dostatecznie charakterystyczne i znaczenie ich w przyszłości może się stać — co daj Boże — tak ważne, że nie można ich pominąć milczeniem. Istnieje w literaturze medycznej kilkanaście opisów ognisk gruźliczych, rozmaitych nowotworów, np. raków żołądka, języka i t. d. ankilozy mięśniowej i innych, które uległy znacznym zmianom na lepsze po stosunkowo krótkiem, kilkakrotnem działaniu promieni X. Tak np. opisują Rendu i du Castel (*Soc. med.* 15, I. 97) wyniki otrzymane przy zastosowaniu promieni X w wypadku z całą stanowczością stwierdzonych ognisk gruźliczych w płucach szesnastoletniego chłopca: po kilkakrotnem zastosowaniu tej metody leczenia nastąpiło podobno zdumiewające polepszenie, tak że chory został uznany za znajdującego się na najlepszej drodze do wyleczenia. Despeignes z Lyonu opisuje znów raka w żołądku, Voigt z Hamburga raka języka u starca przeszło 80-letniego, które pod działaniem promieni rentgenowskich ulegały widocznemu gojeniu się i polepszeniu (starzec chory na raka języka umarł przed ukończeniem kuracyi na zupełnie inną chorobę). Poprzestaniemy na tych kilku przykładach, które jednak — zdaje się — wskazują, że wpływ tych nowoodkrytych promieni nie jest bez wpływu na patologicznie zmieniony organizm, czy te zmiany są spowodowane przez bakterye (gruźlica), czy też przez chorobliwą czynność samych tkanek (rak), za czem zresztą przemawia znany od początku, już wspomniany, ich wpływ na skórę. Jeżeli przyszłość potwierdzi ten tyle obiecujący wpływ promieni X, to odkrycie ich przez Röntgena będzie słusznie należało do największych kończącego się stulecia.

Przejdziemy obecnie jeszcze do innego rodzaju zjawisk wywoływanych promieniami X, mianowicie do rozpadania się pod ich wpływem drobin rozmaitych związków chemicznych czyli do tak zwanej dysocyacyi chemicznej.

Według teoryj panujących obecnie w chemii, wszystkie ciała składają się z drobin czyli molekuł, tj. najmniejszych cząstek, na które możnaby każde ciało podzielić, gdybyśmy naturalnie posiadali dostatecznie doskonałe przyrządy do dzielenia i dostatecznie doskonałe zmysły. Drobiny nie są jednak utworami jednolitymi, nie są one jednostkami, a przeciwnie są one złożone z jeszcze mniejszych cząstek materyi:

z atomów. Pierwiastki czyli ciała proste, tj. takie, które za pomocą żadnych środków nie dadzą się rozłożyć na dwa lub kilka ciał prostszych, np. złoto, żelazo, wodór, tlen, węgiel i t. d. posiadają drobiny złożone z jednakowych atomów, przeciwnie ciała złożone, tj. dające się rozłożyć na dwa lub kilka ciał, np. cukier, który można złożony z węgla, tlenu i wodoru, lub woda, będącą połączeniem tlenu i wodoru, zawierają drobiny, składające się z rozmaitych atomów: drobiny cukru składają się z atomów węgla, wodoru i tlenu, a drobiny wody z atomów wodoru i tlenu. Ilość atomów w drobinach jednej i tej samej substancyi nie jest zawsze stała, a przeciwnie zmienia się bardzo często; drobiny wielu ciał rozpadają się pod wpływem rozmaitych czynników na drobiny o mniejszej ilości atomów, a czasami nawet na same atomy. To zjawisko rozpadania się drobin, zwane dysocyacyą, następuje pod wpływem wysokich temperatur, prądu elektrycznego, promieni ultrafioletowych, a także — jak w ostatnich czasach się przekonano — pod wpływem promieni X. Drobiny siarki naprzykład, składające się przy 500^0 z 6 atomów, rozpadają się w miarę podnoszenia temperatury na coraz mniejsze, tak że przy 1000^0 posiada siarka drobiny składające się już tylko z 2 atomów; para wodna, zawierająca drobiny, złożone z dwóch atomów wodoru i 1 atomu tlenu, rozpada się w miarę podwyższania temperatury na pojedyncze atomy, tak że przy 2.500^0 już tylko połowa jej drobin istnieje jeszcze, a reszta jest zdysocyowana na atomy wodoru i tlenu.

Jednem z najważniejszych zjawisk dysocyacyi jest rozpadanie się drobin pod wpływem prądu elektrycznego. Wiadomo, że czysta woda i inne ciecze wcale nie przewodzą elektryczności; jeżeli w nich jednak rozpuścić pewne substancye, np. sól kuchenną, kwas siarkowy i wiele innych, to stają się one elektrolitami (przewodnikami elektryczności), przy czem jednak rozpuszczone w nich substancye rozpadają się na mniejsze grupy atomów, nieistniejące wcale w stanie wolnym, lub — na atomy. Powstałe grupy atomów i atomy odznaczają się szczególnemi własnościami; są one naładowane swobodną elektrycznością, która powoduje poruszanie się ich, dopóki nie napotkają innego atomu lub grupy atomów, naładowanych przeciwną elektrycznością, wskutek czego obie elektryczności zobojętnią się, lub też dopóki nie dobiegną do elektrodów i nie zobojętnią w niej odpowiednią ilość elektryczności przeciwnej; właściwie one są tu przenosicielami elektryczności w cieczach i one powodują ten pozorny prąd przebiegający w cieczy. Te produkty rozkładu, atomy lub grupy atomów, nieistniejące w stanie wolnym i na-

ładowane swobodną elektrycznością, zostały nazwane ionami, a ten rodzaj dysocyacyi — ionizacyą.

Analogicznej dysocyacyi na iony ulegają również gazy pod wpływem rozmaitych sił. Gazy — w zwyczajnych warunkach nieprzewodzące elektryczności — stają się przeciwnie po nastąpionej dysocyacyi doskonałymi przewodnikami; i tu bowiem rozpadają się drobiny na iony, które przenoszą elektryczność z jednej elektrody na drugą. Ionizacya gazów pod wpływem promieni ultrafioletowych jest znaną już od dawna; w ostatnich czasach wykazały liczne próby, że promienie rentgenowskie wywołują w nich rówież ionizacyę i że zamieniają je na elektrolity.

Być bardzo może, że wszystkie wogóle zjawiska wywoływane przez promienie X: wpływ ich na płyty fotograficzne, fluorescencya, a nawet i zjawiska fizyologiczne, polegają właśnie na ionizacyi, jakiej pod ich wpływem ulegają drobiny rozmaitych związków chemicznych.

Tłumaczenie wpływu promieni rentgenowskich na płyty fotograficzne za pomocą dysocyacyi soli srebrowych nie potrzebuje żadnego udowodniania, gdyż wiadomo, że fotografia polega wogóle na takiej dysocyacyi powodowanej nawet działaniem promieni świetlnych.

Fluorescencya rozmaitych ciał pod wpływem promieni X, jako skutek ionizacyi, może być również łatwo zrozumiałe. Już dawno przypuszczali Lecoq de Boisbaudran, Becquerel, Wiedemann i inni, że każda fluoryzująca substancya jest jakiemś chemicznem połączeniem zanieczyszczonem bardzo małemi ilościami innej substancyi, znajdującej się w stanie nadzwyczajnego rozdrobnienia (chemicznie czyste substancye rzeczywiście nigdy nie fluoryzują). W substancyach takich następuje pod wpływem rozmaitych czynników: ogrzania, insolacyi i t. d, podwójna chemiczna wymiana, a następnie powrót do poprzedniego stanu, odwrotna podwójna wymiana, wywołująca świecenie, tj. fluorescencyę: tu byłaby ta podwójna wymiana wywoływana przez dysocyacyjny wpływ promieni X.

Wpływ fizyologiczny promieni rentgenowskich na organizm możnaby według Guillaume'a objaśnić jako skutek ionizacyi w następujący sposób: iony powstające przy dysocyacyi rozmaitych soli, zawartych w sokach organizmu, pod wpływem promieni X działają na tkanki drażniąco, zupełnie w ten sam sposób jak rozmaite środki lecznicze zastrzykiwane pod skórę; działanie to musi być jednak o wiele energiczniejsze, gdyż iony istnieją w tkankach w stanie bez porównania większego rozdrobnienia, niż jakikolwiek środek leczniczy. Działanie promieni rentgenowskich na organizm nie byłoby zatem bezpośredniem

a tylko pośredniem: działającym czynnikiem nie byłyby tu bowiem same promienie, a tylko iony powstałe pod ich wpływem.

Według Guillaume'a podlegają również i bakterye nie bezpośredniemu działaniu promieni X, a tylko działaniu ionów, które jest dwojakiego rodzaju: mechaniczne i elektryczne. Najmniejsze znane bakterye posiadają od 0.1 — 0.2 μ (μ = mikron = 0.001 milimetra), drobiny zaś posiadają — według rozmaitych obliczeń — od 0.0001 — 0.003 μ; wielkość zatem ionów jest mniej więcej w tym samym stosunku do wielkości bakteryj, co np. wielkość drobnego śrótu do wielkości małego ptaka. Ponieważ iony — jak wyżej wspomniano — są obdarzone nadzwyczaj szybkim ruchem, przeto już samo uderzenie ionu w bakteryę może ją zniszczyć; iony posiadają jednak również pewien ładunek swobodnej elektryczności, która przy spotkaniu się ionu z bakteryą wyładowuje się i sprawia na bakteryę wpływ, podobny do uderzenia piorunu np. w człowieka.

F. E. Polzeniusz.

Rozwój i prace Salezyanów.

Dziwne to dzieło ci Salezyanie! I w swem powstaniu, i w swym rozroście nosi ich Zgromadzenie tę cechę charakterystyczną, jaka w historyi znamionowała zawsze instytucye, powołane do życia nie ludzką rachubą i przemysłem, ale wyższem działaniem Opatrzności. Kiedy Dom Bosko z 40 centami w kasie rozpoczynał w Turynie budowę wspaniałego kościoła Wspomożenia Wiernych, uważano go za człowieka o zwichniętych władzach umysłowych; dziś potężnie rozwijająca się jego rodzina duchowna i doniosłe jej dzieła budzą podziw i szczery zachwyt.

Od stycznia b. r. wychodzi w Turynie pod redakcyą członków Zgromadzenia i w jego własnej drukarni miesięcznik polski p. t. *Wiadomości Salezyańskie* [1], przeznaczony w pierwszym rzędzie dla t. zw. „pomocników salezyańskich“ narodowości polskiej, którym się go wysyła bezpłatnie. Miesięczniki tego rodzaju wychodziły już dawniej w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim i niemieckim. Niektóre artykuły, obchodzące w równym stopniu wszystkich pomocników salezyańskich bez względu na ich narodowość, umieszczane są we

[1] Adres redakcyi: Turyn, via Cottolengo 32.

wszystkich wydawnictwach, inne, bardziej specyalne pisze się dla każdej narodowości z osobna. Polski miesięcznik redagowany jest z wielką szczerością i ciepłem; odsłania on niejeden rys interesujący z życia i prac Zgromadzenia, a nadto zawiera parę wiadomości szczególnie miłych dla polskiego czytelnika.

Zgromadzenie liczy dziś blizko 2.000 członków, posiada około 400 różnorodnych zakładów i wychowuje do 300.000 młodzieży! Dom Bosco za życia swego dostarczył Kościołowi przeszło 6.000 kapłanów, wykształcił setki tysięcy młodzieży, założył w Europie i Ameryce około 250 zakładów i stacyj misyjnych, zyskał dla swych dzieł blizko 100.000 pomocników czyli zelatorów, wybudował wiele kościołów i kaplic, a przez swych misyonarzy w Patagonii i Ziemi Ognistej ochrzcił do 20.000 pogan!

Ostatnim nowicyuszem, którego Dom Bosco oblókł w duchowną sukienkę, był Polak, jakoby opatrznościową wskazówką licznego udziału naszej narodowości w rozwoju dzieł salezyańskich. Bardzo ciekawe są dzieje żywiołu polskiego w łonie Zgromadzenia. Zrazu wstępuje doń kilkudziesięciu Polaków, tak mało odpowiadających zadaniu i powołaniu, że wnet znikają oni z szeregów salezyańskich, a przełożeni, w mniemaniu, że to materyał kruchy, nieradzi są nowym z Polski przybyszom. Ofiara życia ks Augusta Czartoryskiego zmienia postać rzeczy, okupuje wiele, uzyskuje więcej. Ze śmiercią szlachetnego młodzieńca z krwi książęcej zaczyna się okres nowy dla polskiej narodowości w salezyańskiej drużynie. Mnożą się powołania, nastaje przypływ tak liczny z przeróżnych dzielnic kraju naszego, iż w sprawozdaniu za r. 1896 ks. Michała Rua, następcy ks. Bosko, znajdujemy osobne wezwanie do składek i jałmużn, osobne ubolewanie nad brakiem środków, nie dozwalającym uwzględniać wszystkich próśb nadsyłanych o przyjęcie mianowicie z Polski.

Uwzględniając ów przypływ nieustający polskich kandydatów, Salezyanie otworzyli w Lombriasco pod Turynem osobne kolegium dla młodzieży narodowości polskiej. Kolegium to przybrało nazwę św. Joachima na cześć papieża, nieszczędzącego mu błogosławieństw i zachęty. Powstało ono pod dwustronnym naciskiem, raz rosnących zastępów, przybywających z Polski, powtóre skutkiem dochodzących wciąż z różnych stron Ameryki próśb bardzo usilnych o przysłanie kapłanów Polaków dla duchownej posługi wśród biedy polskiej przerzuconej za morza. Ogólna potrzeba misyonarzy dla krajów pogańskich niemało się też przyczyniła do chętnego przyjmowania coraz liczniejszych polskich

nowicyuszów. Tym sposobem wyrównany może zostanie pewien historyczny niedostatek, który zaciężył nad naszą przeszłością. Brak polskich apostołów już nas obecnie zasmucać nie powinien: pogrobowy to kwiat wiary i miłości, wyrosły na mogile ojczystej, aby zasługą i ofiarą dopraszać się zmartwychwstania. Raz po raz wypływają polscy wysłańcy ewangeliczni na obce wybrzeża. Gdy przed laty kilkunastu zabiegli do cieśniny Magelańskiej polscy podróżnicy, zdumieli się słysząc, iż tam polski Reformat, Ojciec Matulski, pracuje w winnicy Pańskiej. Dziś osada Salezyańska rozszerza zagony oświaty chrześcijańskiej; w Punta Arenas śliczny buduje się kościół, a dwie stacye misyjne założone po obu stronach cieśniny Magelańskiej, tak w Patagonii jak w Ziemi Ognistej, obsługiwane są przeważnie przez Polaków ze Ślązka czy Królestwa pochodzących. Wszystkie bowiem trzy zabory, dostarczają dziś pracowników Salezyańskim dziełom, choć Ślązk i tu przoduje dziwną obfitością powołań.

Między artykułami *Wiadomości* spotykamy dwie rzeczy znane już skądinąd, tj. referaty z ostatniego galicyjskiego wiecu katolickiego: ks. Br. Markiewicza o Salezyanach, i ks. M. Czermińskiego T. J. o duchownych potrzebach polskich wychodźców. Nie wspominalibyśmy o tem, gdyby nie ciekawy i rzewny przypisek, który maluje nam wielkie wrażenie, jakie ostatni z tych referatów wspólnie odczytywanych w jeden z zimowych wieczorów 1894 r. wywarł na grono młodych polskich Salezyanów, liczące wówczas w kolegium Valsalice 150 członków. Zastanawiali się nieraz ci młodzi ludzie, równie jak i ich przełożeni, skąd i poco w ostatnich czasach do tak niebywałych rozmiarów wzrosła w ich zgromadzeniu liczba polskich powołań. Otóż po odczytaniu wspomnianego referatu z pamiątkowej księgi wiecowej pod wpływem jednej myśli spojrzeli ci młodzi po sobie, a któryś z nich zawołał z uniesieniem: „P. Bóg powołał nas na to, byśmy się zajęli braćmi naszymi na obczyźnie!“ Słowa te stały się odtąd ich hasłem i gwiazdą przewodnią w ich pracach. Od owego „pamiętnego roku“ kolegium Valsalice wydało już 3 kapłanów, 100 kleryków i 20 koadjutorów.

Hasło powyższe piękne jest, podniosłe i bardzo aktualne. Mamy jednak nadzieję, że nie jest ono w łonie Zgromadzenia pojmowane zbyt wyłącznie i jednostronnie. Nietylko dla Polaków na obczyźnie potrzebną jest praca Zgromadzenia; doniosłe pożytki może ona przynieść i w kraju. Przewodnią myślą ks. Bosko było przygarnięcie opuszczonych dzieci ludu, ażeby jednych wyuczywszy rzemiosła, drugim udzieliwszy odpowiedniego wykształcenia, wszystkich wychować na prawych

chrześcijan i na pożytecznych obywateli kraju. Powstały tedy szkółki, warsztaty, zakłady żeńskie i męskie, nareszcie seminarya mające na celu dostarczanie apostołów misyom zagranicznym, pracowników opuszczonym cząstkom winnicy Pańskiej. Wszystkie te zamiary i dzieła pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, obecne zaś ich grawitowanie ku Polsce, za pomocą przyrostu polskiego żywiołu, jest niezawodnie opatrznościowem zrządzeniem, sposobiącem tamy ochronne przeciw zalewowi złego, które wiecznie próbuje nasamprzód młode zagarnąć i zatruć pokolenia. *Wiadomości Salezyańskie* utorują drogę Salezyańskiej wśród nas działalności, wskażą nam, iż niedość zakładać schroniska dla opuszczonej dziatwy, niedość je oddawać w ręce najzacniejszych i najczynniejszych jednostek, lecz utwierdzać je trzeba na granicie stowarzyszeń i reguły zakonnej, odpowiadającej wszystkim potrzebom chwili doskonałem uharmonizowaniem podwójnego przykazania: modlitwy i pracy, wiary i czynu, dźwigania serc w górę i zaprawiania rąk do szlachetnych znojów.

*M****

Druk ukończono 30 października 1897 r.

GŁOSY O POLSCE W BELETRYSTYCE RUMUŃSKIEJ.

Opinie i sądy narodu jednego o drugim narodzie przejawiają się przedewszystkiem w dziełach beletrystycznych. Zastęp beletrystów jest zazwyczaj wszędzie obfity, rekrutuje się z rozmaitych klas i warstw społeczeństwa, dlatego możemy ich opinię przyjąć za opinię narodu — ich sądy będą rzeczywiście wypływać z sądów i przekonań ogólnych.

Jest to rzeczą bardzo interesującą wiedzieć, co o jednym narodzie pisze drugi, jak się nań zapatruje, jakie są jego uczucia i sympatye, a to tem bardziej, im ściślejsze były stosunki, w jakich takie kraje z sobą przez długie lata żyły.

Przedstawić zapatrywania beletrystyki rumuńskiej na Polaków, przypatrzyć się, co i jak o nas piszą — oto zadanie niniejszej pracy.

Rozmaici na rozmaite działy klasyfikują beletrystykę. Nie wchodząc w ocenę tych różnych systemów, przyjmujemy najprostszy w sobie, a najwygodniejszy dla wątku naszego opowiadania podział na powieść i poezyę.

I.

Ile zajmuje miejsca Polska w powieści rumuńskiej i jak w niej wygląda? Na pierwsze pytanie odpowiedź nie będzie długą; można na palcach wyliczyć te powieści czy powiastki, w których Polacy występują jako osoby działające, lub których treść wzięta jest z historyi polskiej. Kilka powieści Negruzzi'ego,

jedna powieść Vlăhuță i jedna Gane'go, to wszystko, cośmy po długiem szukaniu wynaleść mogli.

Jakżeż teraz w tych powieściach wyglądamy, czy naszkicowane są trafnie rysy naszego charakteru, czy potrafią Rumuni w naszej duszy czytać? Odpowiedź nie będzie wprost odmowną, ale też i niezupełnie zadawalniającą.

Łatwo zrozumieć, że szowinizm panujący w Rumunii nie pozwala być autorowi rumuńskiemu w tym względzie bezstronnym, a nieznajomość naszych stosunków, naszego kraju i naszej historyi, prowadzi go dość często na bezdroża. Z drugiej jednak strony, jeżeli Rumun przedstawia chętnie Żyda, Greka lub nawet Niemca nietylko ze strony śmiesznej, ale i wstrętnej, to dla Polaka ma trochę więcej uszanowania i stawia go nawet czasem, jak to robi np. profesor Urechiă, jako wzór miłości i poświęcenia, od którego trzeba się uczyć, jak na ołtarzu ojczyzny złożyć wszystko, choćby „ostatnią koszulę".

Przechodząc do szczegółów, musimy się z niektóremi powieściami krótko uporać. I tak o jednej powiastce Negruzzi'ego p. t.: „Wyścigi konne" i o powieści Vlăhuță p. t.: „Dan", niema nawet potrzeby bliżej wspominać. W jednej z nich występuje na scenę jakaś Olga, a w drugiej Miba, (!) które dlatego tylko są Polkami, że autorom podobało się ich do tej narodowości zaliczyć. Tem samem prawem jak Polsce, mogliby zrobić z nich prezent Turcyi, Anglii lub jakiejkolwiek innej narodowości świata.

Nie na dłuższą wzmiankę zasługuje nowela Gane'go: „Księżniczka Ruksandra", opisująca epizod z życia Ruksandry, córki księcia Mołdawii, Bazylego Lupula, o której rękę stara się znakomity magnat polski, Korybut. Szczęście jednak Polakowi, wzywającemu ku pomocy na każdym kroku „cienie przodków", nie służy; ginie on w walce z rywalem swoim, Tymoszkiem, synem Chmielnickiego. Nowela sama byłaby w sobie dość udatną, gdyby nie psuły harmonii karykaturalne charaktery niektórych występujących postaci. Korybut zwłaszcza przedstawia się bardzo ujemnie, jako dumny, zarozumiały, mściwy awanturnik. Sama krytyka rumuńska tej wadliwości charakterów zrobiła zarzut.

Pominąwszy tych kilka nieudałych fikcyj, przypatrzmy się teraz, jak historyczni nasi bohaterowie w powieści rumuńskiej są naszkicowani.

W dziele znanego nam już Negruzzi'ego, zatytułowanem „Grzechy młodości“, znajdujemy dwie nowele: jedna z nich to scena wyjęta z życia pogromcy z pod Wiednia, a nosząca tytuł: „Sobieski i Rumuni“, lub też w innych wydaniach „Sobieski i strażnicy graniczni“, druga to chwila z życia króla Leszczyńskiego, zatytułowana: „Król polski i książe mołdawski“.

Osnowa pierwszego obrazka da się streścić w następujących słowach.

Pod koniec września 1686 roku ciągnęło drogą, wiodącą do rumuńskiej twierdzy, Niamcu, wojsko polskie z Sobieskim, któremu towarzyszyli hetmani Jabłonowski i Potocki. Sobieski wybrał się do Mołdawii, aby ukarać Kantemira za jego udział w bitwie pod Wiedniem; wyprawa nie udała się jednak i król wracał do kraju, niezadowolony i chmurny.

„I czemuż nie miał być rozgniewany i zmartwiony sławny monarcha? On, Sobieski, duma Polaków, bohater chrześcijaństwa, wybawca Wiednia, po raz drugi ulega Turkom i cofa się przed Tatarami i Mołdawianami. Widzi wojsko wyniszczone brakiem żywności, zdziesiątkowane przez wrogów, którzy go ścigają a nie odważają się stanąć piersią przeciw piersi, którzy burzą wszystko, co napotkają — przed nim tylko groźna pustynia“.

W tym smutnym pochodzie widzi Sobieski bielejące w dali mury starego zamku.

„Cóż to za zamek — zapytał, kiedy podnosząc głowę ujrzał przed sobą na skłonie pagórka wyniosły gród Niamc. Z pewnością jakieś gniazdo tych zbójeckich Mołdawian?“

„W czasie wojny zwykli książęta mołdawscy przechowywać tu wszystkie swoje bogactwa — odparł Potocki“.

„Tak?... Naprzód więc, bierzmy go. Ach! zemszczę się na Kantemirze, który mnie zdradził i zmarnował mi tyle żołnierza“.

„Radziłbym — rzekł Jabłonowski — zaniechać zamku i iść spokojnie dalej. Mamy wprawdzie armaty polne, ale brak nam armat fortecznych“.

„Nie, na imię patrona mego, nie powie świat, że oczom Sobieskiego ukazał się zamek, którego on nie zdobył. Nie mamy armat? Rękami go zdobędziemy".

„Imię WKr. Mości od armat silniejsze — zawołał Potocki".

Król wydał rozkaz i wojsko zwróciło się ku zamkowi, którego całą załogę tworzyło ośmnastu strażników wysłanych do obrony twierdzy. W ostatniej chwili przybył jeszcze do nich z Jass posłaniec, którego strażnicy ciekawie o stan rzeczy wypytywali.

„Coś widział w Jassach — powiedz nam — rzekł komendant twierdzy".

„Com miał widzieć, ojcze! Miasto zniszczone, Lachy rabują i odzierają biednych mieszkańców".

„I mówią, że są chrześcijanie?"

„Chrześcijanie? Obrabowali kościoły i monastery z klejnotów. Nie słyszeliście jeszcze o tem? Chcieli przecie zabrać Świętą [1] z kościoła".

„Na miły Bóg! — odpowiedzieli strażnicy, żegnając się".

„Tak! — ciągnął dalej młodzieniec — byłem tam, kiedy szli zabrać trumnę Świętej, ale mnich przeczuwając na co się zanosi, zamknął kościół i nie chciał otworzyć; wtedy..."

„Dzielny człowiek! — zawołali słuchacze".

„Wtedy rozkazał król armatami wejście utorować, ale wpierw jeszcze wysłał posła do mnicha, który w dzwonnicy siedział, z rozkazem, aby otworzył, w przeciwnym razie zburzy klasztor do szczętu".

„Słyszeliście! A plemię pogańskie! I jak sobie postąpił mnich?"

„Odpowiedział, że nie spodziewał się usłyszeć coś podobnego z ust monarchy, który się zwie chrześcijaninem, ale ponieważ Jego Kr. Mość jest wielkim i potężnym, może uczynić to, czem zagroził, jeżeli się nie boi Boga ani jego świętych — on jednak nie otworzy wrót, choćby go miały mury świątyni

[1] Relikwie św. Paraskiwy, bardzo czczone w Rumunii.

pogrzebać, a wtenczas świat osądzi między nim tak słabym, a między J. Kr. Mością, który jest tak mocnym".

„Słysząc to Lach wściekał się ze złości i wydał rozkaz, aby bombardowano klasztor, gdy jeden z hetmanów powiedział mu, nie wiem co. Jak mi mówili ludzie, rzekł mu, że nie wypada domu pańskiego burzyć i wiele innych rzeczy. Dosyć, że go nakłonił, aby kościoła zaniechał".

Gdy tak o wojsku polskiem rozmawiali, strażnik z wieży zatrąbił; wszyscy udali się na wały i tu spostrzegli wojsko zbliżające się do fortecy. Zatarasowano bramy, naniesiono kamieni na mury i ośmnastu strażników postanowiło oprzeć się całemu wojsku króla polskiego. Kiedy wysłaniec Sobieskiego wezwał załogę do poddania się, obiecując wolne przejście a grożąc w razie obrony ostremi karami, odparł komendant:

„Powiedz J. Kr. Mości, że podobne pochwały i pogróżki słyszeliśmy często, a nie ulękliśmy się ich. Lepiejby było, gdyby J. Kr. Mość poszedł swoją drogą i dał pokój ludziom, którzy mu nic złego nie uczynili. Nie myślimy bynajmniej zamku poddać, tem bardziej, że niema w nim ani bogactw ani żywności. Możemy dać jedynie ołów naszych strzelb, lecz ten poślemy mu z murów naszego grodu; nie potrzebuje się więc do wnętrza trudzić!"

Ponieważ strażnicy odmówili poddania, rozpoczęła się walka, która trwała pięć dni, a w której załoga rumuńska dokazywała cudów waleczności. Piątego dnia wreszcie poległo dwunastu strażników a z pozostałych sześciu było trzech rannych; oblężonym zabrakło prochu i żywności, dlatego poddali się pod warunkiem, że im zaręczą za wolność. Polacy przyjęli wszystkie warunki.

„Wojsko stanęło w podwójnym szeregu, przez środek którego miała przejść załoga — brama się otwarła".

„Wtenczas miasto wielkiej liczby żołnierzy, ujrzano wychodzących z bramy zamkowej sześciu strażników, z których trzech niosło na barkach swych innych trzech rannych".

„Cóż to takiego! — zawołał Sobieski — przybiegając na koniu. Kim jesteście?"

„Stróżami zamku — odparł przywódca, leżąc ranny na barkach swego syna".

„Co! tylu was tylko?"

„Dwunastu z nas padło z łaski W. Kr. Mości".

„I wyście się odważyli mi sprzeciwić i zabić mi tylu dzielnych ludzi? — zawołał król. — O, to wam tak nie ujdzie — mówił dalej wściekły z gniewu — potrzeba przykładu dla podobnych wam, a przykład będzie straszliwy. Nie godniście umrzeć od miecza, ale od stryczka; powieście ich".

„Żołnierze otoczyli natychmiast strażników, którzy złożyli rannych, przeżegnali się i patrzyli obojętnie na przygotowania, poczynione do ich śmierci. Oficerzy spoglądali z współczuciem na tę scenę".

„Pozwól mi W. Kr. Mości — rzekł wtedy Jabłonowski, przybliżając się z uszanowaniem do króla, który siedział zachmurzony i rozgniewany – przypomnieć sobie, że ci mężni wojacy wypełnili jedynie swój obowiązek, obowiązek patryotyczny i godzien wszelkiej pochwały, i że im przyobiecał wielki Sobieski, że będą wolni i nikt im w niczem przeszkadzać nie będzie".

„Dzięki ci, wierny towarzyszu broni — rzekł Sobieski, budząc się jakby ze snu — dzięki ci, żeś przeszkodził czynowi hańbiącemu mnie. Masz słuszność; ci ludzie zachowali się po bohatersku. Niech każdemu z nich dadzą po pięćdziesiąt złotych. A zwracając się do Rumunów: Zuchy — rzekł im — jesteście wolni; idźcie spokojnie i opowiadajcie waszym dzieciom i braciom, że was spotkał zaszczyt opierania się przez pięć dni królowi polskiemu".

„Natychmiast otwarto drogę Mołdawianom, którzy zabierając rannych zwrócili się ku górze, podczas gdy wojsko spuszczało się powoli w dolinę. Zamek, na którego murach widniały ślady bomb nieprzyjacielskich, pozostał samotny na zielonem wzgórzu, jak wielki szkielet olbrzyma".

Oto po krótce opowiedziana treść tego obrazka. Jedyną jego właściwością dodatnią będzie piękny język, a przyczyną rozgłosu ta okoliczność, że był on ogłoszony w czasie, w którym literatura rumuńska zaledwie jakiekolwiek ślady życia dawała;

stąd też każdy i najmniejszy objaw życia literackiego wielce był ceniony. Szowinizm rumuński zeszpecił wszystko, co polskie; autor wybrał tę scenę z życia Sobieskiego tylko dla tego, aby rzucić aureolę na skronie rumuńskiego żołnierza. Przyczyny właściwe, dla których Sobieski wybrał się do Rumunii, zgrabnie pominięte; ani słowem nie wspomniał Negruzzi o wyjątkowem znużeniu wojska polskiego, a stąd i cała ta wyprawa i szturm do twierdzy przedstawiają się dla nas wcale niepochlebnie.

Żadnej wartości historycznej lub artystycznej nie ma następna nowela tego samego autora: „Król polski i książe mołdawski". Przytacza nam tu Negruzzi zdarzenie z życia Leszczyńskiego, kiedy ten po porażce Karola XII. był zmuszony opuścić Polskę. Autor opierając się na dziele Voltaire'a: *Histoire de Charles XII.* opisuje kilka anegdotek wcale nie historycznych, pobyt Leszczyńskiego na Mołdawii, jego wzięcie do niewoli przez księcia Mikołaja Maurokordatego i wydanie króla w ręce Turków. Historya i fantazya zbytnio podały sobie ręce i to tak dalece, że gdyby wykreślić wszystko, co nakreśliła wyobraźnia, historya nie znalazłaby chyba dla siebie wiele miejsca.

Opowiadanie odznacza się wprawdzie łatwością języka, ale układu lub przeprowadzenia artystycznego w anegdotach tych nie znajdziemy.

Do tego wieńca, jaki powieść rumuńska Polsce uplotła dodać jeszcze należy w końcu kwiat niezapominajki, którego nazwa w Rumunii z polskiem imieniem się łączy.

Legendę tę wciąga w tok opowiadania wyżej wspomniany Negruzzi w szkicu: „Flora rumuńska". O Mandę, córkę księcia Radu, starało się mnóstwo młodzieńców rumuńskich i zagranicznych, ale Manda nie dała sobie nawet o zamążpójściu mówić. Wesoła i żywa harcowała na koniu, wychowanym na stepach ukraińskich, a za towarzysza swych samotnych przechadzek miała Dragomira, którego stary książe przyjął w dzieciństwie na dwór. Tymczasem przyszło poselstwo od polskiego palatyna z Mazowsza, proszące o rękę córki dla syna, a niebawem i ten ostatni się zjawił. Książe Radu był ucieszony tą prośbą i czuł

się zaszczycony tak wysokiem pokrewieństwem, tem bardziej, że stary palatyn był jego przyjacielem z czasów młodości. Dlatego nie zważając na łzy i błagania Mandy, postanowił, że ślub odbędzie się w najkrótszym czasie. W nocy poprzedzającej ceremonie kościelne znikła Manda wraz z Dragomirem, którego jedynie kochała. Książe zrozpaczony i okryty hańbą w oczach cudzoziemców, siadł na koń, stanął na czele wojska i szlachty i ścigał uciekających. Starzec jakiś, nie wiedząc, o co chodzi, wskazał im drogę i po dłuższym czasie doścignęli zbiegów, zmęczonych i odpoczywających w lesie, przy tak zwanej „krynicy jelenia". Stary hospodar kazał na miejscu ściąć Dragomira i zmusił córkę, by się tej śmierci przypatrywała. Wyrwał się na chwilę Dragomir z rąk siepaczy, a widząc niebieskie kwiaty dokoła krynicy, zerwał ich garść, i rzuciwszy je na Mandę, zawołał zrozpaczony: „Nie zapominaj o mnie". Po chwili błysnął miecz w ręku kata, głowa Dragomira potoczyła się po mchu i kwiatach, a drobne roślinki zwą się od tego czasu niezapominajkami.

II.

Obfitsze pole do naszego studyum znajdziemy w poezyi rumuńskiej. Nawet w ludowej poezyi można od czasu do czasu spotkać się jeszcze z Lachami; jest to jakby ostatnie, niegasnące echo dawnej naszej przeszłości w Mołdawii. Dzisiejsza poezya rumuńska, jeżeli czasami przychylnie o nas wspomina i historyę naszą sympatycznie przedstawia, to jednak równie często wybiera takie chwile z naszej przeszłości i z naszego życia, któreby mogły służyć naszym kosztem do podniesienia uroku rumuńskich bohaterów. Takim poetą jest na pierwszem miejscu Bolintineanu.

Poeta ten stworzył pierwszy, po jego czasy w Rumunii nieznany rodzaj poezyi, tak zwane „legendy historyczne", w rodzaju znanych a pięknych balad Uhlanda. Przedstawiając w tych legendach przeszłość rumuńską i mając za cel wskazać ludziom dzisiejszym dawnych bohaterów i dawny heroizm, który bądź co bądź wyszczególniał wielu książąt mołdawskich i multańskich

idealizuje on tę przeszłość, a stąd też szuka jedynie takich chwil w tych dziejach minionych, które albo są mniej znane i jako takie, wielkie pole wyobraźni pozostawiają, albo też takich, w których poeta znajduje motyw — mniej lub więcej odpowiedni — do apoteozowania swej przeszłości, Do tej ostatniej klasy należą wszystkie przedmioty wyjęte z historyi polskiej. Małe balady, jak „Lasy koźmińskie", „Cecora", „Seret" i inne są pełne uwielbienia dla Rumunów, dla ich heroizmu i poświęcenia, ale dla Polaków nie mieszczą nic prócz niechęci. Polacy są tu zawsze małymi, zawsze najezdcami; nigdy nie widzimy ich walczących, umierających mężnie na pobojowisku, zawsze za to uciekają, są gonieni, giną i umierają bez walki, bez oporu.

Nie wszyscy jednak poeci są tak zacietrzewieni na nas, jak Bolintineanu. Inny poeta, Fundescu jest przejęty szczerą życzliwością i sympatyą dla Polski. Utwory tego pisarza nie są dość u Rumunów cenione, choć naszem zdaniem, niesłusznie. Wiersz Fundesc'a jest często tak harmonijny i melodyjny, obrazy tak szczęśliwie dobrane a idee tak szlachetne, że już dla tych samych przymiotów zasługiwałby na poczytniejsze miejsce w literaturze. W zbiorku poezyi, zatytułowanym: „Polne kwiaty" znajdujemy wiersz: „Do Polaków", z którego warto kilka ustępów w wolnem tłumaczeniu przytoczyć:

„O szlachetne Polski dzieci, których trucizną pojono, wieleście cierpienia doznali, gdy cudzoziemiec was dręczył, krwią i łzami zrosiliście wolność — męczennicy nieśliście krzyż, octem i żółcią was napawano; uwieńczono was koroną cierniową, osłabiono waszą potęgę i do krzyża bez miłosierdzia was przybito.

„Słońce wolności niewola wam przyćmiła, głos serc waszych tyrańskwo głuszy, i tylko lampa nocami płonie u grobu męczenników; idźcież, idźcież do tej lampy i przy jej boskiem płomieniu zapalcie wasze pochodnie a prowadzeni ich światłem wskażcie, co potrafi naród oparty na swem świętem prawie.

„Skruszcie czarę boleści, wylejcie z niej truciznę, a podły i cudzoziemiec ulękną się. Tak sobie postępuje naród, który chce żyć. Po torturach i cierpieniach, po wiekach niewoli, po

czasie niesprawiedliwości przychodzi dzień szczęścia — wkrótce wolnymi będziecie...

„Słyszycie wy śpiew, śpiew słodki, łagodny? To męczennicy wolności, którzy z jasnego niebios sklepienia spuszczają się do was; oni natchną naród, aby się uczył, jak być wolnym — prawo słuszne, prawo święte. I te ptaszęta, które po świątyniach ciągle wydzwaniają słodki wolności śpiew, to są przecież ich dusze.

„Słuchajcie tego, co wam mówią, słuchajcie ich śpiewu: ‚Niechaj wichry w górach wyją, niechaj fale ryczą w morzu, lecz wy stójcie wszędzie, jak skała niewzruszeni. Nie lękajcie się żelaza, ni wygnania, ni więzienia, wolność boska nigdy nie umiera!

„Jest słodką i wielką i boską wolność; jej berłem jest wiara, jej bronią prawda, a potęga jej panuje nad światem i nad wszystkimi. Słońce pożycza jej swego płomiennego promienia, wiatr swych skrzydeł lotnych, a nawet niebo swej błyskawicy, by despotę poraziła...

„Wolność to słońce, od czasu do czasu przysłania ją mgła niewoli, atoli wiatr tę mgłę rozpędza i jaśniejszą wydaje się oku, które na nią spogląda. Rozpędźcie chmurę tyranii, zerwijcie pęta niewoli i już połączeni zanućcie hymn braterstwa z wszystkimi narodami, które cierpią i pragną być wolnymi“.

Ileż tu braterskiego serca i uczucia dla zgnębionego narodu! A uczucie szczere z samego źródła duszy się dobywające, co płynie jednym, nieprzerwanym, wartkim strumieniem poezyi, a czystym, niezmąconym i lśniącym jak kryształ. Zdawałoby się, że wielkie natchnienie naszych poetów wyczerpało już wszystkie obrazy, mogące się nadać do wyrażenia jasnego naszej niedoli, a oto cudzoziemiec, ale z głębokiem sercem, rzuca nowe nam porównanie, widząc w owych ptaszętach, kwilących po zburzonych świątyniach, dusze męczenników za ojczyznę zmarłych i słysząc w ich pieśni słowa zachęty do nieustraszonej odwagi i nadziei zwycięstwa. Pomysł i szczęśliwy i wcale niezwyczajny.

Pod każdym jednak względem, tak pod względem formy, jakoteż i idei przewyższył tę pieśń Alessandri, książe poetów

rumuńskich, w przecudnym wierszu zatytułowanym w oryginale *Pohod na Sybir*. Treścią jego smutny, nieszczęśliwy los wygnańców polskich i ich śmierć w stepach sybirskich. Wiersz ten zelektryzował i publiczność rumuńską, zewsząd odzywały się głosy pochwały i podziwu. „Któż nie czytał ‚Pochodu na Sybir' — tak pisze nieznany autor nekrologu poety — i nie został przejęty głęboką boleścią i nie uczuł pustki w swem sercu? Wystarczyłyby te zwrotki, a Alessandri byłby wielkim". „Najpiękniejszym utworem z dzieł jego jest ‚Pochód na Sybir', ta epopeja boleści wygnanych Polaków, pod niebem z ołowiu, w pośród niezmiernych zawiei stepowych" — mówi inny biograf.

Dziwnem naprawdę zdaje się, jak Alessandri, o którego nieprzychylności dla Polaków niżej się przekonamy, zdołał się podnieść tak wysoko i tyle uczucia wylać z swego serca. Jedna odpowiedź tłumaczy chyba to zjawisko, a mianowicie, że Alessandri znalazł w tem cierpieniu Polaków obfity temat, który uderzył jego zmysł artystyczny, a którego wdziękowi oprzeć się nie mógł.

Treść poematu jest następująca: Pod ciemnem, ołowianem niebem idzie przez pole zasypane śniegiem gromada mężczyzn smutnych, przeziębłych, rannych, skutych łańcuchami. Sześć miesięcy już znajdują się w drodze, a jeszcze nie widzą końca podróży; tylko od czasu do czasu więcej zmęczeni padają i umierają w pustkowiu. „Lecz dokąd idzie ten naród, który w świecie już nie ma ni nadziei, ni przyszłości, ni ojczyzny, ni imienia? Wymazany z pomiędzy żyjących idzie umrzeć w pustyni. Smutny to orszak, zgubiony, zapomniany, orszak pogrzebowy. Lecz na czole widno mu stygmat: miłość ojczyzny. O święta, wzniosła, niebieska miłości, iluż dla ciebie umiera! Ach! iluż męczenników dla jednego słowa, dla jednego pragnienia wolności wstąpiło do grobu!" W środku zamarłego stepu staje konwój; komendant dziki i wściekły naznacza na biczu nahajki liczbę dziś zmarłych i wydaje rozkaz spoczynku. Na zimnym śniegu, pod zimniejszem jeszcze niebem wypoczywają wygnańcy, a żadna iskierka nie ogrzewa ich ciał skostniałych. „Nieszczęśliwi położywszy się na śniegu zasnęli natychmiast, i śnią o błoniach kwiecistych

i o ojczyźnie dalekiej, a serce ich pełne boleści, coraz to rzadziej uderza. Jeden widzi przez sen starą matkę płaczącą, inny tuli do piersi ukochaną żonę, a wszystkim pod powieką widna łza tęsknoty. I śpią głęboko, a wicher nocny dziko po stepie wyje, i śpią głęboko, a tu powoli śnieg soraz gęściej ziemię pokrywa i gwiazdy, patrząc się na nich, łzami iskier płaczą. Nieznacznie śnieg drobny rozpościera się jak morze i rośnie, a w nim cały orszak ginie, a kiedy zorza na niebie zabłysła, to cały step był powleczony jednym niezmiernym całunem żałoby. — Byli! i gdzież oni teraz? — Stado orłów z góry z dzikim zlatuje szumem, a z pomiędzy jodeł wychyla się wyjąc zgłodniały wilk".

Z podanej treści i z przytoczonych ustępów nie możemy mieć wprawdzie jasnego wyobrażenia o całości, ale jeżeli piękna treść, głębokość uczucia, umiejętne przeprowadzenie rzeczy, odpowiednie rozłożenie obrazów, harmonijne połączenie elementu epicznego z lirycznym rozstrzygają w tego rodzaju utworach o wartości artystycznej dzieła, to musimy przyznać, że mamy tu jedno z pierwszorzędnych dzieł literatury rumuńskiej.

Ten sam Alessandri poświęcił jeszcze Polsce dwa większe dzieła: jeden dramat i jedno epos. Bohaterem dramatu jest znany w historyi Olbracht Łaski. Pomaga on awanturnikowi słynnemu w historyi pod nazwą Jakóba Heraklidesa, do osiągnięcia tronu mołdawskiego i do wypędzenia Lepuszniana. Plan częściowo się udaje, lecz kiedy Heraklides uwiódł żonę Łaskiego, Karminę, rozgniewany sprzymierzeniec zabił zdradzającą go żonę, opuścił Heraklidesa, który pozbawiony potężnej pomocy zginął w walce z Lepusznianem i Mołdawią. Taką jest osnowa dramatu, zatytułowanego „Książe Despota".

Łaski w dramacie przedstawia się jako człowiek bardzo lekkich obyczajów; a nawet używa go poeta do uosobienia nieprzyjaźni polskiej względem Mołdawii. „Jestem Polakiem — woła w jednem miejscu Łaski — z Mołdawią nigdy w zgodzie żyć nie mogę. Ty szukasz tronu, Despoto! ja szukam zemsty!" Czemu? W dramacie trudno doszukać się przyczyny, dla której każdy Polak ma być wrogiem Mołdawian.

Nad eposem Alessandri'ego, „Czerwona dąbrowa" *(Dumbrava*

rosie), musimy się nieco dłużej zatrzymać. Rzeczone dzieło jest jednym z najobszerniejszych utworów tego poety, a ma ono dla nas tem większą wartość, że jest to utwór epiczny, wyjęty z przeszłości polskiej, a mający za tło wojnę króla Olbrachta z księciem Mołdawii, Stefanem Wielkim. Historya tej smutnej dla Polaków wyprawy jest znaną czytelnikom, dlatego też pomijając historyę faktu, przypatrzmy się samemu utworowi.

„Czerwona dąbrowa“ składa się z ośmiu pieśni, a treść tych pieśni jest następująca.

Pieśń pierwsza opisuje sen Olbrachta. Król polski widzi we śnie, jak na dzielnym koniu, ze szpadą w ręku przebiega i podbija różne kraje. Od południa do północy, od wschodu do zachodu jakaś chmura głosów roznosi jego imię. Olbracht się budzi, rozmyśla, coby sen ten miał znaczyć, i tłumaczy sobie, że szczęście będzie w nowych wojnach jego nieodstępnym towarzyszem, dlatego też zastanawia się, który kraj wypadałoby mu ogniem i mieczem spustoszyć. Po pewnym namyśle postanawia obrać sobie Mołdawię za cel swych zwycięstw i wawrzynów, „W tym małym kraju ciągle przez nieprzyjaciół nachodzonym, a nigdy niezwyciężonym, w którym wszyscy mężczyźni są bohaterami, walczącymi z Polakiem, Węgrzynem i okrutnym Turkiem, gdzie cudnych błoń trawa kryje białe wały utkane z kości nieprzyjaciół, zbiera książe mężny, Stefan, wawrzyny godne panów świata. Pójdę do Mołdawii, pójdę wprost do Stefana i aureolę z czoła jego mym mieczem zetrę, a świat przelękły, patrząc się na wschód, ujrzy zamiast słońca mój obraz promienisty“. Po tem postanowieniu zbiera swe wojska, a sam na ich czele, licząc w swych szeregach wiele szlachty i sławnych ludzi, przekracza granicę. Lecz gdy z lekceważeniem przechodzili granicę, „silny rumak króla potknął się, zahukała sowa w jasny dzień... i śmierć przygotowała sobie kosę w tę chwilę nieszczęsną“.

Pieśń druga opowiada popłoch, jaki wywołała w Mołdawii wieść o najeździe Polaków. Ale w krótce książe Stefan zgromadził wojsko. „Wszyscy krzyknęli: ‚Niech żyje Mołdawia‘ i po-

szli", pożegnali rodzinę, naostrzyli topory, pochwycili dzikiego konia ze stepu „i jako sokoły z gniazda wesoło odlecieli". Dużo żołnierzy zgromadziło się pod sztandarem ojczyzny, a kiedy wszyscy chętnie na śmierć lecieli, jasny krzyż ukazał im się na drodze, a książe Stefan powiał sztandarem i zawołał ku niebu: „Wspomóż mnie, mocny Boże".

W pieśni trzeciej widzimy obóz polski, rozłożony na pagórku, świecący tysiącem ogni, „zdaje się, że całe niebo na ziemię spadło". W obozie gwarno i wesoło, uczty i zabawy, „bo dzisiaj obchodzi Polska uroczystość upragnionego zwycięstwa jutrzejszego dnia". Lecz w ten gwar głosów, w te dzikie zabawy żołnierzy „wiatr nocny po obozie wieje, a głos z ponurej mgły do wszystkich po kolei się odzywa: O ślepi, ślepi! do stołu śmierci dzisiaj zasiadacie. I wiatr nocny po obozie szaleje i powietrze rozbrzmiewa od straszliwych głosów, a głos jakiś w mgle schowany nieustannie woła: O ślepi, ślepi! śmierć na was czeka z ostatnim pocałunkiem. A tymczasem w namiocie królewskim powstaje przy uczcie król Olbracht i woła: „Ja, Olbracht, wasz pan i król, wszedłem do Mołdawii, jak lew zwycięski. Jutro jest dzień walki... Jak ten kielich wychylam, tak dumna Polska niech pochłonie ten kraj!" „Niech się tak stanie! Wiwat, hura, niech żyje Olbracht sławny". Lecz oto u drzwi pojawił się obcy człowiek, pierś jego goła, włosy rozwiane, a oko ogniste. Na Olbrachta zwrócił swój zwrok zimny, postąpił naprzód i zawołał: „Porzuć czarę Olbrachcie, bo zły los ci ją zatruł". Wszyscy rzucają się z gniewem na przybysza, lecz król rzecze: „Dajcie mu spokój, to waryat Gropski". I znowu puhar podnosi, śmiejąc się z tego zamieszania... „lecz puhar w ręku jego na dwoje pęka i błyskawica nagle niebo rozdarła, burza zerwała się nad namiotem królewskim, i stół się wywrócił i namiot porwany — a po błoniu w blasku piorunów widmo błądziło".

Pieśń czwarta i piąta poświęcone są opisowi mołdawskiego obozu i charakterystyce księcia Stefana. Dopiero w szóstej pieśni rozpoczyna się szturm. Z dwu stron stoi wojsko gotowe do walki; wtem Stefan daje znak buławą i kilka pułków rzuca się na obóz polski — biegną, padają pod razami i cofają się

w nieporządku, chcąc nieprzyjaciela z poza szańców wywabić — ale napróżno. Wtedy książe rumuński woła dwóch hetmanów i wskazując im obóz polski, każe go szturmem wziąć: „ugina się ziemia i dźwięczy broń a groźne armaty piorunnym przemawiają głosem; morderczy grad kul uderza w pułki rumuńskie", lecz one nieustraszone wciąż naprzód biegną, w tej burzy ognia i śmierci. Przybiegają, walczą, mordują się wzajem, wpadają do obozu, — wtenczas król wysyła Herburta zagrożonym miejscom na pomoc. Herburt zaczął rozstrzygać los walki na korzyść Polaków, kiedy nagle padł kulą trafiony. Śmierć jego grozą napełniła wojsko, które poczęło się cofać, aż król zrozpaczony zwrócił się do Toporskiego, widząc w nim jedyną nadzieję.

I tu zaczyna się pieśń siódma. Na czele licznych żołnierzy wyruszył Toporski do walki; przeciwko niemu stanął Kyrża z wojskami rumuńskiemi. Dwaj wodze, dawni nieprzyjaciele, a dzisiaj już staruszkowie, odchodzą na bok, rozmawiają z sobą i patrzą się na zapasy swych żołnierzy, którzy cudów dokazują. Mimo bohaterstwa, Polacy zostają odparci i gdy już zwyciężeni uciekają, „jak ucieka bojaźń wstydu pozbawiona", wtenczas dopiero na niedobitków rzuca się Stefan wraz z szlachtą i roznosi na kopytach, co się jeszcze opierało. „Uciekają Polacy, Krzyżacy uciekają, ucieka sam król. Goni ich książe Stefan, tak jak wicher słomę pędzi, a obóz polski pozostaje pustkowiem po strasznej burzy rumuńskich fal. Gdy wiatr w jesieni w zwiędłych lasach szumi, tak wstrząsa koronami drzew liściem pokrytych a uschłe gałęzie i żółte liście tak pokrywają w dali błonia rozległe".

Pieśń ósma ma tytuł: „Oranie". „Na błoniu rozległem i spalonem, pod piekącem słońca promieniem, orze pięćset pługów zeschłą ziemię — sam książe Stefan na czarnym rumaku pod rozłożystym dębem przypatruje się tej pracy. Ośm tysięcy Polaków zamiast wołów w jarzmo wprzężonych; i ciągle orzą a żelazo ciężko usta rani i jedni wzdychają a drudzy płacząc padają na kolana. Lecz bat bije i włócznia razi... podnoszą się na nowo i znowu ziemię krają. Wielu z pomiędzy nich, nie dochodzi do końca i w brózdach przez siebie wyoranych grób

znajduje". W zoraną ziemię sadzą Rumuni żołędzie, a Stefan odzywa się do towarzyszy: „Tak pisze Rumun swe wielkie dzieła, — żelazem w czarnej skibie — posiada on dziś we własnej ziemi książkę a w pługach pisarzy. Tu, gdzie dzisiaj widać tylko błonie i trawy, będą zasiadali potomkowie nasi w cieniu Czerwonej Dąbrowy..."

„Upłynęły cztery wieki od dnia nieszczęsnego, w którym dumę wrogów w ziemi pogrzebano; a zdarzenie to prawdziwe opowiadają sobie na sposób legendy Rumuni z pokolenia na pokolenie. Patrzcie! około dąbrowy stoi tabor wozów. Żywi młodzieńcy siedzą dokoła wielkiego ognia i dziwią się, dlaczego gałęzie w ognisku ruszają się, jak żmije, i pełzają po miejscu. ‚Wiecie, dlaczego dąb paląc się jęczy i płacze?' — pyta dziarski Rumun, którego włosy czas śniegiem przyprószył. — ‚Tam w tej dąbrowie, opowiadają, że duchy Polaków zamieszkują olbrzymie drzewa. W czasach męstwa wziął Stefan Wielki do niewoli wojsko napadające i zmusił je do orania ziemi; a w czarnej, z krwią zmieszanej ziemi, zasiał na pamiątkę żołędzie'. On opowiada, i zdaje się, że dąbrowa czerwienieje i głuchy głos orła w nocy się rozlega. On opowiada, ogień pryska oświecając dąbrowę, a pod cienistemi gałęziami przesuwają się jęczące duchy".

Tym może artystycznie najpiękniejszym ustępem, kończy się opowieść o Czerwonej Dąbrowie.

Z podanej treści łatwo osądzi czytelnik, że poeta nie był zbyt szczęśliwym w wyborze przedmiotu. Krytyka rumuńska zwróciła już dawno na to uwagę, że jeżeli poecie chodziło o to, aby wzbudzić uwielbienie dla bohatera, znanego z historyi, to mógł on znaleść w życiu Stefana wiele innych zdarzeń i czynów prawdziwie bohaterskich, jeżeli zaś chciał podnieść do wyżyn ideału barbarzyńską myśl księcia, znęcającego się nad pobitymi, wtenczas wykroczył przeciwko technice poematu tak, że, jak się wyraził jeden z krytyków, „kapryśna myśl Stefana z zasianiem lasu, jest podobną do dyamentu, który miałby być osadzony w pierścieniu, a został osadzony w kole".

Nie tu miejsce po temu, aby wdawać się w szczegółową krytykę poematu, ale zaznaczyć nie trudno, że ani postacie Ste-

fana i Olbrachta, ani cała wyprawa polska nie są w prawdziwem świetle historyi przedstawione. Na naszą pociechę sama rumuńska krytyka zarzuciła poecie zbyteczną stronniczość.

Na tym eposie zakończmy przegląd rumuńskiej poezyi poświęconej Polsce.

III.

Przy zakończeniu tego szkicu nasuwa się mimowoli pytanie, stojące już poza wytyczoną jego granicą, czy nie istniały kiedy jakieś bliższe wpływy polskiej literatury na literaturę rumuńską. Wiele lat społem pod jednem panowaniem przebytych, blizkość terytoryalna obu narodów, zdawałyby się za tem przemawiać. Jakżeż rzeczy mają się w istocie?

Stwierdzić najpierw musimy, że za dawnych czasów, za istnienia Rzeczypospolitej, wpływ piśmiennictwa polskiego dałby się na literaturze rumuńskiej wykazać. Dawni kronikarze, jak Urechiă, Miron i Mikołaj Costin'owie i inni, spędzali długie lata w Polsce, zaznajomili się z pisarzami polskimi, posiadali nasz język ojczysty, a ponieważ w owych czasach wielka część dzieł była pisana po łacinie a tym sposobem dla wielu przystępna, łatwo zrozumieć, że i literatura polska większy na nich wywarła wpływ. Dlatego też powołują się oni prawie wyłącznie na autorów polskich, naśladują ich co do sposobu przedstawiania rzeczy, ugrupowania faktów, poglądów, źródeł; dlatego też metropolita Dosofteiŭ, zagrzany przykładem Kochanowskiego, tłumaczy i rymuje psalmy, dlatego też Miron Costin pisze nawet po polsku i to językiem jędrnym, choć nie zawsze dosyć poprawnym.

Później, kiedy na tronach rumuńskich zasiadali książęta greccy, tak zwani Fanarioci, znikł wpływ polski na piśmiennictwo rumuńskie zupełnie; musiał ustąpić nie przed wpływem greckim, bo ten nigdy nie istniał, ale przed tyrańskiem i ciemięstwem. Zdaje się, że nigdy Turcy nie gospodarowali w Rumunii tak, jak Grecy. Wyprosiwszy u Porty wielkim podarkiem tron i hospodarstwo, odbijali to wszystko na ludzie, a wiedząc, że ten po nich na tronie zasiędzie, kto jak najprędzej i jak najwięcej za niego zapłaci, starali się zbogacić w krót-

kim czasie i używali do tego środków rzeczywiście o pomstę wołających. Jeżeli jeszcze zwrócimy i na to uwagę, że jedynie Grecy byli przypuszczani do wyższych urzędów, że wielka część szlachty wynarodowiła się zupełnie, że język rumuński wyrugowano ze szkół a zastąpiono go greckim, który przez kilkadziesiąt lat większą w Rumunii odgrywał rolę niż dzisiaj francuski, dojdziemy łatwo do przekonania, że w takich warunkach literatura rozwijać się nie mogła i w rzeczy samej bardzo mało utworów literackich znajdujemy w tym czasie.

Kiedy znów po rewolucyi 1821 roku lepsze dla Rumunii zaświtały czasy, zwróciła się ona przedewszystkiem do Francyi i odtąd ta zapanowała swym wpływem wszechpotężnie w literaturze rumuńskiej, a mianowicie po dekrecie księcia Sturdzy z r. 1847, który zniósł język rumuński w szkołach a zastąpił go francuskim. Zdarzało się wprawdzie, że jeden lub drugi z wybitniejszych Rumunów odbywał swe studya w Galicyi, ale to nie przyczyniło się bynajmniej do odnowienia dawnych stosunków literackich.

Stąd też nie zadziwi nas, że literatura polska jest bardzo mało znana w Rumunii. Pisywał wprawdzie Józef Dunin hr. Borkowski do wychodzącej w jego czasie gazety rumuńskiej w Jassach, artykuły z dziedziny literatury ojczystej, ale lata to już minione, a egzemplarze owego czasopisma należą dzisiaj do pamiątek narodowych. Podczas gdy współczesna literatura rumuńska jest przepełniona tłumaczeniami z francuskiego lub niemieckiego, znajdziemy kilka zaledwie dzieł polskich przetłumaczonych i to przeważnie takich, które o literaturze naszej nie dają wcale pochlebnego wyobrażenia. Tak np. udało mi się odszukać przypadkowo małą broszurkę p. Juliana Ochorowicza p. t.: „O zasadniczych sprzecznościach, na których się wspiera cała nasza wiedza o wszechświecie“. Zastanawiałem się nad pytaniem, coby mogło tej broszurce przynieść ten zaszczyt, że została ona przełożoną nawet na język rumuński i nie znalazłem innej odpowiedzi, jak chyba pokrewieństwo idei autora z ideami dzisiaj w Rumunii powszechnie nurtującemi. Najpiękniejszym kwiatem uszczknionym na niwie polskiej i przesadzonym na ziemię ru-

muńską, choć w zmienionej barwie, to pieśń wajdeloty, a przedewszystkiem wspaniały ustęp o pieśni ludowej. W dziełach literatów rumuńskich spotykałem się częściej z ustępami owej pieśni i stąd jak i z innych źródeł poznałem, że imię Mickiewicza, jako poety demokraty jest względnie jeszcze najwięcej znane w Rumunii; sam Asachi, ojciec dziennikarstwa rumuńskiego, przejął się przecież jego poezyami tak, że niektóre części z „Dziadów“ tu i owdzie w swych dziełach sobie przyswoił.

Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę szkice geologiczne p. Hugona Zapałowicza i jednę z naszych tandetnych powieści o Sobieskim, będziemy mieli mniej więcej wszystko, co z polskiego przetłumaczono i co w Rumunii jest znanem.

Tak o nas myślą, mówią i piszą w krainie modrego Dunaju i wartkiego Seretu. Dawniej, gdy zbroje nasze połyskiwały w promieniach mołdawskiego słońca, a hospodarowie wyciągali dłoń błagalną do polskiego tronu, było o nas głośno w odległej krainie. Ale dziś, gdy zbroję rdza przegryzła, a tron w proch się rozsypał, dziś o nas coraz bardziej cicho i głucho. Czasem tylko jakiś przechodzień potrąci nogą o kamień pomnikowy, który nasi przodkowie w Mołdawii rzucili i na widok tego kamienia wspomni może na dzisiejszą naszą niedolę i łzę jej pośle.

Wiktor Wiecki.

O WYNIKACH BADAŃ NAD JĘZYKIEM POLSKIM.

(Dokończenie).

IV.

Drugim działem nauki, o której wynikach mówimy, jest dyalektologia.

Najściślej rzecz biorąc, przyznać trzeba, że każdy język dzieli się ostatecznie na tyle dyalektów tj. narzeczy, czyli gwar, ile jest indywiduów tym językiem mówiących; jak niema w przyrodzie dwóch liści zupełnie jednakich, tak nie znajdziemy dwóch ludzi, którychby mowa nie różniła się wzajemnie choćby w bardzo drobnych szczegółach. Taki jednak podział w teoryi zupełnie uzasadniony, w praktyce prowadziłby do absurdu: zatem i w naukowych badaniach nie uwzględnia się językowych różnic indywidualnych, ale tylko gromadne.

Wśród ludzi mówiących tym samym językiem łatwo spostrzedz pewne gromady, pewne oddzielne grupy i zbiorowiska jednostek, w których języku występują pewne odrębne zjawiska, wspólne wszystkim jednostkom, do tej gromady należącym, a nie spotykane gdzieindziej. Te zjawiska bierze się za podstawę podziału języka na narzecza. Każdy język, nawet na bardzo nizkim stopniu rozwoju, takie narzecza posiada, a nauka o nich nazywa się dyalektologią, albo — jak lubią mówić niektórzy — gwaroznawstwem.

Dyalektologia polska rozpoczęła się niedawno pracą profe-

sora Malinowskiego o narzeczu opolskiem[1]. Były wprawdzie i przedtem pisma, które się temi sprawami zajmowały, ale w sposób przeważnie nienaukowy. W czasach dawniejszych, w XVII. i XVIII. w. zwracano cokolwiek uwagi na gwary, ale w tym celu, aby przestrzedz przed używaniem prowincyonalizmów w mowie literackiej, albo też w celach satyrycznych: Mazur był w intermedyach i komedyach postacią komiczną i mówił swoją mazurską gwarą. W wieku XIX. sprawa postąpiła naprzód, odkąd powstała etnografia, dziś modnie nazywana folklorem. Pierwszą jej czynnością jest zbieranie pieśni i podań ludowych, i stąd też ona wyszła. Ten materyał podaje etnograf oczywiście w języku ludowym, niezmienionym sztucznie, a tym sposobem daje filologowi możność korzystania z niego w celach językowych, dyalektologicznych. Etnografia polska może się już poszczycić znacznemi zdobyczami, niestety dla dyalektologii mają one wartość niewielką. Gdyby te pieśni i powieści były spisane z jaką taką znajomością gramatyki (naukowej, nie szkolnej) i z dobrem pojęciem, jak należy mowę ludową zapisywać, byłyby wprost nieocenione, jako materyał obfity i obejmujący prawie cały etnograficzny obszar polski. Na tej podstawie możnaby napisać dyalektologię polską przynajmniej taką, jaką mają Czesi. Niestety prawie wszyscy nasi etnografowie nie zwracają na te rzeczy należytej uwagi — zaledwo w ostatnich latach zaczyna się objawiać zwrot ku lepszemu.

Większą już wartość mają słowniki wyrazów i zwrotów ludowych. Te dają pojęcie o jednym tylko dziale, o zasobie wyrazów; nie mówią nic o morfologii ani o składni, ale w szczupłym zakresie spełniają swoje zadanie dobrze i bez błędów. Dla ludzi, którzy nie są specyalistami, a chcieliby się nauce przysłużyć, jest to jedyna droga, na której rzeczywiście mogliby wiele zrobić, zwłaszcza jeżeli warunki życia pomieściły ich po wsiach i miasteczkach, np. księża i nauczyciele. Słowników takich, większych i mniejszych, mamy dosyć pokaźną liczbę; drukowane w wydawnictwach Akademii Umiejętności („Rozprawy

[1] *Über die oppelnsche Mundart in Oberschlesien.* Leipzig 1873.

wydziału filologiczuego“ i „Sprawozdania komisyi językowej“), w „Pracach filologicznych“ i w czasopismach etnograficznych, warszawskiej *Wiśle* i lwowskim *Ludzie*. Najobszerniejszy i najdokładniejszy jest słownik gwary podhalskiej Dembowskiego.

Wreszcie idą naukowe opracowania gwar ze wszystkiemi ich właściwościami. Tych opracowań mamy bardzo niewiele, a powodów tego jest kilka. Naprzód nasze językoznawstwo jest niezbyt dawne, jeszcze się należycie nie rozwinęło, nie objęło wszystkich gałęzi. Do tego badanie gwar jest w wysokim stopniu utrudnione i kosztowne, bo trzeba samemu być na miejscu i trzeba być długo, ażeby pochwycić i zrozumieć wszystkie — nieraz bardzo delikatne — odcienia, ażeby zresztą zebrać materyał możliwie największy; trzeba się prawie zawsze narazić na niewygody, dosyć często na nieprzyjemności[1]. Przytem pamiętajmy, że ludzi, oddających się studyom językowym, jest u nas tak niewielu, że możnaby ich na palcach policzyć, każdy zaś z nich ma jeszcze jakieś urzędowe zajęcie i stanowisko, tak że rozległemu zadaniu podołać nie mogą. Najdokładniej jeszcze zbadane są gwary małopolskie, niemal wyłącznie przez uczniów prof. Malinowskiego i za jego pobudką. Wszystkie pisane są na wzór pracy o gwarze opolskiej. Tym sposobem można prof. Malinowskiego zupełnie słusznie nazwać twórcą dyalektologii polskiej; co na tem polu zdziałano, jest jego zasługą.

Badania dyalektologiczne prowadzi się w ten sposób, że się słucha i zapisuje wszelkie zjawiska, występujące inaczej niż w języku literackim, poczem układa się je w kategorye gramatyczne. Np. słyszę takie zdanie: *matusia mi przyniesą z jarmaku pációrki*. W tem zdaniu są liczne odstępstwa od normy języka książkowego. I tak: wyraz *matusia* jest w mowie literackiej nieużywany, a jeśli się go spotyka, to tylko jako wyraz ludowy, przymusowo do książki wprowadzony; odsyłam go więc do słownika. Słowo *przyniesą* wygląda w książce *przyniosą*; zjawisko

[1] W jednym z roczników *Fliegende Blätter* jest doskonała anegdota, objaśniająca powyższe słowa. Idzie drogą profesor, cały zbity, stłuczony, opuchnięty. „Bój się Boga, co się z tobą stało?“ — pyta go przyjaciel — „Studyowałem obyczaje ludowe“.

to należy do głosowni. To słowo jest dalej orzeczeniem i jest w liczbie mnogiej, podczas gdy podmiot jest w liczbie pojedynczej; takiej składni w języku literackim niema, więc zwrot: *matusia przyniesą* umieszczę w dziale „Składnia“. Wyraz *jarmak* nie ma *r*, które się znajduje w wyrazie literackim *jarmark;* znowu zjawisko z zakresu głosowni. W książkach i w mowie ludzi wykształconych mówi się *paciorki*; w mowie ludowej *a* zbliża się do *o* (co się oznacza przez *á*), *o* zbliża się do *u*, stąd *pációrki*. Takich i tym podobnych różnic między gwarą a mową książkową jest bardzo wiele.

Ale chcąc je tłumaczyć, nie można się opierać na języku literackim dzisiejszym; prowadziłoby to do wielu błędów. Np. wyrazy *ojciec, zostawić, sprzedać* brzmią w gwarach *ociec, ostawić, przedać*. Błędnem byłoby tłumaczenie, że w tych wyrazach zginęło *j, z, s;* tu nic nie ginęło, bo to *j, z, s* wcale nie jest pierwotne: w języku staropolskim wyrazy te miały właśnie taką postać, jaką mają dziś w ustach ludu. Więc w języku literackim nastąpiła zmiana, a język ludowy zachował formy dawne, niezmienione. Każdy stąd widzi, że chcąc objaśniać fakta językowe w gwarach, musimy się uciekać przedewszystkiem do pomocy języka polskiego dawniejszego, a jeśli to nie wystarcza, do innych słowiańskich, zwłaszcza do najstarszego, cerkiewnego.

Różnice, dzielące język ogólny od gwar, są dwojakiego rodzaju: archaizmy i nowotwory. Albo forma starsza pozostaje i utrwala się w gwarze, albo też dokonują się w niej zmiany, ale inne niż w języku ogólnym. Przytoczone powyżej przykłady *ociec, ostawić, przedać* są archaizmami. Jest ich w gwarach bardzo dużo i to we wszystkich działach gramatyki: w głosowni, w odmianie rzeczownika i czasownika, w składni, w słowniku. Spotyka się czasem nawet takie wyrazy, które w języku ogólnym wyszły z użycia jeszcze przed wiekiem XVI. Ale nie trzeba myśleć, żeby te archaizmy były wybitną a wyłączną cechą gwar. Mniemanie,—bardzo zresztą powszechne i szerzone nieraz przez lepszych nawet autorów, zwłaszcza w opisach wycieczek, że chłop nasz w niektórych stronach mówi językiem Reja, że po wsiach obija się o uszy podróżników stara, dźwięczna mowa

polska, przypominająca Kochanowskiego lub Górnickiego, — jest przesadne, a w całej swej rozciągłości błędne, i nie bardzo mu wierzyć trzeba. Archaizmy znajdują się w mowie ludowej w znacznej liczbie, ale daleko więcej jest wypadków, w których gwary posiadają zjawiska nowe, nowotwory; jedne z nich są takie same, jak w języku ogólnym, inne odmienne. Tak np. w wyrazie *przyniesą e* jest nowe, i jest właściwe gwarom; w języku literackim zostało *o*. W języku ogólnym nie mamy już wcale liczby podwójnej w odmianie czasowników; w gwarach ona jeszcze żyje w całej pełni; formy takie, jak *chodzita, pudziewa* są oczywiście archaizmami — ale jeżeli obok nich spotyka się formę *pudziema*, to jest to nowotwór, którego nie zna ani dzisiejszy język ogólny, ani dawniejszy. W odmianie rzeczowników 2 przyp. l. p *piwnice, duse* jest archaizmem, ale 7 przyp. *w kapelusie* jest nowotworem. Przykładów takich możnaby podać ogromną liczbę.

O wiele ważniejszem jest pytanie, czem się gwary różnią między sobą, jak się dzielą, ile ich jest, w jakich są zamknięte granicach geograficznych. Niestety, na to pytanie nie mamy jeszcze dokładnej odpowiedzi, i zdaje się, dosyć długo będziemy musieli na nią czekać; powody podaliśmy wyżej. Możemy odpowiedzieć tylko ogólnikowo, w przybliżeniu.

Dwojaki jest podział języka na gwary: pierwszy nazwalibyśmy poziomym, drugi pionowym. Pierwszy zależy od warunków życia, od stanu, zawodu, od stopnia wykształcenia indywiduów. Mamy więc gwarę lekarzy, adwokatów, księży, nauczycieli, rzemieślników, studentów, uliczników (t. zw. „andrusów“ albo „antków“), złodziei i wiele innych, wreszcie wymieniamy gwarę dzieci i gwarę idyotów. Niektóre z tych gwar jak np. rzemieślnicza zawierają jeszcze cały szereg gwar mniejszych, zależnie od rodzaju zatrudnienia. Różnice pomiędzy temi większemi gwarami, że tak powiem zawodowemi, nie są zbyt wybitne, i ograniczają się głównie do odmiennego używania wyrazów dawnych albo do tworzenia nowych. Dadzą się z nich utworzyć dwie wielkie grupy: mowa ludzi niewykształconych i wykształconych. Tłem i podstawą pierwszej jest gwara miejscowa, drugiej — język literacki.

Ten język literacki jest także jedną z gwar, ale ma swoje specyficzne właściwości. Jest to język sztuczny, nieżyjący w ustach narodu, tylko na papierze. Tym językiem nikt nie mówi; w nim pisze się tylko książki. Ludzie, nawet najbardziej wykształceni, mówią mieszaniną mowy książkowej i miejscowej gwary. Jeśli się z sobą zejdzie trzech ludzi, bardzo oczytanych i oświeconych, jeden z Poznania, drugi z Warszawy, trzeci z Krakowa, to wszyscy mówią niby tak samo, ale u każdego widać pewne odmiany, pewne właściwości, których się u innego nie spostrzega. Swoją drogą ta gwara literacka jest najważniejszą, bo w niej spisane są pomniki literatury, będące odbiciem ducha i umysłu narodu, bo ona dalej jest jednym z łączników, spajających całe mnóstwo indywiduów w jedną całość, ożywioną jednym duchem. Ta gwara literacka czyli język książkowy powstaje zazwyczaj z jakiejś gwary miejscowej: tak włoski język literacki powstał z narzecza toskańskiego, czeski z praskiego, rosyjski z moskiewskiego, ruski z ukraińskiego, tak polski z małopolskiego i to specyalnie krakowskiego. W Krakowie utworzyło się niegdyś tak silne ognisko oświaty, jakiem była akademia; tu najwybitniejsi ludzie się kształcili, tu był dwór, tu się zbierało wszystko, co się odznaczało rozumem i zdolnościami; z Małopolski też pochodzi większa część pisarzów XVI. wieku, przynajmniej ci, którzy na wytworzenie się i wykształcenie języka literackiego mieli wpływ przeważny, jak np. Rej, Orzechowski, Kochanowski, Górnicki i t. d. Tworzył się ten język już dawniej: już w zabytkach XV. w. jest on jednakowy, i to małopolski. W wieku XVI. ostatecznie się wykształcił i ucywilizował, stał się językiem warstw wyższych, językiem książek, kościoła, szkoły, zgromadzeń publicznych. Stawszy się zaś takim osobnym językiem, oderwał się do pewnego stopnia od gwar innych, ulegał w części innym wpływom, i to sprawiło, że dziś wygląda w wielu wypadkach inaczej, aniżeli narzecza ludowe.

Drugi podział gwar, który nazwaliśmy pionowym, zależy od warunków geograficznych, od rozmieszczenia gwar na pewnym obszarze. Każdy język skupia się na jakiejś przestrzeni w zbitej masie, i to się nazywa obszarem etnograficznym na-

rodu, a oprócz tego mogą być większe lub mniejsze skupienia poza główną masą. Są języki, które mają tylko etnograficzny obszar, przedewszystkiem języki narodów bardzo nielicznych, np. bretoński; są inne, które się znajdują tylko w rozprószeniu; przeważna jednak ilość języków żyje w obu formach.

Etnograficzny obszar polski obejmuje mniej więcej (w szczegóły się tu nie wdajemy): zachodnią Galicyą i kilka okrawków Słowaczczyzny, przeważną część Cieszyńskiego, pruski Ślązk górny większą część Poznańskiego, mniejszą Prus zachodnich i wschodnich, wreszcie prawie całe Królestwo, z wyjątkiem gubernii augustowskiej, zajętej przez Litwinów, i wschodniej granicy nad Bugiem, należącej do etnograficznych obszarów ruskich. Na tej przestrzeni możemy zaznaczyć w najogólniejszych zarysach gwary: ślązkie, małopolskie, mazowieckie, kujawskie, wielkopolskie i pomorskie (pruskie). Rozmieszczenie ich odpowiada mniej więcej dawnemu terrytoryalnemu podziałowi Rzeczypospolitej, i odpowiada także pierwotnym stosunkom etnograficznym z czasów tworzenia się narodu i państwa polskiego. Dzisiejsze gwary są niewątpliwie dziedzicami narzeczy pojedynczych szczepów. Pomiędzy jednem narzeczem a drugiem niema przejść gwałtownych, ale są pasy, w których spotyka się cechy jednego i drugiego. Tak w Galicyi cały pas graniczny zachodni jest przejściem od gwar ślązkich do małopolskich; w Sandomierskiem i Lubelskiem od małopolskich do mazowieckich; gwary kujawskie łączą Wielkopolskę z Mazowszem. Na pograniczu ulegają gwary wpływom sąsiedztwa: gwary ślązkie czeskiego, małopolskie w Karpatach słowackiego, na pograniczu Rusi ruskiego, w Prusach niemieckiego.

Gwary ślązkie charakteryzuje szczególny układ samogłosek nosowych, w wielu razach pierwotniejszy i starszy, aniżeli w dzisiejszym języku ogólnym i większe zbliżenie do języka czeskiego [1]. To zbliżenie tłumaczy się w części zewnętrznym wpływem czeskiego na polskie, zrozumiałym gdy uważymy, że Ślązk

[1] Jak przy charakterystyce języka staropolskiego, tak i tutaj nie możemy wyliczać wszystkich szczegółów; filolog znajdzie je w dziełach fachowych, a zwykłemu śmiertelnikowi zupełnie wystarczy to, co tutaj podajemy.

od XIV. wieku należy do korony czeskiej, w części znajduje wytłumaczenie w fakcie, że między językami pokrewnymi są zawsze pewne przejścia, zwłaszcza między tak blizkimi, jak polski i czeski. Wpływy niemieckie nie są w języku ślązkim tak silne, jakbyśmy się spodziewali; oczywiście germanizmów jest więcej, aniżeli w języku ogólnym, ale ograniczają się one przeważnie do pojedynczych wyrazów; w morfologii i składni — a to jest najważniejsze i najszkodliwsze — jest ich niewiele.

Gwary wielkopolskie cechuje silne ścieśnianie samogłosek *é, ó, á,* również bardzo ścieśnione wymawianie samogłosek nosowych i brak mazurowania. Co to jest mazurowanie? Ogólno polskie głoski *cz, sz, ż,* w pewnej części gwar wymawiają się jak *c, s, z.* Nie jest to właściwość wyłącznie mazurska, bo jest i w innych gwarach. Że jednak u Mazurów występuje najsilniej i najcharakterystyczniej, że z innych powodów typem chłopa stał się przedewszystkiem Mazur, dlatego tę właściwość nazwano mazurowaniem, a o ludziach, w ten sposób mówiących, powiada się, że mazurują. Otóż nie mazurują Prusacy, Wielkopolanie, niektóre gwary ślązkie, wreszcie ludność, graniczącа z Rusią.

Ludność Prus zachodnich (królewskich) dzielą na Borowiaków, Kociewów i Kaszubów, z mniejszymi poddziałami. Ale przynależność Kaszubów do obszaru etnograficznego polskiego została w ostatnich czasach silnie zakwestyonowana. Już dawniej występowali uczeni z twierdzeniem, że język Kaszubów to potomek mowy Słowian nadbałtyckich, blizko spokrewnionych z Polakami ale nie Polaków. W ostatnich latach powstała o to formalna wojna. Powód do niej dał p. Ramułt, wydając swój „Słownik języka pomorskiego“; we wstępie dowodził, że kaszubszczyzna nie jest dyalektem polskim. Przeciw temu twierdzeniu wystąpił cały szereg uczonych, ale niemniej wystąpili także inni, zgadzając się z jego wnioskami. Dziś jeszcze sprawa nie jest rozstrzygnięta; wszakże najprawdopodobniej stanie na tem, że język Kaszubów nie jest polski, ale tylko zabarwiony silnym wpływem polszczyzny.

Gwary mazurskie zbadane są bardzo mało, jak wogóle całe Królestwo. Od typu językowego ogólno-polskiego odbiegają

one najbardziej, różnica między niemi a mową książkową jest najwidoczniejsza i najłatwiej wpada w oczy. To sprawiło, że w popularnem użyciu typem gwary ludowej polskiej stała się gwara mazurska, tak w dzisiejszej jak i w starszej literaturze. Z etnograficznego obszaru mazurskiego wyróżniają się znowu swojemi właściwościami gwara Mazurów pruskich, zamieszkujących południowy pas Prus książęcych i gwara Kurpiów. Bardzo charakterystyczną cechą tej gwary jest to, że pomiędzy spółgłoskę wargową zmiękczoną (p', b', v', f') a samogłoskę wstawia się ś lub ż: zamiast biały mówią Kurpiowie bziały, zam. piwo, pies — psiwo, psies, zam. wiadro — wziadro a nawet ziadro, zam. wilk — zilk (z wzilk).

Ogólnem znamieniem gwar małopolskich jest to, że ze wszystkich gwar najwięcej się zbliżają do języka literackiego, który zresztą z nich wyszedł; najbardziej do niego zbliżoną jest, jak już wspomnieliśmy, gwara krakowska. Dzieli się Małopolska na kilka wybitnych grup: gwary górskie (podhalskie, beskidowe, podgórskie), gwara krakowska, sandomierska, lubelska — wszystkie z odcieniami i podgwarami: W pasie północnym znać wpływy mazurskie. Gwary górskie, bardzo charakterystyczne i wyraziste, ulegają wpływom sąsiedztwa słowackiego, a w dawnych czasach uległy wpływom rumuńskim; stwierdzono mianowicie, że w całym łuku karpackim byli Rumuni, a osadnictwo to zostawiło wiele śladów, między innymi w języku. Prof. Malinowski w bardzo ciekawej a dla każdego przystępnej rozprawie: „O niektórych wyrazach ludowych polskich“ (w XVII. tomie Rozpraw Wydziału filologicznego) wylicza kilkadziesiąt wyrazów góralskich, pochodzenia rumuńskiego. Są to przedewszystkiem terminy pasterskie i nazwy topograficzne; obok tego znaczna liczba przezwisk. Nazwy pasterzy: baca, wałach; nazwy owiec: bakieska, birka, wałaska, siuta; nazwy stada: kyrdel, hurma; urządzenia pasterskie: koléba, sałasz, watra; nazwy naczyń i sprzętów: bucarka, puciéra, putnia, tajstra; produkta: bryndza, żentyca; — nazwy topograficzne: Dział, Czantoryja, Łopuszna, Magura, Strążyska, Wołoszyn, hotar, pyrć, płania; przezwiska: ciura, flondra, gajdoś i wiele innych.

Poza obszarem etnograficznym znajdują się Polacy w większej lub mniejszej liczbie we wschodnich krajach Rzeczypospolitej, na Litwie i w krajach ruskich, w kilku większych miastach europejskich (Wiedeń, Berlin, Paryż), wreszcie w Ameryce. Wszędzie też w tych miejscach napotykamy gwary, których główną cechą są silne wpływy języka otaczającego: więc na Litwie wpływy litewskie [1], na Rusi ruskie (najbardziej znaną jest gwara lwowska), w Ameryce angielsko-amerykańskie; przypuścić można, choć nie mamy żadnych danych, że tak samo się dzieje i w Wiedniu i w Berlinie. Wszędzie zaś odróżniać należy mowę ludzi wykształconych od niewykształconych: mowa pierwszych jest obcymi wpływami przesiąknięta niezbyt silnie, drugich daleko więcej.

Jeszcze jedna uwaga. Zwyczajnie są ludzie zdania, że gwary ludowe są czemś niższem, czemś po prostu podlejszem od mowy książkowej. To zapatrywanie w nauce nie istnieje. Dla filologa są to rzeczy zupełnie równorzędne. W praktyce język literacki ma wartość większą, bo służy do porozumiewania się warstw wykształconych, bo można w nim wyrazić i większy zasób pojęć i subtelniejsze ich odcienia niż w gwarze, bo jest jedną ze spójni, łączących cały naród i t. p.; w nauce jednak, jako przedmiot badania, ma takie same znaczenie, jak każda inna gwara.

Czy podział gwar polskich był i dawniej taki sam jak dzisiaj? — jak te gwary wyglądały w czasach dawniejszych? — czy od tego stanu bardzo odbiegły? — oto nowy szereg pytań, na które znowu trudno dać dokładną odpowiedź, najpierw wskutek braku materyału, powtóre wskutek niedostatecznego opracowania tego, co jest. Rzecz się przedstawia mniej więcej w ten sposób. Nie ulega wątpliwości, że każdy szczep z tych, z których powstało państwo i naród polski, mówił swojem narzeczem, a więc Ślęzanie mówili inaczej niż Polanie, ci inaczej niż

[1] Nawęt bardzo wykształceni Polacy, stale mieszkający na Litwie, ulegają wpływom języka litewskiego, a cóż dopiero drobna szlachta zaściankowa! (bohaterowie powieści Orzeszkowej). Bardzo ciekawe przykłady tej gwary znaleźć można w „Wiśle".

Mazury, inaczej znowu Chrobaci, późniejsi Małopolanie. Potomstwem tych narzeczy są dzisiejsze gwary. Ślady różnic spotykamy już w najstarszych aktach i dokumentach z przed wieku XIV.[1], oczywiście bardzo drobne. Tak np. w mazowieckiem narzeczu najwcześniej r' przeszło na rz, a najpóźniej grupa ir na er; są też pewne różnice co do samogłosek nosowych. Z epoki zabytków pisanych (wiek XIV. i XV.) jest już tych śladów gwary ludowej cokolwiek więcej — kilka przykładów wymieniliśmy w listopadowym zeszycie *Przeglądu* — ale wogóle jest ich mało. U pisarzów wieku XVI.—XVIII. prowincyonalizmów znajdzie się dosyć, zwłaszcza w XVII. w., u Twardowskiego np. lub Potockiego. Inną kategoryę stanowią wyrażenia i zwroty ludowe, wtrącane w jakieś pismo w celach komiczno-satyrycznych; wreszcie są rzeczy, całkowicie napisane w języku ludowym. Pierwsze są liczne w intermedyach i komedyach — np. w znanym Albertusie, w komedyi Baryki „Z chłopa król", albo u Bohomolca[2] — rzadziej w innych pismach, np. polemicznych. Zabytków, w całości pisanych gwarą, jest niewiele, wszystkie komiczne[3] i wszystkie z XVII. wieku: kilka wierszy nabożnych (dziesięcioro, psalm, kolęda), Relacya Mazowiecka, Peregrynacya Maćkowa z Chodawki, i inne. Charakterystycznem jest, że gwarę mazurską, jako najbardziej bijącą w oczy, najwięcej od mowy książkowej się różniącą a przez to śmieszną, wzięto za cel pocisków humoru i satyry.

Z tych wszystkich faktów wypływa wniosek, że gwary polskie już dawniej posiadają te same właściwości i różnice, co dzisiaj, i że zmieniły się mniej, niż język ogólny, już i tak bardzo konserwatywny. Ale do dokładniejszych wniosków o podziale gwar jest materyał stanowczo za mały.

Prócz strony teoretycznej, naukowej, gwaroznawstwo ma

---

[1] Por. cytowane już dzieło prof. Baudouin'a de Courtenay.

[2] L. Malinowski, „O języku komedyj Franciszka Bohomolca" (Rozpr. Wydz. filolog. t. XXIV).

[3] Wymienia je, niektóre przedrukowuje Al. Brückner. „Z przeszłości gwar polskich" („Wisła", t. VI, 1892).

także wartość praktyczną[1]. Gwary ludowe roją się od wyrażeń jędrnych i plastycznych, które nieraz dobrzeby było wprowadzić do języka literackiego, bo w takim razie nabyłby on większej wyrazistości i większego życia. Bardzo wiele terminów technicznych: zoologicznych, botanicznych, lekarskich, prawniczych, rzemieślniczych — dotąd cudzoziemskich lub też niefortunnie utworzonych — dałoby się zastąpić rodzimymi wyrazami, które w dostatecznej ilości znajdują się w gwarach. W niektórych naukach, np. etnografii i filologii, parę takich terminów już wprowadzono. Przydałaby się znajomość gwar i poetom, którzy chcą lud malować; uwolniłaby ona raz na zawsze poezyę od tych sztucznych i teatralnych pastuszków, miesiączków, nocek, fujarek, jakiemi nas obficie raczy choćby... Konopnicka. Te niby-ludowe wyrazy, podlane sosem fałszywego patosu, są po prostu nieprzyjemne; za to naprawdę poetyczne a realne jest u tej samej Konopnickiej takie np. wyrażenie: „Chodziły tu Niemce, chodziły odmieńce“, albo u Mickiewicza z humorem traktowane wyrażenia i zwroty mazurskie[2]. Zresztą nie jesteśmy zwolennikami zbytniego przeładowania książki wyrazami ludowymi, tak samo jak i archaizmami, bo to robi ją niezrozumiałą, zamiast nadać koloryt miejsca lub czasu.

V.

Do właściwej gramatyki należałoby przystępować dopiero po zebraniu materyału zupełnego, w całości, tak z historyi, jak z geografii języka. Ale na to trzebaby czekać zbyt długo, gdy tymczasem na tym materyale, który już jest, można się w bardzo wielu razach śmiało oprzeć i wyciągnąć stąd wnioski prawdziwe.

O co chodzi w nauce gramatyki? O to, co w każdej nauce: o zupełne i wszechstronne wytłumaczenie i wyjaśnienie tego, co stanowi jej przedmiot. Więc jak w historyi chodzi o znajomość wypadków, o wykazanie ich przyczyn i skutków; jak

[1] J. Karłowicz, „O ile należałoby uwzględnić narzecza ludowe w gramatykach“. (Prace filolog. t. v).

[2] W „Piosnce kaprala“ naprzykład, albo w „Golono, strzyżono“.

w botanice o wytłumaczenie, czem jest jakaś roślina, jaki jej początek, jak wygląda, jak żyje, jakie są prawa, rządzące tem życiem, — tak samo celem nauki o języku jest wyśledzenie początku mowy a następnie jej losów, wytłumaczenie praw, rządzących językiem, i przemian, odbywających się w nim. To jest zadanie gramatyki wogóle i gramatyki każdego języka w szczególności.

Prac, poświęconych takiemu badaniu języka polskiego, jest dosyć, ale ich rezultaty tutaj podawać niepodobna. Rzecz to zupełnie fachowa, a jej przedstawienie w tym artykule specyalistyby nie zadowoliło, dla szerszej publiczności byłoby nudne i bez korzyści. Bo proszę sobie wyobrazić, z jaką przyjemnością przeciętny śmiertelnik czytałby rzecz o użyciu drugiego przypadku w języku polskim, albo o pochodnej głosce *j* w stopniu wyższym przysłówków, o aoryście w języku polskim i inne tym podobne rozprawy, dla filologa z pewnością bardzo ciekawe! Powiemy więc tylko kilka słów o tem, jak się takie badania prowadzi.

Każdy wykształcony człowiek wie, że dzisiejsza gramatyka jest historyczno-porównawczą; ściśle biorąc dodatek „historyczno-“ jest niepotrzebny, bo porównawcza gramatyka musi być tem samem historyczną. Innemi słowy, metoda badań językowych jest indukcyjną; bierze się cały szereg zjawisk, porównywa z sobą, a stąd wyciąga wnioski. Nie zbyt to łatwa rzecz takie porównywanie: jest ono przedewszystkiem żmudne, wymaga wielkiej pracy, a może bardzo łatwo omylić, jeśli się go nie używa z jak największym krytycyzmem. Ale jest konieczne, innej drogi niema. Weźmy jako przykład wyraz *jestem*. Celem naszym jest wytłumaczenie tego wyrazu. Aby ten cel osięgnąć, porównywamy wszystkie odmiany tej formy i w gwarach ludowych i w dawnym języku polskim i dochodzimy do przekonania, że pierwej wyraz ten miał postać *jeśm*. Tę formę porównywamy znowu ze wszystkiemi formami odpowiedniemi w językach słowiańskich; w rezultacie dowiadujemy się, że pierwotną formą słowiańską jest *jesmi*. Tę porównywamy dalej: naprzód z litewskim, potem z innymi aryjskimi językami i otrzymujemy

najpierwotniejszą postać tego słowa: *esmi*, która nie jest wyrazem prostym, ale złożonym z dwóch *es* i *mi;* pierwszy oznacza byt, drugi pierwszą osobę liczby pojedynczej, coś podobnego, jak gdybyśmy powiedzieli: *ja być*. Oczywiście to porównanie nie idzie tak gładko, jak tutaj, bo trzeba równocześnie zestawiać wielką liczbę zjawisk, a po drodze wszystkie odstępstwa i zboczenia — a tych jest cały legion — umieć sobie wytłumaczyć.

Zjawiska językowe dadzą się ustawić w pewne kategorye, dogodne ze względów praktycznych, metodycznych. Mowa ludzka składa się z dźwięków czyli głosów; nauka o tych głosach, o ich przemianach, nazywa się głosownią albo fonologią. Z głosów tworzą się pewne skupienia głosowe, mające już jakieś znaczenie: najpierwotniejsze ich postaci nazywamy pierwiastkami, od tych zaś tworzą się dalsze formacye, zwane tematami albo źródłosłowami. Tu zachodzić mogą najrozmaitsze zmiany, kombinacye rozgałęzienia, a nauka o tem nazywa się nauką o tworzeniu tematów, albo osnownią (osnowa = temat). Zmianami, którym temata i ich pochodniki ulegają w zdaniu, zajmuje się morfologia („odmiennia"), dzieląca się na deklinacyą i konjugacyą. Deklinacyj jest dwie: rzeczowników i zaimków; wszystkie inne części mowy (prócz czasownika) odmieniają się według jednej lub drugiej. Konjugacyą nazywa się odmiana czasowników. Każdy wyraz jest obrazem jakiegoś pojęcia; ale w umyśle pojęcia nie chodzą luzem, tylko skojarzone z innemi, a wtedy dopiero powstaje myśl, to też i wyrazy łączą się z sobą według stałych zasad w pewne gromady i tym sposobem powstaje zdanie. Ten proces łączenia się i jego prawa podpatruje i objaśnia nauka zwana składnią. Wreszcie pojedyncze wyrazy mogą zmieniać swoje znaczenie; nauka o tych przemianach zwie się semaziologią („znaczennią"). Stanowi ona przejście od właściwej gramatyki do słownika. Słownik prawdziwie naukowy, słownik idealny, powinien zawierać w sobie wszystkie wyrazy, jakie są w danym języku, podać ich znaczenie ze wszystkiemi odmianami i zmianami i podać pochodzenie (czyli etymologię) każdego wyrazu.

Obserwując fakta językowe w zakresie tych kategoryj widzi się nieustanny ruch; w języku panuje ciągłe a pełne sił życie.

Jedne formy giną, powstają nowe, istniejące podlegają nieustannym zmianom. Z chwilą, w której w języku ustają te przemiany, język obumiera, staje się martwym. To życie jest bardzo silną pokusą do uważania języka za jakiś twór odrębny, organiczny, za wytwór przyrody, istniejący całkiem poza człowiekiem i niezależnie od niego, a naukę o nim za jednę z nauk przyrodniczych. Ale tak nie jest. Język jest tworem ludzkim, a rozwój jego zależy od właściwości człowieka fizycznych i umysłowych. Stąd też wszelkie przemiany językowe pochodzą z dwóch przyczyn[1]: fizycznej i duchowej.

Pierwsze nazywamy zjawiskami fonetycznemi. Język dąży do wyrażenia wszystkiego, co człowiek myśli i chce powiedzieć, w sposób możliwie najłatwiejszy, zużywając na to jak najmniej pracy. Stąd gdy powstanie zbieg spółgłosek, trudny do wymówienia, wtedy się go w różny sposób usuwa, a grupę całą przekształca; jedne głoski są trudniejsze do wymówienia w pewnem otoczeniu, więc się je znowu modyfikuje; czasem z dwóch różnych głosek powstają dwie jednakie (assymilacya), z dwóch jednakich dwie różne (dyssymilacya); dwie samogłoski ściągają się w jednę i t. d. — ogromny to szereg zjawisk. Może nie zawadzi kilka przykładów. Wyraz *serce* w najdawniejszej polszczyźnie brzmiał *sirdce;* największą trudność sprawiała grupa *rdc*, więc najpierw usunięto *d*, pozostało *sirce;* grupa *ir* jest trudniejsza do wymówienia niż zbliżona do niej *ér*, więc zaczęto mówić *siérce;* z tego zrobiło się *sierce*, bo *e* mniej wymaga pracy niż *é*, wreszcie z tego samego powodu z *sierce* powstało *serce*. Wyraz *prześcieradło* miał pierwotną postać *prześcieładło;* że tu wymówienie dwóch *ł* nie było wygodne, więc jedno z nich przeszło w pokrewne *r*. Wyrazy: *co, cny, cnota, bóstwo, mnóstwo* brzmiały dawniej *czso, czsny, czsnota, bóżstwo, mnóżstwo*. Z *obwarzanek, obwóz, obwłok* powstał *obarzanek, obóz, obłok*.

Obok fonetycznych są zjawiska, których przyczyna jest natury duchowej; zowiemy je analogicznemi. Jedne formy wpły-

[1] J. Baudouin de Courtenay. „O ogólnych przyczynach zmian językowych“ (Prace filologiczne, t. III).

wają na drugie i upodobniają je do siebie. Analogia[1] działa we wszystkich kategoryach gramatycznych, bywa więc analogia fonetyczna, morfologiczna, składniowa, leksykalna. Jej powód jest taki sam, jak przy zmianach fonetycznych: dążność języka do wyrażenia myśli za pomocą jak najmniejszej pracy. Tam jest praca fizyczna, tu umysłowa. W obu razach zmniejsza się ją, w pierwszym zastępując dźwięki trudne łatwiejszymi, w drugim podciągają jedne formy pod kategoryę innych, częściej używanych a przez to silniejszych, więcej wbijających się w pamięć. Najlepiej objaśnią rzecz przykłady. Wyraz *ojciec* brzmiał w języku dawnym *ociec;* w dalszych przypadkach *ońca, ońcu, ońcem* i t. d. Z tych form, jak *ońca* i podobnych drogą przemian fonetycznych powstało *ojca, ojcem, ojcowie*, a w 1 przyp. było jak dawniej *ociec*. I tak mogło zostać, bo forma *ociec* jest zupełnie dobrą do wymówienia. Ale ponieważ ona zanadto odbiegała od wszystkich innych przypadków, w których jest *j*, więc na jej zapamiętanie trzeba już większego wysiłku myśli. Aby sobie tego oszczędzić, z formy *ociec* zrobiono *ojciec* na wzór innych. Trzeci przyp. l. mn. rzeczowników żeńskich kończył się na *am: siostram, głowam, rękam,* ale na wzór męskich *panom, sąsiadom* i nijakich *dziełom, latom* powstały formy *siostrom, głowom, rękom* tym sposobem we wszystkich deklinacyach jest w tym przypadku jedna końcówka, co dla myśli jest wielkiem ułatwieniem. W wyrażeniu *od stóp do głów* druga połowa utworzona jest na wzór pierwszej. Osobną odmianą analogii jest analogia leksykalna, dotycząca znaczenia wyrazów. Jeśli mówiącemu wyraz jakiś staje się wskutek różnych powodów niezrozumiałym, wtedy przekształca go na wzór podobnego brzmieniem a znanego i zrozumiałego. Jeden przykład: był w staropolskim wyraz *szedziwy,* i znaczył tyle, co stary, siwy; ale z czasem stał się niezrozumiałym, więc pod wpływem wyrazu *sędzia* zmieniono go na *sędziwy*. Tym sposobem wyraz, który pierwotnie znaczy tylko stary, teraz jest zarazem synonimem jakiejś powagi, właściwej sędziemu. Analogia leksykalna działa ze szczególną siłą przy przy-

[1] Zob. artykuł: „Analogia językowa" (pr. Kryńskiego) w Encyklopedyi powszechnej, t. III. Warszawa 1890.

swajaniu wyrazów obcych, bo wtedy nierozumienie jest największe, zwłaszcza u ludu, któremu trudniej jest rozumieć niż wykształconym; stąd nazywa się etymologią ludową albo słoworodem ludowym [1].

Zasób wyrazów języka polskiego składa się ze słów rodzimych i przyswojonych. Rodzime są te, które język polski przyniósł z sobą ze swojej kolebki, które zatem są mu wspólne z innymi językami słowiańskimi, należały bowiem niegdyś do języka prasłowiańskiego, a wyniesione były przezeń z pierwotnej siedziby Aryów. Oczywiście te wyrazy uległy przez długi przeciąg czasu najrozmaitszym przemianom, jedne pomarły, inne zaś rozrodziły się i dzisiaj każdy wyraz pierwotny, których kiedyś było niewiele, otoczony jest dużą gromadą dzieci, wnuków, prawnuków. Z jednego np. słowa *pan* powstała cała masa nowych: panek, paneczek, panicz, paniczyk, panisko, pani, paniusia, panna, panienka, panieneczka, paniątko, panosza, pański, panin, panieński, paniczykowaty, państwo, upaństwowić, spanoszyć się, panować, panowanie, pańszczyzna, pańszczyźniany i wiele innych.

Prócz rodzimych są słowa przyswojone z obcych języków. Podczas przyswajania wyraz obcy zazwyczaj się zmienia, przez co nabiera barwy rodzimej i zyskuje w języku prawo obywatelstwa. To przyswajanie odbywa się w różnych epokach. Już język prasłowiański posiadał pewną liczbę wyrazów, zapożyczonych od narodów sąsiednich; niektóre z nich przeszły do polskiego. Takimi są np. szkło, z gockiego *stikls*, chleb z *hlaibs*, chlew z *hlevs*, lichwa z *leihvan*, gamajda z *gamaids*. Również bezpośrednio na polski grunt przeszczepiono niektóre wyrazy z staroniemieckiego, być może, że w IX. lub X. wieku. Tu już przykładów jest więcej, np.: ksiądz (kuning), pieniądz (pfennig), ko-

[1] O niej piękna praca Karłowicza, „Słoworód ludowy". Kraków 1878. Ogromną zaś liczbę przykładów podaje praca prof. Malinowskiego. „Studya nad etymologią ludową" (w Pracach filolog., t. 1, 2 i 3). Wymienimy ich kilka. Z bakałarza zrobił się bekalarz, oczywiście przez zbliżenie z wyrazem bek, beczeć. Elementarz zamienił się na lamentarz, bo dzieci nieraz lamentują nad nim. Lud pod Olkuszem wyraz feldmarszałek przemienił na furmasałek. Z mecenas powstało męcynas (przyczynek do poznania społecznych poglądów ludu). Z rezerwa — ozerwa. Z weteran — wytyran i w. i.

new (channa), rzodkiew (retih), chwila (hvila), szlachta (slahta), zwycięzca (witinc), pielgrzym (piligrîm). Następnie wskutek przyjęcia chrześcijaństwa przejął polski język wiele wyrazów łacińskich, zwłaszcza całą terminologię kościelną, czasem wprost z łaciny, najczęściej zaś za pośrednictwem języka niemieckiego i czeskiego. Ten ostatni wywierał wogóle silny wpływ na całe nasze piśmiennictwo średniowieczne: mamy tu oczywiście na myśli zabytki polskim a nie łacińskim pisane językiem. Tą drogą dostały się do polskiego liczne wyrazy łacińsko-greckiego lub niemieckiego pochodzenia jak: rzesza, hetman, mistrz; albo z zakresu kościelnego: papież, proboszcz, biskup, klasztor, krzyż, bierzmować, msza, ołtarz. Inne znowu noszą ślady czeskiego wpływu np.: smutny, smutek — rodzime polskie wyrazy na oddanie tych pojęć są: smętny, smętek; albo: praca, płaca, władza — formy czysto polskie byłyby: proca, płoca, włodza; albo inne jeszcze, jak: obywatel — po polsku powinnoby być obywaciel podobnie jak przyjaciel. Najwięcej jednak wyrazów dał nam język średnio-niemiecki *(mitteldeutsch)*. Obliczono, że liczba wyrazów niemieckich w języku polskim wynosi około 3% wszystkich wyrazów polskich [1]. Najsilniejszym był ten wpływ w czasie kolonizacyi niemieckiej w ziemiach polskich. Osadnicy niemieccy przynieśli z sobą niemiecką kulturę, a z nią niemieckie nazwy; cała terminologia miejska i rzemieślnicza, nazwy urzędów dworskich, broń, żeglarstwo i handel, sprzęty i naczynia, instrumenty muzyczne, wreszcie wiele wyrazów abstrakcyjnych — to wszystko ma nazwy niemieckie. Później wpływ ten osłabł, ale wyrazy w języku pozostały. W wieku XVI. wzmógł się wpływ łaciny [2], później włoskiego, wreszcie w XVII. i XVIII. wieku francuskiego języka. Po rozbiorach niemiecki znowu zaczął oddziaływać w zaborze austryackim i pruskim, w rosyjskim w ostatnich czasach język rosyjski. W gwarach podhalskich są wyrazy słowackie, rumuńskie i węgierskie. Na pograniczu Rusi i Litwy są wpływy ruskie i litewskie. Wreszcie mamy dosyć dużo wyrazów wscho-

[1] G. Korbut, „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym". (Prace filologiczne t. IV).

[2] Przez łacinę przejęliśmy wyrazy greckie.

dnich: tureckich, tatarskich, a za pośrednictwem tych ludów zabłąkało się też czasem słowo arabskie lub perskie. Dość wspomnieć tak często używane: żupan, kontusz, czamara, karabela, buława, batog, bizun, filiżanka, imbryk, dywan, kajdany, warkocz, haracz, ułan, tłomok, koczować i t. p. Znajdą się też pojedyncze wyrazy z różnych języków, nawet bardzo odległych: angielskie (może dzięki wyścigom), norweskie („ski“); wyrazy: cygaro, hamak, huragan, dostały się do nas od Indyan amerykańskich przez język hiszpański i zapewne francuski lub niemiecki i t. d. Wogóle w każdym języku znajdują się wyrazy cudzoziemskie, bo chyba niema narodu, któryby żył w zupełnem odosobnieniu od innych; każdy ma z sąsiadami jakieś stosunki, sprowadza od nich pewne przedmioty, z nimi często ich nazwy, nawzajem sam znowu innych dostarcza, czasem także z wyrazem; stosunki są zwłaszcza na pograniczu ściślejsze, i tym sposobem jeden język oddziaływa na drugi. Nauka o przechodzeniu wyrazów z jednego języka do drugiego jest bardzo ważna dla historyi kultury, bo wskazuje, skąd dany przedmiot został przyniesiony.

Stoimy u kresu naszej wędrówki po obszarach językoznawstwa polskiego. Widzieliśmy podczas niej ruch ożywiony na każdem polu, zrobiliśmy spostrzeżenie, że nauka polska wobec obcych wstydzić się niema czego, zwłaszcza że miała i ma przed sobą większe trudności i cięższe zawady, niż inne. Ale chociaż zrobiono dosyć, jest to zaledwie drobna część tego, co jeszcze może być zrobione. Przedewszystkiem musi być język zbadany w historyi. Przemiany głosowe, deklinacyjne i konjugacyjne, składnia, zmiana znaczenia wyrazów — to wszystko jak się odbywało, jakiemi szło drogami, od najdawniejszych czasów do dni dzisiejszych: oto zadanie czekające opracowania. Obok tego domagają się pracy nad sobą gwary ludowe. I to może nawet pilniejsze niż tamto. Z czasów dawnych mamy język zachowany w książkach; ten nie ginie i nie zmienia się. Tymczasem gwary ulegają ciągłym zmianom, a skutkiem tego może być nieraz zatrata jakiejś formy albo jakiegoś wyrazu, któreby mogły ob-

jaśnić cały szereg faktów językowych. Zresztą do historyi języka mamy studyów stosunkowo dość dużo, do gwar bardzo niewiele; tem usilniej trzeba się starać tę lukę zapełnić.

Skoro będziemy mieli jedno i drugie, przystąpimy wtedy do gramatyki polskiej, która razem ze słownikiem języka polskiego jest ostatecznym celem naszej nauki. Dziś jeszcze na nią za wcześnie. Naprzód trzeba przygotować i wypracować cały szereg monografii, jak to się robi w historyi politycznej Polski i w historyi literatury, a wtedy dopiero będzie można zestawić całość. Ale do tego trzeba, aby i społeczeństwo choć trochę tą nauką się interesowało, od uczonych zaś, od gramatyków, mamy prawo wymagać, aby o ile można starali się wyniki swej pracy popularyzować, nie chować ich wyłącznie w kółku kilkunastu, choćby kilkudziesięciu specyalistów. Z harmonijnego współdziałania obu stron mogą wyniknąć rzeczy bardzo dobre; publiczność nie będzie uważała za stracone pieniędzy, łożonych przez instytucye publiczne na cele badań językowych, uczeni zaś będą może tem chętniej pracować i znajdzie się ich więcej, skoro zobaczą, że pracę ich, rzeczywiście niełatwą, a czasem bardzo nużącą, społeczeństwo umie ocenić.

Stanisław Dobrzycki.

ZYGMUNT STARY I WOJNA SZMALKALDZKA.

Szkic historyczny.

Do mniej znanych i wcale prawie nieopracowanych ustępów historyi polskiej należy druga połowa panowania króla Zygmunta I., nikt bowiem dotychczas jeszcze nie pokusił się o skreślenie obrazu ostatnich lat jego rządów, mianowicie epoki od wojny kokoszej, od r. 1536 aż do jego śmierci. Najobszerniejsze podręczniki kilkunastu zaledwie słowami zbywają te chwile, rzucają tu i ówdzie frazes, który wydając niekorzystne sądy o królu-starcu, wpaja w ogół mniemanie, że były to chwile zupełnej inercyi i powolnego konania tego króla, którego przedtem widzieliśmy tak dzielnym, zapobiegliwym, zarówno w sprawach wewnętrznych państwa, jak też w polityce wobec obcych mocarstw.

Tak jednak nie było. Niewątpliwie nie da się zaprzeczyć że w ostatnich latach swego panowania Zygmunt znacznie podupadł — nie dziw, umarł mając lat 81 — ale też nie tak zupełnie znów, żebyśmy go uważać mogli, jak to niektórzy historycy czynią, za zupełnego niedołęgę.

Wertując karty prześlicznego, jak na owe czasy, lecz niestety w większej części dotychczas jeszcze niewydanego zbioru dokumentów do jego panowania — tak zwanych Tomicyanów, przychodzimy stopniowo do przekonania, że sądy takie, dla Zygmunta tak wielce niekorzystne, nie są chyba na żadnej pewnej podstawie ugruntowane, że ci, co je wydają, grzeszą

niezupełną świadomością rzeczy i przesadą, „robią go kozłem ofiarnym za wszystko złe jego wieku“. Co krok możemy napotkać ślady, które nas przekonują, że król ten nie był wcale tak niedołężnym, jakim go przedstawiają, że sprawami publicznemi się żywo zajmował, i to nietylko sprawami wewnętrznemi swego państwa, lecz nawet w sprawach zagranicznych nieraz słowo decydujące wypowiedzieć, wpływy swe na politykę zagraniczną wywrzeć usiłował; że bez wydatnego skutku, nie jego w tem wina, lecz słabych sił — zamiary i chęci były najlepsze.

Przedewszystkiem przebija się w nim ów prawy chrześcijanin-katolik, nie król-tyran i władca srogi, lecz król-ojciec, który z tego prawdziwie chrześcijańskiego stanowiska zapatruje się na świat, chce godzić spory, zażegnywać niesnaski, walki bratobójcze koić, dlatego, że tak każe Chrystus, religia. To co robił, starał się przeprowadzać drogą pokojową, oględnie, nie chciał muru głową przebijać: jak mówi Liske, „hazardów, gwałtownych ruchów nie lubił, czynnym był i zabiegliwym, ale nigdy na przebój, raczej zręcznie i ostrożnie, liczył się ze stosunkami, znał swój naród, stawiał groble wedle wody“.

Z pyłu zapomnienia udało się nam wydobyć jeden epizod, rozgrywający się właśnie w ostatnich latach jego panowania — 1546 i 1547 r.; epizod ten, zupełnie dotychczas nieznany może posłużyć jako ciekawy przyczynek do charakterystyki starego króla.

I.

W Niemczech od dawna tlejący pożar wybuchł w końcu w r. 1546: przyszło do wojny szmalkaldzkiej. Mnożyły się coraz bardziej powody, skłaniające cesarza do energicznego wystąpienia przeciw protestantom; znalazł też i poparcie u papieża. Koncesye na korzyść protestantów narażały Kościół katolicki na szkody; ażeby temu już raz stanowczo położyć kres, zwołał papież sobór do Trydentu na r. 1545. Kwestya, czy protestanci mają go obesłać i poddać się jego uchwałom, spowodowała ostateczny wybuch walki. Na sejmie w Wormacyi 1545 r. oświad-

czyli protestanci, że wcale nie myślą poddać się soborowi, bo uchwały jego zależą li tylko od woli papieża, że przyjmie to, co on zadyktuje; żądali więc jeszcze przedłużenia pokoju.

13 grudnia 1545 r. otwarto sobór trydencki; protestanci nie stawili się; wtedy papież wysłał Aleksandra Farnese do cesarza, ażeby go przynaglić do wystąpienia przeciw protestantom, i przyrzec pomoc i poparcie. Nie powiodły się układy, które cesarz starał się raz jeszcze nawiązać z protestantami — nie pozostawało nic innego prócz wojny. Stara się zapewnić sobie pomoc sprzymierzeńców; zjednał sobie księcia Wilhelma bawarskiego; w Hiszpanii przyznano mu milion dukatów, a w końcu przeszedł na jego stronę i Maurycy saski. Na 5 czerwca 1546 zwołano sejm do Ratysbony, lecz nikt się z książąt protestanckich nie stawił. Przedłożył tam cesarz sprawę soboru powszechnego. Posłowie książąt protestanckich odrzucili sobór powszechny, żądając natomiast soboru narodowego niemieckiego i utrzymania do tego czasu pokoju z 1544 r. Tymczasem wojna już była zadecydowaną; cesarz się zbroił, a 26 czerwca podpisał ugodę z papieżem. Związkowcy sami rozpoczęli wojnę; 40.000 wojska wyruszyło w pole, a książęta rozrzucili pismo, w którem oświadczyli, że chcą wojnę prowadzić z królem Karolem, który się zwie piątym rzymskim cesarzem, zarzucając mu, że złamał *pacta conventa*, wprowadzając obce wojska do kraju. W odpowiedzi na to rzucił cesarz na nich 29 lipca banicyę.

Związek szmalkaldzki zbroił się i konsolidował na dobre; przeczuwano, że cesarz gotuje swe siły przeciw nim, że papież mu pomocnym będzie. Obawiali się protestanci, że sobór uchwali coś stanowczego a zgubnego dla nich, że cesarz zechce poszukać u sąsiednich władców pomocy przeciw nim; starają się więc o to, ażeby się przynajmniej ze strony Polski zabezpieczyć, a co więcej nawet u niej pomocy zasięgnąć.

Nadarzyła się im tem lepsza sposobność, że książe pruski Albrecht, lennik Polski, protestant, był siostrzeńcem króla polskiego, Zygmunta Starego; postanowili więc użyć jego interwencyi w tej tak ważnej dla siebie sprawie. Podjął się on rzeczywiście tej misyi i w czerwcu 1546 r. wysłał poselstwo do

króla Zygmunta Augusta, aby ten wstawił się do ojca za Jerzym Fryderykiem, elektorem saskim i Filipem, landgrafem heskim, ażeby w razie, gdyby sobór przeciw nim jakie surowe kr.ki przedsiębrać zechciał, lub cesarz zapraszał do związku z katolikami przeciw nim, ażeby król nie dał się namówić [1]. Zarazem proszono o interwencyę do cesarza.

Król Zygmunt zajął wobec tej sprawy takie stanowisko, jak na prawowiernego katolika przystało. Poznajemy jego usposobienie w tej sprawie z listu, którym odpowiedział na prośby Albrechta [2]. „Otrzymaliśmy listy wierzytelne książąt Jana Fryderyka, elektora saskiego, i Filipa, landgrafa heskiego, zarazem wyrozumieliśmy z listu WXMci, czego od nas żądają. Wiadomo nam, że sobór powszechny, którego wszyscy tak gorąco od dawna oczekują, odbywa się w Trydencie. Zawezwano tam tych także, co siebie nazywają protestantami; dlaczego się wzbraniają tam przybyć, nie możemy wyrozumieć. Boga prosić będziemy, ażeby umysły ich ochronił od spaczenia i użyczył im swej łaski, by za jego łaską stało się, ażeby wszyscy przyszli do poznania prawdy, ażeby nie było pośród nas odszczepieńców. *Haec est voti nostri summa* dodaje w końcu.

Widzimy więc, że Zygmunt wcale nie był przychylny dla zmian religijnych, dla protestantów, że wzywał ich i napominał po ojcowsku, ażeby się na sobór stawili. Choć jednak pod tym względem był przeciwny postępowaniu protestantów, z drugiej strony, w chwili, gdy wybuchła wojna szmalkaldzka, chcąc w interesie całego chrześcijaństwa zapobiedz rozlewowi krwi, podjął się interwencyi w tej sprawie do cesarza Karola V. Misyę tę

---

[1] Hosii Epist. I, nr. 227, Cracoviae 19 Iuni: „Dux Prussiae functus est apud Mtem Regiam legatione nomine protestantium ut si quid in. Concilio durius contra illos decretum esset et ad societatem armorum Reg. Mtas invitaretur a catolicis, ne sibi persuadere pateretur, ut arma contra eos sumeret. Et habuit litteras fidei a Duce Saconiae et Landgrano. Ceterum non exposuit suam legationem nisi coram Regia Mte. iuniore atque eius intercessione usus missis fidei litteris Regiae Mti seniori legationem scriptam misit.

[2] Mscr. Bibl. Czartor. 285. Tomus vigesimus tertius epistolarum, Sigism. I. (continet a. 1545, 1546, 1547.) — Acta Tomic. nr. 85.

poruczono wojewodzie malborskiemu, Achacemu Czemie; wyekspedyowano go 21 lipca 1546 r. W obszernym liście [1] stara się król Zygmunt skłonić cesarza do zaprzestania wojny; nie wątpi wcale, że cesarz ma ważne zapewne i słuszne powody do obrazy, które go też skłoniły chwycić za broń, mimo to jednak nie da się zaprzeczyć, że akcya taka przynosi olbrzymią szkodę całemu chrześcijaństwu. Straszne niebezpieczeństwo grozi ze strony Turków, którym ta wojna szeroko otwiera bramę na Węgry; już zdobył Turek na Węgrzech kilka twierdz i zamków, a wywabiła go z domu wieść, że cesarz prowadzi wojnę z chrześcijanami, że zatem ma ręce związane i nie będzie mógł przeciw niemu wystąpić. Nie boją się też Turcy nikogo prócz cesarza, a teraz i jego potęga im nie straszna. To z jednej strony są zgubne skutki wojny; z drugiej strony z kim prowadzi cesarz wojnę? Czyż nie są oni kość od kości i krew od krwi jego? Prawda, że obrazili oni ciężko cesarza, lecz właśnie wielcy mężowie nieraz zapominali swych uraz prywatnych dla dobra publicznego; wielka rzecz właśnie poświęcać swój gniew dla sprawy całego chrześcijaństwa; to dopiero rzecz godna wielkiego ducha. Tyle wojsk już cesarz nieraz zwyciężał; niech więc stara się teraz siebie samego zwyciężyć; niech więc używa najpierw wszelkich środków, probuje na wszystkie sposoby inaczej sprawę załagodzić, a nie doprowadzać do rozlewu krwi; niech strzeże się przelewać krew tych, dla których zbawienia sam Chrystus niegdyś krew przelał.

Z drugiej strony udał się król i do książąt związku szmalkaldzkiego [2] z ojcowskiemi napomnieniami, ażeby wszelkich starań dołożyli, aby uniknąć rozlewu krwi w bratobójczej walce; niech starają się raczej na drodze pokojowej załatwić to, co chcą otrzymać. Tak, jak jednak interweniował w sprawie przywrócenia pokoju, żadną miarą nie chciał się czynnie mieszać niepotrzebnie w te sprawy, a tem bardziej uważał za rzecz nie-

[1] A. Tom., nr. 127. Legatio ad Carolum V. a Sigism. I. data Achacio Czemae Palatino Marienburgensi.

[2] A. Tom., nr. 130. 21 Iul. 1546. Legatio Czemae ad principes Germaniae.

godną popierać protestantów[1]: „byłoby głupiem i niegodnem naszych siwych włosów — pisał — gdybyśmy mieniąc się katolikami, przeciw katolikom wyruszali, lub przeciw katolikom udzielali pomocy tym, którzy od Kościoła katolickiego odpadli". Siostrzeniec króla, Albrecht, książe pruski prosił o pomoc pod pozorem, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony cesarza, że gotów on na niego uderzyć; prosił Zygmunta Augusta, by wstawił się za nim do ojca; lecz ten żadną miarą na to przystać nie chciał[2], napominając go zarazem, aby się nie ważył mieszać do wojny szmalkaldzkiej i wspierać związkowców[3].

Ażeby uniemożliwić wszelkie samozwańcze zapędy, równocześnie wydał rozkaz, ażeby nikt z Polski nie ważył się na wojnę wychodzić za granicę[4], nie chcąc nawet w ten sposób być w tę sprawę wmieszanym.

Tymczasem interwencya nie zdołała już doprowadzić do pogodzenia się obu stron: wojna już się toczyła. Poseł zastał cesarza w październiku w obozie pod Assmanhausen, wygłosił przed nim długą, piękną mowę i oddał list. Cesarz jednak dał odmowną odpowiedź[5]. „To co WKMć w liście swym przedłożył i ustami posła wypowiedział w celu przywrócenia pokoju, chętnie wysłuchaliśmy i nie wzięliśmy tego WKMci za złe, wiedząc, jak wiele zależy WKMci na utrzymaniu pokoju między chrześcijanami. Lecz jak to już WKMć słusznie sam zrozumiał, że my nie bez ważnych i słusznych przyczyn podnieśliśmy oręż przeciw naszym własnym poddanym: krok nasz jest nietylko zupełnie sprawiedliwy, ale nawet nieunikniony. Szkoda wspominać o niezliczonych występkach, jakich się dopuścili Jan Fryderyk, elektor saski, i Filip, landgraf heski, przewodnicy i podżegacze tego buntu przeciw całemu państwu i jego poddanym; wiadome one całemu światu. Choć tak długo zno-

---

[1] A. Tom. nr. 88.
[2] A. Tom. nr. 88. Sigism. I. Sigism. Aug. Cracov. 11 aug. 1546.
[3] Hosii Epistolae nr. 233. Mskr. Bibl. Czartor. 285.
[4] A. Tom. nr. 88.
[5] A. Tom. nr. 135.

siliśmy to i cierpieli, jednak przecież w końcu obowiązkiem naszym coś temu zaradzić, mimo że długi czas woleliśmy raczej wszystko znosić, wyprobowywać wszelkich możliwych środków, niż chwytać za broń. Oni zaś, zamiast poprawić się, nadużywając naszej łagodności i pobłażliwości, wzrastali coraz więcej w zuchwalstwo i nie poprzestając na dawnych wybrykach, broili dalej. Oto i teraz zbrojno sami wystąpili przeciw nam, do czego się już od dawna po cichu przygotowywali. Zatem nic w drodze pokojowej tu zaradzić nie można; chociażbym nawet sam chciał już wspaniałomyślnie wszystkich krzywd przepomnieć, to już sam interes całego państwa wymaga, by ich przecie raz upokorzyć. Krzywdy wołają o pomstę, którą tak postanowiliśmy wykonać, aby jak najmniej krwi się przelało, ażeby cały świat poznał, że do wojny skłoniła nas nie nasza własna chęć i samowola, lecz konieczność; zapewne chętniebyśmy odstąpili od wojny, gdyby na to pozwoliła niepoczciwość buntowników Chcemy przez tę wojnę przywrócić w państwie porządek i spokój, a wtedy zebrać siły przeciw największemu, wspólnemu nieprzyjacielowi całego świata chrześcijańskiego, Turkowi.

Poseł króla Zygmunta, Achacy Czema, miał następnie udać się i do książąt związku szmalkaldzkiego z ojcowskiem napomnieniem od tegoż [1].

Lecz oba obozy nieprzyjacielskie były blizko, a w obozie cesarskim dano Czemie do zrozumienia, że cesarz wziąłby mu za złe, gdyby wdawał się z jego nieprzyjaciółmi w pertraktacye i konszachty [2]; z tej przyczyny powrócił więc do Polski, nie dopełniwszy tej części swej legacyi.

II.

Interwencya, jakiej się podjął król, zjednała mu w Niemczech wiele wdzięczności. „Wynoszą pod niebiosa JKMC, że podjął się interwencyi, że znalazł się przecież jeden chrześci-

[1] A. Tom. nr. 130, 21 Julii 1546. Legatio Czemae ad Principes Germaniae.

[2] A. Tom. nr. 132: „significatum ei fuerat, minime id gratum Imp. Mti futurum".

jański władca, który wziął sobie za zadanie pogodzić zwaśnione Niemcy i klęski straszliwe, jakie nad niemi zawisły, stara się odwrócić“ [1]. Zewsząd starano się nakłonić króla, aby tego dzieła, którego się podjął, nie porzucił, lecz starał się je do skutku doprowadzić [2]. Rzeczywiście w krótkim czasie okazała się znów nagląca potrzeba nowej interwencyi. W Niemczech zmieniła się sytuacya ogromnie na niekorzyść protestantów. Cesarz, który nie chciał swych słabych sił wdawać w walkę z szmalkaldzkim związkiem, oczekując posiłków z Hiszpanii, nagle znacznie wzmocnił swe siły przymierzem z Maurycym saskim. 30 września przedłożył Maurycy warunki złączenia swych wojsk z cesarzem: żądał, by zapewniono mu elektorat i posiadłości Jana Fryderyka saskiego; 27 października przyjął je ostatecznie cesarz. Tak połączone wojska wkroczyły 6 listopada 1546 r. do Saksonii. Na wieść o tem zapanowała panika w obozie protestantów. Siły były słabe, nie było z czem wystawiać się na niebezpieczeństwo walki, wojska najemne wołały o zapłatę [3]; uchwalono zatrąbić do odwrotu. Jan Fryderyk saski pociągnął na północ, a Filip powrócił do Hesyi; cesarz stał się panem sytuacyi.

Wśród takiej trwogi zakołatano znów o pomoc do Polski, znów użyto pośrednictwa księcia pruskiego Albrechta, ażeby się wstawił do króla Zygmunta; ten też rzeczywiście pisał do króla prosząc o pomoc [4].

Niezrażony poprzedniem niepowodzeniem, podjął się Zygmunt Stary jeszcze raz interwencyi w tej sprawie; misyę poruczono ponownie wojewodzie malborskiemu Achacemu Czemie; wysłano go 29 grudnia 1546 r. [5]. Tym razem, chcąc zapewnić

---

[1] Hosii Epist. 241, Cracov. 14 Novemb. 1546: „scribit in coelum laudibus omnes vehere Mtem Reg., quod unus hic Princeps vere Christianus repertus est, qui pacem in Germania conciliare atque eas, quae impendent illi calamitates, avertere ab ea conaretur“.

[2] J. w.: „modis omnibus, ut quemadmodum coepit, pergat neque nisi perfecta re conquiescat. Quod vehementer optare Principes videntur“.

[3] Hosii Epistole nr. 233, 10 Septemb, 1546: „Iam in castris rebellium audiuntur voces ‚geld, geld‘ cum interea caesar abundet“.

[4] Rękop. Bibl. Jagiell. 91, nr. 27. Epist. Alberti 30, XI, 1546.

[5] A. Tom. nr. 132, 133.

sobie pomyślniejszy skutek udaje się jeszcze z prośbą o poparcie i do króla rzymskiego Ferdynanda[1]; przedstawia mu smutny stan na Węgrzech, ogołocenie ich zupełnie z obrony, podczas gdy z Konstantynopola nadchodzą wieści, że Turek gotuje się do pochodu.

Do cesarza[2] pisze, że z listu ostatniego poznał przyczyny, jakie go skłoniły ostatecznie do zbrojnego wystąpienia; uznaje, że są one zupełnie słuszne i ważne. Podobało się też królowi, że cesarz chce zemstę swoją tak wywrzeć, ażeby jak najmniej przytem krwi popłynęło. Otóż właśnie tym wypowiedzeniem cesarza zachęcony i ośmielony, mimo, że raz już się naraził na odmowną odpowiedź, zwraca się raz jeszcze z przedstawieniem, ażeby cesarz zaprzestawszy wojny z chrześcijanami, zwrócił się przeciw Turkom.

Poselstwo przyszło w niefortunną chwilę. Związek szmalkaldzki z początkiem 1547 roku znów był chwilowo górą. Na sam Nowy Rok zebrawszy jeszcze raz wojska, wkroczył Jan Fryderyk do Turyngii, zajął Hallę, a w dwóch tygodniach opanował cały kraj. Ale choć chwilowo odniósł zwycięstwo, musiał w końcu zaprzestać szturmów i cofnął swe leże pod Altenburg; Maurycy stanął obozem pod Chemnitz.

Położenie dla sprzymierzeńca cesarskiego Maurycego było przykre: pomocy nie było z nikąd, sam król Ferdynand był w krytycznem położeniu; wybuchł bunt, stany czeskie w marcu 1547 r. zawarły w Pradze związek i wysłały posłów do Jana Fryderyka.

Maurycy prosił cesarza o pomoc; ten wysłał mu 5.500 wojska, lecz dowódca tych posiłków, Albert Brandenburski, wpadł w ręce Jana Fryderyka, a wojsko rozpierzchło się.

Cesarz znalazł się w przykrem położeniu; papież pogniewawszy się z nim przeniósł sobór do Bolonii, odwołał swe woj-

---

[1] A. Tom. nr. 132. Sigismundus I. Ferdinando regi Rom. Cracoviae 29 Decemb. 1546.

[2] A. Tom. nr. 133. Sigismundus I. Carolo V. Regi Cat. Imp. Cracoviae 3 Januarii 1546.

ska, wstrzymał wypłatę subsydyów na wojnę, a począł wchodzić z Francyą w układy.

Wśród takich stosunków zastał list Zygmunta cesarza Karola chorego, zgryzionego w Ulmie, w którym interweniował w sprawie jego nieprzyjaciół.

Można się spodziewać było, że odpowiedź wypadnie zupełnie niepomyślnie. Tak się też stało [1]. Karol uznaje słuszność słów króla, bo któżby przenosił wojnę nad pokój, osobliwie, skoro Rzeczpospolita chrześcijańska znajduje się w tak opłakanym stanie: lecz znów do wojny tej są słuszne i ważne powody, bo jej podżegacze, choć po największej części ogołoceni z posiłków, pozbawieni nadziei, zupełnie rozbici i rozproszeni, przecież nie myślą wcale zaprzestać buntu. Niema końca ich wykroczeniom, gwałtom i rabunkom: zwracają się nawet przeciw tym, którzy im zupełnie nic nie zawinili. Sam król przecież uznaje, że słuszność jest po stronie cesarza, że postąpił sobie tak, jak był zmuszony koniecznością; dziwi się przeto cesarz, że król bawi się jeszcze w jakieś interwencye, skoro nawet nie wie nic pewnego — jak sam mówi — jakie jest usposobienie protestantów [2]. Nie potrzeba tu zresztą już żadnych akcyj dyplomatycznych: jest pewna nadzieja, że przy pomocy boskiej, co jeszcze z buntowników pozostało, albo sami dobrowolnie powrócą do posłuszeństwa, albo bardzo łatwo zostaną zmuszeni do zdania się na łaskę i niełaskę. Wiele miast, skąd buntownikom dostarczano nietylko żywności i zbroi, ale nawet żołnierza i pieniędzy, już albo własnowolnie, albo zmuszonych przemocą, poddało się; górne Niemcy już uspokojone, pozostaje chyba tylko jeszcze Saksonia, ale i tę cesarz przy pomocy boskiej wkrótce zdoła pokonać, a wtedy będzie się można wziąć i do Turka. Tyle odpowiada królowi na rady jego, aby wiedział, że nigdy nie pogardza zbawiennemi radami pokojowemi, ale nie może robić żadnej nadziei, bo nie jest to już w jego mocy. Jak tu zresztą wchodzić w ugody pokojowe, skoro niema na to zgody drugiej

[1] A. Tom. nr. 134. Carolus V. Sigismundo I. Ulma 3 Febr. 1547.
[2] Tamże.

strony — niema na to zgody związku szmalkaldzkiego. Niech więc król nie trudzi się darmo, nie naraża się na koszta wysyłając poselstwa [1].

Tak więc jeszcze raz zupełnie dobitnie i stanowczo odrzucił cesarz wszelkie interwencye i propozycye pokojowe.

III.

Taka li tylko dyplomatyczna interwencya nie wystarczała protestantom i nie mogła ich zadowolić; chcieli oni koniecznie uzyskać posiłki i pomoc od króla, ale ten wcale — jak już powyżej wykazaliśmy — nie chciał się w te sprawy mieszać. Tak jak dawniej rozporządził, ażeby nikt pod żadnym warunkiem nie ważył się wychodzić za granicę na wojnę, tak i teraz powtarza swój rozkaz hetmanowi Janowi Tarnowskiemu [2]. Mimo to jednak książęta niemieccy wciąż urgują Zygmunta, teraz już inną drogą. Tym razem interweniuje zięć Zygmunta I., Joachim [3], margraf brandenburski i jeszcze raz Albert książe pruski [4], ażeby król ponownie zechciał się wstawić do cesarza. Gdy prośba ta nadeszła, Achacy Czema wysłany do cesarza, jeszcze był nie powrócił. Zygmunt — jak widać z listu — już z zniecierpliwieniem odpowiada: „proszą nas o interwencyę, a nie podają zgoła żadnych warunków; gołosłowne pertraktacye tu wcale nic nie pomogą [5]. Jak tu wśród takich stosunków poradzić — nie wiemy [6]. Skoro chcą coś uzyskać, niech najpierw podadzą warunki, bez których, gdybyśmy chcieli pertraktować, moglibyśmy się narazić

[1] Mskr. Bibl. Czart. nr. 285. A. Tom. nr. 134. Carolus Sigism. I.: „Nos enim Ser. V. ut in legationem sumptus faciat et labores frustra suscipiat apud eos, de quorum voluntate incerta sit illi suademus".

[2] A. Tom. nr. 137. Sigismundus I. Ioanni de Tarnow Castell. Cracov. generali exercitus Regni Pol.

[3] A. Tom. nr. 138. Sigism. I. Ioachimo March. Brandenburgiae. Cracov. 4 Febr. 1547.

[4] A. Tom. nr. 140. Alberto Duci Prus. Sigism. I. 24 Febr. 1547.

[5] A. Tom. nr. 140. Alberto duci Pruss. Sigism. I. 24 Februar. 1547: „Etsi enim non nolle se ostendit (elektor saski) ut nos in pacificationem istam interponamus, tamen quibus conditionibus redire in gratiam cum Imp. Mte cogitet, non perscribit".

[6] Tamże: „Quamobrem quid consilii capiamus, prorsus nescimus".

na nieprzyjemności nieprzewidziane, a trzeba przecież zachować godność“ [1].

W kilka dni potem powrócił Achacy Czema od cesarza z odpowiedzią odmowną, poznał więc król — jak pisze do Albrechta [2] — że cesarz wcale sobie nie życzy interwencyi. Na takie *dictum acerbum* uznał, że trzeba przestać mieszać się zupełnie w te sprawy, aby — jak pisze — „miasto sprawy polepszyć, nie dolać oliwy do ognia...“ [3] tem bardziej, że druga strona wcale żadnych warunków nie podała. Protestanci nie przestawali drażnić nawet króla polskiego, swego dobroczyńcę. Donosił jeszcze dawniej zięć króla, Joachim brandenburski, że związek szmalkaldzki zagraża jego krajowi; upominał król Jana Fryderyka, ażeby się nie ważył granic Brandenburgii zaczepiać [4], bo wszelkich krzywd temu krajowi wyrządzonych srodze mścić będzie.

W tej chwili przyszło jeszcze jedno błaganie, żeby król starał się dla związku uzyskać, jeżeli nie pokój, to przynajmniej choć rozejm na jakiś czas [5]; było to już w przededniu Mühlbergu. Lecz tym razem już odmówił Zygmunt stanowczo [6], zrażony poprzedniemi odmowami, na jakie się był naraził; zresztą wziął król tę sprawę znów z czysto moralnej strony: dla związkowców miał teraz już li tylko ojcowskie napomnienia.

„Jak, i dlaczego — pisze — mielibyśmy się mieszać w te sprawy, nie wiemy. W sprawach religijnych nie godzi się nam pertraktować z cesarzem, zresztą stanowi o tych sprawach sobór powszechny. Żadnej tu innej rady dać nie umiemy, jak tylko, aby książe Saksonii uznał zwierzchnictwo cesarza, zdał się na jego łaskę i wspaniałomyślność i wszelkimi sposobami starał się

---

[1] Tamże: „Si potest... eliciat conditiones, sine quibus si de pace agere voluerimus, ne quod proxime, idem nobis iterum accidat periculum.— Aequum autem est, ut dignitatis etiam nostrae rationem habeamus“.

[2] A. Tom. nr. 143. Sigism. Alberto duci Pruss. 5 Martii 1547.

[3] Tamże.

[4] A. Tom. nr. 136. Sigism. Ioh. Friderico elect. Sax. Cracov. 3 Febr. 1547.

[5] A. Tom. nr. 144.

[6] A. Tom. nr. 144.

go przebłagać — nie widzimy tu innego sposobu, innej możliwości, jak by tu w końcu przywrócić pokój“ [1].

Znów odzywa się tu w Zygmuncie ów prawy katolik, który bez wahania się, bez dyskusyi, bez wszelkich restrykcyj gotów każdej chwili uznać to, co sobór postanowi — nie może pojąć nawet, jak mogłoby być inaczej. Przebija się dalej ten poczciwy król-ojciec, który stawiając się w położenie cesarza, pojmuje je jako stanowisko ojca do dzieci, który każdej chwili gotów swych zbłąkanych synów, obiecujących poprawę, znów do łaski przywrócić, do serca ojcowskiego przycisnąć...

Tragedya zbliżała się szybko ku końcowi; ostatni akt — bitwa pod Mühlberg — rozegrała ją na korzyść cesarza; była ona zupełnym pogromem, straszną klęską dla związku szmalkaldzkiego.

Do ostatniej chwili pozostał Zygmunt na stanowisku, jakie był zajął: nie sprzyjał wcale protestantom, ale interweniował na ich korzyść li tylko dlatego, bo chciał doprowadzić do pokoju, uważając wojnę za klęskę dla chrześcijaństwa. Tak też wobec zwycięstwa cesarza, które ostatecznie przywracało pokój, zajął przychylne stanowisko i wysłał gratulacye przez posła Stanisława Wolskiego, napominając cesarza raz jeszcze, aby pamiętał o Turku [2].

Eugeniusz Barwiński.

---

[1] Tamże.

[2] A. Tom. nr. 152.

PEREZ GALDOS I JEGO DZIEŁA.

(Dokończenie).

Oto pierwsza część książki; druga oprócz nieco ironicznego opisu splendorów pogrzebowych biednej Fideli z całym orszakiem rozmów światowych, dziennikarzy zbierających notatki, pauprów i kumoszek weselących się niezwykłem widowiskiem — zawiera obraz długiego duchowego pojedynku między O. Gamboreną a Torquemadą, i ostatnie chwile Torquemady. Jeden z tych ludzi całe życie poświęcił Bogu — drugi mamonie; walka zatem trudna, bo choć dusza i rozum u misyonarza silniejsze i zdrowsze, dusza skąpca co chwila wymyka mu się z dłoni. Łatwiejby poszło, gdyby się bronił uparcie. Ciekawe to do czytania w całości; niepodobne prawie do podania w streszczeniu. Antypatya Torquemady do siostry żony wzrasta do rozmiarów nienawiści; sam widok jej wzbudza w nim gniew: Czemuż nie ona umarła ale Fidela? O. Gamborena pracuje usilnie nad poprawieniem stosunku. Wie on, że w duszy skąpca wiara pozostała w charakterze raczej zabobonu niż religii; powiedział mu raz, że pójdzie do piekła, a choć mówił warunkowo, Torquemada uląkł się i przez kilka nocy nie mógł spać.

Przy nowej nadarzonej sposobności znowu rozpoczęła się dysputa między księdzem a wekslarzem. Torquemada wreszcie przyparty do muru, proponuje układ.

„Układ? — woła ksiądz. — Tu niema potrzeby układu. Zdaj pan sumienie w moje ręce i kwita.

„Do tego właśnie zdążam: Franciszek Torquemada zgadza

się na oddanie rządu nad sobą O. Gamborena, pod warunkiem, że O. Gamborena mu zaręczy...

„Co mam zaręczyć? Kiedy? Gdzie?

„Uspokój się Ojcze. W interesach lubię jasność. Jest to u mnie dawny zwyczaj stawiać wszystko jak najwyraźniej i dobrze powiązać końce...

„Ale w sprawach duszy...

„W sprawie duszy, tak. Mamy zatem przed sobą mianownik, który zowiemy duszą, nadając mu przypuszczalną wartość grubego kapitału, najgrubszego ze wszystkich kapitałów.

„Dobrze, dobrze.

„I oczywiście ja, traktując o ulokowanie tego zrealizowanego kapitału i zabezpieczenie go, muszę najszczegółowiej przedyskutować warunki. A zatem ja, powierzam Ojcu to, co odemnie żądasz — sumienie... Dobrze. Ale Ojciec musisz mi zaręczyć, że gdy ja oddam, to już muszą dla mnie stanąć otworem bramy wieczystej chwały, że mi je sam Ojciec odemkniesz, skoro masz klucze po temu. Z obu stron winna być akuratność i dobra wiara. Gdyż ostatecznie byłoby bardzo smutno, mój drogi księże misyonarzu, gdybym ja dał mój kapitał a potem się pokazało, że niema ani bram, ani nieba, ani Chrystusa, który je stworzył...“

„A zatem ni mniej ni więcej tylko zaręczenie, weksel?!... — rzekł ksiądz nieco wzburzony“.

Rozmowa ta przeciąga się jeszcze długo i ostatecznie nie pozostaje bez skutku.

Ksiądz dokonuje zaprowadzenie pewnego *modus vivendi*, mającego zapewnić choć powierzchowną zgodę. Cruz posiadająca obecnie, po uregulowaniu interesów, własne swoje dochody, pozostaje w pałacu Gravelinas na straży biednego dziecka i skarbów rodzinnych. Spokorniała ona bardzo i przycichła; świecką ambicyę z jej serca wygnała śmierć; w miejsce zaś ambicyi wstąpiła pobożność egzaltowana, objawiająca się modłami bez końca i uczynkami miłosiernymi bez miary. Radaby się objawić i w umartwieniach bezmiernych, gdyby O. Gamborena, trzymający ster tej gwałtownej duszy, nie nakładał jej ustawicznego hamulca. Najpiękniejszym objawem cnoty jest złagodnienie,

ustępstwa na każdym kroku, poddanie się kapryśnej woli szwagra, który za nie, ma się rozumieć, żadnej nie okazuje wdzięczności. Cruz jednak nie zniechęca się; nie zniechęca się również i O. Gamborena, choć praca jego nad duszą skąpca postępuje tak, jak wędrówka owego pielgrzyma, co to ślubował iść do Częstochowy, stawiając zawsze jeden krok naprzód a jeden w tył. Torquemada radby się zbawić, ale tanim kosztem: kupiłby raj za pół miliona, byle mógł resztą obracać na giełdzie. Śmierć żony zachwiała mu, już i tak nietęgie zdrowie, ale nie zgasiła chciwości złota. Miał go już aż zanadto dla syna kaleki, w którego rozwój umysłowy już nikt nie wierzył. Torquemada gniewał się sam na siebie, gdy spostrzegał, że w sercu jego wstręt do idyoty zamienia się w litość i przywiązanie. Nie dla niego wszakże, ani dla córki, pracował dalej usilnie, gorączkowo: zbierał dla przyjemności zbierania, przez nałóg obracania pieniędzmi. W domu zaprowadził oszczędności niepotrzebne; oddalił trzy ćwierci służby, licznej dotąd wprawdzie, ale koniecznej do utrzymania książęcego gmachu, zachowując tylko ludzi niezbędnych dla osobistej obsługi. Była to sroga próba dla Cruz, ale ją zniosła w milczeniu; O. Gamborena nie sprzeciwiał mu się nigdy w sprawach doczesnych. Myśl jego duchownego pacyenta chwilami wstrząśnięta obawą śmierci, tonęła coraz bardziej w spekulacyach finansowych; w nocy, gdy nie mógł spać, poczynał rachować. A zdarzało się to obecnie coraz częściej; trawienie stawało się coraz cięższe i boleśniejsze — Torquemada zmieniał się w oczach. Wszystkie dolegliwości jednak kładł na karb kucharza Francuza, żółci, poruszanej tyranią bratowej, która nie wiedziała już, jak mu dogodzić, i dusznej atmosferze wielkiego pałacu i wielkiego świata.

Przyszła chwila, gdzie musiał zaprzestać pracy, a wtedy dla domowników rozpoczął się istny czyściec. Chory przechodził z dziecinnego rozdrażnienia w fazy jeszcze dziecinniejszej tkliwości; rozczulał się teraz zwłaszcza nad córką, zwąc ją swoim aniołem, swą jedyną pociechą, jedyną obroną w tej jaskini zbójów. Rufina usiłowała skorzystać z chwilowego wpływu, aby ojcu wykazać, ile Cruz jest dobrą i pełną dlań poświęcenia —

daremnie. Rozgoryczenie skąpca dochodziło do monomanii. Najgorzej bolała go przymusowa bezczynność, której winę upatrywał nie w chorobie, ale w złej woli otoczenia. Truła go myśl chorobliwa, że kapitał leżący spokojnie, sam przez się marnieje i znika, że pieniądze, któremi się nie obraca, tracą wartość, że wkrótce ujrzy się nędzarzem. Dniem i nocą trawił się tą myślą, której nie mógł inaczej odpędzić, jak łudząc się nadzieją prędkiego wyzdrowienia i powrotu do pracy.

„Stan jego pogarszał się z dnia na dzień; przyszło do tego, że sama myśl o jedzeniu sprawiała mu nudności, ciężkość na sercu i zawrót głowy. Jednej nocy, po długiej bezsenności popadł w gorączkową drzemkę, która zdawała się być raczej letargiem niż snem.

„Przed świtem przebudził się nagle, jakby wspaniały baldachim łóżka, na którem leżał, był się nad nim zawalił. Opadła go myśl straszna, przelatująca przez mózg jego nakształt gromu. Wyskoczył z łóżka po ciemku, zapalił świecę... Myśl nie rozwiała się, przeciwnie, wpiła się z większą siłą w jego wzburzony umysł: „Rzecz jasna, jasna jak słońce, oczywista a ze mnie ostatni głupiec, żem jej dotąd nie dostrzegł... Jestem otruty! Trują mnie wciąż!„. Ale kto jest zbrodniarzem? Nie chcę nawet pomyśleć... ale wspólnikiem jest Chatillon, ta bestya, ten parzygnat francuski. Bogu dzięki! teraz to widzę: codzień zadają mi troszeczkę, parę kropel czegoś. I tak umieram po trochu. Niema wątpliwości. Jeśli nie, to niech mnie dziś rozkrają a zobaczą. Przecież czuję w ustach gorzki smak tego paskudztwa... I jeszcze gotowi mi powiedzieć, że nieprawda... łotry!“

Niepodobna opisać smutnych godzin przerażenia, konwulsyjnego bólu i niepokoju, które przebył zanim zaświtał dzień. To drżał od zimna i zawijał się, to znów rozpalony odrzucał piernat. Myśl złowroga opanowała jego głowę, rozeszła się jak prąd elektryczny po wszystkich nerwach ciała, sprawiając mu straszliwe, Prometeuszowe męki: „Teraz myślę żołądkiem... ale to piękne za nadobne, boć przecie przed chwilą trawiłem głową“.

Światło poranne otrzeźwiło go nieco, wlewając mu w duszę

niejaką wątpliwość, co już samo przez się było pociechą. Może było prawdą a może nie. To się poddawał podejrzeniu, to znów je odrzucał. Nakoniec, do krocset!... rozsądek zwyciężył: „Otruć mnie! Co za szaleństwo! I po co?...“

Wstał; przyniesiono mu czekoladę, lecz zaledwie ją zoczył, poczuł nieprzezwyciężoną odrazę i straszna myśl powróciła z szatańską złośliwością: „Nie pij... nie pij... jeśli chcesz żyć...“

„Ramon — rzekł do służącego — słuchaj! Powiedz temu durniowi w kuchni, aby sobie sam wypił swoją miksturę. Od dziś dnia będziesz mi przynosił lampkę spirytusową. Sam będę czekoladę gotował.

Kazał zaprządz i cichaczem wymknął się z domu. Ładnego narobiliby hałasu, gdyby się spostrzegli, że chory od tylu dni zamknięty w pokoju, wybrał się raniutko na miasto!... Na świeżem powietrzu zrobiło mu się lepiej; kazał wyjechać z bogatych dzielnic, daleko, za miasto. Tu zdało mu się, że nowe życie w niego wstępuje; dzięki podnieconym nerwom nie czuł już ani bólu, ani gniecenia, ani zawrotów głowy. Po pewnym czasie, o dziwo! poczuł i głód, uczciwy głód, jakiego ludzie zdrowi, ciężko pracujący doznają. Postanowił pójść zjeść, ale Boże chroń, nie w domu, ani w jakiej wykwintnej cukierni, ale gdzie na przedmieściu, kędy na stary, ludowy sposób gotują, stare, ludowe potrawy. Znajdował się właśnie w pobliżu części miasta, kędy miał dawniej swój kantor wekslarski. Kazał się podwieść i jął piechotą, o lasce przechodzić ubogie ulice. Po drodze poznawał kramy i domy, witał jak starych znajomych jaskrawe szyldy, wystawy jarzyn i drobiu. Twarzy ludzkich tylko mało poznawał; ze starszych bowiem wielu pomarło, niektórzy się powynosili a dzieci natomiast wyrosły. Widok jego atoli wzbudzał pewne zaciekawienie; ludzie oglądali się, kobiety wystawały na progach. Nareszcie usłyszał swoje nazwisko; Tomasz Vellejo, apoplektyczny właściciel obskurnej garkuchni poznał go, i o mało nie uściskał. Był to dawny znajomy a nawet przyjaciel; nie zapomnieli oni o sobie. Parękroć nawet Vellijo zapukał był do milionera i otrzymał pożyczkę, którą najakuratniej zwrócił na termin; zachował był zatem nietylko łaski, ale i sza-

cunek starego druha. Torquemada po przywitaniu zaprosił się do niego na śniadanie, co wielki rumor wzbudziło w garkuchni; zbiegła się rodzina, domownicy i sąsiedzi — toż był zaszczyt dla całej dzielnicy ugościć tak wielkiego męża, markiza, senatora siedzącego na górach złota! A prócz tego było i uczucie wdzięczności: wieleż to dobrodziejstw na ubogich tych stron płynęło z pałacu Gravelinas! Poczciwcy chcąc Torquemadę ucieszyć, wychwalają mu cnoty bratowej, opowiadają wielu biedaków Cruz wspomogła w niedoli, w nędzy, w chorobie... Wielki człowiek krzywił się, lecz nie śmie protestować. Zaczyna jeść z apetytem młodzieńczym, gospodarz podsuwa mu jednę po drugiej najrozmaitsze potrawy a wszystkie niestrawne, dzikie, jakie tylko w Hiszpanii znaleść się mogą. Wśród entuzyazmu jednych, wzruszenia drugich, D. Francisco je i pije bez miary. Przytem zaś uporczywa myśl o truciznie powraca: teraz już wie na pewno, skoro w domu każdy kęs musi przeboleć a tutaj nic mu nie szkodzi... Aż w końcu, nagle przychodzi reakcya gwałtowna, straszna, której opisu wolimy czytelnikom naszym oszczędzić. Obecni w przerażeniu wynoszą go do powozu, radzi pozbyć się miłego przed chwilą a obecnie niedogodnego gościa. Torquemada zajeżdża do pałacu Gravelinas bez zmysłów, niemal konający...

Od tej chwili zaczyna się peryod powolnego gaśnięcia. Torquemada z długiego zemdlenia obudził się łagodny, chorobliwie tkliwy i czuły. Córkę chce całować po rękach, bratowej pali komplementa, nie obrusza się na zięcia, że doń sprowadził swego mistrza, d-ra Miquis. Owszem umizga się do tegoż, błagając, aby mu przedłużył życie dla dobra rodziny, dla dobra ludzkości: ma bowiem w głowie olbrzymie ekonomiczne plany, które przeobrażą świat. Przyrzeka mu pieniędzy bez liku, prosi, aby przewertował pałacowe archiwum, gdzie może znajdzie się jakiś zapomniany lekarski przepis, jaka przedhistoryczna recepta. O. Gamborena codziennie rano i wieczór odwiedza chorego, usiłując rozerwać go wesołą rozmową. Torquemada cieszy się doń jak dziecko i raz nawet jak dziecko prosi „o historyjkę“. Wtedy misyonarz w nadziei, że mu się w końcu uda rozmowę zwrócić

na pożądane sobie tory, poczyna opowiadać cudowne epizody misyjnego życia, przygody, prace i niebezpieczeństwa swoje i braci. Chory słucha z uwagą i zajęciem, ale tak, „jak się pieśni słucha“, a nie opowiadania istotnych faktów. Wszytko to przecież nie mogło być prawdą, jeno O. Gamborena za to wydał mu się genialnym poetą, stwarzającym na prędce całe gmachy fantazyi. Później zaś, gdy ksiądz zaczyna go namawiać do spełnienia, jak przyobiecał, obowiązków wiary, wywija się, mówiąc że niema czego się spieszyć i że zresztą nie ma na sumieniu grzechów żadnych.

„Jedyny, jaki miałem, to było posądzenie, że mnie Cruz chciała otruć, ale to już powiedziałem, a zresztą zła myśl może przyjść do głowy każdemu.

„No ale więcej niema nic? Proszę dobrze poszukać.

„Niema nic... i choćbyś Ojciec się zgniewał albo zgorszył, muszę oświadczyć, że jestem święty.

„Święty! To chwała Bogu. Może Pan sobie życzysz, abym ja ci się spowiadał?

„Nie, bo nie jestem księdzem... Być świętym to co innego. Mienię się świętym, bo nic złego nie robię nikomu.

„Czyś pan tego pewien? Oczywiście przyznam słuszność, jeśli mnie pan przekonasz. Czekam zatem na dowody... Chce pan, abym rzeczy ułatwił? Otóż panu pozostał już tylko jeden nałogowy grzech, to jest chciwość grosza. Proszę udowodnić, że może być świętym człek skąpy i chciwy, człowiek niekochający nic prócz pieniędzy, nieznający innych celów i dążeń, jak ściąganie do swego domu wszystkiego, co widzi poza domem. Proszę mnie przekonać, a pierwszy postaram się o pańską kanonizacyę.

„Ba! ba... dzieciństwo! Zawsze ta sama piła — skąpstwo i chciwość. No i cóż z tego? Gadanie, gadanie i gadanie. Wy księża znacie się na teologii, ale na interesach tyle, co kura na pieprzu. Bardzo proszę, cóż może być złego w tem, że przynoszę pieniądze do domu, jeżeli pieniądze dadzą się przynosić? A ta wielka operacya finansowa, jaką zamierzam, dlaczegóż ma być grzechem? Grzechem to, że zaproponują rządowi konwersyę

długu zewnętrznego na dług krajowy, wewnętrzny? Mój przyjacielu, czyż jest o tem choć słówko w soborze trydenckim. u Ojców Kościoła albo u tego, co zredagował biblię, podobno Mojżesz... Przecież konwersya zewnętrznego na wewnętrzny byłaby dobrodziejstwem dla kraju! Powiedz mi, mój św. Piotrze, co Pan Bóg na tem zyska, że *agio* stoi tak wysoko? Zatem jeśli mnie się uda zniżyć je i uczynić dobrodziejstwo krajowi i całej ludzkości, w czemże tu będzie grzech, do stu... Już widzę, że mi Ojciec powiesz, że szukam własnego zysku, a nie tylko dobra ludzkości — ale w jakiejże księdze praw, w jakim mszale, w jakiej biblii czy koranie stoi, że człowiek nie ma spodziewać się nagrody za swoją pracę? Czy jest słuszne, abym biegał z jednego ministeryum do drugiego, jak kot oparzony, bez żądania tantiemy za moje trudy? A czyż czynić dobrze krajowi nie jest też miłosierdziem? Bo czemże jest kraj, jeśli nie wielkim bliźnim? A jeśli ja pragnę, aby drudzy czynili dla mnie to, co ja czynię dla kraju, czyż to nie jest czarno na białem wykonanie przykazania: a bliźniego jak siebie samego!

„Święty, święty, święty... hosanna! — zawołał, śmiejąc się Gamborena, bo nie miał co robić, jak rzecz w żart obrócić — Trzeba przyznać, że choroba uczyniła pana dowcipnym. Ale... jakoś mnie pan nie do szczętu przekonał i obawiam się, że z temi wszystkiemi konwersyami długu, zmianą *agia* i poświęceniem dla kraju i ludzkości mój D. Francisco pójdzie sobie do piekła na samo dno, gdzie mu do reszty komisowe wypłacą buchalterzy Lucyfera, którzy z urzędu trudnią się podobnemi likwidacyami. Tak, do piekła! Muszę to panu powiedzieć w twarz, choćbyś się miał zirytować. Tam lecą głową naprzód ci, co za życia tylko zbierali bogactwa, a nie czynili miłosierdzia słowem ni czynem. Tak, do piekła! Obraza Boga przedwiecznego musi się wieczną karą odpłacić".

Torquemada próbuje jeszcze żartować, tłumacząc księdzu, że go straszy piekłem. a piekła niema, powoli jednak mięknie i pyta, co ma robić, aby się ratować. O. Gamborena przypomina mu, że dał ongi podobnemu doń żebrakowi swój stary, zużyty płaszcz, obecnie żąda płaszcza nowego, a z płaszczem

i reszty ubrania. Słowem, żąda, aby wielkimi czynami miłosierdzia odkupił żywot poświęcony mamonie. Chory nie odmawia, ale chce się jeszcze potargować i po odejściu księdza przez cały dzień oblicza sumy, czekając niecierpliwie wizyty wieczornej dla uregulowania rachunku. Wieczorem jednak przychodzi kryzys, po której dr. Miquis radzi mu wręcz, aby, nie czekając wyzdrowienia, „które może się opóźnić, pogodził się ze sumieniem, jak na chrześcijanina przystoi".

D. Francisco nie odpowiada. Słowa lekarza spadły nań jak grom; dokoła ogarnęła go ciemność i śmiertelny chłód. Gdy wrócił nieco do przytomności, Donoso perswaduje mu, aby z przyjęciem sakramentów nie zwlekał, jest to bowiem najlepsze lekarstwo nawet dla ciała. Argument ten okazuje się skutecznym. Torquemada przystaje w nadziei, że tym sposobem odzyska zdrowie. Trapi go jednak zawsze myśl o tym „płaszczu", o którym mówił misyonarz; pragnie w tym względzie poradzić się bratowej. Cruz siada przy umierającym i poczyna łagodnie mówić o miłosierdziu bożem, o potędze skruchy i miłości bliźniego. Torquemada przerywa jej zapytaniem, jaki, chcąc zbawić duszę, ma napisać testament.

Cruz odpowiada, że ona sama zapisała już na ubogich całą swą własność, wszystko... „Wszystko? — powtarza przerażony Torquemada — wszystko, wszystko!

Cruz jednak ciągnie dalej, że on mając dzieci, musi im według prawa zostawić dwie trzecie majątku, że zaś resztę tytułem restytucyi, gdyż wśród zebranych milionów znaczna część „powinna była pozostać gdzieindziej", radzi mu zapisać Kościołowi. A będzie to podwójna restytucya: albowiem niesłusznym zaborem dóbr kościelnych wzbogaciło się mieszczaństwo, dzięki przedażom niemal fikcyjnym, które można nazwać darowiznami. Z tych dóbr wyrósł wielki handel pieniężny, cały świat interesów, operacyi finansowych i wielkich dzieł publicznych. Z tych zaś on, Torquemada najwięcej wyciągnął zysków, jest zatem słuszne, aby je oddał, komu się w istocie należą. Chory wzdycha bardzo, ale się decyduje ponieść ofiarę. Dla niego jednak Kościół nie jest czem innem, jak O. Gamboreną, chce więc na

rzecz jego lub jego zakonu zrobić swój zapis. Ale ksiądz odmawia stanowczo za siebie i za zakon, który według swojej reguły żadnych zapisów przyjmować nie może. Pochwala dobry zamiar, ale z pieniędzmi nie chce mieć nic do czynienia. Torquemada zatem rozmyśla nad wyborem komitetu, któremuby wykonanie tej części testamentu powierzył. Cieszy się myślą, że żaden dziedzic utracyusz pieniędzy jego nie strwoni, lecz że będą użyte na wzniesienie kaplic, gmachów szpitalnych, a nawet katedr, na które patrząc, ludzie będą wychwalali jego imię. W zamian żąda od księdza znów zapewnienia, że będzie zbawionym.

Gamborena tłumaczy mu bardzo łagodnie, że to wszystko bardzo piękne, ale że Pana Boga przekupić nie można inaczej, jak darem własnego, skruszonego serca. Zapowiada, że przyjdzie go wyspowiadać wieczorem. I w istocie wieczorem nastąpiła spowiedź; chory osłabiony chorobą i przygnębiony obawą śmierci okazał się potulnym i cichym, ksiądz zaś wprawny do ujarzmiania najdzikszych ludzkich bestyi umiał tak dobrze korzystać z chwili, że w niecałe półgodziny mógł wyjść, zostawiając penitenta łagodnego, jak żaden baranek.

Nad ranem powrócił, obawiając się zmiany — ale nie. Zastał go pokornym i nieśmiałym jak dziecko, z porywczości, z ustawicznej ironii i buntu nie zostawało nic. Głos jego żałosny wzbudzał litość, leżał nieruchomy, twarz zsiniała grzęzła w poduszkach, a oczy wymowniejsze od ust zdały się wszystkich dokoła przepraszać. Nie było w nich nic krom miłości, zgody i przebaczenia. „Takie dobrodziejstwo zdziałała była śmierć samem ukazaniem się u wrót grzesznika".

„Dość wysoko już było słońce, gdy mu przyniesiono Pana Jezusa, bez wielkiej pompy, przy asystencyi tylko osób bliżej zaprzyjaźnionych. Nigdy nie wydał się tak pięknym pałac książęcy, jak dziś, służąc za wspaniałe tło wzruszającemu obrzędowi; poważny pochód przesunął się przez galerye i przedsionki pełne wyobraźni ziemskiej piękności; służba, choć znacznie zmniejszona, stała w pogotowiu, oddając hołd. Kaplica cała złocista od świateł, napełniła się zakonnicami w białych i niebie-

skich szatach, paniami o czarnych mantylkach. W sypialni chorego postawiono ołtarz, a nad nim tryptyk Van Eyka, ten sam który stał ongi nad katafalkiem Fideli. Wejście Najśw. Sakramentu poruszyło do głębi wszystko, co zawierała starożytna siedziba, wszystko bez wyjątku, osoby żywe i rzeczy, sztukę i ludzkość. Gdy zaś Boski Majestat wstąpił do sypialni, wzruszenie dosięgło szczytu, wyrażone najgłębszem milczeniem. Wśród ciszy zaś brzmiał głos kapłana pełen spokoju i miłości. W chwili, gdy przyjmował swego Boga Francisco Torquemada, markiz de San Eloy zdawał się innym człowiekiem. Innym od dawnego, innym też niż był wczoraj. Czy to przy blasku świec, czy z innej, wewnętrznej przyczyny twarz jego odzyskała barwy zdrowia, oczy błyszczały życiem. Wiał wyraz głębokiej czci, pokory czy onieśmielenia, niewysłowionej skruchy, mogącej jednak mieć źródło zarówno w najtkliwszych wzruszeniach duszy, jak w mimowolnej, instynktownej bojaźni".

Po skończeniu obrzędu i wyjściu procesyi, pałac powrócił do zwykłego stanu; do kaplicy tylko tłoczyli się jeszcze ludzie, jedni dla modlitwy, drudzy dla oglądania bogatych ozdób ołtarza. Chory tymczasem rozmawiał przez chwilę z O. Gamboreną, z bratową i przyjaciółmi, wyrażał z prostotą i szczerością swą radość z tego, co uczynił, przyjmował ich powinszowania. Czuł jednak, że musi odpocząć, zamknął oczy i wkrótce usnął snem tak głębokim, że obecni pytali się niespokojnie, żali się jeszcze obudzi. Dr. Miquis oświadczył, że tak, i że prawdopodobnie nastąpi znaczne polepszenie, a po niem śmierć. W istocie pod wieczór usłyszeli głośne ziewanie; Torquemada przebudzony wyciągał się, jak najzdrowszy człowiek. Budził się pełen nie już nadziei, ale pewności wyzdrowienia, to też nie posiada się z uciechy, wszystkich całuje, a Pana Boga chwali, że mu przywrócił życie. Napomniany łagodnie przez księdza, że w dowód wdzięczności powinien zdać się na boską wolę, odpowiada, że się jej ze wszystkiem poddaje — czuć jednak, iż to poddanie się ma za cel długie lata żywota, a nie chrześcijańską śmierć.

Zostawiony sam z przyjacielem, owym Josè Donoso, nieodstępnym w złych czy dobrych chwilach, układa z nim projekt

testamentu. Skoro bowiem Bóg zrobił swoje, musi i on dopełnić kontraktu. A prócz tego jest wdzięczny, o, bardzo wdzięczny! Komuż bowiem zawdzięcza zdrowie, jeśli nie Bogu? Prawda, że on ze swojej strony też niczego nie żałował, a Bóg, jeżeli mu wrócił życie, to przez miłość dla katolickiej Hiszpanii. Toż on musi dopełnić swego dzieła, przeprowadzić ową konwersyę państwowego długu — pierwsza to była myśl, gdy się obudził. Napróżno pobożny Donoso usiłuje umysł jego od rzeczy świeckich odwrócić; Torquemada tłumaczy mu swój projekt, a gdy tamten dalej protestuje, w końcu niecierpliwi się:

„A bo też wy, świętoszki, zaraz krzywicie się, gdy kto tylko wspomni o pieniądzach. Ciekawy jestem, dlaczego Pan Bóg, który wszystkiem rządzi, nie miałby się zaopiekować finansami Hiszpanii? Wojsko to przecie ludzie, których rzemiosłem jest zabijać, a mówią nam o Bogu Zastępów! Czemuż nie może być równie dobrze Bogiem Skarbu albo Bogiem Budżetu lub Handlu?“

Donoso wychodzi, ostrzegając tamtych o nienaturalnem podnieceniu chorego, polepszenie wszakże utrzymuje się i wieczorem Torquemada ma dość sił, aby wysłuchać testamentu i podpisać go w obecności świadków. Według rady Cruz podzielił dwie trzecie majątku na równe części pomiędzy córkę i syna, a trzecią część zapisał różnym zakładom pobożnym. Obecni mimowoli poczynają się łudzić, jeden dr. Miquis potrząsa głową. I nie myli się; około północy rozpoczyna się nowa kryzys, boleści i szarpanie okrutne. Torquemada wybucha gniewem: „A toż oszukaństwo, szachrajstwo, wierutna kradzież! Zaledwie on dał majątek, płacąc za odzyskane zdrowie, odbierają mu to, za co zapłacił!“ Księdza odpycha z oburzeniem, odpycha również córkę swą, zwąc ją pijawką, czyhającą na jego krew, woła Donosa, aby odmienić testament i cofnąć zapisy, wije się, jak robak zdeptany, złorzecząc i lżąc. O. Gamborema chce go surowo napomnieć, spostrzega jednak, że chory nie jest całkowicie przy zmysłach. Pod przemocą morfiny bóle ustają, odtąd jednak zaczyna się konanie. Cruz rozsyła po kościołach i klasztorach jałmużny, prosząc o modlitwy, za pozwoleniem biskupa

wystawia się w kaplicy Przenajświętszy Sakrament, przed którym księża i zakonnice mieniają się w adoracyi. O. Gamborena czuwa przy łożu, uważny na każdy krok Torquemady. Aż oto i przytomność powraca. Misyonarz chce z tego korzystać, przemawia do chorego w imię Boga i prawdy. Ale Torquemada czem innem zajęty: majaczą mu się anegdoty z młodych lat, poczyna je odpowiadać tonem lekkim, a napomniany, aby myślał o śmierci skarży się:

„Przecież mówiliście mi, że wyzdrowieję?

„Zawsze się to mówi chorym, ale człowiekowi rozumnemu, jak pan, niema co prawdy ukrywać.

„Jakto, więc nie będę zbawiony?

„Co pan rozumiesz przez zbawienie?

„Żyć.

„A tośmy nie w zgodzie; zbawienie jest czemś innem.

„Więc muszę umrzeć? Już niema rady?

„Nie!

Misyonarz czuł, że musi w tej chwili zadać ten cios, że mu nie wolno zataić prawdy... Chory zamilkł i zamknął oczy; na prośby, na modlitwy, na najczulsze wołania nie odpowiada. Wtedy misyonarz truchleje; o duszę skąpca rozpoczyna się ostatnia walka. Z jednej strony ksiądz, starzec o anielskiem sercu modli się, modli i błaga... z drugiej niewidzialny szatan czyha na pastwę. Choremu tymczasem marzy się, że ma przed sobą niebiańskie wrota, wąziutkie i nizkie, ale cudowne, sadzone brylantami i z samych sztuk złota ubite. Puka do nich i wrota odchylają się nieco i z poza nich wygląda twarz św. Piotra podobna do figury w kaplicy Bractwa, do sędziwego żebraka i do O. Gamboreny. Odziany jest w płaszcz wyszarzały, ten sam, który Torquemada żebrakowi darował.

„Ojcze otwórzcie mi! — woła we śnie i powtarza na jawie, widząc przed sobą twarz misyonarza. — Ojcze chciałbym wiedzieć... Wpuścisz mnie?... Masz klucz?...

„Bracie mój, nie myśl już o kluczach i jeśli istotnie pragniesz wejść, powiedz czy kochasz Pana Jezusa, czy żałujesz

za wszystkie grzechy, za chciwość, skąpstwo, krzywdę bliźniego, oziębłość w wierze?

„Żałuję — odrzekł Torquemada głuchym, ledwie dosłyszalnym głosem. — Żałuję i wyznaję...

„A teraz myśl tylko o Panu Jezusie, a gdyby co przyszło mącić twój spokój, twoje poddanie, odepchnij to uczucie, tę myśl...

„Odpycham... tak... Jezus... — wyszeptał chory. — Ale Ojciec otworzy? Proszę powiedzieć... bo jeżeli nie, to sobie tu zostanę.. Toć niemała rzecz... zrobić konwersyę... Kuby... na wewnętrzny...

„Bracie mój, odrzuć te wszystkie śmieci.

„Co — śmieci? Jak można!... — I jął mruczeć z cicha niezrozumiałe wyrazy".

Długi czas trwało milczenie; wieczorem ksiądz musiał odejść do kaplicy, aby schować Najświętszy Sakrament. Wróciwszy, zastał twarz chorego strasznie zmienioną, zdało się, że przez tę chwilę przebył nie lata lecz wieki. Lekarze nie mieli tu już nic do czynienia. Gamborena i jedna z zakonnic zajęli miejsce po obu stronach łóżka. Raz zdało im się, że już skończył; on jednak odetchnął na nowo i rzekł: „Dług zewnętrzny... Kuba... moja dusza... brama..."

Spojrzał po nich i obracając się do zakonnicy, zapytał: „Otworzycie, czy nie? Chcę wejść".

Misyonarz westchnął. Próbował jeszcze mówić do konającego, ale daremnie; zakonnica przyłożyła do ust jego krzyż, ale nie można było dostrzedz, czy go pocałował. Zda się, nie poczuł nawet ostaniego Namaszczenia. Po chwili jednak jął nieco przytomniej powtarzać: „Jezus... Jezus... zbawienie... przepraszam..." Potem już z warg jego wychodził raz po raz jakiś szmer niezrozumiały, w który Gamborena wsłuchiwał się chciwie, chcąc w niem ułowić jakie słowo nadziei. Czasem zdawało mu się dosłyszeć imię Jezus, czasem znów majaczenia o kluczu, o płaszczu, o procentach, o długu. Trwało tak dwie godziny. Nad ranem, widząc już koniec blizki, ksiądz i zakonnica podwoili gorącość modłów; w chwili jednak, gdy Siostra podda-

wała mu ostatnią modlitwę i krzyż do ust jego wznosiła, biedny skąpiec pożegnał się z tym światem, wymawiając bardzo wyraźnie wyraz: „Konwersya“. Parę sekund potem dusza jego zwróciła się ku wieczności.

„Powiedział konwersya — rzekła z radością zakonnica, składając ręce. — Chciał mówić o nawróceniu...

„Ale ksiądz dotykając czoła zmarłego, odrzekł chłodno:

„Konwersya! Tak, może mówił o nawróceniu, a może o konwersyi długu“...

Zakonnica nie zrozumiała dobrze aluzyi; oboje klękli i poczęli się modlić. Co jednak w czasie tej modlitwy myślał święty misyonarz, tego nie powiedział nikomu, ani wolno domyślać się profanom.

Przed ciemną zasłoną zakrywającą granice między światem znikomym a nieskończonością, świecki pisarz zmuszony jest się zatrzymać. Dość mu powiedzieć, że w tej najuroczystszej chwili dusza pana Margrabiego de San Eloy zbliżyła się do wrót, których klucze dzierży... ten, co je dzierży. Nie było widać nic; zgrzytnął tylko metal wrzeciądzów. A potem zagrzmiał huk zamykających się wrót, huk, od którego wstrząsają się światy. Tu wszakże staje straszne pytanie: czy duszę przed zamknięciem przepuszczono przez bramę, czy ją zostawiono przed bramą?

Na to pytanie nawet tutejszy św. Piotr, O. Gamborena, choć tyle wie i umie, nie zdoła nam odpowiedzieć. Autor zaś świecki, zatrzymując się z drżeniem przed najstraszliwszą, a równocześnie najpiękniejszą tajemnicą życia ludzkiego, nie śmie przez uszanowanie wydać wyroku. Dość mu powiedzieć:

Być może, iż Torquemada został zbawiony.

Być może, iż został potępiony.

Chyba René Bazin, oskarżający Galdosa o wolteryanizm, nie czytał dziejów Torquemady. Można w nich skrytykować wiele, można się pożalić, że nam każą patrzeć na zbyt długie konanie, że parafraza o wielbłądzie, przechodzącym przez oczko

od igły, przedstawiona w sposób przykry i pesymistyczny, ale niepodobna nie odczuć wielkiego prądu wiary, wiejącego na wskróś całego utworu. Z różnych ustępów „Nazarina“ i „Torquemady“ możnaby książkę refleksyj ułożyć. Oba utwory wyszły z druku w r. 1895, w obu drga to samo uczucie, ten sam gwałtowny, rwący polot ku niebu. W naszych czasach dużo jest dobrych ludzi, ale mało gorących serc. Nad Hiszpanią unosi się jeszcze duch św. Ignacego Loyoli, unosi się dusza św. Teresy. Nie dziw, że dźwięki hiszpańskiej liry trącą niekiedy o ich płomienne struny i wzniosły wydadzą śpiew.

T. W.

STREJK WOBEC ETYKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Nie ulega wątpliwości, że strejk obserwowany w tem konkretnem ukształtowaniu i zaostrzeniu, jakie zwykł przybierać w życiu, przedstawia się jako zjawisko pod względem etycznym niezwykle różnorodne i powikłane. Grają w nim rolę zarówno dobre, jak i złe czynniki, i bodaj czy te ostatnie nie częściej. Wchodzą w nim w grę sprzeczne interesa różnych warstw społecznych, wytwarzając trudne kolizye obowiązków i praw, przyczem nietylko w praktyce ale i w teoryi nie jest rzeczą łatwą zachowanie należytych granic i wskazanie właściwej miary. Trudność stąd jeszcze rośnie, że sprawy strejku czepiają się prawie zawsze namiętności i sprzeczne uczucia, powodując tem samem stronnicze i skrajne, dyametralnie przeciwne sądy. Obok ludzi, upatrujących z zasady w każdym strejku świętą i sprawiedliwą walkę, spotykamy innych, dla których ten środek jest ciągle jeszcze zuchwałym buntem rozpanoszonych i zaślepionych mas roboczych. Chcąc w tego rodzaju kwestyi wydać sąd ściśle objektywny, rozebrać ją trzeba zasadniczo i szczegółowo; to co w niej istotne lub od niej nieodłączalne, rozróżnić od tego, co drugorzędne i przypadkowe, a zasadniczych roztrząsań etycznych nie mącić odgłosami czy to polityki codziennej, czy interesów jakiejkolwiek partyi lub klasy. Tego

rodzaju analiza, z natury rzeczy nieraz drobiazgowa, czasem rozwlekła mniej się może wydać ponętną, niż szeroki pogląd, obejmujący jednym rzutem oka całość przedmiotu; ma ona jednak tę zaletę, że jest dość bezpieczną i pewną.

W czem tedy leży istota strejku? Nietrudno ją określić. Robotnik niesamodzielny, tj. posiadający wyłącznie siłę roboczą a pozbawiony środków produkcyi, i skutkiem tego zmuszony wynajmować swą pracę kapitaliście, skoro dojdzie — mniejsza o to: słusznie czy niesłusznie — do przekonania, że warunki, w jakich pracować musi, są uciążliwe lub wprost krzywdzące, zmawia się z towarzyszami, odczuwającymi tę samą co on dolę, i celem wymuszenia na przedsiębiorcy lepszych warunków, zawieszają zbiorowo pracę, obowiązując się między sobą tak długo jej nie podjąć, póki przedsiębiorca nie przychyli się do ich żądań.

Jednym z najgłówniejszych czynników w całej tej akcyi jest zawieszenie pracy — jemu też przedewszystkiem poświęcić musimy uwagę.

Cała kwestya obraca się koło pytania: czy i o ile robotnikowi przysługuje prawo zawieszać pracę, podjętą na rachunek drugiego, i zrywać własną powagą ten stosunek zależności, w jakim względem niego zostawał? Chcąc na to odpowiedzieć, uprzytomnić sobie trzeba, na jakich podstawach opiera się zależność robotnika od pracodawcy i skąd wypływa obowiązek pracowania dla drugich.

Etyka w formułowaniu zasadniczych swych praw nie bierze, ani nie brała nigdy za pierwszy punkt wyjścia stosunków faktycznych, historycznym wytworzonych rozwojem. Tak postępują niektóre nowożytne teorye prawne, które w najbardziej nawet podstawniczych normach prawnych nie widzą nic bezwzględnego i stałego, lecz tylko względny i czasowy wyraz przejściowych, chwilowo przewagę posiadających stosunków. Punktem wyjścia dla etyki był zawsze szczery, nigdy niezmienny grunt ludzkiej natury, w której istocie i celach znajdowała ona niezamącone źródło przyrodzonych praw człowieka i obowiązków. Tą drogą doszła ona pod wpływem nauki chrześcijańskiej do sformułowania

jednej z naczelnych swych tez, stanowiących przełom w dziejach ludzkości, że wszyscy ludzie z tytułu samej natury są sobie równi, że każdy ma wolność samoistnej determinacyi swych czynów, a nikt drugi nie posiada z natury prawa zmuszać go do tych czynów, lub ich kategorycznie od niego żądać. Bogu tylko przysługuje nieograniczone prawo krępowania wolności najwyższemi swemi prawami czy to naturalnemi, czy pozytywnemi; nadto w pewnych określonych granicach przysługuje ono i władzy państwowej, która dla względów dobra publicznego może ścieśniać wolność jednostek i domagać się od nich pewnych czynów. Nikt jednak prywatny nie rodzi się z naturalnem prawem do usług drugiego i niema z natury żadnego upoważnienia używać go do swych celów jako środek lub narzędzie. Jedyną podstawą zależności jednostki od jednostki, jako takiej, mogą być tylko prawa słusznie nabyte — kto twierdzi, że je posiada, winien to wykazać. Musi on być w stanie powołać się na jakiś fakt konkretny, na jakiś tytuł prawny, który tę zależność w granicach sprawiedliwości wytworzył, a nie podległ jeszcze unieważnieniu lub przedawnieniu.

W dawnych okresach historycznych istniały różnorodne tego rodzaju tytuły prawne, wytworzone naturą ówczesnych stosunków, usankcyonowane współczesnem prawodawstwem, a stawiające pewne warstwy społeczne w częściowej, ale stałej zależności od drugich. Dość tu przypomnieć czasy pańszczyźniane i feudalne. O ile te tytuły były słuszne, i jak długo wytworzona na ich podstawie zawisłość, przynosząc rzeczywiste pożytki nie przekraczała granic, wskazanych prawem natury, o tyle i tak długo uznawała je w zasadzie i etyka, choć protestowała zawsze przeciw nadużyciom, gdziekolwiek się pojawiły. Z czasem jednak, kiedy te nadużycia poczęły coraz bardziej wzrastać, doszło do tego, że wszystkie owe tytuły prawne zostały usunięte i straciły moc obowiązującą. Sama przynależność do pewnej klasy społecznej przestała być odtąd tytułem czy to zawisłości prawnej, czy władzy nad drugimi. Panującą zasadą na wszystkich polach życia społecznego stała się (przynajmniej *de iure*) wolność i niezależność, przyznana wszystkim warstwom i stanom. Każdy ma

prawo obierać sobie zawód, który mu się podoba, i rozporządzać swą siłą roboczą, jak zechce: poza sferą zależności rodzinnej i państwowej, jedynem źródłem, z którego wypłynąć może zawisłość prawna jednostki od jednostki, jest wolna wola jednostki, nadająca drugiej pewne prawa nad sobą. Dzieje się to przez wolny kontrakt, czyli umowę prywatną.

Nad tą zdobyczą ostatnich czasów można się unosić lub nie unosić, nie można jednak jej ignorować i wchodzić w życie społeczne z pojęciami, należącemi do minionych czasów. Choćby to komuś było niedogodnem, wolność i równość prawna jednostek istnieje, a o ile nie jest ona zaprzeczeniem odwiecznego prawa natury, nakładającego na wolność ludzką pewne ograniczenia, o tyle godzi się na nią w zupełności i etyka, owszem uważa ją za rzeczywisty i niedający się zaprzeczyć postęp ku lepszemu.

Istnieje ta wolność prawna i na polu gospodarczem. Na targu pracy wobec przedsiębiorcy, posiadającego kapitał, a poszukującego sił roboczych, staje wolny i równy mu wobec prawa robotnik, który pracą swych rąk chce sobie zdobyć środki życia. Każdy z nich przedkłada swe żądania i stawia warunki, które druga strona przyjmuje lub nie, wedle swego sądu i woli. Jeśli dojdzie do porozumienia, obie strony zawierają umowę, przez którą wkładają na siebie wzajemnie pewne obowiązki. Robotnik zobowiązuje się do pewnego terminu i przy oznaczonych warunkach wykonywać pod kierownictwem pracodawcy lub jego organów pewną mniej lub więcej określoną pracę, przedsiębiorca obowiązuje się ze swej strony dawać robotnikowi za jego usługi odpowiednie, umową określone wynagrodzenie. Jest to tak zwany kontrakt najmu pracy lub wogóle usług.

Istnieją szkoły i partye, które ten system najmu uważają za niedoskonały i przejściowy, a nawet za krzywdzący i niesprawiedliwy. Utrzymują, że w dalszej fazie rozwoju stosunków ekonomicznych nastać muszą powszechnie inne formy połączenia pracy z kapitałem, oparte na kontrakcie spółkowym w różnych jego zastosowaniach. Nie wdając się tu w szczegółową ocenę tych poglądów, to jedno tylko ze stanowiska etyki stwierdzić

musimy, że niektóre z tych form można wprawdzie uważać za piękny ideał, do którego dążyć się godzi, żadną jednak miarą nie należy ich podawać jako postulaty sprawiedliwości. Dzisiejszy system najmu, wzięty jako zasada, nie jest krzywdzącym dla robotnika, a wymaganiom sprawiedliwości w niczem się nie sprzeciwia. Przyznajemy bez wahania, że w praktyce, skutkiem niezdrowych stosunków, jakie panują dzisiaj na targu roboczym, strony biorące udział w kontrakcie najmu pracy, chociaż równe *de iure*, nie są równe *de facto;* pracodawca jest panem sytuacyi i wyzyskuje ją raz po raz na szkodę robotnika — to jednak nie jest jeszcze dowodem, jakoby sam kontrakt najmu pracy, czy wogóle usług miał być złym i niesprawiedliwym. Złem jest stosowanie zasady, złym jest brak odpowiednich norm prawnych, powściągających wyzysk, a ochraniających stronę ekonomicznie słabszą — sama zasada dobrą jest i sprawiedliwą, zgadza się ona zarówno z prawem przyrodzonem, jak i z zasadami moralności chrześcijańskiej.

Jako taka zdolną jest też ona wytworzyć podstawę ścisłych powinności moralnych. Skoro tego rodzaju umowa o pracę i płacę została raz ważnie zawartą, wiąże zarówno pracodawcę, jak i robotnika w sumieniu, i z tytułu sprawiedliwości domaga się z równą siłą od obu stron ścisłego spełnienia przyjętych na siebie zobowiązań; niespełnienie ich przez którąbądź ze stron byłoby naruszeniem praw drugiej strony, czyli niesprawiedliwością.

Z tego wynika pierwsza konkluzya, że robotnikowi nie wolno przerywać pracy, póki mu nie upłynął kontrakt najmu. Jeśli przed wyjściem kontraktu zawiesza pracę, łamie moralny obowiązek, jaki sam dobrowolnie przyjął na siebie, popełnia względem pracodawcyni esprawiedliwość, i w zasadzie winnym się staje tych szkód, czy to prywatnych, czy publicznych, jakie przez to spowodował. Tego rodzaju przekroczenia państwo może i powinno ścigać w interesie dobra publicznego, którego jest stróżem, na trwałości bowiem umów prywatnych opiera się wielka część stosunków społecznych; jeśli te umowy przestaną dawać należytą gwarancyę, nic innego nie pozostanie, jak chyba oprzeć wzajemne między ludźmi pożycie na sile i prawie pięści. Pozy-

tywne prawodawstwo państwowe idzie w rzeczywistości jeszcze dalej. Chcąc przeszkodzić znacznym szkodom, nieraz i ruinie pracodawców, w razie gdyby zajęci u nich robotnicy wypowiadali im pracę nieprzewidzianie, w ostatniej dopiero chwili upłynięcia kontraktu, oznacza ono pewien dłuższy przeciąg czasu, w którym umowa może być ważnie wypowiedzianą. Przepis ten słuszny i sprawiedliwy obowiązuje robotnika również w sumieniu; ominięcie go byłoby naruszeniem praw pracodawcy — zatem znowu niesprawiedliwością. Jest to pierwsza w tej materyi zasada ogólna, którą przypominać trzeba tem głośniej, że wśród warstw pracujących zaciera się coraz bardziej poczucie ważności i mocy obowiązującej kontraktów. Niesumienna agitacya, szczepiąc w duszy robotnika nienawiść i pogardę wszystkiego, na czem stoi dzisiejszy ustrój społeczny, tępi w niej szacunek nawet dla tych form i urządzeń, które w gruncie rzeczy są sprawiedliwe i dobre, i bez których ostaćby się nie mógł nietylko dzisiejszy, ale wogóle jakikolwiek ustrój społeczny.

I nie usprawiedliwia robotników okoliczność, że warunki, na jakich kontrakt zawarli, są dla nich niedogodne i do pewnego stopnia uciążliwe, lub że w innem przedsiębiorstwie otwarła się praca w znacznie korzystniejszych warunkach. Jeśli warunki umowy, jakie świadomie i dobrowolnie na siebie przyjęli, nie są wprost krzywdzące i niesprawiedliwe, dotrzymać ich powinni w imię sprawiedliwości. Weźmy np. kwestyę płacy, która najczęściej bywa przedmiotem sporów i walk między robotnikami a ich pracodawcą. Nie ulega wątpliwości, że nietylko miłość chrześcijańska, ale nawet pewna uczciwość naturalna wymaga, aby pracodawca, któremu dobrze idą interesa i znaczne przynoszą zyski, podnosił płacę swym robotnikom i starał się stworzyć dla nich warunki spokojnego i wygodnego bytu. Nie jest to jednak wymaganiem sprawiedliwości; ścisła sprawiedliwość tego tylko żąda, aby robotnik — w normalnych oczywiście warunkach — otrzymywał za swą pracę takie wynagrodzenie, któreby z jednej strony stanowiło ekwiwalent tejże pracy, czyli odpowiadało jej objektywnej wartości, z drugiej wystarczało na utrzymanie, choćby skromne, ale godne człowieka.

Pracodawca, który normuje zapłatę wedle tych dwóch czynników, a nie wyłącznie wedle prawa podaży i popytu, tak pojętego, jak je sformułowała szkoła liberalna, nie popełnia niesprawiedliwości i robotnika nie krzywdzi. Jeżeli więc robotnik na taką zapłatę się zgodził i zobowiązał się kontraktem spełniać za nią pewne usługi, i nie przerywać ich chyba aż po upływie pewnego umówionego czasu, lub przynajmniej po poprzedniem, czy to umówionem, czy ustawą oznaczonem wypowiedzeniu, winien jest dotrzymać w tych granicach swych zobowiązań w imię sprawiedliwości. Może on nie zadowalniać się tą zapłatą i wartość swej pracy cenić wyżej, może się starać dozwolonymi środkami, jak np. porozumieniem się z pracodawcą, publiczną dyskusyą, groźbą wypowiedzenia kontraktu i t. p. o jej podniesienie: jeśli jednak te starania nie skutkują, iść mu dalej nie wolno, kontraktu musi dotrzymać; choć nie zbyt może korzystny i nie bardzo idealny, był on jednak sprawiedliwy i ważny.

Ale obok tej pierwszej konkluzyi, która broni praw przedsiębiorcy, wyciągnąć musi etyka i drugą, tę mianowicie, że robotnik, któremu kontrakt upłynął, nie ma żadnego zgoła obowiązku sprawiedliwości, któryby go przykuwał do osoby pracodawcy lub do pewnych warunków pracy. Ma on prawo i zupełną swobodę przerwania pracy, szukania sobie innej, albo umawiania się z przedsiębiorcą o nowe, lepsze dla siebie warunki. W żądaniach swych wolno mu iść dość wysoko; choćby nawet stawiał wymagania trochę wygórowane, nie można mu tego od razu poczytywać za niesprawiedliwość. Jeśli pracodawca mu mówi, że wysokość płacy robotników musi mierzyć wedle bieżącej, konkurencyjnej ceny produktów, to robotnik ma zupełne prawo twierdzić, że raczej cena produktów kształtować się powinna wedle wysokości zapłaty, jaka się robotnikom słusznie należy. Ze względu na to, że określenie pieniężnego ekwiwalentu pracy zależnem jest od licznych i różnorodnych czynników, zatem ruchomem i zmiennem, pracodawca ze swej strony niema obowiązku uwzględniać wszystkich żądań robotnika; jak robotnik może zapłatę przeć ku górze, tak on nawzajem może ją zniżać, byleby ani jeden ani drugi nie przekraczał granic spra-

wiedliwości; poza granicą górną zaczyna się krzywda pracodawcy, poza dolną krzywda robotnika: w obrębie tych granic obie strony mają równe prawa [1]. Do stałych usług robotnika, do dyktowania mu warunków, do utrzymania go w stosunku stałej zależności od siebie nic pracodawcy nie upoważnia. Jest to proste następstwo wolnego kontraktu, który sam jeden reguluje dzisiaj — jak mówiliśmy powyżej — wzajemne stosunki pracy i kapitału, i wytwarza czasową i przejściową zależność robotnika od pracodawcy. Innej zależności absolutnie niema. Robotnik dzisiejszy wie już dobrze o przysługujących sobie w tej mierze prawach i nauczył się wyżej sobie cenić niezależność, niż chwilowy zysk materyalny. Bywały wypadki, że strejkujący wysprzedawali się do szczętu i z podziwienia godną wytrwałością znosili największy niedostatek, byle się tylko nie ugiąć i nic nie uronić z niezależności i wolności. Świadomość i szacunek tych praw wśród warstw roboczych stale wzrasta, i nie ulega wątpliwości, że nie dadzą już one wydrzeć ich sobie lub ograniczyć. Wszelkie w tej mierze zakusy i usiłowania ze strony pracodawców grzeszą nieznajomością duszy ludzkiej, i ten tylko mają skutek, że wytwarzają w masach roboczych coraz burzliwszy ferment i wrzenie, a w razie silniejszego na te masy nacisku wywołać mogą gwałtowną i niebezpieczną reakcyą. Nie chciała, czy nie umiała tego zrozumieć twarda i butna generacya angielskich fabrykantów z pierwszej połowy bieżącego stulecia — rezultatem tego było, że ruch robotniczy zapisał się w rocznikach angielskich przez lat dziesiątki czarnemi a nawet krwawemi zgłoskami. Dążności do zdobycia lub zatrzymania pewnego rodzaju *dominium absolutum* nad robotnikami złagodniały w kołach przedsiębiorców i kapitalistów od tamtych czasów; w historyi ruchu socyalnego ostatnich lat spotkać można cały szereg pracodawców, ożywionych najlepszemi chęciami i kierujących się w stosunkach z robotnikiem zasadami sprawiedliwości i prawa; niestety jednak powiedzieć nie można, aby ta zmiana poglądów i taktyki była powszechną lub choćby nawet przeważającą. Jeżeli Mawds-

[1] Por. Lehmkuhl: *Arbeitsvetrag und Strike.* 1895. Str. 59.

ley, jeden z potężnych przewódców ruchu robotniczego w Lancashire wypowiedział niedawno temu zdanie, że jednym z najdonioślejszych środków uśmierzania walk robotniczych byłaby zmiana taktyki ze strony kapitalistów, polegająca na tem, aby zstąpili nieco z piedestalu, na którym większość ich jeszcze stoi, i uważając robotnika za stronę równouprawnioną, zaczęli mu przyznawać to prawo, jakie sami wykonują: wolnego poszukiwania najlepszych dla siebie warunków ekonomicznych — to zarówno na ten pogląd, jak i na jego faktyczne podstawy, zgodne z rzeczywistością nietylko w Anglii, godzą się dziś najpoważniejsze głosy [1].

Powyższemi jednak uwagami kwestya nie jest jeszcze wyczerpana. Nasuwa się dalsze pytanie: czy robotnikowi tylko wówczas wolno przerwać pracę, kiedy minął umówiony jej termin, kiedy kontrakt formalnie wygasł? Czy zawsze i pod każdym warunkiem obowiązany on jest dotrzymać litery kontraktu i niema prawa go zerwać lub jego zobowiązań uznać za niebyłe?

Wedle etyki ścisłe zobowiązania wynikają z tych tylko kontraktów, które są ważne, i tak długo wynikają, jak długo są ważne. Nie każdy zaś kontrakt, dlatego że go zewnętrznie zawarto, jest już tem samem wewnętrznie ważny, nie każdy też, który był ważnym w chwili zawarcia, zostaje takim do końca. Moc obowiązująca każdego kontraktu zależy od pewnych warunków. I tak: kontrakt najmu początkowo ważny, stracić może ten charakter i przestać obowiązywać robotnika, jeśli pierwszy złamie główne i istotne zobowiązania, które w kontrakcie na siebie przyjął, lub naruszy w czemkolwiek pracodawca owe wyższe prawa robotnika, jako człowieka, których świętość i nietykalność w każdym kontrakcie milcząco i domyślnie jest zagwarantowaną. Obowiązki w kontrakcie są obustronne i wzajem od siebie zawarunkowane; skoro jedna ze stron istotne warunki kontraktu łamie, daje tem samem drugiej stronie prawo do wzajemnego odmówienia przyjętych na siebie zobowiązań.

[1] Por. G. v. Schultze-Gäwernitz: *Vermeidung und Beilegung von Arbeitsstreitigkeiten in England* — w Schmollera *Jahrbuch für Gesetzgebung* etc. XIII Jahrg. 3 Heft, str. 132—134.

Jeśli zatem pracodawca zniża dowolnie zapłatę, którą w kontrakcie oznaczył, lub co gorsza nieprawnie ją zatrzymuje; jeśli zmusza robotnika pracować ciężej, dłużej lub w znacznie odmiennych warunkach, niż było umówione; jeśli mu nie dozwala spełnić koniecznych i nieodzownych obowiązków religijnych i moralnych; jeśli usiłuje nakłonić czy jego samego czy jego rodzinę do czynów moralnie złych lub bezprawnych; jeśli dopuszcza się na nim lub jego rodzinie gwałtów i bezprawi, albo ich poddaje dotkliwym szykanom — robotnik, ma prawo, nieraz i obowiązek przerwać pracę i odmówić spełnienia przyjętych na siebie zobowiązań. Swoją drogą, jeśli chce postępować sumiennie, musi być ostrożnym i oględnym w praktycznem stosowaniu tej zasady. Wykroczenia pracodawcy przeciw kontraktowi i jego wyraźnym czy domyślnym warunkom, mogą się odnosić do szczegółów mniej lub więcej istotnych, nieraz mało ważnych i drugorzędnych, od których spełnienia etyka ogólnie nie może, a strony umawiające się nie zwykły ważności kontraktu czynić zależną. W takich wypadkach robotnik zachowując bezsprzecznie prawo czy to do odpowiedniego odszkodowania materyalnego, czy do moralnej satysfakcyi, może jednak nie mieć prawa do zerwania kontraktu i zawieszenia pracy. Jakkolwiek jednak praktyczne stosowanie zasady nie jest łatwem i niemałej wymaga baczności, sama jednak zasada jest prawdziwą i słuszną.

Wobec tytułu niniejszej pracy, który jasno określa jej treść i granice, jasnem jest, że nie mamy zamiaru wchodzić tu w dziedzinę pozytywnego ustawodawstwa państwowego i szczegółowo określać, jakie ono przyznaje robotnikowi prawa w materyi kontraktów o najem pracy. Nie wchodzi to w nasz zakres. Państwowe ustawodawstwo ostatnich czasów zwraca się w różnych krajach coraz częściej w stronę etyki, mimo to jednak postulata etyki i odnośne ustawy państwowe nie zawsze się pokrywają; nie wszystkie jeszcze etyczne prawa robotnika umieszczone są w kodeksach ustaw państwowych. Jeśli etyka żąda czegoś więcej ponad to, co jest w ustawach, ma do tego zupełne prawo; od pozytywnego ustawodawstwa państwowego nie jest ona zależną; w kwestyach zasadniczo-moralnych zabiera

ona głos samodzielnie. Z tego stanowiska wychodzą i powyższe wywody i to, co niżej następuje.

Jak mogą zajść wypadki, w których etyka pozwala robotnikowi na zerwanie rzeczywistego, początkowo ważnie zawartego kontraktu pracy, tak też możliwem jest, że kontrakt ten od początku był nieważny i skutkiem tego nie wytworzył po stronie robotnika żadnych moralnych zobowiązań. Nie mamy tu zamiaru ani potrzeby wymieniania wszystkich warunków, jakich prawo przyrodzone wymaga do ważności kontraktów; wystarczy zwrócić uwagę na jeden lub drugi, które w dzisiejszych stosunkach szczególnego nabierają znaczenia. Między innemi domaga się prawo przyrodzone, aby to, do czego obowiązują się kontrahenci, czyli, co przedmiot i treść kontraktu stanowi, było rzeczą moralnie dobrą lub przynajmniej obojętną i jako takie podlegało wolnej dyspozycyi stron. Zasada ta w swojej oczywistości i prostocie wydaje się tak zrozumiałą i słuszną, że w teoryi nigdy jej dotąd nie śmiano kwestyonować. Już prawo rzymskie czynności moralnie złe uważa za rzeczy prawnie i etycznie niemożliwe — *quae contra bonos mores fiunt, nec facere nos posse credendum est* — a we wszystkich późniejszych kodeksach prawnych cywilizowanego świata postawioną jest jasno zasada, że przedmiotem kontraktu nie może być żadna czynność niedozwolona i niemoralna. Zapomniano jednak w praktyce wyciągnąć z tej zasady wszystkich jej konsekwencyj. Uznawano powszechnie, że przedmiotem ważnego kontraktu nie może być kradzież ani morderstwo, przeoczono zaś, że gwałt zadany sumieniu robotnika, lub zimny wyzysk spekulujący pod osłoną sofistycznych doktryn i formułek na jego zdrowiu i życiu, są to również czynności moralnie złe, i jako takie treścią prawomocnej umowy absolutnie być nie mogą. Jedną z przyczyn tego pomieszania najjaśniejszych skądinąd pojęć była doktryna liberalna, która, podobnie jak we wszystkiem, tak i w teoryi kontraktów głosiła fundamentalną swą zasadę: niczem nieograniczonej wolności jednostek. Twierdzono, że robotnik przy wolnym kontrakcie sam o tem rozstrzyga, co dla niego w danych warunkach jest dopuszczalnem, stosunkowo najlepszem, i co mu się przyjąć godzi;

jeżeli rezygnuje dobrowolnie z wyższych wymagań i praw, ma do tego zupełną władzę, i nikomu zresztą w tę sferę wciskać się nie wolno. W poglądzie tym tkwiły dwa błędy zasadnicze: nasamprzód przeoczono, że tam tylko może być mowa o ważnej rezygnacyi, gdzie ona wypływa z wolnej, nieprzymuszonej woli; powtóre zapomniano, że są rzeczy niepodlegające wolnej dyspozycyi jednostek, że są pewne osobiste prawa, względnie obowiązki, z których nikomu rezygnować nie wolno.

Etyka, a zgodnie z nią doktryna chrześcijańska uczy, że człowiek niema wolności — oczywiście moralnej — w rzeczach zabronionych, względnie nakazanych prawem Bożem, czy to naturalnem, czy pozytywnem. Ma on sobie zostawione dość szerokie pole działania, wolność jego i swoboda w zawieraniu kontraktów wcale nie jest ciasną — są jednak pewne objektywne granice, których przekroczyć mu się nie godzi. Jeżeli kontrakt najmu pracy te granice narusza, jest tem samem kontraktem etycznie niedopuszczalnym, bo przedmiot i treść jego jest moralnie złą; jeśli taki kontrakt mimo to zawarto, nie wytwarza on żadnych moralnych zobowiązań, jest to po prostu kontrakt pozorny, etycznie niebyły.

Żeby przytoczyć przykład konkretny, robotnik, który swój czas i siłę fizyczną oddaje na usługi kapitaliście, nie przestaje być człowiekiem, noszącym w sobie duszę rozumną i nieśmiertelną, i płynącą z niej godność ludzkiej natury. Wynika stąd dla niego cały szereg obowiązków — najświętszych i najdonioślejszych — jużto względem Boga, jużto względem własnej duszy. Obowiązki te narzucają się umysłowi z całą oczywistością i z całym naciskiem bezwzględnej konieczności moralnej, jako kategoryczne i najwyższe nakazy najwyższego prawa. Takich obowiązków, będących zarazem najistotniejszymi prawami człowieka, za żadną cenę i pod żadnym warunkiem nie wolno się zrzekać. Odbierać sobie możność ich spełnienia i gwarantować to kontraktem, jest tak samo moralnie złem, jak czynnie je naruszać i łamać. Są to wszystko podstawnicze prawdy moralne, bezpośrednie dedukcye z pierwszych zasad prawa przyrodzonego. „Kiedy przed laty — pisze profesor monachijskiego uniwersytetu,

Hertling — wypowiedziałem w niemieckim parlamencie zdanie, że obowiązek oddawania czci Bogu wypływa z prawa natury, wywołało to zdziwienie i zaprzeczenie w prasie liberalnej. A przecież jest to tylko logiczny wniosek, płynący z uznania Stwórcy osobowego. Jeszcze John Locke, do którego sprowadza się ostatnie myśli dzisiejszego angielskiego i francuskiego oświecenia, uważał go za tak pewny i tak się dający dowieść, jak którekolwiek z twierdzeń matematycznych“ [1]. Od czasów Lockego zatarły się, niestety, niektóre bardzo jasne pojęcia — mimo to jednak są one niemniej pewne jak doniosłe, a w dzisiejszych stosunkach przypominać je trzeba coraz głośniej nietylko w interesie klas roboczych, ale i całego społeczeństwa.

Dusza nowożytnego robotnika dziczeje coraz bardziej, tępieją w niej lepsze i szlachetniejsze uczucia, giną społeczne i obywatelskie cnoty, coraz grubszy rozpościera się w niej materyalizm, coraz silniej odzywają się nizkie, zwierzęce instynkta. Są to następstwa, które tam tylko mogą się pojawić, gdzie wprzód już obumarło życie wewnętrzne duszy, płynące z wiary, szczepione i podtrzymywane przez Kościół i jego nadprzyrodzone działanie. Od tego źródła i ożywczego wpływu odciągać systematycznie całe zastępy robocze, a interesa produkcyi, zasilającej kieszenie nielicznej klasy kapitalistów, stawiać wyżej niż moralną i duchową kulturę szerokich mas, stanowiących istotny i niezbędny podkład wszelkiej budowy socyalnej i ekonomicznej — znaczyłoby to gromadzić wybuchowy materyał u samych fundamentów społecznych. A chcieć jeszcze tę destrukcyjną robotę, ignorującą najwyższe prawa i obowiązki ochraniać powagą i mocą kontraktu, byłoby już szczytem pomięszania pojęć; absurdem zarówno religijnym jak i filozoficznym.

Ale idźmy dalej. Robotnik ma obowiązek żyć, a na tym obowiązku gruntuje się odpowiednie jego prawo — prawo do życia, nazwane w ostatnich czasach prawem egzystencyi, albo bytu. Prawo to jest nieodzowną podstawą wszystkich innych praw człowieka, niezbędnym warunkiem spełnienia najwyższych

[1] *Naturrecht und Socialpolitik* von Dr. Freiherr von Hertling 1893, str. 47

i najistotniejszych zadań życiowych. Przysługuje ono bezpośrednio każdej ludzkiej jednostce, a daje znać o sobie potężnym, silnie odczuwanym głosem całej zbiorowej duchowo-materyalnej istoty człowieka. W części swej negatywnej zabrania targnąć się na życie lub zdrowie tak własne jak drugich, a na władzę publiczną nakłada obowiązek starania się o bezpieczeństwo życia i zdrowia wszystkich obywateli. W wypadkach, w których władza państwowa opieki tej faktycznie nie daje, upoważnia ono każdą jednostkę do użycia siły, nawet do odebrania życia drugiemu, jeśli ta ewentualność dla obrony własnego życia jest konieczną. W dalszych swych konsekwencyach prawo egzystencyi staje się prawem do środków, niezbędnie do utrzymania życia potrzebnych. Jako takie pozwala ono ściganemu przez nieprzyjaciół dosiąść obcego konia, by się ratować ucieczką, a ginącemu z głodu daje władzę przywłaszczyć sobie bochenek chleba, choćby wbrew woli właściciela. Prawo bytu starszem i wyższem jest nad prawo własności, zatem w kolizyi dwu tych praw musi to ostatnie ustąpić mu miejsca. Co jednak w dzisiejszych stosunkach jest najbardziej aktualnem, prawo bytu w tych jednostkach, które nie mają innych źródeł dochodu nad własną pracę, staje się prawem do zapłaty, wystarczającej na pokrycie koniecznych potrzeb życia i utrzymania. Jeżeli w XIX. wieku w krajach ekonomicznie najbardziej bogatych i rozwiniętych, w najruchliwszych centrach życia i kultury, wśród zbytku i przepychu wielkich miast możliwe są wypadki śmierci z samego wycieńczenia i głodu — to chyba treść prawa bytu nie jest bezprzedmiotową. Prawo to nie ogranicza się jednak do samych tylko środków utrzymania; jest ono nadto prawem do takich warunków pracy, które umożliwiają zachowanie w dobrym stanie i w prawidłowym rozwoju duszy i ciała, które nie rujnują organizmu i jego sił, ani nie przytępiają władz umysłowych. Takąby była praca zbyt długa, lub zbyt ciężka, jaką bywa np. praca w kopalniach, zwłaszcza nieprzerywana koniecznemi pauzami; takąby była praca odbywana bez należytej ochrony wśród okoliczności szczególnie szkodliwych lub niebezpiecznych dla zdrowia a nawet życia, np. w niezdrowych loka-

lach, wśród trujących wyziewów, przy wybuchowych substancyach. Dość tu przypomnieć fabryki zapałek, lub wogóle różne gałęzie przemysłu chemicznego. Bywały przecież wypadki, że nadmierna, nieludzka praca, jaką nakładano na górników, rujnowała całe ich generacye. W 30 roku życia wielka ich część nosiła już zarodki nieuleczalnych chorób, w 40 zaś latach byli to już zazwyczaj złamani, do niczego niezdolni starcy, bez żadnego zaopatrzenia i zabezpieczenia na przyszłość. Z większym jeszcze naciskiem stawia swe postulaty prawo egzystencyi tam, gdzie chodzi o organizmy słabsze i wrażliwsze, albo wątłe jeszcze i nierozwinięte, jak to ma miejsce przy pracy kobiet i dzieci. Wysiłek, który jest w stanie wytrzymać rozwinięty mężczyzna, na kobietę lub dziecko sprowadzić może doraźną utratę życia lub przynajmniej powolną ruinę. Póki nowożytne ustawodawstwo nie położyło częściowo kresu wołającym o pomstę nadużyciom, dochodziło przecież do tego, że 12-letnie dzieci zmuszano po fabrykach do pracy 30-godzinnej, od 6 rano, aż do 4 godz. po południu następnego dnia, dając im tylko przerwę na obiad i godzinę snu o północy. Gdzieindziej 9-letnie dzieci spędzano z brudnych tapczanów między 2 a 4 godz. z rana, i nakazywano im pracować do 10 lub 12 godz. w nocy. Przechowało się zeznanie robotnika-ojca, który siedmioletniego chłopca nosił codziennie po śniegu do fabryki, gdzie to dziecko musiało przez 16 godzin odbywać pewną pracę przy maszynie, nie mogąc się od niej oddalić ani na chwilę, nie mogąc nawet usiąść. W pewnych czasach ojciec klękał przy dziecku i karmił je jak umiał. Takich scen dziś się już nie spotyka tak łatwo; nie brak jednak i dzisiaj krzyczących nadużyć, które są ciężką krzywdą robotnika, pogwałceniem etyki i prawa bytu. Nie ulega wątpliwości, że kontrakt najmu pracy, mieszczący w sobie warunki sprzeczne w czemkolwiek z tem prawem jest tem samem nieważny.

Doniosłą tę prawdę etyczną, nie nową wprawdzie, ale zatartą i raz po raz zapominaną, przypomniał i wypowiedział z całą otwartością i wszystkiemi jej konsekwencyami Leon XIII. w znanej encyklice o położeniu robotników. Stwierdza on, że

ponad wolną wolą jednostek przystępujących do kontraktu panują wyższe od tej woli prawa, których nienaruszalność z natury rzeczy zastrzeżoną jest domyślnie w każdym kontrakcie, jeśli ma być ważnym i obowiązywać w sumieniu. Naruszenia tych praw ani żądać nie może pracodawca, ani przyrzekać robotnik; kontrakt zawarty wbrew tym zasadom byłby tem samem niemoralny — „neque enim honestum esset convenire secus, quia nec postulare cuiquam fas est, nec spondere neglectum officiorum, quae vel Deo vel sibimetipsi hominem obstringunt“ [1].

Jeśli mimo to wszystko tego rodzaju kontrakt został zawarty, a robotnik na jego podstawie rozpoczął pracę, może ją przerwać każdej chwili, nawet bez poprzedniego wypowiedzenia. Szkód, jakie stąd wyniknąć mogą czy to dla pracodawcy, czy dla jego odbiorców, nie będzie przez to winien: moralnie odpowiedzialnym za nie jest pracodawca.

---

[1] O obowiązkach robotnika względem Boga i duszy własnej, które każdy ważny kontrakt uszanować winien, mówi Leon XIII. tak:

„Nemini licet hominis dignitatem, de qua ipse Deus disponit cum magna reverentia, impune violare neque ad eam perfectionem impedire cursum, quae sit vitae in caelis sempiternae consentanea. Quin etiam in hoc genere tractari se non convenienter naturae suae, animique servitutem servire velle, ne sua quidem sponte homo potest: neque enim de iuribus agitur, de quibus sit integrum homini, verum de officiis adversus Deum, quae necesse est sancta servari“.

O prawie robotnika do spoczynku jużto niedzielnego, wymaganego prawem bożem, jużto codziennego, wymaganego wedle rodzaju pracy w mniejszym lub większym stopniu prawem natury, tak się wyraża:

„In omni obligatione, quae dominis atque artificibus invicem contrahatur, haec semper aut adscripta, aut tacita conditio inest, utrique generi quiescendi ut cautum sit: neque enim honestum esset convenire secus...“

W podobny sposób wyraża się o prawie robotnika do zapłaty, któraby starczyła na jego utrzymanie:

„Reapse manere in vita, commune singulis officium est, cui scelus est deesse. Hinc ius reperiendarum rerum, quibus vita sustentatur, necessario nascitur: quarum rerum facultatem infimo cuique non nisi quaesita labore merces suppeditat. Esto igitur, ut opifex atque herus libere in idem placitum ac nominatim in salarii modum censentiant: subest tamen semper aliquid ex iustitia naturali, idque liberae paciscentium voluntati maius et antiquius, scilicet: alendo opifici,f rugi quidem et bene morato, haud imparem esse mercedem opportere“

Prawo to przysługuje robotnikowi tem więcej, że kontraktom, mieszczącym w sobie krzywdzące i nieprawne warunki niedostaje zazwyczaj innego jeszcze charakteru, który do ich ważności jest niezbędny. Te kontrakty nie są wolne. Nie trzeba sądzić, że do unieważnienia umowy wymaganym jest koniecznie ten rodzaj przymusu i presyi, który zależy na użyciu ze strony pracodawcy siły fizycznej, lub groźby moralnej — owszem, może tu wystarczyć zupełnie, przynajmniej ze stanowiska etyki, owa faktyczna presya stosunków, pod jaką żyje dzisiejszy robotnik, a którą wytwarza brutalnie i czysto mechanicznie pojęte, żadnymi względami etycznymi nie ograniczone prawo podaży i popytu. Istotę tego prawa określono dość cynicznie ale trafnie w ten sposób, że kiedy dwóch przedsiębiorców ugania się za jednym robotnikiem, wtedy płaca rośnie, kiedy zaś dwóch robotników ściga jednego przedsiębiorcę, wtedy opada. Tak jest w teoryi. W praktyce przedsiębiorcy rzadko są w tem położeniu, żeby się potrzebowali rozbijać za robotnikiem; prawie zawsze ma miejsce druga ewentualność. Wobec głodu i nędzy szerokich mas proletaryatu, dotykanych raz po raz długiem, przerażające rozmiary przybierającem bezrobociem, łatwo znaleść robotników, gotowych pracować za każdą zapłatę. Pracodawcy wiedzą o tem, i najdowolniej obniżają zapłatę do niemożliwych granic. To już nawet nie dziwi! Zatarło się po prostu pojęcie, że w tego rodzaju postępowaniu może być jakaś niemoralność. Cóż wobec tego ma począć robotnik odosobniony, niezorganizowany lub zorganizowany słabo, zatem niezdolny kierować podażą sił roboczych? Widmo żebraniny lub śmierci głodowej zmusza go niejednokrotnie do poniewolnej zgody na takie zapłaty, które są gorzkiem szyderstwem z etyki i sprawiedliwości. Bierze on, co mu dają, bo musi! Byłoby ciasnem doktrynerstwem lub bolesną ironią upierać się przy twierdzeniu, że umowa jest w tym wypadku wolną i ważną. Nie jest to wolna umowa, ale ciężka niewola, tem cięższa, że zapanowała i wielką część narodów objęła w tej właśnie epoce, która lubi się nazywać wiekiem kultury, wolności i demokracyi, a za największą chlubę

poczytuje sobie to, że w wielkiej rewolucyi proklamowała „prawa człowieka“ [1].

Ale powie może ktoś, że wywody nasze idą za daleko; że przyjąć je można co najwyżej wówczas, kiedy jasnem jest, że pracodawca, ciągnąc wielkie zyski z przedsiębiorstwa i będąc w stanie wynagradzać po ludzku robotnika, mimo to krzywdzi go i wyzyskuje; zdawałoby się jednak, że niepodobna rozciągać ich na te wypadki, w których przedsiębiorca, party konkurencyą i przygnieciony złym stanem interesów, nie jest w możności bez znacznych strat a może i ruiny robotnikom swym płacić wyżej — w tym wypadku nie zachodzi wyzysk ze strony przedsiębiorcy, ale konieczność spowodowana naturą dzisiejszych stosunków gospodarczych, wina nie osoby, ale systemu.

Zarzut ten — zdaje nam się — nie jest w stanie osłabić w niczem powyższych wywodów. Dla robotnika, któremu sumienie nakazuje z całą bezwzględnością wypełnienie pewnych obowiązków moralnych, obojętnem jest, czy spełnieniu tych obowiązków staje w drodze jednostka, czy system. Żadne prawo moralne nie zmusza go do tego, by wadliwy system gospodarczy, lub zagrożone interesa pracodawcy podpierał kosztem swej egzystencyi, szczęścia rodzinnego, a może i najcenniejszych dla człowieka dóbr wiekuistych. Pracodawca, który nie jest w stanie płacić tyle, ile się robotnikowi słusznie należy, subjektywnie nie dopuszcza się krzywdy — objektywnie jednak robotnikowi krzywda się dzieje. Jedna z komisyj rzymskich orzekła, że przedsiębiorstwo, którego ostateczny zysk nie wystarcza na pokrycie potrzeb, uznanych za minimalne, nie spełnia swego ekonomicznego celu, i niema uzasadnionej racyi bytu. Tym poglądem może się kierować i robotnik. Strat pracodawcy nie wolno mu pragnąć, ani wprost zamierzać: może jednak i powinien bronić najświętszych swych praw; jeśli pracodawca skutkiem tej obrony poniesie jakieś straty, robotnik nie jest ich winien; winnym jest

[1] „Si necessitate opifex coactus aut mali peioris metu permotus duriorem condicionem accipiat, quae, etiamsi nolit, accipiendo sit, quod a domino vel a redemptore operum imponitur — istud quidem est subire vim, cui iustitia reclamat“. Leon XIII. w encyklice *Rerum novarum*.

fatalny system gospodarczy, w którego naturze leży, że ciągle musi kogoś pożerać — raz pracodawcę, raz robotnika. Stąd wynika tylko to, że ten system trzeba koniecznie zmienić.

Oto zasady etyczne, które uwzględnić należy, jeśli się chce odpowiedzieć na pytanie: jakie są prawa i obowiązki robotnika odnośnie do przerwania pracy, podjętej w interesie i na rachunek drugiego.

W dzisiejszych stosunkach zdarza się raz po raz, że robotnicy — nieraz nawet w wielkich masach — zrywają zbiorowo kontrakt, przerywając pracę przed umówionym terminem, lub bez poprzedniego wypowiedzenia. Takim był między innymi gwałtowny strejk górniczy w Durham w 1891 r., rok zaś przedtem w samych Prusiech na 289.283 strejkujących, liczba tych, co zerwali kontrakt, wynosiła 264.407. Czy w tych i tym podobnych wypadkach postąpili robotnicy słusznie, czy też bezprawnie — nie tu miejsce rozsądzać. Jeśli jednak z okazyi tego rodzaju wypadków mówi się wiele o zagrożonych interesach produkcyi i o obowiązkach robotnika, a milczy się o jego prawach, to jest to sposób traktowania rzeczy jednostronny. Zasady przypomniane przez Leona XIII. powinnyby tę jednostronność uchylić.

Chodziło nam też jedynie o rozwinięcie tych zasad, nie zaś o bezpośrednie wskazówki postępowania w poszczególnych wypadkach. W praktyce nie jest zawsze rzeczą łatwą ocenić, kiedy naruszonemi zostały pewne prawa, i gdzie się kończy zimny może, ale jeszcze w granicach sprawiedliwości prowadzony interes, a zaczyna się już wyzysk i krzywda. Tam na podstawie znajomości stosunków rozstrzygać powinien osobno w każdym wypadku bystry umysł i wyrobione sumienie.

(C. d. n.)

Ks. Wł. Piątkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Adam Mickiewicz. Przez *d-ra Józefa Kallenbacha.* Kraków 1897. (T. I., str. 301, t. II., str. 430).

Wśród zainaugurowanych przygotowań jubileuszowych i rozpoczętego już krzątania się w Warszawie, Lwowie i Krakowie, wśród niemałego wrażenia, jakie wywierały na nas wieści o niebywale obfitych składkach w Królestwie, pojawiła się książka p. Kallenbacha, jako głęboki hołd dla wieszcza, i miła, pożądana niespodzianka prawie dla wszystkich. Powiadam, dla wszystkich prawie — bo choć interesującym się bliżej literaturą polską znajomem było od dawna, że prof. Kallenbach pisze monografię Mickiewicza, to przecież chyba tylko niewielu najbliższych wiedziało o tem, że ukaże się ona wcześniej, niż wszystkie inne zamierzone prace jubileuszowe. A że i ten cel na oku miał szan. autor, dowodzą jego własne słowa w Przedmowie (str. XIII): „Oby trud mój choć w części przyczynił się do zwiększenia czci dla wieszcza i do uświetnienia setnej rocznicy jego urodzin". — Miłą też nazwałem tę niespodziankę i pożądaną, bo od pełnego zalet „Zarysu" p. Piotra Chmielowskiego upłynęło już lat 11 i okazała się potrzeba nowego uporządkowania materyałów i stopienia ich w nową całość, skoro w tym czasie oprócz wielu innych prac pojawiło się pięć tomów „Pamiętnika", wydanego przez Towarzystwo im. Adama Mickiewicza, i ukazał się w druku „Żywot" skreślony ręką samego syna poety.

Wdzięcznego więc trudu podjął się p. Kallenbach i dał nam wizerunek Adama i jednolity treścią i — jeżeli wezmiemy w rachubę tylko założenie autora — niemal świetny w wykonaniu. To też książka

jego nie „padła wśród zawodu", jak się szan. autor w przedmowie obawia, ale przeciwnie obudziła ogólne, powszechne zainteresowanie. Dowodem tego choćby aż trzy prawie równoczesne recenzye, zaspokajające ciekawość czytelników, w *Czasie, Słowie Polskiem* i *Gazecie Lwowskiej,* z których jedna pióra znakomitego znawcy utworów Mickiewicza prof. Józefa Tretiaka. Obecnie mamy jeszcze i czwartą najobszerniejszą ocenę prof. Stanisława Tarnowskiego w *Przeglądzie Polskim,* zeszycie październikowym str. 119—135. Pełna myśli trafnych i głębokich o zasadniczych kwestyach, omawiająca z wielkim spokojem wszystkie ważniejsze punkty z pominięciem drobnych szczegółów, należy — jak mi prawda i moje wewnętrzne przekonanie wyznać każe — do najlepszych tego rodzaju pomniejszych artykułów, jakie kiedykolwiek wyszły z pod pióra twórcy monografii o Zygmuncie Krasińskim [1].

To żywe zainteresowanie się ogółu niech będzie usprawiedliwieniem i dla mnie, że, choć nie jestem specyalistą w literaturze odnoszącej się do Mickiewicza, usłuchałem przecież wezwania Redakcyi *Przeglądu Powszechnego* i chciałem z jego czytelnikami podzielić się wrażeniami, jakie miałem przy lekturze nowego dzieła o naszym nieśmiertelnym Adamie.

Dwa miejsca w utworze d-ra Kallenbacha objaśniają przekonywująco, że autor, zanim przystąpił do pisania, zastanawiał się poważnie nad stanowiskiem, jakie wobec różnych prądów historyczno-literackich ma zająć w monografii o naszym najprzedniejszym wieszczu. „Głównem zadaniem mej książki — powiada p. Kallenbach w Przedmowie str. XII. — jest przedstawienie powolnej, lecz stałej ewolucyi duchowej Adama Mickiewicza w ciągu jego żywota". Stanowisko to znajduje uzupełnienie i bliższe objaśnienie w tomie II., str. 122, gdzie przed przystąpieniem do rozbioru „Pana Tadeusza" czytamy między innemi: „Jak nikt dziś nie zaprzeczy korzyści analiz chemicznych, tak też nikt nie powinien dziwić się krytyce literackiej, która szczegółowo rozbiera okoliczności i warunki, towarzyszące powstaniu arcydzieła. Dokładne bowiem ocenienie warunków psychologicznych, sprzyjających lub szkodliwych powstawaniu arcydzieł, wpłynie zbawiennie na sądy

[1] Recenzyę prof. Tarnowskiego czytałem w czasie pisania niniejszej oceny, kiedy o dziele d-ra Kallenbacha miałem już własne wyrobione zapatrywania. Zaznaczam to, aby wytłumaczyć zgodność myśli co do niektórych zasadniczych punktów — zgodność dla mnie wprawdzie zaszczytną, ale mimo wszystko mogącą dać powód do mylnego wytłómaczenia.

literackie, dotychczas zbyt jeszcze niewolniczo obracające się w sferze tradycyjnych kanonów estetycznych". Jest to więc stanowisko najnowszej szkoły historyczno-literackiej, stanowisko niewątpliwie trafne i zwycięskie, ale czy szan. autor pojął je wszechstronnie? Czy na jego słowa i ich urzeczywistnienie możemy pisać się bez wszelkiego zastrzeżenia?

Geneza dzieła, warunki i okoliczności, wśród których powstało, wpływy zewnętrzne, którym uległo i wreszcie stan wewnętrzny, duchowy pisarza, którego dzieckiem się być mieni — to wszystko niewątpliwie powinno być, o ile możności i o ile źródła pozwalają, podstawą wszelkiego rozbioru krytyczno-literackiego. Lecz czy na tem koniec? Czy krytyk nie powinien jeszcze czegoś więcej dać czytelnikowi? Czy może poprzestać tylko na genezie i rozpatrzeniu myśli historyczno-analitycznem? Mnie się wydaje, że stanowczo nie. Ktoby zadowolił się genezą i analizą historyczną i wewnętrzną tylko myśli danego autora, a nie dotknął lub zbył lekkiem sercem pytanie, dlaczego właściwie i w jakim stopniu dzieło jego wywiera na nas potężne uczucie piękna, tenby postąpił tak, jak ktoś, co np. mając wytłumaczyć otoczeniu, dlaczego owoc szlachetnej jabłoni sprawia nam tak wielką przyjemność w smaku, opisałby dokładnie rodzaj ziemi, na której jabłoń wyrosła, konary i gałązki, z których owoc wystrzelił, i objaśnił nawet dostatecznie składniki samego owocu w bogatem porównaniu z innymi podobnymi lub przeciwnymi, ale nie dodał na końcu, które to właśnie przyczyny powodują w nas subjektywne uczucie doznanej przyjemności. Innemi słowy onby nam wytłumaczył i warunki powstawania owocu i opisał wszechstronnie części jego składowe, a nie podał właściwej przyczyny odniesionego wrażenia i uczucia smaku. Oczywiście rzecz to arcytrudna i sądząc po dotychczasowych badaniach może nawet w szczegółach przechodząca granice ludzkiemu rozumowi zakreślone. Chodzi tu przecież o istotę wrażenia i uczucia, fizyologicznie po dziś dzień bardzo mało wytłumaczoną i zbadaną, o sposoby i środki wypowiadania naszych myśli, których niedostateczność od dawna nam znana; chodzi tu wreszcie o różnicę psychologicznego stanu każdego człowieka, a zatem o zmienność doznawanych wrażeń i subjektywność uczuć u każdego z nas. Przecież już starożytni sofiści do pewnego stopnia słusznie twierdzili, że jeżeli coś nawet istnieje, to tego drugiemu uzmysłowić nie możemy, jak nie możemy nikomu dokładnie opisać barwy zielonej lub niebieskiej, bo zmiennem jest uczucie u każdego, bo niedostatecznymi są środki i narzędzia naszej mowy. Wszystko to może być słusznem i prawdziwem, ale z tego

jeszcze nie wynika, byśmy mieli ręce założyć, w niemem milczeniu przypatrywać się zjawisku i nie kusić się nawet o uzasadnienie jego. Z niedostatku dotychczasowej naszej wiedzy, środków i sposobów poznania nie wypływa jeszcze konieczność zaniechania wszelkich prób badawczych. Umysł ludzki wsparty na uczynionem doświadczeniu musi tylko szukać innych dróg, a na razie, nim lepsze i pewniejsze wynajdzie, nie zaniedbywać tego, co posiada. Inaczej niemożliwym byłby postęp wiedzy w niejednym kierunku.

Cóż więc z tego wynika? Oto, że estetyka tłumacząca nam choć dotychczas w sposób bardzo niewystarczający powody naszych wrażeń i uczuć, ma mimo wszystko, co się da przeciw niej powiedzieć, przecież w gruncie rzeczy wielką i niezaprzeczoną racyę bytu. Czyż zatem mamy powrócić do dawnych, szablonowych „kanonów estetycznych", utrzymujących się wieki i tysiące lat? Tego nie twierdzi dzisiejsza szkoła historyczno-literacka. Ona przecież najpierw zerwała zupełnie z owymi szablonami estetycznymi i subjektywnymi frazesami i poczęła się ograniczać do analizy warunków i składników. Kiedy zaś później przekonała się, że z wyżej wymienionych powodów w ten sposób nie dojdzie do celu, sięgnęła jeszcze głębiej i powróciwszy do usiłowań, już pierwej tu i owdzie pojawiających się, postanowiła estetykę oprzeć na racyonalniejszej podstawie, na badaniach rytmicznych i filologicznych, usiłując zająć się bliższem objaśnieniem dźwięku i zestawieniem pojedynczych słów, tudzież dokładniejszem oznaczeniem metrów i obrazów plastycznych, składających się na jakiś utwór literacki. Innemi słowy, starano się lepiej wytłumaczyć środki techniczne, służące do uplastycznienia wszelkiej myśli ludzkiej, w przekonaniu, że w ten sposób dotrze się do istoty i tajemnic wrażenia i uczucia piękności. Jakiś też czas można było łudzić się nadzieją, że przynajmniej na tej drodze dojdziemy do pożądanego rezultatu, dopóki badania coraz częstsze i coraz więcej mikroskopowe nie wywołały reakcyi i nie przekonały nas, że sam rozbiór środków technicznych nie da nam jeszcze klucza do rozwiązania zagadki, dotąd przed nami mgłą zasłoniętej. Kierunek więc nowy w całej pełni utrzymać się nie mógł, ale dorobek pewien i to dość znaczny po nim pozostał, i dzisiaj, ktoby z nim się nie liczył, tenby już nie stanął na tej wysokości, na jakiej go ujrzeć mamy wszelkie prawo do żądania. I słusznie, bo przecież słowa, rytm i obrazy składają się na plastykę dzieła, tworzą jego formę, a ta dopiero w połączeniu z potęgą nowych myśli wywołuje w nas podniosłe uczucie piękna. Zachować należy tylko ostrożność i właściwą miarę

bo doświadczenie nas poucza, że droga to bardzo ślizka i że na niej łatwiej zgubić się, jak zbliżyć się do celu.

Tak więc estetyki nie zarzuciliśmy wcale, tylko oparliśmy ją częściowo na odmiennych podstawach i to jest zasadnicza różnica między dawnem a nowem rzeczy pojmowaniem. Że zaś te podstawy nie tłumaczą nam w zupełności zjawiska, przeto nie wolno też nam porzucać całkowicie i dawnych — jak się wyraża p. Kallenbach — „kanonów estetycznych". Ponieważ zaś dalej podstawą owych kanonów czyli, jak jabym powiedział, dawniejszego, subjektywnego kierunku w estetyce, jest w gruncie rzeczy nie co innego, tylko *auctoritas* piszącego, przeto taż powaga krytyka musi mieć i nadal swoje znaczenie. Stanowisko zresztą zupełnie słuszne i uzasadnione z dawniejszego punktu widzenia. Jeżeli bowiem wszyscy czytający odbierają wrażenie i doznają uczucia piękna, którego przyczyny wytłómaczyć sobie nie mogą, to słusznem i uzasadnionem, aby ich oświecił i objaśnił krytyk w tej sprawie głos zabierający. Słowom też jego wierzą w pokorze ducha, a wierzą tem mocniej i lepiej, im więcej on ich w danym zakresie inteligencyą przewyższa, im bardziej przez porównanie podobnych i przeciwnych zjawisk i rozległą lekturę ma wyrobione poczucie smaku, — tak jak ciemny ufa na słowo lepiej widzącemu, a człowiek tępego słuchu wyraźniej słyszącemu. Oczywiście, przy takiem pojmowaniu rzeczy musiał koniecznie zakraść się tu pewien szablon, musiały potworzyć się tak zwane prawidła estetyczne, przechodzące z pokolenia na pokolenie, z autora na autora. Ich źródłem również *auctoritas* tylko nie piszącego, ale przejęta skąd inąd. Potępiać ją z kretesem, jak to czynią niektórzy, obecnie jeszcze nie wolno. Dajcie nam środki objaśniające całkowicie zjawisko piękna, a potępimy z pewnością. Jak długo jednak subjektywna *auctoritas* skutkiem niedostatku naszej wiedzy musi z konieczności rzeczy w krytyce literackiej odgrywać pewną rolę, tak długo dziwić się nie możemy, że krytyk, mający wydać sąd podmiotowy, posiłkuje się w tym względzie powagą dawniejszych, o ile mu ich zapatrywania i poczucia smaku przemawiają do serca i do przekonania.

To są kwestye żywotne, obchodzące żywo każdego autora monografii. Przypatrzmyż się teraz, jak z niemi załatwił się prof. Kallenbach, który, jak to wyżej nadmieniłem, zdawał sobie widocznie dokładną sprawę z trudności położenia?

Dr. Kallenbach stanowisko dawniejszej estetyki, jak poznać z jego własnych słów, potępiał w zupełności, braki i niedostatki nowszej wi-

dział również jasno; natomiast genezę utworów Mickiewicza, umysłowy rozwój poety wśród okoliczności i warunków mu towarzyszących, rozbiór wreszcie myśli i ich zależność od wpływów zewnętrznych, to wszystko na podstawie źródeł i dotychczasowych opracowań mógł przedstawić bądź z mniejszą bądź z większą pewnością, a więc też nie zawahał się w wyborze i postanowił, jak sam pisze, dać nam wizerunek „duchowej ewolucyi“ Adama. Otóż abstrahując od tego, że to rzecz w każdym razie trochę mniej arcytrudna, niż sam dobry estetyczny rozbiór utworów, i mając przed oczyma li tylko założenie autora, musimy, naszem zdaniem, przyznać, że obowiązkom sprostał prawie w zupełności i dokonał dzieła niemal z prawdziwym artyzmem. Książka jego to istny posąg Adama, jakby z jednego kruszcu odlany, na którym chyba tylko pomniejsze skazy widoczne. Przedstawienie jasne, forma piękna i podniosła, godna tematu, sąd bystry i spokojny zawsze, trafny i słuszny po największej części. Z dzieła d-ra Kallenbacha wysuwa się postać Adama w ogólnych konturach o wiele jednoliciej i przejrzyściej, niż u p. Chmielowskiego. Zgoda też prawie zupełna byłaby z szan. autorem i krytyka prócz kilku drobniejszych szczegółów nie miałaby chyba nic do wytknięcia, gdyby p. Kallenbach zechciał był poprzestać na „ewolucyi duchowej“ i pracę swoją inaczej zatytułował. Ale on pragnął dać nam monografię całokształtu i tem samem popadł w sprzeczność z przyjętą przez siebie tezą. Słowa „Adam Mickiewicz“ w tytule umieszczone zbyt są wymowne i każą się spodziewać czegoś więcej, przedewszystkiem obok duchowej ewolucyi także i rozbioru dzieł i to w równej mierze. Wytłumaczyć więc trzeba było czytelnikowi, dlaczego utwory Mickiewicza sprawiają na nas tak potężne wrażenie, bo czytelnik tego również i usilnie domagać się będzie, — przeprowadzić wszechstronnie rozbiór dzieł, choć to pierwotnie nie całkiem było po myśli szan. autora. Gdzie więc jak w „Dziadach“ autor był poważnym specyalistą, lub gdzie jak przy wykładach w Lozanie i Paryżu albo mniejszej wagi utworach wystarczyły rozbiór myśli i wykazanie samodzielności lub zależności od innych, tam poziom przedstawienia nie obniżył się wcale. Gdzie natomiast to nie wystarczyło i autor specyalnych studyów poprzednio nie czynił, tam rozbiór — powiedzmy otwarcie — wypadł słabo (por. np. „Sonety“, „Farysa lub samego „Pana Tadeusza“), tak, że w tym względzie książka pana Chmielowskiego otrzymuje stanowczą przewagę nad dziełem prof. Kallenbacha, choć co do innych zalet w tyle za niem pozostaje. I to jest, mem zdaniem, jedyny ogólny zasadniczy zarzut, jaki mi uczynić wy-

pada, zarzut, jak mnie się przynajmniej wydaje, wytłumaczony stanowiskiem autora, zajętem rozmyślnie wobec sposobu przedstawienia u innych pisarzy. On wyjaśnia nam najlepiej wartość całej książki, jej wady i niewątpliwie zalety.

Zgodnie z powyższem stanowiskiem z bogatej już dzisiaj „dziedziny faktów biograficznych", przyjął p. Kallenbach tylko „to, co jest niezbędnem do wyjaśnienia duchowego nastroju poety, to, co z życia weszło do poezyi lub nawzajem z poezyi wcieliło się w czyn i życie". „Sądziłem bowiem zawsze — powiada dalej szan. autor — że biografia jest niezbędna w organizmie książki, jak w ciele człowieka kościec, ale też jak on powinna być niewidoczna". Zapatrywanie teoretycznie całkiem słuszne i uzasadnione, to też konsekwentne jego (wyjąwszy niżej omówione miejsca) przeprowadzenie podniosło przejrzystość i wewnętrzną wartość całego dzieła. Mniej wydaje mi się wytłumaczonem, że autor niektóre szczegóły biograficzne przyjmuje niekiedy wprost jako wiadome czytelnikowi i powołuje się na nie później, choć na właściwem miejscu wcale ich nie wspomniał [1]. Usprawiedliwić to chyba okolicznością, że autor widocznie liczył tylko na inteligentną publiczność, więcej z dziełami i żywotem Mickiewicza obeznaną.

Teoretycznie słuszne postępowanie d-ra Kallenbacha przedstawia się jednak inaczej, gdy się mu przyjrzymy ze stanowiska więcej praktycznego. Zauważono już z innej strony [2], że żywot Adama jest skarbnicą wspomnień drogich sercu każdego Polaka. Czytelnik zatem nawet światły przebywa wśród nich chętnie i mógłby niejednokrotnie pragnąć bliższego wyjaśnienia i dokładniejszych informacyj, niż je w monografii d-ra Kallenbacha znajduje. Zarzutu oczywiście z tego szan. autorowi czynić nie możemy. On chciał dać nam monografię ściśle naukową, według wszelkich zasad teoretycznych i nie miał na oku innych względów. Co najwyżej możemy tylko wypowiedzieć przekonanie, że książka p. Chmielowskiego, choć pisana pod argusowem okiem cenzury rosyjskiej, jest w niejednym wypadku nierównie więcej informującą. Jeżeli zatem szan. krytyk warszawski urządzi drugie wydanie w roku jubileuszowym, wygładzi formę i stopi wszystko w bardziej jednolitą i równomierną całość, to kto wie, czy nawet i w Galicyi nie stoczy z dziełem p. Kallenbacha walki, bodaj czy nie zwycięskiej.

Jest jeszcze trzeci punkt ogólniejszej natury, z którym mi się

---

[1] Kilka takich miejsc przytaczam poniżej.

[2] Zobacz recenzyę w *Słowie Polskiem* r. b. nr. 189.

rozprawić należy, zanim przystąpię do bardziej szczegółowego omawiania. Oto z kilku stron słyszałem: „w książce d-ra Kallenbacha niema prawie nic nowego“. Takie zdanie zmusza mnie przedewszystkiem do rozstrzygnięcia pytania, czego właściwie od dobrej monografii pod tym względem wymagać mamy? Sądzę, że w tej mierze niema dwu zdań. Jeżeli to pisarz drugorzędny, którym niewiele dotąd zajmowano się, to monografia całości ma nietylko wyzyskać dotyczącą literaturę, ale także posunąć naukę znacznie naprzód, tak, żeby nowa praca była na długi czas miarodajną. Jeżeli jednak monografia odnosi się do pisarza takiej miary jak Mickiewicz, któremu poświęca się ciągle cały szereg specyalnych studyów i całe legiony przeróżnych notatek i materyałów, to piszący monografię, gdy ujmie wszystko w jednę całość i połączy niczem nie wiążące się nici w jednę nieprzerwaną tkaninę, dokonał już arcytrudnego zadania i więcej domagać się od niego nie mamy prawa. Jeżeli zaś da nam jeszcze więcej i w monografii całości wytłumaczy sam jakąś zawiłą kwestyę lub dorzuci ważniejszy szczegół, to wówczas jest to jego *plus*, ale nie obowiązek.

Nie jestem specyalistą w literaturze Mickiewiczowskiej, więc też i bez zastrzeżenia nie umiem powiedzieć, czy dr. Kallenbach wyzyskał w zupełności wszystko, co wyzyskać mógł i powinien był. O ile jednak z kwestyą jestem obznajomiony, sądzę, że tak — oczywiście odpowiednio do swego pierwotnego założenia i z pominięciem właściwego rozbioru samychże dzieł. Kto inaczej utrzymuje, ten musi dowieść nie, że jakiś szczegół p. Kallenbach pominął, ale że ta wiadomość potrzebną była do obrazu, jaki nam dać zamierzył. Co się zaś tyczy myśli nowych, to wskazuję „Dziady“, wykłady w Lozanie i Paryżu, „Konfederatów barskich“, stosunek do prozodyi Królikowskiego, do Lamennais'a, Böhme'a, Saint Martin'a i Towiańskiego, — wszystko rzeczy nierównie lepiej i dokładniej wyjaśnione, niż gdziekolwiek indziej. Dlatego utrzymuję stanowczo, że szan. autor nietylko, jak już poprzednio nadmieniłem, duchowy nastrój nieśmiertelnego Adama w rozmaitych fazach jego żywota, przedstawił tak jednolicie i przejrzyście, iż chyba pod tym względem prawie niczego więcej życzyć sobie nie możemy, ale że wyszedł nawet poza ramy swych obowiązków, wyświecając niejedno, co dotychczas tak jasnem jeszcze nie było.

Takim wydaje mi się stosunek dzieła d-ra Kallenbacha do ogólnych, zasadniczych warunków dobrej monografii, a za lepszą ilustracyę jego niechaj posłuży dokładniejszy choć wcale nie szczegółowy przegląd pojedynczych rozdziałów.

Lata dzieciństwa i uczęszczania do szkoły w Nowogródku. (Rozdział I.: Rodzina i szkoła 1798—1815), tudzież studyów uniwersyteckich (rozdz. II., 1815—1819) skreślone barwnie i plastycznie, pierwsze także z szerokiem uwzględnieniem wypadków współczesnych, a drugie z niemałą sumiennością i gruntownością. Zanadto już jednak mało uwagi poświęcono programowi nauk w szkole nowogrodzkiej, a za silnie zaakcentowano wpływ profesorów wileńskich, skoro Mickiewicz według Domeyki „katedr uniwersyteckich nie lubił i sam sobie był profesorem". Autor przytacza sam to zdanie (str. 32), a przecież przeciwny wniosek wysnuwa i samoistne studya Adama w znacznym półcieniu pozostawia.

W rodziale III. (Przełom 1820—1822) psychologiczny stan i rozwój umysłowy młodego wieszcza uwydatniono przejrzyście a stosunek jego miłosny do Maryli i literacki do Trembeckiego i Schillera trafnie i zgodnie z dotychczasowemi badaniami, przyczem zauważyć należy, że autor znał już nawet I. tom dzieł Adama w wydaniu Towarzystwa im. Mickiewicza. Rozdział też ten, skutkiem barwności przedstawienia, trafnego wyzyskania literatury i gruntowniejszego niż gdzieindziej rozbioru „Żeglarza" i porównania go z *Seefahrt* Goethe'go, nazwałbym przepięknym, gdyby nie kaziły go usterki nie do pominięcia. Pierwszą z nich to zupełne przemilczenie organizacyi Filaretów i nieobjaśnienie czytelnika o czasie powstania i celach późniejszych od Filomatów związków młodzieńczych, choć p. Kallenbach co chwila posługuje się nazwą „braci filareckiej" a nawet „Promienistych" (np. str. 56, 57, 58, 59 i t. d.). Brak ten wypełnia autor dopiero w rozdziale szóstym, a więc stanowczo nieco za późno. Oczywiście jest to niewątpliwie pierwszy błąd kompozycyi, którego nie usprawiedliwi okoliczność, że czytelnik inteligentny może być już poprzednio obeznany z historyą i znaczeniem owych towarzystw młodzieży wileńskiej. Znalazł się tu także autor w sprzeczności z słusznem wymaganiem teoryi, wyznawanem przez siebie samego, że biograficzne szczegóły powinny tylko oświetlać duchowy nastrój i dzieła poety. Jeżeli bowiem „Oda do młodości" i inne z tego czasu pieśni są w żywym stosunku do zadań i haseł filareckich, to piszący monografię musi ten stosunek ze swej strony wyjaśnić i poinformować czytelnika bez względu na to, czy on rzecz całą zna czy nie.

Za dalszą usterkę uważam rzucenie zbyt małego światła na lata pobytu w Kownie i zbyt pobieżne tak w tym, jak i w następnym rozdziale dotknięcie przykrości, jakie miał Mickiewicz z władzą uniwer-

sytecką, a zwłaszcza Janem Śniadeckim. Czy szan. autor uczynił to z rozmysłu, czy też przyjął wszystko znowu za wiadome czytelnikowi, w obu wypadkach nie godziłbym się na stanowisko przez niego zajęte.

Zbyt też szorstką i stanowczą jest odprawa, dana tym krytykom, którzy znając, „jakie skutki praktyczne miała ‚Oda do młodości' w naszem życiu", ośmielili się jej zarzucić przecenianie sił młodzieży i szerzenie haseł niedojrzałych. Dr. Kallenbach, zachowując w tej kwestyi pewną samodzielność, nazywa ich wywody naciąganymi i posądza o podciągnięcie „psychologicznie bystrej formułki" Mickiewicza „pod wymagania wyższej polityki". Według niego ów wiersz:

Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar według sił.

jest tylko uchyleniem „wymówki słabszych lub leniwszych" z pomiędzy Filaretów, którzy umieli „zasłonić się frazesem: To nad moje siły!" Cóż jednak począć z takimi wierszami, jak

Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię.

lub z przekonaniem, że tylko młodzież, a nie kto inny, ruszy bryłę z posad świata i nowymi pchnie ją tory? Mnie się wydaje, że raczej wywód szan. autora jest naciąganym, skoro wszyscy, zawsze, słuchając tej zresztą potężnego natchnienia pieśni, wynoszą odmienne wrażenia i skoro „do dziś dnia", jak słusznie zauważa prof. Tarnowski [1], „kto chce młodym pochlebiać, a pochlebstwem pozyskać i opanować, posługuje się w tym celu wyjątkami i hasłami z „Ody". Zgodzić się zatem chyba wypadnie, że Oda to wprawdzie podniosły wyraz szlachetnych dążeń młodzieży filomackiej, ale że równocześnie „Mickiewicz pisał ją bez żadnych restrykcyj, jako śmiały manifest ufnej w siebie, a nieznającej życia młodości, że tak trzeba ją rozumieć i przyjmować, a jego złudzeń i pomyłek nie taić, ani osłaniać" [2].

Mimo powyższe usterki rozdział trzeci zostaje w ogólności pięknym i takim też jest początek czwartego („Ballady" i „Romance", „Grażyna"), gdzie najpierw trafnie i gruntownie oceniono przedmowę Mickiewicza: „O poezyi romantycznej" i porównano ją z zapatrywaniami Brodzińskiego i Śniadeckiego. Z chwilą jednak przejścia do właściwych rozbiorów psuje się wszystko odpowiednio do tego, co wyżej zauważyłem. Z „Ballad" tylko jeden „Dudarz" starannie i oryginalnie

[1] Ob. cytowaną powyżej recenzyę, *Przegląd Polski*, t. 125, str. 122.
[2] Tamże.

rozpatrzony. Bystrem i oryginalnem jest tu zwrócenie uwagi na związek, istniejący między nim a czwartą częścią „Dziadów". Z innych wybrano i oceniono tylko kilka i to dość pobieżnie, choć autor miał tu do pomocy znany i wszechstronny rozbiór w dziele prof. Tretiaka: „Mickiewicz w Wilnie i Kownie". Chronologiczny przytem porządek, jaki dr. Kallenbach ustalić zamierzył, sprzeciwia się wręcz dotychczasowym zapatrywaniom i to bez należytej racyi. Punktem wyjścia dla autora jest weselszy lub smutniejszy nastrój ballady, odpowiednio do szczęśliwych chwil, przebytych z Marylą, lub smutku, w jaki pogrążył się następnie poeta po zniweczeniu wszelkich rojeń o przyszłem, szczęśliwem pożyciu. Punkt to wyjścia bardzo niepewny, który już niejednego krytyka zaprowadził na manowce, ilekroć wziął go za jedyną podstawę do ustalenia chronologii. Pamiętać przecież należy, że poeci jak wszyscy zresztą ludzie, nawet wśród smutku, wynikłego z zawiedzionej miłości, doznają rozmaitych innych wrażeń, że dla młodego zwłaszcza umysłu wystarcza czasem i przyjemna uczta lub przechadzka w wesołem towarzystwie, aby go usposobić i nastroić inaczej.

Ocena „Grażyny" wypadła również mdło i niewystarczająco, jak to już zgodnie z kilku stron zauważono. A przecież to utwór wyjątkowego niemal znaczenia na ówczesne czasy i ówczesną literaturę naszą, a przecież jeżeli gdzie, to właśnie tu możemy się już dzisiaj poszczycić całym szeregiem prac, na których oprzeć się można. Co się tyczy szczegółów, to wyznam wprost, że odnoszę się sceptycznie do prób, usiłujących oczyścić akcyę Grażyny z zarzutu pewnego nieprawdopodobieństwa. W szczegółową polemikę wchodzić mi tu niepodobna; zauważę więc tylko, że dla mnie i, jak tuszę, dla przeważnego zastępu czytelników, decydującem pozostanie zawsze wrażenie po przeczytaniu poetyckiego utworu, a nie to, co mozolnie z pojedynczych słów wysnuć i wykombinować można.

Jak w prawdziwym kalejdoskopie po ocenie „Ballad" i „Grażyny" następuje znowu rozdział, może najpiękniejszy i najświetniejszy ze wszystkich („Dziady". Wilno 1823). Mówiąc to nie mam wprawdzie na myśli, aby słowa szan. autora były już ostatnim wyrazem krytyki — owszem, niejeden jeszcze szczegół, zwłaszcza w części czwartej, czeka dokładniejszego objaśnienia, ale zawsze rozdział o „Dziadach" jest prawdopodobnie najlepszym z tego, co o tym przedmiocie wogóle napisano. Dr. Kallenbach łączy tu spokój i rozwagę z bystrością sądu i głęboką znajomością przedmiotu. Jego też uwagi o powiązaniu fragmentów części pierwszej, o muzykalności części drugiej i wpływie na

nią „Prozodyi polskiej“ Królikowskiego są nietylko oryginalne, ale i przekonywujące. Natomiast nie trafia mi wcale do przekonania szukanie jakiejś idei przewodniej, łączącej wszystkie części seryi pierwszej „Dziadów“. Idea taka dobra w „Fauście“ Goethego, u starca rozumnego doświadczeniem i głęboką nauką, ale nie u młodzieńca, który szedł za popędem wrażenia i czuł potrzebę wylania własnych uczuć. „Dziady“, jak z całą słusznością i po kilkakrotnie zaznaczył prof. Tarnowski, to „poemat biograficzny“, wzorowany na podobnych współczesnych, poemat, w który Mickiewicz wlał całą swą duszę i ożywił własnemi cierpieniami. Jakiejś zatem tezy, powziętej z góry przed pisaniem, jakiejś idei-matki szukać w nim nie potrzeba, bo niema jej tam według wszelkiego prawdopodobieństwa.

Rozdział szósty („Więzienie“, „Sonety“. 1824—1825) z kolei znowu o wiele słabszy. Wartość artykułu „Goete i Byron“ oceniono wprawdzie trafnie, ale ocena „Sonetów“ tak krymskich, jak i erotycznych wypadła blado i nie wytrzymuje porównania choćby z rozbiorem p. Chmielowskiego, ani co do głębszego zrozumienia treści, ani co do tła, na którem je przedstawiono. O nici przewodniej, spajającej Sonety krymskie, ani wzmianki, a przecież istnienie jej nie ulega chyba żadnej wątpliwości. Dopiero stopniowanie rozpaczy i uspokojenia wytłumacza nam, dlaczego te właśnie Sonety sprawiają tak głębokie wrażenie, dlaczego je musimy uważać nie za prześliczne, luźne obrazki, ale za jednolite arcydzieło pierwszorzędnej piękności. P. Kallenbach zdania tego zdaje się nie podzielać i Sonetów nawet krymskich wysoko nie ceni. To też i w genezie, tak zwykle u niego dokładnie opracowanej, nie zaznaczył wcale, że artystyczne wykończenie utworu nastąpiło dopiero w Moskwie na podstawie szkiców i notatek, poczynionych uprzednio w Krymie i Odesie.

Rozbiór „Wallenroda“ (Rozdział VI. „Konrad Wallenrnd“. Pobyt w Rosyi. „Farys“. 1826—1829) w ogólności ładny i trafny, ale tylko pod względem uwydatnienia zmiany pierwotnego planu, psychologicznego scharakteryzowania postaci bohatera i dokładniejszego niż gdzieindziej porównania z „Korsarzem“ Byrona. Zgodzić się dalej można i na to, co szan. autor opowiada o właściwej idei „Wallenroda“, choć pomijać nie wolno było, że utwór bądź co bądź już samą treścią wpływał podniecająco na rozgorączkowanie umysłów przed r. 1830 i tem samem poniewolnie przyczynił się do wybuchu powstania listopadowego. Natomiast nie można żadną miarą pisać się na prawdziwie macosze traktowanie epizodów lirycznych „Wallenroda“. Chcąc się czegoś bliż-

szego dowiedzieć o Pieśni lub Opowieści Wajdeloty, o Hymnie do św. Ducha, o Pieśni do Wilii, lub Z wieży, to chyba sięgnąć nam po objaśnienia do innych opracowań, bo p. Kallenbach w swojej monografii albo ich wcale nie udzielił, albo tylko nader skąpo. Widocznie kierowała nim ta sama myśl, która kazała mu poskąpić i wskazówek estetycznych wogóle.

Ze szczegółów nie można również pominąć i odpowiedzi szan. autora na pytanie, dlaczego właściwie Mickiewicz nie lubił Konrada Wallenroda. Dr. Kallenbach utrzymuje, że „dla nie zbyt artystycznego ustosunkowania poszczególnych części poematu“, mnie się jednak wydaje, że dla innego zupełnie powodu. Oto Mickiewicz, odpowiadając na list Odyńca, pisze: „Uwaga damy (podobno Natalii Biszpink) o chrześcijaństwie Konrada żywem a potem zaniedbanem jest arcygłęboka. Błąd mój pochodzi z planu, który się potem zmienił. Życzę, abyś tej damie swoje dramata czytywał“ [1]. Jeżeli teraz dodamy do tego, że Mickiewicz później o wiele więcej nawrócił się do Boga i pogłębił znacznie uczucie prawdziwej religijności i pobożności, że później nawet swoje wszystkie pisma oceniał wyłącznie z chrześcijańskiego punktu widzenia, to powód staje się zupełnie jasnym i zrozumiałym: Adam nie lubił postaci Wallenroda, bo ta zamało zgadzała się z jego pojęciami przez długi czas głęboko i szczerze katolickiemi.

Dopiero po rozbiorze „Wallenroda“ następuje skreślenie pobytu i wrażeń, jakie Mickiewicz odbierał na niezmierzonych przestrzeniach cesarstwa rosyjskiego. Błąd to nowy kompozycyi, który przyczynił się niemało do tego, że geneza Konrada nie wystąpiła tak jasno, jak przy innych utworach. Szkoda też niemała, bo doprawdy ustęp, którym nas obdarzył p. Kallenbach nieco za późno, należy do najlepszych w całej książce. Świetną zwłaszcza i wyczerpującą jest tu sylwetka stosunków literackich w Rosyi, ściślejszego otoczenia Mickiewicza i jego coraz to szerszego widnokręgu. Nie mniejszy zaszczyt autorowi przynosi tak to, co na podstawie widocznie rozległego oczytania w odnośnej literaturze mówi o istocie i skutkach romantyzmu (jako wylewie indywidualnych dążeń jednostki), jak i sama charakterystyka Puszkina i wytłumaczenie sprzeczności u tego największego poety rosyjskiego.

Plany niedoszłych dzieł i szczegóły przygodnych improwizacyi omówiono możliwie starannie i wyczerpująco. Mniej natomiast przema-

[1] Ob. Korespondencya IV, 102.

wia mi do przekonania podniesienie i wyróżnienie zarzutów, skierowanych przeciw polemicznemu artykułowi Mickiewicza: „O krytykach i recenzentach warszawskich“, przyczem występuje znowu brak należytego informowania czytelnika. P. Kallenbach bowiem zajmuje się tylko odpowiedziami przeciwników, treści zaś samego artykułu nie dotyka prawie wcale, przyjmując ją widocznie za znaną.

Na wpływ Oleszkiewicza i zarodki mistycyzmu zwrócono baczną uwagę, ale „Farysa“ zbyto z bardzo lekkiem sercem. Autor, opierając się na zdaniu prof. Romana Pilata [1], przedstawił trafnie genezę poematu i zastrzegł się słusznie przed alegoryzowaniem jego, lecz co zresztą o nim powiedział, to trochę stanowczo za mało.

Rozdziałem ósmym (Podróże. 1829—1832), opisującym podróże Mickiewicza do roku 1832, jego pobyt w Rzymie i stosunek do Ankwiczówny i powstania listopadowego, kierowała widocznie umiejętna ręka. Poznać to i z trafnego wyboru szczegółów i artystycznego przedstawienia przemiany i wzrostu uczuć religijnych w duszy poety pod dobroczynnym wpływem ks. Chołoniewskiego i wrażeń, odniesionych w stolicy świata chrześcijańskiego. Powodów jednak wstrętu Mickiewicza do spekulatywnej, ówczesnej filozofii niemieckiej nie trzeba szukać za daleko. Jasny umysł Adama dzielił niechęć do niej z całym zastępem innych pochodzenia nie specyficznie niemieckiego. W myśl też raz zajętego stanowiska nie przytacza p. Kallenbach trzech zwrotek, ofiarowanych Adamowi przez Goethego, i nie zna widocznie jeszcze najnowszego artykułu d-ra Zippera [2], z którego zdawałoby się wypływać, że wrażenie, jakie Mickiewicz na twórcy „Fausta“ uczynił, nie było tak dodatniem, jak to nam szan. autor przedstawił.

Rozbiór trzeciej części „Dziadów“, rozpoczynający tom II. monografii (Rozdział IX. „Dziady“. 1832), wypadł podobnie, jak części poprzednie. „Roi się“ tu w istocie od myśli trafnych, nowych i zupełnie oryginalnych, a na owe zaklęte 44 pada nowe światło z tekstu Saint-Martina, żywiącego szczególniejsze upodobanie do czterdziestki głównie ze względu na Pismo św. i żywot Chrystusa Pana. Od siebie dodaję, że zamiłowanie do tak zwanych *les nombres sacrés* było zdaje się dość powszechnem, skoro ma je nawet taki filozof pozytywny, jak August

---

[1] „Pamiętnik Tow. im. Mickiewicza“, t. II, str. 311—315.

[2] Dr. A. Zipper, „Weimar“. Kartki z podróży. *Muzeum* za r. 1896, 595 i nast.

Comte [1]. Również u Pitagorejczyków była czwórka liczbą świętą, tak że najbardziej uroczyste przysięgi składali właśnie na nią [2].

Na rozbiór „Dziadów przypada ogółem w monografii prof. Kallenbacha stron 130, na „Pana Tadeusza“ tylko 60, a zatem mniej niż połowa. Czy więc nie za wiele miejsca w stosunku do innych im poświęcono i czy nie zanadto zaakcentowano wartość ich jako arcydzieła, to już kwestya osobistego zapatrywania. Mnie się wydaje, że pod tym względem nastąpi niebawem reakcya, która, jak sądzę, byłaby się już pierwej zaznaczyła, gdyby nie było roku sześćdziesiątego trzeciego. Mimo bowiem potęgę najwyższego natchnienia mnie przynajmniej osobiście razi i przesada w opisie scen więziennych (przypomnijmy, że to dopiero r. 1822!) i duma poety i egzaltowana nienaturalność jego przepowiedni, choć wiem dobrze, że to wszystko wytłumaczone warunkami powstania i uzasadnione kierunkami i przykładami innych.

Następuje teraz ocena „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego“ tudzież politycznych artykułów Mickiewicza (Rozdz. X. r. 1831—1833), ocena spokojna i trafna, rozjaśniona stosunkiem Adama do ks. Lamennais i swarów emigracyjnych. Za nią wynurza się rozbiór „Pana Tadeusza“, wypełniający rozdział XI. Genezę utworu przedstawiono z możliwą dokładnością, przyczem na podstawie badań prof. Pilata [3] poświęcono wiele miejsca wyjaśnieniu pierwotnego planu i powolnego rozszerzania się poematu. Ponad to niewiele już nam dał szan. autor i doprawdy życzyćby sobie słusznie należało większego „wniknięcia w naturę obrazów i przedmiotu, w rodzaj i sekret ich piękności“.

Pozostałe cztery rozdziały (XII. Pobożność i mistyka. Artykuły i dramaty francuskie. Historya polska. Katedra łaciny w Lozanie. 1834—1840. XIII. Literatura słowiańska 1840—1844. XIV. Towiańszczyzna. XV. Ostatnie lata 1848—1855), przy których z natury rzeczy estetyka małą rolę już odgrywa, dostarczyły autorowi wdzięcznego pola do scharakteryzowania działalności Mickiewicza i jego coraz

---

[1] Ob. Dr. Baumann, *Geschichte der Philosophie nach Ideengehalt und Beweisen*. Str. 25. (Gota 1890).

[2] Już po ukazaniu się w druku monografii p. Kallenbacha usiłował prof. Wierzbowski załatwić stanowczo kwestyę 44 na podstawie liczby porządkowej aktów uniwersyteckich *(sic!)* ważnych w życiu Mickiewicza. Ob. trafną ocenę Z. Bartoszewicza w *Przeglądzie literackim* za wrzesień b. r.

[3] Ob. prof. d-ra Romana Pilata: „Autografy pierwszych trzech ksiąg Pana Tadeusza“ w „Pamiętniku Tow. im. Mickiewicza“, t. v, str. 138, nast., tudzież zapowiedź dalszego ciągu tej pracy („O autografach ks. iv—xii) w biuletynie krakowskiej Akademii Umiejętności za kwiecień r. 1897

szybszego popadania w głębię nienaturalnego mistycyzmu. Talent i samodzielna praca d-ra Kallenbacha ukazują się tu miejscami w całej pełni. Wyróżnić przedewszystkiem należy ukrytą a zwycięską polemikę w rozbiorze „Konfederatów barskich“, nader trafne ocenienie wykładów w Lozanie, słuszne podniesienie trudności, z jakiemi Adam miał do walczenia przy wykładach w Paryżu i wreszcie dobitne zaznaczenie, że w prelekcyach o literaturze słowiańskiej wpływ mistycznego kierunku długi czas jeszcze mało widoczny. Największą jednak zasługę przysporzył sobie autor przez wykazanie zależności Mickiewicza od pism Böhme'a i Saint-Martina, na której to dopiero podstawie i przy niemałej erudycyi p. Kallenbacha w tym kierunku zarysował się nader plastycznie obraz dążeń i działalności Towiańskiego, choć stosując się do ram monografii, trzeba było opowiadanie nieraz ścieśnić i ograniczyć. Wolelibyśmy tylko, by opis Towiańszczyzny wpleciono przynajmniej częściowo już do rozdziału poprzedzającego, który w obecnym stanie rzeczy mimo kilkakrotnych odsyłaczy jest częściowo niezrozumiałym. A obok usunięcia tej nowej usterki w kompozycyi pragnęlibyśmy także obszerniejszego uwzględnienia życia rodzinnego poety, bo szczegółów o niem może aż nadto poskąpił nam autor w tej właśnie części.

Zamykają książkę nieznane, choć małoważne listy Mickiewicza, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i wnuczki Bartosza Głowackiego, pani Ludwiki Gropplerowej. Do nich dodano o wiele ciekawsze, bo charakteryzujące zapatrywania polityczne Adama, wyjątki z pamiętnika Henryka Nakwaskiego, tudzież sądy dwu francuskich profesorów uniwersytetu fryburskiego pp. Giraud i Michaut, popierające zdanie autora o „Konfederatach barskich“.

Forma, w jaką ubrał p. Kallenbach swoje dzieło, jest barwną i piękną. W stylu jego nie znać prawie wpływu języka niemieckiego lub francuskiego, pomimo że autor przebywa od dłuższego czasu na obczyźnie. Ustępy mniej wygładzone (jak np. o Borowskim) tłumaczą się samym ogromem dzieła, nad którem praca trwała pewnie całe długie miesiące. Nie zawsze więc autor mógł znaleść się w usposobieniu jednakowo szczęśliwem i jednakowo nadającem się do tworzenia. Dorzućmy wreszcie do tego, że dla nas przynajmniej, książka p. Kallenbacha wydaje się napisana z niemałem przejęciem się utworami Mickiewicza i prawdziwie szlachetnem ciepłem patryotycznem, a będziemy mieli sumę wrażeń z całego dzieła, zasługującego słusznie na to ogólne zainteresowanie się, jakie żaraz po wyjściu obudziło.

Dr. Korneli Juliusz Heck.

Rocznik Koła artystyczno-literackiego we Lwowie. Wydany pod redakcyą *d-ra Witolda Bartoszewskiego.* (Dochód przeznaczony na fundusz wdów i sierót po literatach i artystach). Lwów. Nakładem Koła artystyczno-literackiego. Z drukarni Polskiej. 1897.

Wiadoma rzecz, jak tego rodzaju zbiorowe wydawnictwa, „Roczniki", „Ziarna", „Kłosy" (przyznaję w pokorze, że miałem ochotę napisać „Plewy" i „Słoma") powstają. Znajdzie się ktoś chętny, który ma poczciwy jakiś a w grosz nieofitujący cel przed oczami; ma i tuzin lub co lepiej parę tuzinów znajomych literatek i literatów. Do jednego pójdzie, do drugiego list napisze, do trzeciego po liście i po złożonej uroczyście obietnicy trzeba jeszcze w najlepszym razie trzy, w gorszym cztery, pięć, sześć telegramów wysłać. Wreszcie zebrało się trzydzieści, czterdzieści (w przypadku, o który nam chodzi, daleko więcej, bo równo siedemdziesiąt) utworów i utworków prozą, wierszem, białym wierszem i czarną *vulgo* poetyczną prozą. Wydawca rozdziela, rozgatunkowuje je wedle pierwszych liter nazwisk P. T. Autorów i posyła do drukarni. Za miesiąc, dwa lub trzy „Rocznik" gotów; o to tylko chodzi, aby go ktoś kupił i aby np. fundusz wdów i sierót po literatach nie musiał kontentować się samą jałową sławą, że znalazł się ktoś, który o nim myślał i na jego korzyść zbiorową księgę wydał.

Bezwątpienia o to chodzi i bardzo chodzi, ale o to się tym razem obawiać chyba nie należy. P. Bartoszewski z godnym uznania zapałem i zaparciem siebie zwołał do szeregów, kogo tylko zwołać było można. Skrajny radykał skrajnemu konserwatyście rękę podaje; Kasprowicz sąsiaduje z ks. Gnatowskim, p. Morzkowska kłania się d-rowi Rittnerowi; Świętochowski żegna się ze strachu znalazłszy się, prawdopodobnie pierwszy raz w życiu, w jednem towarzystwie z arcybiskupem i z — Jezuitą. Mieszane towarzystwo; rzecz prosta, że i trochę mieszane *menu* literackiej uczty, którą nam tak różnorodni kuchmistrze zgotowali. Ministrowie (Biliński, Madejski, Rittner), mistrzowie pióra, jak Sienkiewicz, zadowolnili się krótkimi aforyzmami; uderza między nimi aforyzm Bilińskiego, który sobie pewno w parlamentarnej sali często powtarzał: *Nemo sapiens, nisi patiens.* Poezyi tyle, że aż dziwno, że w prozaicznym tym czasie tylu mamy poetów. Są i krótsze i dłuższe, historyczne i literackie rozprawy. Sam p. Biegeleisen zajął przeszło 40 stronic wywodami „Do Genezy Nieboskiej; nie nasza rzecz pytać, czy to dla „Rocznika" nie za wiele, a więc i nie zdrowo? Zresztą komu przydługi artykuł nie do smaku, niech się nie martwi i przy długiej krytyce humoru nie traci, lecz poprostu niech niemiłej sobie

rozprawy nie rozcina i nie czyta, a natomiast bierze się do aforyzmów, powiastek, wierszyków. Na to ich tyle, aby każdy wybrał, co mu się podoba, a nikt nie miał racyi wymówić się od kupienia książki, z któ rej dochód zaradzić ma niejednej może bardzo gwałtownej potrzebie, niejednę, może bardzo gorzką łzę ma otrzeć.

Z.

Antygona. Tragedya *Sofoklesa* przełożona na język polski przez *Kazimierza Morawskiego*. Kraków 1898.

Jak duch jakiś zamarłej przeszłości stanęła wspaniała grecka tragedya w pośród dzisiejszej, zupełnie jej obcej literatury, i przyniosła ze sobą powiew wiecznie świeżej, klasycznej sztuki. Może za czasów Mickiewicza zrobiłaby „Antygona“ na polskiej ziemi mniejsze wrażenie, bo byłaby przyćmioną blaskiem rodzimej poezyi, ale dziś, gdy już dawno zapomnieliśmy o jakiejś większej kompozycyi, a zwłaszcza o kompozycyi dramatycznej, tragedya starego Sofoklesa w świeżym, polskim kuta marmurze, przedstawia się jak pomnik olbrzymi, u stóp którego utwory dzisiejszej muzy padają jak łamiące się, chwiejne cienie przechodniów.

Nie po raz pierwszy pojawia się Sofokles w naszym języku. Pojawia się wprawdzie nie od dawna, bo po wiek XIX. nie lubiano jakoś greckiego tragika tłumaczyć, ale w naszym wieku tłumaczeń jego dramatów mamy dosyć. Bogumił Groddeck tłumaczy „Filokteta“ i „Trachinki“ — Euzebiusz Słowacki próbuje tłumaczyć „Elektrę“ — Eliaszewicz „Trachinki“ i „Edypa w Kolonie“ — Walicki, Wężyk i Czubek tłumaczą „Króla Edypa“ — Smaczniński i Czubek „Antygonę“ — Małecki i Hugo Wróblewski „Elektrę“ — Mierzyński „Ajasa“ — wreszcie Zygmunt Węclewski i Kazimierz Kaszewski dali nam dwa tłumaczenia całości, wszystkich dramatów, które po wielkim poecie dostały się nam w spuściźnie. Piąte więc z rzędu pióro polskie, o ile wiemy, poświęciło się tłumaczeniu „Antygony“. Mimowoli nasuwa się pytanie, czy piąte to tłumaczenie po czterech poprzednich ma racyę bytu?

Oczywistą jest najpierw rzeczą, że w sprawach sztuki względy matematyczne decydującej roli grać nie mogą, a najmniej w dziale tłumaczeń. Choćby Pan Tadeusz był jeszcze raz tłumaczony na język niemiecki, doskonale rozumiemy, że zbytecznemby to nie było, bo poprzednie tłumaczenia do wysokości oryginału się nie zbliżyły. Jeżeli więc tylko następne tłumaczenie jest od poprzednich lepsze,

jeśli stanowi ewolucyę w wiernem i artystycznem zarazem oddaniu arcydzieła, bez zaprzeczenia ma racyę istnienia i dobrze jest, że istnieje. Kwestya zatem, którą tylko postawić trzeba, jest ta, czy „Antygona“ p. Morawskiego przewyższa polskie poprzednie „Antygony“. Odpowiedzielibyśmy na to: tak.

„Antygona“ Węclewskiego jest najmniej ze wszystkich udaną. Znać zaraz filologa z zawodu, który nie chciał ani słowa z oryginału uronić, a nie miał na tyle polotu, żeby tę dokładność ze swobodą połączyć. Stąd wiersz każdy jest niewolnikiem sofoklesowego wiersza, porównania i tropy i tak już w języku greckim długie, rozwlekają się jeszcze bardziej, a język cały jest ciężki i wymuszony. Byłby to raczej podręcznik dla uczniów, niż artystyczne tłumaczenie.

Na pograniczu między dokładnością a artyzmem tłumaczenia postawilibyśmy „Antygonę“ p. Czubka. Jest tam wogóle i wierny przekład i język lekki i potoczysty, ale jednego brak. Brak serca, przejęcia się i natchnienia, które i w tłumaczu być musi. P. Czubek jest widocznie dobrym filologiem, włada mocno językiem polskim, ale poetą może nie jest.

Więcej przejęcia się i poezyi widzielibyśmy w „Antygonie“ Smacznińskiego, choć dużo mniej dokładności i równego stylu. Główną wadą Smacznińskiego jest nierówność: raz bardzo dokładne i wierne oddanie tekstu, drugim razem zanadto dowolne — od czasu do czasu wiersz świetny, lotny, przemieniający się jednak za chwilę w nudny rym częstochowski. Stąd tłumaczenie Smacznińskiego nic nie przesądza o istnieniu następnych tłumaczeń.

Przechodząc do wzmianki o p. Kaszewskim, musimy od razu powiedzieć, że mamy z artystą większej miary do czynienia i mogłaby być może trudność, czy po „Antygonie“ Kaszewskiego próba nowego tłumaczenia nie będzie niesieniem nowej sowy do Aten. Chodzą pogłoski o Kaszewskim, jak i o tłumaczu Odyssei, Siemieńskim, że greckiego języka nie znał, a mimo to tłumaczenie jego jest bardzo wiernem. A przytem jest takie swobodne i lekkie, takie barwne i poetyczne, że możnaby je wziąć za utwór dzisiejszej polskiej poezyi. Jest to wielką zaletą „Antygony“ Kaszewskiego, ale jest w tem i racya bytu dla „Antygony“ p. Morawskiego.

Sztuka tłumaczenia ma swoje najrozmaitsze subtelne odcienie i dlatego pod wielu względami jest trudniejszą od samego tworzenia. Za ideał tłumaczenia uważalibyśmy tłumaczenie wierne i swobodne,

poetyczne i potoczyste, w któremby jednak zachowane było znamię oryginalne, i narodu, i wieku, i poety — tak, żeby z tłumaczenia Sofoklesa np. bił i oddźwięk jakiś helenizmu i żeby w niem odtworzone zostały harmonijne rzuty sofoklesowej klasyczności.

Wiele z tych wymagań znajdujemy w dziele p. Morawskiego. Nie stawialibyśmy go może za ideał ostatni w tej sferze; w niektórych miejscach dla dźwięku i gracyi wiersza poświęcone są słowa Sofoklesa tak, że zachowaną jest tylko wierność myśli. Chociaż zarzuciliśmy poprzednio Kaszewskiemu pewien nadmiar modernizmu w ogólności, to przyznać jednak musimy, że jedna, druga strofa chórowa Kaszewskiego jest bardziej grecką, niż w ostatniej „Antygonie". Ale poza tem zdawałoby nam się, że tłumaczenie p. Morawskiego jest najlepszem z istniejących.

Dyalogi tragedyi oddał p. Morawski wierszem białym, ale tak nieskazitelnie zachował rytm równy i potoczysty, że ustawicznie ma się przy czytaniu wrażenie dokładnego, rymowanego wiersza. Użyciem wiersza białego uniknął najpierw autor tego, w co popadł Kaszewski wskutek zbyt lotnej dykcyi, — nienaturalności dyalogów. Dykcya ta oddała Kaszewskiemu wielką przysługę w chórach, gdzie występuje pierwiastek liryczny, ale w rozmowie robi zbyt sztuczne wrażenie. A potem wiersz biały, ale dobry, taki jak go tu mamy, daleko lepiej odpowiada klasycznej sztuce, która naszego wiersza nie miała, i daleko lepiej jej charakter zachowuje. Jest to też jedna z przyczyn, dla której czujemy, że nad kartkami tego tłumaczenia duch grecki unosi się. Mówimy: jedna z przyczyn, bo główna przyczyna, wywołująca to wrażenie, leży u autora w wielkiej znajomości świata klasycznego i w wielkim afekcie do wszystkiego, co w tym świecie było wzniosłem.

Ten afekt przejawia się przedewszystkiem w chórach, gdzie autor piękne ustępy Sofoklesa w prześlicznych oddaje strofach. Przebija się w tem misternem rzeźbieniu wielka predylekcya dla greckiego tragika, ale też i wielka jego znajomość i zgłębienie, bo nadzwyczaj jasno oddaną jest myśl chórów, która nawet w tłumaczeniu prozą nie zawsze jest widoczną. Przytoczmy dla próby kilka wierszy w zestawieniu z innemi tłumaczeniami:

Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga
Dziwy człowieka potęga.
Bo on prze światło poza sine morze,
Gdy toń się wzdyma i kłębi,

I z roku na rok swym lemieszem porze
Matkę ziemicę do głębi [1].

(Morawski)

Siła jest mocnych tworów: nad czło- [wieka
Potężniejszego wżdy niema mocarza.
On chociaż Notos burzliwy się wścieka,
Przez sine morza tonie się odważa
Płynąć i pruje fal topiel piętrzystą.
Toż ziemię, pierwszą z bogiń, wiekuistą
I nieznużoną rok za rokiem porze
I zawracając pługi końmi orze.

(Węclewski)

Godne podziwu rozliczne stworzenia,
Lecz najgodniejszy człowiek podziwie- [nia!
Poza sinych wód topiele
Wzdęte szumiących wichrów powo- [dzią
Wspienione wały wiosłem prując [śmiele,
Na rozigranych falach kruchą pędzi [łodzią.
Ziemię zaszczytem głośną starodawnym
Obfitą hojnymi plony
Za śladami rumaków pługiem zbożo- [spławnym
Corocznie składa w zagony.

(Smaczniński)

Wiele jest dziwów — a przecie
Człowiek, największy dziw w świecie.
On to w siną głębię mórz
Oślep się rzuca, nie zważa,
Czy go pęd ryczących burz
Po drżących prądach wytarza.
On wielkiej bogini — Ziemi
Nieśmiertelnej, niezmęczonej,
Rok w rok pługami konnymi
Pruje brzemię w różne strony.

(Kaszewski)

Wiele jest możnych potęg na ziemi,
Lecz człowiek królem ponad wszyst- [kiemi.
Wyje huragan, piętrzą się fale,
Na toń się ciemną puszcza zuchwale.
I ziemi świętej, bogów rodzicy,
Lejącej wiecznie pot pracownicy,
Nie da spokoju, bo ostre pługi
Rok rocznie krwawe krają w niej [smugi,

(Czubek)

W tem zestawieniu niezaprzeczenie najkorzystniej pod względem harmonijnej formy i jasnego wyrażenia myśli przedstawia się wiersz p. Morawskiego. A nie jest to ustęp wyróżniający się od całości, bo całość jest w równym utrzymana tonie i nie zna słabości formy. Może być, że niejeden wiersz jest u innych wierniej oddany, lub z większym

---

[1] Swoją drogą mniej to jest korzystnem dla tłumaczenia, że temu sześciowierszowi odpowiada dziesięciowiersz u Sofoklesa:

πολλὰ τὰ δεινά, κοὐδὲν ἀν-
θρώπου δεινότερον πέλει.
τοῦτο καὶ πολιοῦ πέραν
πόντου χειμερίῳ νότῳ
χωρεῖ, περιβρυχίοισιν
περῶν ὑπ' οἴδμασιν
θεῶν τε τὰν ὑπερτάταν, Γᾶν
ἄφθιτον, ἀλαμάταν ἀποτρύεται,
ἰλλομένων ἀρότρων ἔτος εἰς ἔτος,
ἱππείῳ γένει πολεύων.

nakreślony kunsztem, ale jeżeli o całość idzie, to taką równą, harmonijną, a zwłaszcza tak klasycznym urokiem owianą całość u żadnego z poprzednich tłumaczy nie znajdujemy.

Najwspanialsze miejsce dramatu, — któremu i Kaszewski nie był w stanie podołać — żegnanie się Antygony ze światem, w utworze p. Morawskiego olbrzymie wywołuje wrażenie. Żadne wyrażenie nienaturalne, o które tak łatwo w tłumaczeniu, nie odrywa uwagi ni uczucia czytelnika, a tyle chyba w tę scenę włożonego jest serca, ile go tylko tłumacz włożyć może.

Na początku dramatu umieszczony wiersz oryginalny autora pod tytułem: „Przygrywka do polskiej Antygony“ — odsłania nam jeszcze jedną przyczynę, dla której tłumaczenie się powiodło — autor jest wielbicielem szlachetnej, bohaterskiej Antygony, a ten czysty kult klasycyzmu wiąże harmonijnie z niemniejszym kultem dla mowy ojczystej. Jak niegdyś Krasiński wysyłał swego Greka Irydiona na północ, do ziemi mogił i krzyżów, tak i autor przywołuje Antygonę ku północy:

Dzieweczko grecka, biała Antygono,
Zstąp dziś pomiędzy nas synów północy,
Odsłoń nam burze, co szarpią twe łono,
Stań w twojej sile i w twojej niemocy,
By nam wyśpiewać hymn chwały i klęski
I tchnąć w słuchaczów czar słów twych zwycięski.

A czar ten żyje; bo urok dziewiczy
Nigdy w piękniejszej nie jawił się pieśni,
Nikt do miłości, do życia słodyczy
Nie tęsknił rzewniej, nie śpiewał boleśniej,
Nikt się z uczuciem tak tkliwem, gorącem,
Jak ty nie żegnał ze światem i słońcem.

I tak dalej płynie równo, spokojnie, miarowo ta niezamącona i żadnym nie zmarszczona wiatrem, lśniąca i czysta jak kryształ fala klasycznego uczucia. Przychodzą potem wspaniałe ustępy, jak zestawienie Antygony z dziewicami chrześcijaństwa, jak apostrofa do polskiej mowy. Jest w tej pieśni jakiś dziwny urok, którego nie doświadczamy w pieśniach dzisiaj, jakby jakieś ostatnie echo zamkniętej już dawno epoki naszego szlachetnego klasycyzmu.

Dla sceny naszej, która nie zawsze utrzymuje się na wysokości klasycznych tradycyj, dramat Sofoklesa w ostatniem tem tłumaczeniu mógłby być cennym nabytkiem.

Ks. J. Pawelski.

Całopalenia. Poemat dramatyczny *Franciszka Lasockiego* w 4 obrazach. Druga część trylogii. Sambor 1896.

Przed wybuchem. Poemat dramatyczny w 3 obrazach. Pierwsza część trylogii. Przez *tegoż*. Sambor 1897.

Rok 1863 stał się ostatnimi czasy w naszej literaturze bardzo sympatycznym. Możnaby zebrać już dziś spory zbiorek powiastek i nowelek, rozrzuconych po pismach peryodycznych, opiewających to poświęcenie, to nędze jakiejś sieroty lub więźnia, bitwy i bohaterstwo powstańców. Do tego zbioru dorzuca p. Lasocki trylogię dramatyczną. Dotychczas dwie części się dopiero ukazały: „Przed wybuchem“, gdzie tłem przyczyny i początki powstania, w „Całopaleniach“ sam rozwój.

Rebeciowie, występujący w poemacie „Przed wybuchem są z tej klasy, którą podłe służalstwo wytworzyło. Mają córkę Kasię. Nie wiadomo jakim sposobem wychowana w tradycyach narodowych, porzuciła schyzmę i dziś należy do najlepszych patryotek. Żywią i podtrzymują w niej te uczucia krewny Rebeciów, Litwin, Piotr Dowgił i Wacław, jej kochanek. Rodzice tem niechętniej patrzą na patryotyczne usposobienie Kasi i jej miłość ku Wacławowi, że mają względem córki inne widoki. Stara się o jej rękę naczelnik wojenny powiatu, Ryłow. Ale darmo. Polce iść za schyzmatyka i Moskala — to straszna zbrodnia przeciw ojczyźnie. Kasia jest niezłomną w swej miłości do Wacława, a pogardzie Ryłowa. Matka więc, pragnąc usunąć ją z tego towarzystwa, postanawia przeprowadzić się do stolicy, gdzie, jak sądzi, ruch narodowy jeszcze nierozwinięty. W Warszawie znalazł się wprawdzie Ryłow i kąpany w rublach literat Miniszewski, ale też Wacław i Dowgił, a silnie rozwinięty rząd patryotyczny jeszcze bardziej utrudnił akcyę Ryłowowi.

Tu dopiero Ryłow poznał jak groźnego ma w Wacławie rywala. Postanawia tedy zemstę. Miniszewski tymczasem ginie jako zdrajca ręką skrytobójczą z wyroku komitetu. Nietrudno było o zemstę; wystarczyło Ryłowowi donieść Wacławowi, że bierze udział w manifestacyach i stara się o znaczną pożyczkę. Otrzymał też zaraz rozkaz z policyi opuszczenia Warszawy w przeciągu doby. Okrutniejszego ciosu nie mógł Ryłow obmyśleć dla kochanków. Wacław albo ustąpi, albo zginąć musi. Miłość atoli zwyciężyła, czego może najmniej przeciwnik się spodziewał.

Nie upłynęła jeszcze doba, a tragedya spełniona. W archikatedrze odprawiało się nabożeństwo za Kościuszkę. Kasia, Wacław i Dowgił wzięli w niem udział. W tem nadbiega Ryłow z wojskiem, by tłumy

rozpędzić. Zobaczywszy ich, wzywa do rozejścia się, lecz natrafiwszy na silny opór, kładzie ich trupem z całą zaciekłością. Przybiegają Rebeciowie i przy zwłokach córki wyrzekają się apostazyi narodowej. Szkoda tylko, że ramy tego dramatu nadto ścieśnione nie pozwoliły autorowi niejednej sceny należycie przeprowadzić. Stąd mamy wiele narzuconych szczegółów, bez jasnego związku i umotywowania.

Drugą część trylogii stanowi poemat: „Całopalenia". Idea oczywiście poświęcenie i obrona ojczyzny. Ofiarą powstania pada rodzina Darskich. W brzezińskim dworze niezwykły zapanował ruch. Adam, syn dziedzica i sąsiad Jan Rolski przygotowują się do jutrzejszego wymarszu. Kto zdrów i może, ze wsi i miasteczka zbiera się pod chorągiew polską: szewc stary Topniak zwerbował rzemieślników i oddaje swojego Grzelę, stajenny Staszek przyprowadza kilku zuchów, a stary Darski z córką Helą cieszy się, że będą mogli przysłużyć się ojczyźnie, rozwożąc rozkazy i wieści. Tak wszystkie stany jedną myślą ożywione związały braterskie dłonie przy ołtarzu miłości ojczyzny. Tymczasem na Darskich pada podejrzenie. Moskale opadli dwór. Darskiego i Adama zabijają, dwór spalili a Helę wiążą do koni jako brankę. Przybiegli powstańcy pod wodzą Rolskiego mogli przekonać się już tylko o dokonanem nieszczęściu. Rolskiego boleść tem bardziej pali, że Hela jest jego narzeczoną, ale i ludzie rwą się odbić dobrą panienkę z rąk wrogów. Spotkanie nastąpiło w lesie i jeden na trzech Moskali szedł z lwią odwagą. Rolski i kapelan pierwsi padli ranni, Staszek i Grzela wraz z Helą dostają się do cytadeli. Przesłuchiwania i knuty nic nie wskórały, bo ani nasi bohaterowie, ani świadkowie ze wsi nie wydali ni jednem słówkiem należących do powstania, ani ojczyzny odstępstwem nie zdradzili. Rolski i Grzela skazani na stracenie, Hela i Staszek do katorgi.

Niewątpliwie temat znalazł autor bardzo dramatyczny i skreślił go nie bez siły obok wysoko patryotycznego uczucia, ale obraz ten zbyt obszerny, by zamknąć go w kilku aktach bez szkody dla jedności sztuki. Akt trzeci przedewszystkiem jest niemożliwie wyciągnięty samemi przesłuchiwaniami. Mógł i oszczędzić autor scenie zbytnie efektownego przedstawienia śmierci na szubienicy skazanych, lub podobnych epizodów, jak przeprowadzenie przez scenę zwłok żydówki Hany, lub monolog obłąkanego Hitrowa. Te rzeczy łatwo sobie każdy może dośpiewać w duszy. Pomimo to charakterów kilka mamy doskonale skreślonych. Przedewszystkiem zwracają na się uwagę typy ludowe: takiego szewca Topniaka Grzeli, i Stacha obok dobrodusznej prostoty odzna-

czające się miłością kraju i dziedziców i tym sprytem naszym chłopkom wrodzonym.

Nie mile przedstawia się postać kapelana, wziętego z owej niefortunnej partyi duchowieństwa, co zapominając o obowiązkach, rzuciła się na oślep w wir agitacyi. Razi np. bardzo historyczna nieprawda, którą autor kładzie w usta kapelana przed sądem:

Z woli papieża Piusa dziewiątego
Polscy kapłani z ludem swym w bój biegą.

Zgodną za to z historyą, może nawet jak kto chce sympatyczną jest rola, jaką autor nadał Żydom. W istocie nie zabrali oni względem powstania ani wrogiej ani fałszywej sytuacyi, ale bratanie się z nimi na polu religijnem uważać należy bądź co bądź jedynie jako objaw chorobliwej egzaltacyi. Co jednak najbardziej w tym dramacie ciekawe, z wielką oddane werwą, to postaci Rosyan. Trudno np. było lepiej oddać nizki poziom popów rosyjskich, zdolnych do wszelkiego przekupstwa i agitacyi złego w imię rządu, jak w podobnym opoju, Jermyle Wołkowie. Smutny obraz podburzania chłopów przeciw panom odkrywa nam autor w rozmowie z Jermyłą, pokazującym wójtowi Chmurze, jako źródło przyszłego mienia chłopów, wór z nożami do rozdania po wsiach; lub w rozmowie mieszczan, gdy jedni podburzeni już przez owe dwa główne organa agitacyjne rządu rosyjskiego w Polsce: popa i djaka, prawią, że panowie walczą o pańszczyznę, a Moskali chcą dlatego wypędzić, że przyszli chłopów uwłaszczyć, inni zaś idą wiernie z szlachtą. A ten Nikita Hitrow nie jestże jakby żywcem zdjętą fotografią osławionego z kradzieży oficera rosyjskiego, lub wojsko jego dyszące za rabunkiem a wszystko *po prykazu!* czyż nie rzeczywiste?

Dramaty p. Lasockiego są ściśle historyczne. W obrazach tych peryodów powstania nie brak ani jednego charakterystycznego typu lub ważniejszego momentu; co każe się domyślać nietylko znajomości stosunków ówczesnych, ale że autor przystąpił do dzieła z należytem przygotowaniem. Treść ich szlachetna i dobra, niemałe zalety formy miłe bardzo muszą zostawić wrażenie.

Jarosław Rejowicz.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Studienordnung der Gesellschaft Jesu. Mit einer Einleitung von *Bernhard Duhr S. I.* Herder'sche Verlagshandlung. Freiburg in Breisgau. 1896. (W 8-ce, str. VIII. i 283).

Gdy w połowie XV. stulecia luteranizm ogarnął społeczeństwo Europy i w straszny sposób szerzył się pomiędzy wszystkiemi warstwami, O. Ignacy Loyola powziął zamiar założenia szkół i rozszerzenia zasad chrześcijańskich pomiędzy młodzieżą. W r. 1547—1550 spisał konstytucyę Towarzystwa Jezusowego i uwzględnił także szkoły. Te szkoły są siedzibą wykształcenia dla własnych członków zakonu. Przeciw tym zasadom podnieśli się w dalszym czasie przeciwnicy zakonu. Wymieniać ich nie uważamy za potrzebne; pomiędzy uczonymi niemieckimi pisali przeciw Jezuitom i ich zasadom nauczania: Jerzy Müller *(Geschichte der Paedagogik)*, Raumer *(Geschichte der Paedagogik)*, Roth *(Gimnasialpaedagogik)*, Sturm *(Classicae Epistulae)*, Otto Willmann *(Didaktik)*, Ottokar Lorenz *(Die Jesuiten und die Gründung der österreichischen Staatsschule)* i wielu innych. Do podobnych przeciwników zaliczyć także można naszych polskich pisarzy: Wiszniewskiego, Wójcickiego i Łukaszewicza. Aby zapoznać uczonych z rodzajem tych szkół i z zasadami powszechnie w nich panującemi, uczony Jezuita Bernard Duhr ogłosił program studyów Towarzystwa Jezusowego, którego to programu tytuł umieściliśmy w nagłówku. Z tem dziełem chcemy zapoznać naszych czytelników.

Cała praca obejmuje trzy części, tj. historyę szkół jezuickich i źródła, następnie podane są zasady pedagogiczne i dydaktyczne, a w końcu mieści się tekst porządku studyów. Szczegółowo omówimy to dzieło, które ma niepomierne znaczenie.

Zaczynamy wstępem historycznym. W r. 1550 istniały już szkoły zakonu w Indyach; pierwsza większa szkoła została otwarta w r. 1548 w Messynie; w r. 1551 utworzono rzymskie kolegium; potem mnożyły się kolegia coraz więcej. W konstytucyach rozmaicie poprawianych, które założyciel przy swojej śmierci (r. 1556) pozostawił, znajdujemy ustęp o szkołach znacznie rozszerzony. Liczba uczniów i klas wzmagała się. O tych instytucyach przedewszystkiem pedagog Sturm i pedagog Ludwik Vives wyraża się korzystnie, zalecając je szkołom protestanckim. Po dłuższem przygotowaniu tak powiodła się sprawa szkół, że w czwartej generalnej kongregacyi (r. 1581) zamianowano

komisyę złożoną z 12 członków, aby wypracowała regulamin studyów. W r. 1584 powołano do Rzymu z różnych krajów 6 doświadczonych w szkolnictwie Ojców, którzy objawili zdanie, wyniesione z doświadczeń, poczynionych w zasadach i metodach. Badano listy, uchwały i statuty uniwersytetów i różne inne dokumenta z wielu prowincyj: Włoch, Hiszpanii, Francyi, Niemiec i Polski; wysłano też delegatów zakonnych do generała. Czytano znowu i ponownie zastanawiano się nad czwartą częścią konstytucyi z gorliwą rozwagą, aby wszystko według tych norm urządzić; badano następnie uchwały kongregacyi, prawidła szkolne i rozporządzenia; badano także zwyczaje w rzymskiem kollegium, które spisano w manuskrypcie. Z tego obszernego materyału zatrzymano wiele dawnych tradycyj, dodano nowe rzeczy i wykreślono niektóre zwyczaje. Jeżeli jeden lub drugi punkt wzbudzał pewne skrupuły, każdy członek komisyi zwracał uwagę na ogólne urządzenia i zwyczaje. Tym sposobem przyszedł nakoniec do skutku projekt, który dano do zaopiniowania profesorom rzymskiego kolegium. Komisya trwała od początku grudnia 1584 r. aż do końca sierpnia 1585 r. Jednak i potem trzej Ojcowie pozostali w Rzymie, aby dać wyjaśnienia co do pewnych trudności. Około końca r. 1585, uczony generał Jezuitów Aquaviva, badał jeszcze raz projekt ze swoimi asystentami i rozesłał go do poszczególnych prowincyj. Polecono rozważyć powtórnie ów projekt i obradować nad nim w spólnych konferencyach. I znowu w całym naukowym jezuickim świecie zastanawiano się nad nim, studyowano go i przedłożono w końcu swoje opinie. *Ratio atque institutio studiorum* tworzy całe dzieło zbioru przepisów, cały szereg starannie i gruntownie wypracowanych rozpraw. Dopiero w r. 1599 owe przepisy otrzymały stanowczą aprobacyę.

Powodem zwleczenia tej sprawy była hiszpańska inkwizycya, która przytrzymała ową *Ratio studiorum* i starała się ją potępić, upatrzywszy w niej jakieś rzekome herezye. Papież Sykstus V. wdał się w tę sprawę i przyczynił się za utrzymaniem programu szkół.

Gdy Towarzystwo Jezusowe w r. 1814 na nowo przywrócono, okazała się znowu potrzeba zastosowania do nowych stosunków i pogodzenia programu nauk z nimi. Przy pomocy wysłanych delegatów sporządzono w r. 1830 nowy program i wydrukowano go na nowo. Znajduje się w wydawnictwie Pachtlera w t. zw. *Monumenta Germaniae paedagogica* II, V, IX, XVI.

Aby uporządkować plan nauki owych szkół i zapoznać z nim uczonych, podjął się autor wydania programu studyów i ogłosił go w po-

dany sposób. Tak tedy mamy wydany tekst porządku studyów od r. 1599 do r. 1832. Tekst jest tak urządzony, że mieści w sobie prawidła dla prowincyała, dla rektora, dla prefektów studyów, dla wszystkich nauczycieli wyższych fakultetów i t. d. Dokładny tekst poprzedza autor dydaktycznemi zasadami, które służą do ilustracyi twierdzeń i zapatrywań. Chcąc dać czytelnikom pobieżny obraz dzieła, pozwolimy sobie przytoczyć niektóre zdania.

Na czele stawia autor przedewszystkiem ideał wychowawczy, który przyświeca mu w myśli. To, co powiada za Pismem św. znakomity dydaktyk Otto Willmann: „Bojaźń Boża jest początkiem mądrości“, i to, co pisze Dupanloup w swem pięknem dziele o wychowaniu: „Bóstwo jest nietylko potężnym i zręcznym mistrzem w wielkim dziele wychowania, lecz także jedynym i najdoskonalszym wzorem“ — da się w zupełności zastosować w dążeniu jezuickiego systemu do ideałów pedagogicznych. Obszerniej pisać o tym ideale nie uważamy za potrzebne; powołujemy się na przytoczone tam słowa i przechodzimy do następnego ustępu o nauczycielach.

Zamiarem nauczycieli jest, aby przy dobrej sposobności podczas lekcyi czynić serce młodzieży czułem i zaprawiać je do cnoty. „Doświadczenie — pisze Dupanloup — okazało mi, że pobożność nie posiada nic słabego i udziela ona częstokroć dzieciom w 13 i 14 roku dojrzałości charakteru i siły ducha, nad którą można się zdumieć, jeżeli przypatrujemy się jej dokładnie. Zarazem czyni ona ich wcześnie pilnymi, starannymi, umiarkowanymi, szczerymi i silnymi. Również tworzy ona z nich najlepszych towarzyszy bez dumy i zarozumiałości. Pobożność zdziała u nich wszystko i rozszerza ich serca. Nie miałem nigdy bardziej swobodnych, wesołych, śmiejących się i zarazem zdrowych dzieci, jak moich wychowanków i uczniów seminaryum w Paryżu“. Takie jest zdanie ks. Dupanloupa, które można w tem miejscu przytoczyć. — A jak się odbywa w duchu tych poglądów wychowanie, wskazują najlepiej prawidła Jezuitów. Żądają one od nauczycieli gimnazyalnych, aby młodzieńców tak wychowywano i tak napominano, by unikali złych przyzwyczajeń, bali się zbrodni i wykonywali wszystko, co jest chrześcijańskie. Od uczniów żąda się według regulaminu pilności, skromności i obyczajności. Wychowanie w życiu moralnem jest ważniejsze, niż najlepsza nauka we wszystkich umiejętnościach. To powiedział poganin: „Gdyby było pewne, że szkoły przynoszą wielką korzyść dla studyów, a są szkodliwe dla moralności, wtedy wolałbym największą obyczajność“.

Nauczycielom wyższych studyów zaostrzają przełożeni, aby codziennie odbywali napomnienia religijne i aby swoich uczniów zachęcali do brania udziału w nabożeństwie.

Następnie przechodzi autor do przymiotów, które nauczyciele mieć winni. „Jeżeli jakikolwiek zawód, to przedewszystkiem ciernisty i pełen odpowiedzialności zawód nauczyciela wymaga moralnego i naukowego wykształcenia". Już Kwintylian powiada: *Ipse magister nec habeat vitia, nec ferat.* Pedagog Roth z całą stanowczością uznaje konieczność tych zalet, jakie powinien posiadać nauczyciel. Podstawą moralnego przygotowania przyszłych nauczycieli jezuickich, był dwuletni nowicyat. Nauczyciel musi często pasować się z zatwardziałością, musi mieć litość nad słabymi, rozumieć często motywa, zrozumieć cielesne i umysłowe zdolności i unikać błędów, manier i szablonów. Praca nowicyacka przyszłego nauczyciela nad sobą samym, bardzo wiele w tym względzie pomaga. Pomagają i osobne przepisy. Jeden żąda, aby modlił się za swoich uczniów i za pomocą przykładu ich wspierał; inny przestrzega nauczycieli przed zbytnią poufałością oraz przed stronniczością. Nie powinien okazać się względem nikogo zbyt poufałym, nikim nie gardzić, a głównie posiadać powolność i cierpliwość.

Także dla wykształcenia umiejętnego przynosi nowicyat cenne korzyści. Ćwiczono nowicyuszów praktycznie w katechetyce; nadto były ćwiczenia w języku łacińskim i greckim, w gramatyce, w klasykach, w lekturze i ćwiczeniach piśmiennych. Osobno przepisane były konwersacye dla obu języków, któremi kierował oddzielny nauczyciel. Po dwuletnim nowicyacie powtarzano przez rok, dwa lub trzy studya gimnazyalne, przyczem szczegółowo uwzględniano poetykę, estetykę i retorykę. Potem następował kilkuletni kurs całej filozofii, matematyki i nauk przyrodniczych. Łacina była językiem wykładowym. Tym sposobem młody Jezuita dochodził do nauczycielstwa; po filozofii można mu było jedną z niższych klas gimnazyum spokojnie poruczyć.

Już w r. 1565 postawiono wniosek, aby w każdej prowincyi urządzono seminaryum w celu wykształcenia nauczycieli dla gimnazyów, filozofii i teologii. Urządzenie takich seminaryów pozostawiano poszczególnym prowincyom. Młodych nauczycieli kilka miesięcy przed objęciem urzędu, ćwiczono w praktycznej pedagogii.

Do tego można jeszcze dodać, że przyszli adepci kształcili się praktycznie na studyach wydziału filozoficznego, przyczem uczęszczali na wykłady profesorów uniwersytetu. Brali nadto udział w ćwiczeniach

seminaryów i poddawali się kierownictwu profesorów. Skutkiem tego mogą oni pod każdym względem ze swoimi kolegami współzawodniczyć.

Pod tytułem *Instructio privata* istniał w zakonie zbiór pedagogii gimnazyalnej, który był niejako wskazówką dla nauczycieli i zawierał wszelkie instrukcye, mające zwrócić ich uwagę na postępowanie. Na zarzut, czy początkujący nauczyciel nie jest za młody, odpowiada Duhr, że młody Jezuita rozpoczyna nauczycielstwo przeciętnie nie przed 23 rokiem. Następnie przechodzi autor do bezpłatności nauczania i przytacza jeden z przepisów zakonu, wedle którego, wszyscy zostający pod posłuszeństwem Towarzystwa, mają dawać darmo to, co sami otrzymali bezpłatnie; nie powinni przeto żądać, ani przyjmować zapłaty lub jałmużny, któraby była wynagrodzeniem za czynności, jakie zakon podejmuje. Ta zasada znalazła zastosowanie i w nauczaniu. Bezpłatność nauczania nadawała zawodowi nauczycielskiemu cechę wyższego poświęcenia; umożliwiała nietylko bogatym, lecz także ubogim młodzieńcom zawód i zabezpieczała wszystkim równe względy. Nawet zakon szedł ku ubogim młodzieńcom ze szczególną dobrocią, dbając, aby talenty nie leżały odłogiem. Przyjmowano ich przeto chętnie do klas, uczono bezpłatnie, a nawet pielęgnowano, zakładając dla nich konwikty. We wszystkich kolegiach znajdował się *domus pauperum* albo *convictus pauperum*. Obok tego w wielu miejscach istniały biblioteki ubogich, z których corocznie wypożyczano książki szkolne lub inne pożyteczne dzieła. Ta bezpłatność nauczania przysporzyła Towarzystwu także różnych nieprzyjemności ze strony owych nauczycieli, którzy pobierali opłaty za udzielanie nauki.

Następnie przechodzi autor do karności szkolnej, do kar i do nagród. Potrzeba karności i używania kar jest widoczna, tak że jej wogóle trudno się sprzeciwiać — dyskusyę mogłaby chyba wywołać instytucya cenzorów. Przepis prefektów studyów powiada: „Według zwyczaju niechaj w każdej klasie ustanawia publicznego cenzora albo, jeżeli to imię nie podoba się, starszego dekuriona albo pretora“. Ten ma być obowiązany donosić o nieobecności uczniów i o ich zachowaniu. Przy tem według przepisu powinien unikać wszystkiego, co jest wstrętne. Zasada ta budziła nieraz oburzenie. Tak pisze Gustaw Droysen: „Ten haniebny system tajemnej, wzajemnej kontroli i denuncyacyi dostał się także do szkół Jezuitów“, ale — jak powiada ks. Duhr — owe zarzuty i powtarzane twierdzenia o donoszeniu polegają na fałszywie zrozumianych miejscach i niezgodne są z treścią przepisów. Co się

tyczy kar, porządek studyów każe postępować w duchu łagodnym i wstrzymać się od wszelkiego uniesienia, a wiele jest ograniczeń w użyciu kar cielesnych.

Współzawodnictwo i rywalizacya dopuszczane są w przepisach studyów; wielu pedagogów uznaje potrzebę owej emulacyi. Tak pisze Kwintylian ze swego doświadczenia, że rywalizacya zachęca uczniów do coraz gorliwszych studyów. Naegelsbach pisze, że takiemi szkołami są jezuickie, a pruski radca L. Wiese wystawia bardzo chwalebne świadectwo tym szkołom. Tutaj należy tak zwana koncertacya tj. wzajemne wypytywanie się uczniów zwłaszcza tak zwanych *aemuli*. Koncertacya odbywała się w szkołach, a uczeń nieumiejący odpowiadać ustępował miejsca. Często siedzieli sędziowie, którzy rozstrzygali o danych odpowiedziach.

Poświęciwszy kilka uwag t. zw. deklamacyom, akademiom i odbywającym się popisom uczniów, dalej teatrom, na których uczniowie występują, a nakoniec egzaminom, przechodzi autor do odpoczynku. Jest on unikaniem zbytniego zatrudnienia w godzinach szkolnych. Liczba godzin szkolnych nie wynosiła nigdy w gimnazyum ponad 5. Przed południem i po południu czas szkoły w retoryce wynosi przynajmniej 2 godziny, dla reszty klas gimnazyalnych $2^1/_2$ godz., a od listopada wynosi czas lekcyi od 1 do $3^1/_2$, w wyższych klasach od 2 do 4 godz. Preparacya do klasyków przypada na szkołę; ćwiczenie pamięciowe obejmowało tylko to, co w szkole powtarzano i wyjaśniano. Z piśmiennych prac odbywały się codziennie łacińskie i greckie zadania. Według przepisów feryj nie powinno się ani przedłużać, ani ich wprowadzać. Co się tyczy dni świątecznych istniała zasada, że ich liczba powinna być zmniejszona raczej, niż powiększona. Również przepisy oznaczają ferye szkolne i polecają obchodzić różne uroczystości, mianowicie te, które są wyznaczone dla obchodzenia pewnych świąt.

Ażeby młodzież mogła wypocząć i odetchnąć na świeżem powietrzu, zaprowadzone są pewne zabawy i gry, na które Jezuici zwracają szczególną uwagę. *Inter ludendum puerorum mores optime deteguntur;* trzymając się tej zasady, dążą Jezuici do tego, aby wśród zabawy zawiązała się w młodzieży znajomość i tworzyły się pewne węzły przyjaźni, przez które się wyrabia niejednokrotnie charakter. W ogrodach tworzy się place rekreacyjne, na których się młodzież uwija i swobodnie bawi. Do zabaw należy gra w piłkę i ślizgawka, strzelanie do celu, gra w bilard, jazda konna i harcowanie po łąkach, po śniegu, po lasach. Przytoczone tutaj przez autora przykłady powinny być nie-

doścignionym wzorem dla nauczycieli, którzy się zajmują takiemi sprawami.

Następnie przechodzi autor do zasad dydaktycznych i wyłuszcza zadanie gimnazyum, do którego szkoła jezuicka dąży. Gimnazyum jest przygotowaniem do filozofii i stara się przyswoić owo przygotowanie, do którego prowadzą trzy stopnie gimnazyum tj. gramatyka, *humanitas* (poetyka) i retoryka. Cała nauka dąży do przyswojenia wiedzy i do pojmowania i rozumienia rzeczy, a w klasach gramatykalnych powinien uczeń przywłaszczać sobie prawidła gramatyki, ortografii i interpunkcyi; a system koncentacyi jest myślą przewodnią. Następnie przystępuje autor do traktowania starożytnych języków. Nauka języka łacińskiego ogranicza się głównie do Cycerona; lektura grecka obejmuje Demostenesa, Tucydydesa, Homera, Hezyoda, Pindara i t. d. Do innych klasyków, czytywanych gdzieniegdzie, zaliczamy także Grzegorza, Bazylego i Chryzostoma. Cel języka greckiego był zatem także dosyć wysoko wytknięty. Pierwotnie uczniowie w Austryi mieli nieraz wstręt ku greczyźnie, a język grecki był zaniedbany, aż dopiero cesarskie rozporządzenie rozkazało, aby w każdej klasie uczono języka greckiego. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w tym względzie niejednokrotnie uczniom pobłażano. Pogańscy klasycy wchodzą także w katalog greckich pisarzy, a niektórzy twierdzili, że lektura klasyków odstręczała od ducha chrześcijaństwa, ponieważ ci pisarze stali na pogańskiej podstawie i wywierali niekorzystny wpływ na młodzież. Zarzut ten jest niesłuszny i autor odpiera stanowczo to twierdzenie. Autor przechodz następnie do klasowego systemu i wykazuje, że wielka ilość nauczycieli szkodzi wychowaniu. Zasada systemu fachowego nie jest też przestrzegana przez przepisy, a z drugiej strony dydaktycy często występują przeciw temu systemowi. Po omówieniu nauki religii, historyi, języka ojczystego i języków obcych, przechodzi autor do ćwiczeń szkolnych i do walki między uczniami. Koroną nauk szkolnych jest liceum czyli kurs filozoficzny, o którym się autor obszernie rozwodzi.

Zbliżamy się do końca. Widman, mówiąc obszernie o pracy Duhra w *Gymnasium* w roczniku XV. w zeszycie 6, wyraża się nadzwyczaj korzystnie o szkołach Jezuitów. To samo możemy i my o nich powiedzieć. Niegdyś byliśmy dosyć uprzedzeni przeciw tego rodzaju szkołom. Delegowani do zwiedzenia szkół jezuickich długo i uważnie obserwowaliśmy te szkoły; śledziliśmy bacznie i uważnie kierunek i dążności, i przyszliśmy do tego przekonania, że szkoły jezuickie do-

brze zasługują się około wykształcenia. Dlatego z całem zaufaniem polecić musimy owo studyum O. Duhra, a bliższe poznanie tej książki przekona o jej wartości.

Dr. Zygmunt Samolewicz.

Česká poesie XIX. věku. Vydal Spolek českých spisovatelů-belletristů „Máj". Díl I. V Praze. (Czeska poezya XIX. wieku. Wydał Związek czeskich pisarzy-beletrystów „Maj". Tom I. W Pradze) 1897.

Czy literatura, a w szczególności poezya czeska jest u nas znana i ceniona tak, jak na to zasługuje? Pomimo licznych przekładów, niedoskonałych, i pomimo kilku literackich rozpraw autorów polskich, rozpraw tak dobrych, że je sami Czesi na swój język przekładają, można śmiało powiedzieć, że nie. Zna się tę literaturę więcej ze słychu. Wiedzą u nas ludzie o tem, że w wiekach średnich piśmiennictwo polskie kształciło się na czeskiem, że znakomity Komeński był Czechem, wiedzą coś o Kollarze, nieco więcej o Vrchlickim — i to może wszystko. Czy taki stan rzeczy jest dobry, korzystny dla którego z tych dwóch narodów? Chyba nie, i na to się każdy zgodzi.

Jest wszakże rzecz, która ten stan tłumaczy. Oto brak takich książek, któreby dawały ogólny pogląd czy to na całą literaturę, czy na pewne jej gałęzie, albo epoki. Brak jest w języku polskim, ale co większa niema ich i po czesku. Trudno wymagać od Polaka, aby studyował specyalne jakieś rozprawy o tym lub owym poecie. Co mu zresztą z tego przyjdzie, jeżeli on nie zna stosunków, w jakich żył poeta i w jakich rozwijał się jego talent, jeżeli nie znał jego współczesnych, jeżeli nie zna miary, według której ma sądzić! Powtóre jest w literaturze narodu obcego (choćby i spokrewnionego) tyle rzeczy obcych, niezrozumiałych, niemających dla Polaka żadnego zgoła interesu, że niepodobna od niego wymagać, aby całą tę literaturę studyował i dopiero sobie potem wybierał, co mu przypadnie do gustu.

Otóż książka, której tytuł wypisaliśmy powyżej, czyni temu wszystkiemu zadość, choć może nie w zupełności, jednak w przeważnej części.

Grono pisarzy beletrystów, tworzące związek artystyczny „Maj", z Vrchlickim na czele, podjęło myśl bardzo dobrą i pożyteczną. W pięciu tomach postanowili wydać antologię poezyi czeskiej dziewiętnastego wieku. Pierwszy tom wyszedł w październiku b. r. Wydawcy sami zaznaczają, że kierowali się względem na przyszłość i na zagranicę, t. zn. wybrali tylko to, co ma warunki trwałego bytu i zrozumienia nietylko przez swoich, ale i przez obcych. Otóż antologia ta

jest jakby stworzona na to, aby była u nas czytana. My nie potrzebujemy znać wszystkiego, co poezya czeska w naszym wieku wydała, ale jeżeli poznamy dobrze to, co te pięć tomów zawierać będą, będziemy mieli o niej niezłe wyobrażenie. To też należy sobie jak najgoręcej życzyć, aby „Czeska poezya XIX. wieku“ rozszerzyła się u nas jak najbardziej [1].

Zastrzegając sobie dokładniejsze studyum do chwili, w której całe dzieło będzie ukończone, zwrócimy tu uwagę na tom pierwszy. W przedmowie wydawcy tłumaczą kryteryum, jakiego się w układaniu zbioru trzymali; więc że podają tylko to, co jest rzeczywiście piękne i godne uwagi, co może wytrzymać krytykę i potomności i społeczeństw europejskich, przywykłych do sądzenia według wysokiej skali. Zatem usunęli ze zbioru poezye tych Czechów z pierwszej połowy XIX. wieku, którzy wprawdzie dla narodu ogromne położyli zasługi i dlatego żyć będą wiecznie w jego pamięci, ale których wiersze tej artystycznej miary nie dosięgają (np. Jungmanna), a za to wydobyli na światło kilku zapomnianych, a na niepamięć niezasługujących. Jeśli sobie przypomnimy naszego biskupa ks. Załuskiego, to przyznamy czeskim wydawcom najzupełniejszą słuszność.

Tom pierwszy obejmuje wyjątki z pism poetów pierwszej połowy naszego stulecia. Główny nacisk położony jest na pięciu, którzy są jak „pięć wielkich słupów, podtrzymujących niebo czeskiej poezyi w pierwszym okresie“. Każdy z nich otwiera przed tą poezyą jakieś nowe światy, wprowadza albo nowe idee, albo nowe formy. Pierwszy z nich Kollár, nieśmiertelny poeta „Córy Sławy“, jest twórcą nowej poezyi czeskiej, wskazał jej ogromne obszary i wyrobił dla niej język, materyał, z którego gmach miał się budować. Franciszek Władysław Čelakovský, nie tak bardzo ogólno-słowiański, ale za to więcej czeski, nadał mowie poetyckiej większej giętkości i swobody, i umiał wniknąć w ducha narodu. Razem z Kollárem stoją na czele grupy patryotycznej. Karol Hynek Mácha jest pierwszym czeskim bajronistą, wprowadził do literatury nowy pierwiastek, romantyzm. Karol Jaromir Erben miał w wysokim stopniu dar zrozumienia ludu i tworzył balady ludowe do dziś dnia w Czechach bardzo popularne. Wreszcie Karol Havlíček satyryk pierwszorzędny, z sercem i uczuciem gorącem, jak rzadko.

---

[1] Nader nizka cena (1 złr. 75 cnt. za tom o trzystu kilkudziesięciu stronach) powinna jej do tego dopomóc. Czesi przyjęli ją z ogromnym zapałem.

„Koło tych pięciu imion obraca się cała poezya czeska pierwszego okresu“ — piszą w przedmowie wydawcy. Jest to doba, której główną cechę stanowi patryotyzm wraz z romantyzmem, zupełnie tak samo, jak i w poezyi polskiej z tego czasu. Tych pięciu poetów reprezentowanych jest w antologii najobszerniej. Obok nich jest jeszcze dziesięciu mniejszych, a tych dzielą wydawcy na dwie grupy: trzech, którzy najbliżej tamtym wielkim stoją (Koubek, Nebeský, Doucha) i reszta *minorum gentium*, którzy się tu dostali dla dokładności obrazu [1]. Przed wyjątkami znajduje się krótka wiadomość o życiu i charakterystyka autora — tubyśmy tylko zrobili uwagę, że o Kollárze jest powiedziane trochę za mało wobec jego znaczenia i w porównaniu z innymi.

Tak się ten pierwszy tom przedstawia i tylko mu życzyć trzeba, aby się i pomiędzy polskiem społeczeństwem rozszedł.

Stanisław Dobrzycki.

---

[1] Między nimi znajduje się znany nam Bolesław Jabłoński (Eugeniusz Tupý), który należy i do polskiej literatury.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

W sprawie samorządu Kościoła katolickiego na Węgrzech.

Ciężką chwilę przechodzi obecnie Kościół w krajach korony św. Szczepana. Zbiera się tam kongres katolicki w celu zorganizowania „samorządu“ kościelnego. *Przegląd Powszechny* poświęcił sprawie tej wzmiankę już w zeszycie sierpniowym (str. 311) i nazwał ten „samorząd“ prawem, które Kościół na Węgrzech ma od blizko pięćdziesięciu lat.

Tak jest. „Samorząd katolicki“ w krajach korony św Szczepana jest prawem; szkoda tylko, że nie jest prawem Kościoła, lecz jest prawem katolików. Jest on prawem, datującem się od blizko pięćdziesięciu lat; ale jakiego to prawo rodzaju, o tem nabieramy niejakiego wyobrażenia już z tej właśnie okoliczności, że przez te pięćdziesiąt lat katolicy węgierscy nie kwapili się korzystać z swego prawa; albowiem naprowadza ona na domysł, że prawo to jest niepożądane, a może nawet niebezpieczne. Same zresztą nazwy: „kongres katolicki“ i „samorząd katolicki“ za bardzo przypominają instytucye akatolickie na Węgrzech, aby wyrażone temi nazwami prawo wydawało się niepodejrzanem. Jakoż trudno ten samorząd i ten kongres scharakteryzować dobitniej, jak tem, że to prawo dostało się katolikom za cenę nierównie większego prawa Kościoła, że to prawo ma swój początek w rewolucyi świeckiej, politycznej, a może sprowadzić rewolucyę w łonie Kościoła prowincyi węgierskiej.

Aż do r. 1848 panował na Węgrzech pod względem wyznaniowym stan rzeczy prawie taki sam, jak go określiła nasza polska ustawa rządowa, czyli konstytucya z dnia 3 maja 1791 r.; religia katolicka była na Węgrzech religią panującą; Jego Apostolska Mość, król węgierski, był najwyższym patronem Kościoła z nadzwyczajnymi przywilejami, udzielonymi mu przez Stolicę św.; sekty chrześcijańskie były tylko „recypowane", tj. przez państwo uznane, czyli tolerowane. Pod wpływem kościelnych rewolucyjek Czerskiego i Rongego, które na Węgrzech większym odbiły się odgłosem, niż w własnej ojczyźnie, tudzież pod wpływem politycznych rewolucyj wydał sejm węgierski w r. 1848 ustawę, mocą której wyznania recypowane[1] ogłoszono jako równouprawnione z Kościołem katolickim, zarazem orzeczono, że wyznaniom tym należy się od państwa pomoc materyalna. Jest to owa ustawa, która w dyskusyach parlamentarnych i dziennikarskich nad nowemi ustawami kościelno-politycznemi z r. 1895 często bywała cytowana wedle węgierskiej nomenklatury kodyfikacyjnej jako artykuł XX. *ex* 1848.

Równouprawnienie wszystkich religii przez rząd konstytucyjny miało we Węgrzech dla Kościoła katolickiego zupełnie odrębne znaczenie, niż w innych krajach; nie zrównało wobec państwa innych religii z religią katolicką, ale stworzyło dla Kościoła położenie o wiele gorsze, niż było położenie wszystkich innych wyznań. Albowiem rząd konstytucyjny dając sektom prawo samoistnego rządzenia się, w stosunku do religii katolickiej uważał siebie jako zastępcę i niejako spadkobiercę „króla apostolskiego" i nadzwyczajnych jego przywilejów, a stąd rościł sobie prawa do wmięszania się w rządy Kościoła. Dodając w artykule XX. owo postanowienie o obowiązku materyalnego wspomagania sekt przez państwo, zmierzano też *per ambages* do skonfiskowania majątku kościelnego na rzecz sekt, odtąd równouprawnionych z Kościołem. Nie można ani na chwilę przypuścić, iżby autorowie art. XX. *ex* 1848 w do-

[1] Talmudyzm stary i nowy (zreformowany), czyli mylnie tak zwana religia mojżeszowa lub żydowska, nie należał wówczas jeszcze do wyznań recypowanych. Recepcya jego w r. 1895 jest późnem wprawdzie, ale bądź co bądź dość bezpośredniem następstwem ustawy, o której tu mówimy.

brej wierze grzeszyli byli grubą nieświadomością prawdziwego stosunku państwa do Kościoła w sprawach materyalnych; postanowienie o obowiązkowem materyalnem wspomaganiu sekt na równi z Kościołem przez państwo było owszem rozmyślnem a podstępnem sfałszowaniem pojęcia tegoż stosunku. Albowiem Kościół katolicki nigdy od państwa subwencyi nie potrzebował, nie wymagał, ani nie otrzymywał; ponieważ atoli apostolski król węgierski, jako naczelny patron Kościoła w królestwie św. Szczepana był (i właściwie jest jeszcze) osobiście naczelnym zawiadowcą majątku kościelnego, przeto, jak rzekliśmy, rozmyślnie i podstępnie wzięto osobę króla apostolskiego za uosobienie państwa węgierskiego, a zawiadowcę za właściciela. Tym sposobem własność kościelna staje się własnością państwa, a z tego pogmatwania pojęć w zestawieniu z równouprawnieniem sekt i z wyraźnym przepisem ustawy, że sekty mają być na równi z Kościołem materyalnie wspomagane przez państwo, wynika, że sekty mają do mienia kościelnego równe z samym Kościołem prawo.

Aby dopiąć zamiaru swego, rewolucyjna ustawa z r. 1848 bynajmniej nie pozbawiła apostolskiego króla węgierskiego charakteru naczelnego patrona Kościoła katolickiego; owszem, jak już z powyższej dedukcyi wypływa, potrzeba jej było podtrzymać ten wiekowy tytuł, aby mieć na czem się oprzeć teoretycznie i aby nie utracić punktu wyjścia do praktycznego także wykonania. Myślano tak: gdyby król apostolski przestał być apostolskim i patronem Kościoła, mienie kościelne wróciłoby natychmiast w zarząd Kościoła i pozostałoby przy samym tylko Kościele; gdy zaś król nadal także będzie patronem, wtedy ten król, nietylko apostolski, lecz i konstytucyjny, będzie musiał zdać wykonanie artykułu XX. na rząd, a więc rząd będzie patronem i zawiadowcą mienia kościelnego; a ten rząd konstytucyjny zawisły nie od króla, lecz od sejmu węgierskiego, od sejmu zawsze „liberalnego“, będzie musiał wykonać ustawę w duchu „liberalnym“; i tak bez obrazy osoby apostolsko-królewskiej, zdarłszy z Kościoła purpurę religii panującej, która jako zbutwiały płat nic nas już nie obchodzi, podzielimy się jego sza-

tami i tem, co znajdziemy w kieszeniach tego przyodziewku. Że w tej spekulacyjnej argumentacyi pseudoliberalizm — o ile w nim reprezentowane są i potężny wpływ wywierają sekty protestanckie — popadł w sprzeczność zasadniczą sam z sobą, to naturalnie nie mogło stanowić dlań przeszkody żadnej, bo w oczach pseudoliberalizmu zasady i teorye są dobre o tyle tylko, o ile nie sprzeciwiają się z góry powziętym zamiarom. W naszym wypadku sprzeczność jest nawet podwójna: Sekty protestanckie uznając w królu węgierskim króla apostolskiego, a więc naczelnego patrona Kościoła katolickiego, który to charakter jest tylko specyalnie nadany od Stolicy apostolskiej, powinneby tem więcej w królu węgierskim uznać swojego własnego *summum episcopum*, bo to wypływa z zasady protestantyzmu: co znaczy, że nawet w rzeczach, *sit venia verbo*, dogmatycznych i w rzeczach duchowych powinneby uznać jego powagę; a tem więcej w rzeczach majątkowych. A jednak właśnie jedynie na Węgrzech sekty protestanckie nigdy nie pozwoliły królowi mięszać się do swych spraw ani „dogmatycznych", ani duchownych, ani majątkowych. Powtóre: sekty protestanckie bez względu na to, jakby pojmowały stosunek króla do Kościoła, skoro same zażywają najzupełniej nieograniczonej autonomii, powinneby wcale nie troszczyć się o ten stosunek i pozostawić rzecz całą, tj. podtrzymanie czy zerwanie tego stosunku samemu Kościołowi. Innemi słowy sekty powinneby przyznać także Kościołowi autonomię najzupełniej nieograniczoną. A jednak wywodząc z osobistego tytułu króla apostolskiego prawa patronackie dla rządu i dla parlamentu, z góry ograniczają autonomię Kościoła katolickiego i tym sposobem strącają go niżej własnego poziomu.

Prawi katolicy i prawi biskupi, naturalnie nie z rodzaju biskupa Horwata, który był zarazem ministrem oświecenia i spraw duchownych, natychmiast po wydaniu owej ustawy z r. 1848 uznawali konieczność oparcia spraw kościelnych w królestwie św. Szczepana na nowych podstawach, mianowicie też od razu pojęli „równouprawnienie" sekt pod względem materyalnego wspomagania przez państwo, jako zamach na mienie kościelne. Rzecz utraciła jednak aktualność, ustawa pozostała na papierze

wskutek wypadków politycznych, wskutek pogromu rewolucyi węgierskiej w r. 1849 i idącego w ślad za nim zniesienia konstytucyi węgierskiej. Węgry utraciły samoistny byt polityczny, stały się prowincyą austryacką. Cokolwiek powiedzieć można o tak zwanej reakcyi Bacha, Kościołowi na Węgrzech nie była ona szkodliwa.

Dopiero, gdy po pogromie Austryi w r. 1866 pod Sadową Węgry odzyskały samoistność polityczną w r. 1867, gdy nastała redintegracya konstytucyi węgierskiej, a wraz z nią odżyła ustawa zwana artykułem XX. *ex* 1848, wtedy na nowo ocknęła się w umysłach prawych katolików węgierskich obawa o losy Kościoła i jego praw i jego mienia. Gdy nieco przygasł rozpromieniony patryotyzm węgierski, na dnie serc katolickich pozostał osad troski. Za wiele jednak wewnętrzne urządzenie państwa zaprzątało pierwszy nowy rząd węgierski i rząd ten niedość był liberalny, aby od razu zająć zaczepne względem Kościoła stanowisko; prawi katolicy zaś, ponieważ sprawy kościelne szły spokojnie dawnym trybem, trzymali się maksymy: *quieta non movere.*

Niezadługo jednak pokazało się, jak słuszną była owa troska. Dla nowinek religijnych Węgry są niepospolicie przystępne. Jak nowinki Czerskiego i Rongego wraz z polityczną fermentacyą przyczyniły się do tego, że niepewni, wątli, obojętni i wprost przewrotni katolicy w r. 1848 sprzymierzyli się przeciwko Kościołowi z wrogami jego i uchwalili artykuł XX., który jednak wbrew woli autorów przez lat więcej niż dwadzieścia pozostawał martwym, tak teraz antiinfalibilistyczne agitacye Döllingera i Michelisa stały się katolikom tejże kategoryi pobudką do wskrzeszenia rzeczonej ustawy, do wysnucia z niej praktycznych konsekwencyj. Dla lepszego zrozumienia rzeczy trzeba nam tu wyraźnie nadmienić, czego czytelnik może już po części sam się domyślił, że właściwym celem ustawy z r. 1848 było oderwanie się od Rzymu, utworzenie narodowego Kościoła węgierskiego, celem tak ponętnym dla wybujałego patryotyzmu, że zaprawdę nie dziw, iż wielu nawet płytszych katolików uległo urokowi kościelnego także „wyzwolenia“ Węgier, po odzyskanej samo-

istności politycznej. A więc z pomiędzy samych katolików, acz przewrotnych, wyszły nawoływania o zorganizowanie „autonomii“ Kościoła na podstawie „równouprawnienia“ z sektami, dlatego też na wzór „kongresów“, „synodów“ i „statusów“ akatolickich. Skoro zaś ruch w tym sensie już się rozpoczął, chłodniejsze głowy, prawi katolicy nie mogli przypatrywać się mu z założonemi rękoma; maksyma: *quieta non movere,* ulotniła się sama przez się, bo kwietyzm, jeśli dotychczas mógł się komuś wydawać na miejscu, to odtąd byłby wprost zabójczym. Prawi katolicy musieli zdecydować się na współczynność, na energiczną współczynność w ruchu, aby sprowadzić go na tory jak najmniej niebezpieczne. „Autonomia“ kościelna stała się *malum necessarium;* chodzić mogło o to tylko, żeby sprowadzić zło do jak najmniejszej miary. Zresztą niemałą zachętą do ujęcia akcyi autonomistycznej w swoje ręce był prawym katolikom istniejący już siedmiogrodzki *status* katolicki, za pomocą którego katolicyzm stawiał i po dziś dzień stawia czoło predominującym w Siedmiogrodzie sektom, jakoteż rządom węgierskim.

Tak tedy przyszedł do skutku pierwszy „kongres“ katolicki w r. 1871. Zawiódł on oczekiwania liberałów w wysokim stopniu. Wypracowany na kongresie statut organizacyjny stanął pod względem nominacyi biskupów i dostojników kościelnych, tudzież zawiadowstwa mienia kościelnego i katolickich instytutów publicznych na stanowisku prawidłowem o tyle przynajmniej, że odmówił rządowi i parlamentowi prawa mieszania się do tych spraw, a wszelkie prawa odnośne zastrzegł królowi apostolskiemu i (w miejsce rządu) własnym organom autonomii katolickiej. A więc wara rządowi, parlamentowi i sektom od praw i spraw, od majątku kościelnego i od instytutów katolicko-wyznaniowych! Bardzo niewłaściwe atoli stanowisko zajął ten projekt statutu pod innym względem zasadniczym. Wedle niego bowiem organa autonomii katolickiej miały składać się w jednej trzeciej z duchowieństwa, w dwu trzecich z laików. Na takie postanowienie oczywiście nie mogli zgodzić się ani biskupi, ani prawi katolicy. Rozprawy nad projektem nie doprowadziły do zgody, i tak *tacito consensu omnium,* prace kongresu z r. 1871

stały się cennym materyałem archiwalnym, sam kongres rozszedł się po cichu, nawet bez zamknięcia.

Sprawy kościelne szły znowu dawnym trybem, i przez lat kilka było z tem dobrze; albowiem ówczesne rządy węgierskie nie były wrogie Kościołowi, nie podsycały i nie wyzyskiwały ruchu antiinfalibilistycznego, który też w nowej formie jako ruch neoschizmatycki czyli samozwańczo starokatolicki, nie znalazł już do Węgier przystępu, pozostając ograniczonym na niektóre okolice w nowej Rzeszy Niemieckiej, a w Austryi na niemieckie Czechy północno-zachodnie i na Wiedeń.

W r. 1875 stanął u steru rządów Koloman Tisza, kalwin, mason, fanatyczny wróg katolicyzmu. Pierwszem staraniem jego było na wszystkie posady publiczne powpychać swoje kreatury, zapewnić liberałom wieczne panowanie w parlamencie, dojść do omnipotencyi państwa, uosobionego jednak w królu tylko *de iure,* a w ministrach królewskich *de facto.* Głównym przedmiotem zaczepnej polityki jego był Kościół, stąd też wszystkie patronackie prawa króla apostolskiego, przeniesione na rząd jako niby doradcę, wykonywał naturalnie po swojej myśli. Aby Izbę magnacką dostroić do tonu Izby poselskiej, której stronnictwo rządowe wychodziło (i wychodzi) z niesłychanej korupcyi wyborczej, o jakiej świat niema wyobrażenia, prowadzonej przez sam rząd, zreformował ją, a charakterystyczną cechą tej reformy jest, że na równi z książętami Kościoła wprowadził do Izby magnackiej superintendentów protestanckich, dając im tytuł biskupów! Za jego to rządów minister spraw duchownych Csaky (pseudokatolik) wydał słynne rozporządzenie o chrztach dzieci z małżeństw mieszanych, które było początkiem słynniejszych jeszcze ustaw kościelno-politycznych z r. 1894/95, chociaż te wyszły już nie pod firmą Tiszy, ustaw ukoronowanych recepcyą wyznania izraelskiego, tj. wyniesieniem starego i nowego talmudyzmu do rzędu wyznań równouprawnionych z Kościołem w królestwie św. Szczepana. Ustawami temi do szczętu zamazano na królestwie tem znamię wogóle wyznaniowe, a jest to nierychłem wprawdzie, ale bezpośredniem następstwem owego zatarcia zna-

mienia specyalnie katolickiego, którego dokonano artykułem XX. z r. 1848.

Katolicy węgierscy, widząc gospodarkę Tiszy, będąc naocznymi świadkami tego, co się dzieje, a przewidując, co jeszcze gorszego dziać się może, zaczęli znowu domagać się uregulowania spraw i praw kościelnych na podstawie autonomicznej; a gdy nakoniec wyszły wspomniane co dopiero ustawy kościelno-polityczne, gdy po ustawach tych masonia rozpoczęła kampanię przeciwko wyznaniowym szkołom elementarnym [1], gdy nakoniec protestantyzm w konwentach swych i w dziennikach wyraźnie zażądał wykonania drugiej części artykułu XX. z r. 1848 w duchu konfiskowania dóbr Kościoła katolickiego i podziału ich między wszystkie chrześcijańskie społeczności wyznaniowe [2] — wtedy niebezpieczeństwo objawiło się katolikom w całej grozie, i energicznie, z nieprzełamanym uporem zażądali nowego „kongresu“ katolickiego. Rząd w wielkiej uprzejmości, bardzo podobnej już do łaskawości, zgodził się na to żądanie w chwili, że tak powiemy, więcej niż ostatniej. Ustawy kościelno-polityczne z r. 1894 po dziewięciomiesięcznej *vacatio legis*, weszły w życie dnia 1 października r. 1895, a rząd dopiero pod koniec listopada tegoż roku wyjednał u króla apostolskiego zezwolenie na zwołanie nowego „kongresu“ katolickiego. Już stąd widać, że rząd byłby wolał nigdy nie widzieć „kongresu“ ani „autonomii“ katolickiej, że byłby wolał bez tych przeszkód rozgospodarować się w sprawach katolickich całkiem po swojemu. A dlaczego ostatecznie okazał się łaskawym? Bo ustawy kościelno-polityczne z r. 1894 znajdowały się w najpierwszem stadyum wykonania,

[1] Szkoły elementarne na Węgrzech, jako utrzymywane przez społeczności wyznaniowe, są wyznaniowe, a więc utrzymywane z funduszów katolickich, są katolickie. Ale jak rząd całkowicie już opanował peszteński uniwersytet katolicki, jak na gimnazya katolickie położył już ciężką swą rękę, tak i co do resztki praw katolicyzmu pod względem gimnazyów i co do całych jeszcze praw jego pod względem szkół elementarnych zaniepokojenie wśród katolików jest bardzo wielkie a całkiem słuszne.

[2] Pisaliśmy o tem wszystkiem w grudniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* z r. 1895 na str. 464—466, do którego łaskawego czytelnika odsyłamy.

a mógł obawiać się wielkich przeszkód ze strony oburzonej ludności katolickiej, stanowiącej przeważną większość całej ludności Węgier; ustawa zaś o recepcyi wyznania izraelskiego z października 1895 r. miała dopiero wejść w życie, a właśnie ta mogłaby w całych Węgrzech największe wywołać zaburzenia. Więc okazał rząd katolikom wielką łaskawość swą w tym tylko celu, żeby uśmierzyć umysły, żeby introdukcya ustaw masońsko-kalwińsko-żydowskich odbyła się spokojnie. Od teoretycznego jednak zezwolenia królewskiego na zwołanie „kongresu“ aż do pierwszego praktycznego w tym względzie kroku upłynęło jeszcze bardzo wiele czasu. Rząd nie chciał oczywiście wypuścić z swych rąk ceny spokoju katolików, dopókiby ustawy rzeczone nie były jako tako już zakorzenione, a nadto spekulował, że im więcej one będą zakorzenione, im dłużej potrwa pożądany dla nich spokój, tem więcej będzie można z autonomii katolickiej utargować. Dopiero w ośmnaście miesięcy po owem zezwoleniu czyli po zapowiedzeniu nowego „kongresu“ ukazało się następujące postanowienie królewskie, które, ponieważ stanowi z góry prejudykat i ponieważ musimy nawiązać doń kilka uwag, podajemy tu całe w dosłownym przekładzie:

Na propozycyę Mojego król. węgierskiego ministra oświecenia i spraw duchownych, ogłaszam kongres zwołany na dzień 20 października r. 1870 za zamknięty i zezwalam, ażeby w celu zorganizowania autonomii Kościoła katolickiego w krajach węgierskich zwołano nowy kongres w sześciu miesiącach od daty niniejszego postanowienia Mojego. Pod względem sposobu zwołania i pod względem działalności kongresu normą decydującą są zasady zawarte w mojem postanowieniu z dnia 29 listopada r. 1895. Zarazem upoważniam kardynała księcia-prymasa w granicach Mojego co dopiero wspomnianego postanowienia przygotować, co potrzeba pod względem zwołania i kierownictwa kongresu. Nakoniec polecam panu niezwłocznie zawiadomić kardynała księcia-prymasa o niniejszem postanowieniu Mojem.

Wiedeń, dnia 14 maja r. 1897.

Franciszek Józef m. p.

Dr. Juliusz Wlassics m. p.

Owo postanowienie z r. 1895, na które się król powołuje, zawiera zasady decydujące pod względem zwołania i działalności kongresu, i tak samo jest przez p. Wlassicsa wygotowane i współ-

podpisane, jak niniejszy akt królewski. Tak samo zasady te są narzucone przez p. Wlassicsa księciu-prymasowi i całemu kongresowi autonomicznemu. Oto z niego ustęp: „Temu nowemu kongresowi (tj. zebranemu dnia 11 listopada r. 1897) odeśle się elaborat kongresu z r. 1870/71 z nadmienieniem, że ze względu na zmienione okoliczności (tj. na ustawy kościelno-polityczne z r. 1894/95), jako też z ścisłem poszanowaniem należących do Mnie praw najwyższego patronatu i nadzoru oraz ustroju Kościoła rzymsko-katolickiego, powinien zastanowić się nad tym elaboratem na nowo i przedstawić mi go na nowo do zatwierdzenia". A więc projektowaną przez pierwszy kongres niewłaściwość, że w „autonomii" żywioł świecki ma mieć wielką przewagę nad duchownym, p. Wlassics z całą przyjemnością akceptuje, ale co do praw patronatu najwyższego, które w jego rozumieniu są prawami rządowemi, nakazuje episkopatowi i nowemu kongresowi ich poszanowanie i stosowną zmianę elaboratu; co więcej, do praw patronatu dodaje zupełnie nowy wymysł: prawa nadzoru, naturalnie rządowego, boć wobec nowych ustaw kościelno-politycznych, Kościół katolicki stał się z natury rzeczy instytucyą rewolucyjną, jaką był za czasów cezarów rzymskich. Na dobrą sprawę elaborat kongresu z r. 1871 ani co do prawidłowej, ani co do nieprawidłowej części swej nic już nie znaczy; jest to, jak już powiedzieliśmy, tylko cenny materyał archiwalny, z którego skorzystać lub nie skorzystać, zależy jedynie od uznania nowego kongresu. Pan minister Wlassics wie o tem bardzo dobrze, bo tak jest i w życiu parlamentarnem; mimo to po prostu narzuca nowemu kongresowi część nieprawidłową, a prawidłową zmienić nakazuje.

Pod takiemi auspicyami zebrał się dnia 11 listopada teraźniejszy kongres katolicki w Peszcie.

Zanim podamy kilka szczegółów, odnoszących się do zebranego już kongresu, zbierzemy w jednę treściwą całość, w jeden krótki pogląd wszystko, co kongresowi i wogóle „autonomii" tj. przypuszczeniu żywiołu świeckiego do udziału w rządach kościelnych daje niejaką racyę bytu, a co w „autonomii" tej jest niebezpiecznego. W poglądzie tym trzymać się będziemy bez-

piecznych wskazówek prawego sługi bożego, biskupa siedmiogrodzkiego, ks. Majlatha, który jest nam najwięcej kompetentny w tej sprawie, bo nie należy do biskupów zarażonych szowinizmem węgierskim, a co więcej, ma w rzeczach autonomii już doświadczenie, skoro, jak powyżej wspomnieliśmy, w Siedmiogrodzie od dawna już funkcyonuje autonomiczny *status* katolicki. Wskazówki jego są zawarte w mowie, którą dnia 10 sierpnia r. b. wygłosił w Koloszwarze, po raz pierwszy (jako nowy biskup siedmiogrodzki), przewodnicząc właśnie owemu *statusowi*, a to z okoliczności wyborów do kongresu peszteńskiego. Ks. biskup Majlath [1] wywodzi racyę ruchu autonomicznego z trzech punktów: 1. Religia katolicka, przestawszy w r. 1848 być panującą, sama jedna nie urzeczywistniła jeszcze swojej autonomii kościelnej, chociaż uczyniły to już wszystkie inne wyznania; 2. po wydaniu ustaw kościelno-politycznych z r. 1894/95, po ogłoszeniu się państwa za bezwyznaniowe, Kościół nie może spodziewać się po państwie żadnej pomocy co do celów moralnych; 3. po udziale żywiołu świeckiego w rządach kościelnych można spodziewać się, że ustanie gnuśność i niedołęstwo katolików; sprawa Kościoła nie jest sprawą tylko duchowieństwa, każdy katolik powinien uczestniczyć w pracy około dobra Kościoła i zaskarbiać sobie zasługi. Co my nazywamy niebezpieczeństwami, zagrażającemi z fałszywie przez żywioł świecki pojmowane autonomii, a co ks. biskup nazywa „przeszkodami dla autonomii", to przedstawia on w słowach mniej więcej następujących: Przeszkody wypływają po części z organizacyi Kościoła, wedle której episkopat posiada jurysdykcyę nieograniczoną nietylko w sprawach dogmatycznych, lecz i w sprawach, tyczących się mienia kościelnego; kanony bowiem kościelne stanowczo orzekają, że biskup, przenoszący swą władzę na kogo innego, zapomina powołania swego. Mogą jednak laicy uczestniczyć w czynnościach

[1] Mimochodem tylko nadmieniamy, że tych dni ks. biskup Majlath skazany został sądownie na 50 złr. austr. grzywien lub 5 dni aresztu za to, że spełnił obowiązek kapłański, przyjmując wyznanie wiary katolickiej od szesnastoletniej kalwinki. Ks. biskup bez apelacyi złożył grzywny i koszta procesu.

zawiadowczych, byleby nie chcieli sami zawiadować Kościołem, lecz poprzestawali na pomaganiu biskupom. Inna trudność — mówi ks. biskup — wypływałaby stąd, że świeccy wierni uważaliby może ruch ten za sposób zapobieżenia wybrykom władzy biskupiej. Władza biskupia nigdy Kościołowi szkodliwą być nie może; pokazuje się to z całej historyi Kościoła. Gdy zaś wierni przekonają się, że duchowieństwo staje na wyżynach swojego zadania i spełnia je z zaparciem się samego siebie, z poświęceniem, wtedy chętnie poddadzą się przodownictwu duchowieństwa. Ks. biskup Majlath określa nakoniec także cel kongresu katolickiego i „autonomii" katolickiej. Tutaj powinnibyśmy wyraz ten właściwie już wypuścić z cudzysłowu, albowiem po powyższych zastrzeżeniach przeciw jakowymś zachciankom żywiołu świeckiego ks. biskup zwraca się oczywiście przeciwko rządowi słowy takiemi: Mówi się o autonomii, a niema się jasnego pojęcia o niej. Pojęcie autonomii nie jest inne, jak to, że Kościół katolicki powinien sam zawiadować swojemi prawami z wykluczeniem wszelkich żywiołów obcych. Katolicyzm węgierski żąda przeto wolności Kościoła, a mianowicie nasamprzód wolności co do nominacyj kościelnych, aby wysokie posady duchowne były nadawane nie jako nagroda za zasługi polityczne, lecz jako dowód uznania zasług kościelnych. Katolicyzm żąda także wolności co do nauki, bo i Chrystus nie powiedział: Idźcie i proście o pozwolenie, żebyście nauczać mogli — lecz: idźcie i nauczajcie, ja wam tę władzę nadaję. Katolicyzm żąda nakoniec wolności co do zawiadowania mieniem kościelnem, wolności we wszystkich gałęziach służby bożej, życia kościelnego i karności kościelnej.

Jakże wygląda ten kongres, który ma zapobiedz niebezpieczeństwom z wewnątrz, czyli po prostu rewolucyi kościelnej, a zarazem zawarować Kościołowi zupełną wolność, prawdziwą autonomię na zewnątrz, tj. od strony rządu i parlamentu? Wskutek narzuconego przez rząd statutu wyborczego[1] składa się

[1] Według statutu wchodzą w skład kongresu wszyscy biskupi potem 5 przedstawicieli zakonników, 34 duchowieństwa i 132 deputatów

kongres przeważnie z żywiołu świeckiego, a ta część świecka kongresu nie składa się bynajmniej z samych prawych synów Kościoła. Zasiadają w kongresie oba twórcy i przewódcy stronnictwa ludowego (powstałego z okoliczności ustaw kościelno-politycznych z r. 1894/95), prawi katolicy, hr. Ferdynand Zichy i hr. Mikołaj Esterhazy, obaj wybrani do kongresu dziwnem zrządzeniem Opatrzności z nawskróś zżydowiałej stolicy węgierskiej, a nadto z dwóch okręgów w głębi kraju; wybrany jest także z dwóch okręgów hr. Wojciech Apponyi, polityczny przeciwnik tamtych. Oprócz tego nie braknie naturalnie innych jeszcze odcieni. Hr. Zichy i hr. Esterhazy wyrzekli się wnoszenia walki politycznej do czynności kongresu.

Wobec tej niejednolitości w łonie świeckich członków kongresu, byłaby tem więcej pożądana i skuteczna zupełna jedność między reprezentantami stanu duchownego. Niestety i między duchownymi przedstawicielami kongresu objawia się niemała różnica zdań. Przynajmniej tę obawę wzbudzają konferencye biskupie, które się przed rozpoczęciem kongresu (6 i 8 listopada) odbyły. Mimo ważności spraw uczestniczyło w konferencyi pierwszego dnia tylko 17 książąt Kościoła, a drugiego tylko 15, zamiast 26. Do nieobecnych należeli także ks. kardynał Schlauch i zacytowany powyżej ks. biskup Majlath. Na rzeczonej konferencyi była mowa między innemi o instrukcyi, którą na prośbę księcia-prymasa i na jego ręce przysłała była episkopatowi Stolica apostolska, instrukcyi krótkiej, a jednak różniącej się nieco od poglądów kardynała-prymasa. Konferencya uchwaliła poprosić Stolicę apostolską o i n n ą instrukcyę.

Treść memoryału, którym konferencya prośbę tę poprzeć zadecydowała, z konferencyi episkopalnej dostała się wprost do żydowskiego dziennika *Pester Lloyd*. Przytaczamy ją tu dosłownie, już dlatego, aby żydowskiemu organowi „autonomii“ katolickiej, chociaż w Peszcie są dwa „ultramontańskie“ dzienniki: *Magyar Allam* i *Alkotmany* — pozostawić odpowiedzialność za jego komunikat. Treść memoryału jest następująca:

świeckich wybranych podług okręgów; prawo wyboru służyło każdemu katolikowi, umiejącemu czytać i pisać, który ukończył 30 lat.

„Co do praw najwyższego patronatu episkopat w uchwale swej staje na tem stanowisku, że wykonywanie ich powinno pozostać w istocie rzeczy nietknięte przez autonomię i że wszystkiego unikać trzeba, coby pociągnęło za sobą naruszenie lub uszczuplenie tych praw. Prawa te pomieścić można w granicach autonomii o tyle tylko, o ile potrzeba, aby były wykonywane wedle ducha i wedle ustaw Kościoła, mimo to jednak nie można wykluczać wpływu rządowego, którego wymagają wielce ważne interesa narodowe [1]. Co się tyczy hierarchii Kościoła katolickiego, konferencya wychodzi z tego zdania, że ogół wiernych w tym Kościele nie posiada żadnej juryzdykcyi. Ustrój Kościoła katolickiego polega na bożem ustanowieniu, dlatego — inaczej, niż u protestantów — ogół wiernych nie może uczestniczyć w juryzdykcyi. Biskupi przeto nie mogą przyznać autonomii żadnych w tym względzie praw, ani ich na nią przenieść. Mniemają jednak, że okoliczność ta nie przeszkadza stworzeniu autonomii; ta bowiem ma na celu tylko uregulować stosunek między Kościołem a państwem i dostosować odnośną organizacyę teraźniejszą do nowego położenia rzeczy, wytworzonego najnowszemi ustawami kościelno-politycznemi. Aby jednak z drugiej strony zawarować biskupom przynależny wpływ na owe sprawy, które ma się przekazać autonomii, trzeba zorganizować ją tak, żeby biskupi w obradach nad sprawami autonomicznemi mieli tylko *votum consultativum*, a natomiast jako osobna korporacya rozpatrywali uchwały organów autonomii, i żeby uchwały te bez aprobaty episkopatu były niewykonalne. Episkopat oświadcza się dalej przeciwko temu, aby żywioł świecki był w autonomii reprezentowany w liczbie większej od duchownego, i zarazem uważa za rzecz pożądaną, żeby naczelnemu patronowi (królowi apostolskiemu) i mężom szkoły nadana była stosowna reprezentacya. Senaty dekanalne i dye-

[1] To przypomina nam żywo „list pasterski“ biskupa koszyckiego, ks. Bubicsa, który, zaledwie podpisawszy wspólny list pasterski biskupów węgierskich przeciwko ustawom kościelno-politycznym z r. 1894, pospieszył odezwać się osobno do swojej dyecezyi w tym duchu, że lepiej poddać się tym ustawom, niż narażać na szwank jedność narodową.

cezalne są zdaniem episkopatu niepotrzebne; natomiast proponuje się jako organ nowy Radę kościelną, złożoną z czterech biskupów, która sprawowałaby nadzór i kontrolę nad całą autonomią. Episkopat mniema, że wolno mu zażądać wydania funduszów i fundacyj katolickich, jakoteż funduszów religijnego i naukowego, a nawet i funduszu uniwersyteckiego, ze względu na ich początek i przeznaczenie, w ręce autonomii, z czego też wypływa, że utrzymywane z tych funduszów zakłady naukowe powinny mieć charakter czysto katolicki. Wszystkie te prawa jednak chce episkopat na teraz o tyle tylko zrealizować, o ile to stać się może bez zmienienia teraźniejszych ustaw państwa, a mniema, że granice te najłatwiej i najpraktyczniej będzie można oznaczyć w ten sposób, iż komisya, którą kongres wybierze z swego łona, przed wypracowaniem nowego statutu autonomicznego wejdzie w układy z ministrem oświecenia i spraw duchownych, któremu to życzeniu rząd bynajmniej nie okazałby się nieprzychylnym".

Tyle jest w *Pester Lloydzie* treści memoryału. Niektóre ustępy powyższego streszczenia, jak np. umotywowanie, dlaczego biskupi nie mogą przelać praw jurysdykcyjnych na ogół wiernych, świadczą widocznie o nieświadomości rzeczy żydowskiego pisarza. Tak samo na nieświadomość dziennikarza składamy, że w artykule nie na każdem miejscu równo się pojmuje autonomię. Nie bylibyśmy go jednak wcale przytoczyli, gdybyśmy na samym tylko peszteńskim dzienniku żydowskim polegać musieli, gdybyśmy nie mieli innego punktu oparcia co do przypuszczenia, że artykuł *P. Lloyda*, choć nie pod względem formy, to jednak pod względem zawartych w nim myśli, opiera się na dobrych informacyach.

Na kongres teraźniejszy wniesiono dwa protesty: jeden od unickich Rumunów, drugi od siedmiogrodzkiego *statusu* katolickiego. Rumuni uniccy, z początku tylko świeccy, wszczęli w czerwcu r. b. agitacyę przeciw obesłaniu kongresu, opierając się na tem, że rumuńska archidyecezya unicka nie należy do prymacyatu węgierskiego i zawisła wprost od Stolicy Apostolskiej. Później arcybiskup Mihalyi wraz z biskupami Szabo i Radu postanowili warunkowo tylko obesłać kongres, a do nich przy-

łączył się inny jeszcze biskup unicki, ks. Pavel z Wielkiego Waradu. Ks. Mihalyi, Szabo i Radu uczestniczyli dnia 6 listopada w konferencyi biskupiej przed kongresem, ale już przed drugiem zebraniem się konferencyi Mihalyi i Radu wyjechali z Pesztu. Ks. Szabo pozostał, podobno tylko jako *invigilans.* Siedmiogrodzki zaś *status* autonomiczny protestuje przeciwko rozpisaniu wyborów do kongresu z dyecezyi siedmiogrodzkiej z pominięciem *statusu,* bo tam delegaci na kongres powinni wychodzić nie wprost z pomiędzy ogółu wiernych, lecz z pomiędzy członków *statusu.* Mimo to Siedmiogrodzianie uczestniczą w kongresie z zastrzeżeniem zupełnej samodzielności *statusu* swojego.

Aż dotąd odbyły się dwa posiedzenia. Wybrano jednogłośnie prezydentem Juliusza hr. Szaparego. Przy wyborze 27 członków do komisyi, która ma ułożyć nowy statut, nie przeszła lista Ferd. Zichyego, lecz wybrano kandydatów postawionych przez partyę Apponyego. Komisya zbierze się po zamknięciu delegacyj. Statut dopiero nam pokaże, jaki duch jej członków ożywia.

Józef Glinkiewicz.

Ostatni list Leona XIII. o bierzmowaniu.

Cztery miesiące temu papież wystósował osobny list o sakramencie bierzmowania do biskupa z Marsylii. Okazyę do tego listu dało rozporządzenie biskupa, aby dzieci już przed pierwszą komunią do bierzmowania przystępowały. Biskup, będąc niedawno temu w Rzymie, radził się papieża w tej sprawie i otrzymawszy najzupełniejsze uznanie swego postępowania prosił go, by mógł dla poparcia swej decyzyi, powołać się na jego powagę. Leon XIII. postanowił „dla wielkiego znaczenia tej sprawy“ napisać własnoręczny list do biskupa. Jedno zdanie tego listu zwraca na siebie szczególniejszą uwagę, to mianowicie, że Leon XIII., mówiąc o zwyczaju bierzmowania dzieci dopiero po komunii św. w 14 lub 15 roku, powiada, iż „praktyka, którą u was (w Marsylii) i gdzieindziej wprowadzono, ani nie zgadzała się z dawną i stałą dyscypliną Kościoła, ani korzystną nie była dla wiernych“ *(nec cum veteri congruebat constantique Ecclesiae instituto, nec cum fidelium utilitatibus).* Ponieważ są-

dzimy, że słowa zawarte w tem zdaniu, brzemienne będą w następstwa dla duchowego życia Kościoła, uważaliśmy za stosowne poświęcić im choć kilka luźnych uwag.

Wiadomą jest rzeczą, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa udzielano sakramentu bierzmowania zaraz po chrzcie św.; ale później, począwszy od XI., XII. stulecia, zaznaczyła się w Kościele zachodnim dążność do udzielania tego sakramentu dopiero wtenczas, kiedy dziecko już przyszło do tak zwanego wieku rozeznania; a od XVII. stulecia jeszcze później. Skąd pochodziła ta zmiana? Czy to był tylko objaw nieustającej ewolucyi Kościoła, stosującego się do potrzeb czasu, czy może ta dążność nie wyrobiła się wskutek obcych, niekatolickich wpływów?

Wątpić nie można, że późniejszy zwyczaj udzielania bierzmowania dopiero wtenczas, kiedy dziecko już zdolne było do rozróżnienia złego czynu od dobrego, od samego Kościoła pochodził i nietylko jest dobrym, ale i obowiązującym w Kościele zachodnim. Z drugiej jednak strony było to zawsze w duchu Kościoła, aby dzieci przystępowały do bierzmowania przed pierwszą komunią św. wtenczas, kiedy jeszcze prawie nie mogły utracić swej niewinności. To było „stałą dyscypliną Kościoła", a zbytne odkładanie bierzmowania oprócz innych bardziej zewnętrznych przyczyn przypisać należy wpływowi protestantyzmu i jansenizmu. Potwierdza nas w tem zdaniu nauka największych teologów Kościoła, którzy zawsze występowali w obronie wczesnego udzielania sakramentu bierzmowania: tak św. Tomasz, św. Bonawentura, Toletus, Suarez i inni aż do św. Alfonsa i najnowszych teologów. Toletus otwarcie wymaga, aby dzieci przystępowały do sakramentu bierzmowania zaraz po 7 roku, przynajmniej po 9 albo 10, przeciwną praktykę nazywa „nadużyciem a nie zwyczajem" *(abusus non usus)*. A św. Bonawentura uzasadnia to zdanie nadzwyczaj trafnie i głęboko: „Celem bierzmowania jest wzmocnienie człowieka do walki, a widocznie — powiada św. Doktór — lepiej jest, byśmy się zabezpieczyli przed, aniżeli po zranieniu" [1]. Zwolennicy późnego bierzmowania powoływali się czasem na katechizm trydencki, ale nie słusznie [2].

---

[1] *In libr. Sent.* IV. d. VII. a III. q. I, ad 2. A nieco dalej czytamy: „Secundum consuetudinem modernae Ecclesiae prius confirmatur parvulus quam communicatur".

[2] Słowa katechizmu są jasne: „Observandum est, omnibus quidem post baptismum confirmationis sacramentum posse administrari; sed minus tamen expedire hoc fieri, antequam pueri rationis usum habuerint; quare

Co do praktyki, to w Hiszpanii aż dotąd trwa zwyczaj bierzmowania dzieci w 2 albo 3 roku. We Francyi aż do czasów jansenizmu bierzmowano dzieci wtedy, kiedy doszły do wieku rozeznania. Świadczą o tem akta synodów, z wyjątkiem może jednego lub drugiego, w których wiek nie jest jasno określony [1]. Ciekawy dla naszej kwestyi jest szczegół podany przez ks. de Scoraille w *Études* [2]. Porównał on akta pierwszego prowincyonalnego synodu w Reims z r. 1583 po poprawkach w Rzymie przy potwierdzeniu zrobionych, z tekstem pierwotnym. Otóż najważniejszy ustęp o bierzmowaniu w tekscie przedłożonym do aprobaty tak brzmiał: „Niech biskupi udzielają tego sakramentu za darmo dzieciom nad 7 lat starszym, po spowiedzi, jeśli łatwo być może na czczo, i tylko tym, co Wierzę i Ojcze nasz umieją na pamięć". Po rzymskich poprawkach tekst tak brzmi: „Niech udzielają za darmo dzieciom, co już przyszły do lat rozeznania *(qui usum aliquem rationis habent)*... i niech im polecą, aby się nauczyli na pamięć Wierzę i Ojcze nasz [3].

Ta sama praktyka zachowała się w wielu dyecezyach Włoch aż do naszych czasów. Dopiero w nowszych synodach francuskich i niemieckich objawia się dążność do odkładania bierzmowania i znajdujemy wprost zakazy przypuszczenia kogoś przed komunią św. do bierzmowania. Takie zakazy według nauki Leona XIII. nie były zgodne z duchem Kościoła. Już sam porządek, niezmiennie od XIII. wieku zachowany, w wyliczaniu sakramentów, dalej natura sakramentu bierzmowania, nauka teologów wskazują na niewłaściwość tych zakazów. Trafnie sobór florencki powiada: „Przez chrzest odradzamy się duchowo, przez bierzmowanie wzrastamy w łasce i umacniamy się: odrodzeni i wzmocnieni karmimy się pokarmem Eucharystyi".

W synodach prowincyonalnych Polski [4] niema, o ile nam wia-

---

si duodecimus annus non expectandus videatur, usque ad septimum certe hoc sacramentum differre maxime convenit". P. 2, c. 3, n. 18.

[1] Synod orleański, mówiąc mimochodem o wieku potrzebnym do bierzmowania, oznacza go wyrażeniem *perfectae aetatis;* dekret ten jest zamieszczony w dekrecie Gracyana, c. 6. dist. v. *De Consecr.* Słowa powyższe oznaczać mogą wiek rozeznania, a komentatorzy posuwający się najdalej tłumaczą je o 12 roku.

[2] T. I, VII. r. 1892. p. 142 sq.

[3] Bardzo dobry artykuł o tej materyi w *Études*, t. I, IV, r. 1891, str. 421.

[4] Synod w Budzie 1279 dla reformy Kościoła w Węgrzech i Polsce zwołany przez papieskiego delegata Filipa, wyraża się tylko ogólnikowo

domo, przepisu co do wieku bierzmowania. Za to spotykamy w synodach dyecezalnych dwa przepisy. Pierwszy synodu płockiego r. 1733: „Niech (proboszcze) starają się o to, by nikt z tych, co im są oddani w opiekę, mając lat 12, nie zaniedbał przystąpić do tego sakramentu". Drugi synodu kijowskiego w Żytomierzu, przez biskupa Załuskiego zwołanego w r. 1762: „Ustanawiamy, aby proboszcze także nauczali, w którym roku przyjmować trzeba ten sakrament; choć bowiem można udzielić tego sakramentu wszystkim wiernym po chrzcie, przecież Kościół to uważał za mniej stosowne, zanim dzieci dojdą do lat rozeznania. Ci więc, co przystępują do tego sakramentu, niech nie mają mniej niż 7 lat, aby mogli i zrozumieć i spamiętać, co się działo".

Jak widać, przedewszystkiem dekret synodu kijowskiego najzupełniej się zgadza z duchem Kościoła. W dzisiejszej praktyce, zdaje się, i u nas nieco odstąpiono od tego, co Leon XIII. nazywa powszechnym i stałym zwyczajem Kościoła.

List papieża, choć się odnosi tylko do jednego biskupa, prawdopodobnie dla ważności sprawy w nim poruszonej, szerszy wpływ w Kościele mieć będzie, a Duch św. niezawodnie przyprowadzi cały Kościół do powszechnego przyjęcia dawnej praktyki, jeżeli uznawać będzie, że przyspieszenie bierzmowania przysporzy dzisiejszym pokoleniom siły i odporności przeciwko złemu.

Ks Wł. Ledóchowski.

Czeska Akademia Umiejętności.

Podczas jubileuszowej wystawy praskiej w r. 1891 otwarto uroczyście czeską Akademię Umiejętności, wśród zapału i radości całego narodu. Jest temu już lat więcej niż sześć, a jeśli jeszcze doliczymy chwile przed otwarciem, w których nastąpiło ukonstytuowanie Akademii, otrzymamy lat siedm. Okres to znaczny w naszych czasach, gdzie wszelki ruch umysłowy biegnie szybko i nieustannie naprzód; przez takie siedm lat instytucya tego rodzaju może zdziałać wiele, to też warto się jej przypatrzeć.

---

i mimochodem o wieku, podobno jak wyżej wspomniany synod orleański. Zob. „Synody prowincyonalne w Polsce do r. 1357" przez ks. d-ra Gromnickiego, str. 171.

Początek swój — jak zwykle w podobnych wypadkach — zawdzięcza ta Akademia inicyatywie prywatnej. Jak u nas Towarzystwo Przyjaciół Nauk założone zostało przez ludzi prywatnych, ożywionych gorąco miłością ojczyzny, a niepospolicie rozumnych, tak i u Czechów znalazł się patryota, za którego przyczyną Akademia przyszła do skutku. Nazwisko jego nie było z początku znane; szczodry ten ale i skromny ofiarodawca chciał zostać w ukryciu. Rzecz jednak wyszła na jaw i dziś wiadomo, że ofiarodawcą był obecny prezes akademii, Józef Hlávka, człowiek niezwykle zasłużony przez swą hojność na różne cele publiczne. Wroku 1888 dnia 8 lipca złożył on na ręce krajowego marszałka królestwa czeskiego sumę dwustu tysięcy złr. z przeznaczeniem na założenie czeskiej Akademii imienia cesarza Franciszka Józefa, ażeby tym sposobem uczcić czterdziestoletni jubileusz wstąpienia monarchy na tron. Oczywiście ten doskonały a zarazem dowcipny sposób uczczenia jubileuszu został przyjęty. Wydział krajowy wniósł rzecz do sejmu, a sejm na posiedzeniu dnia 9 października 1888 r. uchwalił, że dar ten i propozycyę przyjmuje, przytem zobowiązał się wspierać Akademię z funduszów krajowych, postanowił wnieść do cesarza prośbę o pozwolenie, a równocześnie polecił wydziałowi krajowemu, aby się postarał o zatwierdzenie ustaw przyszłej instytucyi. Cesarz prośbę przyjął łaskawie, na otwarcie Akademii zezwolił i tym sposobem zgodził się na takie uczczenie jubileuszu. Nastąpiły zwykłe w takich wypadkach akcye i tranzakcye, aż wreszcie 18 maja 1891 dokonało się ostateczne uroczyste otwarcie Akademii przez protektora, arcyksięcia Karola Ludwika, a zarazem pierwsze uroczyste doroczne zgromadzenie. Gazety czeskie z owej doby i „Almanach“ Akademii z r. 1891 opisują to otwarcie bardzo szczegółowo i z widoczną radością. Bo też fakt taki stoi w bardzo ścisłym związku z życiem narodowem, a znaczenie instytucyi samej dla rozwoju tego życia jest pierwszorzędne.

Jest dość powszechne narzekanie na Akademie, że one nie umieją utrzymać związku ze społeczeństwem i z jego duchowem życiem, że się zwykle zamieniają w jakieś towarzystwa wzajemnej pomocy i admiracyi, w jakieś zarazem poważne i nudne grona nieśmiertelnych. Oczywiście jeżeli Akademia od XVII. wieku radzi nad słownikiem i doszła w wieku XIX. do litery — jeśli się nie mylę — *D*, to rzeczywiście liczy chyba na nieśmiertelność. Ale gdzieindziej takie narzekanie nie ma podstawy, owszem niejednej Akademii należy się od społeczeństwa gorąca wdzięczność. Jakby np. stała u nas dzisiaj historya

Polski, gdyby krakowska Akademia nie istniała? A jeszcze z tą nauką mniejsza, bo ludzi zajmujących się nią jest dużo, więcby to jakoś szło; ale inne: historya sztuki polskiej albo filologia polska: te już nie rozwój, ale po prostu istnienie swoje i byt winne są Akademii. Może jeszcze mniej podstawy miałyby owe narzekania w Czechach. Akademia praska przedewszystkiem założyła sobie cel obszerniejszy, wskutek czego łączność między nią a społeczeństwem może być ściślejsza, silniejsza. Sama jej nazwa na ten cel wskazuje. Gdzieindziej mamy Akademie Nauk albo Umiejętności; tutaj jest — jak brzmi urzędowe nazwanie — „Czeska Akademia cesarza Franciszka Józefa dla nauk, literatury pięknej i sztuki“ *(Česká Akademie císaře Františka Josefa pro vědy, slovesnost a umění).*

Więc przedewszystkiem Akademia czeska — na to jest zwrócona uwaga; w tym wyrazie jest zastrzeżenie, że czynność instytucyi ma służyć przedewszystkiem i niemal wyłącznie nauce, literaturze i sztuce czeskiej. Troskliwość i wspieranie nauki czeskiej, języka czeskiego, literatury, dalej rodzimej czeskiej sztuki: to jest główny cel Akademii wogóle i jej wydziałów. Ale znajduje się przytem uwaga, bardzo dobrze świadcząca o rozumie tych, którzy dla przyszłej „pansofii“ prawa układali. Oto wiedzieli oni, że jak jednostka samotna trudną ma drogę, tak i naród, któryby dbał tylko o siebie, a nie patrzył na to, co się dzieje poza jego granicami, żeby na tem wychodził. Nie wiem, czy który z nich pomyślał wtedy, kiedy te prawa układali, o Polsce i historyi jej umysłowości w końcu XVII. i w XVIII. wieku; gdyby pomyślał, jeszczeby większy położył nacisk na tę okoliczność, o której chcemy powiedzieć. Oto do zadań Akademii należy także podawanie do wiadomości społeczeństwa czeskiego rezultatów czynności naukowej, literackiej i artystycznej innych narodów. Jest to więc najrozumniejsze jakie może być połączenie; przedewszystkiem myśleć o sobie i nad sobą pracować, ale równocześnie nie spuszczać oka z innych, przypatrywać się, co i jak inni u siebie robią. Że zaś oprócz nauk ścisłych Akademia wzięła w swą opiekę także literaturę piękną i sztukę, to również może wyjść tylko na korzyść narodu, bo porozumienie między obu stronami jest w takim razie daleko łatwiejsze i ściślejsze.

Aby odpowiedzieć swemu zadaniu, używa praska Akademia kilku sposobów. Pierwszy, najzwyklejszy, polega na tem, że każdy wydział wydaje „Rozprawy“, w których znajdują pomieszczenie naukowe prace członków Akademii, obok tego także i nieczłonków. Praca taka, według wyraźnego brzmienia statutu, musi podawać rezultaty oryginal-

nego, samoistnego badania, a nie wyniki pracy cudzej. Oprócz „Rozpraw“ wydaje Akademia także osobne dzieła, albo też autorom daje zasiłki pieniężne na drukowanie. Drugim sposobem jest nagradzanie dzieł już wydanych, uznanych za najlepsze w swoim zakresie; każdy wydział otrzymuje co roku pewną sumę pieniężną, którą według uznania rozporządza i rozdaje nagrody. Trzeci sposób polega na tem, że Akademia ludziom, pracującym na polu naukowem, daje naprzód zasiłki pieniężne, umożliwiające im robienie studyów, albo też pomaga do wydrukowania dzieła (tak np. czeskie etnograficzne czasopismo *Czeski Lud*). Jest to sposób bardzo mądry, oczywiście tylko z pewną ostrożnością należy go używać. W rocznych swoich sprawozdaniach wymienia ona szczegółowo wszystkie pozycye tego działu budżetowego i przyznać trzeba, że rozdział dokonany jest bardzo starannie i oględnie.

Drugą część swego zadania, zapoznawania społeczeństwa czeskiego z rezultatami czynności naukowej, literackiej i artystycznej innych narodów, spełnia Akademia przez wydawanie rodzaju czasopisma p. t. *Wiestnik (Věstník)*. Oprócz wiadomości o samej Akademii i jej sprawach znajdują się tam notatki o badaniach naukowych, zasługujących na uwagę, o nowych dziełach obcych, czy to literackich czy artystycznych, wyróżniających się bądź treścią, bądź formą. Ale rzecz naturalna, że ten dział nie może być zupełnie dobrym; ma zakres nadto rozległy. Proszę pomyśleć: dawać baczność na to, co się dzieje w kilkunastu przynajmniej literaturach, sztukach, i ze wszystkiego zdawać sprawę, to trochę za dużo. Trzebaby chyba mieć do każdej literatury osobnego referenta, któryby nic innego nie robił, tylko nad swoją rzeczą czuwał i fakt każdy, godniejszy uwagi, notował. Lepiej za to udał się sposób drugi. Prywatnemu nakładcy daje Akademia zasiłek na wydawanie *Zbornika poczyi światowej* w czeskich przekładach, którem to wydawnictwem kieruje jeden z wydziałów. Zbornika tego wyszło dotąd już kilkadziesiąt tomików. wydanych bardzo ładnie, ze wszystkich ważniejszych literatur, między innemi także i z polskiej.

Pod innymi względami Akademia praska jest urządzona podobnie, jak wszystkie inne tego rodzaju instytucye, więc się nad tem rozwodzić niema potrzeby. Prócz trzech wydziałów: filozoficzno-historycznego, matematyczno-przyrodniczego i filozoficznego jest jeszcze wydział czwarty, literacko-artystyczny, powiedzielibyśmy czysto czeski, ma na celu wyłącznie rozwój czeskiej literatury pięknej, sztuk plastycznych i muzyki. Przy tej sposobności dodajemy, że Akademia daje nagrody nietylko za dzieła naukowe, ale także za poezye, powieści, obrazy,

rzeźby i utwory muzyczne; również daje zasiłki na studya w tym zakresie.

Obok wydziałów istnieją tak samo jak gdzieindziej stałe komisye. Jest ich kilka: archeologiczna, historyczna, przyrodnicza, komisya dla badania źródeł literackiego życia w Czechach, na Morawie i na Ślązku, komisya leksykograficzna i dyalektologiczna.

Członkowie dzielą się na honorowych, zwyczajnych, nadzwyczajnych, korespondentów i zagranicznych. Przy końcu r. 1896 było ich razem 174— po prostu skupienie w jednej instytucyi wszystkich Czechów, którzy pracują na polu naukowem, literackiem i artystycznem, i ponad ogół się wznieśli.

Akademia wydaje: *a)* osobne dzieła; *b)* każdy wydział wydaje swoje „Rozprawy"; *c)* co miesiąc wychodzi wspomniany *Wiestnik*; wreszcie *d)* z początkiem roku wychodzi „Almanach", zawierający sprawozdanie z całego roku i jakąś rozprawę, napisaną przez członka Akademii.

Ze sprawozdania r. 1897 wyjmujemy parę faktów i dat.

Z końcem r. 1896 stan Akademii jest następujący. Protektorem jest arcyksiąże Franciszek Ferdynand d'Este (mianowany przez cesarza po śmierci arcyks. Karola Ludwika), zastępcą protektora ks. Jerzy Lobkowicz. Prezesem Józef Hlávka, architekt i radca budownictwa, generalnym sekretarzem Józef Šolín, profesor czeskiej politechniki. Dwóch członków honorowych, 52 zwyczajnych (między nimi np. poeta Jarosław Vrchlický i malarz Wacław Brožík), 44 nadzwyczajnych (do nich należał zmarły Edward Jelinek), 63 korespondentów i 13 zagranicznych. Biblioteka liczyła 1582 dzieł w 4.741 tomach. Wydatki w r. 1896 wynosiły 53.447 złr.; dochody stanowią: dotacya państwowa (podwyższona) 20.000 złr. i tyleż krajowa, procenta od kapitału, dobrowolne wkłady i dochód ze sprzedaży dzieł. Majątek Akademii wynosił przeszło 368.000 złr. Pomieszczenie ma Akademia we wspaniałym gmachu Muzeum Królestwa Czeskiego.

Suche daty — szczegółów niema co opowiadać, zaznaczamy tylko, że pomiędzy dziełami, wydanemi przez Akademią, są niektóre niepospolitej wartości, zwłaszcza co do historyi, literatury i języka czeskiego; ale również bujne życie jest i w innych oddziałach, np. w naukach przyrodniczych. Ale choć suche daty, przecież mają one swoją mowę. Taka ofiara, jak złożenie przez owego patryotę dwustu tysięcy złr., świadczy bardzo chlubnie o społeczeństwie, w którem się to dzieje.

Ale powiedziałbym, że to jeszcze rzecz mniejszej wagi, choć materyalnie doniosła. Takie jednorazowe ofiary zdarzają się dosyć często. Ale co chlubniej jeszcze świadczy o wykształceniu społeczeństwa czeskiego, o jego kulturze, to związek między niem a Akademią, to żywe za jęcie się jej losami, to dotacye, jakie z Pragą na czele uchwalały miasta czeskie z funduszów gminnych, to te tłumy ludu, jakie się zebrały w dniu jej otwarcia na ogromnym placu Wacławskim przed poważnym i kolosalnym gmachem Muzeum. Umieją Czesi pracować i umieją pracę cenić, rozumieją też całą wagę instytucyi takiej, jak Akademia.

Jeszcze jedna rzecz i już będzie koniec. Polak wszędzie i we wszystkiem chciałby widzieć jakiś ślad Polski, chciałby znaleść jakąś wzmiankę o niej, i cieszy się, gdy ją znajdzie. Tak i tutaj. Chcielibyśmy wiedzieć, czy w tej Akademii mówią czasem o Polsce, o jej dziejach i literaturze. Otóż z wielką przyjemnością spotyka się tu polskie rzeczy, i to dosyć często. Pomiędzy członkami zagranicznymi znajdują się: były minister dr. Rittner i wiceprezydent Rady szkolnej Bobrzyński w wydziale pierwszym, profesor Olszewski w drugim. Pomiędzy polskiemi towarzystwami a Akademią jest wymiana publikacyj; niestety tych towarzystw jest niewiele, ale o to powinny się one same starać. Zgłosić się do sekretarza i w zamian za swoje wydawnictwa zażądać wydawnictw Akademii, oczywiście w należytej proporcyi; redakcye czasopism np. mogą wymieniać na dzieła treści literackiej lub historycznej. Towarzystwa polskie, będące w związku z praską Akademią, są: Biblioteka hr. Działyńskich w Kórniku, Akademia Umiejętności w Krakowie, Towarzystwo lekarskie w Krakowie, we Lwowie Zakład Ossolińskich, Towarzystwo historyczne i Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika, w Poznaniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wreszcie w Warszawie Redakcya Prac matematyczno-fizycznych i Towarzystwo lekarskie. To jest niewiele, powinno być więcej. W tym dziale *Wiestnika*, który jest poświęcony sprawom naukowym i literackim nieczeskim, spotkać się można z recenzyą polskiego dzieła (np. prof. Tarnowskiego, „Zygmunt Krasiński“, albo prof. Zdziechowskiego, „Karol Hynek Mácha“), albo z wzmianką o zakładach polskich, jak o Zakł. Ossolińskich, albo Tow. Mickiewicza we Lwowie. Wreszcie w „Zborniku światowej poezyi“ są przekłady „Konrada Wallenroda“ i „Dziadów“, „Lilli Wenedy“ i „Balladyny“, poezyj Asnyka i Konopnickiej. Ostatecznie jest tego dosyć dużo — widać, że zajęcie się rze-

czami polskimi jest znaczne. Odwdzięczajmyż się więc Czechom, i nawzajem badajmy ich życie i sprawy, a można być pewnym, że się to przyda i im i nam.

Stanisław Dobrzycki.

Wojna o d-ra Iwana Frankę.

Pan Iwan Franko zaczął pozować w ostanich czasach na dekadenta, mizantropa i inne tego rodzaju odcienie, nadające się doskonale na ilustracyę dzisiejszego *fin de siècl*'u. W jednej z takich chwil uważał za stosowne powiedzieć narodowi swemu ruskiemu, że nic w Rusi niema, coby zasługiwało na cześć i przywiązanie. Niezwykłe to wywnętrzenie się możnaby traktować z humorem, gdyby nie to, że obraża ono tak delikatne a szlachetne uczucie, jakiem jest miłość ojczyzny.

Herostratowe te wawrzyny nie zadowolniły jednak p. Franki. Wspomniał sobie, że na tej samej ziemi galicyjskiej jeszcze inny naród mieszka, którego kosztem można się tanio popularności dobić. A że w tym narodzie mówiono wtedy właśnie dużo o Mickiewiczu, postanowił p. Franko podzielić się z wielkim poetą połową swoich świeżo zdobytych wawrzynów i stworzył artykuł streszczający się samym tytułem: „Poeta zdrady".

Artykuł ten umieszczony w wiedeńskim tygodniku *Die Zeit,* wywołał w polskiej publicystyce burzę protestów. Ogólne to oburzenie było samo w sobie słuszne i usprawiedliwione, ale nadawanie takiej robótce takiego znaczenia było może niepotrzebne.

Między innymi głosami odezwała się także i lwowska czytelnia akademicka i bez ogródek, z tą dosadnością w niedobieraniu wyrazów, jaka cechuje oburzenia młodości, powiedziała p. France, że jest „podłym" i „nikczemnym oszczercą". I tu zaczyna się właściwa treść tego, o czem mówić chcemy. Druga część akademickiej młodzieży, stawiająca sobie za hasło postęp, swobodę i pracę społeczno-kulturną, a sympatyzująca z p. Franką prawdopodobnie dla wspólnych politycznych i społecznych poglądów, nie mogąc się pogodzić z ostrym tonem Czytelni, wydaje od siebie odezwę ugodową [1]. Wprawdzie zastrzega się

[1] „Głosy akademickiej młodzieży polskiej w sprawie d-ra Iwana Franki". Lwów 1897.

ona, że jest przykro dotkniętą ciosem, wymierzonym w pamięć Mickiewicza, nie zgadza się jednak z zapatrywaniem swoich kolegów na charakter p. Franki i na klasyfikacyę ostatniego jego postępku. Zaczynają się długie usprawiedliwiania i uniewinniania Franki, z których raz dowiadujemy się, że Franko „Rusinem będąc zawsze i wszędzie podawał nam szczerą dłoń do bratniej zgody", a drugim razem czytamy, że „czując żal, usprawiedliwiony zresztą, do społeczeństwa polskiego, wylał go na Mickiewicza". (Chyba więc tu o trzeciej jakiejś narodowości mowa, co nawet potwierdzać się zdają takie podpisy jak: Färber Dawid, Rast Osias i t. p.). To znowu spotykamy się z oświadczeniem, że artykuł ten wypłynął z chwilowego rozdrażnienia i przenerwowania, a w innem miejscu utrzymuje odezwa, że zarzuty robione Mickiewiczowi są zdaniem powziętem u Franki już bardzo dawno, bo jeszcze na ławach szkolnych... Najlepszem jest to, że nie mogą odzywający się pojąć, żeby p. Franko mógł ten artykuł pisać ze względu na Rosyę, bo rząd rosyjski jest „zanadto sprytny i rozumiejący swój interes, aby w jakikolwiek sposób popierał radykała-socyalistę". W intencye p. Franki nie wchodzimy, bo ich nie znamy, ale przytaczamy tylko fakt, że artykuł p. Franki przetłumaczono w lot na język rosyjski i chciano go użyć jako taranu do zburzenia pomnika Mickiewiczowskiego. Osoba p. Franki może Rosyę niewiele interesować, jego radykalizm i socyalizm mogą ją nawet odstraszać, ale antypolska fantazya zawsze jej się na coś przyda.

Gwałtowne to dobijanie się młodzieży polskiej o sympatyę „radykała-socyalisty", mimo takiej krzywdy przezeń całemu narodowi polskiemu wyrządzonej, jest bardzo charakterystycznym objawem nurtujących dzisiaj kierunków.

Ks. J. Pawelski.

Druk ukończono 30 listopada 1897 r.

OSTATNI Z NATCHNIONYCH.

Nasze młode pokolenie już wielkich poetów nie miało. Wśród szarych i przymglonych godzin życia, darmo oglądaliśmy się naokół za jakimś natchnionym przewódcą, któryby z dusz naszych i dni naszych wyrwał myśl wielką, oblókł ją w światłość i na niebie naszem jesiennem nowe zapalił gwiazdy. Wodza takiego nie było, bo brakło też i wielkich myśli i ideałów. Wszystkie nadzieje i marzenia polityczne, które ojców naszych ożywiały, zawiodły — a filozofia pozytywistyczna, bezwyznaniowa kultura liberalizmu i nowe a ciężkie i ciemne warunki ekonomiczne dogasiły do reszty tlejące w młodych piersiach iskry szerszego natchnienia. Dziś mamy kilku poetów, którzy nam dadzą gładki rym i rytm, tak wytoczony, że i forma Mickiewicza i Słowackiego w porównaniu blednieją, rzucą od czasu do czasu jakąś głębszą refleksyę lub nakreślą piękny obrazek czy przyrody czy własnej duszy. Tem wszystkiem zabawią wyobraźnię i wywołają satysfakcyę estetyczną, ale nie mają na tyle siły, ażeby porwać umysł i wrzucić do piersi płomień.

Poezyi ostatniej doby nie myślimy jednak zaprzeczać wszelkiego natchnienia; miewa i ona przecież także swój wdzięk i urok, który tylko z natchnienia płynąć może. Tylko że to natchnienie tak ciasne ma zakreślone granice, tak związane jest ściśle z osobistymi uczuciami pisarza, że samo sobie szerszy wpływ tamuje. A jeśli który z nich wzniesie się czasem ponad szranki tych prywatnych ideałów i zatoczy skrzydłem ponad całym na-

rodem, to znać zaraz, że ten lot jakoś mu nieswojski, ale tylko wyuczony na wielkich lotach naszych natchnionych wieszczów, że jest tylko niewyraźnem wspominaniem przeszłości, ale nie głębokiem i natchnionem obecnem uczuciem. — I dlatego pieśń ich w duszy narodu nie znajduje oddźwięku.

My dzisiaj nie mamy już ani pojęcia nawet o tym wstrząsającym wpływie, jaki wywiera wielka, natchniona poezya, łącząca w sobie harmonijnie pierwiastek estetyczny z pierwiastkiem społecznym i życiowym. Bo i skądże o tem wiedzielibyśmy. Nawet wielka nasza poezya poprzedniej epoki, poezya orlich natchnień i blasków słonecznych na nas nigdy wpływu tego wywrzeć nie mogła, bo była tworzoną w pierwszym rzędzie dla społeczeństwa, które w innych żyło warunkach, inne przeżywało chwile i inaczej na świat patrzyło. Dla nas były to dzieła wielkie, utwory klasyczne, kształciły rozum i wyobraźnię i podnosiły serce, ale już przedstawiały nam tę samą mniej więcej wartość, jaką będą miały i po pięciuset latach. Była to wartość więcej literacka, aniżeli społeczna. Tego przyspieszonego tętna, jakie biło w żyłach Spartan, gdy pieśni Tyrteusza wkładały im do ręki oręż, lub kiedy to Marsylianka jednym tchem rzuciła ochotników rewolucyi na wzgórza Jemappes, a nawet, choćby odrobinę tej wzburzonej krwi, jaka rozgrzewała współczesnych przy czytaniu Mickiewicza i Krasińskiego, tej nigdyśmy w żyłach swoich nie czuli. Takich snów, jakie z pewnością miało starsze pokolenie, kiedy to Robak w bratnim uścisku z Irydionem, obaj posępni i smutni zasuwali się z pochodnią w ręku w rozpalone obłoki, a za nimi w dali dymiły zgliszcza Petersburga, lub kiedy zziajany Farys kładł się pod płótnami namiotu zrozpaczonego Ojca zadżumionych — takich snów nie miewaliśmy nigdy.

A jednak, chociaż ani jedno drżenie po minionej poezyi nas nie doszło, my ją jednak może bliżej serca nosimy, niż ci co żyli jej współcześnie. Powtarza się tu historya dziecka, które wśród ciszy księżycowych wieczorów, wsłuchuje się w opowieści matki o nieboszczyku ojcu, z natężoną uwagą, i w małem sercu zaczyna róść miłość głęboka, owiana tak niewypowiedzianym, urokiem, że ze względu na ten nieziemski urok i lepiej może

że ojciec nie żyje. Dzisiaj oddzieleni całą przepaścią i lat minionych i obecnej poziomej chwili od tej świetlanej epoki natchnienia, my patrzym na nią i z miłością wielką i z gorącem uwielbieniem. Ileż tam życia, ruchu, polotu i ognia, ileż wielkich myśli i wielkich porywów serca. Każda myśl śmielsza i szlachetniejsza, zaczynająca w społeczeństwie kiełkować, w lot przenosi się na struny harf natchnionych, a każdy ton tej harfy odbija się natychmiast potężnem harmonijnem echem w duszy narodu. Pieśń ta wstrząsająca wszystkie serca i z ust do ust podawana, rozbrzmiewa i pod sklepieniem kościołów i na polach bitew, wtyka żołnierzom miecz i kosę do ręki, a do duszy wnosi świeżą nadzieję i niezłomną odwagę. Staje się ona duchem opiekuńczym narodu i zlatuje wszędzie, gdzie tylko polska jęczy niedola. Nocą, gdy widnokręgi oblekają się łunami płonących wsi, ona bolesna z dala załamuje ręce, a we dnie unosi się nad bohaterskimi wysiłkami powstańców i czeka końca walki z oniemiałą trwogą. A gdy wyszczerbiły się miecze i opadły znużone ramiona wojowników, ona na mogiłach poległych zatyka krzyżyk i wieniec zawiesza, a z więźniami podąża na nieprzejrzane stepy Sybiru, i zstępuje do wilgotnych lochów, aby z piersi bohaterów przykutych do taczek, nowe wyrwać hasło walki dla przyszłych pokoleń. A potem, gdy nastąpiła najstraszniejsza chwila, w której naród daremnie oglądał się po ziemi za czemś, coby przyniosło otuchę, ona z nadmiernej miłości ku narodowi schodzi nawet na manowce i błędne szlaki. Zrazu próbuje perswadować wbrew radom rozsądku i oczywistości otaczających zdarzeń, ale gdy coraz gorzej i ciemniej się robi, gdy nawet staje przed nią narodu duch zatruty, wtedy w boleści bezwładnej dźwięk jej zawsze podniosły zmienia się w zgrzyt szyderstwa, rozpaczy, a nawet bluźnierstwa Bogu. Ale to tylko chwila zbłąkania. Po tej chwili otrząsa się na nowo z cierpkiej goryczy i rozpaczliwej niemocy i wstępuje już na najszczytniejsze wyżyny, na jakich kiedykolwiek poezya stanęła. Wtedy klęka w pokorze przed Panem wszelkiej mocy i przed Bogiem sprawiedliwości i jemu w natchnionych słowach dalsze losy narodu

powierza, a jako niezbędny zadatek tej opieki, błaga wprzódy o dobrą wolę:

My zawieszeni pomiędzy otchłanią
A twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen twych kąpani dmuchu,
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serca czyste! —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę!

I ten motyw dziecięcej ufności w pośrednictwo boże, i ten drugi, pragnienie gorące wewnętrznej mocy duchowej, jako pierwiastku odrodzenia, dwa te motywy przewijają się odtąd w jej pieśniach jako najdźwięczniejsze tony, a tyle mają w sobie prawdy i mocy, że mimo tysiącznych poprzednich boleści i rozczarowań zaczynają goić rany narodu i uśmierzać boleści.

A natchnienie to, tak jak nie pochodziło z długich rozumowań poetów, ale wprost z głębi przejętego serca przelewało się w strofy, tak i w narodzie nie dopuszczało żadnych dyskusyj i żadnej refleksyi, ono rozkazywało, zmuszało do posłuszeństwa, wstępnym bojem porywało za sobą całą duszę społeczeństwa. Stąd poszło, że poezya w tym peryodzie stała się wszechwładną królową narodu i rządy jego sprawowała niepodzielnie; jej zasady stały się na długie czasy kanonem polskiej polityki, a wiele z jej wierzeń gorących i podniosłych ideałów etycznych przyczyniło się bardzo do podniesienia wiary i moralności.

Takby mniej więcej przedstawiało się społeczne stanowisko poezyi w tym czasie i społeczna działalność olbrzymiego jej natchnienia. Odtrąciwszy pewien procent złudzeń politycznych i przesadnych mesyanistycznych fantasmagoryj, pewną ilość przeciągniętych tonów, które wyrwały się z piersi w chwilach rozpaczliwej boleści, otrzymamy dodatni rezultat wielki.

Ale czas wartko naprzód pomyka, pieśniarzy coraz więcej ubywa, przychodzą zwolna inne pokolenia, zmieniać się zaczynają warunki społeczne, polityczne i umysłowe. I natchnienie coraz bezwładniej tętni, pieśń wielka coraz słabiej, coraz ciszej,

coraz rzadziej się odzywa, aż wreszcie na tem cmentarzysku dziejowem wielkiej poezyi zalega grobowa cisza.

Od czasu tylko do czasu daje się jeszcze stamtąd słyszeć silny, głuchy odgłos, który z duszy żyjących tysiące wspomnień i uczuć wyrywa. To do wielkiego grobu padają ostatnie grudki ziemi na trumny Pola, Zaleskiego, Lenartowicza...

Od dzisiaj ta mogiła rozkopywaną już więcej nie będzie. Ostatnia bryłka gliny padła kilka dni temu na trumnę ostatniego z natchnionych.

Ujejski! Ileż to nazwisko wywołuje w duszy wspomnień, ileż chwil jasnych w młodości mu się zawdzięczało, ile podniesień serca! Widzę, jak dzisiaj, zachwycone twarze szkolnych kolegów, kiedyśmy słuchali deklamacyi Maratonu:

Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,
A ja mam dla was, o! moi rówieśni,
Pieśń, co przypomni wam brzęki łańcucha.

Ta pieśń łańcuchowych brzęków, raz uderzywszy w duszę dziecka, pozostała na zawsze w pamięci.

Gdyby komu szło o udowodnienie, że do wielkości i uwiecznienia poety nie jest koniecznym warunkiem wielość tomów, rozmaitość kierunków tworzenia, doskonałość wielu form lub szerokość horyzontów myśli, ale że i jeden ustęp potężny, jedna kartka w wielkim stylu stworzona, jeden powiew natchnienia wywalczyć mu ją zdoła, nie wiem, czy byłby na to lepszy przykład, od poezyi Ujejskiego. Bądźmy szczerymi i powiedzmy sobie otwarcie, że to, czemu Ujejski swoją wielkość zawdzięcza, to kilkanaście może kartek jego poezyi, to zwłaszcza ten jeden hymn wspaniały, stworzony w chwili olbrzymiego natchnienia. Dla innych utworów byłby nam Ujejski miłym, drogim, zasługiwałby na osobne, poczytne miejsce w literaturze, ale wielkimby nie był. Raz tylko ten orzeł, siedzący zwykle na smętnej mogile lub szczerbach ruin, wzniósł się olbrzymim pędem w niebotyczne przestrzenie i zawisnął na słonecznym promieniu poezyi nad całym narodem, ale ten raz, ta jedna imponująca chwila lśnienia i lotu pozostała w pamięci narodu na zawsze.

Wśród licznej, dziś już wymarłej plejady ówczesnych poetów przedstawia się Ujejski jako najbliższy i najbardziej pokrewny tym trzem wielkim, którzy pieśń polską na niebywałych przedtem wyżynach postawili. Najbliższy — oczywiście nie talentem, ani też ową olbrzymią siłą lotu, jaka tamtych znamionuje, ale kierunkiem tego lotu, głębokością natchnienia zarówno jak i jego przedmiotem. Jego lutnia wyłącznie jest poświęconą ojczyźnie, jest to w całem znaczeniu „poeta narodowej doli“ i jako taki niewiele komukolwiek z nich ustępuje miejsca, Słowackiego nawet poniekąd przewyższa. Wybitny ten rys autora „Skarg Jeremiego“ wielbi sam Słowacki, pisząc doń wierszyk, dosyć w porównaniach ckliwy i pod tym względem do nastroju Ujejskiego nie dostosowany, ale co do rzeczy prawdziwy:

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, Pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka
I wołasz: wieczna.
. . . . . .

Jeżeli z kwieciem ona swawoli,
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty jak dziecię wiesz, co ją boli,
I wołasz: Boże!
. . . . . .

Pod innymi względami jest Ujejski o wiele od naszych trzech wielkich natchnionych niższy i uboższy. W takim np. Mickiewiczu podziwiamy wielość i różnorodność artystycznych przymiotów, zawsze wielką i klasyczną, a tak obfitą i tak w swoich różnicach wybitną, że przy zastosowaniu filologicznego kryteryum możnaby jego dzieła kilkunastu autorom przypisać. Któżby w autorze jowialnej bajki „Golono i strzyżono“ poznał twórcę płomiennej „Ody do młodości“, lub czyżby nawet w jednych „Dziadach“ nie można rozeznać kilku nastrojem różnych pisarzy. Takiej komplikacyi i wielości w Ujejskim niema; jest on zawsze ten sam, sam jeden. Jedynym jego ideałem, jedynym tematem jego pieśni jest obecna, żyjąca z nim współcześnie ojczyzna, tak dalece, że prócz „Tłumaczeń Szopena“ i kilku ulotnych wierszyków jej wszystkie swoje rymy poświęcił. Jedynym spo-

sobem tworzenia, w którym Ujejski jest samym sobą, jest liryka, uczucie, a i te uczucia, którym dawał wyraz Ujejski, dałyby się sprowadzić do pewnej ściśle określonej, niezbyt nawet obfitej skali. Miłość ojczyzny, połączona z ufnością w pośrednictwo boskiej opatrzności i zwycięstwo dobrej sprawy, przedzierzgająca się w czarnych chwilach politycznych zawodów narodu w silny odcień ironii i rozdźwięk rozpaczy, głuszony jednak zwykle wkrótce odgłosem tętniącej w piersi nadziei.

Zestawienie ze Słowackim wskazałoby nam znowu na zakrój wyobraźni twórczej i formy artystycznej Ujejskiego. Spotkać się można często z twierdzeniem, że Ujejski wraz z Asnykiem i Słowackim zalicza się do trójcy, która skończoność formy doprowadziła do granic, poza które niewiadomo, czy się kto dalej posunie. Jest w tem twierdzeniu może niedokładne zdawanie sobie sprawy z odebranych wrażeń. To, co poezyę Ujejskiego znamionuje, to nie jest ta równa, harmonijna fala dźwięków, która płynie unormowanem korytem przez strofy Asnyka i Słowackiego. W najlepszych poezyach Ujejskiego skądinąd pięknych dopatrzećby się można pasowania się ze słowem. A o tym drugim momencie, decydujacym o wspaniałości formy Słowackiego, o tej szerokiej wyobraźni, która do pracowni poety znosi wszystkie blaski słoneczne i brzaski różane, wszystkie rozwiewające się mgły i siwe śrężogi, wszystkie wonie wiosenne pól i łąk majowych, tajemnicze cisze nocne i rodzące się na dniejących chmurach łabędzich dźwięki poranne, o całem tem olbrzymiem zaczarowanem państwie wdzięków i uroków przyrody, wysubtelnionych półtonów i półcieni serca ludzkiego, jakiejś lotności i przejrzystości duchom właściwej, — o tem wszystkiem Ujejski ani myślał, bo miał na wskróś inną duszę. Jeden, drugi wierszyk, jak np. „Anioł Pański“ lub koniec „Jana Chrzciciela“, w te blaski odziany jest widoczną ekstrawagancyą poza właściwym sobie terenem, wywołaną jakiemś chwilowem wrażeniem po przeczytaniu Zaleskiego lub Słowackiego.

Jeżeli idzie o formę Ujejskiego, to co ją znamionuje, to nie jest techniczne wykończenie. Znalazłoby się w jego poezyach wiele kartek, w których dźwięczy harmonia formy, ale też wiele,

na których jej mało. Ujejski ma swój, indywidualny, wyróżniający go od wszystkich innych naszych poetów kunszt techniczny, niepolegający tyle na zewnętrznej, materyalnej dokładności, jak raczej w jakimś psychicznym momencie energii, szalonej mocy i potężnej rycerskości, która bardziej formę rozsadza, aniżeli ją kształtuje. Energia ta formy nie pochodziła z rozpierającej siły natchnienia, bo silne to natchnienie, jak poniżej zaznaczamy, inne miało u Ujejskiego skutki, ale raczej może z osobistego temperamentu pisarza — i myślę, że Ujejski z pewnością i poza chwilami natchnienia lubował się w silnych i wstrząsających wrażeniach estetycznych. Forma ta potężna przedstawia się czasem w skończonych odlewach, ale czasem też braki wykończenia swoją nagłością zakrywa, bo czytelnik uderzony od razu rytmem jak huragan potężnym, samym biegiem myśli jest na przód porwany, a o wszystkiem innem zapomina.

Ma forma ta przedewszystkiem tę dramatyczną ognistość, że kilkoma rzutami potrafi odrazu wywołać wrażenie groźnej jakiejś sytuacyi, przerażającego uczucia, jakiegoś pędu czy walących się na głowę kamieni, czy pękających strun duszy. Przypomnijmy sobie, jakie wrażenie robi w „Maratonie“ niewolnik uciekający z płonącego Sardes, Jeremi patrzący w „Skargach“ na zbrodnie, błądząca Hagar na puszczy ze szczerniałą głową i błagająca Jehowy choć o kroplę rosy dla spalonych ust swego syna, lub Izrael w Egipcie podnoszący młot do góry i wyglądający zbawcy. Weźmy np. jednę, drugą strofę ze znanego powszechnie, ilustrującego doskonale ten rodzaj formy, wiersza: „Ostatnie głosy Sodomy“, gdzie cała groźna sytuacya jest tak żywo uosobioną przez tę energię słowa, że widzimy jakby oczyma i szalony pęd uciekającego Sodomity z cisnących się zewsząd pożarów i rozpacz jego wewnętrzna stoi przed nami żywa i obecna, a w końcu nagłą jego śmierć tak czujemy, jakbyśmy padającego trupa przed sobą widzieli.

Energia ta formy Ujejskiego wywołana doraźnem nagromadzeniem wstrząsających psychicznych momentów, stłoczeniem silnych wyrażeń, krótkiem a urwanem tempem rytmicznem, a często także nagłym spadkiem jednozgłoskowych rymów ma

swoją wielką wartość estetyczną, choćby nawet zachodziły w niej pewne usterki i braki; ale bądź co bądź nie jest to forma o tem bogactwie tonów i o tej harmonijnej symfonii, jaką z mowy polskiej zaczął wydobywać Słowacki; tem mniej nie są to owe subtelne „Celliniowskie cięcia“, jakie na strofie polskiej zostawił niedościgły pod tym względem Asnyk.

Ujejski, naszem zdaniem, jest jeszcze najbardziej zbliżony duchem i formą swojej poezyi do Krasińskiego. Naturalnie, że wykluczyć trzeba z dyskusyi abstrakcyjno-mistyczny, po części kosmopolityczny kierunek Krasińskiego i te olbrzymie widnokręgi myśli, jakie umysł autora „Nieboskiej“ ogarniał. Poza tem wielkie nawet widzielibyśmy między nimi podobieństwo. Obydwaj o podobnym odcieniu uczucia wielcy miłośnicy swojej najdroższej, cierpiącej w ich oczach ojczyzny, o niej myślą ciągle w swych poezyach. Gdy inni poeci tak samo ojczyznę miłujący poświęcają jej prócz uczuć lirycznych, opisy, wspomnienia jej przeszłości, ci dwaj stanowią jakby jakiś nieustający trybunał spraw bieżących Polski; cierpią w pieśni jej obecnemi boleściami, komentują bieżące wypadki i patrzą troskliwem okiem w jej przyszłość. Obydwaj znużeni i zawiedzeni we wszystkich nadziejach ziemskich, zwracają wzrok ku górze, ku niebu z ufnością, i tam widzą ostateczne rozwiązanie gordyjskiego węzła swojej ojczystej historyi. I tu najbliżej się schodzą: obydwom stało przed oczyma to podobieństwo, jakie mają nasze porozbiorowe dzieje z narodem przez Boga w starożytności wybranym, w chwilach upadku i niewoli — i jeden z nich sięga po harfę Dawida i śpiewa psalmy, a drugi siada na rozburzonych zgliszczach dziejowych i płacze trenami Jeremiasza.

I pod innym jeszcze względem, pod względem samej formy natchnienia są do siebie podobni. Natchnienie Krasińskiego i Ujejskiego nie było cichym, ciepłym powiewem wiosennego poranku, obydwaj nie nosili w duszy równej, klasycznej miary, któraby w błogości duchowej klasyfikowała myśli i kształtowała rytmiczne spadki. W ich piersi rozpierała się i huczała cała burza romantyzmu i miotała nimi, jak miota huragan morski szczątkami rozbitego okrętu. Widok krwi i łez ojczystych, rozpiera-

jących się wygodnie wrogów i gorszych od nich renegatów, nie dozwalały im na harmonijną równowagę, ale szarpiąc całem jestestwem, zamieniły ich język w potężny a ognisty młot, którym z tytaniczną siłą wyrębywali natchnione strofy w pokładach polskiej mowy. Strofy te przedstawiają się często jako chaotyczne rudy żywiołowego bogactwa, niewygładzone, nieprzetopione, świecące surowym połyskiem. Ale połysk żyłek złotych zawsze w nich jest, zawsze w nich przebija siła natchnienia.

W głębi natchnienia Ujejskiego tkwi jeszcze jakiś rzewny odcień pobożności i gorącej wiary. Samo natchnienie on jako świętość pojmował, jako dar bożej łaski, który trzeba sobie modlitwą, pokorą i czystością serca wyprosić:

Módl się! i uderz o ziemię kolanem,
Boś głupi, nizki, ułomny przed Panem;
Obmyj się łzami, gdyś zwalany błotem,
Zatęsknij z ducha za światłem i lotem,
A wtedy spłynie wnet na ciebie łaska,
Wnet cię otoczą niebieskie promienie,
I czoło twoje ozdobi przepaska:
Natchnienie!

(„Dla synów światłości").

A potem ileż on swoich poezyj klęcząco przed Bogiem nie wypowiada z całą niewyszukanością, jaką wiara daje. A nawet te piękne „Melodye biblijne", które są tylko opisem niektórych tragiczniejszych momentów i kilku wybitniejszych postaci Starego Zakonu, i one są objawem tej wiary.

Ujejski miał dwie wielkie chwile w życiu. Raz kiedy na rodzinnej ziemi brat zabijał brata i w ogniu pożarów rumieniła się krew ojczysta, a drugi raz, kiedy ostatni podrzut narodu o wolność i kraj własny, zduszony przez wrogów, bezwładnie konał. W roku 1863 nie żył już żaden z naszych wielkich poetów, Ujejski więc sam był duchowym przewódcą narodowych uczuć. Ale w 46 żyli wszyscy, Słowacki i Krasiński nawet, poruszeni wypadkami, ujęli za pióro, a mimo to Ujejski w tym duchowym wyścigu wziął palmę pierwszeństwa.

Obydwie części „Skarg Jeremiego", w dwu tych dość od siebie odległych, ale blizkich ponuremi wypadkami, latach stwo-

rzone, streszczają całą duszę Ujejskiego i są najpiękniejszym jego pomnikiem. Ileż ten człowiek tam nie cierpi, jakżeż gorąco się nie modli — i do Stwórcy zanosi suplikacye i Bogarodzicę o wstawiennictwo błaga. Jako więzień choć mu się myśl wyrywa w raj swej zagrody cichy i uroczy, oddaje jednak chętnie Bogu śmierć w ciemnej otchłani, byle tylko ceną tego życia dolę narodu poprawić. Jako ojciec niesie do świątyni na chrzest swe dziecko, nowego niewolnika i także ofiaruje je Bogu.

Oto go Tobie składam na ofiarę
Za wolność mojej ojczyzny, za wiarę...

A kiedy na ziemi jego ojców zaczęły bić łuny krwawe, kiedy

Pośród ogniów szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły!
A za nimi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła, jak plaga strącona karaniem nie bożem:
Gdzie przeszła, zapadały domy — groby rosły!

wtedy naszemu Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni, a okiem iskier pełnem spojrzawszy po narodzie,

Łunami obleczony i dymem owiany
Uderzył w hymn jak jego serce potargany.

Tym hymnem potężnym, wielkim, natchnionym jest jeden z najpiękniejszych klejnotów naszej poezyi — Chorał. Hymn „Z dymem pożarów“, jak każde wielkie dzieło sztuki, znamionuje zaraz jakaś wielość artystycznych przymiotów, u Ujejskiego rzadko widywana. Zlewa się w nim i olbrzymia siła natchnienia i wielka energia stylu Ujejskiego z formą powiewną i przeźroczystą, olśniewającą co chwila potęgą wspaniałych obrazów. Z Chorału, jak gromadne stado ptaków, wyrywają się tłumem wszystkie uczucia, jakiemi kiedykolwiek harfa Ujejskiego brzmiała. Prócz olbrzymiej miłości ojczyzny jest tam i ponury cień rozpaczy i bolesna, ku Bogu zwrócona skarga, i z zaciśniętych ust dobywający się zgrzyt... Ale od tych ciężkich i ciemnych myśli, od których bieleje włos, opędza się wieszcz i tłumaczy się przed Stwórcą w pokorze:

Bluźnią ci usta, choć płacze serce:
Sądź nas po sercu, nie według słów!

A potem rzewna i prosta modlitwa, ze łzami w oczach, z wielką ufnością mówiona:

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią.
. . . . . .

Ostatnie słowo Chorału: „Bóg był i jest".

Pieśń ta wielka głębią uczucia, silnem obrazowaniem i mistrzostwem formy, przeleciała w lot jak iskra naród cały, a i dzisiaj, choć dymy pożarów, w których powstała, dawno się rozwiały, sprawia wyjątkowo, jak mało innych utworów tej epoki, potężne wrażenie.

Ten był szczyt twórczości, na jakim stanął natchniony miłośnik ojczyzny, piewca gorącej wiary i wielki mocarz słowa.

* * *

Żal się robi i smutno na myśl, że ostatni widomy węzeł łączący nas z wielką epoką rozrywa się już na zawsze. Czy natchnienie poetów żegna już nas bezpowrotnie? Daj Boże, abyśmy i my kiedyś oglądać mogli złotą wiosnę, obfitą w wielkich ludzi i w wielkie zdarzenia, a ozłoconą blaskami natchnionej poezyi. Daj Boże! żeby to nie był ostatni z natchnionych.

Ks. Jan Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Ostatni z natchnionych. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* (Dodatek)	1*—12*
Kolegium OO. Jezuitów w Poznaniu 1572—1608. Przez *ks. St. Załęskiego T. J.*	1
O wynikach badań nad językiem polskim. Przez *Stanisława Dobrzyckiego*	30 243 340
Perez Galdos i jego dzieła. Przez *T. W.*	43 212 373
Wyprawa Zamojskiego na Mołdawię. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.*	74
Encyklika „Rerum Novarum". Przez *ks. d-ra A. Trznadla.*	90
Strejk wobec etyki. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.*	161 389
Walka rasowo-ekonomiczna w Poznańskiem. Przez *Wielkopolanina*	195
Wieczornica pod Jassami. Przez *Jana Zatłokiewicza T. J.*	265
Głosy o Polsce w beletrystyce rumuńskiej. Przez *Wiktora Wieckiego T. J.*	321
Zygmunt Stary i wojna szmalkaldzka. Szkic historyczny. Przez *Eugeniusza Barwińskiego*	360

Stronica

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Pogadanka o nowych książkach St. Pepłowskiego, „Polacy i Węgrzy". Opowieść dziejowa (1848—1849). — „Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa" (1772—1859). 2 tomy. — „Krwawa karta". Opowieść z przeszłości Galicyi. — „Galiciana" (1778—1812). — „Z tajnego archiwum". Kartka z dziejów Galicyi.—„Życie za wolność". Opowieść z przeszłości Galicyi. — „Wódz legionów". — „Jeszcze Polska nie zginęła". Opowieść dziejowa (1796—1806). — „Janów pod Lwowem". *(Dr. Feliks Koneczny)* 99

Szymon Szymonowicz jako filolog. Dr. Wiktor Hahn. *(L. M. Dziama)* 117

Współcześni powieściopisarze angielscy: Hall Caine, Rudyard Kipling, Grant Allen i T. Hardy. Szkice literackie. Aleksander Maryan Jasieński. *(T. W.)*. 119

Dzieje ojczyste dla młodzieży. Karol Rawer *(Dr. K. Krotoski)*. 120

Mrówki. Szesnaście pogadanek z notatek Stanisława Kluczyckiego. *(J. Nuckowski T. J.)* 122

Pogadanka o nowszych powieściach polskich. Włodzimierz Trąmpczyński: „Bielmo". — W. Sieroszewski (Sirko): „W matni". — Antoni Miecznik: „Owanes Ohana". — Klemens Junosza: „Zagrzebani", „Z papierów po nieboszczyku czwartym", „Przeszkoda". — Helistan: „Szkice i obrazki". — Adam Krajewski: „Kątem". — K. Laskowski: „Zrośli z ziemią". — M. Konopnicka: „Nowele". — W. L. Kondratowicz: „Komedyant". — Artur Gruszecki: „Kręty". — Wł. St. Reymont: „Spotkanie", „Fermenty". — Anatol Krzyżanowski: „W więzach". — Włodz. Zagórski: „Mój pierwszy dzik". — A. Dygasiński: „Pióro", „Dramaty lubądzkie". — St. Ariel: „Ułudy". — C. Walewska: „Podsłuchane". — T. Jeske-Choiński: „Ostatni Rzymianie". — H. Sienkiewicz: „Na jasnym brzegu". — W. Feldman: „Ananke". — Ursyn: „Szesnaście obrazków". *(Ks. Jan Badeni T. J.)* 278

Adam Mickiewicz. Przez d-ra Józefa Kallenbacha. T. I. i II. *(Dr. Korneli Juliusz Heck)* 408

Rocznik Koła artystyczno-literackiego we Lwowie. Wydany pod redakcyą d-ra Witolda Bartoszewskiego. *(Z)* . 424

Antygona. Tragedya Sofoklesa przełożona na język polski przez Kazimierza Morawskiego. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* . 425

Całopalenia. Poemat dramatyczny w 4 obrazach Franciszka Lasockiego. Druga część trylogii. — Przed wybuchem. Poemat dramatyczny w 3 obrazach. Pierwsza część trylogii. Przez tegoż. *(Jarosław Rejowicz T. J.)* 430

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

VOYAGEUSES. Par Paul Bourget. *(Ks. M. Morawski T. J.)*. 125
ELÉVATIONS DOGMATIQUES. Par M. Sauvé. I. série. L'Incarnation, ou Jésus intime. II série. La Sainte Trinité, ou Dieu intime. *(X. T. J.)* 130
LE TRIOMPHE DU SOCIALISME. Par Hippolyte Verly. *(X. T. J.)*. . 131
DIE ÄLTEREN ORTSNAMEN SCHLESIENS, ihre Entstehung und Bedeutung. Mit einem Anhange über die schlesisch-polnischen Personennamen. Beiträge zur schlesischen Geschichte und Volkskunde. Von Konst. Damroth, königl. Seminar-Direktor. *(M.)* 131
FRAU SORGE. Roman. Hermann Sudermann. 36 Auflage. *(T. W.)*. 291
JAMMERBILDER ÖSTERREICHISCHER SCHULZUSTÄNDE. I, u. II. Bändchen. Von Franz Stauracz. *(Ks. Wł. Ledóchowski T. J.)*. 299
DIE STUDIENORDNUNG DER GESELLSCHAFT JESU. Mit einer Einleitung von Bernhard Duhr S. J. *(Dr. Zygmunt Samolewicz)* 433
ČESKÁ POESIE XIX. v. Vydal Spolek českých spisovatelů-belletristů „Máj". Díl I. (Czeska poezya XIX. wieku. Wydał Związek czeskich pisarzy-beletrystów „Maj". Tom I. *(Stanisław Dobrzycki)* 440

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Uroczystość św. Augustyna w Anglii. — Konferencya biskupów anglikańskich w Lambeth. — Kongresy katolików w Medyolanie i Landshut. — Pojedynek wiedeński. — Zdjęcie cenzur z ks. Stojałowskiego. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 135
KONGRESY NAUKOWE KATOLIKÓW A TEGOROCZNY KONGRES FRYBURSKI. Przez *d-ra Józefa Kallenbacha* 146
AURI SACRA FAMES. Przez *Ks. M. M.* 158

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Rudini i katolicy włoscy. — Zjednoczenie „Braci Mniejszych". — Kongres Tercyarzy we Francyi. — Bezbożność socyalisty. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* . 300
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNALAZKÓW: Telegrafy bez drutów. — Fluoroskopy. — Wpływ promieni X na organizm. — Ionizacya pod wpływem promieni X. Przez *F. E. Polzeniusza.* 308
ROZWÓJ I PRACE SALEZYANÓW. Przez *M**** 317

Stronica

GRUDZIEŃ.

W sprawie samorządu Kościoła katolickiego na Węgrzech. Przez *Józefa Glinkiewicza*. 443
Ostatni list Leona XIII. o bierzmowaniu. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 458
Czeska Akademia Umiejętności. Przez *Stanisława Dobrzyckiego*. 461
Wojna o d-ra Iwana Frankę. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . 467

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.